

BESTSELLEROWA AUTORKA NEW YORK TIMESA

Nieskończone światy Jane

Kristin Cashore

Jeden dom. Nieskończenie wiele możliwości.

Nieskończone
światy
Jane

Kristin
Cashore

tłumaczenie
Anna Krochmal i Robert Kędziński



Tytuł oryginału: *Jane, Unlimited*

Redakcja: Marta Chmarzyńska

Korekta: Ewa Mościcka

Skład i łamanie: Ekart

Opracowanie typograficzne polskiej wersji okładki: Magdalena Zawadzka/ Aureusart

Zdjęcie na okładce:

Copyright © Jose A. Bernat Bacete

Copyright © 2017 by Kristin Cashore

All rights reserved

Copyright for the Polish edition © 2018 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7686-668-0

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2018

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

youtube.com/wydawnictwojaguar

instagram.com/wydawnictwojaguar

facebook.com/wydawnictwojaguar

snapchat: jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2018

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Tu Reviens

Zaginione arcydzieło

Kłamstwa bez granic

Część, w której ktoś gubi duszę a Charlotte ją znajduje

Nieskończone światy Jane

Zbłąkaniec, dziewczyna i obraz

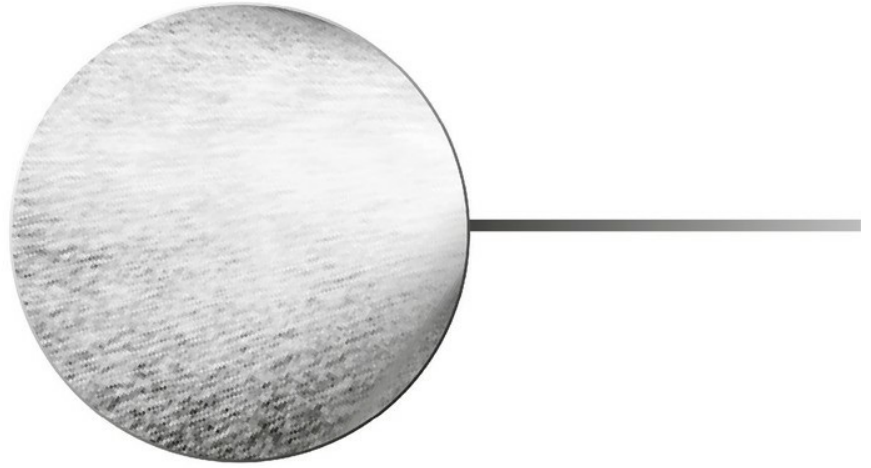
Nota autorki

Podziękowania

O Autorce

Przypisy

*Wszystkim ciociom,
zwłaszcza moim*



Tu Reviens

DOM NA KLIFIE WYGLĄDA JAK STATEK ZNIKAJĄCY WE MGLE. Iglica jest masztem, u dołu chłosczą go drzewa, niczym fale wzburzonego morza.

A może po prostu Jane ma w głowie tylko statki, bo jest na jachcie, który stara się jak może skupić na sobie całą jej uwagę. Jacht kołysze się na fali, Jane traci równowagę, siada i triumfalnie ląduje niedaleko miejsca, w które celowała. Kolejna fala w zwolnionym tempie popycha ją do przodu, w stronę okna w salonie.

– Nie spędziłam dotąd dużo czasu na łodziach. Chyba można się do tego przyzwyczaić – mówi.

Kiran, jej towarzyszka podróży, leży na plecach na długim siedzeniu pod oknem. Ma zamknięte oczy. Kiran nie cierpi na chorobę morską. Jest znudzona. Zachowuje się, jakby nie dosłyszała Jane.

– Moja ciocia Magnolia pewnie musiała się do tego przyzwyczaić – stwierdza Jane.

– Moja rodzina mnie dobija – Kiran na to. – Mam nadzieję, że się potopimy.

Jacht nosi nazwę „Kiran”.

Przez okno w salonie Jane widzi Patricka, kapitana jachtu, jak w deszczu na pokładzie, cały przemoczony, próbuje zahaczyć cumę na knadze. Młody, dwadzieścia parę lat, biały, krótkie ciemne włosy, zimowa opalenizna i niebieskie oczy, tak jasne, że Jane od razu zwróciła na nie uwagę. Najwyraźniej ktoś miał czekać na nabrzeżu, żeby mu pomóc, ale się nie zjawił.

– Kiran? Może powinniśmy pomóc Patrickowi?

– W czym mu pomóc?

– No nie wiem... Przycumować łódź?

– Żartujesz? – pyta Kiran. – Patrick wszystko potrafi zrobić sam.

– Wszystko?

– Patrick nikogo nie potrzebuje – odpowiada Kiran. – Nigdy.

– Rozumiem. – Jane się zastanawia, czy to wyraz jej ogólnego sarkazmu, wymierzonego w równym stopniu we wszystkich, czy może Kiran ma jakiś konkretny problem z Patrickiem. Z kimś takim jak ona czasem trudno to ocenić.

Na zewnątrz Patrickowi udaje się akurat zahaczyć cumę o knagę, napina ciało, ciągnie linę, kawałek po kawałku, przyciągając powoli jacht do nabrzeża. Wygląda to dość imponująco. Może faktycznie potrafi wszystko.

– A tak w ogóle, to kim jest Patrick?

– Patrick Yellan – odpowiada Kiran. – Wychowaliśmy się z nim, Ravi i ja. Pracuje dla mojego ojca. Tak jak jego młodsza siostra, Ivy. Jego rodzice też pracowali dla ojca, ale dwa lata temu zginęli w wypadku samochodowym we Francji. – Zerka na Jane i dodaje: – Przepraszam. Nie chciałam ci przypominać o wypadkach w podróży.

– Nic się nie stało – odpowiada automatycznie Jane i zapisuje w pamięci te imiona i fakty, razem z innymi zdobytymi informacjami. Kiran jest Amerykanką brytyjskiego pochodzenia od strony ojca i brytyjską Hinduską od strony matki, ale jej rodzice się rozwiedli, a ojciec drugi raz się ożenił. Jest też obrzydliwie bogata. Jane nigdy dotąd nie miała przyjaciółki, która wychowywałaby się z własnymi służącymi. *Czy Kiran jest moją przyjaciółką?* – zastanawia się. *Znajomą? A może mentorką?* Teraz już nie, ale kiedyś chyba tak było. Kiran jest o cztery lata starsza, chodziła do college'u w rodzinnym mieście Jane i dawała jej lekcje pisania, gdy Jane była w szkole średniej.

Ravi to jej brat bliźniak, przypomina sobie Jane. Nigdy go nie poznała, ale czasem odwiedzał Kiran w college'u. Jej lekcje się zmieniały, gdy Ravi był w mieście. Kiran się wtedy spóźniała, w oczach miała jakiś blask, wydawała się mniej surowa i nie taka zasadnicza.

– Patrick zajmuje się transportem między łądem i wyspą? – pyta Jane.

– Chyba tak – odpowiada Kiran. – W każdym razie między innymi. Parę innych osób też to robi.

– Czy Patrick i jego siostra mieszkają w rezydencji?

– Wszyscy mieszkają w rezydencji.

– Czyli cieszysz się, że wracasz do domu? – pyta Jane. – Bo możesz spotkać przyjaciół, z którymi dorastałaś?

Jane bada grunt, bo próbuje się zorientować, jak działają tego rodzaju relacje ze służącymi, kiedy jest się tak bogatym.

Kiran nie odpowiada od razu, wpatruje się tylko przed siebie z zaciśniętymi ustami i Jane zaczyna się zastanawiać, czy jej pytanie było nie na miejscu.

– Chyba był kiedyś taki czas, gdy na widok Patricka, po długiej nieobecności, czułam się, jakbym wracała do domu.

– Och! Ale... już nie?

– Eh, to nie takie proste – wzdycha Kiran. – Nie mówmy o tym teraz, mógłby nas usłyszeć.

Patrick musiałby mieć jakieś supermoce, by usłyszeć choć słowo z tej rozmowy, ale Jane potrafi poznać, kiedy temat jest zamknięty. Zerka przez okno i widzi niewyraźnie przez ulewę sylwetki innych łodzi, wielkich i małych, przycumowanych w tej zatoczce. Wszystkie należą do ojca Kiran, Octaviana Thrasha IV, podobnie jak cała zatoczka, ta wyspa przy wschodnim wybrzeżu, falujące na wietrze drzewa i ogromny dom wysoko w górze.

– Jak dostaniemy się do domu? – pyta Jane. Nie widzi żadnej drogi. – Będziemy brnąć w górę przez deszcz jak pletwonurkowie?

Kiran parska, a potem – ku zaskoczeniu Jane – posyła jej pełen aprobaty uśmiech.

– Samochodem – mówi, nie rozwodząc się nad tym. – Opowiadasz zabawne rzeczy. Tęskniłam za tym. I za twoimi ciuchami.

W koszuli w złote zygzaki i w bordowych sztruksach Jane wygląda jak jedno z morskich stworzeń cioci Magnolii. Jak błazenek albo koral panterka. Jane przypuszcza, że chyba nigdy się nie ubiera bez myślenia o cioci Magnolii.

– No dobra – mówi. – A kiedy ma być wiosenna gala?

– Nie pamiętam. Pojutrze? Za dwa dni? Pewnie jakoś w weekend.

W nadmorskim domu Octaviana Thrasha IV odbywają się gale z okazji każdej pory roku. To dlatego Kiran się tam wybiera. Wraca do domu na wiosenną galę.

I tym razem, z jakichś niewyjaśnionych powodów, zaprosiła Jane, choć jeszcze w zeszłym tygodniu Jane nie widziała jej od czasu, kiedy Kiran skończyła college, czyli od prawie roku. Koleżanka wpadła na nią, gdy Jane była w pracy, w księgarni na terenie kampusu, bo podobnie jak wielu absolwentów zapamiętała, że jest tam toaleta publiczna. Jane uwięziona za ladą informacyjną widziała, jak się zbliża, z ogromną torebką przerzuconą przez ramię i udręczonym wyrazem twarzy. Gdyby to był jakikolwiek inny duch z przeszłości, instynkt podpowiedziałyby jej, by się odwrócić, ukryć za zasłoną ciemnych loków i zamienić się w posąg. Jednak widok Kiran Thrash natychmiast przywiódł Jane na myśl dziwną obietnicę, jaką wymogła na niej ciocia Magnolia, zanim wyruszyła na tę ostatnią wyprawę fotograficzną.

Ciocia Magnolia kazała Jane obiecać, że nigdy nie odrzuci zaproszenia do rodzinnej

rezydencji Kiran.

– Hej! – powiedziała Kiran tamtego dnia, zatrzymując się przy ladzie. – Janie. To ty. – Zerknęła na ramię Jane; spod krótkiego rękawka wystawały czułki wytatuowanej meduzy.

– Kiran. – Jane instynktownie dotknęła ramienia. Tatuaz był nowy. – Cześć!

– Chodzisz tu teraz do szkoły?

– Nie – odparła. – Przerwałam naukę. Robię sobie przerwę. Pracuję tutaj. W księgarni – dodała, co było oczywiste i nie miała ochoty na ten temat rozmawiać. Nauczyła się jednak mówić o niczym, wypełniać chwile milczenia fałszywym entuzjazmem i podsuwać swoje porażki jako temat do rozmowy, bo czasem dzięki temu udawało jej się unikać takich pytań, jak następne, które zadała Kiran.

– Co tam u twojej cioci?

Branie się w garść w takich w chwilach stało się już odruchem.

– Nie żyje.

– Och! – Kiran zmrużyła oczy. – Nic dziwnego, że rzuciłaś szkołę.

Było to mniej życzliwe niż większość reakcji, ale łatwiejsze do zniesienia dzięki poirytowaniu, które Jane poczuła.

– Może i tak bym ją rzuciła. Nie znosiłam jej. Pozostali studenci byli snobami, a ja byłam do niczego z biologii.

– Profesor Greenhut? – spytała Kiran, ignorując przytyk o snobach.

– Tak.

– Słynny na całą szkołę jako pretensjonalny dupek – stwierdziła Kiran.

Wbrew temu, co podpowiadał jej instynkt, Jane się uśmiechnęła. Greenhut zakładał, że jego studenci mają już sporą wiedzę z biologii, i może to założenie było nawet słuszne, bo nikt z grupy nie miał takich problemów, jak Jane. Ciocia Magnolia, która była wykładowcą kontraktowym i uczyła biologii morza, prawie się zachłysnęła, gdy zobaczyła program nauczania. „Greenhut jest nadętym, zadufanym osłem”, powiedziała z niesmakiem, a potem dodała: „Bez obrazy dla Kłapouchego. Greenhut próbuje wykosić studentów, którzy nie chodzili do drogich szkół”.

– I to działa – odparła wtedy Jane.

– Może pójdziesz do szkoły gdzie indziej – podsunęła Kiran. – Gdzieś daleko. Czasem wyjazd daleko od domu dobrze robi.

– Tak. Może. – Jane od zawsze mieszkała w tym małym miasteczku uniwersyteckim w głębi stanu i za każdym razem, gdy wychodziła z domu, otaczali ją studenci. Nauka dla dzieci wykładowców była bezpłatna. Ale może Kiran miała rację, może powinna była wybrać inną szkołę. Stanową, gdzie przy innych studentach nie czułaby się tak bardzo... z prowincji. Tutaj studenci przyjeżdżali z całego świata i mieli mnóstwo pieniędzy. Współlokatorka Jane spędziła lato na francuskiej wsi i gdy się dowiedziała, że w szkole średniej Jane uczyła się francuskiego, chciała z nią rozmawiać po francusku o miastach, w których Jane nigdy nie była, i o serach, których nigdy nie jadła.

To było przedziwne uczucie, chodzić na zajęcia, które wcześniej budziły w niej zazdrość, i tak nędznie skończyć. Pod koniec spędzała większość wieczorów z ciotką Magnolią zamiast w akademiku i czuła się, jakby prowadziła drugie, równoległe życie, do którego zupełnie nie pasowała. Jakby była kawałkiem z niewłaściwej układanki.

– Mogłabyś pójść do jakiejś szkoły artystycznej – rzuciła Kiran. – Nie robiłaś przypadkiem fajnych parasolek?

– To nie sztuka – odparła Jane. – To tylko parasolki. Nic szczególnego.

– No dobra – stwierdziła Kiran. – Mniejsza z tym. Gdzie teraz mieszkasz?

– W mieszkaniu w mieście.

– W tym, w którym mieszkałaś z cicią?

– Nie – odparła Jane, wkładając w to słowo lekki sarkazm, którego Kiran pewnie i tak nie zauważyła. Oczywiście, że nie było jej stać na tamto mieszkanie. – Mieszkam z trójką studentów.

– I co, podoba ci się?

– Jest w porządku – skłamała Jane. Jej współlokatorzy byli znacznie starsi od niej i zbyt pompatycznie skupieni na swoich zawyżonych dążeniach intelektualnych, by przejmować się takimi sprawami, jak gotowanie, sprzątanie czy kąpiel. To było tak, jakby mieszkała z Sową Przemądrzałą z *Kubusia Puchatka*, tyle tylko, że byli na bakier z higieną i była ich cała trójka. Jane prawie nigdy nie była tam sama. Jej pokój był niewiele większy od szafy i nie nadawał się do robienia parasolek, co wymagało przestrzeni. Trudno było się tam ruszyć, żeby na coś nie wpaść. Czasem spała z zaczęta parasolką w nogach łóżka.

– Lubiałam twoją cicię – powiedziała Kiran. – Ciebie też lubiałam – dodała i to wtedy Jane przestała myśleć o sobie i zaczęła uważniej ją obserwować. W jakiś sposób się zmieniła od ich ostatniego spotkania. Kiedyś Kiran poruszała się tak, jakby równocześnie próbowała załatwić co najmniej cztery bardzo ważne sprawy.

– Co cię sprowadza do miasta? – spytała Jane.

Kiran apatycznie wzruszyła ramionami.

– Wsiadłam w samochód i zrobiłam sobie przejażdżkę.

– Gdzie mieszkasz?

– W apartamencie w centrum.

Apartament Thrashów zajmował dwa najwyższe piętra rezydencji na Manhattanie, z widokiem na Central Park. Spory kawałek drogi dla kogoś, kto „wsiadł w samochód i zrobił sobie przejażdżkę”.

– Ale wzywają mnie do domu na wyspę na wiosenną galę – dodała Kiran. – I może zostanę na dłużej. Octavian jest chyba nie w sosie.

– Aha – mruknęła Jane i spróbowała sobie wyobrazić, jak to jest mieć ojca miliardera na prywatnej wyspie, który jest nie w sosie. – Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawić.

– Co to za tatuaż? – spytała Kiran. – Kałamarnica?

– Meduza.

– Mogę zobaczyć?

Meduza na ramieniu Jane była niebiesko-złota, z cienkimi niebieskimi czułkami i białoczarnymi parzydełkami sięgającymi poniżej łokcia. Jane często podwijiała rękawy koszuli, by było widać trochę czułek, ponieważ tak naprawdę lubiła, gdy ludzie ją prosili, by pokazała tatuaż. Teraz podciągnęła rękaw, by Kiran mogła go zobaczyć.

Ta przyjrzała się meduzie, ale wyraz jej twarzy ani trochę się nie zmienił.

– Hmm – mruknęła. – Bolało?

– Tak – potwierdziła Jane. Wzięła dodatkową robotę jako kelnerka w taniej restauracji i pracowała przez trzy miesiące, żeby było ją stać na ten tatuaż.

– Delikatna – zauważyła Kiran. – Jest naprawdę piękna. Kto ją zaprojektował?

– Jest na podstawie zdjęcia zrobionego przez moją cicię. – Jane ucieszyła się, mogąc to powiedzieć. – To pacyficzna meduza kompasowa.

- Twoja ciocia zdążyła zobaczyć ten tatuaż?
- Nie.
- Życie jest czasem wredne. Chodźmy się napić.
- Co? – przeraziła się Jane. – Ja?
- Jak wyjdiesz z pracy.
- Jestem niepełnoletnia.
- To kupię ci koktajl mleczny.

Tamtego wieczoru w barze Jane opowiedziała Kiran, jak to jest pracować na niepełny etat w księgarni i musieć zapłacić z tego za czynsz, jedzenie i ubezpieczenie zdrowotne; jak to jest, gdy na chwilę się rozkojarzy i wydaje jej się, że ciocia Magnolia wyjechała tylko na kolejną fotograficzną wyprawę; o tym, że czasem się przyłapuje na tym, że nadkłada drogi, by ominąć budynek, w którym mieszkały. Jane nie chciała jej tego wszystkiego wyjaśniać, ale znała Kiran w czasach, gdy życie miało sens. Teraz czuła się przy niej zagubiona. Po prostu tak wyszło.

– Rzuć pracę – powiedziała Kiran.

– I z czego mam żyć? – spytała z poirytowaniem Jane. – Wiesz, nie każdy ma tatę z kartą kredytową bez dna.

Kiran nie zwróciła uwagi na ten przytyk.

– Po prostu nie wyglądasz na zbyt szczęśliwą.

– Szczęśliwą?! – powtórzyła z niedowierzaniem Jane, a potem zobaczyła, że Kiran dalej sący whisky, i naprawdę się rozzłościła. – A tak w ogóle, to jaką ty masz pracę? – warknęła.

– Nie mam pracy.

– No cóż, ty też nie wyglądasz na zbyt szczęśliwą.

Ku zaskoczeniu Jane, Kiran wybuchnęła krótkim, głośnym śmiechem.

– Wypiję za to – oświadczyła, potem przełknęła wszystko, co miała w szklance, pochyliła się nad barem i sięgnęła do pudełka z papierowymi parasolkami. Wybrała jedną, niebiesko-czarną, pasującą do koszuli Jane i macek meduzy. Otworzyła ją ostrożnie, zakręciła w palcach i podała Jane.

– To dla ochrony – oświadczyła.

– Przed czym? – spytała Jane, oglądając delikatne wnętrze parasolki.

– Przed wszelkim cholerstwem – odparła.

– O rany! Pomyśleć tylko, że przez cały ten czas mogłam powstrzymać cholerstwa koktajlową parasolką.

– Może to działa tylko na bardzo małe cholerstwa.

– Dzięki – odparła Jane i kąci jej ust uniosły się w uśmiechu.

– No tak, nie mam pracy – powtórzyła Kiran, szybko spojrzęła jej w oczy i odwróciła wzrok. – Czasem o jakąś się staram, ale nic z tego nie wychodzi. I szczerze mówiąc, zawsze czuję wtedy ulgę.

– W czym problem? Skończyłaś studia. Miałaś naprawdę dobre wyniki, zgadza się? Nie znasz przypadkiem siedmiu języków albo coś w tym stylu?

– Gadasz jak moja matka – odparła Kiran, bardziej ze znużeniem niż z irytacją. – I jak mój ojciec, i jak mój brat, i jak mój chłopak. Cholera, jak każdy, z kim rozmawiam.

– Tak tylko pytałam.

– W porządku – odparła. – Jestem zepsutą bogatą dziewczyną, która ma ten przywilej, by móc nic nie robić i użalać się nad sobą, że nie ma pracy. Rozumiem.

To było zabawne, bo właśnie tak Jane pomyślała. Ale teraz, gdy Kiran powiedziała to na głos, nie miała jej już tego tak za złe.

– Słuchaj, nie wkładaj mi takich bredni do ust. Jestem uzbrojona – powiedziała, wymachując koktajlową parasolką.

– Wiesz, co lubiłam w twojej cioci? – spytała Kiran. – Wydawała się zawsze dokładnie wiedzieć, co za chwilę zrobi. Przy niej człowiek czuł się tak, jakby to było możliwe. Jakby można było wiedzieć, jaki wybór jest słuszny.

Tak. Jane chciała odpowiedzieć, ale prawdziwość tych słów ścisnęła ją za gardło. *Ciocia Magnolia.*

Kiran beznamiętnie obserwowała jej ból.

– Rzuć pracę i wybierz się ze mną do Tu Reviens – powiedziała. – Zostań na jakiś czas, tak długo, jak zechcesz. Octavian nie będzie miał nic przeciw temu. Cholera, wykupi twoje zapasy parasolek. Mój chłopak tam jest; będziesz mogła go poznać. I mój brat, Ravi. No, dalej! Co cię tu trzyma?

Niektórzy ludzie są tak bogaci, że nawet nie zauważają, kiedy zawstydzają innych. Ile były warte wszystkie rozpaczliwe starania Jane, by się utrzymać, skoro obojętne zaproszenie od niemal obcej osoby, wynikające z nudy i z potrzeby, by się wysikać, sprawiło, że Jane poczuła większy finansowy komfort, niż sama potrafiłaby sobie zapewnić?

Ale nie mogła odmówić, ze względu na ciocię Magnolię. Na złożoną jej obietnicę.

– Janie, kochanie – powiedziała ciocia Magnolia pewnego ranka, gdy Jane wyjątkowo wcześniej wstała i zastała ją na stołku przy kuchennym blacie. – Nie śpisz.

– Ty nie śpisz – odparła Jane, bo to ona w tej rodzinie miała problemy ze snem.

Oparła biodro o stół, by przytulić się do cioci, zamknęła oczy i udała, że wciąż śpi. Ciocia Magnolia była wysoka, tak jak ona, i Jane zawsze łatwo się było w nią wpaśować. Ciocia wsunęła w jej ręce filiżankę herbaty, tak by jej palce ją opłotły i się ogrzały.

– Pamiętasz swoją dawną korepetytorcę z pisania? – spytała. – Kiran Thrash?

– Oczywiście – odparła Jane, głośno siorbiąc.

– Wspominała kiedyś o swoim domu?

– Tym z francuską nazwą? Na wyspie należącej do jej ojca?

– Tu Reviens – powiedziała ciocia Magnolia.

Jane знаła francuski na tyle, by wiedzieć, co to znaczy.

– „Wrócisz”.

– Właśnie, kochanie. Chcę, żebyś coś mi obiecała.

– Dobrze.

– Jeśli ktoś cię kiedyś zaprosi do Tu Reviens, obiecaj mi, że tam pojedziesz.

– Dobrze – odparła Jane. – Ale... dlaczego?

– Słyszałam, że w tym miejscu kryje się wiele możliwości.

– Ciociu Magnolio – parsknęła Jane i odstawiła filiżankę, by spojrzeć jej w oczy. Ciocia miała śmieszna niebieską plamkę na poza tym całkiem brązowej tęczówce jednego z oczu. Jak mgławica albo malutka rozgwiazda. – Ciociu Magnolio – powtórzyła. – O czym ty, do diabła, mówisz?

Ciocia zaśmiała się gardłowo i objęła Jane ramieniem.

– Wiesz, że czasem miewam zwariowane pomysły.

Magnolia lubiła nagłe wyjazdy, na przykład pod namiot w jakimś odciętym od świata zakątku Finger Lakes, gdzie nie wolno było nocować, a komórka nie miała zasięgu. Czytały wtedy

książki w świetle lampek, słuchały, jak ćmy odbijały się od płótna malutkiego, rozjarzonego namiotu, i w końcu zasypiały przy nawoływaniach nurów. A tydzień później ciocia Magnolia potrafiła wyjechać do Japonii, by fotografować rekiny. Zdjęcia, które przywoziła z takich podróży, zachwycały Jane. Może i fotografia przedstawiała rekina, ale Jane widziała ciocię Magnolię z aparatem, otoczoną wodą, ciszą i zimnem, oddychającą sprężonym powietrzem i czekającą na istotę, która równie dobrze mogłaby być obcym, tak przedziwni byli mieszkańcy podwodnego świata.

– Ty jesteś zwariowana, ciociu Magnolio – odparła Jane. – I cudowna.

– Ale nie proszę cię, żebyś mi wiele obiecywała, prawda?

– Nie.

– Więc obiecaj mi tę jedną rzecz. Dobrze?

– W porządku – odpowiedziała Jane. – Niech będzie. Obiecuję, że nigdy nie odrzucę zaproszenia do Tu Reviens. A tak w ogóle, to czemu nie śpisz?

– Miałam dziwne sny – odparła. A kilka dni później wyjechała na ekspedycję na Antarktydę, śnieżycą złapała ją za daleko od obozu i zamarzła.

Zaproszenie Kiran zbliżyło Jane do cioci Magnolii bardziej niż cokolwiek w ciągu ostatnich czterech miesięcy.

Tu Reviens. Wracasz.

To niepokojące uczucie być tak daleko od domu – wszystkie jej zwyczajne obawy zniknęły, ale zastąpiły je nowe. Czy ojciec Kiran w ogóle wie o przyjeździe Jane? A co, jeśli się okaże, że jest tylko piątym kołem u wozu, gdy Kiran spotka się ze swoim chłopakiem? Jak się zachowywać w towarzystwie ludzi, którzy są właścicielami jachtów i prywatnych wysp?

Jane stoi w salonie jachtu Kiran, na zewnątrz leje jak z cebra. Powtarza sobie, by oddychać – powoli, głęboko i spokojnie, tak jak uczyła ją ciocia Magnolia. „To ci pomoże, kiedy będziesz uczyła się nurkowania z akwalungiem” – mawiała ciocia, gdy Jane była mała, miała pięć, sześć, może siedem lat. Ale do tych lekcji nurkowania jakoś nigdy nie doszło.

Wdech, myśli Jane, skupiając się na tym, by głęboko wciągnąć powietrze. *Wydech*: czuje, że jej klatka piersiowa opada. Zerka na dom unoszący się w górze nad nimi w strugach ulewnego deszczu. *Ciocia Magnolia nigdy się nie zamartwiała. Po prostu szła.*

Nagle Jane czuje się jak postać z powieści Edith Wharton albo którejś z sióstr Brontë. *Jestem młodą kobietą dysponującą ograniczonymi środkami; bez rodziny i perspektyw, zaproszoną przez zamożny ród do ich wytwornej rezydencji. Czy to możliwe, że to moja wielka przygoda?*

Będzie musiała wybrać parasolkę odpowiednią na taką przygodę. Czy Kiran uzna, że to dziwne? Czy Jane uda się znaleźć taką, która nie będzie wyglądać żenująco? Chwiejnym krokiem przechodzi przez salon, otwiera jedną ze swoich skrzynek i natychmiast natrafia na parasolkę, która wydaje się właściwa. Jest malutka, z atlasową czaszą w kolorach głębokiego brązu i miedzianego różu. Metalowe elementy wykonane są z zabytkowych części, ale solidnych. Gdyby miała ochotę, mogłaby kogoś nabić na nasadkę.

Jane ją otwiera. Część ruchoma piszczy, a druty są wygięte, tkanina nierówno się napięła.

To tylko głupia, pokrzywiona parasolka, myśli Jane i nagle musi zamrugać, by powstrzymać łzy. *Ciociu Magnolio? Po co tu jestem?*

Patrick wsuwa głowę do salonu. Zerka jasnymi oczami na Jane, potem na Kiran.

– Przycumowaliśmy, Kir – mówi. – Samochód już czeka.

Kiran siada, nie patrząc na niego. Potem, gdy Patrick wraca na pokład, obserwuje go przez

okno, jak zarzuca sobie drewniane skrzynie na ramię i niesie je na przystań. Ich spojrzenia się spotykają i Kiran odwraca wzrok.

– Zostaw tu swoje rzeczy – mówi do Jane. I dodaje lekceważąco: – Patrick je potem przyniesie.

– Dobrze – odpowiada Jane. Coś jest zdecydowanie nie tak między Patrickiem a Kiran. – A tak w ogóle, to kim jest twój chłopak?

– Ma na imię Colin. Pracuje z moim bratem. Poznasz go. A czemu pytasz?

– Po prostu byłam ciekawa.

– Sama zrobiłaś tę parasolkę? – pyta Kiran.

– Tak.

– Tak myślałam. Kojarzy mi się z tobą.

No jasne. Jest ręcznie robiona i śmiesznie wygląda.

Kiran i Jane wychodzą na deszcz. Patrick wyciąga rękę, by pomóc

Jane, a ona niechętnie chwytając go za przedramię. Jest przemoczony do suchej nitki. Jane zauważa, że Patrick Yellan ma piękne przedramiona.

– Uważaj, jak idziesz – mówi jej do ucha Patrick.

Gdy Kiran i Jane są już na lądzie, pędzą do wielkiego czarnego samochodu, który czeka na nabrzeżu.

– To Patrick mnie prosił, żebym przyjechała do domu na galę! – woła Kiran, przekrzykując deszcz.

– Co?! – pyta zdyszana Jane. Próbuje osłonić Kiran przed deszczem swoją parasolką i efekt jest taki, że za kołnierz spływa jej lodowata stróżka wody. – Naprawdę? Dlaczego?

– A któż to, do cholery, może wiedzieć? Mówił, że chce mi coś wyznać. Zawsze wciska takie kity, a potem nie ma nic do powiedzenia.

– Jesteście... bliskimi przyjaciółmi?

– Nie próbuj mnie osłaniać przed deszczem – mówi Kiran, wyciągając rękę do drzwi samochodu. – Tylko obie przez to jeszcze bardziej zmokniemy.

Okazuje się, że w zatoczce zaczyna się droga, która potem zgodnie z ruchem wskazówek zegara obiega wyspę, po czym pnie się serią serpentyn po stromych klifach.

Nie jest to bynajmniej kojąca przejażdżka rolls-royce'em w deszczu; samochód wydaje się za duży, by brać takie zakręty i nie spaść w przepaść. Prowadząca go kobieta ma minę buldoga i jedzie tak, jakby śpieszyła się na pociąg. Stalowszare włosy i oczy, blada cera, wysokie kości policzkowe. Ma na sobie czarny strój do jogi i poplamiony kuchenny fartuch. Wpatruje się w Jane we wsteczny lusterko. Jane się wzdryga i tak przekrzywia głowę, by burza loków zasłoniła jej twarz.

– Znowu brakuje nam personelu, pani Vanders? – pyta Kiran. – Jest pani w fartuchu.

– Właśnie bez zapowiedzi zjawiała się grupka gości – odpowiada kobieta. – Wiosenna gala ma się odbyć pojutrze. Kucharz wpadł w histerię.

Kiran opiera się o zagłówek i przymyka oczy.

– Co to za goście?

– Phoebe i Philip Okada – odpowiada pani Vanders. – Lucy St. George...

– Mój brat mnie dobija – wchodzi jej w słowo Kiran.

– Twój brat nie przyjechał – mówi znacząco pani Vanders.

– Ale szok – odpowiada Kiran. – Spodziewamy się jakichś bandytów napadających na banki?

Pani Vanders odchrząkuje, słysząc to dziwne pytanie, i mówi:

– Pewnie nie.

– Bandytów napadających na banki? – pyta Jane.

Kiran jednak ją ignoruje.

– No cóż – mówi – zapowiedziałam wcześniej, że zjawię się z przyjaciółką. Mam nadzieję, że przygotowaliście dla niej miejsce; Janie potrzebuje przestrzeni.

– Przygotowaliśmy dla Jane Czerwony Apartament we wschodnim skrzydle. Ma własny salonik – mówi pani Vanders – Choć niestety nie widać stamtąd morza.

– To strasznie daleko ode mnie – wybrzydza Kiran. – I blisko Raviego.

– No cóż... – Twarz pani Vanders nagle łagodnieje. – Wciąż mamy śpiwory, jeśli chcecie nocować razem. Ty, Ravi i Patrick lubiliście to robić, kiedy byliście młodszy, a Ivy była jeszcze malutka, pamiętasz? Zawsze błagała, żebyście ją też zabrali.

– Piekliśmy pianki w kominku Raviego – wyjaśnia Kiran. – A pani Vanders i Octavian wisieli nad nami, pewni, że się poparzemy.

– Albo podpalicie dom – dodaje pani Vanders.

– Ivy jadła ich tyle, że robiło jej się niedobrze, i zapadała w śpiączkę cukrową – wspomina tęsknie Kiran. – A ja zasypiałam przy palenisku między Patrickiem i Ravim, jak rozpuszczająca się pianka w s'more.

Nagle wspomnienie spada na nią jak cios; wspomnienia mają własną wolę. Jane siedzi z cicią Magnolią na czerwonym fotelu, przy kaloryferze, w którym ciągle coś syczało i szumiało. Czytały *Kubusia Puchatka* i *Chatkę Puchatka*. Hej ho! To dla misia ten marsz! – nuciła ciocia Magnolia, gdy Krzyś prowadził *ekspozycję* na Biegun Północny. Czasem, gdy ciocia Magnolia była zmęczona, czytały po cichu, przytulone do siebie. Jane miała wtedy pięć, sześć, siedem, pewnie jeszcze osiem lat. Kiedy ciocia Magnolia suszyła skarpetki na kaloryferze, w pokoju pachniało wełną.

Samochód zbliża się do tyłów budynku, objeżdża go z głuchym pomrukiem i zatrzymuje się od frontu. Teraz, gdy Jane widzi z bliska ten dom, nie przypomina jej już statku. To pałac.

Pani Vanders otwiera małe drzwi rozmiaru człowieka w ogromnej bramie, jak na słońia. Nie ma komitetu powitalnego.

Jane i Kiran wchodzi do kamiennego holu głównego z wysokim sklepieniem i posadzką w szachownicę, na której Jane z każdym krokiem pozostawia kałużę wody. Słychać świst powietrza, gdy pani Vanders zamyka drzwi, a Jane czuje, jak syczy jej w uszach, niemal jakby nie dosłyszała jakiegoś wypowiedzianego szeptem słowa. Rozkojarzona pociera ucho.

– Witaj w Tu Reviens – mówi szorstko pani Vanders. – Trzymaj się z dala od pomieszczeń dla służby. Kuchnia to również nie miejsce dla gości, a pomieszczenia na strychu w zachodnim skrzydle są zagracone i niebezpieczne. Powinnaś się zadowolić swoją sypialnią, Jane, i wspólnymi pomieszczeniami na parterze.

– Vanny, przestań być taką ogrzycą – mówi spokojnie Kiran.

– Po prostu nie chciałabym, żeby twoja przyjaciółka przebiła sobie na strychu stopę gwoździem – odpowiada pani Vanders, po czym odchodzi i znika w jakichś drzwiach. Jane, nie do końca pewna, czy powinna pójść za nią, rusza z miejsca, ale Kiran wyciąga rękę, by ją zatrzymać.

– Wydaje mi się, że poszła do zakazanej kuchni – mówi z krzywym uśmiechem. – Chodź, wprowadzę cię. To główny hol. Wydaje ci się dostatecznie pretensjonalny?

Na prawo i na lewo znajdują się identyczne schody wiodące na pierwsze i drugie piętro. Ściana naprzeciw Jane jest tak niemożliwie wysoka, że niemal kręci jej się w głowie. Wzdłuż niej, na drugim i trzecim poziomie, rozciągają się długie balkony, podzielone w równych odstępach przejściami ze sklepieniami łukowymi. Te balkony mogłyby służyć jako galerie dla minstreli, lecz są też mostami łączącymi wschodnie i zachodnie skrzydła domu. Łukowate przejścia lśnią łagodnie w naturalnym świetle, jakby ściana była twarzą z lśniącymi zębami. Na wprost, na parterze, znajduje się kolejny łuk, za którym widać naturalne światło. Jane słyszy odgłos deszczu uderzającego o szyby. Jej umysł nie potrafi dojrzeć w tym sensu, tam powinien się przecież znajdować środek budynku.

– To wenecki dziedziniec – wyjaśnia Kiran, dostrzegłszy jej minę, i prowadzi ją w stronę łuku. W jej głosie słychać rezygnację. – Najładniejsze miejsce w tym domu.

– Och – mówi Jane, próbując coś wyczytać z jej twarzy. – Chcesz powiedzieć, że to twoje ulubione pomieszczenie?

– Mniejsza z tym. Powoduje, że trudniej mi nienawidzić tego miejsca.

Jane zamiast patrzeć na dziedziniec, przygląda się Kiran. Jej jasnobrązowa twarz jest zwrócona ku szklanemu sufitowi i bębniącym w niego kroplom deszczu. Nie jest piękna. Ma tego rodzaju zwyczajną urodę, która dzięki mnóstwu pieniędzy może rozblysnąć. Jane jednak uświadamia sobie, że lubi zadarty nos Kiran, jej szczerą twarz i niesforne czarne włosy.

Jeśli Kiran nienawidzi tego miejsca, zastanawia się Jane, to dlaczego zgodziła się przyjechać na wezwanie Patricka? A może wszystkich miejsc nie lubi po równo?

Jane się obraca, by zobaczyć, na co patrzy Kiran.

No cóż. Wspaniała przestrzeń pośrodku domu; każdy dom powinien taką mieć. To atrium z przeszklonym sufitem sięgające w górę na trzy poziomy budynku, ze ścianami z blad różowego kamienia i lasem smukłych białych drzew pośrodku, tarasowymi rabatami i małym wodospadem tryskającym z pyska ryby. Na drugim i trzecim poziomie z balkonów zwisają kaskady złocistopomarańczowych nasturcji.

– No chodź – mówi Kiran. – Pokażę ci twój pokój.

– Nie trzeba – odpowiada Jane. – Wystarczy, że mi powiesz, dokąd mam iść.

– To mi da pretekst, żeby nie iść od razu szukać Octaviana. – Z któregoś z pobliskich pokoi słychać śmiech. Kiran się krzywi. – Albo gości. I Colina – dodaje, po czym chwytając Jane za nadgarstek i ciągnie ją do głównego holu.

To dziwne wrażenie być dotykany przez kogoś tak drażliwego, jak Kiran. Jane nie potrafi powiedzieć, czy to jej poprawia samopoczucie, czy też sprawia, że czuje się trochę jak w pułapce.

– Jaki jest Colin?

– Handluje dziełami sztuki – mówi Kiran, niezupełnie odpowiadając na pytanie Jane. – Pracuje dla swojego wuja, który jest właścicielem galerii. Colin jest magistrem historii sztuki. Prowadził jedno z zajęć, na które chodził Ravi, kiedy był na studiach licencjackich; to tak się poznali. Ale nawet gdyby studiował astrofizykę albo coś w tym stylu, pewnie i tak w końcu pracowałby dla swojego wuja Buckleya. Tak jak wszyscy w ich rodzinie. Mimo wszystko przynajmniej korzysta ze swojego wykształcenia.

Kiran studiowała religioznawstwo i języki, ale najwyraźniej z tej wiedzy nie korzysta. Jane pamięta, jak kiedyś napisała pracę o współpracy grup wyznaniowych z rządem na rzecz ochrony środowiska. Ciocię Magnolię zafascynowała ta praca. Ona i Kiran rozmawiały o tym bez końca. Okazało się wtedy, że ciocia Magnolia wiedziała o wiele więcej o polityce, niż Jane

przypuszczała.

Kiran wraca przez główny hol i kieruje się ku wschodnim schodom po ich lewej stronie. Na ścianach wisi przedziwna kolekcja obrazów z najróżniejszych okresów i w najróżniejszych stylach. Na każdym piętrze stoi kompletna zbroja.

Na pierwszym poziomie dominuje wyjątkowo wysoki realistyczny obraz wykonany grubo kładzioną olejną farbą. Przedstawia posadzkę w szachownicę i otwartą parasolkę, jakby odstawiono ją, by wyschła. Jane czuje, że mogłaby niemal wejść w tę scenę.

Zbliża się do nich schodzący po schodach basset. Przystaje i wpatruje się w Jane. Potem zaczyna z rosnącym zainteresowaniem podskakiwać i dyszeć. Gdy Jane go mija, pies się obraca i z zapalem rusza za nimi, ale długie ciało spowalnia go, a poza tym bassety nie są stworzone do chodzenia po schodach. Nadeptuje na własne ucho i skomle. Wkrótce zostaje z tyłu. Szczeka.

– Nie zwracaj uwagi na Jaspera – mówi Kiran. – Ten pies ma zaburzenia osobowości.

– Co mu dolega? – pyta Jane.

– Wychował się w tym domu.

Jane jeszcze nigdy nie miała do swojej dyspozycji całego apartamentu.

W chwili, gdy wchodzi do środka, dzwoni telefon Kiran. Ta zerka na niego i się krzywi.

– Pieprzony Patrick. Założę się, o co tylko chcesz, że nie ma mi nic do powiedzenia. Zostawię cię, żebyś sobie pozowiedzała – mówi i cofa się na korytarz.

Jane może teraz swobodnie przyjrzeć się swoim pokojom, nie musząc skrywać przy tym zachwyty. Jej łazienka ze złotymi kafelkami wyposażona w jacuzzi jest wielkości jej dawnego pokoju, a sam pokój jest olbrzymi, z królewskim, ogromnym jak góra łóżem. Pewnie wdrapie się na nie później, żeby spać w chmurach. Ściany mają niezwykły, blady odcień czerwieni, jak jedna z tych barw, które pojawiają się na chwilę o wschodzie słońca. Przy ogromnym kominku stoją grubo wyściełane skórzane fotele. Jane otwiera parasolkę i odstawia ją do zimnego paleniska, żeby wyschła. Zauważa polana obok kominka i zastanawia się, jak się rozpala ogień.

Sąsiedni salonik od wschodu ma ściany ze szkła, pewnie po to, by wpuszczały poranne słońce. Szyby sprawiają, że Jane jest bardzo blisko ulewnego deszczu, i to jest miłe. Ulewa potrafi być przytulna, kiedy jest się pod dachem.

Na zewnątrz, za ogrodami, rozciąga się długi trawnik, a dalej las znikający we mgle, jakby ten dom i ten mały skrawek ziemi odpłynęły od normalnej egzystencji, zabierając ze sobą Jane jako pasażera. No cóż, nie tylko ją, lecz także ubłoconą dziewczynkę kopiącą dziury łopatką w ogrodzie poniżej. Jej krótkie włosy ociekają od deszczu. Na oko ma siedem albo osiem lat. Podnosi głowę i spogląda na dom.

Czy w wyglądzie tego dziecka jest coś znajomego? Czy Jane ją poznaje?

Dziewczynka zmienia pozycję i wrażenie znika.

Po obejrzeniu saloniku (sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem, prążkowana sofa, fotel w kwieciste wzory, żółty kosmaty dywanik i chaotyczna zbieranina obrazów) Jane wraca do sypialni i owija się w miękkie ciemny koc leżący w nogach łóżka.

Słyszy ciche drapanie, więc podchodzi do drzwi i lekko je uchyla.

– Udało ci się – mówi, gdy pies wpada do pokoju. – Podziwiam cię za wytrwałość.

Jasper jest klasycznym bassetem w brązowe, czarne i białe łaty; ma długi nos, jeszcze dłuższe kłapciate uszy, krótkie łapki, smutne oczy i oklapnięty pysk. Jest stworzeniem nękanym grawitacją. Gdy Jane klęka i wyciąga rękę, pies ją obwąchuje. Liże ją nieśmiało. Potem opiera się całym ciężarem o jej wilgotne sztruksy.

– Jesteś idealny – mówi Jane, drapiąc go po głowie w miejscu, którego, jak podejrzewa, pies sam nie potrafi dosięgnąć.

– Och – słysząc pełen zaskoczenia głos dobiegający od drzwi. – Jesteś Janie?

Jane podnosi wzrok i jej spojrzenie pada na wysoką dziewczynę, która musi być młodszą siostrą Patricka Yellana, bo jest do niego bardzo podobna, ma taką samą cerę i takie same jasnoniebieskie oczy. Jej długie ciemne włosy są upięte w luźny kok.

– Tak – mówi Jane. – Ivy?

– Zgadza się – potwierdza dziewczyna. – Ale ile masz lat?

– Osiemnaście – mówi Jane. – A ty?

– Dziewiętnaście. Kiran mi mówiła, że przyjedzie z przyjaciółką, ale nie wspominała, że jesteś w moim wieku. – Ivy opiera się o framugę drzwi. Ma na sobie obcisłe szare dżinsy i czerwoną bluzę z kapturem. Ubrania wydają się tak wygodne, że mogłaby w nich spać. Sięga do kieszeni bluzy, wyciąga okulary w ciemnej oprawce i je zakłada.

W koszuli w złote zygzyki i bordowych sztruksach pokrytych psią sierścią Jane nagle czuje się niezręcznie, jak jakaś anomalia ewolucyjna. Głuptak niebieskonogi przy pełnej wdzięku czapli.

– Masz świetne ciuchy – mówi Ivy.

Jane jest zdumiona.

– Umiesz czytać w myślach?

– Nie. – Ivy uśmiecha się krzywo. – A czemu pytasz?

– Bo właśnie to zrobiłaś.

– To chyba niezbyt miłe – stwierdza Ivy. – Hmm, a co z zeppelinami?

– Co takiego?

– Myślałaś o zeppelinach?

– Nie.

– No to od razu powinnaś się lepiej poczuć.

– Co takiego? – powtarza Jane. Ma taki mętlik w głowie, że zaczyna się cicho śmiać.

– Chyba, że faktycznie myślałaś o zeppelinach.

– Możliwe, że nigdy w życiu o nich nie myślałam – mówi Jane.

– To dopuszczalne słowo w scrabble – mówi Ivy. – Choć często jest traktowane jako nazwa własna, a te są niedozwolone.

– Zeppelin?

– Tak. A w każdym razie *zeppelin*, liczba pojedyncza. Dołożyłam je raz do dwóch potrójnie nagradzanych słów. Kiran miała zastrzeżenia, bo zeppelin nazwane są od osoby, hrabiego Ferdinanda von Zeppelina, albo kogoś takiego, ale w każdym razie to słowo jest w słowniku scrabble. Zarobiłam na tym dwieście pięćdziesiąt siedem punktów. O rany. Przepraszam. Posłuchaj tylko, co ja wygaduję.

– Nie...

– Nie, naprawdę. Przysięgam, że zwykle nie mam takiego słowotoku. I z reguły nie przechwalam się też moimi osiągnięciami w scrabble dwie minuty po tym, jak kogoś poznam.

– W porządku – odpowiada Jane, bo ludzie, którzy tak swobodnie mówią, sprawiają, że dobrze się przy nich czuje. Nie musi się z nimi tyle napracować, wie, na czym stoi. – Nie gram za dużo w scrabble, więc nie wiem, co to znaczy zarobić dwieście pięćdziesiąt siedem punktów. Dla mnie to równie dobrze może być przeciętny wynik.

– To zajebisty wynik za jedno słowo – mówi Ivy i przymyka oczy. – No nie! Co jest ze mną nie tak?

– Mnie się to podoba. Chcę usłyszeć więcej tych twoich słów ze scrabble.

Ivy uśmiecha się do niej z wdzięcznością.

– Wiesz, miałam powód, żeby tu zajrzeć – mówi. – To ja przygotowywałam twój pokój. Chciałam sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

– Bardziej niż w porządku. To znaczy, jest tu kominek i jacuzzi.

– Nie przywykłaś do takich rzeczy?

– Mój ostatni pokój był wielkości tego łóżka – mówi Jane, wskazując na nie.

– Komórka pod schodami?

– Chyba aż tak źle nie było. – Jane uśmiecha się, słysząc nawiązanie do *Harry’ego Pottera*.

– No to się cieszę – mówi Ivy. – Na pewno niczego nie potrzebujesz?

– Nie chcę, żebyś czuła, że musisz się mną zajmować.

– Hej, to moja praca. Powiedz mi, czego ci trzeba.

– No cóż – odpowiada Jane. – Przydałyby mi się dwie rzeczy, ale tak naprawdę ich nie potrzebuję i to nie są normalne rzeczy, o które można prosić.

– To znaczy?

– Piła oscylacyjna – mówi Jane. – I tokarka.

– Mhm. – Ivy uśmiecha się szeroko. – Chodź ze mną.

– Zaprowadzisz mnie do piły oscylacyjnej i tokarki? – pyta Jane, rzucając koc z powrotem na łóżko.

– W tym domu jest po jednej sztuce wszystkiego.

– I ty wiesz, gdzie to wszystko jest?

Ivy się nad tym zastanawia, gdy pies wychodzi za nimi na korytarz.

– Pewnie wiem, gdzie jest *prawie* wszystko. Jestem pewna, że dom ma przede mną jakieś tajemnice.

Jane jest wysoka, ale Ivy jeszcze wyższa, z nogami które wydają się nie mieć końca. Długość ich kroków jest dobrze dopasowana. Pies trzyma się przy nodze Jane.

– Czy to prawda, że Jasper ma zaburzenia osobowości? – pyta. – Kiran tak mówiła.

– Potrafi być dziwakiem – odpowiada Ivy. – Nie załatwi swoich spraw, jeśli na niego patrzysz. Gapi się tylko na ciebie ze złością, jakbyś była niewybaczalnie impertynencka. No i w Niebieskim Salonie jest obraz, na którego punkcie ma obsesję.

– Co masz na myśli?

– Siedzi tam, wpatruje się w niego i ciężko sapie przez nos.

– To obraz psa albo coś w tym stylu?

– Nie, to jakieś nudne stare miasto nad wodą, tyle tylko, że na obrazie są dwa księżyce. I czasem potrafi zniknąć na wiele dni, a my go nie możemy znaleźć. Kucharz nazywa go naszym odmieńcem z niskim zawieszeniem. Jasper też jest jedną z tajemnic naszego domu. Pojawił się pewnego dnia po którejś gali jako szczeniak. Jakby któryś z gości go przyprowadził i tutaj zostawił. Ale nikt się po niego nie zgłosił. Zatrzymaliśmy go. Przeszkadza ci?

– Nie – mówi Jane. – Chodzi o ten dom – dodaje, gdy Ivy prowadzi ją korytarzem w stronę atrium pośrodku budynku. W przejściu leży dywanik z polarnego niedźwiedzia, z głową i szklanymi oczami. Wygląda to na prawdziwe futro. Jane marszczy nos i obchodzi go bokiem. Potem znów pociera uszy, próbując pozbyć się szumu. Dom nuci pod nosem albo śpiewa, to ledwie słyszalny, wysoki jęk, jakby gdzieś w rurach płynęło powietrze, choć tak naprawdę Jane nie jest tego do końca świadoma. Takie stłumione odgłosy z otoczenia potrafią wnikać do podświadomości, zagnieżdżać się w niej – a nawet coś zmieniać – i nie uruchamiają się przy tym

żadne świadome dzwonki alarmowe.

Gdy Ivy zbliża się do środka domu, zwalnia kroku. Są na najwyższym, trzecim poziomie i Ivy skręca w lewo, w odgałżenie korytarza. Jane idzie za nią i stwierdza, że znajduje się na jednym z tych przypominających mosty balkonów, które widziała z głównego holu. Widać stąd hol po jednej stronie, a dziedziniec po drugiej.

Ivy zatrzymuje się przy jednym z łuków z widokiem na dziedziniec. Ktoś zostawił tu na białej balustradzie aparat fotograficzny. Dobry, z dużym obiektywem. Ivy sięga po niego i wiesza go sobie na szyi. Gdy Jane podchodzi do niej, oddychając spokojnie, by pozbyć się lęku wysokości, Jasper robi to samo i wsuwa głowę między dwie tralki.

– Jasper – protestuje przestraszona Jane, sięgając po jego obrożę, i następnie uświadamiając sobie, że pies jej nie ma. – Jasper! Uwważaj!

Jasper pokazuje, że nie może spaść: z całej siły próbuje się przepchnąć między tralkami, ale nic z tego nie wychodzi. Potem spogląda na Jane z miną, która może oznaczać tylko: „A nie mówiłem ci?”. Nie była to demonstracja, która poprawiałaby samopoczucie.

– Nie martw się – mówi Ivy. – Nie spadnie. Jest na to za duży.

– Tak, widzę. Ale i tak bym wolała, żeby trzymał się z daleka od balustrady. Miej trochę szacunku dla wysokości, długouchy palancie!

Słyszac to, Ivy wybucha cichym śmiechem.

– Przyjaźń – mówi.

– Co?

Ivy kręci głową, jakby sama siebie zdziwiła.

– Przepraszam. Właśnie przyszło mi do głowy, że gdybym wybrała słowo *przyjaźń* zamiast *zeppelin*, to zarobiłabym jeszcze więcej punktów... Z powodu kombinacji ż i ń. To wartościowe litery – dodaje przepraszająco – bo są rzadkie. Przy tobie mam ochotę mówić. To jak jakiś wewnętrzny przymus. Powinnam sobie założyć kaganiec.

– Mówiłam ci, podoba mi się to – odpowiada Jane i potem nagle dostrzega słowa na pasku aparatu fotograficznego Ivy. *To ja jestem Złym Wilkiem. Sama się stworzyłam.*

To nawiązanie do serialu telewizyjnego *Doktor Who*.

– Lubisz science fiction?

– Chyba tak – mówi Ivy. – Lubię science fiction i ogólnie fantasy.

– A kto jest twoim ulubionym Doktorem?

– Ech, bardziej lubię towarzyszy – mówi Ivy. – Doktor jest zbyt tragiczny i melancholijny, ostatni ze swojego rodzaju, i rozumiem, że to może się podobać, ale lubię Donnę Noble i Rose Tyler. I Amy, i Rory’ego, i Clare Oswald, i Marthę Jones. Nikt nie lubi Marthy Jones, ale ja ją lubię. Jest rewelacyjna.

Jane kiwa głową.

– Rozumiem.

– Chciałaś wcześniej powiedzieć coś o domu? – pyta Ivy.

– Te dekoracje. Dzieła sztuki. Czy nie są trochę... przypadkowe?

Ivy opiera łokieć o balustradę.

– Tak, jak najbardziej – mówi. – Nawet *oficjalnie* przypadkowe. Sto lat temu, kiedy pierwszy Octavian Thrash budował ten dom... hmm... jakby to powiedzieć... *zdobył* elementy innych domów z całego świata.

– Zdobył? Co masz na myśli? Tak jak Rosja zdobyła Krym?

Ivy uśmiecha się szeroko.

– W zasadzie, to tak. Niektóre z tych domów były przeprojektowane albo zostały wyburzone. Octavian skupywał części. Ale w innych przypadkach trudno powiedzieć, w jaki sposób trafiły mu w ręce.

– Chcesz powiedzieć, że kradł?

– Tak – potwierdza Ivy. – Albo kupował kradzione rzeczy. To dlatego kolumny do siebie nie pasują, kafelki też nie, i tak dalej. W ten sam sposób gromadził dzieła sztuki i meble. Ponoć przyływały tu statki pełne przypadkowego złomu, jakieś drzwi z Turcji, poręcz z Chin. Witraż z Włoch, kolumna z Egiptu, sterta desek podłogowych z kuchni jakiegoś dworku w Szkocji. Nawet sam szkielet jest zrobiony z różnych przypadkowych elementów, jakie zebrał.

– Czyli... ten dom jest jak potwór Frankensteina?

– Tak, skoro już wspominasz o science fiction. Albo jak jakiś kanibal.

– Zje nas?

Znów ten uśmiech.

– Nikogo jeszcze nie zjadł.

– W takim razie tu zostaję.

– To dobrze – mówi Ivy.

– Niektóre dzieła sztuki wydają się nowsze.

– Dzisiaj takimi zakupami zajmują się pani Vanders i Ravi. Octavian pozwala im wydawać swoje pieniądze.

– I jakie rzeczy kupują?

– Cenne. Gustowne. Nic kradzonego. Ravi aktualnie pracuje w Nowym Jorku z chłopakiem Kiran, Colinem. Handluje dziełami sztuki. To dla niego wymarzona praca. Myślę, że codziennie rano, kiedy tam idzie, płacze ze szczęścia. Ravi ma fioła na punkcie sztuki – dodaje Ivy, widząc zdziwioną minę Jane. – Ponoć spał pod obrazem Vermeera. Na korytarzu, w śpiworze.

Jane usiłuje sobie wyobrazić dorosłego mężczyznę śpiącego na podłodze pod obrazem.

– Spróbuję to sobie zapamiętać, na wypadek gdybym się tutaj kręciła po ciemku.

– Ha! Chodziło mi o to, że robił to jako dziecko. Teraz już nie. I bawiliśmy się też niektórymi dziełami sztuki, wymyślaliśmy sobie różne historie. Rzeźbami, *Rybą Brâncușiego*. Albo zbrojami.

Podczas gdy Jane próbuje przyswoić wszystkie te informacje, o szklany dach dziedzińca bębni deszcz.

– A dziedziniec? – pyta, spoglądając na różowy kamień, równiutkie tarasy, zwisające nasturcje. – Nie jest niedopasowany. Wydaje się wyważony.

– Mhm. – Ivy uśmiecha się krzywo. – Pierwszy Octavian uratował go w całości z jakiegoś wyburzanego weneckiego pałacu i przewiózł tutaj statkiem w jednym kawałku.

Jest coś niedorzecznego w myśli, że statek miałby przewozić parter i dwa piętra pustej przestrzeni, opływając przy tym Półwysep Apeniński, przecinając Morze Śródziemne i przeprawiając się przez Atlantyck.

– Ten dom przyprawia mnie o ciarki – mówi Jane.

– Zaraz wejdziemy do pomieszczeń dla służby. Tam jest miło i prosto, bez żadnych martwych niedźwiedzi polarnych.

– Tobie też to przeszkadza?

Ivy smutno wzrusza ramionami.

– Dla mnie to po prostu Kapitan Biegunka.

– Że co?

– Tak go nazywali Kiran i Patrick, kiedy byli mali. Uważali, że to prześmieszne, bo Kiran jest pół-Brytyjką, a w Wielkiej Brytanii gacie oznaczają slipy. Pan Vanders też miał dla niego własną nazwę. – Ivy w zamyśleniu marszczy twarz. – Zwał go chyba Niedźwiedziem Bipolarnym. Bo lubi psychologię. Zabawne, prawda?

– Może i tak – mówi Jane. – Moja ciocia zajmowała się ochroną przyrody. Fotografowała niedźwiedzie polarne, zamiast robić z nich dywaniki.

– O wilku mowa. – Ivy spogląda w dół, na dziedziniec. Przechodzi przez niego właśnie jakiś starszy mężczyzna. Jest wysoki, ciemnoskóry, w czarnym ubraniu i z wianuszkami białych włosów. Na biodrze niesie małe dziecko, które może mieć jakieś dwa albo trzy lata. Z góry Jane widzi tylko kręcone, ciemne włosy malucha, opaloną skórę, wymachujące rączki i nóżki.

– Czemu?! – wrzeszczy wiercący się dzieciak. – Czemu? Czemu?!

– Kiran mi nie wspominała, że jest tu tyle dzieci – zauważa Jane, przypominając sobie dziewczynkę bawiącą się za oknem w deszczu.

Ivy przez moment się waha.

– To pan Vanders – mówi. – Jest kamerdynerem, a pani Vanders jest ochmistrzynią. Zarządzają całkiem licznym personelem. Zawsze mu się dokądś śpieszy.

– Ach tak. – Jane zauważa, że Ivy nic nie powiedziała o dziecku, jej twarz przybrała obojętny wyraz, głos stał się lekko nonszalancki. To dziwne. – Wspomniałaś, że idziemy do pomieszczeń dla służby? – dodaje. – Pani Vanders mówiła, że nie wolno mi tam wchodzić.

– Pani Vanders może mi skoczyć – odpowiada Ivy nagle szorstkim tonem.

– Co?

– Przepraszam. – Ivy wydaje się zażenowana. – Ale to nie ona rządzi w tym domu. Tylko się tak zachowuje. Możesz robić, co chcesz.

– No dobrze. – Jane chce obejrzeć dom, każdy jego zakamarek. Ale chciałaby też, żeby nikt na nią nie krzyczał.

– No chodź – mówi Ivy ruszając dalej. – Jeśli ją zobaczymy, możesz po prostu udawać, że nie wiesz, w której części domu jesteśmy. Możesz zrzucić winę na mnie.

Cofa się po moście, zwrócona w stronę Jane, jakby chciała skłonić ją siłą woli, by poszła za nią. Potem znów posyła jej ten krzywy uśmiech i Jane nie potrafi jej odmówić.

– Za każdym razem, kiedy wchodzę do nowych pomieszczeń, czuję się, jakbym była w innym domu.

Jane obraca się na pięcie, oglądając niespodziewanie spokojne, pozbawione ozdób bładozielone ściany w zakazanych pokojach dla służby na drugim piętrze zachodniego skrzydła. Wszystkie drzwi znajdują się w małych bocznych korytarzach odchodzących od holu głównego.

– Poczekaj, aż zobaczysz kręgielnię na dole – mówi Ivy – i kryty basen.

Jane uświadamia sobie, że odkąd Ivy do niej dołączyła, cały czas wdycha słabą, dość przyjemną woń chloru.

– Lubisz pływać?

– Tak, kiedy mam na to czas. Możesz korzystać z basenu o każdej porze. Daj mi znać, jeśli będziesz chciała, żeby ci pokazać przebieralnię i tak dalej. A to mój pokój – dodaje, wskazując na zamknięte drzwi w krótkim korytarzu. – Poczekaj chwilę, zostawię tylko aparat.

– Co takiego fotografujesz?

– Sztukę – odpowiada Ivy. – Zaraz wracam.

Zostawia Jane w głównym korytarzu, gdzie Jasper opiera się o jej nogi i wzdycha. Ubranie

Jane prawie wyschło; w każdym razie nie czuje się już jak przemoknięte, zziębnięte zwierzątko. Ale w tym miejscu jest na widoku; wyobraża sobie panią Vanders zerkającą na nią z dezaprobatą zza rogu, a poza tym chciałaby zobaczyć pokój Ivy. Czy służący też mają jacuzzi i kominki? Czy Ivy cały czas tu pracuje? Czy może wyjeżdżać do Nowego Jorku tak jak Kiran? Jeśli ma dziewiętnaście lat, to czy pójdzie do college'u? Jak chodziła do szkoły średniej? Skoro już o tym mowa, to jak Kiran chodziła do szkoły średniej?

Zjawia się Ivy.

– Masz tam jacuzzi?

– Chciałabym. – Ivy się uśmiecha. – Chcesz zajrzeć?

– Pewnie.

Jane i Jasper wchodzą za Ivy do długiego pokoju, w którym są dwa osobne królestwa: łóżkowe królestwo przy drzwiach i komputerowe królestwo, które zajmuje właściwie całą resztę miejsca. Jane nie miała pojęcia, że jedna osoba może potrzebować tak wielu komputerów. Obok jednej z klawiatur leży sterta lin i dwie najdłuższe latarki, jakie Jane w życiu widziała. Na ścianach wiszą duże, precyzyjne rysunki, coś jakby plany budynku. Gdy Jane przygląda im się uważniej, dociera do niej, że to mapy wnętrza domu, tak szczegółowe, że widać na nich nawet tapety, meble, dywany, dzieła sztuki.

– Ty je zrobiłaś? – pyta Jane.

– Na to wychodzi. To ten dom.

– Wow! – Jane widzi teraz znajome rzeczy: wenecki dziedziniec, posadzkę w szachownicę w holu głównym, dywanik ze skóry niedźwiedzia polarnego.

Ivy wydaje się zakłopotana.

– Patrick i ja mamy wspólną łazienkę w korytarzu – mówi. – Ale pan i pani Vanders zajmują własny apartament z jacuzzi.

– Możesz korzystać z mojego jacuzzi.

– Dziękuję – odpowiada Ivy i ściąga gumkę z luźnego koka. Potrząsa głową, po czym znów zbiera włosy. W powietrzu czuć lekką woń chloru i jaśminu.

– Gołębnik – mówi nagle Ivy, ostatni raz poprawiając włosy.

Jane już do tego przywykła.

– Co z nim?

– To kolejne świetne słowo, które mogłam rozegrać w tym samym miejscu.

– Zawsze wymyślasz dobre ośmioliterowe słowa do scrabble?

– Nie. Tylko odkąd zjawiłaś się ty.

– Może będę miała dobry wpływ na twoje wyniki w tej grze.

– Na to wygląda. Mózgi czasem dziwnie działają. – Ivy wychodzi z powrotem na korytarz i prowadzi Jane i Jaspiera obok dalszych korytarzy i drzwi.

– Jeśli się tutaj wychowałam – mówi Jane – to jak chodziłaś do szkoły?

– Wszyscy uczyliśmy się w domu. Uczył nas Octavian, pan Vanders i pierwsza pani Thrash.

– Czy to dziwne uczucie uczyć się w domu, na wyspie?

– Pewnie tak, ale kiedy byłam mała, wydawało mi się to normalne.

– Pójdiesz do college'u?

– Myślałam o tym ostatnio. I to dużo. Oszczędzałam pieniądze, a kiedy ostatni raz byłam w mieście, podeszłam do egzaminu SAT, ale nie starałam się jeszcze nigdzie o przyjęcie.

– Co będziesz studiować?

– Nie mam pojęcia. Czy to źle? Powinam z góry zaplanować całe życie?

– Pytasz o to kogoś, kto rzucił college – mówi Jane i nie jest pewna, co właściwie powinna czuć, gdy Ivy patrzy na nią z zaciekawieniem. *Dobrze się z tym czuję? Niedobrze? Głupio? Daj mi spokój, moja ciocia zginęła?*

– Nie chciałam cię stawiać w takim położeniu – mówi Ivy. – Nie ma nic złego w tym, że ktoś rzuca naukę.

– Ale nie czuję, żeby było w tym też coś dobrego – mówi Jane.

– To nie znaczy, że to coś złego – zapewnia ją Ivy.

Brzmi to jak coś, co mogłaby powiedzieć ciocia Magnolia, lecz w jej tonie słyszałoby się mądrość, podczas gdy Ivy mówi tak, jakby to była nowa możliwość, nad którą pierwszy raz się zastanawia. Dochodzą do drzwi na końcu korytarza. Są z niewykończonych desek, z ciężką metalową zasuwką zamiast klamki. Ivy je otwiera i Jane widzi teraz na wprost korytarz z wejściami do wind i schody prowadzące w górę i w dół. Ivy włącza światło na korytarzu i w pomieszczeniu powyżej robi się jasno.

– Zachodni strych – wyjaśnia, zanim Jane ma czas zapytać. – Tam na górze jest warsztat.

– Pani Vanders mówiła, że na strych w zachodnim skrzydle też nie wolno mi wchodzić – zauważa Jane. – Mówiła, że to niebezpieczne.

Ivy parska, a potem zaczyna wchodzić po schodach.

– Chodź i sama zobacz. Jeśli coś ci się wyda niebezpieczne, nie będziemy tam wchodzić.

– Dobrze – zgadza się Jane, udając, że jest człowiekiem gotowym łamać zasady, bo nie chce stracić szacunku w oczach Ivy. – O rany! – dodaje u szczytu schodów, gdy przed jej oczami ukazuje się ogromne pomieszczenie. Stoją tam w równych rzędach stoły do pracy, niemal jak w klasie do zajęć technicznych. Warsztat ma wysokie okna i drewniane krokwie pod sufitem, i jest wielki jak całe zachodnie skrzydło. Pachnie olejem i trocinami. Deszcz bębni o dach. Przez okna Jane ledwie dostrzega iglicę na wschodnim skrzydle domu, przebijającą się przez burzowe chmury.

To czysta, otwarta przestrzeń – trochę jak stodoła – bez żadnych walających się gwoździ ani rozchwianych belek. Jane zaczyna się rozglądać, Ivy rusza za nią. Jej uwagę przykuwa niewykończona skrzynia. Jest z orzechowego drewna – Jane się na tym zna. Ma rzeźbione wieko przedstawiające podmorską scenę z kaszalotami (na wielorybach zna się również). Ponad nimi unosi się dziewczynka siedząca w łodzi wiosłowej, nieświadoma znajdujących się pod nią stworzeń.

– Kto to zrobił? – pyta Jane.

– Och... – Ivy wydaje się zakłopotana, ale też zadowolona. – Ja.

– Naprawdę? Meble też robisz? Jest piękna!

– Dziękuję. Nie ruszałam jej od wieków. Nie mam czasu na wielkie projekty. Ale z bratem skończyliśmy ostatnio łódź.

– Ty i Patrick zbudowaliście tu łódź?

– Tak. Wiosłową. Musieliśmy ją opuszczać przez okno na linach. Tam dalej jest winda towarowa i wózek z podnośnikiem – Ivy wskazuje ręką w stronę schodów – no ale to była łódź.

Łódź wiosłowa własnej roboty. Jane stara się, żeby jej parasolki nie przepuszczały wody, ale jeśli coś jej nie wyjdzie, nikt się przez to nie utopi.

– Pływaliście tą łodzią?

– Jasne – mówi Ivy. – To świetna łódeczka.

Kto w wolnym czasie buduje własnymi rękoma łódź? A potem spuszcza ją na ocean i w niej pływa? I pewnie jeszcze przy tym wymyśla świetne słowa do scrabble, i w ogóle jest śmiała

i odważna.

- Gdzieś tam w głębi jest piła oscylacyjna – mówi Ivy. – I mamy kilka różnych tokarek.
- Dzięki – mówi Jane i robi jej się trochę smutno.
- Korzystaj ze wszystkiego, co ci będzie potrzebne.
- Dzięki – powtarza Jane i ma nadzieję, że Ivy jej nie zapyta, do czego będzie potrzebować tych rzeczy.

Dom jęczy i stęka, niemal jakby sympatyzował z jej uczuciami. *Jak to stare domy*, myśli Jane. Wyobraża go sobie jako zwiniętą w kłębek istotę, grzbietem zwróconą w stronę nieba, chroniącą wnętrze przed zimnem i zacinającym deszczem.

Obok schodów znajduje się niewielkie przeszklone pomieszczenie. Wewnątrz jest stolik, na którym stoi wielki obraz przedstawiający białego mężczyznę z opuszczonymi ramionami, ubranego w beret z wielkim piórem. Wokół dzieła stoją pędzle, buteleczki i lampy.

- Ktoś tu jest malarzem? – pyta Jane, wskazując na obraz.

– Tak, Rembrandt. – Ivy szczerzy zęby. – To jego autoportret. Jeden z wielu obrazów w tym domu. Pani Vanders go czyści. Skończyła studia z konserwacji zabytków, między innymi. Może czujesz aceton? To taki ostry zapach. Czasem go używa.

- Och! – Jane jest głupio, że nie poznała Rembrandta. – No tak.

– Ten pokój to jej pracownia konserwatorska. Jest szczelny, więc dzieła sztuki nie są narażone na pył, i ma szyby specjalnego rodzaju, które chronią przed naturalnym światłem.

- Wow!

– Tak – potwierdza Ivy. – To dom prawdziwych miłośników sztuki. A Octavian ma więcej pieniędzy niż sam Bóg.

W głębi strychu ze zgrzytem otwierają się jakieś drzwi i Jane niemal podskakuje ze strachu. Odwraca się i miga jej kawałek żółtej tapety w jasnym pomieszczeniu gdzieś dalej. Wychodzi z niego mężczyzna z szelmowskim uśmiechem na ustach, dostrzega Jane i szybko zamyka drzwi. Ma ciemne włosy, wschodnioazjatyckie rysy i jest ubrany w granatowy garnitur i pomarańczowe trampki.

Ściąga lateksowe rękawiczki, wsuwa je do kieszeni i rusza w stronę dziewczyn.

- Dzień dobry – mówi.

– Cześć – odpowiada Ivy, znów z tą nonszalancją w głosie. – To Philip Okada – wyjaśnia, zwracając się do Jane. – Przyjechał na galę. Philip, to jest Janie, przyjaciółka Kiran.

- Miło mi – mówi Philip z angielskim akcentem.

– Mi również. – Jane zerka na rękawiczki wystające mu z kieszeni.

- Och, przepraszam. Boję się zarasków i często ich używam. Skąd znasz Kiran?

– Chodziła do college'u w moim mieście.

– Ach. – Philip uśmiecha się uprzejmie i na jego twarzy pojawiają się lekkie zmarszczki. Jane przypuszcza, że musi mieć co najmniej trzydzieści lat. Trzydzieści pięć? Może nawet więcej? Kiedy u starych ludzi pojawiają się te zmarszczki w kącikach oczu?

- Skąd znasz rodzinę Thrashów? – pyta Jane, decydując się na wścibstwo.

– Z imprez w Nowym Jorku – wyjaśnia obojętnie Philip.

– Rozumiem. – Jane zastanawia się, co to właściwie znaczy i jak mizofob radzi sobie na tłumnej imprezie. Może kryje się w tym coś jeszcze?

– No cóż – mówi Philip – na pewno jeszcze się zobaczymy. – Pochyla się, by podrapać Jaspera za uszami. Potem schodzi po schodach, przesuwając dłoń po metalowej balustradzie.

- A wydawać by się mogło, że ludzie cierpiący na mizofobię unikają psów i balustrad – mówi

Jane.

Twarz Ivy niczego nie wyraża.

– Bierz, co tylko ci potrzebne – mówi, odwracając się. – Nasz strych jest twoim strychem.

Tak, z całą pewnością kryje się w tym coś jeszcze.

Koniec końców Jane pożycza piłę oscylacyjną, niewielką tokarkę, brezent, trochę pięknych brzoźowych witek, puszkę bejcy, puszkę lakieru i stół roboczy o odpowiedniej wysokości dla jej maszyny do szycia. W warsztacie są tysiące innych rzeczy, które mogłyby się jej przydać, ale i tak jest zakłopotana swoimi bogactwami, zwłaszcza że będzie trzeba znosić je na dwa razy.

Gdy Jane dźwiga pierwszą partię rzeczy, z komórki Ivy rozlega się sygnał przypominający róg z *Władcy Pierścieni*.

– Przepraszam. – Ivy zerka na telefon. – To Kucharz. Poradzisz sobie? Zostaw stół. Później ktoś ci go przyniesie.

– Jasne – mówi Jane. – Dzięki. – Zastanawia się, kiedy znów zobaczy Ivy, ale jest zbyt nieśmiała, by ją o to spytać.

Jasper towarzyszy Jane w wędrówce w tę i z powrotem na strych i do jej apartamentu. Toczy się wesoło za nią i za każdym razem cierpliwie czeka u podstawy schodów na strych.

– Lubię cię, Jasper – mówi Jane.

Pod jej nieobecność ktoś przyniósł jej walizkę i skrzynki. Kolacja ma być dopiero za kilka godzin, a za szybko wciąż szaleje ulewa. Jane wygląda przez okna w saloniku na skąpany w deszczu świat. Jasper wciąż jest u jej boku. Jane dochodzi do wniosku, że to właściwy dzień i właściwa sceneria, by zabrać się za robienie parasolek.

To nie kolory ani mechanika skłoniły ją do zajęcia się parasolkami.

Zrobiła to ciocia Magnolia.

W deszczowe dni, kiedy Jane była dzieckiem, a ciocia Magnolia wyjeżdżała fotografować morskie głębiny, Jane budowała z parasolek fortecę na trawniku w kampusie i chowała się w środku. Gdy słyszała deszcz uderzający w napiętą tkaninę nad jej głową, czuła się, jakby była pod wodą. Wpełzała do tej fortecy z parasolek i wyobrażała sobie, gdzie może być ciocia Magnolia.

Sąsiedzi, którzy się nią zajmowali pod nieobecność cioci, byli życzliwi, dobrzy i mili, ale byli też starszymi ludźmi, więc Jane zazwyczaj bawiła się sama. Ciocia Magnolia dała jej stary hełm do nurkowania, by mogła go zakładać w swojej fortecy; wtedy jej oddech dziwnie brzmiał. Czasami, w zależności od pogody, do innych dźwięków dołączał chór maleńkich żabek. Jane leżała na plecach na mokrej trawie, oddychała przez dyszę, nasłuchiwała i wyobrażała sobie, że parasolki są wielkimi meduzami.

Pewnego razu, gdy chodziła do szkoły średniej, a ciocia Magnolia wyjechała do Nowej Zelandii robić zdjęcia w oceanie i nie było jej tak długo, że wydawało się to wiecznością, Jane została sama w mieszkaniu. Na zajęciach plastycznych ku własnemu zdziwieniu zrobiła rzeźbę przedstawiającą parasolkę. Nauczycielka od plastyki otworzyła szafkę pełną najróżniejszych rupieci i powiedziała uczniom, żeby wybrali sobie z tego, co im się podoba, i coś z tego zrobili. W szafce były brzoźowe witki, przeróżne druty, metalowe złącza i wielki kawał ciemnej tkaniny we wzór z robaczkami świętojańskimi. Tamtego dnia padało i po szybach spływał deszcz. Może nie była to „sztuka”, o którą chodziło nauczycielce, ale ten koślawy, wodoszczelny obiekt z otwartą czaszą – jak prawdziwa parasolka – jakoś sam przyszedł Jane do głowy. Tak naprawdę to strasznie jej nie wyszło. Pełno w tym było szczęśliwych odkryć i przeróżnych błędów, ale gdy

Jane spojrzała na efekt, do oczu napłynęły jej łzy.

Któż może wiedzieć, w jaki sposób wybieramy nasze zamiłowania? Po tamtej pierwszej próbie przetrząsnęła szafę, złapała dwie podniszczone parasolki, które tam znalazła, i rozłożyła je na części.

Tkanina naprężała się dzięki rozpornikom odchodzącym od części ruchomej i dalszym rozpornikom, i drutom. To dzięki temu czasza była napięta i się nie przesuwiała. Dlaczego Jane pokochała to, że rozkładanie parasola jednocześnie trzymało go razem? Kto to może wiedzieć. Ale tak właśnie się stało i zaczęła rozkładać na części wszystkie parasolki, jakie udało jej się znaleźć, eksperymentowała z ich szczelnością i tworzyła rozklekotane konstrukcje, o które ciocia Magnolia się potykała albo na które natrafiała w każdym kącie pokoju. Zaczęła zwracać uwagę na niewielkie różnice w kolorach i kształtach. Pracowała nad nimi po trochu każdego dnia, zupełnie jakby kierował nią jakiś wewnętrzny przymus.

– Nie ma nic złego w tym, że lubi się robić niepraktyczne rzeczy – odpowiadała ciocia Magnolia za każdym razem, gdy Jane przepraszała ją za to, że poświęca tyle czasu parasolkom.

A potem zaczął się college i nie miała już czasu na nic prócz nauki, która przytłoczyła ją jak lawina kamieni.

– Janie, kochanie – mówiła czasem ciocia Magnolia – kiedy ostatnio pracowałaś nad jakąś parasolką?

Gdy ciocia Magnolia była przy Jane, by jej pomagać, jej oceny w szkole były do przyjęcia, ale tamtej jesieni ciocia dużo podróżowała i Jane stwierdziła, że ma coraz większe braki z biologii. A potem ciocia Magnolia zginęła. Jane rzuciła szkołę. I była w stanie tylko zajmować się parasolkami, zupełnie jakby jedna idealna parasolka mogła sprawić, że ciocia Magnolia wróci.

Jane siedzi na prążkowanej sofie w saloniku i trzyma się za brzuch. Jasper podchodzi do niej i opiera się o jej nogi.

Krzyś i Kubuś Puchatek wyruszyli kiedyś na morze w parasolce, przypomina sobie Jane. Podczas powodzi, by ratować Prosiaczka.

Może powinna zabrać swoje parasolki nad wodę, odwrócić je do góry nogami, jak łódki, i posłać je na fale, z niczym. Może gdyby zabrały ze sobą całą tę nicność, coś by jej zostało.

„A co z zanieczyszczeniem oceanów?” – odparłaby na to ciocia Magnolia. „To ma być to twoje wspaniałe rozwiązanie?”. Albo powiedziałyby: „W porządku, ulżyj sobie, a potem podnieś się z tej sofie, przestań się nad sobą użalać i zrób coś pożytecznego”.

Dobrze, już dobrze, ciociu Magnolio, myśli Jane. Wstanę dla ciebie. Wzdycha ciężko, podnosi się i rozgląda po saloniku.

Rozkłada brezent, by zasłonić środek kosmatego dywanu, gdzie zamierza wykonywać najcięższą pracę, a potem zabiera się za wyciąganie parasolek ze skrzyń. Otwiera je. Nie ma tu dla nich wszystkich miejsca, więc niektóre złożone odkłada na podłogę, a inne opiera o ściany w kątach. Jasper obserwuje ją z zachwytem. Przywiozła je tu wszystkie ze sobą. Nie ma innego miejsca, by je przechowywać; przywiozła do tego domu wszystko, co posiada. Ma trzydzieści siedem skończonych parasolek. Niektóre są nawet całkiem niezłe. Przekształcają salonik w dziwny krajobraz barwnych, ostro zakończonych wzgórz.

Jane otwiera sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem i widzi, że są w nim małe opisane szufladki. „Listy bez odpowiedzi”, „Listy do zachowania”, „Znaczkki”, „Fotografie”, „Adresy” i tak dalej. Po kolei wyjmuje etykiety, obraca je i tworzy własne: „Kleje”, „Srebrne niklowe druty”, „Druty do wiązania”, „Bolce”, „Okucia”, „Mosiężne części ruchome”, „Szczypcy do drutu”, „Zawiasy”, „Nasadki do drutów”. Miło jest wrzucić każdy przedmiot do właściwej

szufladki. Jane układa na krzesła i stolikach stalowe pręciki i tkaninę na czaszę parasolek. Na razie zostawia maszynę do szycia na podłodze i idzie umyć ręce w ogromnej łazience ze złotymi kafelkami.

Ostatnimi rzeczami, jakie Jane wyjmuje ze skrzynek, jest pięć dużych, oprawionych w ramki fotografii, z których cztery zrobiła ciocia Magnolia, a jedną jej koleżanka. Różowa żabnica z Indonezji, z wiciami, które sprawiają, że wygląda, jakby nosiła na grzbiecie cały las. Wielkie ciemne oczy kałamarnicy Humboldta z wybrzeży Peru. Podwodne zdjęcie spadających żab w Belize: przednimi i tylnymi łapkami szukają oparcia w wodzie, w oczach widać panikę. Niedźwiedź polarny w Kanadzie, szczęśliwy, unoszący się w wodzie i odpoczywający, jakby zimno w ogóle mu nie przeszkadzało.

Te zdjęcia wymagały ogromnej cierpliwości i szczęścia. Ciocia Magnolia nigdy nie zrobiłaby niczego, co przstraszyłoby zwierzęta; nie ściagała ich ani nie próbowała nimi manipulować. Najczęściej tylko czekała. Była szpiegiem w podwodnej krainie, gdzie wszystko jest ciche i dzieje się powoli.

Najbardziej kochała zimne podwodne krajobrazy w rejonach podbiegunowych. Ich dziwność, surowość i poczucie izolacji. Pod zdjęciem niedźwiedzia polarnego napisała ołówkiem: „Hej ho! To dla misia ten marsz!”.

A wreszcie było też zdjęcie samej cioci Magnolii: stała w sprzęcie do nurkowania na dnie oceanu u wybrzeży Nowej Zelandii, dotykając nosa walenia południowego, który przyglądał jej się z cichą godnością. Ciocię Magnolię bardzo podniosła na duchu wizyta w Nowej Zelandii, gdzie morska fauna jest chroniona surowym prawem.

To mi daje nadzieję dla świata – powiedziała. Taka właśnie była. Pełna nadziei. Ciocia Magnolia wierzyła, że wszystko ma sens.

Jane zdejmuje ze ścian kilka obrazów, by zrobić miejsce dla cioci Magnolii. Po zawieszeniu ostatniej fotografii słyszy szcęk kaloryfera, który wydaje się mówić: zwróć na mnie uwagę. To smutny dźwięk, ale dość przytulny. Jane jest zadowolona z tego, jakich zmian dokonała w pokoju. *Może z tej dziwnej przygody jednak wyniknie coś dobrego*, myśli.

Ma jedną nieskończoną parasolkę. Jest już prawie gotowa, trzeba tylko dobrać odpowiednią nasadkę i tasiemkę z zapięciem, żeby się sama nie rozkładała. To niebiesko-fioletowa parasolka w kształcie pagody, z czerwoną rączką. Czasza stanowiła miłe wyzwanie, ale reszta wydaje się zbyt wymyślna i przesadna.

– Szczerze mówiąc, nie znoszę jej – mówi do Jaspera, otwierając parasolkę, by mu ją pokazać. A gdy pies wchodzi pod czaszę, dodaje: – A kolory do ciebie nie pasują. Twoje rudo-brązowe łaty źle wyglądają przy tej czerwieni. O rany! Naprawdę okropnie.

Jasper wydaje się przygnębiony.

– To nie przez ciebie, Jasper – wyjaśnia Jane. – Są takie odcienie czerwieni, które świetnie by ci pasowały. O tutaj! – Brodzi wśród parasolek i przynosi tę z atlasową czaszą w kolorach brązu i miedzianego różu, która wciąż jeszcze nie wyschła. – Usiądź pod tą. No i pięknie – oświadcza, z przyjemnością oceniając efekt. – Zupełnie, jakbym zrobiła ją specjalnie dla ciebie. – Sięga po komórkę. – Zrobić ci zdjęcie?

Popołudnie mija jej w miłym nastroju na robieniu Jasperowi zdjęć pod każdą parasolką, która do niego pasuje, kończeniu tej z czaszą w kształcie pagody i wynajdywaniu pomysłów na następną.

Jane leży na plecach na dywaniku i szuka inspiracji w myślach o przedmiotach w kształcie

parasolek, gdy Ivy przychodzi po nią, by zaprowadzić ją na kolację. Grzyby, klosze do lamp, meduzy. Dzwony? Miski? Tulipany. W końcu dociera do niej, że ktoś puka do drzwi.

– Proszę! – woła.

Ivy wchodzi do saloniku: wysoki ciepły wir czerwieni, który wdziera się w myśli Jane o parasolkach. Jak by wyglądała parasolka dla Ivy?

Ivy przystaje zdumiona i rozgląda się po pokoju.

– O cholera. Dlaczego masz tyle parasolek?

– Robię je – odpowiada Jane, leżąc na podłodze. – Nie pytaj mnie dlaczego.

– Może dlatego, że są niesamowite? – Ivy wkracza w parasolkowy krajobraz, porusza się wśród nich, przygląda im się uważnie.

Jane siada, poprawia koszulę i rozgląda się wokół, próbując sobie wyobrazić ten pokój widziany oczami Ivy.

Ivy kuca i dotyka palcem parasolki inspirowanej ptasim jajem: jest podłużna, bładoniebieska, z nieregularnymi plamkami brązu. Uzyskanie tego podłużnego kształtu było prawdziwym koszmarem, bo druty musiały być różnej długości i kształtu, gdy była otwarta, a płasko leżeć i ładnie wyglądać po złożeniu. Była taka chwila, gdy Jane miała ochotę złamać to cholerstwo na kolanie. Cieszy się, że tego nie zrobiła. To jedna z jej bardziej udanych parasolek.

Ivy przesuwa palcem po skraju otwartej czaszy i robi to tak delikatnie i nieśmiało, że Jane niemal to czuje, jak mrowienie pod skórą.

– Wiesz, co to miało być? – pyta Jane.

– No jasne. Ptasie jajo.

Jane przeżywa pełnię szczęścia.

– Pora na kolację dla rodziny i gości – mówi Ivy. – Czyli też dla ciebie.

– Czołem, Kapitanie Biegunka – mówi Ivy, prowadząc Jane korytarzem, gdy przechodzą obok futra niedźwiedzia polarnego.

– Czyli jest wojskowym?

– W sumie to już nie pamiętam – odpowiada Ivy – ale chyba udawaliśmy, że był badaczem obszarów podbiegunowych, który miał przedstawić swoje odkrycia królowej.

– Kto był królową?

– Nie ja.

Ivy sprowadza Jane po schodach do głównego holu, a potem wchodzi do przeogromnego pomieszczenia, największego, jakie Jane widziała w prywatnym domu.

– Co to? – pyta Jane, starając się nie pisnąć z wrażenia. – Sala tronowa?

Ivy cicho parska pod nosem i wyjaśnia:

– Sala balowa. Ale teraz, przez ciebie, zaczęłam się zastanawiać, który pokój Octavian wybrałby na swoją salę tronową. Pewnie bibliotekę.

Jane słucha jej jednym uchem. Sala balowa jest wysoka i aż lśni od ciemnego, mahoniowego drewna.

– To Thrashowie urządzają bale?

– Gale to w sumie są bale – odpowiada Ivy. – Ludzie w wieczorowych strojach tańczą walce w pięknych salach i tak dalej. – Potem prowadzi Jane do kolejnego długiego pomieszczenia oświetlonego żyrandolami, ze stołem, przy którym zmieściłoby się pewnie z trzydzieści osób. Na samym jego końcu siedzą cztery, dwóch mężczyzn i dwie kobiety, rozmawiają ostrym tonem i wchodziłoby im w słowo. Nie ma wśród nich Kiran.

Gdy Ivy prowadzi ją w ich stronę, Jane pyta:

– Zjesz z nami?

– Nie. Jadam w kuchni. – Wygląda jednak na to, że wyczytała coś z wyrazu twarzy Jane, coś, czego sama Jane pewnie nie byłaby w stanie wyartykułować, bo lekko ściska jej rękę nad łokciem, a potem dotyka jednego z pustych krzeseł, by pokazać jej właściwe miejsce. Znow uśmiecha się krzywo i wychodzi wahadłowymi drzwiami po drugiej stronie stołu.

Jane siada. Ma wrażenie, że nikt nie zwraca na nią uwagi. Próbuje się wsłuchać w prowadzoną w zawrotnym tempie rozmowę, najwyraźniej jakąś kłótnię o rodzinę, którą oni wszyscy znają.

– Chyba nie myślisz poważnie, że zrobili coś złego własnym dzieciom? – pyta z angielskim akcentem czarnoskóra kobieta o twarzy w kształcie serca i krótkich, kręconych włosach. W jej uszach migoczą gwiazdy, pewnie z małych, roziskrzonych brylantów. Obok niej siedzi Philip Okada, ten mężczyzna ze strychu, który bał się zarazków. Kobieta nałożyła na twarz sporo podkładu i cieni do powiek.

– Nie, mówię tylko, że się wściekli – mówi druga kobieta, biała, o rumianych policzkach i z włosami w ciemnym miodowym kolorze. Na szyi nosi podwójny sznur pereł. Ma amerykański akcent i dość niski głos. – Kiedy ludzie wpadają w szal, są zdolni do złych, nieprzewidywalnych rzeczy, więc skąd możemy wiedzieć, co tak naprawdę zrobili?

– To jakiś termin medyczny? – droczy się z nią Philip Okada. – „Wściec się”?

– Philipie – mówi z przekonaniem dama w naszyjniku z pereł – Panzavecchiowie to nasi przyjaciele. Pewnego dnia wyszli z laboratorium i napadli na bank. Dlaczego mieliby zrobić coś takiego?

– No cóż – odzywa się dama z kolczykami w kształcie gwiazd, siedząca obok Philipa – słyszałaś plotki o problemach Giuseppa z hazardem i mafią.

– W porządku, ale czy którekolwiek z was słyszało coś o tym, by Giuseppe Panzavecchia obstawiał choćby jeden psi wyścig? – mówi kobieta z perłowym naszyjnikiem.

– Ale ludzie ukrywają swoje nawyki, kiedy stają się one problemem – zauważa kobieta z kolczykami. – Może tak naprawdę nie wiemy, jaki jest Giuseppe.

– Ale przecież to wiemy – mówi ta druga. – Prawda? Giuseppe tylko przez cały czas chwali się swoimi dziećmi. Słyszeliście kiedyś, jak mówił o Grace i o jej wspaniałych urządzeniach mnemotechnicznych? Ośmioletnia Grace jest jak malutki komputer. Giuseppe prawie pękał z dumy. Skłonna jestem uwierzyć, że ma mały problem z hazardem, który przed wszystkimi ukrywa. Ale żeby zadawał się z sycylijską mafią, gdy jego życie kręci się wokół tej trójki dzieci? Czemu mielibyśmy w to uwierzyć? Tylko dlatego, że ma włoskie nazwisko? To by go obrażało.

– To znaczy, że masz inną teorię? – pyta ta z kolczykami.

– Nie – odpowiada druga. – Odrzucam tylko pomysł, jakoby Panzavecchiowie mieli związki z przestępczością zorganizowaną. Albo dzieje się coś innego, na co nie wpadliśmy, albo oboje nawdychali się jakiegoś toksycznego gazu w tym swoim laboratorium i im odbiło.

Przez wahadłowe drzwi wchodzi pani Vanders i Jane niemal podskakuje. Kobieta niesie talerze i misy, za nią idzie Ivy. Pani Vanders spogląda na Jane w taki sposób, że natychmiast wywołuje w niej poczucie winy, jeszcze zanim ma czas się zastanowić, co takiego właściwie mogła zrobić. Podaje do stołu coś, co wygląda jak duszone mięso z jarzynami i gigantyczna porcja sałatki gruszkowej, a potem szybko wychodzi przez wahadłowe drzwi. Jane stara się połapać w tym, co się dzieje, bo zna nazwisko Panzavecchia. Nie osobiście, tak jak ci ludzie tutaj, ale z wiadomości. Przez kilka dni, może nawet przez tydzień pisały o tym gazety. Victoria i Giuseppe Panzavecchiowie, małżeństwo mikrobiologów z dwóch zamożnych nowojorskich

rodzin, pewnego dnia w porze lunchu wyszli ze swego uniwersyteckiego laboratorium na Manhattanie. Napadli na bank, ale próba zakończyła się klęską, gdy wyjątkowo odważny pracownik powiedział im, by pokazali broń, której tak naprawdę nie mieli. Wybiegli z banku, zniknęli za rogiem i po prostu się rozplynęli. Mniej więcej w tym samym czasie ich córka Grace zniknęła ze swojej prywatnej szkoły, a ich synowie, mały Christopher i jeszcze mniejszy Leo, w sumie niemowlak, zostali wyrwani z rąk niani w Central Parku. Leo coś dolegało. Niania zdążyła tylko zauważyć jakieś krostki na jego skórze tuż przed tym, jak go porwano.

W wiadomościach wspomniano również o ostrzeżeniu, jakie Giuseppe otrzymał od mafii, że jeśli nie spłaci długów z hazardu, jego rodzina zniknie. I tak się stało.

Czy wszyscy ci ludzie przy stole znają Panzavecchiów? Zupełnie jakby wszyscy bogaci nowojorczyści się znali. W chwili, gdy ta cała historia okazuje się prawdziwa, wydaje się nagle zupełnie absurdalna. Brzmi jak jakiś głupi film o gangsterach. Ale jeśli ci ludzie znają Panzavecchiów, to Grace i mały Christopher naprawdę istnieją. Leo jest prawdziwym niemowlęciem. Ich życie w jeden dzień nagle uległo szalonym zmianom. Tak jak życie Jane zmieniło się w dniu, gdy jej rodzice zginęli w katastrofie lotniczej. I w dniu, gdy dostała telefon o cioci Magnolii.

Teraz Jane uświadamia sobie, że gdy Kiran i pani Vanders rozmawiały w samochodzie o bandytach napadających na banki, był to dowcip dotyczący sprawy Panzavecchiów.

– Wszyscy znacie Panzavecchiów? – pyta na głos i natychmiast tego żałuje, bo teraz wszyscy na nią patrzą i sama słyszy naiwne zdziwienie w swoim głosie.

– Tak – potwierdza lakonicznie dama w naszyjniku z pereł. I dodaje, wyciągając rękę: – Jestem Lucy. Lucy St. George. Można by powiedzieć, że jestem dziewczyną Ravięgo.

– Ja jestem Janie. – Jane niezręcznie ściska dłoń kobiety i dodaje nie do końca pewna, czy to prawda: – Przyjaciółka Kiran.

– Poznałem już Janie – oświadcza Philip Okada. – Na gorze. Janie, to moja żona Phoebe.

Dama z gwiazdzistymi kolczykami wyciąga wypielegnowaną dłoń z turkusowymi paznokciami.

– Miło mi cię poznać – mówi.

– A ja jestem Colin – mówi drugi mężczyzna, wyciągając długą rękę w stronę Jane.

Chłopak Kiran. Jane spodziewała się chyba jakiegoś nudnego typu, nijakiego, o wyglądzie bogacza. Colin jest jednak chudym, bladym mężczyzną o złocistorudych włosach i łagodnych oczach, a piegi na twarzy sprawiają, że wygląda jakby młodziej i uroczo.

Słysząc stukanie obcasów o drewnianą podłogę i do sali wchodzi Kiran. Na widok jej znajomej rozdrażnionej miny Jane czuje ulgę.

Kiran opada na krzesło między Jane a Lucy.

– Przepraszam – mówi szybko. – Rozmawiałam przez telefon i miałam bardzo kiepski zasięg. Strasznie leje. O czym rozmawialiście? Janie, poznałaś już wszystkich?

– Byliśmy bardzo uprzejmi i przedstawiliśmy się sobie, kochanie – mówi Colin.

Kiran na niego nie patrzy i w żaden sposób nie daje do zrozumienia, że go usłyszała.

– Masz wszystko, czego ci trzeba? – zwraca się do Jane. – Wszyscy są dla ciebie mili?

– Wszystko w porządku – odpowiada Jane.

– A co u ciebie, Kiran? – pyta Phoebe Okada. – Co ostatnio porabiasz?

– To jakiś szyfr, który ma znaczyć, czy mam już pracę? – pyta Kiran.

Phoebe unosi zadbaną brew.

– Dlaczego? Masz pracę?

– Chyba sama potrafisz sobie odpowiedzieć na to pytanie.

– Nie znasz przypadkiem wielu języków, Kiran? – pyta Philip Okada. – Mogłabyś pomagać Colinowi podczas jego wyjazdów zagranicznych związanych z pracą. Chyba wielu twoich klientów to cudzoziemcy, prawda, Colin?

Kiran mówi tak, jakby zwracała się do solniczki, którą trzyma w ręce.

– Chcicie, żebym towarzyszyła mojemu chłopakowi podczas wyjazdów służbowych. Żeby pomaganie mu w pracy stało się celem mojego życia.

– Nie o to mu chodziło, Kiran – zapewnia Phoebe. – Po prostu byłoby ci milej, gdybyś miała coś do roboty.

– Wszyscy chcieliby mi mówić, co mam robić – złości się Kiran.

Żona Philipa przybiera ostrożny, neutralny wyraz twarzy. Jej makijaż wydaje się twardy jak maska; Jane ma wrażenie, że gdyby postukała jej w twarz, dźwięk byłby taki, jakby grad uderzał o okno. Siedzący obok niej Philip wydaje się mieć ograniczony repertuar przyjaznych min. Im bardziej Kiran staje się agresywna, tym mniej on wygląda na obrażonego. *Są fałszywi*, uświadamia sobie Jane. *Udają*.

– Kiran będzie gotowa podjąć odpowiednią pracę, kiedy nadarzy się okazja – mówi stanowczo Colin. – I będzie w tym świetna.

Kiran na niego nie patrzy. Siedzi wyprostowana jak struna, jej ramiona są napięte.

– Ktoś wie, kiedy przyjedzie Ravi? – pyta.

– Dziś późnym wieczorem – odpowiada Lucy St. George. – Po południu przysłał mi SMS-a. Był na aukcji w Providence, potem wsiadł na to swoje cudo na dwóch kółkach i pojechał do Hamptons. Wspominał, że ktoś ma go stamtąd odebrać.

– Ktoś? Patrick? – pyta Kiran.

– Tak sądzę.

Jane nie mieści się w głowie, że Ravi miałby jechać na rowerze z Providence do Hamptons. To musi być co najmniej ze sto mil.

– A ty skąd jesteś, Janie? – pyta Phoebe. – Jacy są twoi rodzice?

Jane nie była na to przygotowana. *Jacy są twoi rodzice?*

– Nie żyją – odpowiada. – A twoi?

– Och, przykro mi – mówi Phoebe. – Moi rodzice prowadzą korporację produkującą sprzęt chłodniczy w Portsmouth, na południu Anglii. Wychowałeś się w domu dziecka?

– A ty wychowałeś się w lodówce?

Z ust Kiran wyrывa się zduszony śmiech. Jane się rumieni, zszokowana własnym zachowaniem, lecz Phoebe z kamiennym spokojem skupia się na swojej sałatce. Kiedy upuszcza na stół plasterki gruszki, Philip mówi „ups”, bierze go w palce i wsuwa jej do ust na oczach wszystkich. To wszystko jest trochę żenujące. Nie wspominając już o tym, że bardzo dziwny z niego mizofob.

– Adoptowała mnie siostra mojej matki – Jane zwraca się do Lucy St. George i do Colina, bo wydają jej się bardziej... autentyczni. – Kiedy moi rodzice zginęli, byłam tak mała, że nawet ich nie pamiętam. Ciocia wykładała biologię morza w college’u, do którego chodziła Kiran. Robiła też podwodne zdjęcia i zajmowała się ochroną przyrody.

– Twoja ciocia przeszła na emeryturę? – pyta Colin.

– Colin! – woła z oburzeniem Kiran.

– Co?

– Jesteś nachalny. Daj jej spokój.

– Przepraszam – mówi Colin, szczerze zdezorientowany. – Powiedziałem coś niewłaściwego?
– Nic się nie stało – zapewnia Jane zakłopotana tym wybuchem opiekuńczości ze strony Kiran. – Zginęła w grudniu podczas ekspedycji na Antarktydę. Miała fotografować humbaki.
– Och – mówi Colin. – To okropne. Przepraszam.
– Dawałam Janie korepetycje z pisania, kiedy byłam w college’u, a ona chodziła do szkoły średniej – wyjaśnia Kiran.
– Jezu – mówi Colin. – Jesteś jeszcze dzieckiem.

Gdyby tylko to była prawda, myśli Jane. Gdybym wciąż była dzieckiem, jadłabym teraz kolację z ciocią Magnolią, a nie z tymi ludźmi. Przy specjalnych okazjach wychodziły zjeść kolację w restauracji na mieście. Ciocia Magnolia miała piękny długi płaszcz, ciemny, opalizująco fioletowy, z podszewką, która w zależności od oświetlenia wydawała się srebrna albo złota. Często go nie zapinała, bo wiedziała, że Janie uwielbia te migotliwe błyski. Ciocia Magnolia wyglądała w nim jak jedna z tych kałamarnic z głębin oceanów na jej zdjęciach. Wyglądała po prostu kosmicznie.

– Ktoś rozmawiał z moją matką? – pyta Kiran i Jane uderza myśl, że to dość dziwne pytanie. Matka Kiran dawno temu rozwiodła się z Octavianem Thrashem IV.

– Masz na myśli matkę czy macochę? – pyta ją Colin. – Charlotte – wyjaśnia, zwracając się do Jane.

– Oczywiście, że moją matkę – odpowiada Kiran. – A czemu pytasz? Widziałeś Charlotte?

– Pewnie, że nie, kochanie. Powiedziałbym ci, gdybym ją widział.

Odpowiedź Colina nie ma dla Jane żadnego sensu. Ślub odbył się niedawno i Charlotte, nowa żona Octaviana, mieszka w tym domu. A tak w ogóle, to gdzie ona jest? Gdzie Octavian? Nie jedzą kolacji?

Jane znów słyszy ten szum powietrza w uszach. Wyszepiane słowo? Czy ktoś przy stole szepnął „Charlotte”? Kiran rozkojarzona pociera ucho, Jane robi to samo i dopiero później zauważa, że naśladuje Kiran. *Czy to nie dziwne?* – zastanawia się.

A potem o tym zapomina.

– Moja matka też jest naukowcem, jak ciocia Janie. Wydaje mi się, że o tym wiesz – zwraca się Kiran do Phoebe. – Jest fizykiem teoretycznym. Potrafiłaby ci powiedzieć takie rzeczy o wszechświecie, które by ci uświadomiły, jaka jesteś mała. A moja macocha jest projektantką wnętrz, która przed ślubem z ojcem zawsze zarabiała na swoje utrzymanie i jest cholernie dobra w tym, co robi. Jeśli zamierzasz zadzierać nosa przy moich przyjaciółkach, pamiętaj, w czym jesteś domu.

Chwila milczenia.

– Kiran – prosi Colin – mogłabyś mi podać sól?

Po raz pierwszy, odkąd zaczęła się ta kolacja, Jane zauważa, że Kiran i Colin na siebie patrzą. Colin ma minę człowieka, który za wszelką cenę stara się nie przestraszyć uwięzionego zwierzęcia. Kiran wygląda, jakby chciała mu rzucić w twarz solniczką. Bez słowa mu ją podaje.

Jane czuje, że coś ociera się o jej nogi, i przez resztę posiłku podaje smaczne kąski Jasperowi.

Tej nocy Jane budzi jakiś dźwięk. Wrywa ją ze snu o małym Leo Panzavecchii. Chłopczyk płacze, ma gorączkę. Jego twarz aniołka jest opuchnięta i pokryta krostami; umiera.

– Leo, ty głuptasie – mruczy pod nosem Jane. – Wszyscy przechodzą ospę wietrzną. Nie umrzesz.

Za oknem jej sypialni księżyc wisi nisko na niebie, jak plasterek pomarańczy. Ulewa minęła.

Co ją obudziło? Dom wydał jakiś dźwięk, jakby mruknął z poirytowania, że zakłóciła mu spokój. A może to ona wydała z siebie ten dźwięk? Trudno powiedzieć.

Jest po czwartej nad ranem i kiepsko się składa, bo gdy Jane już raz się obudzi, potem nie potrafi zasnąć ponownie. Kiedy była mała, ciocia Magnolia głaskała ją po włosach i mówiła, by udawała, że jej płuca są meduzą, że powoli się rozszerzają i opróżniają, płynąc pod wodą.

– Twoje ciało jest mikrokosmosem oceanu – mówiła. Jane zasypiała, czując dotyk cioci Magnolii we włosach, i wyobrażała sobie, że jest oceanem, rozległym i spokojnym.

Teraz Jane sypia z niebieską wełnianą czapką, którą ciocia Magnolia zawsze zabierała na swoje polarne ekspedycje, ale przed ostatnią wyprawą na Antarktydę ją zostawiła. Ta czapka pamięta ciocię Magnolię żywą i zdrową. Jest szorstka w dotyku i elastyczna. Jane obmacuje pościel, by ją znaleźć, zwija ją w kulkę, przysuwa do twarzy i wdycha jej zapach. Meduzy to prastare stworzenia. Jane też potrafi być prastara i cicha.

Nie. Nawet nie ma mowy o śnie. Wstaje z łóżka i znajduje bluzę z kapturem, którą wkłada na piżamę z motywem z *Doktora Who*. Zastanawia się: *jaki jest ten dom w środku nocy?*

Jej ciekawość jest silniejsza niż obawy.

Gdy opuszcza swój apartament, dochodzi do wniosku, że dom faktycznie protestuje, wydaje z siebie różne dźwięki. Pomruki, jęki i coś jeszcze, jak podwodne echo śmiechu dzieci. Ale przecież wielki stary dom ma prawo wydawać różne dziwne odgłosy, więc Jane odrzuca tę myśl. I nie zwraca uwagi, że się kuli, gdy od tego dźwięku aż bolą ją zęby. Nie czuje, że oddech więźnie jej w gardle.

Gdy Jane podąża korytarzem w stronę atrium, kolejno – przy każdym z obrazów – zapalają się światła sterowane czujnikami ruchu, a następnie gasną, kiedy je mija. Zapomina o Kapitanie Polarnych Gaciach i potyka się o jego głowę. Klnie cicho pod nosem i idzie dalej.

Pomruki domu ustępują głosom ludzi, odległym i pełnym złości. Ktoś się z kimś kłóci na dziedzińcu. Jane zaczyna wyczuwać fajkowy dym. Powoli podchodzi do balustrady i zerka w dół.

Młody mężczyzna ubrany w czarną skórę gestykułuje ręką, w której trzyma kask motocyklowy. Rozmawia ze starszym, chyba około pięćdziesiątki, ubranym w jedwabny szlafrok w orientalne wzory i pyka fajkę, której dym Jane wcześniej poczuła. Mają różny kolor skóry, starszy mężczyzna jest biały, a młodszy jest Mulatem, ale gdy ich twarze wykrzywiają się ze złości, Jane widzi, że są podobni, jak ojciec i syn. Słyszy to w ich głosach. To Octavian Thrash IV i Ravi, brat bliźniak Kiran; Jane uświadamia sobie, że wcale nie przejechał dziś na rowerze z Providence do Hamptons.

– Ty głuptasie – mówi Octavian. – Oczywiście, że nie sprzedałem twojej rybki.

– Dlaczego to robisz? – pyta z niesmakiem Ravi. – Czemu mówisz do mnie, jakbym był dzieckiem?

– Przestań zachowywać się jak bachor, to przestanę cię tak traktować – odpowiada Octavian. – Budzisz rano Patricka, żeby po ciebie pojechał. Budzisz mnie oburzony, kiedy tu przyjeżdżasz i okazuje się, że rzeźba nie jest tam, gdzie ją zostawiłeś.

– Wybacz, że tak się martwię zaginioną rzeźbą Brâncușiego. I nie obudziłem Patricka – mówi Ravi. – Spotkaliśmy się poza wyspą, żeby się czegoś napić, i zrobiło się późno. Z Patrickiem już tak bywa. Ciebie też nie obudziłem. Lubisz przesiadywać po nocach.

– To żadna wymówka, żeby wpadać do mnie i bredzić coś po pijanemu.

– Nie jestem pijany – mówi dobitnie Ravi. – I chcę się tylko dowiedzieć, dlaczego Ryby Brâncușiego nie ma w głównym holu. Zresztą, mniejsza z tym. Chcę się dowiedzieć, czemu się

nie przejmujesz tym, że jej tam nie ma. Wiesz w ogóle, o jakiej rzeźbie mówię? Tej, dla której Ivy budowała z plasteliny podwodne królestwo. Pozwalałeś, by całymi tygodniami trzymała ją u siebie w pokoju, otoczoną potworami z Loch Ness z klocków Lego.

– Wiem, o którą rzeźbę ci chodzi – mówi Octavian drżącym głosem.

– Jezu, tato, ona jest warta miliony. Sam ją kupiłeś! Gdzie ona, do diabła, jest?

– Pewnie pani Vanders uznała, że będzie się lepiej prezentować gdzie indziej – odpowiada Octavian. – A może studiuje, skąd się u nas wzięła. Przy tobie i Vanny to prawdziwy cud, że w tym domu ostały się jeszcze jakieś dzieła sztuki. Zmusiła mnie, żebym zwrócił siedemnastowieczny gobelin jakiemuś staremu dziadowi z Fort Lauderdale.

– No tak – mówi cierpko Ravi. – Bo dowiedziała się, że zrabowali go naziści, a twój wielce szanowny dziadek nabył ją podczas Holocaustu. Jak śmiała?!

– Zabawne, że tak się przejmujesz, skąd się biorą te dzieła sztuki. Wiem, co kombinujesz z matką. Jak wyjaśnisz pochodzenie dzieł sztuki, które ci dostarcza?

Ravi z kamienną twarzą spogląda na Octaviana. Krzyżuje ręce na piersi.

– Nie ma powodu sprawdzać pochodzenia rzeźby Brâncușiego – odpowiada chłodno. – Vanny i ja znamy całą jej historię, odkąd Brâncuși ją stworzył.

– Chyba nie myślisz, że ktoś ją ukradł?

– Nie wiem, co o tym myśleć. – Ravi przeczesuje palcami wilgotne włosy i odwraca się od ojca. – To do ciebie niepodobne, że się tym nie przejmujesz. Kiedyś byłeś normalnym człowiekiem, spałeś o normalnych porach, można było z tobą normalnie porozmawiać, kochałeś sztukę tak samo jak ja, a resztę miałeś w dupie.

– Uważaj, jak się wyrażasz – mówi ostro Octavian.

– Mniejsza z tym. Przynajmniej coś cię jeszcze rusza. Jestem zmęczony i zziębnięty. Idę się położyć.

Na dziedzińcu są osobne schody po wschodniej i zachodniej stronie, prowadzące na górne piętra. Ravi zaczyna po nich wchodzić.

Po chwili jego ojciec wyjmuje fajkę z ust i mówi:

– Witaj w domu, synu.

Ravi się zatrzymuje. Nie odwraca się w stronę ojca, ale pyta:

– Co u mamy?

– Wszystko w najlepszym porządku oczywiście. Tak jak zawsze. Czego takiego chciał Patrick, że tak późno przyjechałeś? Znowu dopadła go zaduma? Jakies sprawy sercowe?

Ravi wybucha krótkim śmiechem i nie odpowiada.

– Lubi dużo myśleć, wiesz o tym. Co u Kiran?

– Twoja siostra jeszcze nie zaszczyciła mnie odwiedzinami.

– No cóż, nie ułatwiasz jej tego, skoro żyjesz po nocach jak jakiś wampir. A Charlotte?

Jane czuje na szyi podmuch przeciągu i przenika ją dreszcz.

– Twojej macochy wciąż nie ma – odpowiada ze smutkiem Octavian i spogląda w przeszkolony sufit.

Nagle do Jane dociera, skąd Kiran ma ten zadarty nos i szeroką twarz. Potem Octavian się odwraca i odchodzi łukowatym przejściem po północnej stronie, znikając w części domu, której Jane jeszcze nie widziała.

Ravi rusza w górę, jego kroki odbijają się echem na schodach. Dom wydaje się wzdychać, patrząc na samotność tych dwóch mężczyzn. To coś jak długi, głęboki wydech.

Jane wie, że apartament Raviego mieści się obok jej pokoi na drugim piętrze. Ravi zatrzymuje

się jednak na pierwszym i znika w głębi domu. *Ciekawe*, myśli Jane, przypominając sobie, że Lucy St. George przedstawiła się jako dziewczyna Raviego, „można by powiedzieć”. Cokolwiek to oznacza.

Zastanawia się, gdzie teraz pójść, gdy zjawia się Jasper, cicho skomląc i podskakując.

– Szsz – szepcze do niego Jane i pochyla się, by go uspokoić.

Pies podchodzi bliżej do schodów prowadzących do głównego holu i znów skomle. Zupełnie jakby próbował ją nakłonić, by poszła tymi schodami.

– Musisz wyjść, Jasper? – pyta szeptem Jane i zaczyna schodzić za nim po schodach.

Gdy się porusza, nie zapalają się już światła. Jest dość ciemno. Jane, trzymając się poręczy, podąża za niskim czarnym cieniem Jaspera i żałuje, że wcześniej nie zwróciła uwagi, gdzie się włącza światło.

Na pierwszym piętrze Jasper zatrzymuje się tak gwałtownie, że Jane na niego wpada, traci równowagę, zatacza się na poręcz i kurczowo się jej chwyta. Gdy opiera się o przyjemnie solidną ścianę, Jasper truchta przy niej i trąca ją głową w łydki. *Wszyscy tu są szurnięci*, myśli Jane.

– Jasper – szepcze, klepiąc go. – Co ty, do diabła, wyprawiasz?

Spojrzenie Jane pada na wielki olejny obraz, który wcześniej oglądała. Obraz wnętrza domu z rozłożoną schnącą parasolką na posadzce w szachownicy. Jasper wciąż trąca ją głową.

– Dość tego – szepcze Jane. – Odczep się, wariacie! – Rusza dalej schodami, ale Jasper za jej plecami natarczywie piszczy. Jane się odwraca. – Co jest? Co się stało?

Ale Jane ledwie go widzi i gdy wraca na półpiętro, psa już nie ma.

Spogląda w górę schodów i zastanawia się, czy wrócił na drugie piętro. Ale teraz go nie znajdzie. Podejmuje decyzję, by wrócić do swojego apartamentu, ale wtedy jej drogę przecina jakaś postać. Przemyka między dwoma łukowymi przejściami, a potem znika.

To znów Ravi? A może Octavian IV?

Nie. Bardziej przypominał Philipa Okada, męża Phoebe, który boi się zarazków i nosi trampki. Jane słyszy odgłos otwieranych i zamykanych drzwi i poznaje, że to te, które prowadzą do skrzydła dla służby.

Czego może szukać Philip Okada w pomieszczeniach dla służby po czwartej nad ranem?

Bez zastanowienia obchodzi dziedziniec i cicho podkrada się do skrzydła dla obsługi. Nigdzie nie widać Philipa. Gdyby ktoś wyszedł z pokoju, nakryłby ją tutaj, chyba że uda jej się zanurkować w jeden z mniejszych bocznych korytarzy. Wstrzymuje oddech, porusza się na palcach i jak wariatka przysuwa ucho do drzwi.

Nic. Sprawdza kolejne drzwi i nic nie słyszy. Służący z Tu Reviens śpią. Trochę im tego zazdrości. Przysuwa ucho do drzwi pokoju Ivy. Tu też nic. Czuje ulgę i wstyd jednocześnie. *Przecież prawie jej nie znam. To nie moja sprawa co z kim robi, i nie powinnam się skradać i jej szpiegować. Co jest ze mną nie tak?* Wycofuje się z powrotem na główny korytarz z postanowieniem, by wrócić do łóżka.

Nagle otwierają się jakieś drzwi i w małym przejściu przy końcu głównego korytarza zapala się światło. Jane w pierwszej chwili zamiera, potem rzuca się w najbliższy boczny korytarz i przywiera do ściany.

– Będziesz musiał tam zostać do ostatniego etapu – mówi niski głos, który wydaje jej się znajomy. Patrick Yellan.

– I nie wiedzieć, gdzie jestem? – pyta ktoś oschle z angielskim akcentem. Philip Okada. – Czyż to nie wspaniale?

– Ciesz się z tego – mówi Patrick. – Im mniej wiesz, tym mniejsze niebezpieczeństwo.

– Tak, tak – przytakuje Philip. – Komu by się nie spodobały tajemnicze wakacje w pokoju bez okien.

– Nie wszyscy kupują tę waszą historyjkę – mówi opryskliwie trzeci głos, kobiecy, z angielskim akcentem. Phoebe Okada.

– Nie przejmuj się tym – odpowiada Patrick.

– Kiedy chodzi o bezpieczeństwo mojego męża? – obrusza się Phoebe. – Idź do diabła, Patrick.

– Poradzimy sobie z tym – zapewnia ją szorstko Yellan.

Głosy się oddalają. Jane chyba oszalała, ale nic nie umie na to poradzić. Wysuwa się ze swojej kryjówki i zerką w korytarz. Troje spiskowców znajduje się na samym jego końcu; przechodzą właśnie przez wielkie drewniane drzwi prowadzące na strych w zachodnim skrzydle. Patrick idzie przodem. Za nim Phoebe otulona jasnozielonym jedwabnym szlafrokiem. Philip Okada podąża ostatni, wciąż ubrany w swój niebieski garnitur, niesie białą pluszową torbę z pomarańczowymi kaczuszkami i ma w ręce broń.

Drzwi zamykają się za nimi. Jane się odwraca i z bijącym sercem wybiega z pomieszczeń dla służby. Wcześniej, gdy była na strychu, przez wielkie okna widziała iglicę gdzieś na wschodnim skrzydle. Teraz się zastanawia, czy z tej iglicy byłoby widać strych w zachodniej części.

Zaczyna obchodzić atrium i wpada prosto na psa. Potyka się i przewraca na niego, próbuje nie krzyknąć ani go nie zgnieść. Wstaje i usiłuje go obejść, odepchnąć, ale Jasper znów trąca ją głową i jego nisko położony środek ciężkości sprawia, że jest jak kłoda na drodze.

– Jasper! Rusz się! – szepcze Jane i niechcący nadeptuje mu na łapę. Pies piszczy. – Przepraszam – szepcze Jane. – Przepraszam.

Jasper zaczyna szczekać.

– Miś Jasper? – słychać z dołu czyjś głos. – Nic ci nie jest? Chodź tu, piesku.

To Ravi wchodzący po schodach z pierwszego piętra.

– Świetnie – szepcze Jane do Jaspera. – Szczekaj na kogoś, kto nie próbuje się ukryć. Hej! – woła, gdy pies chwyta za nogawkę jej piżamy i zaczyna ciągnąć. Jane łapie za pasek zsuwających się spodni. – Co ty wyprawiasz? Chcesz mnie rozebrać?

– A ty, do cholery, kim jesteś? – pyta zdyszczanym głosem Ravi za jej plecami. Resztę schodów pokonał biegiem. – I co robisz mojemu psu?

– Twój kochany piesek szarpie mi piżamę – odcina się Jane, nawet się nie odwracając. – Jasper, przestań, albo nie zrobię ci już ani jednego zdjęcia z parasolkami!

– O cholera – mówi Ravi. – Jakaś dziwaczka. Moja matka cię tu nie sprowadziła, prawda? Boże, nawet nie chcę wiedzieć, skąd się tu wzięłaś.

– Sprowadziła mnie twoja siostra – odpowiada Jane. – I to twój pies jest dziwakiem.

Jasper, który w końcu ją puścił, wpatruje się w nią teraz z wyrzutem. Potem się odwraca i odchodzi.

– Może i jest dziwny – mówi Ravi – ale to wciąż mój pies.

Jane odwraca się w jego stronę i stwierdza, że w tym półmroku przed świtem mężczyzna dobrze się prezentuje. A nawet świetnie. Ravi jest wysoki i umięśniony, elektryzujący, z gniewnie ściągniętymi brwiami i twarzą żywo odzwierciedlającą jego uczucia. Ma też białe pasemka we włosach, z pewnością przedwcześnie, bo jest przecież bratem bliźniakiem Kiran.

– Na pewno nie moja matka cię tu sprowadziła? – pyta Ravi. – Wyglądasz jak jeden z jej projektów, nie Kiran.

– Wielkie dzięki, ale jestem swoim własnym projektem – odpowiada chłodno Jane.

Na te słowa mężczyzna się uśmiecha.

– Ravi – przedstawia się, wyciągając rękę. Drży z zimna, ale jego dłoń jest ciepła.

– Janie. – Jane postanawia mu nie wspominać o Patricku, Okadach i o broni. Nie ma pojęcia, jakie tu są układy.

Ruszają wschodnim korytarzem. Wystarczy kilka słów, żeby Ravi się uśmiechnął. Często uważnie na nią spogląda. Niesie pod pachą motocyklowy kask. Pachnie mokrą skórą kombinezonu.

– Nie widziałaś gdzieś może rzeźby ryby? – pyta. – Wygląda trochę jak zgnieciona fasolka, na odblaskowym cokole.

– Z niczym mi się to nie kojarzy – mówi Jane.

– Masz fajną pizamę z *Doktorem Who*. Którego Doktora najbardziej lubisz?

– Najbardziej lubię towarzyszy – odpowiada automatycznie Jane.

– No jasne. To chyba jak wszyscy. Ale ja wybrałbym chyba Dziesiątego. Dziesiąty jest świetny. I do tego młody.

– Dziesiąty Doktor miał dziewięćset trzy lata – oświadcza wyniośle Jane.

– Ale za to był młody duchem – ripostuje Ravi. – Rany! Czy tobie cokolwiek umyka?

Zanim wchodzi do swoich apartamentów, Ravi zatrzymuje się przy niezwykłych drzwiach, których Jane dotąd nie zauważyła. Są drewniane, łukowe, a na leżącej przed nimi wycieraczce znajduje się napis: WITAJ W MOICH ŚWIATACH. W drzwiach jest szczelina na listy, a obok zamocowano sznur dzwonka i Jane przychodzi do głowy, że może to wejście do wschodniej iglicy.

– Czuję się jak w jakiejś opowieści o Kubusiu Puchatku – mówi.

Ravi znów się uśmiecha i odpowiada:

– Bardzo je lubię. Kiedyś na pewno gdzieś spotkam ho-honia. – Potem wkłada rękę pod płaszcz i wyjmuje piękny kwiat nasturcji. Wsuwa go przez szparę na listy i upuszcza tak, by spadł po drugiej stronie.

Jane i Ravi ruszają dalej.

– No to dobranoc – mówi Ravi i wchodzi do pokoju sąsiadującego z jej apartamentem. Szeroko ziewa.

– Dobranoc – odpowiada Jane, zwracając się do Kapitana Polarnych Gaci i do Ravięgo, który zdążył już zniknąć.

Po tym, co widziała, nie było sensu próbować znów zasnąć. Philip z bronią. Patrick, brat Ivy. Patrick, który ciągle powtarza Kiran, że chce jej coś wyznać, ale nigdy tego nie robi. Ivy, która wczoraj w obecności Philipa była tak zamknięta w sobie, albo wtedy, gdy Jane zadawała jej jakieś pozornie niewinne pytanie.

Jane znajduje wolny fragment żółtego dywanika pod oknem salonu i się na nim kładzie. Musi się zastanowić. Księżyc jest teraz mniejszy, wisi wyżej na niebie i jest bledszy niż przedtem, jak plasterk jabłka. Przesuwa się powoli, znikając z jej pola widzenia. Niebo jaśnieje i nie widać już gwiazd.

Bez względu na to, jak długo się zastanawia nad tamtą rozmową, nic nie może z tego zrozumieć. Philip się dokądś wybiera i to jest niebezpieczne. Wybiera się gdzieś i nie wie dokąd? Patrick i ktoś jeszcze wymyślili historię, której nikt nie kupuje. No dobra. Historię o czym?

Phoebe i Philip udawali przy kolacji; Jane wcześniej to podejrzewała, a teraz jest tego pewna. Udawali, że zależy im na Kiran i na jej pracy. Że przejmują się Panzavecchiami. Zgrywali się

wobec Jane na snobów, gdy opowiedziała o swojej ciotce.

Czy to historii o Panzavecchiach nikt nie kupuje? Na pewno nie kupuje jej Lucy St. George. Ale co Patrick i Okadowie mogą mieć wspólnego z napadem na bank, mafią i grupką zaginionych ludzi z wyższych sfer?

No i jest też zaginiona rzeźba Brâncușiego. Jak to pasuje do całej reszty?

Jane nagle zaczyna się zastanawiać, czy jest naiwna. Czy to normalne, żeby bogaci ludzie w eleganckich domach chodzili z bronią? Bądź co bądź to przecież Stany Zjednoczone; jeśli wierzyć w to, co mówią w wiadomościach, to chyba co trzecia osoba ma broń. Dziwne jest może tylko to, że jeszcze nigdy nie widziała, by ktoś ot, tak nosił ją przy sobie.

Ale z drugiej strony, czy Okadowie nie są Brytyjczykami? Czy Brytyjczycy szwendają się z bronią?

Czemu Patrick, który jest służącym, miałby kierować czymś, co się tu dzieje? I jeśli jest zamieszany w jakieś oszustwo... to czy Kiran o tym wie? I co to mówi o Ivy? O tych dziwnych chwilach umysłnej nonszalancji?

Na myśl o tym Jane ogarnia przynębenie. Nie chce szukać powodów, by nie ufać Ivy.

Oddychaj, powiedziałaaby ciocia Magnolia. Poczekaj. Niech to wszystko ułoży ci się w głowie, aż wszystkie elementy zaczną do siebie pasować w jakiś sensowny sposób. I bądź ostrożna, kochanie.

Jak wyglądałaby parasolka, gdyby miała być tajemnicą? – zastanawia się nagle Jane. Albo jeszcze lepiej, gdyby miała być używana do samoobrony?

Nasadka, zakończenia drutów i pręt byłyby ostre. Sprężyny byłyby mocne, tak że czasza otwierałaby się szybko i z impetem – jak cios tarczą.

– I wybrałabym odcienie brązu i złota, które pasowałyby do Jaspera

– mruczy pod nosem Jane i wstaje.

Godzinę później formuje brzoźową witekę za pomocą tokarki, ubrana w okulary ochronne i ciężki ochronny fartuch. Nagle słyszy czyjś wybuch złości za drzwiami. Wsuwa okulary na ciemne loki.

W drzwiach saloniku pojawia się Ravi ubrany w czarne jedwabne spodnie od piżamy i nic poza tym. Nie sposób się na niego nie gapić.

– Cholera, co ty tu wyprawiasz?! – krzyczy, krzywiąc się w ostrym świetle. – Wiesz, która godzina? Bierzesz pod uwagę, że śpię za ścianą? Moja matka ściągnęła cię tu z piekła.

– Chyba masz obsesję na punkcie matki – mówi Jane. – Zastanawiałeś się, czy nie iść na terapię?

Ravi jęczy i pociera twarz.

– Gdybym powiedział prawdę o mojej matce, nikt by nie uwierzył.

– Mhm. Może dlatego, że to tylko twoja prawda?

– Co ty, do diabła, robisz?

– Parasolkę – wyjaśnia Jane.

– Żartujesz sobie? – Ravi omiata zamaszystym gestem cały pokój. – Za mało ci na świecie parasolek?

– Robię parasolki – odpowiada krótko Jane. – Tym się zajmuję.

Ravi drapie się po głowie. Jego przetykane siwizną włosy musiały być mokre, gdy się kładł, bo wyschły, tworząc dziwną fryzurę, nastroszoną z prawej strony, jakby chciała potajemnie skierować w tamtą stronę uwagę Jane, tak by on się o tym nie dowiedział.

– Wiesz, chyba Patrick wspominał o tobie wczoraj wieczorem.

– Patrick opowiada o wielu rzeczach – mówi znacząco Jane.
Ravi marszczy nos.
– Może tobie – odpowiada. – Przy mnie jest silnym, milczącym typem.
– Nigdy ci się z niczego... nie zwierzał?
– Bardzo dziwne pytanie – zauważa Ravi. – A co, zwierzał się tobie? Nie poznałaś go dopiero wczoraj?
– Tak. Nieważne.
– Kiran chyba też o tobie wspominała.
– Rany, to teraz pewnie wszystko o mnie wiesz. – Jane jest zaniepokojona, słysząc sarkazm w swoim głosie. Ravi skończył studia, jest dziedzicem fortuny Thrashów, ale Jane nie czuje się przy nim jak dziecko. Czuje się przy nim tak, jakby miała zrobić coś niemądrego.
– Nie znosisz mnie, albo coś w tym stylu? – pyta Ravi, szczerząc zęby.
– Pracuję – odpowiada Jane.
– No tak. Robisz parasolki o wpół do szóstej rano.
– Przeszkadzasz mi.
Ravi z zaciekawieniem rozgląda się po pokoju.
– Zrobiłaś je wszystkie sama?
– Tak.
– Jak?
– Jak to jak?
– No jak się robi parasolkę? Jaki jest pierwszy krok?
– Nie wiem – odpowiada Jane. – Można zacząć na kilka różnych sposobów. Nie jestem jakimś ekspertem.
– Ciekawi mnie to jako miłośnika sztuki.
– No cóż – mówi Jane, zbita z tropu. – Jeśli chcesz, możesz popatrzeć.
Ravi wzdycha, potem ziewa i wychodzi z saloniku. Wraca owinięty kocem, który Jane zostawiła na łóżku. Omija piły, części do parasolek i same parasolki, i siada na prążkowanej sofie, którą Jane przestawiła pod ścianę. Przez następnych kilka godzin na przemian śpi na jej sofie i narzeka, gdy budzą go odgłosy piły. Zadaje wtedy inteligentne pytania o robieniu parasolek.
– Jak udaje ci się sprawić, żeby druty nie przecierały czaszy przy wielokrotnym otwieraniu? – mamrocze pod nosem, a potem przeczesuje włosy palcami. – Jezu! Wciąż mi się śni ten cholerny dzieciak Panzavecchiów. Mały Leo, wiesz?
– Wsuwam niewielki kawałek tkaniny między złącza a czaszę, żeby działał jak bufor – wyjaśnia Jane, skupiając się na pracy. – To się nazywa zapobiegliwość.
Ravi znowu drzemie. Choć Jane jest pochłonięta pracą, dostrzega, że podczas snu znika jego mądra mina. Zastanawia się, czy to błąd sądzić, że Ravi nic nie wie o sprawkach Patricka.
– Tak – mówi do siebie i trochę też do domu, który jęczy w odpowiedzi. – Mnie też się śnił.

Ravi wciąż śpi na jej sofie, gdy żołądek informuje Jane, że pora na śniadanie.
Nie wie, jak się jada śniadania w tym domu, i nie ma ochoty trafić na kogoś niepokojącego, jak Patrick albo Philip. Wysyła więc SMS do Kiran, która ostatnio była wobec niej taka opiekuńcza.

„Śniadanie?”.

„Zaraz tam będę” – odpisuje Kiran. „Idź do sali bankietowej.”

Jane zamyka Ravięgo w saloniku, żeby móc się przebrać. *Ciociu Magnolio? Co mam włożyć w taki dzień?*

Decyduje się na marszczoną koszulę w czerwono-pomarańczowym kolorze pławikonika, dzinsy w czarno-białe paski jak u konika morskiego zebry i czarne buty. Podwija rękawy do łokcia, żeby było widać macki tatuażu. Czując przypływ odwagi, zaciska pięści i rusza na dół do sali bankietowej.

Colin, Lucy St. George i Phoebe Okada siedzą na samym końcu długiego stołu, w milczeniu popijają kawę i jedzą jajka w koszulkach i tosty. Jane siada na wolnym miejscu i uważnie przygląda się Phoebe, która znowu ma mocny makijaż. Jej oczy są podkreślone szarymi cieniami, a usta fioletową szminką. Phoebe gapi się na Jane z agresywnie uprzejmą miną, aż w końcu Jane traci odwagę i spuszcza wzrok.

Colin przegląda gazetę, prawdziwą papierową gazetę, i Jane zaczyna się zastanawiać, w jaki sposób są dostarczane do tego domu. Lucy czyta książkę – *Świat zabawy* – ukryta za zasłoną ciemnych miodowych włosów; od czasu do czasu zerka na wibrującą komórkę. Przez salę bankietową co rusz przechodzą jacyś obcy ludzie, krzyczą do siebie, niosą sprzęt do sprzątnia, wiadra i wazon, sznury świateł, drabinę. Upuszczają różne rzeczy. Jutro ma się odbyć gala. Jane jest zaskoczona, że gości jest tak mało.

– Kto przychodzi na takie imprezy? – pyta Jane. – Bogaci nowojorczycy?

Colin podnosi wzrok znad gazety.

– Tak – mówi ze współczującym uśmiechem. – Ale nie tylko ludzie z Nowego Jorku. Zjawiają się też goście z całego Wschodniego Wybrzeża i zawsze trafi się ktoś zza granicy.

– Jak tu docierają?

– Głównie na własnych jachtach, ale Octavian czarteruje też kilka łodzi dla gości, którzy tego potrzebują. I jak, widzisz, są też pracownicy sezonowi.

– A tak w ogóle, to gdzie jest Octavian? – pyta Phoebe, zwracając nieprzejednane spojrzenie na Colina. – Nie widzieliśmy go, odkąd tu przyjechaliśmy. Chyba nie wyjechałby w weekend, w który odbywa się gala?

– Pewnie kręci się gdzieś w pobliżu – odpowiada Colin. – Ravi wspominał, że wydawał się przynębiony.

– Ach – wzdycha Phoebe. – To kiepsko, ale nie jestem zaskoczona. Zaginęła przecież Charlotte.

– Zaginęła Charlotte? – pyta zaniepokojona Jane.

– Sądziłam, że jesteś przyjaciółką Kiran. – Phoebe unosi brew. – Nie mówiła ci, że jej macocha zniknęła?

– Rozmawiamy o innych sprawach – mówi Jane defensywnym tonem.

– Kiran potrafi być bardzo powściągliwa – zauważa Colin. – Nawet wobec ludzi, którzy są jej najbliżsi. Jakiś miesiąc temu Charlotte niespodziewanie wyjechała. Zostawiła Octavianowi zagadkowy liścik, ale od tego czasu nic nie napisała i nie odzywała się do nikogo.

– Ale dokąd się wybrała? – pyta Jane. – Nikt nie próbował jej szukać?

– Nie napisała, dokąd jedzie – odpowiada Colin. – Po kilku dniach, gdy zaczęło wyglądać na to, że naprawdę zniknęła, Octavian wynajął detektywów, i tak dalej. Ale niewiele znaleźli, prócz pewnych rozbieżności dotyczących jej przeszłości i sugestii, że jej matka mogła być oszustką.

Jane znów ma to nieprzyjemne uczucie w uszach.

– Jakiego rodzaju oszustką? – pyta, przełykając.

– Robiła różne przekrety – wyjaśnia Colin.

Jane pociera uszy i zastanawia się, jaki to może mieć związek z tymi dziwnymi wydarzeniami, których świadkiem była ostatniej nocy. Zaginiona macocha i Philip wybierający się w jakąś tajemniczą podróż. Zniknęli też Panzavecchiowie i ta rzeźba. I jeszcze oszustka w rodzinie?

– Jak spałaś? – Jane zwraca się nagle do Phoebe. Chciałaby usłyszeć coś o nocnych przygodach i o broni.

– Kiepsko – odpowiada Phoebe i po jej twarzy przemyka jakiś cień, niezadowolenie albo troska. Wydaje się przez to łagodniejsza, bardziej przystępna, i Jane widzi, że jej makijaż to tylko kamuflaż, by sprawiać wrażenie wyspanej i pogodnej. W rzeczywistości ma podkrążone oczy, a na twarzy widać zmęczenie.

– Ja też źle spałam – odzywa się Lucy St. George, podnosząc głowę znad książki. – Ten dom mnie budzi. Słyszę, jak jęczy i wzdycha, jakby czuł się samotny tu, na wyspie, daleko od innych domów.

Tak, myśli Jane. Ktoś jeszcze ma tu wyobraźnię.

– Moja Lucy jak zwykle ma poetycką duszę – zauważa Colin.

– Twoja Lucy? – powtarza Jane. – Myślałam, że masz Kiran, nie Lucy.

– Mogę cię z radością poinformować, że mam obie – Colin się uśmiecha. – Kiran jest moją dziewczyną, a Lucy kuzynką.

– Ach! Czyli ty też jesteś St. George'em?

– Niestety nie. Nazywam się Mack. Jestem biednym irlandzkim krewnym.

– Och, Colin – mówi Lucy St. George. – Proszę, tylko nie zaczynaj tematu wielkiego głodu.

– A dlaczego miałbym o tym nie mówić?

– Bo to by było w złym guście. Chodziłeś do najdroższych szkół z internatem i na najdroższe studia.

– Moją edukację finansował ojciec Lucy, mój wuj Buckley. – Colin uśmiecha się krzywo do Jane. – Kształcił mnie, żebym był dla niego przydatny.

– No i proszę! – Lucy przewraca oczami.

– Rozumiem – mówi Jane. – I jesteś przydatny?

– Bardzo – zapewnia Colin. – Przynajmniej wujowi Buckleyowi. Handluje dziełami sztuki z górnej półki. Znajduję dla niego dzieła do kupienia, a potem wyszukuję mu bogatych ludzi, którym może je sprzedać. Ravi też się tym zajmuje.

Jane się zastanawia, ile się trzeba uczyć do takiej pracy i czy to coś, co mógłby robić każdy po odpowiednim przeszkoleniu.

– Myślę, że chciałabym mieć pracę związaną ze sztuką – mówi ostrożnie. – To znaczy kiedyś.

– Tak? – pyta Colin. – Masz oko do sztuki albo do wzornictwa?

– Chyba tak.

– Masz artystyczne zdolności?

– Chyba tak – powtarza Jane.

– Powinnaś je skupić na jakiejś praktycznej dziedzinie, na przykład na architekturze. Miałaś kiedyś zajęcia z projektowania? Mam nadzieję, że myślisz o tym, jak odróżnić się od innych. Podchodzisz do tego strategicznie? Masz jakieś wyjątkowe zainteresowania albo zdolności? Co stanowi o twojej marce?

Jane nagle ma ochotę ukryć istnienie swoich parasolek przed pytaniami Colina.

– Nie jestem aż tak artystycznie uzdolniona – kłamie.

- Szkoda. Nic nowego w sprawie Panzavecchiów – mówi Colin, przewracając stronę gazety.
- W internecie też nic nie ma – odzywa się Lucy. Zastanawiam się, czy któryś z moich kontaktów coś wie.
- Kontaktów? – pyta Jane.
- Lucy jest prywatnym detektywem specjalizującym się w sztuce – wyjaśnia Colin.
- Co to znaczy?
- Kolekcjonerzy ją wynajmują, by odnaleźć skradzione dzieła sztuki, kiedy gliniarzom nie udaje się wyjaśnić sprawy – wyjaśnia Colin. – Jest w tym bardzo dobra, wbrew temu, co mogłaś słyszeć o niedawnym niefortunnym wypadku z Rubensem.
- Och, Colin – mówi spokojnie Lucy. – Naprawdę nie muszę wysłuchiwać przy śniadaniu historii o moich wpadkach. A poza tym Jane nie chce słuchać o ściganiu złodziei dzieł sztuki.
- Właściwie to bym chciała – wtrąca się Jane, myśląc o zaginionej rzeźbie Brâncușiego, i zastanawia się, czy to by mogło coś wyjaśnić.
- Lucy spogląda pobłaźliwie na Colina i powraca do czytania *Świata zabawy*. W oczywisty sposób go zbywa.
- W filmach to zawsze jakiś bogaty kolekcjoner chce ukraść *Mona Lisę* albo coś w tym stylu.
- Colin ponownie zwraca się do Jane. – Zgadza się?
- Albo słynny obraz Moneta – mówi Jane. – Albo van Gogha, albo *Dawida* Michała Anioła. Może nawet kradnie je dla zabawy.
- Właśnie – potwierdza Colin. – Ale w rzeczywistości inteligentny, zawodowy złodziej dzieł sztuki kradnie mniej znane dzieło mniej znanego mistrza. Najlepiej coś, o czym nikt nigdy nie słyszał, wykonane przez nieznanego artystę i warte czterdzieści tysięcy zamiast czterdziestu milionów dolarów. Coś bez dobrze udokumentowanej przeszłości, żeby można to było ponownie wprowadzić na rynek, nie wzbudzając podejrzeń, i sprzedać komuś, kto nie ma pojęcia, że dzieło jest kradzione.
- Och. To chyba ma sens.
- Kiedy skradzione zostaje jakieś sławne arcydzieło – ciągnie Colin – jak na przykład Van Dyck czy Vermeer, i sprawa trafia na pierwsze strony gazet, są marne szanse na znalezienie kolekcjonera, który by je kupił. Taki obraz zwykle jest przekazywany od jednego przestępcy do drugiego jako zabezpieczenie w handlu narkotykami.
- Naprawdę? – dziwi się Jane.
- Naprawdę.
- Ale czy handlarze narkotyków interesują się sztuką?
- Interesują się jakąś alternatywą dla pieniędzy w gotówce – wyjaśnia rzeczowo Colin.
- Nie rozumiem, co to znaczy.
- Colin się uśmiecha. Jane wyczuwa, że lubi być tym, który wszystko wie.
- Pranie pieniędzy to trudna sprawa. Przestępcom jest coraz trudniej operować gotówką tak, by ich nie złapano. Ale dzieło sztuki łatwo przemieścić i gdy zostanie skradzione, wszędzie mówią o tym, ile jest warte. To by było dla mnie bardzo wygodne, gdybym dysponował znanym skradzionym obrazem Rubensa i chciał go zamienić na mnóstwo narkotyków. Albo gdybym potrzebował pożyczki, by kupić narkotyki, ale ten, kto by mi jej udzielał, wymagałby ode mnie zabezpieczenia. Znany obraz świetnie się nadaje na ubezpieczenie.
- Myślisz, że wyjaśniłeś to już dość szczegółowo, Colin? – pyta słodkim głosem Lucy, z nosem wciąż pochylonym nad książką. – Może chciałbyś zabrać Jane na wycieczkę w teren?
- Ty powinnaś to zrobić, kuzynko. To twój świat, nie mój. – Colin znacząco unosi brew

i spogląda na Jane. – Nikomu o tym nie mów, ale czasem Lucy musi pracować pod przykrywką w świecie handlarzy narkotyków.

– Z własnej woli? – pyta Jane, wpatrując się w Lucy, która dalej spokojnie czyta książkę. Wygląda na kobietę, której miejsce jest w fotelu, przy szydełkowaniu serwetek i podjadaniu racuszków. Dziś rano znów nosi perły, na szyi i w uszach.

– Mhm – potwierdza Colin. – Często jedynym sposobem, by odzyskać arcydzieło, jest zorganizowanie prowokacji.

– I ty to robisz? – Jane zwraca się z tym pytaniem do Lucy. – Kogo udajesz? Handlarza narkotyków? W co się wtedy ubierasz?

– Colin... – Lucy odkłada książkę i w milczeniu wpatruje się w kuzyna. – Powołam się teraz na moją pozycję rodzinnego twardziela i powiem ci, że najwyższa pora się zamknąć.

– Ale Lucy... – odzywa się Jane – czy to znaczy, że wczoraj przy kolacji, kiedy mówiłaś, że nie potrafisz sobie wyobrazić, by Panzavecchiowie mieli związki z przestępczością zorganizowaną, wiedziałaś, o czym mówisz? To znaczy, z doświadczenia?

– Tak. – Colin z rozbawieniem spogląda na kuzynkę. – Lucy wie, o czym mówi. Poznała paru z nich.

– Colin – rzuca Lucy z ostrzeżeniem w głosie.

– No cóż, ja w każdym razie nie widzę żadnego powodu, żeby w to nie wierzyć – wtrąca się do rozmowy Phoebe. – Skoro Lucy podszywa się pod handlarza narkotyków i działając pod przykrywką, organizuje prowokacje, to czemu Giuseppe nie miałby mieć długów u mafii?

– Jasne – rzuca Lucy sfrustrowanym, sarkastycznym tonem. – Czemu nie?

– Lucy ostatnio udało się przechwycić skradzionego Rubensa – mówi Colin miłym tonem. – W Górach Pocono. Oddała za niego wielką stertę heroiny i gdy już miała obraz w rękach, wezwała FBI, by aresztowało wszystkich bandziorów. To był wielki triumf. A potem zatrzymał ją jakiś przypadkowy złodziej samochodów i ukradł jej Rubensa, zanim miała okazję przekazać go FBI. Krępująca sprawa. Potem Lucy stała się trochę drażliwa. Poznałaś już Ravięgo? – Colin zwraca się do Jane, raptem zmieniając temat. – Polubi cię.

– Co? Dlaczego Ravię miałby mnie polubić? – pyta zdezorientowana Jane, a potem z zażenowaniem przypomina sobie, że Lucy jest dziewczyną Ravięgo, a ten śpi bez koszuli w jej apartamencie na sofie.

– Och, on lubi różnorodność – mówi Colin.

– Różnorodność?! – powtarza Jane, a Lucy zaciska usta i wygląda na zaniepokojoną i urażoną. Czemu Colin próbuje jej dopiec?

– Jestem pewna, że Ravię nawet nie zwróci na mnie uwagi – mówi Jane. – Jestem nikim.

– Przekonamy się – odpowiada Colin.

Lucy wstaje, w jedną rękę bierze książkę, w drugą komórkę i ostentacyjnie wychodzi z sali.

– Czemu to zrobiłaś? – pyta Jane.

– Co takiego? – chce wiedzieć Colin.

– Chciałaś, żeby twoja kuzynka była o mnie zazdrosna.

– To sprawy rodzinne – wyjaśnia z życzliwą miną. – Nie przejmuj się tym.

– Dobra, ale nie wykorzystuj mnie jako własnej broni.

– Mądra dziewczynka – mówi lakonicznie Phoebe, wskazując głową na Jane, którą zaskakuje to tak bardzo, że jest w stanie jedynie się na nią gapić.

– Widzę, że teraz już wszyscy na jednego – mówi Colin. – A gdzie podziwia się teraz Philip, Phoebe?

– Wezwano go w nocy. – Phoebe z troską marszczy czoło.
Jane nie może oderwać wzroku od jej twarzy.

– Wezwano? – powtarza. – Dokąd?
– Do pracy.
– I co zrobił, przepłynął wpław i dotarł na stały ląd?
– Philip potrafi sterować łodzią. Thrashowie mają mnóstwo jachtów. Takie rzeczy się zdarzają. Jest lekarzem.
– Och – Jane znów myśli o lateksowych rękawiczkach na dłoniach Philipa Okady. I dodaje, próbując z niej coś wyciągnąć: – Mizofobia musi mu utrudniać pracę?
Phoebe mruga.
– Mizofobia – powtarza.
– Tak – mówi Jane. – Wspominał, że cierpi na mizofobię.
– Ma to od niedawna – wyjaśnia Phoebe.
– Od kiedy? – dopytuje Colin. – Nie wiedziałem o tym.
– To nie takie rzadkie u lekarzy – stwierdza Phoebe. – Philip nie lubi o tym mówić.
– Jakiej specjalności jest lekarzem? – pyta Jane.
– Internistą – odpowiada Phoebe. – A czemu pytasz?
– Bez jakiegoś konkretnego powodu. Po prostu mi przykro, że nie było nikogo, kto mógłby go zastąpić podczas urlopu. To znaczy, gdyby był jedynym lekarzem na świecie, który potrafiłby połączyć na nowo czyjś mózg z rdzeniem kręgowym, to co innego. Ale internistów jest przecież wielu.
– Mój mąż jest bardzo oddany pacjentom. Próbujesz umniejszać znaczenie jego pracy?
– Och, Phoebe – wtrąca się Colin. – Na pewno nie o to jej chodziło. Najadłaś się już? Proszę, zjedz trochę owoców.
– Przepraszam – odzywa się jakiś nowy głos, z lekkim akcentem, którego Jane nie potrafi rozpoznać.

Wszyscy się odwracają. Z kuchni wyszedł właśnie mężczyzna o wschodnioazjatyckich rysach i szpakowatych włosach. Przystanął tuż przy drzwiach.

– Zapomniałem, jak trafić do głównego holu – mówi, przyciskając do piersi wiadro. Jane zakłada, że jest jednym z pracowników sezonowych, którzy mają posprzątać przed galą.
– To w tamtą stronę. – Colin wskazuje na wyjście po drugiej stronie pomieszczenia. – Przejdź do sali balowej, potem drugie drzwi po lewej.
– Dziękuję – mówi mężczyzna i wychodzi.

W tej samej chwili otwierają się drzwi do kuchni i zjawia się pani Vanders, która znacząco patrzy w oczy Phoebe.

– No dobrze – rzuca Phoebe. – Skończyłam śniadanie.
Przechodzi przez salę, głośno stukając wysokimi obcasami, i wychodzi tymi samymi drzwiami, co sprzątacze.

Pani Vanders wciąż stoi w drzwiach kuchni i z nieprzeniknioną twarzą przygląda się Jane. Potem znika za zamkniętymi drzwiami.

Kiran w ogóle nie zjawiała się na śniadanie. Colin zachowuje się gruboskórnie wobec Lucy. Phoebe kłamie na temat męża i wyglądało to tak, jakby śledziła tego sprzątacza. A Jasper nie ma o nich nic do powiedzenia.

Jane kończy śniadanie i kieruje się prosto do kuchni. Pora zapytać panią Vanders, co oznaczało to spojrzenie.

Ale pani Vanders tam nie ma.

Jest natomiast pan Vanders. Siedzi w ogromnej kuchni zwrócony plecami do Jane, pochylony nad stertami jakichś projektów leżących na długim stole. To zwyczajne plany, nie takie szczegółowe, jak u Ivy. Mruczy coś gniewnie pod nosem.

Patrick zajmuje się górą jajek i garem wrzątku przy ogromnej kuchni z jakimś tuzinem palników. Pociera oczy i ziewa, na pewno dlatego, że najpierw siedział do późna z Ravim na stałym łądzie – i nad czymś dumał, tak to było? – a potem aż do świtu skradał się z Okadami po domu i zajmował się jakimiś tajemniczymi sprawami. Jane dostrzega, że Patrick ma wydatną, ładną szczękę. Pewnie kiedy wpada w tę swoją zadumę, wygląda jak bohater z powieści sióstr Brontë.

– Przesiadujesz z Ravim do czwartej nad ranem dwie noce przed galą – zrzędzi pan Vanders – a my wszyscy staramy się, jak możemy, znaleźć to cholerstwo. Jesteś winny przysługę Kucharzowi, młody człowieku.

– To może mu się odwdzięczę, przygotowując dziś śniadanie – odpowiada cierpko Patrick. Zauważa stojącą przy drzwiach Jane. – Janie. Szukasz Kiran?

Gdy pan Vanders słyszy jego słowa, odwraca się, wstaje od stołu i przygląda się Jane dokładnie tak samo, jak zrobiła to jego żona, tyle tylko, że jest ciemnoskóry i ma białe, krzaczaste brwi. Jane wyobraża sobie ich ślubne zdjęcie, z którego oboje patrzą ze złością, jakby chcieli kogoś zmiażdżyć samym wzrokiem. Jego spojrzenie pada na eklektyczną kreację Jane.

– Szukam pani Vanders – mówi Jane.

– Masz w swoim stylu coś z ciotki Magnolii – oświadcza szorstko pan Vanders – ale ją cechowała subtelność, której tobie brakuje.

Jane jest porażona jego słowami.

– Znał pan ciotkę Magnolię?

Pan Vanders niecierpliwie macha piórem.

– Moja żona chce ci to sama wyjaśnić – mówi. – Chyba poszła do naszego mieszkania. Czwarte drzwi po prawej. Albo jest na drugim piętrze w zachodnim skrzydle i zaczyna codzienną inwentaryzację dzieł sztuki. Albo pilnuje dziennego personelu, co znaczy, że może być wszędzie w tym domu.

– Bardzo to pomocne – zauważa Jane.

– Hmm. Twoja ciotka nie miała skłonności do sarkazmu.

Gdzieś w oddali słychać jakiś dźwięk, jakby gwizdał czajnik. Zacina się i zmienia natężenie, więc trudno powiedzieć, skąd dobiega. Czy to przewody wentylacyjne w ścianach? Palniki kuchni? W chwili, gdy

Jane uświadamia sobie, że to płaczące dziecko, dźwięk przechodzi w dziki śmiech. Jane zaciska zęby.

– A to co?

– Przecież słychać, że to jakieś dziecko – mówi pan Vanders.

– Jest tu dużo dzieci?

– Personel jest liczny. Większość ludzi ma dzieci.

– Wczoraj widziałam małą dziewczynkę kopiącą w ogrodzie – zauważa Jane.

Pan Vanders zamiera. Po jego twarzy przemyka zdumienie i znika tak szybko, że Jane nie jest pewna, czy jej się to nie przywidziało. Co może być aż tak znaczącego w dziewczynce, która kopie w ogrodzie?

Pan Vanders wskazuje piórem na drzwi i tak właściwie to jej rozkazuje:

– Porozmawiaj z panią Vanders!

– O rany! Mam nadzieję, że lepiej się z nią rozmawia niż z resztą ludzi w tym domu – mruczy pod nosem Jane i się odwraca. Jest zdumiona, że ci, których tu spotkała, pan Vanders, Ravi, Phoebe, Colin, prowokują to, co w niej najbardziej sarkastyczne, ale też i najbardziej szczere. Może i nie czuje się tu swobodnie, ale zastanawia się, czy ten dom nie sprawia, że czuje się sama ze sobą. Zupełnie jakby spotkała samą siebie po długiej nieobecności. *Ciociu Magnolio?*

– A tak w ogóle – rzuca Jane przez ramię – to jestem królową subtelności.

– Nie wydaje mi się, by ktoś taki mógł istnieć – zauważa z roztargnieniem Patrick. – To raczej coś dla ministrów i szpiegów.

W głównym holu ekipa kobiet zajmuje się gałęziami bzu. Tną je na mniejsze i układają w wazonach. Jane szybko wspina się po schodach, chce dotrzeć na taką wysokość, na której zapach będzie mniej przytłaczający. Każdej wiosny na kampusie unosił się duszący zapach tych krzewów. Gdy Jane go czuje, nie potrafi nie myśleć o cioci Magnolii.

Przystaje na pierwszym piętrze i zauważa, że ktoś powtykał zbrojom w ramiona wielkie bukiety żonkili. Jasper znów jest na przeciwległych schodach. Stoi przed tym wysokim obrazem z parasolką, obserwuje Jane i skomle. Jane chce go podrapać za uchem; rusza mostem nad głównym holem, ale wtedy słyszy gdzieś powyżej odbijający się echem dźwięk migawki aparatu fotograficznego.

Jane wie kto to. Wychyla się, wyciąga szyję i na moście powyżej widzi Ivy. Stoi oparta brzuchem o balustradę i wygląda, jakby robiła zdjęcia głównego holu.

Przez ułamek sekundy Jane się zastanawia, czy nie udać, że jej nie widziała. Jeśli nie porozmawia z Ivy, nie będzie musiała myśleć o tym, czy dziewczyna nie jest zamieszana w coś niedobrego.

Ivy opuszcza aparat i zauważa Jane. Wychyla się nad balustradą i się uśmiecha.

– Cześć – mówi ostrożnie Jane. – Co robisz?

– Zdjęcia.

– Czego?

– Poczekaj tam – rzuca Ivy i znika z pola widzenia.

Chwilę później wchodzi na most, na którym znajduje się Janie. Ma na sobie rozciągnięty niebieski sweter i czarne legginsy. Znów pachnie chlorem albo morzem. I wygląda jak morze. Piękna, obojętna i pełna tajemnic.

– Co robisz? – pyta.

– Szukam pani Vanders – odpowiada Jane. – Czemu robisz zdjęcia głównego holu?

– Nie mówiłam ci? Fotografuję dzieła sztuki. – Ivy otwiera usta, żeby dodać coś jeszcze, ale zaraz je zamyka, znów przybiera tę ostrożną minę i Jane natychmiast wie, jakby za sprawą jakiegoś instynktu, że cokolwiek się tutaj dzieje, Ivy jest w to zamieszana.

– Ivy? O co chodzi? – pyta ze ściśniętym sercem.

– Z czym? – mówi Ivy. – Popatrz. – Pokazuje Jane aparat i przewija ostatnich kilkanaście zdjęć. Na każdym jest jakieś dzieło sztuki znajdujące się w domu, choć często zasłaniają je sprzątacze przygotowujący gałę. Jane widzi kobiety układające bukiety bzu i mężczyznę niosącego wiaderko, który przeszedł dziś rano przez salę, gdy jadła śniadanie. Tego mężczyznę widać na kilku zdjęciach, a dzieła sztuki nikną gdzieś w tle.

– Pewnie trudno skupić się na dziełach sztuki, kiedy po domu kręci się tylu ludzi – rzuca Jane,

próbując wybadać grunt.

– Tak.

– Dlaczego fotografujesz dzieła sztuki?

– Dla pani Vanders – odpowiada Ivy tym fałszywym nonszalanckim tonem. – Pomagam jej je katalogować.

– Ivy? – Jane ma straszną ochotę ją zapytać, czy naprawdę fotografuje dzieła sztuki, czy może z jakiegoś powodu robi zdjęcia ludziom.

– Tak?

– Nieważne – Jane tłumi frustrację. – Po prostu mi się wydaje, że niektórzy ludzie w tym domu dziwnie się zachowują.

– Naprawdę? Na przykład kto?

Na przykład ty, z tym fałszywym, niewinnym głosem, chce odpowiedzieć Jane. Zastanawia się, co by było, gdyby powiedziała Ivy, że widziała Patricka i Okadów.

– Na przykład pani Vanders – mówi. – Dziwnie na mnie patrzy.

– Jest taka dla wszystkich.

– No jasne. – Jane nie potrafi ukryć sarkazmu w głosie. – Na pewno wszystko jest w normie.

Teraz to Ivy przygląda się Jane z zaskoczeniem w oczach.

– Janie? Coś się stało?

– Cześć wam – odzywa jakiś głos zza pleców Jane.

U szczytu schodów stoi Kiran, zamierzająca właśnie zejść do głównego holu.

– Przepraszam, Janie – mówi. – Zjadłaś śniadanie?

– Tak.

– Cześć, kochana! – Kiran uśmiecha się do Ivy. – Jak się dzisiaj czujesz?

– Dobrze – rzuca z roztargnieniem Ivy i wciąż ze zdziwieniem obserwuje Jane. – Wrócił Patrick. Pewnie cię szuka.

– Hmm? – Kiran wypowiada tę sylabę w taki sposób, by wyrażała jej brak zainteresowania. Zaczyna schodzić po schodach. Dokładnie w chwili, gdy dociera do posadzki w szachownicę, u szczytu schodów zjawia się Ravi.

Służący w głównym holu odwracają się jeden po drugim, by na niego spojrzeć, i się uśmiechają. Jest wykąpany, ogolony, bosy, ubrany na czarno, z tymi pasemkami siwizny we włosach, które go postarzają i dodają powagi. Trudno się nie uśmiechnąć na jego widok. Kiran wyciąga szyję, by na niego spojrzeć, na jej twarz pada światło. Ravi na jej widok zbiega po schodach, wołając ją po imieniu, przeskakuje stopnie. Dopada do niej i bierze ją w ramiona, a Jane żałuje, że nie ma brata bliźniaka.

Potem Ravi omiata spojrzeniem cały główny hol i dostrzega Jane i Ivy stojące na moście.

– Lubię twoją przyjaciółkę – zwraca się do Kiran na tyle głośno, by Jane to słyszała.

– Zachowuj się, Ravi – upomina go siostra.

– Cześć Ivy-Fasolko! – woła Ravi, posyłając jej szeroki uśmiech.

– Cześć Ravi! – odkrzykuje Ivy z szerokim szczerym uśmiechem. I dodaje łobuzerskim tonem: – Jak tam twoja dziewczyna?

– Świetnie wie o tym, że działam na kobiety jak magnes.

Ivy parska.

– Tylko nie zapominaj o moich mocach. – I dodaje, zwracając się do Jane: – Ravi i ja lubimy żartować, że jestem czarownicą.

– Myślałem, że używasz ich tylko, żeby czynić dobro – mówi Ravi.

- Dobro to takie enigmatyczne słowo – odpowiada mu dziewczyna.
- O rany! Ktoś cię zdeprawował! Chowajcie magiczne księgi!
- Zróbmy w domu głosowanie i zobaczymy, kogo ludzie uznają za łatwiejszego do zdeprawowania, ciebie czy mnie.
- O do diabła! Wiesz, to, że większość w coś wierzy, nie znaczy, że to prawda.
- Większość? – śmieje się Ivy. – Akurat. Głosowanie wypadnie jednomyślnie.
- To też nie znaczy, że to będzie prawda.
- Słuchaj, chcę tylko powiedzieć, że Lucy wygląda na fajną kobietę. Więc nie zapominaj o moich mocach.
- Dotarło. Kiedy moje jądra uschną i odpadną, będę wiedział kto...
- Boże! – przerywa mu Kiran. – Ravi, proszę, nie każ mi sobie wyobrażać twoich jąder.
- Chodź zobaczyć się z mamą – mówi Ravi do Kiran.
- Boże! Z rozmowy o jądrach przerucasz się na naszą matkę?
- To ta druga kobieta, która może stanowić dla nich największe zagrożenie – śmieje się Ravi.
- Chodź na śniadanie, potem odwiedzimy mamę.
- Nie jestem w nastroju na jej odmienną rzeczywistość – odpowiada siostra. – Sprawia, że kręci mi się w głowie.
- Nie możesz jej ciągle unikać. Ani taty. Bo wygląda na to, że jego też unikasz.
- No cóż – mówi Kiran słodkim głosem. – W takim razie powinieneś się cieszyć, że nie unikam ciebie.
- Urodziłem się z nieodpartym urokiem – mówi Ravi. – To nie moja zasługa. – Potem jego spojrzenie pada na miejsce pod mostem, gdzie stoją Jane i Ivy. Jego twarz poważnieje. – Hej, stary! – mówi do kogoś, kogo Jane nie widzi. Całuje siostrę w policzek i znika w jednych z drzwi prowadzących między innymi na salę bankietową.
- Osoba, z którą Ravi się przywitał, ma pięknie ukształtowane ramiona, które Jane rozpoznaje, patrząc z góry. Gdy Patrick wchodzi do głównego holu ubrany w T-shirt i podchodzi do Kiran, jest zwrócony do Jane szerokimi plecami, więc nie sposób wyczytać coś z jego twarzy, ale Jane widzi minę przyjaciółki. Zdążyła się już przyzwyczaić do tego wyrazu twarzy. Wyważony dystans. Mur Kiran. *I słusznie robi, że się broni*, myśli Jane. *Patrick kłamie*.
- Patrick zatrzymuje się przed Kiran.
- Cześć – mówi. – Wszystko w porządku?
- Tak – odpowiada Kiran, a potem zerka w stronę Jane i Ivy, jakby dawała mu sygnał. Patrick spogląda przez ramię i dostrzega je na moście.
- Jane przez chwilę stara się patrzeć w inną stronę, a potem, gdy tylko Patrick odwraca wzrok, znów zaczyna ich obserwować.
- Idziesz na śniadanie? – pyta Patrick, znów odwracając się do Kiran.
- Tak.
- To pozdrów ode mnie tego twojego elegancika.
- Patrick, przestań.
- Wyobraź sobie, że ja bym mógł ci tak powiedzieć i że zrobiłabyś to, o co proszę. „Przestań, Kiran”.
- Nie będę tutaj o tym rozmawiać.
- W porządku – rzuca ostro Patrick, po czym odwraca się na pięcie i odchodzi w stronę wschodniego skrzydła.
- Kiran patrzy za nim z zaciśniętymi pięściami. Jej maska opada. Nagle rzuca się za nim

biegiem po posadzce w szachownicy, jej obcasy stukają o marmur jak seria wystrzałów. Znika z zasięgu wzroku.

Jasper, który wciąż jest przed tym wysokim obrazem na pierwszym piętrze, zaczyna podskakiwać i jazgotać. Zachowuje się, jakby przejął nad nim kontrolę chory na wściekłość kangur.

– Co się dzieje w tym porąbanym domu? – zwraca się Jane do Ivy.

– O co ci chodzi? – W głosie Ivy słychać ironię.

– Kiran i Patrycka coś łączyło? – pyta Jane.

– Tak jakby – dopowiada Ivy. – To znaczy, kochają się. Ale to ciężki przypadek. Powiedziałabym, że w tej chwili są niekompatybilni w kwestiach fundamentalnych.

– Chodzi ci o to, że Kiran ma chłopaka?

– Nie – mówi z przekonaniem Ivy. – Myślę, że problemy leżą głównie po stronie Patrycka.

– Bo skrada się po domu i kłamie, tak? – pyta Jane.

Strach Ivy ma fizyczny wymiar. Spina się i szybko patrzy w oczy Jane. Potem zaczyna mówić, jakby chciała zapełnić milczenie, by Jane już nic więcej nie powiedziała.

– Myślę, że Kiran jest z Colinem, bo próbuje to zostawić za sobą. Colin jest dla niej miły, dba o nią. Na przykład jeszcze zanim Colin i Kiran zaczęli się umawiać na randki, pewnego dnia podczas kolacji Octavian ją krytykował, że jest taka smutna, rozczuła się nad sobą i nie ma pracy. Colin spojrział mu wtedy prosto w oczy i powiedział, że to żaden wstyd, jeśli akurat tak się ułoży. Powiedział to tym rozsądnym tonem, który sprawia, że czujesz się jak dupek, jeśli się z tym spierasz. Octavian wziął fajkę do ust i wstał od stołu.

Jane próbuje skupić się na rozmowie zamiast na swoim ponurym nastroju.

– Pewnie niewielu ludzi tak mówi do Octaviana?

– Octavian potrafi być surowy dla Kiran i Ravięgo – mówi Ivy. – Colin znalazł sposób, jak mu pokazać, gdzie jego miejsce i nie być przy tym nieuprzejmym. Kiran to się nigdy nie udało.

– A co z Ravim i Lucy? Jak to się stało, że są razem?

– Przypadli sobie do gustu, odkąd się poznali, jakieś dwa, trzy lata temu. Są ze sobą naprawdę blisko, potem się kłócą, potem znów są blisko. Trudno powiedzieć, na ile to jest poważne.

– Ravi nie wygląda na faceta, który kogokolwiek traktowałby poważnie.

– Och, zawsze się tak wygłupia.

– To tylko wygłupy?

– Nie mogę mieć co do tego pewności – odpowiada Ivy. – Ale nie sądzę, żeby ją zdradzał. Ravi jest dość lojalny.

– Nie jest dla niej za młody?

– Tak – przyznaje Ivy. – Ma dwadzieścia dwa lata, a emocjonalnie jakieś dwanaście. Ona ma trzydzieści.

– Ravi lubi starsze kobiety?

– Ravięgo pociągają wszyscy.

– Wszyscy?

– Wszyscy bez wyjątku – odpowiada Ivy i się uśmiecha.

Jane rozumie, że kogoś mogą pociągać różni ludzie. Mężczyźni i kobiety, ludzie najróżniejszego wzrostu i kształtów, o różnym wyglądzie i osobowościach; rozumie, że można nie mieć jednego ulubionego typu. Ale z pewnością istnieją cechy, które ona sama woli. Na przykład znajomość trudnych słów; to cecha, która ją pociąga.

– Naprawdę wszyscy? – pyta Jane. – Każdy?

– No cóż, nie jest pedofilem. I kazirodztwo też go nie interesuje – mówi Ivy. – Poza tym wie, że gdyby kiedykolwiek się do mnie zbliżył, wykastrowałabym go. Ale potrafi dostrzegać piękno w każdym.

– Pociąga go nawet, no nie wiem... pani Vanders?

– Mam nadzieję, że łączą ich raczej takie uczucia, jak matkę i syna – chichocze Ivy. – Nie zamierzam się nad tym głęboko zastanawiać.

– No dobrze, a co z twoim bratem?

Ivy wydyma usta.

– W przypadku Patricka musimy odróżnić fizyczny pociąg od zamiarów. To znaczy, Ravi ma swoje zasady. Nie brałby w ten sposób Patricka pod uwagę, a przynajmniej nie na serio. Nie, żeby to w ogóle mogło się stać, bo Patrick jest hetero. Ale nawet gdyby było inaczej, Ravi by tego nie zrobił, bo uważa, że Kiran powinna być z Patrickiem.

To mnóstwo informacji i Jane ma ochotę zadać jeszcze wiele pytań, ale nie bardzo może, bo tak naprawdę nie mają z tym żadnego związku. Na przykład, czy Ivy jest hetero? I dlaczego tak łatwo się z nią rozmawia? Nawet jeśli co jakiś czas świadomie jest nieszczerą?

– Ivy... – zaczyna Jane.

– Hmm?

Jane wzdycha i mówi:

– Mniejsza z tym.

– Czy to meduza? – pyta Ivy. – To, co ci wystaje spod rękawa.

– Tak. – Jane nagle robi się ciepło, czuje się onieśmielona.

– Mogę ją obejrzeć?

Jane ostrożnie podwija rękaw. Ukazują się długie, pełne detali ramiona i czułki meduzy, potem jej złociste ciało wytatuowane na skórze.

– O rany! – szepcze Ivy z podziwem w głosie. Wyciąga rękę i przesuwa palcem po tatuażu. – Jest niesamowita. Sama ją zaprojektowałaś?

Czemu podziw w głosie Ivy sprawia, że Jane jest tak smutno z powodu jej kłamstw?

– To na podstawie zdjęcia zrobionego przez moją ciocię – odpowiada. – Ciocię Magnolię. To ona mnie wychowała. A potem zginęła. Ale może już o tym wiesz? Robiła podwodne zdjęcia. Uczyła mnie, jak oddychać w taki sposób, w jaki porusza się meduza. – To idiotyczna paplanina, ale Ivy wciąż dotyka jej ramienia, a Jane pragnie powiedzieć jej o wszystkim, o każdym szczególe.

Ivy opuszcza palec. Marszczy brwi.

– Ivy? – mówi Jane.

– Ivy-Fasolko – słychać niski szorstki głos. To pani Vanders, która zbliża się do nich wielkimi krokami. – Gdzie Ravi?

– Chyba je śniadanie – mówi niewyraźnie Ivy, wpatrując się w aparat fotograficzny.

– Potrzebuję go – mówi pani Vanders. – Muszę go postawić przed tym Vermeerem.

– Czemu? – chce wiedzieć Ivy. – Z obrazem jest coś nie tak?

– Po prostu chcę go przed nim postawić – mówi pani Vanders – i przekonać się, że nic nie wyda mu się dziwne, żebym mogła się w końcu przestać zamartwiać tym cholerstwem i zająć się milionem zadań związanych z galą. Przyślij go do mnie, ale o niczym mu nie wspominaj. A z tobą muszę porozmawiać – dodaje, patrząc na Jane i mrużąc oczy.

– Mam takie wrażenie – dopowiada Jane. – Możemy załatwić to teraz?

– Jestem zajęta – mówi pani Vanders. – Znajdź mnie! I nic nikomu nie mów! – Odwraca się na pięcie i rusza tam, skąd przyszła.

– Ivy?

– Tak?

– Wcześniej, w kuchni, pan Vanders powiedział, że znał ciocię Magnolię.

– Tak?

– Czy ty też ją znałaś?

Ivy otwiera usta, by odpowiedzieć. Ale zanim zdąży powiedzieć choć słowo, pani Vanders wysuwa głowę przy wejściu na most i wrzeszczy:

– Ivy! Dość tego guzdrania. Znajdź Ravięgo!

Ivy ściska ramię Jane w miejscu, gdzie czułki meduzy sięgają łokcia. Chwyta tak mocno, że to aż boli.

– Porozmawiaj z panią Vanders – mówi. – Proszę.

A potem się odwraca i zaczyna schodzić po schodach, zostawiając Jane pełną urazy, rozcierającą rękę.

W chwili, gdy Ivy znika, do głównego holu wchodzi Ravi. W jednej ręce trzyma dwa tosty, w drugiej miseczkę z owocami.

Odgryza kęs tosta, wbiega po zachodnich schodach i wchodzi na most, na którym stoi Jane.

– Nie chciało ci się siedzieć przy śniadaniu? – pyta ze znużeniem Jane.

– Chciałem jeszcze raz się z tobą przywitać.

– Ravi – mówi Jane z lekką ironią w głosie. – Nie jesteś przypadkiem z Lucy?

– Raz tak, raz nie. W tej chwili nie.

– Och! – Jane nie wie dlaczego, ale ta informacja sprawia jej przyjemność. – Przepraszam.

– No cóż – mówi Ravi – odpowiadając na twoje pytanie: tak. Przy każdym posiłku w tym domu za bardzo się trzeba nasiedzieć w jednym miejscu.

– W takim razie pewnie chcesz ruszać dalej.

Ravi śmieje się cicho, a potem zaskakuje Jane, robiąc dokładnie to, co zasugerowała. Nawet jej nie potrąca, gdy ją mija.

– Przykro mi to mówić, ale dziś rano oczekuje mnie inna dusza – rzuca na odchodnym. – A co z tobą? Interesują cię światy równoległe? A może jesteś taka jak moja siostra bliźniaczka i nie przepadasz za kosmologią?

– O czym ty mówisz?

– Chodź ze mną – proponuje Ravi.

– Dokąd? – pyta Jane, myśląc o pani Vanders, ale przede wszystkim o tej dziwnej małej gierce z czującym pociąg do wszystkich bratem Kiran.

– Wiesz, co to jest kosmologia, prawda? – pyta Ravi. – Badanie kosmosu? Nie mylisz tego z kosmetyką? Z nakładaniem makijażu?

– Protekcyjny osioł – mówi Jane i dodaje: – Bez obrazy dla Kłapouchego.

Ravi śmieje się cicho i się oddala.

– Twój wybór.

Jane go obserwuje, gdy zwinnie wspina się po schodach. Zupełnie zapomniała mu powiedzieć, że pani Vanders go szuka.

– A właśnie – mówi i chce do niego zawołać, ale w tej samej chwili do głównego holu poniżej wbiega jakieś dziecko. Ten dom jest jak dworzec Grand Central na Manhattanie.

Jane już widziała tę dziewczynkę: to ona wczoraj kopała w ogródku w czasie deszczu. Przyciska coś do piersi, podchodzi do stołu, odsuwa gałęzie bzu i odstawia to na puste miejsce. Jane nie widzi co to; krzew zasłania jej widok.

Ma niemal wrażenie, że ta dziewczynka czekała, aż kobiety zajmujące się bukietami sobie pójdą, a potem zakradła się do holu, tak by nikt jej nie widział. Dziewczynka biegnie dalej, kieruje się w stronę weneckiego dziedzińca. Nagle dostrzega w górze Jane i zamiera. Przez ułamek sekundy patrzy na nią ze złością, a potem pędzi dalej. Jane się zastanawia, czy to kompletny absurd, że to dziecko przypomina jej najstarszą córeczkę Panzavecchiów, Grace, której zdjęcie widziała w wiadomościach. Tę, która zniknęła ze szkoły tego samego dnia, gdy jej rodzice próbowali napaść na bank. Tę od urządzeń mnemotechnicznych.

Ravi dawno sobie poszedł. Pani Vanders też. Kiran również znikła, a teraz to dziecko gdzieś pobiegło. Został tylko Jasper, który wciąż podskakuje i drepcze przed obrazem, od czasu do czasu skomląc. Na posadzce w szachownicy poniżej leżą sterty gałęzi bzu, jak jagody na lodach.

Nagle w domu zapada cisza, jakby wstrzymał oddech.

Po chwili Jane znów słyszy stukot obcasów Kiran, która szybkim krokiem wchodzi do holu. Zbliży się do sterty gałęzi bzu na podłodze. Podnosi jedną z nich, strząsa z niej wodę, a potem z powrotem ją odrzuca tylko po to, by sobie ulżyć. Obejmuje się rękoma, zwiesza głowę. Nie widzi Jane. A Jane na jej widok czuje się jak intruz, wie, że wdziera się w osobisty ból Kiran. Mimo to nie potrafi się powstrzymać. Chciałaby jej pomóc.

– Kiran?

Na jej twarz powraca maska. Spogląda w górę.

– Och – mówi. – Cześć, Janie.

– Wszystko w porządku?

– Dlaczego wszyscy wciąż mnie o to pytają? Wyglądam, jakby coś było nie tak?

– Wydajesz się jakby... nieobecna.

– Nieobecna! No to po prostu świetnie. Po co w ogóle tu przyjeżdżałam, skoro ludzie i tak będą mieć do mnie pretensje, że jestem nieobecna?

– Patrick już ci się zwierzył?

Po twarzy Kiran przemyka poirytowanie.

– Zapomniałam, że ci o tym mówiłam. Nie. Nic nie powiedział. Ale miło z twojej strony, że o tym pamiętasz.

– Jak myślisz, o co chodzi?

– Nie wiem – mówi Kiran – i próbuję się tym nie przejmować.

Do holu wracają kobiety od bukietów, niosąc kolejne puste wazon. Kiran odwraca się do nich plecami, żeby nie widziały wyrazu jej twarzy.

– Czy czasami zdarza ci się czuć – zwraca się do Jane – jakbyś utknęła w niewłaściwej wersji swojego życia?

Jane jest porażona tym niezwykłym pytaniem. Tak właśnie się czuje, odkąd ciocia Magnolia zginęła i niewłaściwa wersja życia Jane mocno chwyciła ją w ramiona, zanurkowała pod wodę, pociągnęła na dno i trzyma tak, czekając, aż się utopi.

– Tak – mówi Jane.

– Ludzie mówią, że to, co ci się przytrafia, jest bezpośrednim rezultatem dokonanych przez ciebie wyborów – podejmuje Kiran – ale to jest nie fair. Przez większość czasu nie zdajesz sobie nawet sprawy, że wybór, którego zaraz dokonasz, okaże się ważny.

– To prawda – potwierdza Jane. – Kiedy miałam roczek, moi rodzice zginęli w katastrofie

lotniczej. Większość ludzi, którzy siedzieli po lewej stronie samolotu, przeżyła, a większość tych, którzy siedzieli po prawej, zginęła. Moi rodzice wybrali miejsca po prawej stronie, na chybił trafił, bez żadnego powodu.

Kiran kiwa głową.

– Octavian wybrał się kiedyś na aukcję dzieł sztuki w Vegas, ale jego lot się opóźnił. Dotarł na miejsce tak późno, że nie zdążył zjeść śniadania, złapał więc taksówkę i powiedział taksówkarzowi, by znalazł mu jakąś restaurację na pustyni, gdzie będzie mógł się napić Krwawej Mary i zjeść jajka w otoczeniu kwitnących kaktusów. Taksówkarz go przekonał, żeby dał sobie z tym spokój, i zawiózł go do kasyna Bellagio, gdzie Octavian się zgubił, szukając restauracji, i wpadł na kobietę szkicującą plan kasyna. Spytał ją, czy planuje napad. Powiedziała mu, że ma na imię Charlotte, że jest projektantką wnętrz i ma zmienić wygląd piętra, na którym znajduje się kasyno. Teraz jest moją macochą. Chyba trudno byłoby o coś bardziej przypadkowego.

– Z drugiej strony – podjęła Jane – zdecydowali, żeby wziąć ślub. Niektóre rzeczy dzieją się dlatego, że je wybieramy.

– Jasne – rzuca Kiran. – No dalej, powiedz to. Wybrałam, że będę bezrobotna i bezużyteczna.

– Kiran – mówi Jane, przypominając sobie, co Colin powiedział Octavianowi. – Nie jesteś bezużyteczna. Po prostu nie znalazłaś jeszcze własnej ścieżki. To znaczy, spójrz na mnie. Ja też nie znalazłam jeszcze ścieżki. Obijam się bardziej niż ty.

– Nie obijasz się – protestuje Kiran. – Opłakujesz ciocię.

Kiran wypowiada te słowa w taki sposób, jakby przez wszystkie te brednie przebił się promień światła. *Opłakuję ciocię. To tak, jakbym siłą woli przedzierała się przez jakąś gęstwinę.*

– Chodź ze mną – mówi Kiran – a zdradzę ci tajemnicę Charlotte.

Gdzieś szumi w rurze i w holu czuć ruch powietrza, szepczący słowo, którego Jane nie jest w stanie dosłyszeć. *Charlotte.*

Jane pociera uszy, próbuje podjąć decyzję. Pewnie, że chce się dowiedzieć czegoś więcej o Charlotte.

Ale musi też zapytać panią Vanders o ciocię Magnolię, choć nawet jeśli się dowie, że były bliskimi przyjaciółkami, to i tak nie sprawi, że ciocia Magnolia wróci. Jane podejrzewa, że za tym palącym pragnieniem, by się tego dowiedzieć, czeka ją rozczarowanie.

Więc może powinna pójść za sobowtórem Grace Panzavecchii, który zniknął w głębi domu. A co, jeśli ta dziewczynka to naprawdę Grace Panzavecchia? I jeśli to wyjaśniałoby zachowanie Okadów, Patricka i posiadanie broni?

Oczywiście jakaś część Jane pragnie pójść za Ravim, bez względu na to, dokąd się wybierają. Przy Ravim Jane czuje się tak, jakby dotąd spała i wreszcie mogła się obudzić.

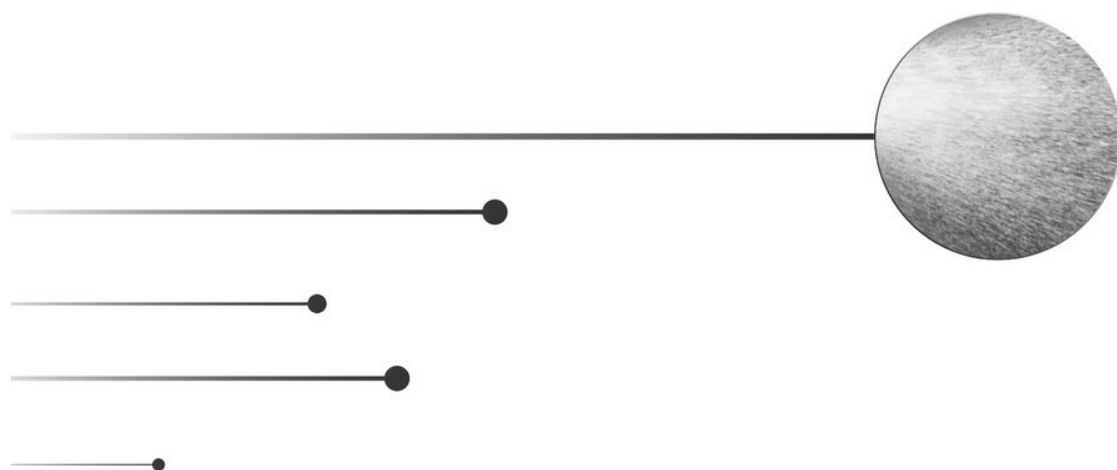
I o co chodzi z tym psem? Z tym śmiesznym psem, który skowyczy na pierwszym piętrze i obserwuje Jane z najtragiczniejszym wyrazem pyska, jaki kiedykolwiek widziała.

Gdzieś w głębi domu rozlega się dzwonienie,
niemal zbyt odległe, by je usłyszeć, ale dźwięczne
i przejrzyste jak dzwoneczki na wietrze.
„Wybieraj, wybieraj”, wydają się mówić.

Pani Vanders, dziewczynka, Kiran, Ravi czy Jasper?

Lewa strona samolotu czy prawa?

Ciociu Magnolio, myśli Jane, gdzie powinnam pójść?



**Zaginione
arcydzieło**

Jane podejmuje decyzję.

– Wiesz co, Kiran? – mówi. – Najpierw muszę porozmawiać z panią Vanders. Wydaje mi się, że znała moją ciocię. Później do ciebie dołączę, dobrze?

– W porządku. – Kiran wzrusza ramionami, zawiedziona. – Wyślij mi SMS.

– Tak zrobię.

Kiran odchodzi.

Gdy Jane dociera do Jaspera na piętrze, pies zrywa się, biega wokół niej, a potem jak zwykle opiera się o jej nogi. Jane go mija.

– Rany, Jasper! Chodź ze mną, czuj się zaproszony. – Ale kiedy się odwraca, już go nie ma.

Jane odnajduje panią Vanders na końcu korytarza na pierwszym piętrze, we wschodnim skrzydle. Kobieta stoi na jednej nodze i przygląda się obrazowi. Bosą stopę wspiera na wewnętrznej części uda, a ręce ma złożone jak do modlitwy. Jane zakłada, że to jakaś pozycja z jogi.

– Jestem, pani Vanders – mówi, podchodząc.

– To ty – stwierdza pani Vanders, nie patrząc na nią ani się nie poruszając. Z tyłu do czarnych spodni do jogi ma przypiętą krótkofalówkę.

– Tak – potwierdza Jane. – Słyszałam, że znała pani moją ciotkę.

– Nie jesteś Ravim.

– Nie. Ravi poszedł kogoś odwiedzić. Chyba matkę? Czy ona jest gdzieś tu, w domu?

Odpowiedzią pani Vanders jest lekceważące hmm.

– Spędzasz dużo czasu z Ivy – mówi. – O czym tak dyskutujecie?

Jane ma tego dosyć.

– W takim razie nie znała pani mojej cioci? – decyduje się na sarkazm. – Tracę tylko czas?

– Moje pytanie o Ivy ma związek z twoim pytaniem o ciotkę.

– Jak to możliwe? Znały się?

– Dużo podróżujesz? – pyta pani Vanders.

– Nie! A czemu? Podróżowała z nią pani, albo coś w tym stylu?

– Mamy jedno ze zdjęć, które twoja ciocia zrobiła w podróży. Małą żółtą rybkę wyglądającą z pyska większej ryby. Twoja ciotka potrafiła... odnajdywać to, co jest ukryte.

– Och! – Jane jest zdumiona. Jedno z jej zdjęć tutaj? Rozpiera ją duma. Wydaje jej się jak najbardziej na miejscu, że dzieło cioci Magnolii trafiło do artystycznego chaosu w tym domu. – A więc tak ją pani poznała? Kupiła pani od niej zdjęcie?

Pani Vanders wzdycha.

– Tak. Właśnie tak.

– Rozumiem. – Jane czuje, że to ma sens, tyle tylko że... poszczególne elementy go nie mają.

– Ale co to ma wspólnego z Ivy?

– Zastanawiałam się tylko, ile ci powiedziała.

– No dobrze, ale jakie to ma znaczenie? To zdjęcie to jakaś tajemnica?

– Oczywiście, że nie. Wisi w zachodnim skrzydle. – Pani Vanders macha w tamtą stronę jedną ręką i w końcu zmienia pozycję. Przysuwa twarz do wiszącego przed nią obrazu.

– Przyjechała tu? – pyta Jane. – Moja ciocia? Znała ją pani?

– Komunikowałyśmy się w sprawie zdjęcia.

- Osobiście? Pan Vanders wiedział na przykład, jak się ubierała.
- O, do diabła – klnie pani Vanders z nosem o kilka cali od obrazu.
- Co się stało?

– Przepraszam, ale czy ten obraz wygląda według ciebie tak, jak powinien?

Jane, której obraz w ogóle nie obchodzi, powstrzymuje się od ciętej riposty i mu się przygląda. To niewielki piękny portret kobiety piszącej przy biurku. Za nią na posadzce w szachownicy siedzi żaba, a na jej zakurzoną niebieską skórę pada przez okno światło słońca. Żaba wygląda tajemniczo, a kobieta jest skupiona na swojej pracy.

– W jakim sensie tak, jak powinien? – pyta Jane.

– Jak obraz Vermeera – mówi pani Vanders. – *Pisząca list z żabą*.

– Nie mam pojęcia, jak powinien wyglądać ten obraz.

– Jan Vermeer – wyjaśnia pani Vanders. – *Dziewczyna z perłą? Kobieta z żabą?*

– Wiem, kim jest Jan Vermeer – mówi Jane. – Jest sławny, i tak dalej. Ale skąd mam wiedzieć, czy ten obraz wygląda tak, jak powinien? Nigdy dotąd go nie widziałam.

– A co sądzisz o świetle?

Jane znów zerka na obraz, na którym są łagodne, jasne partie oraz ciemne, ukryte w cieniu. Rzeczywiście potrafi to docenić. Cała scena wydaje się oświetlona naturalnym światłem.

– Rozproszone? – podsuwa.

– Hmm – mruczy pani Vanders. – Według mnie ta dama wygląda dość mizernie. Nie jest tak świetlista, jak zwykle.

– Chce pani powiedzieć, że ktoś zmienił coś na obrazie?

– Zmienił albo go sfalszował – odpowiada pani Vanders.

– Sfalszował? Poważnie?

– Albo zamienił go na wersję namalowaną przez innego Jana Vermeera – dodaje złowieszczo pani Vanders.

Jane zaczyna się zastanawiać, czy fizyczny zmysł równowagi ochmistrzyni nie jest odwrotnie proporcjonalny do jej równowagi psychicznej.

– Ile jest wart ten obraz? – pyta.

– Obrazy Vermeera są rzadkie i rzadko zmieniają właścicieli. Na aukcji z pewnością sprzedałby się za sto milionów dolarów.

– O Boże! – wyrywa się Jane. Jakie to dziwne, że obraz może być wart więcej niż cały dom, w którym wisi. Jak drewniana szkatułka zawierająca pierścionek z diamentem albo statek, na którym była ciocia Magnolia. – Proszę posłuchać. Rozumiem, że to ważne, ale powinna pani o tym porozmawiać z Ravim albo Lucy St. George, a nie ze mną. Może mi pani opowiedzieć coś więcej o mojej cioci?

Właśnie w tym momencie na końcu korytarza zjawia się Ravi i zmierza w ich stronę, trzymając w ręce resztę tosta.

– Będę ci wdzięczna, jeśli nie wspomnisz ani słowem Raviemu o Vermeerze – szepcze pani Vanders.

– Czemu?

– Bo ja chcę się tym zająć.

Ravi niesie pod pachą oprawiony w ramę obraz przedstawiający liście lilii wodnych. Jest wyraźnie impresjonistyczny, zapewne Monet. Tyle tylko, że gdy Ravi się zbliża, Jane dostrzega, że coś jest... nie tak z żabami siedzącymi na liściach. Ich oczy są inteligentne, ale... martwe. A liście lilii wodnych wyglądają, jakby się unosiły, przemieszczając się po obrazie. Prawie. To

dość dziwne.

– Masz chwilę, Vanny? – pyta wesoło Ravi. – Przyniosłem ci coś.

Pani Vanders zerka na dziwaczny obraz Moneta i na jej twarzy pojawia się wyraz niesmaku.

– Och, doprawdy, Ravi – mówi – proszę, powiedz mi, że nie będziesz mnie prosić o pomoc w znalezieniu kupca na coś takiego.

– Proszę, Vanny – mówi Ravi.

– Nadużywasz mojej cierpliwości. Ty i twoja matka!

– Tak, tak – Ravi na to. – Ale znasz przecież wszystkich wyspecjalizowanych kolekcjonerów.

– Zastanowię się nad tym – odpowiada pani Vanders i dodaje znaczącym tonem: – Gdy będziemy sobie tu stać przed obrazem Vermeera.

– Dobrze – zgadza się Ravi i spokojnie spogląda na obraz. Jane obserwuje panią Vanders, ta zaś obserwuje Ravięgo.

– Zawsze był moim ulubionym – odzywa się Ravi.

– Tak, to rozproszone światło, prawda? – rzuca pani Vanders i milknie.

Jane patrzy to na nią, to na niego i wciąż czeka, aż pani Vanders zapyta Ravięgo, czy coś w tym obrazie wydaje mu się dziwne.

– Nie rozumiem – mówi Jane.

– Nie wtrącaj się, dziewczyno – rzuca ostro pani Vanders. – Wszystko robię w swoim czasie.

Coś w Jane pęka.

– Czyli naprawdę wcale się pani nie przejmuje tym, że z tym Vermeerem może być coś nie tak? To był tylko taki wygodny temat do rozmowy, żeby nie musiała pani odpowiadać na moje pytania o ciocię Magnolię?

– Coś nie tak? – powtarza Ravi. – O czym ty mówisz?

– Uważa, że ta kobieta mizernie wygląda – wyrzuca z siebie Jane i widząc wściekłe spojrzenie pani Vanders, dodaje wojowniczo: – Użyła słowa sfalszowany.

Ravi zamiera.

– Sfalszowany? – piszczy.

– Nie chciałam ci zawracać głowy, Ravi – mówi pani Vanders. – Zwłaszcza tuż przed galą. To na pewno nic takiego.

Ravi wyciąga ręce i zdejmując obraz ze ściany.

– Śrubokręt – rzuca tonem kontrolowanej paniki.

– Ravi, to chyba jasne, że nie noszę przy sobie śrubokręta.

– Ale ja tak – wtrąca Jane i sięga do kieszeni po mały scyzoryk, który zawsze nosi razem z komórką. Jest w nim maleńka końcówka śrubokręta, którą Jane wysuwa i podaje Raviemu.

Chwilę później Ravi kuca na podłodze i niezwykle ostrożnie demontuje ramę. Z niesamowitym skupieniem oddziela od niej płótno i unosi je do światła. Wyciąga palec do twarzy piszącej kobiety i prawie dotyka jej oka.

W milczeniu odkłada płótno na podłogę i chowa twarz w dłoniach.

– A więc miałam rację – mówi przygnębiona pani Vanders.

– Gdzie Lucy? – pyta zduszonym głosem Ravi.

– Zaraz ją tu sprowadzimy – mówi pani Vanders. – Jane, mogłabyś jej poszukać?

– Z przyjemnością – odpowiada Jane, ale zanim rusza, Lucy zjawia się w korytarzu i idzie w ich stronę.

Na widok Ravięgo, który klęczy na podłodze, Lucy przyśpiesza kroku. Jej mina wyraża konsternację.

- Ravi? – mówi. – Dlaczego wyjąłeś ten obraz z ramy?
- Jest sfalszowany – odpowiada Ravi, szarpiąc przetykane siwizną włosy.
- Co?! – woła Lucy. – Jak to możliwe?!

Po twarzy Raviego spływa łza, potem kolejna. Jane to wszystko wydaje się bardzo dziwne. Stoi obok kogoś tak bogatego jak Ravi, kto klęczy na podłodze i płacze z powodu fałszerstwa niezwykle wartościowego obrazu.

– To doskonały falsyfikat – ciągnie Ravi. – Doskonały, z wyjątkiem brakującego punkcika światła w oku kobiety. Ten punkcik to wiedza, którą przekazujemy sobie w rodzinie. Nigdy o tym nikomu nie wspominaliśmy.

– Co takiego? – Lucy bierze do rąk płótno. – Daj mi to. O czym ty gadasz?

– Oko tej kobiety to „znikający punkt” obrazu – wyjaśnia Ravi. – Vermeer wbił w płótno szpilę, przymocował do niej sznurek, żeby rozpracować perspektywę. To dlatego cała scena jest taka wyważona. Wiele lat temu pani Vanders odkryła dziurkę.

Lucy wpatruje się w niego z niedowierzaniem.

– Wiedziałaś, w jaki sposób pracował Jan Vermeer? I nigdy nie podzieliłeś się tą wiedzą z miłośnikami sztuki? Choć wiemy tak niewiele o metodach jego pracy?

– Ktoś ma naszego Vermeera, Lucy! – woła z pasją Ravi. – Nie dbam o to, czy namalował go pędzlem wetkniętym we własną dupę.

– To nie do wiary – mówi Lucy, przysuwając obraz do oczu. – Niezwykle udane fałszerstwo.

– Nawet pęknięcia farby wyglądają tak, jak trzeba – dodaje ponuro pani Vanders. – W każdym razie na pierwszy rzut oka.

– I krawędzie – mówi Ravi, sięgając po obraz i odbierając go z rąk Lucy. – Krawędzie pasują. Ktoś wyjął go z ramy i je sfotografował.

– Niedobrze, że coś takiego stało się teraz, dzień przed galą – zauważa Lucy. – Przygotowania tylko poszerzają spektrum podejrzanych.

– Cóż, na pewno to nie był nikt z rodziny Thrashów – twierdzi Ravi. – Ani Yellanów, ani Vandersów. Wszyscy wiemy o tym punkciku.

– Tyle tylko, że ktoś mógłby powiedzieć, że umyślnie pominięto ten punkcik – mówi Lucy. – Gdyby był na sfalszowanym obrazie i odkryto by fałszerstwo w jakiś inny sposób, wiedzielibyśmy wówczas, że fałszerz był Thrashem, Vandersem lub Yellanem.

– Cóż, ja wiem, że nie – upiera się Ravi.

– Dobra, Ravi. W porządku – przytakuje zniecierpliwiona Lucy. – Na pewno uwzględnię twoją wyrafinowaną analizę w śledztwie. Szczerze mówiąc, wciąż nie mogę w to uwierzyć. Jesteś pewien, że to nie oryginał?

Ravi w odpowiedzi pociąga nosem, po czym podnosi scyzoryk i zwraca go Jane.

– Gdzie Kiran? – pyta. – Ktoś z was ją widział?

– Jest w ogrodzie zimowym – odpowiada Lucy. – Gra w karty z Phoebe i Colinem.

Ravi zostawia obraz z ramą na podłodze, a dziwaczного Moneta opartego o ścianę. Wstaje.

– Muszę jej powiedzieć – oświadcza, ruszając w stronę schodów serwisowych. Wahadłowe drzwi się za nim zamykają.

Po chwili milczenia Jane mówi:

– O rany.

Lucy mruży oczy i patrzy bystrym ponurym wzrokiem na panią Vanders, potem na Jane. W tej chwili Jane potrafi ją sobie wyobrazić, jak siedzi z handlarzami narkotyków i wrabia ich w przekazanie bezcennego arcydzieła.

Wie, że na tym polega praca Lucy, ale to naprawdę zbyt absurdalne, by sądziła, że Jane może mieć z tym coś wspólnego.

Z drugiej strony Jane to rozumie, bo jej opinia o wszystkich ludziach w tym domu też się zmieniła. Ona również nie zamierza nikomu ufać, dopóki nie przeanalizuje każdej możliwości.

A ponieważ obejmuje to również panią Vanders i Lucy, mówi:

– No to do zobaczenia – i idzie do swojego apartamentu.

Pod jej drzwiami czeka Jasper. Gdy Jane go wpuszcza, pies chowa się pod łóżkiem. Po niedługim czasie słycać jego ciche chrapanie, które wydaje się przytulne i w jakiś sposób pomocne, jak paliwo.

Przez okna saloniku Jane widzi pana Vandersa kopiącego w ogrodzie w tym samym miejscu, gdzie wczoraj kopała dziewczynka. Pracuje łopatką powoli i z gracją, jakby chodziło o sam akt kopania, a nie o zrobienie dołka. Przerywa na chwilę i kicha. Jane ma ochotę się wychylić i krzyknąć do niego, że nic tam nigdy nie urośnie, jeśli wszyscy ciągle tam będą kopać.

Wraca do pokoju z parasolkami, choć tak naprawdę ich nie zauważa. Jej myśli krążą wokół sfalszowanego Vermeera. Z jednej strony to ulga, że któraś z tajemnic tego domu wychodzi na jaw, że wszyscy się o tym dowiedzą i będą o tym mówić. Z drugiej strony, im więcej Jane się dowiaduje, tym mniej widzi w tym wszystkim sensu. I naprawdę nie chciałaby, żeby to doprowadziło do ujawnienia, że Ivy jest w jakiś sposób zamieszana w kradzież dzieł sztuki.

Choć jeśli jest w to wplątana Ivy lub ktoś inny, Jane przypuszcza, że lepiej byłoby o tym wiedzieć.

Cholera.

Otwiera szkicownik, przerzuca strony z rysunkami parasolek i zaczyna sporządzać listę, począwszy od najbardziej podejrzanych osób.

Patrick Yellan

Philip Okada

Phoebe Okada

– *Philip skrada się po domu z bronią. Cała trójka rozmawia o Panzavecchiach? Philip widziany na zapleczu na strychu, teraz udał się w jakieś tajemnicze miejsce, kłamie, że jest mizofobem. Phoebe kłamie na temat Philipa. Patrick „chce coś wyznaczyć” Kiran, ale nigdy tego nie robi. Popada w zadumę. Ma łatwy dostęp do łodzi. Był gdzieś do późna z Ravim.*

Jane zgrzyta zębami i dopisuje kolejne nazwiska.

Ivy Yellan

– *Coś przede mną ukrywa. Robi zdjęcia dzieł sztuki, ale czy naprawdę? Ma szczegółowe plany domu, uwzględniające dzieła sztuki i dekoracje. Twierdzi, że zna wszystkie tajemnice domu. „Oszczędza” na studia. Wydaje się żywić urazę do pani Vanders.*

Jane myśli, że równie dobrze może uwzględnić służących.

Pani Vanders

– *Ma kompletnego fioła na punkcie kontroli. Lubi ją mieć nad tym, co wszyscy wiedzą, a o czym nie wiedzą, kto dokąd idzie, z kim kto rozmawia i o czym. Jest szefową Patricka. Niechętnie przyznała przed Ravim, że podejrzewa fałszerstwo. Dlaczego?*

– Z drugiej strony to ona powiedziała mi o fałszerstwie, więc raczej nie jest podejrzaną.

Pan Vanders

– Wczoraj widziany z małym dzieckiem. Dziś widziany z planami. Wymijająco odpowiada. W tej chwili kopie w ogrodzie. (Czy można bezpiecznie zakopać obraz?)

Kucharz

– Nigdy go nie ma.

Różni pracownicy obsługujący galę.

Jane przechodzi do innych mieszkańców domu i gości.

Lucy St. George

– Prywatna detektyw zajmująca się skradzionymi dziełami sztuki, więc dużo wie o kradzieżach. Jej ojciec Buckley jest handlarzem dzieł sztuki (podobnie jak jej kuzyn i chłopak). Ostatnio zgubiła Rubensa. Raz jest z Ravim, raz z nim nie jest. (Jakieś zranione uczucia? Zemsta?)

Colin Mack

– Również dużo wie o świecie sztuki i kradzieżach. Buckley jest jego wujem. Kiran wydaje się go nie lubić, mimo że są ze sobą. (Choć Kiran chyba nikogo nie lubi.) Przy śniadaniu zachowywał się paskudnie wobec Lucy, swojej kuzynki.

Kiran Thrash

– Nieszczęśliwa. Zła na wszystkich. Nienawidzi tego domu, nienawidzi sztuki. Czy zrobiłaby coś, żeby się odegrać?

Ravi Thrash

– Uwielbia sztukę. Obraz Vermeera to jego ulubiony, w dzieciństwie pod nim sypiał. Czy kocha go na tyle, żeby go ukraść? Czy jest dobrym aktorem? Dlaczego pani Vanders zachowywała się przy nim tak skrycie? Podejrzewa go?

Octavian Thrash

– Wydaje się nie przejmować zaginioną rzeźbą Brâncușiego. [ZWRÓCIĆ UWAGĘ: zaginiony Brâncuși! Teraz, gdy zniknął też obraz Vermeera, na pewno ma to większe znaczenie!]
– Jego żona zaginęła. Wydaje się przygnębiony i aspołeczny. Zły na Ravięgo. Nie śpi po nocach, zaszywa się w dzień jak jakiś wampir. Czy obrazy Vermeera i Brâncușiego były ubezpieczone? Czy bogaci ludzie nie fingują czasem kradzieży, żeby dostać ubezpieczenie?

Charlotte Thrash

– Jej matka mogła być oszustką. Kiedy Octavian ją poznał, rysowała plan kasyna w Vegas. Podejrzanę? Nie ma jej od miesiąca, co jest wyjątkowo dziwne. Kiedy dokonano fałszerstwa obrazu Vermeera? Czy mogła zabrać go ze sobą? (Kiedy po raz ostatni widziano rzeźbę Brâncușiego?)

Jane obgryza koniec ołówka, zastanawiając się nad swoją listą. Próbuje ustalić, czy w domu jest ktoś, z kim może bezpiecznie rozmawiać. Do pokoju wchodzi Jasper, ciekawski, ze

smutnymi oczami.

Jane dodaje:

Jasper Thrash

– Jedyna postać w tym domu (oprócz mnie), która na pewno jest niewinna.

Odwraca stronę. Pisze:

– *Co robić?*

Możliwości:

- Porozmawiać z panią Vanders, która na pewno jest niewinna. Dowiedzieć się, kogo podejrzewa. Podpytać ją o Ivy.
- Porozmawiać z Lucy St. George, która pewnie ma jakiś pomysł, co się tutaj dzieje.
- Doprowadzić do konfrontacji z Ivy.

– A ty jak myślisz, Jasper? – pyta.

Pies podchodzi bliżej i opiera się o jej buty. Jane ma wrażenie, że spogląda na nią z jakąś determinacją.

– Jeśli chodzi o mnie – mówi – to dwa pierwsze pomysły podobają mi się bardziej niż trzeci.

Jasper jeszcze mocniej napiera na jej nogi.

– Jesteś gotowy? – pyta Jane. – No to idziemy.

Kieruje się w stronę środka domu, żeby sprawdzić, czy pani Vanders jest w kuchni.

Zbliżając się do schodów, słyszy głosy z głównego holu, a potem widzi Kiran i Colina. Kiran skrzyżowała ręce na piersi, jakby w obronnym geście.

Jane do nich schodzi.

– Nie wiem – słyszy słowa Kiran. – Wygląda na to, że pani Vanders mu się przyglądała i coś jej nie pasowało.

– Widziałas go? – pyta Colin. – Jest piękny.

– Tak. Nie byłabym w stanie poznać, że jest sfalszowany – odpowiada Kiran. – Ale przecież Vanny zna się na sztuce.

– Nie uważasz, że to ciekawe, że Philip wczoraj w nocy wyjechał? – mówi Colin. – Przed chwilą przycisnąłem w tej sprawie Phoebe i powiedziała mi, że codziennie będzie się prznosił w inne miejsce z jakimś bogatym pacjentem, który jest na wycieczce. To by się dobrze składało, prawda?

– Tyle tylko, że znam mnóstwo bogatych ludzi, którzy uznaliby, że to zupełnie normalne, żeby ich lekarz przylatywał samolotem z powodu ich bólu brzucha. Wyobraź sobie, jaką świtę zabrały ze sobą Buckley na jakiś dłuższy wyjazd.

– Och, daj spokój. Buckley nie jest taki zły.

– Rany, podlizujesz mu się – mówi Kiran.

Jane dotarła na pierwsze piętro, gdzie drogę zablokował jej Jasper niczym niski futbolista w kształcie hot doga. Gdy próbuje go ominąć, pies zaczyna warczeć.

Jane wzdycha i przystaje, by zapisać coś w szkicowniku. Odwraca się twarzą do ściany, by wyglądało to tak, jakby robiła notatki o dziełach sztuki, a nie o prywatnych rozmowach ludzi, których podsłuchiwała.

Buckley St. George, pisze. *Bogaty i zepsuty*. Potem rysuje gwiazdkę obok nazwiska Philipa, bo wyjaśnienia Phoebe wydają jej się absurdalne. Dopisuje jeszcze: *Dlaczego Colin umawia się z Kiran, skoro jest dla niego taka okropna?*

Ktoś kaszle za jej plecami.

To Colin, który stoi kilka stopni niżej i patrzy na nią z uniesionymi brwiami.

– Cześć – mówi.

– Cześć – odpowiada Jane, zamykając notes.

– Co robisz? Notatki o tym obrazie?

Jane zerka na obraz, o którym rzekomo coś zanotowała. To ten wysoki obraz olejny: z pomieszczeniem, w którym suszy się parasolka.

– Zanotowałam sobie coś o parasolce – mówi rozsądnie, a potem sobie przypomina, że dla Colina to nic nie znaczy, bo przecież nie wie, że Jane robi parasolki.

– No jasne – mówi Colin. – Podejrzewałbym, że planujesz kradzież, tyle tylko, że tego obrazu nikt by nie ukradł.

Droczy się z nią; w każdym razie Jane wyczuwa, że o nic ją na serio nie oskarża.

– Czemu nie? – pyta, dostrzegając sposobność, by dowiedzieć się czegoś więcej o kradzieżach dzieł sztuki. – Jest ładny.

– Jest zbyt wielki, żeby go przenieść, i nic niewart.

– Może chcę go ukraść, bo mi się podoba?

– Ten malarz niczym się nie wyróżnia.

– Tak uważasz? – Jane przygląda się dokładniej. – To znaczy, chyba nie jest jakiś niesamowity...

– Nie należy też do żadnej szkoły – ciągnie Colin. – Znając Octaviana, założę się, że kupił go na pchlim targu.

– No cóż, ale ma swój urok, zwłaszcza dla wielbicieli parasolek. Dlaczego tak bardzo chcesz mnie przekonać, że jest nic niewart?

– Ponieważ – odzywa się Lucy, która właśnie wychodzi zza rogu – kiedy Colin widzi, że ktoś jest skupiony na obrazie, który według niego jest nic niewart, zaczyna się martwić, że coś mu umknęło. – Jane, słysząc to, szczerzy zęby, a Lucy wybucha śmiechem. – To mój kuzyn, znam go.

– Czyli próbujesz mnie przekonać, że masz rację, bo boisz się, że możesz się mylić?

Jakiś łoskot na dole nie pozwala oburzonemu Colinowi odpowiedzieć. Potem słychać wrzaski. Jane, Lucy i Colin spoglądają po sobie ze zdumieniem. Razem podbiegają do balustrady, Jasper napiera na nogi Jane.

– Octavian! – krzyczy Ravi. Stoi w głównym holu i czymś wymachuje. – Octavian! – Obok niego na posadzce w szachownicy leży roztrzaskany wazon. Dookoła jest kałuża wody i porozrzucone gałęzie bzu. – Octavian! – krzyczy jeszcze raz, ile sił w płucach, aż trzęsie się sufit.

– Colin – mówi przejęta Lucy – czy to dolna połowa rzeźby Brâncușiego? Postument tej ryby, która zawsze stała w głównym holu?

– Tak – potwierdza zdumiony Colin.

– Ale gdzie jest górna część? Gdzie jest ryba?

– Skąd mam to wiedzieć?

– Colin – w głosie Lucy pojawia się stalowy ton. – Gdzie jest ryba?

– Nie wiem! To ty jesteś detektywem, nie ja. A co, uważasz, że to ja ją odłamałem?

Lucy zbywa kuzyna machnięciem ręki i zaczyna schodzić do Ravięgo. Na wszystkich poziomach zaczynają się gromadzić sprzątacze i dekoratorzy, i gapią się na napad Ravięgo. Ivy też już jest na dole, stoi obok Kiran i Phoebe. Wszyscy wpatrują się w Ravięgo.

Jane ogarnia dziwne uczucie paniki pomieszanej z ulgą. Teraz wszyscy już wiedzą o zaginionym Brâncușim. Jane przypomina sobie, że widziała, jak ta dziewczynka podobna do Grace Panzavecchii przyniosła coś do głównego holu i zostawiła to na jednym ze stołów. Czy to był ten postument?

Nagle uświadamia sobie, że ta biała pluszowa torba z kaczuszkami, którą niósł Philip Okada, była torbą na pieluchy. Malutki Leo Panzavecchia jest chory, zaginął; Philip Okada jest lekarzem.

Co się tutaj dzieje? Czy to jakiś skomplikowany spisek, w którym biorą udział Panzavecchiowie, ich lekarz i służba? I który ma jakiś związek z kradzieżą dzieł sztuki? Jane przygląda się Ivy, która obserwuje Ravięgo. Ma zmartwioną minę, ale jest spokojna. I nie wydaje się jakoś bardzo zaskoczona. Jane zauważa też, że nie ma tam Patricka.

– Pokaż mi to – mówi Lucy do Ravięgo i próbuje odebrać mu postument, ale Ravi nie chce go jej dać. Dalej krzyczy, prawie jej nie zauważając:

– Octavian! Octavian!

W końcu do holu wpada pani Vanders.

– Bądź cicho – mówi. – Może byś nam wyjaśnił w zrozumiały sposób, o co ci chodzi?

– O to! – wrzeszczy Ravi, potrząsając postumentem. – O to mi chodzi!

Na widok postumentu pani Vanders zamiera. Jane ze schodów nie widzi jej twarzy, lecz gdy pani Vanders wyciąga rękę do Ravięgo, ten podaje jej postument. Kobieta jednym palcem dotyka jakiegoś miejsca pośrodku płaskiej lustrzanej powierzchni i oddycha z ulgą.

– Proszę mi to pokazać – mówi Lucy. Pani Vanders podaje jej postument. Lucy dotyka tego samego miejsca, po czym kiwa głową do ochmistrzyni, która bacznie ją obserwuje.

– Ravi – odzywa się Lucy. – Rzeźbę zdjęto z podstawy w umiejętny sposób. Jeśli sama rzeźba jest nieuszkodzona, po jej odnalezieniu powinno być łatwo ponownie je ze sobą połączyć.

– Po jej odnalezieniu? Po jej odnalezieniu?! – krzyczy Ravi.

– Uspokój się, Ravi – prosi go pani Vanders. – Weź głęboki oddech. Powiedz mi, gdzie znalazłeś ten postument.

Ravi wskazuje na rząd stołów z boku.

– Stał tam – mówi. – Ktoś postawił na nim wazon z bzem! – krzyczy.

– W porządku – mówi pani Vanders. – Oddychaj spokojnie.

– Wczoraj wieczorem go tam nie było. Ktoś zabrał całą rzeźbę, odłamał rybę, a potem odstawił postument. Co za wariat zrobiliby coś takiego? I jeśli zrobili to z Brâncușim – w jego głosie słyhać niemal histerię – to co zrobili z Vermeerem? Chcę dostać listę wszystkich, którzy wchodzili do tego domu i wychodzili. Natychmiast!

– Nic prostszego – mówi sarkastycznie pani Vanders. – To by byli ludzie z cateringu, muzycy, dodatkowy personel do sprzątania, mieszkańcy domu i twoi goście. Zaczniemy przesłuchania już teraz czy później?

– Dlaczego pani mówi takim tonem?! – krzyczy Ravi. – Nie rozumie pani powagi tego, co się stało?! – Nagle zwraca się do Phoebe Okady: – Gdzie twój mąż? – warczy na nią. – Opuścił wyspę, zgadza się?

Phoebe wpatruje się w Ravięgo z kamienną twarzą.

– Udam, że nie słyszałam, jak sugerujesz, że Philip coś ci ukradł – mówi. – Po tych słowach

stanowczym krokiem wychodzi z holu i znika na weneckim dziedzińcu. Wygląda na złą i wzburzoną.

– Ravi, daj spokój. Sam siebie posłuchaj – mówi pani Vanders. – Philip Okada jest lekarzem. Wezwano go do nagłego przypadku.

– Kontaktowałeś się z FBI?! – pyta Ravi.

– Niby jak?! – woła pani Vanders. – Telepatycznie, gdy wszyscy tu staliśmy i podziwialiśmy twój napad?

– Czeka! Nie skontaktowałaś się z FBI? – znów krzyczy Ravi. – W ogóle jeszcze pamiętasz o Vermeerze?

– Ravi, oczywiście, że powiadomię stosowne władze – mówi ochmistrzyni. – Ale musisz wziąć głęboki oddech i uświadomić sobie, że to, co się stało z Brâncușim, to zupełnie inna sprawa niż świetne fałszerstwo Vermeera. To wygląda na przypadek albo na jakiś dowcip.

– Kto by się tak wygłupiał z niezastąpionym dziełem prawdziwego geniusza? – Ravi znów podnosi głos. – Dzwoni do FBI, do CIA i Interpolu! Moje dzieła sztuki mogą być już w Hongkongu! Lucy!

– Jestem tu, Ravi – mówi Lucy, która stoi obok niego, wciąż przyciskając do piersi postument. Jest strasznie blada i wygląda, jakby było jej trochę niedobrze.

– Lucy? – Ravi chwyta ją za ramiona, prawie nią trzęsie. – Lucy! Znajdziesz moje dzieła sztuki?

– Ravi, kochanie – mówi Lucy. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Dziękuję. Dziękuję. – Gdy ją puszcza, Lucy się potyka, a Ravi tego nie zauważa, bo zdążył się już odwrócić do pani Vanders. Mówi do niej: – Powinniśmy odwołać galę.

– Nie odwołamy gali – odpowiada ochmistrzyni.

– Gala to świetna okazja, by ktoś mógł się wymknąć ze skradzionymi dziełami sztuki – protestuje Ravi.

– Ravi Thrashu! Od ponad stu lat w tym domu odbywają się gale z okazji każdej pory roku. Nie zmienił tego ani Wielki Kryzys, ani prohibicja, ani śmierć trzech Octavianów Thrashów.

Ravi wpatruje się w nią ze złością. Potem odsuwa się od niej o krok, unosi głowę i ryczy:

– Octavian! Obudź się, do diabła, i chodź tutaj!

– Idź do jego pokoju, Ravi – radzi cicho Ivy. – Wiesz, że w dzień nie wstanie z łóżka.

Ravi garbiąc ramiona, odwraca się w jej stronę.

– Może lepiej chodź ze mną Ivy-Fasolko – mówi. – Pójdiesz ze mną i mnie uspokoisz?

– Pójdę z tobą, jeśli ty się uspokoisz – mówi Ivy.

– Tak mi przykro, że straciliśmy twoją rybę – mówi Ravi tonem małego chłopca.

– To nie moja ryba – odpowiada łagodnie Ivy. – Jest twoja.

– Ale to ty zawsze najbardziej ją kochałaś. – Ravi otacza Ivy ramieniem. Ruszają razem w stronę schodów i zaczynają się po nich wspinać.

Pani Vanders spogląda za nimi z nieufnym wyrazem twarzy. Wyciąga rękę do Lucy, nawet na nią nie patrząc. Lucy podaje jej pusty postument i szybko zerka na Colina, który z pobladałą twarzą wciąż stoi obok Jane. Lucy wyciąga z kieszeni komórkę.

– Nic ci nie jest? – Jane pyta Colina, bo ten nie wygląda za dobrze.

– Przykro patrzeć na Ravię, kiedy jest taki zdenerwowany.

– Wie, jak zrobić scenę, bez dwóch zdań. – Jane się zastanawia, czy to dlatego pani Vanders nie chciała niepotrzebnie niepokoić Ravię w sprawie Vermeera.

Tylko dlaczego nie miała ochoty zadzwonić do FBI?

– Prawda jest taka, że martwię się też o Lucy – mówi Colin. – To dla niej upokarzające, że coś takiego dzieje się tuż pod jej nosem, zwłaszcza po tym, jak zgubiła tamtego Rubensa.

– No tak – przyznaje Jane.

– Zupełnie, jakby złodziej chciał publicznie zademonstrować, że nie traktuje poważnie Lucy jako prywatnego detektywa – dodaje Colin. – To bardzo osobista sprawa.

– Jak myślisz, kto to zrobił?

Colin śmieje się nerwowo, po czym wzrusza ramionami.

– Ktoś niemądry.

– Czy to nie straszne – mówi Jane. – Myśleć, że w domu jest złodziej...

– Pewnie. Ale nie zamartwiaj się na zapas. Lucy zajmie się sprawą.

– Wiesz, kogo podejrzewa?

– Nie dzieli się ze mną takimi rzeczami – odpowiada Colin z lekką urazą w głosie, która budzi w Jane ciekawość. Bardzo chciałyby już wrócić do swojego apartamentu, gdzie będzie mogła w spokoju przemyśleć wszystkie te nowe wydarzenia. Jednak gdy odwraca się, by odejść, Colin mówi:

– Kiran wspominała, że robisz parasolki. To miałaś na myśli, kiedy mówiłaś wcześniej, że masz artystyczne skłonności?

Jane jest przerażona.

– To nic takiego – odpowiada, próbując przygasić zainteresowanie Colina. – To tylko hobby.

– Rozumiem – mówi Colin. – Ale to bardzo fajne hobby.

– Dzięki. – Jane się odwraca, ale zauważa, że Colin rusza za nią.

Jane nie chce, by jej towarzyszył. Przystaje.

– Przepraszam – broni się natychmiast Colin. – Przysięgam, że nie chcę cię prześladować. Po prostu zaciekawiły mnie te parasolki.

– Właściwie to nie chcę o nich mówić. A już na pewno nie mam ochoty ich ci pokazywać.

– Zrozumiałem. Przepraszam, nie panuję nad tym. Moja praca polega na tym, by być wścibskim zawsze, gdy słyszę o jakimś nowym, ciekawym rodzaju sztuki.

– Jestem dopiero początkująca – mówi Jane. – Są beznadziejne! To nie jest żadna sztuka!

Colin cały zmienia się w wyciągnięte nad głowę ręce i szeroki, szczery uśmiech.

– Wiem – mówi. – Jeszcze raz przepraszam. Zapomnij, że w ogóle o tym wspomniałem. Udowodnię ci to. Odprowadzę cię do twojego apartamentu i nie szepnę nawet słówka o parasolkach. Może być?

– W porządku – zgadza się Jane.

Idą po schodach, Jasper podąża za nimi.

– Dziwne, że złodziej wybrał Brâncușiego – zauważa Colin. – To spory przedmiot. Trudno byłoby z nim się wykraść.

– Jak wygląda ta ryba? – pyta Jane. – Poznam ją, jeśli ją zobaczę?

– Wygląda jak długi, płaski, lekko owalny srebrzysto-biały marmur. Jest bardzo abstrakcyjna, jak na rybę.

– A czy jest... piękna?

– W sumie nie w moim guście – odpowiada Colin – ale na pewno jest bardzo cenna.

– Czy ryba jest coś warta bez postumentu?

– Pewnie, że jest coś warta – mówi Colin. – Ale postumenty Brâncușiego mają ogromne znaczenie dla jego rzeźb. Ta ryba ma balansować właśnie na tym postumencie. Są częściami całości. Pokazywanie ich osobno byłoby jakimś absurdem.

– W takim razie to dość dziwna kradzież.

– Tak – przyznaje Colin. – To raczej wandalizm. Spójrz tylko na ten straszny kicz – dodaje, dotykając butem głowy Kapitana Polarnych Gaci, którego akurat mijają. – Wuj Buckley uwielbia takie rzeczy.

– Naprawdę? – Jane ma ochotę dowiedzieć się czegoś więcej o sławnym i rozpuszczonym wuju Buckleyu. – Chyba wyobrażałam sobie kogoś bardzo... wyrafinowanego.

– Och, ma też eklektyczne gusta. Tak naprawdę, to... Ech, mniejsza z tym. – Colin znów podnosi ręce, pokazując, że się poddaje. – Zapomniałem, że nie wolno mi wspominać o parasolkach.

Podpuszcza Jane. I to działa. Teraz naprawdę chciałyby się dowiedzieć, co miał do powiedzenia o wuju Buckleyu i parasolkach.

– Dopóki nie chodzi o moje parasolki, nie mam nic przeciwko temu.

– No cóż – Colin uśmiecha się szeroko – zamierzałem tylko powiedzieć, że wuj Buckley kolekcjonuje parasolki. Właściwie to ma po jednej do każdego stroju.

– Naprawdę?

– O tak. W kropki, prążki, z kwiecistymi nadrukami. Zawsze powtarza, że chciałby, by robiono też takie figuratywne, na przykład, żeby czasza wyglądała jak głowa żaby albo jak volkswagen garbus, i tak dalej.

– Coś takiego!

– Jest takim człowiekiem, który pewnego dnia mógłby ci pomóc. To znaczy, gdybyś kiedykolwiek się zdecydowała, że jesteś gotowa pokazać komuś swoje parasolki. Ale teraz pewnie znów przekroczyłem granicę, co?

– Jak to mi pomóc? – pyta Jane, bo nie może się powstrzymać. Robi figuratywne parasolki; na przykład ta, która wygląda jak ptasie jajko, taka jest. To jedna z jej najlepszych parasolek, jedna z niewielu, które mogłaby komuś pokazać.

– No cóż – mówi Colin – znajduje nabywców na dzieła sztuki. Rozumiem, że według ciebie twoje parasolki to nie sztuka? Ale jeśli będziesz dalej nad tym pracować, może pewnego dnia się nią staną, a partnerstwo z kimś takim jak wuj Buckley to coś, co może wywołać prawdziwą eksplozję w życiu artysty. To znaczy, w dobrym sensie.

Jane znów przystanąła. *Ciociu Magnolio? To dlatego chciałaś, żebym tutaj przyjechała? Żeby ktoś zobaczył moje parasolki i wywołał w moim życiu eksplozję?*

Colin ociąga się niezręcznie, drapie się po głowie, obraca, jakby oglądał obrazy na ścianach, a Jane stoi zajęta swoim wewnętrznym monologiem.

– Wszystko w porządku? – pyta w końcu Colin.

– Czy jeśli ci je pokażę, będziesz pamiętał, że jestem początkująca?

– Naturalnie. – Colin się uśmiecha. – Wiesz, nie jestem dupkiem.

Jane ma wrażenie, że niezależnie od tego, czy Colin jest dupkiem, czy nie, dokładnie na taki efekt liczył, gdy obiecał, że odprowadzi ją do apartamentu i nie szepnie ani słówkiem o parasolkach.

Mimo to Jane otwiera drzwi, bierze głęboki oddech, wyobrażając sobie meduzę, i wpuszcza go do środka.

W saloniku Jane Colin chodzi między jej parasolkami, mruczy coś w zamyśleniu, unosi je do światła i w każdej sprawdza napięcie tkaniny. Otwiera je szybkimi, gwałtownymi ruchami i Jane się denerwuje, czy ich nie uszkodzi.

– Hej! – mówi. – Delikatniej. Są ręcznie robione!

Wchodzi Jasper i opiera się o nogi Jane, z niepokojem obserwując Colina. Gdy ten z pasją wygina, obraca i ogląda każde jej dzieło, przypomina jej Sherlocka. Niemal spodziewa się, że podnosząc do światła jej parasolkę z pajęczyną koloru kości słoniowej, z czarną koronką i wywijając nią jak szablą, Colin powie: „To nie mogłoby być bardziej oczywiste. Zrobił to kamerdyner w bibliotece, używając parasolki z pajęczyną”.

Ale w rzeczywistości mówi:

– Wiesz, do tej pory nie rozumiałem fascynacji mojego wuja parasolkami. Niektóre z nich są naprawdę świetne.

Ku przerażeniu Jane do jej oczu napływają łzy. Natychmiast się od niego odwraca i ociera je rękawem.

– Dlaczego z pajęczyną? – pyta Colin.

– Miałyśmy kiedyś w domu pajaka – mówi Jane, pociągając nosem. – Mieszkał pewnej zimy w naszym oknie w kuchni. Ciocia nie pozwoliła mi go zabić. Dałyśmy mu na imię Charlotte oczywiście.

– A ta? – pyta, unosząc taką, która wydaje się czerwona, póki nie padnie na nią światło, budząc różne odcienie fioletu.

Jane pociera uszy.

– Jest zrobiona z dwóch półprzezroczystych tkanin – mówi. – Czerwona z zewnątrz a niebieska od środka, więc w zależności od światła wydaje się, że mieni się różnymi odcieniami fioletu. Próbowałam też z żółtą i niebieską tkaniną, by uzyskać zieleni, ale pod taką czasą ludzie wydawali się chorobliwie bladzi.

– Wuj Buckley doceniłby fakt, że bierzesz pod uwagę takie rzeczy – mówi Colin. – A działają? To znaczy, nie przepuszczają deszczu?

– Niektóre trochę przepuszczają na szwach – mówi Jane. – Jedne otwierają się płynniej niż inne. Niektóre są trochę za ciężkie, jak pewnie sam zauważyłeś.

– Faktycznie, niektóre są ciężkie.

– No, ale używam ich, kiedy pada, i sprawdzają się nie najgorzej.

– Na pewno będziesz coraz lepsza w wymyślaniu ich konstrukcji – chwali ją Colin. – To jasne, że masz talent i motywację.

Jane nie jest w stanie odpowiedzieć na to i się nie rozplakać, więc milczy.

– Pozwolisz mi jedną zabrać, żebym mógł ją pokazać wujowi Buckleyowi? – pyta Colin. – Myślę, że mógłby chcieć nimi handlować.

– Po tym, co ci powiedziałam, że przeciekają?

– No, oczywiście nie tymi, które przeciekają.

– Ale nie widzisz, jakie są powykrzywiane? Nie widzisz nierównych szwów?

– Są ręcznie robione, a to sprawia, że mają swój urok. Są ludzie, którzy zapłaciliby setki dolarów za takie parasolki.

– Och, zjeżdżaj stąd – mówi Jane.

– Bogaci ludzie uwielbiają wydawać pieniądze. Jeśli pozwolisz mi pokazać jedną wujowi Buckleyowi, może będziemy mogli pomóc ci, byś na tym skorzystała. Będzie przeschęśliwy, a wtedy ja też. Od jakiegoś czasu nie znalazłem dla niego nic ciekawego.

– No cóż – mówi osłupiała Jane. – Jasne.

– Tak naprawdę to powinienem wziąć kilka. Trzy albo cztery, żeby pokazać mu twój styl.

Mój styl? Jane nie ma pojęcia, jaki ma styl. Jednak gdy Colin dokonuje wyboru, Jane widzi, że

zdecydował się zabrać niektóre z jej ulubionych parasolek. Tę z atlasową czaszą w kolorach brązu i miedzianego różu, której używała na jachcie, bo wydała jej się stosowna na wielką przygodę. Tę podłużną, z głęboką czaszą w kształcie ptasiego jaja i bładoniebieską z brązowymi plamkami. I parasolkę zaprojektowaną tak, by zarówno od wewnątrz, jak i od zewnątrz wyglądała jak kopuła Panteonu w Rzymie.

– Nigdy tam nie byłam – mówi Jane – ale ciocia Magnolia opowiadała o nim, jakby to było jakieś magiczne miejsce. Mówiła, że przez dziurę u szczytu kopuły pada deszcz, ale w parasolce to by nie było zbyt praktyczne, więc od zewnątrz pokazuję widok w środku, a od środka nocne niebo. To malowany jedwab, a gwiazdy są z przyklejonego brokatu.

– A teraz nad czym pracujesz?

– Teraz... sama nie wiem. Dziś rano miałam pomysł, ale teraz przychodzi mi do głowy inny.

– Doskonale. Wy, artyści, musicie słuchać głosu swej muzy – oświadcza Colin z całym naręczem jej parasolek. Jane wchodzi za nim do sypialni, chce jeszcze raz ich dotknąć, pożegnać się z nimi. To jej dzieci.

– Kiedy się czegoś o nich dowiem? – pyta z niepokojem.

– Wyślę je dzisiaj pocztą. Wuj Buckley jest w mieście. Pewnie odezwie się w ciągu najbliższych paru dni.

Po wyjściu Colina Jasper wchodzi pod łóżko i się pod nim chowa.

– Naprawdę, wielka z ciebie pomoc! – woła za nim Jane.

Przy roboczym stole z roztargnieniem przesuwając ręką po przykurzonej niebieskiej tkaninie leżącej na górze sterty. Dostrzega, że jest nierówno zabarwiona, wygląda to jak znak wodny. Coś jej to przypomina. Tylko co? W tej skazie na tkaninie jest coś znajomego.

Używając wodoodpornego kleju do tkanin, Jane zaczyna z umiarem ozdabiać ją brokatem w różnych odcieniach niebieskiego. Nie próbuje stworzyć żadnego szczególnego wzoru; chce w ten sposób zaakcentować nierówne zabarwienie. Wciąż zamierza zrobić tę brązowo-złotą parasolkę do samoobrony, ale w tej chwili ten różnie wybarwiony błękit wydaje się odpowiednim tłem dla jej rozważań. Zwykle myśli jej się najlepiej, gdy robi parasolki, jeśli pracuje akurat nad tą właściwą.

Gdy kroi niebieską tkaninę na kliny, przychodzi jej do głowy możliwe rozwiązanie, które by wszystko wyjaśniało. Tak jakby. Co, jeśli Panzavecchiowie prócz tego, że są mikrobiologami, są też złodziejami dzieł sztuki działającymi w zмовie ze służbą z Tu Reviens i ukartowali swoje zniknięcie, żeby nikt ich nie podejrzewał, gdy kradli obraz Vermeera? A ich córeczka Grace też chce być złodziejką, tak jak jej rodzice, więc zwinęła rzeźbę Brâncușiego? Ale ponieważ ma dopiero osiem lat, to wszystko zrobiła nie tak, jak trzeba? Może przypadkiem odłamała rybę, a potem żałując tego, co zrobiła, zwróciła postument?

Albo może wcale nie chce być złodziejką, nie może znieść tego, że jej rodzice kradną, i może to właśnie oni ukradli Brâncușiego. A ona się zbuntowała i zwróciła tę część rzeźby, która wpadła jej w ręce?

Jane widzi w swoich teoriach spore luki. Nie wyjaśniają udziału mafii ani Okadów czy też powodów, dla których pani Vanders w ogóle zwróciła uwagę innych na fałszerstwo. I takich luk jest więcej.

Jane mogłaby pomyśleć, że w tym domu są dwie osobne tajemnice, jedna związana ze służącymi, Okadami i Panzavecchiami, a druga z kradzieżą dzieł sztuki – gdyby tylko nie widziała tej małej dziewczynki odkładającej coś na stół w głównym holu.

Robi kokardę, która ma się znaleźć na szczycie czaszy, w miejscu, gdzie spotykają się kliny. *Gdybym była lepszym detektywem, myśli, przyszyłoby mi do głowy, by sprawdzić, czy dziewczynka nie odłożyła w holu czegoś innego. Może to wcale nie był postument.*

Chyba teraz powinnam to sprawdzić.

Jane odsuwa kliny, odstawia klej i wyciera ręce w roboczy fartuch, pozostawiając na nim maleńką konstelację gwiazd. Gdy wstaje, dostrzega na stole roboczym maleńkie płaskorzeźby: płetwał błękitny ze swoim młodym, opływający narożnik blatu. Jane przesuwa na bok swoje rzeczy, by sprawdzić, czy nie ma więcej takich płaskorzeźb, i odkrywa rekiną z młodymi przy dalszej krawędzi.

A więc to Ivy zrobiła ten stół. Jane przesuwa palcem po płaskorzeźbach, pragnąc, by jej się aż tak bardzo nie podobały.

– Jasper! – woła. Ściąga fartuch i bierze szkicownik. Gdy przechodzi przez sypialnię, pies wysuwa nos spod łóżka. Razem wychodzą z apartamentu.

– Czołem, Kapitanie Biegunka – mówi Jane.

Idąc, przerzuca kartki szkicownika i przegląda swoją listę podejrzanych. Znów się zastanawia, komu może zaufać. To naprawdę niesamowite, jak łatwo jest wyobrazić sobie jakąś historię związaną z każdą z tych osób, czyniąc z niej oszusta. Na przykład Lucy jest w świetnej sytuacji, by kraść dzieła sztuki. Nikt by jej nie podejrzewał, a ona mogłaby w to zrobić kogoś innego. Kiran ma mnóstwo wolnego czasu, chodzi, gdzie chce i kiedy chce, i nie wydaje się być we wspaniałomyślnym nastroju. Pani Vanders i Ravi mogą działać w zмовie: ukartowali tragiczne odkrycia zaginionych dzieł sztuki, by odwrócić uwagę od faktu, że są w to zamieszani. Bądź co bądź, czy Ravi nie jest przypadkiem znany z tego, że kupuje od kogoś – prawdopodobnie od matki – dziwaczne obrazy Moneta? Czy ten Monet nie mógł być sfalszowany? I czy Ravi nie zaniósł go prosto do pani Vanders?

Jane wzdycha znużona i zamyka szkicownik.

Na pierwszym piętrze, zanim Jasper jak zwykle ją zablokuje, Jane przejmuje inicjatywę i przechodzi mostem na przeciwległe schody. Pies skomle w proteście, waha się, a potem siada, jakby zdecydował, że tutaj na nią poczeka.

Jane schodzi zachodnimi schodami do głównego holu i obchodzi pomieszczenie. Stukot jej ciężkich butów odbija się echem od posadzki w szachownicę. W powietrzu unosi się intensywna woń bzu. Na stołach aż się roi od wazonów, ale znajdują się na nich również małe, surowe, nowoczesne rzeźby. Na jednym stoi wielkie rodzinne zdjęcie przedstawiające Octaviana, który obejmuje Ravię i jakąś młodą, białą blondynkę. Blondynka z kolei obejmuje ramieniem Kiran, która nie ma zbyt szczęśliwej miny, ale nie wygląda też, jakby miała ochotę kogoś zamordować, choć na rodzinnym zdjęciu można by się po Kiran takiego wyglądu spodziewać. Ravi aż promienieje. Octavian również wygląda na zadowolonego, może nawet jest dumny. Blondynka, którą musi być Charlotte, uśmiecha się, ale z lekkim roztargnieniem, albo jakby miała mętlik w głowie. Jej spojrzenie jest utkwione gdzieś daleko.

Jane bierze do rąk zdjęcie i dokładnie mu się przygląda. W tle z różowawych ścian zwisają złocisto-pomarańczowe nasturcje. Jane się zastanawia, czy to nie to zdjęcie dziewczynka podstawiała na stole. Czemu nie? Ma to tyle samo sensu, co pozostałe teorie.

Pociera uszy, by pozbyć się tego dziwnego uczucia, gdy słyszy dźwięk uruchamianej migawki aparatu fotograficznego.

Z ogromną niechęcią spogląda na most na wysokości drugiego piętra. Stoi tam Ivy z uniesionym do oka aparatem. Obiektyw jest skierowany na jakąś kobietę na zachodnich

schodach, która odkurza średniowieczną zbroję wielką różową miotełką z piór.

Gdybym ją spytała, myśli Jane, powiedziałyby mi, że fotografuje zbroję. Jane jednak nie pyta. Obserwuje tylko Ivy, dopóki ta nie opuszcza aparatu i jej nie dostrzeże.

Na widok Jane Ivy się rumieni. Potem spuszcza wzrok i zaciska usta, jakby z urazą. Odwraca się i odchodzi.

Jane czuje się tak, jakby ktoś ją uderzył, wypychając przy tym całe powietrze z płuc. *No dobrze, myśli. Ivy z jakiegoś powodu jest na mnie wściekła. Nieważne.* Odstawia zdjęcie z powrotem na stół i się prostuje. *Zamierzam rozwiązać tę zagadkę.*

Maszeruje na górę wschodnimi schodami, szykując się na przepychanki z Jasperem, ale tym razem pies obserwuje ją tylko smutno. Gdy Jane przechodzi do wschodniego skrzydła na pierwszym piętrze, w ciszy idzie za nią.

Jane zatrzymuje się na końcu korytarza, gdzie widać puste miejsce na ścianie, w którym wcześniej wisiał obraz Vermeera.

– To znowu ty? – słychać z daleka jakiś głos.

Jane odwraca się i widzi, że zbliża się do niej Lucy St. George.

– I znowu ty – odpowiada.

– Tak. Chciałam przyjrzeć się temu jeszcze raz. A może po prostu sobie wędruję. Najlepiej myśli mi się w ruchu.

– Rozumiem.

– Po co przyszłaś?

– Coś mnie tutaj ciągnęło.

– Mam nadzieję, że nie te dziwaczne dźwięki, które wydaje ten dom – mówi Lucy.

– Raczej nie. Chyba miałam nadzieję, że znów zobaczę obraz. To znaczy, tę kopię. Powinłam się była domyśleć, że go tu nie będzie.

– Pani Vanders schowała go do sejfu, żeby przekazać policji – informuje Lucy oschłym tonem. – Nie chce mi go nawet pokazać, chyba że przez cały czas stercząc nade mną.

– Czyli zadzwoniła na policję?

– Tak twierdzi.

– A ty sądzisz, że tego nie zrobiła?

– No cóż, mam kontakty w policji, w FBI i w Interpolu. Zadałam im kilka umyślnie niejasnych pytań, ale nikt nawet o tym nie wspomniał, choć można by pomyśleć, że to wielka sprawa.

– Podejrzewasz ją? – pyta Jane. – To znaczy, przecież to ona pierwsza zwróciła uwagę na fałszerstwo.

– Powiedzmy, że nie podejrzewam jej w sprawie Vermeera – odpowiada Lucy.

Do Jane zaczyna coś docierać.

– Poczekaj. Chcesz powiedzieć, że według ciebie było dwóch różnych złodziei?

– Złodziej z tak wielką fachową wiedzą, by sfalszować Vermeera, nigdy by tak nie spartaczył sprawy z Brâncușim – odpowiada Lucy. – A więc tak. Uważam, że było dwóch różnych złodziei. Jeden z ogromną wiedzą i mnóstwem czasu i środków, a drugi... – Lucy z niedowierzaniem kręci głową – arogancki i głupi.

Jane wpatruje się w puste miejsce na ścianie i się zastanawia. Nie nazwałaby pani Vanders arogancką i głupią. Jest apodyktyczna i lubi wszystko kontrolować, ale na pewno nie jest głupia. Patrick też nie, ani Ivy. Brzmi to bardziej jak... to, co Lucy sądzi o Colinie albo Ravim.

– Zastanawiam się, którego złodzieja Ravi bardziej nienawidzi. Tego kompetentnego czy

nieudolnego.

– Czyli Ravięgo nie podejrzewasz?

– Nie widziałaś, jaką scenę odstawił?

– Może tylko udawał.

Lucy wydyma usta.

– Ravi to dzieciak. Jest taki, jak widać. Najwyraźniej przynajmniej sztuka jest w stanie złamać mu serce.

Lucy mówi to z interesującą goryczą w głosie. Jane zaczyna się zastanawiać, czy Lucy jest zazdrosna o sztukę, ale nie przychodzi jej do głowy, jak mogłaby o to zapytać.

– Co masz na myśli?

– Ech, nic takiego. Zapomnij o tym. Interesujące, jak Philip zwinął się wczoraj w nocy, prawda? On i Phoebe zawsze zjawiają się na galę wcześniej, cali szczęśliwi, że mogą tu trochę zostać. I mieliby czas na to, by zaplanować sfałszowanie Vermeera.

– Uważasz, że są uwikłani w kradzież Vermeera? Nie Brâncușiego? – pyta z lekkim rozczarowaniem Jane, bo to zaginięcie rzeźby może mieć związek z tamtą małą dziewczynką, a dziewczynka może mieć związek z Okadami. Ale z drugiej strony Lucy St. George nie wie, co Okadowie robili w tajemnicy późną nocą. A dziewczynka mogła tylko przynieść to rodzinne zdjęcie. – A tak nawiasem mówiąc, czym się zajmuje Phoebe Okada? – pyta Jane.

– Och, jest matematykiem. Na Wydziale Informatyki Uniwersytetu Columbia. Mówią o niej, jakby była jakimś geniuszem.

Ta informacja do niczego nie pasuje i Jane ogarnia frustracja.

– Widziałam Okadów, jak skradali się wczoraj w nocy – wyrzuca z siebie. – Z Patrickiem.

Lucy mruży oczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Gdzie?

– W pomieszczeniach dla służby. Parę minut po czwartej rano.

– Wydaje mi się, że to wtedy wezwano Philipa. Pewnie Patrick pomagał mu zorganizować łódź.

Jane otwiera usta, by coś powiedzieć, ale tego nie robi. Nie wspomina o dziewczynce, o torbie na pieluchy, o tamtej zagadkowej rozmowie i o broni. Nie chodzi o to, że nie ufa Lucy; nie ufa nikomu. Musi się nad tym jeszcze zastanowić.

– Co jest z tym psem? – pyta Lucy.

Jane patrzy w dół. Jasper przekrzywił głowę i delikatnie trzyma zębami za kostkę Jane. Nie gryzie; dopóki go nie zobaczyła, w ogóle tego nie czuła, choć teraz uświadamia sobie, że jego ślina przesiąka przez nogawkę dżinsów.

– Jasper! Co ty wyprawiasz? Wyglądasz, jakbyś czekał na odpowiedni moment, żeby mnie zjeść!

– Może jesteś smaczna? – śmieje się Lucy.

Jane wyswobadza kostkę i oświadcza:

– Ten pies jest jedynym, którego nie ma na mojej liście podejrzanych.

– Zauważyłam, że bawisz się w detektywa. – Lucy szczyrzy zęby. – Interesuje cię mój zawód? Ściganie złodziei, odkrywanie fałszerstw, odzyskiwanie oryginałów?

Jane się nad tym zastanawiała; zwłaszcza nad kopiami tego, co cenne. Co by było, gdyby się okazało, że istnieją kopie cioci Magnolii, tak jak Cyloni, czy projekt klonowania z jakiejś historii science fiction? Co by było, gdyby kopia cioci, która należała do Jane, nie była oryginałem? Czy to by sprawiło, że ciocia Magnolia wydawałaby się mniej cenna? Czy kopia, która była z Jane,

nie była cenna właśnie dlatego, że była jej? Jane nie próbuje rozwiązać tej zagadki kryminalnej z powodu jakiegoś fałszerstwa. Próbuje ją rozwiązać, bo pragnie zrozumieć tych ludzi. Ravięgo, panią Vanders, Ivy. Chce się dowiedzieć, dlaczego ciocia Magnolia ją tu przysłała. Co to wszystko znaczy.

– W sumie, to nie – odpowiada Jane. – Tak naprawdę, to osobiście wcale nie przejmuję się tym, że ktoś sfalszował jakieś dzieło sztuki. To znaczy, podobał mi się ten sfalszowany obraz. Uważam, że był piękny. Wszyscy tak mówili, wszyscy rozmawiali o tym przez cały dzień. I prawie nikt nie zauważył, że to było fałszerstwo. Jaka to różnica, czy to jest ten egzemplarz wart sto milionów dolarów, czy nie?

Lucy obserwuje ją z lekkim, trochę smutnym uśmiechem.

– Dla wielu ludzi to ważne.

– No cóż. Mam nadzieję, że Ravi odzyska swój obraz – odpowiada Jane.

– Masz taką nadzieję, bo jesteś miła – mówi Lucy. – Nie dlatego, bo obchodzą cię pieniądze. To dobrze. Moja praca wcale nie jest tak wspaniała, jak się może wydawać, a Colin pokazał mi twoje parasolki. Każdy, kto ma choć niewielką smykałkę do sztuki, zobaczyłby, że tym właśnie powinnaś się zająć.

Jane jest tak szczęśliwa, że przez chwilę nie może się ruszyć. Potem dzwoni komórka Lucy. Ta wypowiada bezgłośnie słowo „tata” i odchodzi kawałek dalej, by odebrać.

Jane wraca do apartamentu wciąż rozpromieniona po tym, co usłyszała od Lucy. Tam jej spojrzenie pada na parasolkę z nierówno zabarwionej niebieskiej tkaniny, nad którą pracuje.

Nagle zdaje sobie sprawę, co jej przypomina to nierówne nasycenie barwy tkaniny. Przebarwienie w oku cioci Magnolii, tę niebieską plamkę na jej brązowej tęczęwce. Rozgwiadzę cioci, z jej kolcami i ramionami, jak złamana parasolka.

Jane zamierza zrobić parasolkę, która będzie wyglądała, jakby była złamana, ale tylko z pozoru. To będzie działająca parasolka, ale nierówna i poplamiona, niebieska parasolka z odbarwieniami, wyglądająca jak oko cioci. Ten pomysł wypływa z serca Jane, a jej ręce same wiedzą, co mają robić.

Jakiś czas później do drzwi sypialni Jane puka Ravi. Przechodzi do saloniku i stoi tam, rozglądając się ze złością.

– Tak? – pyta niewyraźnie Jane, jedząc mieszankę studencką, którą znalazła w swoim bagażu. Nie poszła na lunch.

– Octavian zabronił mi przeszukiwać prywatne rzeczy ludzi – mówi Ravi.

Jane przymierza do siebie druty parasolki. Ta będzie miała nierówne druty, różnej długości, co oznacza, że czasza zyska dziwny, niesystematyczny kształt.

– Jeśli chcesz, możesz przeszukać moje – mówi.

– Dokładnie coś takiego powiedziałaby złodziej – oświadcza małostkowo Ravi. – Bo wiedziałby, że tego nie zrobię.

– Gdybym była złodziejem, raczej nie podejmowałabym takiego ryzyka.

Ravi wciąż ma gniewną minę, ale to go najwyraźniej zaciekawiło.

– A ja tak. Gdybym był złodziejem.

– Jakoś mnie to nie zaskakuje. – Jane szczyrzy zęby. – Lubisz gierki.

– Zgadza się – mówi, patrząc na nią łagodniej. – Powinnaś się ze mną pobawić.

Tak nagle zmienił temat i w tak oczywisty sposób ją zachęcił, że Jane zszokowana wybucha śmiechem.

– Nie, Ravi – mówi. – Przestań.

– Lucy i ja znów ze sobą nie jesteśmy. Mówiłem ci.

– Nie obchodzi mnie to.

– W porządku. – Ravi wzrusza ramionami. – Po prostu szczerze mówię, co lubię.

Po prostu jesteś Ravim, myśli Jane.

– Wciąż wyobrażam sobie Ivy – odzywa się Ravi.

– Co takiego? – pyta Jane z niepokojem w głosie.

– Kiedyś często stała przed tą rzeźbą Brâncușiego, podskakiwała i śpiewała piosenkę o tuńczyku. Miała wtedy trzy latka.

– Och, jakie to słodkie.

– Pamiętam ją z warkoczykami, w małych półbucikach.

Jane też potrafi sobie to wyobrazić, choć w jej głowie ta trzylatka ma na szyi wielki aparat fotograficzny i pachnie jaśminem i chlorem, co oczywiście jest niedorzeczne. Jane nie potrafi sobie wyobrazić ryby.

– Po tym jak Colin mi ją opisał – mówi – wydaje mi się, że jest dość abstrakcyjna, jak na rybę.

– Zgadza się. Ale właśnie na tym polega jej piękno – wyjaśnia Ravi. – To sposób, w jaki człowiek doświadcza ryby. Nie ma żadnych łusek ani płetw. To tylko podłużny, smukły kawałek srebrzystego marmuru. Ale ma się wrażenie, że jest w tym tyle ruchu. – Macha ręką i zaczyna z zapalem chodzić po pokoju, poruszając się po miejscach wolnych od parasolek. – Pod pewnym kątem prawie znika, jak ryba przebłykująca spod wody. To doskonałe przedstawienie tego, co naprawdę widzisz, patrząc na rybę w wodzie, zanim twój mózg spróbuje dodać wszystkie te elementy, które sprawiają, że wiesz, że ryba jest rybą. I nikt prócz Brâncușiego nie potrafił tego w ten sposób uchwycić. Przypuszczam, że właśnie dlatego osadził ją na lustrzanej podstawie, żeby oddać i ruch, i błysk.

– Przykro mi, że zaginęła – mówi Jane, również dlatego, że teraz sama chciałaby ją zobaczyć.

– Ile jest warta?

– Nie dbam o to – mówi Ravi. – W ogóle nie o to chodzi.

Jane podejrzewa, że wcale nie usiłuje być uroczy, tylko po prostu jest szczerzy. I naturalnie może sobie pozwolić na to, by nie dbać o pieniądze.

Tak czy inaczej, wydaje jej się to urocze.

– Rozumiem – mówi – ale to będzie miało znaczenie dla śledztwa. I na pewno ma znaczenie dla złodzieja.

– Tak. – Ravi zmęczonym gestem pociera oczy. – Lucy musi to wiedzieć. Lucy odnajdzie naszą rybę i naszego Vermeera, a kiedy tak się stanie, powiem o tym całemu światu. To przyćmi tego Rubensa, którego zgubiła.

– Miło z twojej strony, że w ten sposób myślisz o własnej stracie – zauważa Jane. – Jak o szansie dla Lucy.

– Bo jestem miły – mówi żałośnie Ravi. Podnosi złożoną parasolkę, która stała oparta w kącie. To jedna z tych, o których Jane ostatnio nie myślała, jedno z jej prostszych, mniejszych dzieł, z klinami w różnych bladżółtych odcieniach i lakierowanym trzonkiem, i rączką z mahoniem. Ravi ostrożnie przesuwając palcami po okuciu, nacięciu i dolnej sprężynie i wygląda, jakby doceniał staranność, z jaką Jane wszystko zrobiła.

– Mogę ją otworzyć? – pyta.

Jedyną osobą, która dotąd prosiła ją o pozwolenie na otwarcie parasolki, była ciocia Magnolia.

– Tak – mówi z przejęciem Jane. W rzeczywistości to jedna z jej najprzystojniejszych parasolek;

gdy Ravi delikatnie ją otwiera, Jane nagle czuje niespodziewany przypływ dumy.

– Jest elegancka – mówi Ravi. – Masz talent.

– Dziękuję – udaje jej się wydusić z siebie.

– Jak na nastolatkę – dodaje Ravi i bezczelnie szczyrzy zęby.

– Ty też nie tak dawno temu byłeś nastolatkiem.

– To prawda. Ta parasolka kojarzy mi się z Kiran. Te delikatne barwy. Powinna ją dostać.

Mógłbym ją od ciebie odkupić?

– Poważnie?

– No jasne.

Jane niemal mówi, że może ją dostać w prezencie. Ale według Colina bogaci ludzie uwielbiają wydawać pieniądze.

– Kosztuje tysiąc dolarów – mówi, kierując się kaprysem, który graniczy z histerią.

– Załatwione – mówi Ravi. – Mogę później przynieść ci czek?

– Ravi! – Jane jest oszołomiona. – Ja tylko żartowałam.

– No cóż, a ja nie. Zostawię ją tu, dopóki ci nie zapłacę.

– Możesz ją wziąć! Wierzę, że nic nie ukradniesz!

Ravi uśmiecha się szeroko.

– To już coś.

– To znaczy, że nie ukradniesz parasolki – poprawia się Jane.

– Dobrze wiedzieć, że jestem na twojej liście podejrzanych – mówi Ravi. – Mogę ci powiedzieć, że ciebie nie ma na mojej. Nawet nie miałbym pojęcia o fałszerstwie, gdybyś się nie wygadała o podejrzeniach pani Vanders.

– To chyba prawda – przyznaje Jane, ze strachem uświadamiając sobie swoją rolę.

– Wiesz, potrafię sobie wyobrazić, że ludzie będą gotowi płacić tysiące dolarów za niektóre z tych parasolek. Zastanawiałaś się nad współpracą z jakimś agentem? Mógłbym kilka z nich pokazać Buckleyowi.

– Colin już to zaproponował – odpowiada Jane – i chyba obaj macie urojenia.

– Przekląty Colin – mówi wesoło Ravi. – To jemu przypadnie zasługa i prowizja.

– Na pewno będziesz żałował, że nie dostałeś tych dziesięciu dolarów. Ty mówisz o tysiącach, ale Colin wspominał o setkach.

Ravi kręci głową.

– Buckley wyceni je wyżej. Nie wszystkie, ale kilka na pewno. I na pewno będzie chciał zobaczyć te, które zrobisz w przyszłości.

Wychodzi z żółtą parasolką pod pachą.

Podczas kolacji Colin jest jedyną osobą, która ma ochotę na rozmowę. Ravi w ogóle się nie zjawia. Phoebe ze zmarszczonym czołem wpatruje się w swój talerz, a Lucy od czasu do czasu podnosi wzrok znad komórki, udając, że interesuje ją coś jeszcze. Kiran wygląda na zmęczoną i wzdryga się za każdym razem, gdy Colin zaczyna mówić, jakby słuchanie było dla niej wysiłkiem nie do zniesienia.

Aż przykro na to patrzeć, ale Jane ma nadzieję, że Colin i tak będzie mówił dalej, bo zadaje pytania, na które sama chciałaby poznać odpowiedź.

– Czy któreś z dzieł było ubezpieczone? – pyta siedzących przy stole.

Kiedy nikt nie odpowiada, w końcu odzywa się Kiran.

– Nie.

– Czemu nie? – chce wiedzieć Jane, która nie potrafi pojąć, dlaczego ktoś miałby nie ubezpieczać tak cennych dzieł sztuki.

Lucy odpowiada z roztargnieniem, jakby znudzonym tonem, nie podnosząc głowy nad komórki.

– Ubezpieczenia na takie dzieła, zwłaszcza na Vermeera, mają zaporowe ceny.

– Poza tym żadne z tych dzieł nie było zabezpieczone alarmem – mówi Kiran. Dodaje ze smutkiem: – Octavian ufa ludziom. Nigdy tego nie rozumiałam.

– No cóż, to by przynajmniej wykluczało Octaviana jako podejrzanego – zauważa Colin. – Zyskałby znacznie więcej na ich sprzedaży, niż na kradzieży.

Twarz Kiran tężeje.

– Nikt z mojej rodziny nie ukradł tych pieprzonych dzieł – mówi cicho.

– Kochanie – Colin wydaje się rozbawiony. – Właśnie powiedziałem, że tego nie zrobił.

– A może myślisz, że ja je wzięłam? – odpowiada Kiran. – Albo mój brat, albo moja matka, albo macocha?

– Najdroższa – odpowiada Colin świadomie kojącym głosem, co sprawia, że ramiona Kiran jeszcze bardziej się napinają. – Oczywiście, że nie, ale przecież wiesz, że ktoś to zrobił. Dowiemy się tego, kolejno eliminując ludzi.

– Tak, nie mam już dwunastu lat. Rozumiem, jak to działa. Ale ponieważ ktoś to zrobił, nie rozmawiamy o tym przy kolacji. Nie da się mówić o podejrzanym, jednocześnie nie obrażając kogoś przy tym stole.

Na te słowa Phoebe jeszcze mocniej marszczy brwi. Jane się zastanawia, czy Kiran może mieć jakieś podejrzenia co do Patricka. Może to dlatego jest taka przygnębiona.

– Poczuliabyś się lepiej, gdybym ujął to bardziej ogólnikowo? – pyta Colin dobrodusznym tonem, który zaczyna działać Jane na nerwy. – Wiesz co nieco o Vermeerze? – zwraca się do Jane, a ta prawie podskakuje. – Wiedziałaś, że zachowało się bardzo niewiele jego obrazów? Zaginął jeszcze jeden, skradziono go z muzeum w Bostonie, w 1990 roku. Pewnie jest przekazywany z rąk do rąk przez handlarzy narkotyków jako zabezpieczenie transakcji wartych jakieś siedem czy osiem procent jego wartości rynkowej. Takie są aktualne stawki dla skradzionych obrazów.

– Colin – odzywa się ostro Lucy, odrywając wzrok od komórki. – Nie chcemy o tym rozmawiać. Po prostu się zamknij.

W tym momencie do sali bankietowej wpada Ravi.

– Lucy – mówi, podbiegając do niej. – Colin. Idę jeszcze raz zobaczyć podrobiony obraz. Chcę, żebyście oboje mi towarzyszyli i powiedzieli mi potem, co myślicie o fałszerzu.

– W tej chwili? – pyta Lucy, nawet nie podnosząc wzroku. Jej palce poruszają się wściekle po klawiaturze telefonu. – Teraz jem.

– W tej chwili – mówi Ravi.

– Przyjdę później.

– Wcale nie jesz, Lucy. Każdy to widzi.

– Ravi...

Jego ton się zmienia, cichnie, staje się niemal żalony.

– Lucy, proszę.

Lucy podnosi wzrok i patrzy na niego. Potem z głośnym westchnieniem wstaje od stołu.

Colin obserwuje, co się dzieje, po czym mówi śpiwnie do Kiran:

– Masz coś przeciwko temu, żebyśmy poszedł z Ravim?

– Nie, w porządku. Pomóż mu.

Jane z ulgą patrzy na odchodzącego Colina. Minutę później Phoebe kończy jeść, przeprasza wszystkich i wstaje od stołu. Jane zostaje sam na sam z Kiran, która bierze do ręki widelec, dziabie ziarenko groszku, a potem kolejne.

– Kiran? – Jane milknie, widząc, że przyjaciółka się wzdyga. Przychodzi jej do głowy, że Kiran pewnie wcale nie chce, by kolejna osoba pytała ją, czy wszystko w porządku. – Czy... czy mogę jakoś pomóc z tymi zaginionymi dziełami sztuki?

Kiran śmieje się ponuro i dźga kolejne ziarenko.

– Oczywiście to nie jest śmieszne – mówi. – To okropne. W każdym razie Ravi czuje się okropnie, więc ja też. I czuję się okropnie, spekulując, kto mógł to zrobić. – Potrząsa głową, jakby chciała się pozbyć tej myśli. – Ravi dał mi żółtą parasolkę – mówi. – Jest przepiękna. Dziękuję. Mam nadzieję, że zażyczyłaś sobie za nią dużo pieniędzy.

– Faktycznie tak zrobiłam – mówi Jane, zaskoczona, że Kiran pamięta, że w przeciwieństwie do niej samej dla Jane pieniądze są ważne.

– Jest naprawdę wyjątkowa – mówi Kiran. – Chciałabym obejrzeć resztę.

– Z przyjemnością ci je pokażę. Kiedy tylko zechcesz. – Jane uświadamia sobie, że mówi to absolutnie szczerze, bo Kiran wydaje jej się inna od całej reszty. Kiran jest ostrożna. Będzie traktować je z szacunkiem. Rozumiała ciocię Magnolię i zrozumie parasolki.

– Chcesz oferować je w sprzedaży? – pyta. – Ravi mógłby ci pomóc.

– W sumie to Colin kilka zabrał, by pokazać swojemu wujowi.

Kiran zjada ziarenko groszku i wpatruje się w widelec.

– Sama nie wiem, dlaczego z nim jestem – mówi.

Wypowiedziała na głos pytanie Jane, ale ta nie jest pewna, jak na to zareagować.

– To znaczy – ciągnie Kiran – wydaje się dobrym człowiekiem i w ogóle. Prawda?

– Mhm – mruczy Jane. – Zazwyczaj.

– Ravi go lubi.

– Ale czy ty go lubisz?

– Lubię uprawiać z nim seks – mówi Kiran.

– Naprawdę? – pyta Jane, ale zaraz uświadamia sobie, jak to zabrzmiało, i rumieni się z zakłopotania.

Kiran się śmieje.

– Pewnie nie wygląda na takiego, co? Powiedzmy, że uważa, że we wszystkim powinien być ekspertem, i ma to pewne zalety.

Jane całowała się kiedyś z chłopakiem ze szkoły średniej podczas imprezy i z dziewczyną z akademika, która była mocno wstawiona. I czasem myśli o seksie. Ale nawet się nie zbliżyła do takiej sytuacji. Nie na serio.

– Czuję się tak, jakbym powinna go lubić – mówi Kiran.

– Ciocia Magnolia mi powtarzała, żebym się za bardzo nie zadręczała tym, co powinnam i czego nie powinnam – odpowiada na to Jane. Kiran zerka na nią zaskoczona, a potem zaczyna się cicho śmiać.

– Ale całkiem serio – mówi z jakąś dziwną, upartą powagą. – Powinnam go lubić. Śmieszne rzeczy, które opowiada, powinny mnie bawić. Nasze rozmowy powinny mnie ciekawić. Jest bystry, wykształcony, nigdy nie robi rzeczy, które obiektywnie byłyby złe. A mimo to nie potrafię się przy nim rozluźnić i nie wiem, czy chodzi o coś w nim, czy o to, że ja sama w ogóle nie potrafię się rozluźnić. – Szybko mruga oczami i odwraca twarz od Jane.

– Och, Kiran.

– To jest naprawdę do dupy. A kiedy się nad tym zastanawiam, to mnie męczy.

– Czy Patrick też ma w tym jakiś udział? – pyta Jane.

Kiran wrywa się niespokojny, rozpaczliwy jęk.

– Nie. Nie wolno mu w tym mieć żadnego udziału. Przynajmniej Colin jest jak otwarta księga.

– No cóż... – Jane czuje się w całej tej sytuacji zupełnie bezużyteczna. – Chciałabym wiedzieć, jak pomóc. Nie mam za dużo doświadczenia. Właściwie to wiem tylko, jak przerwać naukę w college'u i jak robić parasolki.

Kącik ust Kiran unosi się w uśmiechu.

– A co by mi poradziła twoja ciotka?

Jane bierze głęboki oddech.

– Pewnie by ci poradziła, żebyś oddychała tak jak meduza.

– To meduzy oddychają?

– To znaczy, wyobraź sobie, że twoje płuca poruszają się tak, jak porusza się meduza. Oddychaj świadomie, powoli i głęboko, brzuchem.

– No dobra – mówi Kiran, koncentrując się na kolejnym oddechu. – I to rozwiąże moje problemy?

Teraz to Jane się uśmiecha.

– Tak, jeśli są związane z oddychaniem.

– Ciocia Magnolia była mądrą kobietą.

Tak, myśli Jane. Była.

Tej nocy pokoje Jane wydają się przepastne i ciemne, sufity są za wysoko, powietrze jest zbyt chłodne. Do saloniku wdziera się ciemność. A więc Jane pracuje, powoli przesuwając rękoma po szkielecie parasolki i próbuje nie tracić cierpliwości do wszystkich tych pytań, na które nie zna odpowiedzi.

Na jednym z etapów tworzenia parasolka właściwie jest trzonkiem i ośmioma drutami. Gdy Jane ją otwiera i składa, porusza się jak meduza z drutów, jak jakaś podwodna istota w najstraszliwszych głębinach oceanu.

Do tej parasolki używa drutów o różnych długościach, więc przypomina ona wyjątkowo dziwną i niezrównoważoną meduzę. Trudno powiedzieć, czy uda jej się uzyskać efekt, o jaki jej chodzi. Będzie musiała sama się przekonać. Ale myśli, że być może będzie chciała, żeby ta parasolka była jak tajemnica. Gdy będą na nią patrzeć inni ludzie, zobaczą coś, co wygląda dziwnie i wydaje się zepsute. Tylko Jane będzie wiedziała, że to niebieska plamka na tęczówce cioci Magnolii.

Po raz kolejny dom budzi ją przed świtem swoim pojękiwaniem, tym razem ze snu o tym, że Ivy kradnie rybę. We śnie pojawia się głos – głos domu – uskarżające się ściany i brzęczące okna, które mówią Jane, by wyjrzała na zewnątrz i jeszcze zanim na dobre udaje jej się oprzytomnieć, wytacza się z łóżka i przyciska nos do szyby saloniku. Noc jest jasna, księżyc dopiero co wzeszedł, a ogród przypomina czarną koronkę.

Jasper niezgrabnie wtacza się z sypialni do saloniku i staje obok niej przy oknie. On też przyciska nos do szyby.

Coś się porusza, gdzieś za ogrodem. Ciemny kształt. Nie, dwa ciemne kształty. Jedna z postaci włącza latarkę. Druga na chwilę znajduje się w jej świetle, nie na tyle mocnym, by pozwoliło

rozpoznać rysy, ale wystarczającym, by ukazać, że niesie jakąś płaską prostokątną paczkę. Przechodzą przez trawnik i znikają między drzewami.

Patrick i Ivy, myśli Jane, choć nie potrafi wyjaśnić, dlaczego jest tego pewna. Serce podchodzi jej do gardła.

– Jasper? – mówi. – Czy ta paczka miała odpowiednie wymiary na Vermeera?

Jasper kicha.

– No tak – mówi Jane. – To co robimy?

Jasper stawia łapę na jej stopie. Jane nie wie, jak interpretować ten gest. Czy chciałby, żeby tu została, czy może wyraża zespołową solidarność w obliczu przygody?

A może jest po prostu psem, myśli Jane. *Nie rozumie, co do niego mówisz, ale lubi dotyk twojej stopy.*

– No cóż, Jasper, chyba będziemy potrzebować latarki. I przydałby nam się jakiś sojusznik. Jane znajduje bluzę z kapturem i skarpetki, naciąga ciężkie czarne buty i sprawdza która godzina – dochodzi kwadrans po piątej. Potem wychodzi na korytarz. Przez ułamek sekundy się zastanawia, po czym puka do drzwi Ravięgo. Jasper opiera się o jej kostki. Gdy nikt się nie odzywa, Jane puka mocniej, a potem świadomie podejmuje ryzyko, że przyłapie go z kimś w łóżku, i bezceremonialnie wchodzi do środka. On też tak do niej wtargnął, a w tej chwili nie ma czasu do stracenia.

Ravi ma okazałe łóże, które teraz jest puste.

Interesujące. Jane usiłuje odtworzyć w myślach obraz tych dwóch postaci wchodzących do lasu, by przekonać się, czy jedna z nich mogła być Ravim, ale to na nic; za mało widziała.

– Szkoda, że nie wiem, w którym pokoju śpi Lucy – mówi do Jaspera, gdy idą korytarzem. – Szkoda, że... – Potyka się o Kapitana Biegunkę. – Uch! Szkoda, że nie wiem, komu można ufać. – Gdzie mogłaby znaleźć latarkę? W kuchni? W pomieszczeniach dla służby?

Nagle przypomina jej się pewien obraz: dwie długie, mocne latarki leżące na biurku z komputerami w pokoju Ivy.

Jeśli Ivy teraz jest w lesie, nic nie powstrzyma Jane przed wejściem do jej pokoju i „pożyczeniem” latarki. A jeśli się okaże, że Ivy jest w pokoju...

Jane rusza w stronę pomieszczeń dla służby. Gdy obchodzą z Jasperem dziedziniec, słyszy gdzieś z domu muzykę. Nagranie Beatlesów. O tej porze wydaje jej się to dziwne.

W skrzydle dla służby zaczyna ją opuszczać odwaga. Jeśli Ivy jest u siebie, to zjawienie się Jane parę minut po piątej rano będzie dość niespodziewane. Poza tym Ivy nie była ostatnio zbyt przyjazna. Jane zatrzymuje się przed jej drzwiami.

– Jasper – szepcze – co mam robić?

Jasper spogląda na nią nic niemówiącymi oczami, jak to pies.

Jane bierze głęboki oddech i puka.

Po krótkiej chwili drzwi Ivy gwałtownie się otwierają; dziewczyna wysuwa głowę, zaciekawiona i czujna, w okularach na nosie. Za jej plecami jeden z komputerów jest włączony. Szumią wentylatory i mrugają lampki, i całość wygląda w mroku jak statek kosmiczny.

– Czego chcesz? – pyta wystraszona, zerkając nad ramieniem Jane w korytarz. – Dlaczego tu przysłaś?

Wciąż ma na sobie ten sam co wczoraj rozciągnięty sweter i te same czarne legginsy. Jej ciemne włosy są rozpuszczone i opadają na ramiona, sięgając do połowy pleców. I wydaje się tak nieszczęśliwa na widok Jane, że tej robi się przykro.

– Potrzebuję latarki – mówi Jane.

– Po co?

– Po prostu potrzebuję latarki.

– Powiedz mi po co.

– Czemu?

– Bo jeśli potrzebujesz latarki – mówi Ivy ostrym tonem – to znaczy, że zamierzasz wyjść na dwór, a to może być niebezpieczne.

– Z powodu Panzavecchiów? – pyta Jane. – I dlatego, że Philip Okada skrada się gdzieś z bronią?

Ivy milczy, oszołomiona.

– To jak, dasz mi tę latarkę czy nie? – pyta Jane. Gdy Ivy wciąż nie odpowiada, odwraca się na pięcie i rusza korytarzem.

– Poczekaj! – woła za nią Ivy. – Janie, poczekaj!

Jane nie czeka. Gdy skręca w korytarz prowadzący ku środkowi domu, biegnący za nią Jasper skomle i piszczy, a potem wydaje z siebie krótkie szczeknięcie, które w końcu przykuwa jej uwagę. Jane odwraca się do niego zniecierpliwiona.

– Co?

Jasper cofa się korytarzem w stronę znajdujących się na samym jego końcu dużych drzwi z desek opatrzonych metalową zasuwą. To drzwi prowadzące do zachodniej części strychu. Idąc, popiskuje, jakby ją błagał, by poszła za nim.

Z frustrującym poczuciem, że to nie ma żadnego sensu, Jane ustępuje.

– Cholera, Jasper – mruczy i odwraca się, by ruszyć za nim. – Masz szczęście, że naoglądałam się tyle filmów o psach.

Jasper prowadzi ją przez szerokie drzwi z desek, a potem na wprost, do przesuwanych metalowych drzwi. Jane uświadamia sobie, że to musi być winda towarowa i najszybsza droga na dwór. Wcisną przycisk. Gdy drzwi się otwierają, wchodzi z Jasperem do środka.

Drzwi właśnie mają się zamknąć, gdy do windy wsuwa się czyjaś ręka i ją zatrzymuje.

Serce Jane bije jak szalone, gdy przez szparę wciska się Ivy. Jest ubrana od stóp do głów w obcisłą czerń, ma plecak i sprawdza właśnie latarkę, która jest tak wielka, że można by nią kogoś załuc. Świeci jak latarnia morska. Na moment oświetla wybrzuszenie kabury na broń pod bluzą Ivy, poniżej jej lewej piersi. Drzwi windy się zamykają.

– Ivy – mówi łamiącym się głosem Jane.

– Zamierzam trzymać się ciebie jak gówno buta – mówi Ivy – dopóki nie powiesz mi, dokąd się wybierasz.

Jane dochodzi do wniosku, że skoro utknęła w windzie z uzbrojoną Ivy, nie ma sensu zatajać czegoś, czego ta i tak się dowie.

– Widziałam przez okno dwie osoby z latarką i paczką rozmiarów obrazu Vermeera – mówi. – Przeszły przez trawnik i zniknęły między drzewami.

– Rozumiem.

– Sądziłam, że to byłaś ty i Patrick – dodaje złośliwie Jane.

Twarz Ivy nic nie wyraża.

– Nie mamy nic wspólnego z Vermeerem.

– Nie, tylko z uszkodzonym Brâncușim – odpowiada Jane. – I z napadem na banki, i porywaniem dzieci.

Ivy w milczeniu wyciąga z kieszeni ciemną kominiarkę i naciąga ją na twarz, na okulary. Kontrast pomiędzy nią a Jane, która wciąż ma na sobie bluzę z kapturem i piżamę z *Doktorem*

Who, graniczy z absurdem. Winda piszczy, zjeżdżając w dół, a potem obie są na zewnątrz, w porywistym wietrze i nagłym hałasie morza w dole.

Ivy mocno chwyta Jane za nadgarstek.

– Puść – mówi Jane. – To boli.

– Musimy się szybko poruszać – odpowiada Ivy i zaczyna ciągnąć

Jane przez trawnik. Jane drepcze obok niej, wciąż boli ją ręka. Jest zdumiona siłą i szybkością Ivy.

– Dokąd mnie prowadzisz? – Jest tu zatoka – mówi Ivy. – Ukryta na północno-wschodnim krańcu wyspy. To świetne miejsce, by wywieźć stąd skradzione dzieło sztuki.

– Ty pewnie wiesz o tym najlepiej – mówi Jane, a potem skupia się na tym, by się nie przewrócić, gdy Ivy ciągnie ją w stronę drzew.

Schodzą po stromym porośniętym sosnowym lasem zboczu. Nie ma tu żadnych ścieżek i Jasper musi starać się ze wszystkich sił, by za nimi nadążyć, gdy Ivy i Jane zsuwają się w dół i skaczą. Od czasu do czasu znika, potem znów się pojawia, zapewne gdy udaje mu się znaleźć inne, bardziej przyjazne dla basseta przejście. Wycie wiatru zagłusza wszelkie jego odgłosy. Ivy porusza się pewnie, zna ten las. Szybko zbliża się świt.

Ivy chwyta teraz Jane wyżej i gwałtownie ją zatrzymuje.

– Co... – zaczyna Jane, ale milknie, bo dostrzega to, co widzi Ivy. Wśród drzew na skale, zaledwie parę kroków od nich, siedzi mężczyzna odwrócony do nich plecami. Ma krótko ostrzyżone włosy i jest zwalisty, silnie zbudowany, nosi rudą brodę. Nogawki jego spodni są przemoczone, jakby brodził w wodzie. Obok niego na skale leży niewielka sterta kawałków pomarańczy. Co jakiś czas sięga po nie i jeden zjada. Zza paska dżinsów sterczy broń.

Ivy odciąga Jane.

– Wracajmy do domu – szepcze Jane, gdy Ivy ciągnie ją w dół po zboczu, by znaleźć się jak najdalej od mężczyzny. – Proszę, Ivy, przestań. Puść mnie.

Ale Ivy nagle wciąga ją za jakiś krzak, obejmuje ramieniem i szepcze do ucha:

– Szzzz.

Jane zamiera. Nie ma pojęcia, co się dzieje. Gdzie jest Jasper? Zaczyna się o niego panicznie bać. Co, jeśli ten okropny mężczyzna zobaczy...

Jasper przywiera do jej nogi, z drugiej strony niż Ivy. Jane się od niej odsuwa i chowa twarz w jego szyi, wciągając zapach sierści.

– Och, Jasper.

Jednak pies wydaje się skupiony na jakimś punkcie widocznym przez lukę między krzakami. Ivy odgina kilka gałęzi i wpatruje się w to samo miejsce.

Jane też odsuwa gałęzie i patrzy tam, gdzie oni.

To zatoczka, o której mówiła Ivy. Jakies trzydzieści metrów dalej znajduje się miejsce, gdzie las się kończy, a teren opada do małego pasma ciemnego piasku w kształcie półksiężyca. Lucy St. George stoi na brzegu, ubrana w czerni, i trzyma w ręce broń. Mierzy do bardzo wysokiego mężczyzny na szybkiej łodzi motorowej, która stoi przycumowana do jedyne go drewnianego słupka w wodzie.

– Lucy – szepcze Jane. – Lucy! Co ona wyprawia?

Wygląda na to, że Lucy kłóci się z tym człowiekiem. Mężczyzna jest tuż przy silniku, trzyma na nim rękę, jakby w każdej chwili był gotów ruszać. Drugą ręką wymachuje i krzyczy do Lucy coś, czego Jane nie słyszy wyraźnie. Brzmi to jak gniewne, rzucane z pasją pytania.

– Nieważne! – odkrzykuje szyderczym tonem Lucy. – Więcej tego nie zrobię. To marnowanie

moich zdolności. I twoich też, J.R.

J.R. sięga pod płaszcz i Jane jest przerażona. Sądząc po jego minie, Jane spodziewa się, że mężczyzna wyciągnie zaraz broń. Zamiast tego jednak wyjmuję gwizdek. Gwizdże nim przenikliwie. Jest najwyższym mężczyzną, jakiego Jane w życiu widziała, chudym jak patyk.

Chwilę później słychać trzask gałęzi i szelest liści. Rudobrody mężczyzna, który zajął się pomarańczami, przedziera się przez krzaki w stronę brzegu. Nie zerkając nawet na Lucy i jej broń, wchodzi prosto do wody, odcumowuje łódź i do niej wsiada. J.R. budzi do życia silnik, który brzmi jak rój pszczół. Potem łódź odpływa szybko, a J.R. z nienawiścią w oczach ogląda się na Lucy.

– Kim oni byli? – szepcze Jane do Ivy. – Gdzie obraz? Dlaczego ona ich puściła? Czy to prowokacja pod przykrywką?

– Nie – odpowiada ponuro Ivy, ściągając kominiarkę. – Nie odniosłam takiego wrażenia.

– Chcesz powiedzieć...

– Szzzz!

Lucy wciąż stoi na brzegu i mocno obejmuje się rękoma. W dłoni ściska broń. Potem odwraca się nagle i bacznie przygląda się drzewom. Czeka na coś? Albo na kogoś? W końcu drobnym, niecierpliwym gestem wsuwa broń pod kurtkę i zaczyna się oddalać od brzegu, kierując się niezupełnie w miejsce, gdzie ukryły się Jane i Ivy, ale w jego pobliżu. Na głowie ma puszystą, czarną czapkę, w której jej twarz wydaje się młoda, a oczy wielkie. Jane nagle ma wrażenie, że Lucy jest bardzo samotna. Jakby patrzyła przez gogle View Master na jedyną kobietę na świecie. Zbliżając się, Lucy ociera policzki grzbietem dłoni i do Jane dociera, że płacze.

Ivy sięga pod bluzę do kabury z bronią i wykonuje taki ruch, jakby chciała wstać.

– Co ty wyprawiasz, do diabła? – szepcze Jane. Chwyta Ivy za ramię i ciągnie ją w dół.

– Zamierzam ją powstrzymać! – Ivy próbuje się oswobodzić.

– Powstrzymać przed czym? – pyta Jane. – Wciąż nie wiemy, co się dzieje!

– Nie bądź naiwna! Jest złodziejką!

– Dobra, ale nie pozwolę ci jej zastrzelić!

– Co? – Ivy gapi się na Jane z niedowierzaniem. – Nie zamierzam jej zastrzelić!

– To po co ci broń?

– Dobra – mówi Lucy chłodnym, ostrożnym tonem, ukryta w jakimś miejscu bardzo blisko nich. – Kto tam jest? Słyszę głosy. Wychodźcie, powoli.

Ivy jest tak wystraszona, że z dzikim spojrzeniem opada na ziemię. Sięga pod bluzę.

– Nie pokazuj się – szepcze. – Daj mi to załatwić, proszę.

Zanim Jane ma szansę zastanowić się nad tym, co robić, Jasper wypada z krzaków i biegnie w stronę Lucy. Jane wstaje, z jej ust wyrывa się krzyk i widzi, jak pies taranuje Lucy. Jest na to nieprzygotowana i przewraca się, przeklinając. Pies wskakuje na nią i zaciska pysk na broni. Warczy, szarpie na wszystkie strony. Wszystko dzieje się tak szybko. Jane podbiega do nich, przerażona, że broń wypali, gdy Jasper ma ją w pysku. Lucy się miota, jej palce krwawią; ona też to rozumie.

– Powstrzymaj go – szlocha Lucy. – Powstrzymaj go. Odciągnij. Odstrzeli mi głowę.

– Jasper! – Jane chwyta go pośrodku i próbuje odciągnąć. – Ona nas nie zastrzeli.

– Nie – dyszy Lucy. – Oczywiście, że was nie zastrzelę. Przysięgam!

Jasper puszcza. Jane nagle odtacza się na bok, z psem w ramionach. Ona i Jasper się toczą, potem Jane orientuje się, gdzie góra, a gdzie dół, i wstaje.

Ale wtedy Lucy już też jest na nogach. Trzyma broń wymierzoną w Jane.

– Lucy – mówi Jane, zdezorientowana.

Oczy Lucy za lufą broni są spokojne i twarde. Po jej dłoniach ścieka krew.

– No, no – mówi. – Jesteś uroczo ufna, co?

W sumie, to nie, myśli Jane jak w zwolnionym tempie, ale jest ogromna różnica między nieufaniem komuś, a uwierzeniem, że ten ktoś naprawdę jest gotów do ciebie strzelić. To moja wina. Jest tu Ivy i Jasper. Sprowadziłam ich tutaj i naraziłam na niebezpieczeństwo.

– Jasper – mówi do psa, który jest tuż przy niej i cicho warczy. Jane jest przerażona tym, jak może na to zareagować Lucy. – Bądź cicho i się nie ruszaj.

Z krzaków dochodzi je silny głos Ivy.

– Ja też mam broń – mówi. – Rzuć swoją, Lucy, albo cię zastrzelę.

– Nie masz broni – warczy Lucy.

– Nie mam? Jeśli skrzywdzisz Janie, rozwałę ci kolana. A teraz ją rzuć. Liczę do jednego.

To, co następuje potem, dzieje się tak szybko, że Jane ledwie za tym nadąża. Jasper naciera na Lucy. Lucy próbuje go zastrzelić. Jane krzyczy i rzuca się na nich, broń Lucy wypala, a Jasper zaciska zęby na jej kolanie. Lucy znów się przewraca, krzyczy z bólu, a Jasper krwawi. Jasper krwawi! Jane rzuca się na Lucy, wyszarpuje broń z jej rąk. Gdy już ją trzyma, nie wie, co z nią zrobić, ale Ivy jest już przy niej i ją od niej zabiera. Ivy mierzy do Lucy z jej własnej broni, a ta wciąż krzyczy i usiłuje się oswobodzić z uchwytu zębów Jaspera. Pies trzyma ją jednak mocno.

– Dobry piesek – mówi Jane, ściskając go. To tylko ucho. Lucy przestrzeliła dziurę w jego kłapciatym uchu. Po policzkach Jane płyną łzy. – Jasper, jesteś bardzo dzielnym psem. Tak mi przykro. Nic ci nie jest? Puść. Daj mi obejrzeć twoje ucho.

Jasper puszcza kolano Lucy. Jane go przytula, a on liże ją po twarzy, brudząc ją całą krwią. Jane płacze w jego sierść. To jeden wielki łzawy bałagan. Jego ucho obficie krwawi i Jane uciska je rękawem, nie za bardzo wiedząc, jak mu pomóc, póki Ivy nie proponuje, by zdjęła któreś z ubrań i mocno przywiązała ucho do głowy Jaspera.

– Dałabym ci coś mojego – mówi Ivy – ale nie zamierzam spuszczać z oka tej zdziry.

– To wzruszające, jak się przejmujecie tym psem – warczy wspomniana zdzira i jęczy z bólu. – Ze mną też jest kiepsko.

Jane nie jest w stanie znieść jej głosu.

– Jeśli jeszcze raz się odezwie – mówi do Ivy – zastrzel ją.

– Czyli zmieniłaś zdanie? – droczy się Ivy.

Jane jest zbyt zawstydzona, by na nią spojrzeć. Próbuje zrobić ze swojej bluzy opatrunek dla Jaspera. Kiepsko jej to idzie. Wciąż płacze, jest wystraszona i za bardzo się trzęsie.

Bierze głęboki oddech, żeby się uspokoić.

– Hej, Janie – mówi cicho Ivy – wiesz, że nic nam nie będzie, prawda? Poradziłyśmy sobie.

Trzy kobiety i jeden pies tworzą dziwną procesję powracającą do domu. Jane jest wciąż w piżamie z *Doktorem Who*, cała we krwi Jaspera, z twarzą mokrą od łez. Jej bluza jest dwukrotnie owinięta wokół głowy psa, rękawy związane na kokardkę. Jasper wydaje się nie mieć nic przeciwko temu, że głupio wygląda. Idzie sprężystym krokiem, z dumnie uniesioną głową.

– Jasper – mówi do niego Jane – jesteś uosobieniem bohaterstwa.

Idąca kilka kroków przed nimi Lucy parska. Jest zakrwawiona, przemoczona i utyka, nadgarstki ma skrępowane paskami, które Ivy wyciągnęła z plecaka.

Ivy idzie za nią, spokojnie trzymając w rękach broń Lucy, jak jakaś wspaniała dziewczyna-

ninja.

– Na kogo czekałaś tam na brzegu, Lucy? – pyta. – Po tym, jak twoi przyjaciele odpłynęli łodzią i zanim nas usłyszałaś? Kogo się spodziewałaś?

– Nikogo.

– Brednie – mówi Ivy.

– Z kim opuściłaś dom nad ranem, z latarką i obrazem Vermeera? Janie cię widziała.

– Nigdy ci się nie uda powiązać mnie z Vermeerem – mówi Lucy. – Janie musiała widzieć facetów z łodzi.

– Nie – mówi Ivy. Tylko jeden z tych facetów miał mokre nogawki.

– To może drugi się przebrał w suche spodnie, kiedy wrócił na łódź.

– Było tak – odpowiada jej Ivy – że dziś nad ranem ty i twój współnik wynieśliście Vermeera z domu i przekazaliście go facetowi z łodzi. Mężczyzna w mokrych spodniach wypatrywał tego drugiego. Widzieliśmy go siedzącego na skale. Osoba, z którą wyszłaś z domu, miała cię ubezpieczać. Chcę wiedzieć, kto to jest.

– Nie mam współnika – oświadcza Lucy melodyjnym głosem.

– Jasne – rzuca sarkastycznie Ivy. – Kimkolwiek jest twój współnik, twoje jęki widocznie skutecznie go odstraszyły. Dobra robota.

Ivy znów sięga do plecaka, wyjmując walkie-talkie i mówi:

– Halo. Niech ktoś odbierze. Pani V? Panie V?

Nikt nie odpowiada.

Jasper wdrapujący się na wzgórze ślizga się na liściach i zaczyna dyszeć. Jane znów zbiera się na płacz.

– Nic ci nie jest, mały? – pyta go. – Chcesz, żeby cię ponieść?

– Boże wszechmogący – mówi Lucy. – Może się zatrzymajmy, żebyś mogła zbudować temu psu świątynię.

– To dzięki temu psu jesteśmy bezpieczne, a ty masz kłopoty – mówi chłodno Jane do jej pleców. – To dlatego sobie z niego drwisz. Bo skopał ci tyłek.

Ivy zaczyna się cicho śmiać. Znów sięga do plecaka, wyjmując batonik czekoladowy i podaje go Jane. Jane rozrywa opakowanie, zdumiona tym, jaka jest głodna.

Ivy znów próbuje się skontaktować przez krótkofalówkę. W końcu, gdy wychodzą spomiędzy drzew na trawnik, przez trzaski przebija się głos pani Vanders.

– Ivy-Fasolko? Gdzie jesteś?

Kilka chwil później, po odpowiednich telefonach, oddział policji stanu Nowy Jork jest w drodze.

– Przeszukają też wody pomiędzy wyspą a stałym lądem w nadziei na przechwycenie tej łodzi – mówi trzeszczący głos pani Vanders. – I wyślę kilka osób do tamtej zatoczki, żeby poszukały współnika.

– I weterynarza – przypomina Jane. – Jasper potrzebuje weterynarza.

– Tak – powtarza Ivy przez radio. – Jasper potrzebuje weterynarza. Lucy go postrzeliła. Ma krwawiącą dziurę w uchu.

– O mój Boże – odpowiada pani Vanders. – Jakie to było niepotrzebne! Patrick! – krzyczy – Pies potrzebuje weterynarza.

– Czy w ciągu ostatnich kilku minut ktoś wchodził do domu? – pyta Ivy.

– Zapomniałaś, że dziś jest gala? Drzwi są otwarte na oścież i ludzie wchodzą i wychodzą, odkąd wstało słońce.

– Cholera – klnie Ivy i zwraca się Lucy: – Twój współnik miał cholerne szczęście. Zazdrościsz mu, co?

– Niewątpliwie by tak było, gdybym tylko miała jakiegoś współnika – odpowiada Lucy.

– Zdajesz sobie sprawę, że za Brâncușiego też dostaniesz za swoje, prawda, Lucy? – pyta Ivy. Jej jedyną odpowiedzią są zaciśnięte usta i zawzięta mina.

– Może nawet ponownie otworzą sprawę tamtego Rubensa – dodaje Jane.

– Tak – zgadza się z nią Ivy. – Dobrze to ujęłaś, Janie.

Gdy cała grupka dociera do domu, na tarasie na tyłach czeka na nich pani Vanders. Podchodzi, kładzie rękę na ramieniu Lucy i z ponurą miną prowadzi ją do środka. Na tarasie stoi również Octavian IV, z ziemistą twarzą, ubrany w szlafrok w orientalne wzory. Jest też Ravi, oniemiały, wybałuszający oczy. Wpatruje się z niedowierzaniem w Lucy. Wygląda jak skrzywdzony chłopczyk. Lucy odwzajemnia jego spojrzenie. Gdy po policzku Ravięgo spływa łza, ona też zaczyna cicho, ze złością płakać.

Policjanci dzielą się na dwie grupy, jedna szuka w lesie współnika Lucy, a druga rekwiruje pokój do bilardu, bo są tam tylko dwoje drzwi i jedno, i drugie można zamknąć. Poinformowali o swoim zamiarze porozmawiania ze wszystkimi domownikami, kolejno – począwszy od Lucy przez Jane, Ivy i Ravięgo. A potem z każdym, kto nie spał, gdy Jane i Ivy sprowadziły Lucy do domu, co obejmuje Octavianę, pana i panią Vanders, Kucharza, Patricka, cały stały personel i wszystkich tymczasowych pracowników wynajętych na czas gali. A następnie ze wszystkimi, którzy spali, bądź też twierdzili, że spali, i dopiero potem zeszli na dół: z Phoebe Okadą, Colinem Mackiem i Kiran.

Zjawił się też weterynarz, potężna jak niedźwiedz kobieta, która jest w tej chwili w kuchni i robi małe zamieszanie, zakładając szwy Jasperowi. Mówi, że Jane dobrze sobie poradziła ze zrobieniem prowizorycznego opatrunku i nie powinna być taka przerażona krwią.

– Uszy tak krwawią – mówi – ale wygląda to gorzej, niż jest w rzeczywistości. Temu psu nic nie będzie.

Mimo to za każdym razem, gdy Jane spogląda na Jaspera, po jej policzkach znów spływają łzy. Gdy Jasper patrzy na nią czule, łzy płyną jeszcze szybciej.

Policjanci po zapoznaniu się z podstawowymi faktami bardzo długo rozmawiają sam na sam z Lucy.

Jane i Ivy czekają na swoją kolej w złotym salonie, który sąsiaduje z pokojem do bilardu. Ivy siedzi spokojnie, obserwuje, jak Jane pociąga nosem i szarpie skórki przy paznokciach. Jane w pewnym momencie spogląda na Ivy i dostrzega, że jej tęczy przy krawędziach stają się fioletowe. Potem już na nią nie patrzy.

– Jesteś na mnie zła? – odzywa się w końcu Ivy.

Jane znajduje trochę brudu pod paznokciem i próbuje go wydłubać, ale wbija go jeszcze głębiej. To pozostałości z lasu. Tarzanie się podczas walki, rozwiązywanie brudnych zagadek, ogólny mętlik.

– Próbowałam sobie wyobrazić, jak się musisz czuć – ciągnie Ivy. – Zwłaszcza że wygląda na to, że coś tam wiesz. To znaczy, coś widziałaś albo coś podsłuchałaś w związku z Philipem? A może chodzi o Patricka? – Milczy przez chwilę. – W każdym razie ja byłabym zła.

– Nie rozumiem, dlaczego miałabym ci mówić, co widziałam czy słyszałam. Ty nie powiedziałaś mi o niczym.

– Masz rację.

– I nie wiem, dlaczego pytasz, czy jestem zła – ciągnie spokojnie Jane – skoro to ty się zachowujesz, jakbyś była zła na mnie.

– Nie jestem na ciebie zła – oświadcza ponuro Ivy.

– No cóż, szwendasz się z tym swoim aparatem, klikasz, udajesz, że robisz zdjęcia dzieł sztuki, a potem, kiedy mnie widzisz, zachowujesz się, jakbyś była zła.

– Nie jestem na ciebie zła – powtarza Ivy. – Jestem zła, że nie mogę ci powiedzieć, co się dzieje.

– No cóż – odpowiada Jane – musisz lepiej ukierunkować swoją złość.

Zaskoczona Ivy prawie się uśmiecha.

– Ostatnio zupełnie mi się nie udaje ustalić, komu powinnam ufać.

– To po części moja wina. – Ivy pochyła się w jej stronę. – I wina Lucy. Nabrała cię. Wykorzystała to, że jesteś lepsza. To ona nawaliła, ona jest do niczego, a nie ty.

– Powinnam była to wiedzieć. Ty wiedziałaś od razu.

– No cóż – mówi Ivy, uśmiechając się krzywo i opadając z powrotem na krzesło – nieufanie ludziom to też nie jest coś, z czego można być dumnym.

– Ale miałaś rację – mówi Jane. – Połapałaś się w tym.

– Tylko dlatego, że mam więcej doświadczenia z ludźmi, którzy są niegodni zaufania. Poważnie, Janie, byłaś tam bardzo dzielna. Staralaś się, żeby wszyscy byli bezpieczni, nawet Lucy, choć nie miałaś pojęcia, co się dzieje. Na litość boską, odebrałaś jej broń!

Jane przygląda rękawy piżamy i ostrożnie chłonie te pochwały. Jeden z policjantów wysuwa głowę przez drzwi pokoju do bilardu, rozgląda się gniewnie, cofa i zatrząskuje je.

– Denerwuję się – mówi Jane.

– Czemu?

– Nie wiem. Nigdy nie byłam przesłuchiwana przez policję.

– Ach! No cóż, musisz tylko powiedzieć im prawdę.

– Właśnie o to chodzi – mówi Jane. – Co będzie, jeśli niechący pogrążę kogoś niewinnego?

– Myślę, że w takich sytuacjach nic nie możesz poradzić na to, co niechący zrobisz. I jeśli powiesz prawdę, szansa, że skrzywdzisz niewinnych ludzi, będzie o wiele mniejsza.

Jane wpatruje się uważnie w spokojną twarz Ivy.

– Prawda jest taka, że powiedziałaś Lucy, że masz broń.

– Ach tak. Ale czy widziałaś tę broń?

– Nie – przyznaje Jane. – Niezupełnie.

– Policja cię zapyta, co mówiłam i co robiłam – wyjaśnia Ivy. – Po prostu powiedz im prawdę. Dojdą do wniosku, że tylko udawałam, że mam broń, by uzyskać przewagę.

Jane przełyka.

– No to teraz mi lepiej. Trochę. Tyle tylko, że widziałam kształt broni pod twoją bluzą.

Ivy spogląda w dół, jej bluza leży teraz płasko, nie widać żadnego wybrzuszenia. Na nogach ma płócienne tenisówki, a włosy upięła w luźny kok. Kiedy Jane rozczułała się nad Jasperem, a wszyscy domownicy czekali na policję, Ivy musiała wrócić do swojego pokoju i zmienić parę rzeczy.

– W takim razie o tym też im powiedz – odpowiada po prostu. – Jakiś kształt pod bluzą to żaden konkret.

– Chcę się dowiedzieć, co tu się tak naprawdę dzieje – mówi Jane, patrząc jej w oczy. – Po prostu dla siebie.

W niebieskich oczach Ivy za okularami widać łagodność i troskę.

– Możemy o tym porozmawiać później? Kiedy policja już sobie pójdzie?

– A na pewno o tym porozmawiamy?

– Tak – zapewnia Ivy. – Przysięgam.

– Powiesz mi o wszystkim?

– O wszystkim.

– Czy to mnie zdenerwuje?

Ivy wzdycha. Nagle wydaje się bardzo zmęczona, mruga oczami, jakby ją piekły.

– Nie wiem – mówi. – Prawda jest taka, że zatraciłam już perspektywę.

– Mogę ci w tym pomóc – odpowiada Jane. – Jeśli jest źle, to naprawdę bardzo się zdenerwuję, żebyś nie mogła tego przegapić.

Ivy się śmieje.

– Może ci się wydaje, że żartujesz, ale to by pewnie pomogło. Aż tak bardzo zatraciłam perspektywę. – Ziewa. – Rany, przepraszam. I co, już się mniej denerwujesz?

– No cóż. – Jane milczy przez chwilę. – Zanim poszłam do ciebie, zajrzałam do pokoju Ravięgo. Nie było go tam.

– Nie było go?

– Nie.

– Rozumiem, czemu nie chcesz mówić o tym policji, ale Ravi potrafi sam o siebie zadbać. Powie im, gdzie był. Mogłabyś tylko wszystko skomplikować, mówiąc, że był gdzieś, gdzie go nie było.

Ivy ma rację. Najlepiej będzie, jeśli Jane powie prawdę.

– Dzięki – mówi.

– Nie ma za co. To normalne, że człowiek się denerwuje.

– Ale ty nie.

– O tak. Jestem jak kaczka na wodzie. Może i wydaję się spokojna, ale pod powierzchnią moje nogi przebierają jak szalone. I jeszcze się nie wyspałam, więc jestem trochę w rozsypce.

– Jesteś pewna, że Lucy ma współnika?

– Nie wiem – odpowiada Ivy. – Tam na plaży zdecydowanie wyglądało to tak, jakby się kogoś spodziewała. Musi odchodzić od zmysłów, próbując ustalić, kto zabrał Brâncușiego, i miałam nadzieję, że podejrzewa własnego współnika. Bo czy naprawdę sądzi, że w tym domu może być równocześnie trzech złodziei dzieł sztuki? Lucy, jej współnik i ktoś jeszcze? Nie pomyślałaby, że to zbyt duży zbieg okoliczności?

– Jesteś pewna, że Lucy nie zabrała Brâncușiego?

– Tak – mówi Ivy. – Przykro mi, że wciąż powracamy do spraw, o których nie mogę ci powiedzieć.

– Ale to dlatego z niej drwiłaś, mówiąc, że za Brâncușiego też dostanie za swoje? – pyta Jane.

– Liczyłaś, że to ją przekona, by zdradziła swojego współnika?

– Tak – przyznaje Ivy. – Jeśli jakiegoś ma. Możliwe, że ten facet z mokrymi spodniami przyszedł do domu się z nią spotkać i widziałaś, jak we dwoje wchodzi do lasu. Ale wątpię w to.

Nagle Jane coś sobie uświadamia.

– Ivy – mówi – policja będzie pytać ciebie o Brâncușiego. I zapytają, czy naprawdę miałaś broń. Zamierzasz skłamać?

Ivy milczy, wpatrując się w światło wpadające przez drzwi sali balowej. Koniuszki jej włosów lśnią jak złoto.

– Zrobię to, co uważam za słuszne – mówi. – Kiedy to się już skończy, przysięgam, że

opowiem ci o wszystkich tych sprawach, o których nie mogę powiedzieć ci teraz.

Przez chwilę Jane siedzi w milczeniu, a potem uświadamia sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, że wierzy Ivy. Po drugie, że tak naprawdę nie potrafi uwierzyć, pomimo broni, zaginionych dzieci i skradzionych dzieł sztuki, że cokolwiek, co robi Ivy, może być naprawdę złe.

– Wiesz, że istnieje słowo określające ten dźwięk migawki? – pyta Ivy.

– Że co?

– Ten dźwięk, który wydaje cyfrowy aparat. Sztuczny dźwięk migawki.

– To on jest sztuczny?

– Zastanów się. W cyfrowym aparacie nie ma migawki. Jest tylko tak zaprojektowany, by wydawać taki dźwięk, jak starsze aparaty, które je miały.

– Nigdy o tym nie pomyślałam!

– Jest słowo określające ujmowanie w projekcie cechy, która jest przestarzała. Nie potrafię go sobie przypomnieć.

– Myślisz o słowie dopuszczalnym w scrabble?

– Mam taką nadzieję. – Ivy uśmiecha się szeroko.

Jane nie potrafi tego wyjaśnić, ale czuje się teraz bardziej gotowa na rozmowę z policją. Jakby miała sobie poradzić ze wszystkim, co ją spotka.

– Chciałabym wiedzieć, jakie to słowo.

– Jak tylko sobie przypomnę, obiecuję, że ci powiem – zapewnia Ivy.

Gdy policja wyprowadza Lucy St. George z pokoju do bilardu, ta potyka się o listwę i nie przewraca się tylko dlatego, że jeden z policjantów mocno ściska jej ramię. Jane ma wrażenie, że są niepotrzebnie brutalni. Chce się cieszyć, ale Lucy jest drobna. Gdy ciągną ją przez złoty salon, krzywi się z bólu.

Wychwytuje spojrzenie Jane.

– Czy Ravi jest w głównym holu? – pyta.

Jane nie ma pojęcia, dlaczego miałyby jej odpowiadać.

– Nie wydaje mi się.

Lucy wygląda, jakby jej ulżyło.

– Dzięki – mówi jeszcze, gdy policjanci ją odciągają.

Jane ma ochotę za nią krzyknąć, że nie zaaranżowała tego dla jej dobrego samopoczucia. Że nic by nie zrobiła dla człowieka, który kłamie, udaje, a potem strzela do psa.

Opryskliwy policjant, który pachnie morzem, podchodzi do drzwi i wywołuje Jane.

Policjanci, dwóch mężczyzn i jedna kobieta, mają obojętne twarze, ostre głosy i mnóstwo pytań. Jane mówi im prawdę i w większości przypadków jej szczerą odpowiedź brzmi: „Nie wiem”.

– Ten mężczyzna w lesie jadł pomarańczę – mówi w pewnej chwili.

– Jadł pomarańczę – powtarza beznamiętnie przesłuchujący ją policjant i nie zapisuje tej bezcennej informacji. Jane i policjanci siedzą trochę niewygodnie przy końcu najwymyślniejszego stołu bilardowego, jaki w życiu widziała: z niebieskim filcem i lwami wyrzeźbionymi na drewnianych nogach.

– Czy Lucy St. George mówiła coś do tych mężczyzn w łodzi? – pyta policjant, którego usta zasłaniają krzaczaste białe wąsy.

Jane usiłuje sobie przypomnieć.

– Tak – mówi. – Lucy powiedziała chyba „Więcej tego nie zrobię. To marnowanie moich zdolności. I twoich też, J.R.”. Albo coś w tym stylu. Byłam dość daleko i szumiało morze.

– Czego więcej nie zrobi? – pyta wąsaty policjant. – I kim jest J.R.?

– To mężczyzna, który sterował łodzią – odpowiada Jane.

– Hmm – mruczy policjant. I Jane słyszy mnóstwo znaczeń w tym „hmm”. W długiej karierze tych policjantów jest najbardziej bezużytecznym świadkiem, jakiego kiedykolwiek przesłuchiwali.

Pytają ją, kim jest i dlaczego znalazła się w tym domu. Jej odpowiedzi wydają się ich nudzić. Jane stara się, by jej głos brzmiał swobodnie, gdy mówi im, że tak naprawdę nigdy nie widziała broni Ivy. Sili się na zblazowany ton, kiedy im opowiada, że Ravięgo nie było w pokoju. Na te słowa trochę się ożywiają, co odbiera jej pewność siebie. Ravi mógł być tym współnikiem, prawda? Czy ta scena, którą odstawił, mogła być udawana? Jeśli tak, to zasługuje na to, by go złapali. Prawda?

Nie. Jane nie może uwierzyć, że Ravi jest w to zamieszany. Ale z drugiej strony wcześniej to samo myślała o Lucy.

– Czy policja przyznaje medale psom? – pyta.

– Dziękujemy za poświęcony nam czas – odpowiadają ponuro i przeganiają ją z powrotem do złotego salonu.

– I jak ci poszło? – pyta Ivy, która wciąż tam siedzi.

– Nie mam pojęcia – odpowiada Jane.

Pazury szurają i skrobią o płytki, gdy do pokoju wtacza się Jasper. Ma zabandażowane ucho, luźno przyklejone taśmą do szyi. Na widok Jane dosłownie rzuca się na nią. Jane opada na podłogę, bierze go na kolana, głaszcze i naturalnie znów zaczyna płakać. Czuje jego gorący oddech na twarzy.

– Jeszcze nie widziałam, żeby ten pies zachowywał się przy kimś tak, jak przy tobie. – Ivy przetrząsa swoje liczne kieszenie i w końcu znajduje chusteczkę. Podchodzi do Jane, kuca i delikatnie dotyka nią jej twarzy. Jane wciąż przytula Jaspera.

Przez chwilę czuje się tak, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

– Ivy Yellan – mówi potwornie znudzonym tonem policjant, który zjawia się w drzwiach pokoju do bilardu. – I ty – dodaje, wskazując wysuniętym podbródkiem na Jane.

– Co? Ja? Dopiero co ze mną rozmawialiście.

– Tak – mówi policjant. – Nie zapomniałem twoich błyskotliwych zeznań. Zrób nam przysługę i idź poszukać Ravięgo Thrasha, dobrze? Jest następny.

– Tu jestem – odzywa się Ravi, który właśnie pojawił się w drzwiach sali balowej.

– Dobrze – mówi do niego policjant. – Proszę tu zostać.

Znikają razem z Ivy, zostawiając Jane i Ravięgo, który uważnie wpatruje się w jej twarz. Jane pociąga nosem i ociera oczy rękawem piżamy.

– Dlaczego płaczesz? – pyta Ravi.

– Chodzi o psa – mówi Jane. Może to niedopowiedzenie, ale prawda.

– No tak – rzuca ponuro Ravi.

– Wydajesz się zmęczony.

– Tak. Tą sprawą powinno się zajmować FBI – odpowiada Ravi. – To byłby cud, gdyby nasze dzieła sztuki wciąż były w stanie Nowy Jork. Vanny chyba próbuje przyprawić mnie o wrzody. Zamiast wezwać FBI, zadzwoniła do policji stanowej. I jak się czujesz po rozmowie z nimi?

Jane zastanawia się przez chwilę, a potem mówi znacząco:

– Odpowiedziałam szczerze na wszystkie ich pytania.

Ravi pociera kark i wzdycha. Siwe pasemka we włosach nagle sprawiają, że wydaje się stary

i zmęczony.

– A miałaś jakiś powód, żeby tego nie robić?

– Najpierw poszłam poszukać ciebie – mówi Jane. – Dziś rano. Zanim wyszłam na dwór, zajrzałam do twojego pokoju. Było tuż przed świtem, a ciebie tam nie było. Powiedziałam im o tym.

Ravi wciąż się w nią wpatruje.

– A teraz mi o tym mówisz, żebym im nie powiedział, że przez cały czas byłem w łóżku?

– Tak – mówi Jane. – Chyba tak.

Kąciki ust Ravięgo się unoszą.

– Jesteś jedną wielką zagadką.

– Ravi, jeśli właśnie próbujesz ze mną flirtować, to zaraz się wścieknę.

Na te słowa Ravi uśmiecha się smutno i ze zmęczeniem kręci głową.

– Spędziłem noc z tatą w bibliotece – informuje. – Słuchaliśmy Beatlesów.

– Beatlesów! – woła Jane. – Zapomniałam powiedzieć policji o Beatlesach. – Stawia Jaspera na podłodze, wstaje, odwraca się i wpada do pokoju do bilardu. Cztery głowy odwracają się, by na nią spojrzeć.

– Zapomniałam wam powiedzieć, że kiedy przechodziłam przez atrium w drodze do pomieszczeń dla służby, słyszałam muzykę Beatlesów – oświadcza Jane.

Wszyscy patrzą na nią skonsternowani. Wychodzi z pokoju i zamyka drzwi, zanim zrobi się jeszcze gorzej.

– Jestem przekonana, że będę ich najmniej ulubionym świadkiem – mówi Raviemu.

– Nie przejmuj się. Patrick wpadnie w zadumę, Kiran będzie milcząca i przygnębiona, Colin potraktuje ich protekcyjnie, a Phoebe zachowa się jak snobka i będzie się bronić.

– Dzięki – mówi Jane. – To mi trochę poprawiło humor.

Znów ten jego półuśmiech.

– Dotrzymasz mi towarzystwa, kiedy będę czekać?

Jane współczuje Raviemu, który miał paskudny poranek. Ale sama wciąż jest ubrana w piżamę z *Doktorem Who*, biegała po lesie, przewracała się, tarzała, mierzono do niej z broni, zakrwawił ją pies, wyplakała sobie oczy i była przesłuchiwana przez policję. Przydałby jej się prysznic i głęboka drzemka z Jasperem chrapiącym w nogach.

– Muszę się doprowadzić do porządku – mówi.

– Dobra, rozumiem – odpowiada Ravi. – Jeśli zobaczysz Kiran, przyslij ją do mnie, dobrze? Martwię się o nią.

– Dlaczego?

Ravi opada na fotel i zamyka oczy.

– To nie ma z tym nic wspólnego. Powiedzmy po prostu, że to takie sprawy między bliźniakami.

W jednej chwili Jane idzie przez salę balową z Jasperem przy nodze, wykończona i znużona, omijając pracowników zatrudnionych na czas gali, których głosy wydają jej się zbyt ostre i pogodne, w następnej czuje, że umiera z głodu. To dlatego faktycznie trafia na Kiran, która je z Colinem śniadanie w małej wnęce sali bankietowej. Dziobie łyżką jajko w koszulce.

– Szkoda, że nawet nie jestem zaskoczony – słyszy słowa Colina. – Na kogo stawiasz jako jej współnika? To ktoś z domu? Jakiś służący?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Kiran.

– Mogła być związana z facetem, który odpowiada za łodzie – mówi Colin. – Jeden z tych

potajemnych międzyklasowych związków.

– Chodzi ci o Patricka? – pyta zdeorientowana Kiran i pociera skronie, jakby ją bolały. – Skąd to wytrzasnąłeś?

– Całkiem dobrze się ze sobą dogadują. Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, by mógł jej odmówić.

W jego tonie słychać samozadowolenie, subtelne, trudne do określenia; jest wyraźnie zadowolony z własnych spekulacji. Coś w Jane się buntuje.

– Colin – mówi – dlaczego zmuszasz ją do rozmów, na które nie ma ochoty?

– Co? – Colin podnosi głowę i patrzy na Jane. Ma wilgotne włosy. Jest wykąpany i świeży jak pączek róży. – Kogo zmuszam?

– Kiran! – woła Jane. – Wiercisz jej dziurę w brzuchu.

Colin, urażony, opada na oparcie krzesła.

– Kocham Kiran – mówi. – Co ty możesz o czymkolwiek wiedzieć? Jesteś jeszcze dzieckiem i jesteś tu obca.

– Ona nie chce o tym rozmawiać – mówi Jane. – Chce, żebyś dał jej spokój.

– Jest przygnębiona! – odpowiada Colin. – Próbuję ją czymś zainteresować!

– Znęcasz się nad nią.

– Ty to masz tupet – mówi Colin, a potem zwraca się do Kiran: – Kochanie, czy ja się nad tobą znęcam?

Kiran ściska łyżkę tak mocno, że bieleją jej opuszki palców.

– Colin – mówi, patrząc w talerz – myślę, że pora, żebyśmy się rozstali. W sumie to jestem tego pewna. Przykro mi, ale to koniec.

Na policzki Colina wstępują rumieńce. Po chwili cicho odsuwa krzesło i wstaje.

– Dobrze – mówi sztywno. – A tak nawiasem mówiąc – dodaje, wbijając spojrzenie w Jane – to się mylisz. Ona wcale nie woli być sama. Ma słabość do jednego ze swoich służących. Sądziłem, że ze mną mogłaby być szczęśliwa, ale teraz nie jestem pewien, czy w ogóle jest zdolna do szczęścia.

– Nie mów o mnie tak, jakby mnie tu nie było – odzywa się Kiran. – Ty protekcyjnalny palancie.

Colin otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamyka. Odwraca się, żeby odejść. Nagle ogląda się przez ramię i znów zwraca się do Jane:

– A tak przy okazji, muszę cię z przykrością poinformować, że twoim parasolkom przytrafił się wypadek. Spadły na ulicę w Soho i przejechała je ciężarówka. Bardzo mi przykro. Jak miemam, nie były ubezpieczone?

Jej parasolka z kopułą Panteonu. Parasolka w kształcie ptasiego jaja. I ta z mosiężną rączką, w kolorach brązu i miedzianego różu. Jane dławi się własnym zdumieniem.

– To okropne – mówi Kiran.

Jane patrzy na jej twarz i widzi, że całe jej ciepło i współczucie są prawdziwe i szczerze.

Potem spogląda na twarz Colina, na której malują się w idealnej równowadze smutek, troska i żal. I coś jeszcze. Maleńki przeblysłk czegoś dziecinnego. Triumfu.

Nagle intuicja coś jej podpowiada.

Odwraca się bez słowa i przechodzi przez salę bankietową do kuchni. Zatrzymuje się tylko, by przytrzymać drzwi Jasperowi. Pani Vanders i Patrick siedzą obok siebie przy stole i coś do siebie mruczą.

– Kto odwoził wczoraj pocztę? – pyta ich Jane.

Nawet na nią nie patrzą.

– Kucharz – mówi pan Vanders.

– A gdzie jest teraz Kucharz? – pyta Jane.

– Na nabrzeżu.

– Muszę mu zadać pytanie.

Pan Vanders przygląda jej się z zaciekawieniem. Sięga do szuflady za plecami i wyjmuję krótkofalówkę. Wciska przycisk i mówi:

– Synu.

Chwilę później odpowiada mu ochrypły głos:

– Tata?

Pan Vanders oddaje Jane krótkofalówkę. Jane jeszcze nigdy czegoś takiego nie używała. Wciska przycisk i mówi:

– Dzień dobry.

– Tak?

– To Kucharz?

– Tak.

– Czy Colin Mack dał panu wczoraj długą wąską paczkę do wysłania pocztą?

– Tak – mówi Kucharz. – Z parasolkami.

– Jak były zapakowane?

– W jakiś kilometr folii bąbelkowej i przymocowane do skrzyni. Pomagałem je pakować.

– Do kogo były zaadresowane?

– Do Buckleya St. George’a na jego biuro w Soho. Z Southampton wysłałem je prywatnym posłańcem. To człowiek, z którego usług rodzina zawsze korzysta.

– Rodzina? Jaka rodzina?

– Rodzina Thrashów! A jak myślisz? Octavian od czasu do czasu przewozi dzieła sztuki. Zawsze korzystamy z usług tego człowieka.

– Jest niezdamny? – pyta Jane. – Upuszcza przesyłki? To jakiś kurier rowerowy, któremu zawsze coś się przytrafia?

– Oczywiście, że nie! To profesjonalny kurier przewożący dzieła sztuki. Jeździ specjalną furgonetką!

Jane oddaje krótkofalówkę panu Vandersowi i oddala się z Jasperem przy nodze.

– Halo? – słyszy za plecami zagniewany głos Kucharza. – Kto mówi? Tato? Czy to siostrzenica Magnolii?

Jane przepycha się z powrotem przez wahadłowe drzwi, zdumiona własną pewnością.

Tym razem, gdy wpada do pokoju do bilardu, na zaskoczonych twarzach maluje się też lekkie poirytowanie. Ivy już poszła, policjanci rozmawiają z Ravim. Ten trochę się rozpogadza na widok Jane. Przewiduje niezły ubaw.

– Wspólnikiem jest Colin Mack – mówi Jane – albo w każdym razie jest dupkiem, który mnie okradł. Na dowód tego znajdziecie trzy parasolki w biurze Buckleya St. Georga, któremu, szczerze mówiąc, też nie ufam. Może to St. George za tym wszystkim stoi. Może przysłał tu córkę i siostrzeńca, żeby mogli kraść dzieła sztuki, a Colin, ten arogancki dupek, nie mógł się powstrzymać i okradł też mnie. I proszę, zwróćcie uwagę – dodaje zdesperowana Jane, pragnąc powiedzieć całą prawdę – że to wszystko to tylko domysły oparte na wyrazie twarzy Colina i być może trochę na tym, że nie mogę się pogodzić z rzezią moich parasolek. Ale myślę, że mam rację – kończy.

Policjantka odchrząkuje.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie kradzieży dwóch dzieł sztuki, wartych sto milionów dolarów, albo i więcej – mówi. – A ty opowiadasz nam o parasolkach.

– Colin właśnie mi powiedział, że parasolki uległy zniszczeniu – mówi Jane. – A to oznacza, że jeśli są w biurze Buckleya St. George’a, to Colin mnie okłamał, żeby móc je ukraść. Szukacie złodzieja czy nie?

Policja spędza w domu prawie cały dzień, choć dziś ma się odbyć gala. Jane z roztargnieniem gra w szachy z Kiran w ogrodzie zimowym i czeka.

Późnym popołudniem przychodzi wiadomość, że znaleziono parasolki. Dwie leżały na biurku Buckleya St. George’a, samego zaś Buckleya spotkano, jak spacerował w deszczu po Soho z trzecią, w kształcie nakrapianego jajka. Według policji Buckley był oczarowany parasolkami Jane. Ta bladoniebieska z brązowymi plamkami pasowała do jego muszki. Zamierzał osobiście kupić ją od Jane. Był zdumiony, gdy mu powiedziano, że Colin wymyślił historyjkę o zniszczeniu parasolek; uparcie twierdził, że Colin nic mu o tym nie wspominał. „Ten cholerny, głupi chłopak” – powiedział, a potem, gdy usłyszał o Lucy i Vermeerze, zamilkł na dobre.

Policja zabrała Colina. Usiłuje zachować godność i udaje, że bawi go taki obrót sprawy, ale jest blady, a w oczach widać strach. Jane z Kiran u boku patrzy, jak go wyprowadzają. Pogarda na twarzy Kiran mogłaby zmrozić gwiazdę.

Ale wciąż ani śladu zaginionego obrazu Vermeera.

Później tego dnia policja prosi Jane, by przyjechała do Nowego Jorku zidentyfikować swoje parasolki. Kiran wybiera się tam razem z nią. Policji nie jest do niczego potrzebna, ale chce, by Jane miała dostęp do miejskiego apartamentu Thrashów, a Jane wyczuwa, że nie ma najmniejszej ochoty brać udziału w gali.

Gdy wsiadają na łódź, zapada już zmierzch. Zaczyna się gala; zbliżające się łodzie iskrzą się na wodzie jak gwiazdy.

Kiedy policyjna łódź wpływa do cieśniny Long Island i pojawia się widok wieżowców na Manhattanie, Kiran otwiera się trochę niczym liść paproci. Nocne miasto nadaje blasku jej oczom. Wkrótce pojawiają się budynki policji stanowej na dziwnym, zalesionym skrawku lądu na East River, noszącym nazwę Wards Island.

W gwałnym budynku z żółtym oświetleniem śledczy Edwards kładzie parasolki na biurku i pyta, czy Jane je poznaje. Ma głos człowieka, który zabłądził na pustyni, i twarz Johna Wayne’a. Jane ta nagła nocna podróż do miasta, by zidentyfikować parasolki, wydaje się niemądra. Z łatwością mogłaby to zrobić ze zdjęcia albo nawet z opisu. Ale gdy leżą przed nią, czuje ulgę. Policjant pozwala jej wziąć je do ręki, dotknąć, sprawdzić, czy nic im nie dolega, a nawet podać je Kiran, która zapewnia Jane, że wszystkie są piękne. Są dokładnie w takim samym stanie, w jakim Jane ostatnio je widziała.

– Kiedy mogę je odzyskać?

– Kiedy skończymy śledztwo – mówi ochryple śledczy Edwards i dodaje nie bez współczucia: – Są dowodem. To znaczy, że dobrze się nimi zajmiemy. – Jane zauważa, że ma jasne szare oczy otoczone drobnymi zmarszczkami. Potem dostrzega małe brązowe przebarwienie w jednej z jego szarych tęczęwek i choć wie, że to irracjonalne, ufa mu w kwestii parasolek.

– To, że pozytywnie zidentyfikowałaś parasolki, uzasadni nakaz rewizji w biurze Buckleya St. George’a – mówi śledczy Edwards, gdy

Jane oddaje mu parasolki. – Pewnie dostaniemy też zgodę na sprawdzenie jego korespondencji i kont bankowych. Jeśli posiada jakieś skradzione dobra, znajdziemy je.

Kiran wpatruje się w twarz śledczego. Jane przypomina sobie, że Buckley St. George nie jest tylko wujem Colina i ojcem Lucy. Jest też szefem Raviego. Ravi straci pracę.

– Jesteście pewni, że Buckley St. George jest w to zamieszany? – pyta.

– Niczego nie jesteśmy pewni – mówi śledczy Edwards. – Nie sądzimy, by Buckley St. George wiedział, że Colin Mack zamierzał ukraść parasolki. Ale znaleźliśmy tych dwóch sprawców i łódź, jak wpływali na East River od strony cieśniny. Mogli być w drodze do Buckleya St. George’a z zamiarem dostarczenia mu obrazu Vermeera.

– Mówił pan, że ich znaleźliście – zauważa Kiran – ale nic pan nie wspomina o znalezieniu obrazu.

Mężczyzna uśmiecha się szeroko.

– No właśnie.

– Co pana tak bawi? – pyta Kiran.

Śledczy Edwards schyla się i wyciąga coś z szuflady.

– Starszy bosman znalazł na pokładzie paczkę, której wymiary pasowały do tego obrazu. Ale kiedy ją otworzył, w środku było puste płótno i to. – Kładzie na biurku przed Kiran i Jane przezroczysty plastikowy woreczek. W środku jest papierowa serwetka, na której ktoś mazakiem napisał wielkimi literami: MOŻESZ MI NASKOCZYĆ, TY DESPOTO.

– Hmm – mruczy Kiran. – Faktycznie zabawne.

– Tak – mówi śledczy Edwards.

– Myśli pan, że napisała to Lucy? Czy Colin?

– Wygląda na to, że to pismo Lucy St. George.

– I sądzi pan, że to liścik do jej ojca?

– Możliwe.

– Czyli co? Uważacie, że Lucy ukradła Vermeera na polecenie ojca, zachowała obraz dla siebie, a potem wysłała ojcu tę serwetkę z wiadomością?

– Jest taka teoria.

– A gdzie obraz Vermeera?

– Nie mamy pojęcia. Lucy milczy. Podobnie jak Colin, który, nawiasem mówiąc, wciąż uparcie twierdzi, że nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Ale pechowo dla niego znaleźliśmy ślady jego butów w pobliżu zatoczki. Zakładamy, że wdepnął w błoto po ostatnich deszczach, gdy dziś rano ubezpieczał Lucy.

Na tę wzmiankę o Colinie Kiran lekceważąco przewraca oczami.

– A co z dwoma facetami z łodzi? – pyta. – Nie mogliście ich aresztować? Przewożenie papierowej serwetki zapakowanej tak, by wyglądała jak skradziony obraz Vermeera, nie jest nielegalne.

– Jest pani bystra, panno Thrash – mówi śledczy. – Może by się pani spodobała praca detektywa. Ma pani rację, to nie jest nielegalne. Ale niech pani zgadnie, czego jeszcze udało nam się dowiedzieć.

– Chce się pan bawić w zgadywanki? – pyta łagodnie Kiran.

Edwards uśmiecha się od ucha do ucha.

– Chodzi o jednego z tych facetów. Tego wysokiego i chudego, nazywanego J.R. Okazuje się, że J. to skrót od Jana.

– Jan? – pyta Kiran. – Naprawdę tak ma na imię? Jak Jan Vermeer?

– Nazywa się Jan Vermeer Rutkoski – mówi śledczy Edwards. – Jego rodzice mieli nadzieję, że będzie mierzył wysoko.

– Jest fałszerzem?

– Zgadza się. To jego warsztat. – Śledczy pokazuje im duże błyszczące zdjęcie sztalugi w zagraconym pokoju. Na sztaludze znajduje się niedokończony obraz. Jane widziała go wcześniej na strychu w zachodnim skrzydle Tu Reviens, gdzie pani Vanders go konserwowała.

– To nasz autoportret Rembrandta – mówi Kiran. – Albo raczej nim będzie! – Masuje sobie skronie. – Octavian nigdy nie dbał o bezpieczeństwo. Żadnych alarmów ani kamer. Odkąd zniknęła Charlotte, nie zamyka nawet drzwi na klucz. Nie jest w stanie.

– No cóż, to wyspa – mówi śledczy. – Ale to nie znaczy, że jest niedostępna. A wy urządzenie te wszystkie wielkie imprezy.

Edwards pokazuje Kiran i Jane jeszcze jedno duże zdjęcie: cały rząd płócien opartych o brudną ścianę i mających wyglądać jak obraz Vermeera *Pisząca list z żabą*.

– Tu widać, jak ćwiczył – wyjaśnia Edwards.

– Jan Vermeer Rutkoski ma wielki talent – mówi ze znużeniem Kiran. – A to mi nasuwa myśl, że gdzieś powinno być muzeum wszystkich najbardziej udanych fałszerstw.

Gdy docierają do rodzinnego apartamentu Thrashów, Jane jest tak wykończona, że pada na łóżko, nawet się nie rozbierając. Wydaje jej się niemożliwe, że jeszcze dziś rano przedzierała się przez las.

Kiran staje w drzwiach.

– Dobranoc, kochana – mówi.

– Kiran? – odzywa się Jane. Pierwszy raz tego dnia przebywają sam na sam. – Wszystko w porządku?

– Bywało lepiej, ale bywało też gorzej. Nie martw się o mnie, po prostu się wyśpij. Przecież to ty jesteś bohaterką tego dnia...

Jane zasypia, nie wysłuchawszy do końca refleksji o bohaterach.

Jej sny są głębokie i dzikie. Ivy biegnie przez las, ubrana w czerni. Jest w niebezpieczeństwie. Oddała się od Jane i znika między ciemnymi, smukłymi drzewami. Nie. Zawróciła. Biegnie w stronę Jane. Gdy się do niej zbliża, zwalnia, wyciąga rękę i coś jej podaje. To parasolka i Jane uświadamia sobie, że to wcale nie Ivy. To ciocia Magnolia w fioletowym płaszczu ze srebrzysto-złotą podszewką.

Parasolka, którą ciocia Magnolia podaje Jane, to ta, nad którą ostatnio pracuje; ta asymetryczna, jak niebieska plamka w oku cioci.

– Jest zepsuta, kochanie – mówi, wciskając ją Jane do rąk. – Ale nadal może zapewnić ci bezpieczeństwo.

Jane budzi się z nieprzyjemnym uczuciem w ustach po tym, jak nie umyła wczoraj zębów, i mrowią ją nogi od spania w dzinsach. Sen wydaje się bardzo bliski. Próbuje się go uchwycić.

Wychodzi z sypialni i zastaje Kiran spoglądającą na Central Park przez szklaną ścianę penthouse'u z filiżanką kawy w ręce. Gdy Jane do niej dołącza, obie są świadkami rzadkiej w Nowym Jorku żabiej burzy. Właściwie to bardziej mżawka, ale wystarczy, by spowolnić ruch i sprawić, by park zaczął przypominać powierzchnię wody, na której poruszają się podskakujące plamki i niebieskie fale.

– Jak spałaś? – pyta Kiran.

– Miałam cudowny sen – mówi Jane.

To dziwne uczucie wrócić do holu głównego w Tu Reviens po tym, jak przegapiło się galę.

Jest pusty i statyczny; żadnych muzyków, ludzi z cateringu czy sprzątaczy. Żadnej krzątanimy. Bzy w wazonach wyglądają i pachną jakoś przygnębiająco.

Kiran idzie znaleźć Raviego, by przekazać mu wiadomość, że Vermeer prawdopodobnie przepadł na dobre.

Na górze Jasper leży pod drzwiami Jane, z nosem tuż przy szparze. Na jej widok zrywa się i biegnie w jej stronę, pokraczny i cały w bandażach. Gdy Jane przykłęka, by przyjąć jego mokre, ekstatyczne pocałunki, ma niepokojące uczucie, że wróciła do domu.

– Au! – krzyczy, gdy pies gramoli się jej na kolana, wbijając pazury w uda. – Jasper! Nie jesteś taki mały!

W apartamencie czeka kilka chwil, rozgląda się, choć właściwie nie jest pewna po co. Potem rusza na poszukiwania Ivy.

Jednak gdy zastaje panią Vanders w kuchni, ta mówi jej, że Ivy wyjechała.

– Wyjechała?! Dokąd? Zamierza wrócić?

Pani Vanders przy jednym z kuchennych stołów stuka w klawisze laptopa. Patrick stoi przy kuchence i podsmaża czosnek.

– Oczywiście, że wróci – mówi pani Vanders. – Dobry Boże, dziewczyno! Nie rób takiej żalostnej miny.

– Nie mówiła mi, że dokądś się wybiera.

– I bardzo dobrze – odpowiada rzeczowo ochmistrzyńi. – Kategorycznie jej tego zabroniłam.

– Było jej przykro, że wyjeżdża bez wyjaśnienia – dodaje Patrick, zerkając przez ramię na Jane.

– A właśnie! To mi o czymś przypomniało – mówi Jane z narastającym poirytowaniem. – Chcę się dowiedzieć wszystkiego o cioci Magnolii.

– Ivy mnie pytała, czy to ona może ci o wszystkim opowiedzieć – odzywa się pani Vanders. – Zgodziłam się. Sprawiała wrażenie, jakby było to dla niej ważne. Więc musisz po prostu poczekać.

– No dobrze, a kiedy wraca?

– Za kilka dni – odpowiada pani Vanders.

Patrick na ułamek sekundy nieruchomieje i wpatruje się w drewnianą łyżkę, którą trzyma w rękach. Potem starannie odkłada ją na blat kuchenki, wyłącza palnik i mówi do ochmistrzyńi:

– Skończyłem z okłamywaniem Kiran. – Idzie na tył kuchni i znika za drzwiami.

– Och, Boże dopomóż! – mówi wystraszona pani Vanders, zrywa się od stołu i biegnie za nim, potem wraca, patrzy ze złością na Jane, zatrząskuje laptop i znów gdzieś pędzi.

– Jasper. – Jane spogląda na psa przy jej nodze, który patrzy na nią z wywieszonym językiem. – Naprawdę się poddaję. Nigdy się w tym wszystkim nie połapię. No cóż, dopóki czekamy na Ivy, powinniśmy dokończyć parasolkę, nie uważasz?

Parasolka cioci Magnolii czeka na Jane pośrodku roboczego stołu, skąpana w gasnącym świetle wpadającym do saloniku.

Gdy palce dziewczyny przesuwają się po jej częściach, przyczepiając asymetryczną czaszę do nierównych drutów szkieletu, Jane myśli o zepsutych rzeczach. Jest dumna z siebie, że mimo potknięć i błędów koniec końców udało jej się poskładać kawałki tej zagadki.

Zastanawia się, czy mogłaby zrobić to samo z kawałkami swojego życia.

Ciociu Magnolio?

Gdy czasza jest już przyczepiona do drutów i odpowiednio napięta, Jane przesuwa do góry

część ruchomą i otwiera parasolkę, po czym stawia ją na stole. Cofa się kilka kroków. Parasolka jest krzywa i nieelegancka, taka, jak miała być. Wygląda niczym jedna z tych parasolek, które w deszczowe dni można zobaczyć wystające z koszy na śmieci. Tyle tylko, że jeśli przyjrzeć się dokładniej, ta jej krzywość ma w sobie jakąś równowagę, którą Jane osiągnęła świadomą, staranną pracą, i jest to dobra parasolka, niezwykła parasolka, która będzie chronić ją od deszczu. I jest to również tajemnica Jane, bo gdy patrzy na nią tylko kątem oka, parasolka staje się przypominającą rozgwiadę mglistą plamką błękitu w oku cioci Magnolii.

Nigdy nie sprzedam tej parasolki, myśli Jane. *Ta jest dla mnie.*

– Jasper – mówi. – Chcesz iść popatrzeć na zdjęcie cioci Magnolii?

Na pierwszym piętrze w zachodnim skrzydle ktoś się krząta. Gdy Jane i Jasper idą korytarzem, oglądając dzieła sztuki, Patrick wychodzi z jednego z pokoiów, z naręczem pościeli i koców, i rzuca je na podłogę. Za nim zjawia się pani Vanders z odkurzaczem.

– Sprzątam sypialnie, które były używane podczas gali – odpowiada Patrick na pytające spojrzenie Jane. – To była sypialnia Lucy St. George.

Jane stać jedynie na obojętne chrząknięcie, bo właśnie odkryła na ścianie naprzeciw pokoju Lucy zdjęcie cioci Magnolii. To duży wydruk. Jane cofa się, by lepiej je widzieć, i uważnie mu się przygląda.

Malutka żółta rybka – to babka – wygląda z przepaścistych, najeżonych zębami szczęk jakiejś wielkiej szarej ryby z kartoflowatym nosem. Jane pamięta to zdjęcie; ciocia Magnolia zrobiła je w wodach w pobliżu Japonii. Jane zawsze się nad nim zastanawiała. Czy duża ryba schwytała małą rybkę, żeby ją zjeść? A może to mała, kolorowa rybka ukryła się w pysku tej wielkiej?

Jane czuje smutek i dumę.

Potem, gdy zmienia kąt patrzenia, zauważa, że coś jest nie tak z podkładką pod zdjęciem. Coś tworzy nierówne wybrzuszenie, jakby osoba, która je oprawiała, umieściła za odbitką gruby prostokąt z kartonu.

Taki błąd przy oprawianiu zdjęcia może doprowadzić do jego zniszczenia, a fotografie cioci Magnolii zasługują na coś lepszego.

– Pani Vanders – zaczyna Jane z lekkim oburzeniem w głosie. A potem to do niej dociera, sztywnieje i jest naelektryzowana jak błyskawica.

Sięga do kieszeni po śrubokręt. Bez słowa zdejmuje fotografię ze ściany. Kładzie ją na podłodze tyłem do góry i zaczyna odkręcać śrubki trzymające ramę.

– Co ty wyprawiasz? – pyta z oburzeniem pani Vanders, która właśnie pojawiła się za jej plecami. – To, że twoja ciocia zrobiła to zdjęcie, nie znaczy, że możesz je rozbierać na kawałki. To droga rama!

Drżącymi palcami Jane zdejmuje tylną podkładkę osadzoną w ramie. Pod spodem znajduje się ochronna bibułka i Jane widzi przez nią zarysy tego, co spodziewała się tam znaleźć. Ostrożnie ujmując brzegi bibułki i ją ściąga.

Jane i pani Vanders spoglądają zdumione na *Piszącą list z zabą*.

Jane uważnie ogląda obraz. Jest coś uspokajającego, wręcz niesamowitego w drobnutkiem siateczce pęknięć na płótnie i w czystym łagodnym świetle na obrazie. Zupełnie jakby kobieta pisząca w skupieniu i siedząca w powodzi światła była posągiem z delikatnego marmuru. Jakby marmur mógł być ciepłą, żywą istotą.

– Unieś go do światła – mówi ochmistrzyńni.

Jane bardzo ostrożnie ujmuje płótno za krawędzie i unosi je do światła. Oko damy na obrazie lśni jak mała gwiazda.

– Skąd wiedziałaś? – pyta pani Vanders.

Oczy Jane są pełne łez. Z obawy, że krople zaczną kapać na arcydzieło Vermeera, podaje obraz pani Vanders i mówi:

– Ciocia Magnolia mnie do niego doprowadziła.

Dziesięć dni po gali w końcu kontaktuje się z nimi śledczy Edwards. Kiran mówi o tym Jane podczas gry w szachy w ogrodzie zimowym.

– Okazuje się, że Buckley St. George ma kilka interesujących kont w rajach podatkowych i wykryto pewne niezgodności finansowe, dzięki którym może uda się go powiązać z kartelem heroinowym w New Jersey.

– Naprawdę?

– Policja zrobiła nalot na ten kartel i znalazła Delacroix, który należał do przyjaciół Ravięgo. – Kiran przekrzywia głowę i wskazuje na brata, który siedzi wyciągnięty na pobliskim fotelu i udaje, że czyta czasopismo o sztuce z obrazem marynistycznym Rembrandta na okładce.

– Delacroix? – pyta Jane.

– To francuski malarz – wyjaśnia zrzędlawie Ravi, nie podnosząc głowy znad czasopisma. – Dziewiętnastowieczny romantyzm. Wywarł wpływ na impresjonistów. Dla mnie nic specjalnego.

– Och, przestań – mówi Kiran. – Uwielbiasz Delacroix.

– Nic nie może się równać z kradzieżą Vermeera.

– Już po wszystkim, Ravi. Janie znalazła twojego Vermeera. Możesz przestać się zachowywać, jakbyś to ty osobiście padł ofiarą jakiegoś oburzającego spisku.

– Dopiszę to do listy rzeczy do zrobienia na pojutrze – mówi Ravi z nadąsaną miną.

Kiran uśmiecha się szeroko do Jane.

– W każdym razie ci przyjaciele Ravięgo nawet nie wiedzieli, że Delacroix zaginął. Wisiał u nich na ścianie sfałszowany obraz, a oni nie mieli o tym pojęcia. Ravi przedstawił im Colina.

– Tęgo gnojka z wielkim mniemaniem o sobie – burczy Ravi.

Kiran śmieje się cicho.

Krople deszczu bębnią o szyby jak małe kamyki. Jane leniwie przestawia w tę i z powrotem swoją wieżę. Kiran gra w szachy lepiej od niej.

– Czy Colin naprawdę myślał, że to mu się uda? – mówi Jane. – Że mnie okłamię w sprawie parasolek? Tak z czystej złośliwości? Ile pieniędzy mógł na nich zarobić?

– Upokorzyłaś go – mówi Kiran. – Chciał, żebyś znów poczuła się mała.

– To przecież żalosne.

– No cóż. Nie tylko żalosne, ale i głupie, biorąc pod uwagę ryzyko. Nie wydaje mi się, żeby był takim mistrzem manipulacji, za jakiego się uważa. Bardzo się cieszę, że z nim zerwałam, zanim się dowiedzieliśmy, że jest złodziejem. Dzięki, że mi w tym pomogłaś.

– Ja też pomogłem! – wtrąca się Ravi.

– Ty? A niby jak?

– Ogólnym wsparciem moralnym! Dzięki naszej paranormalnej więzi między bliźniakami!

– Racja – mówi Kiran. – Jak mogłam o tym zapomnieć.

Ich przekomarzanie się jest jak deszcz, łagodne, napełniające Jane poczuciem bezpieczeństwa i jakąś tęsknotą. Ravi udaje dzieciaka, bo dzięki temu Kiran się uśmiecha, a on z kolei wygląda

na kogoś, kto uszczęśliwił ukochaną osobę.

– Słuchaj – mówi Ravi, spoglądając na Jane ciemnymi oczami. – Mam parę pomysłów w związku z tobą i twoimi parasolkami.

– Dobra – mówi Jane. – Coś konkretnego?

Jane zaczęła pracować nad nową parasolką i Ravi o tym świetnie wie. Ma być związana z domem pełnym tajemnic i intryg. Jane nie dopracowała jeszcze szczegółów, ale ta nowa parasolka będzie miała okna z przezroczystego plastiku, drzwi, które się otwierają i zamykają, dzieła sztuki na ścianach będzie też na niej winda towarowa oraz basset. Ravi zagląda do niej od czasu do czasu podczas pracy. Zadaje jej pytania o napięcie tkaniny, o rozmieszczenie sprężyn i przegląda materiały, jakich Jane używa. Wyciągnął przed siebie parasolkę cioci Magnolii, by znaleźć się od niej w pewnej odległości i lepiej ją zrozumieć. Wygląda na to, że mu się nie udało.

– Jest w kolorze żabiej burzy – powiedziała mu Jane, a resztę zachowała dla siebie.

Zmarszczył czoło, odłożył krzywą parasolkę z powrotem na podłogę i mruknął pod nosem:

– Chyba każdy artysta przechodzi przez Żabi Okres.

– Naprawdę uważasz mnie za artystkę? – spytała Jane. Ale sama zaczyna poznawać odpowiedź na to pytanie. Teraz inaczej postrzega swoje parasolki. Inni ludzie mogą pewnego dnia też je pokochać, zapewne nie ze względu na nią, ale ze swoich własnych powodów – powodów, których ona nie będzie znać ani rozumieć. Jane zaczyna doceniać ten cudowny, surrealistyczny fakt związany z tworzeniem.

– Mogłabyś założyć firmę – mówi teraz Ravi, wyciągając nogi i groźnie spoglądając na Jane.
– Mógłbym ci pomóc.

– Trochę to mało konkretne – ocenia Jane.

– Jesteś młoda – odpowiada Ravi. – Masz mnóstwo czasu, by się rozwinąć. I założę się, że uda nam się znaleźć jakiegoś projektanta-milionera, który wysłałby cię do college'u.

– Do college'u? – pyta Jane. – To jest jakiś college, na którym mogłabym robić parasolki?

– Pewnie tak. – Ravi wzrusza ramionami. – Istnieją college'e od wszystkiego. A może pewnego dnia otworzyłabyś sklep? Byłem w Paryżu w sklepie z parasolkami, gdzie każda parasolka była inna i zaprojektowana przez właściciela. Twoje parasolki nie są ani trochę gorsze.

– W Paryżu?

– Albo gdziekolwiek. Świat jest twoim deszczem.

Wskazuje podbródkiem na okna i Jane się uśmiecha, bo w tej chwili leje, tak jak w dniu, w którym tu przyjechała. Deszcz spływa strugami po szybie, sprawiając, że czuje się bezpieczna, zamknięta w bańce. Ma sporo rzeczy do przemyślenia. College, Paryż, sklepy. *Cioci Magnolio? To dlatego kazałaś mi obiecać, że tu przyjadę? Żeby świat był moim deszczem?*

– Myślisz, że pewnego dnia, kiedy będę bogata i sławna, moje parasolki staną się walutą w świecie handlu narkotykami?

Ravi szczerzy do niej zęby.

– Wiedziałaś, że handlarze narkotyków, którzy używają dzieł sztuki jako waluty, są uważani za ludzi z klasą?

– Z klasą? Serio? Skąd to wiesz?

– Od Lucy oczywiście.

– Jeśli to ona ci to powiedziała, to skąd możesz wiedzieć, czy to prawda?

– Chyba nie wiem – mówi Ravi. – Ale przypuszczam, że większość z tego, co mi mówiła, było prawdą. Tak naprawdę musiała kłamać tylko w paru szczegółach.

Według policji Buckley St. George umieścił swoją córkę nie tylko u Thrashów, żeby ich

okradła, lecz także w świecie handlu narkotykami, gdzie miała udawać detektyw pracującą pod przykrywką i grającą rolę oszustki. Jane trudno to pojąć. Całe to udawanie i manipulacje wydają się dziwnym kierunkiem dla czyichś pasji.

– Zastanawiam się, czy jej się to podobało – mówi Ravi. – To musi być niesamowite uczucie, kiedy ujdzie ci na sucho taka kradzież. – I dodaje z goryczą: – I kiedy nabierasz ludzi.

– Nie jestem pewna, czy jej się podobało nabieranie ciebie, Ravi – odpowiada Jane. – Wydaje mi się, że jej na tobie zależało.

– Tylko jej tu nie broń – mówi wzburzony Ravi. – Nikt, komu na mnie zależy i kto choć trochę mnie zna, nie ukradłby moich dzieł sztuki.

– To prawda – przyznaje Jane – ale wydaje mi się, że była zaskoczona i zdenerwowana tym, jak bardzo cię to zraniło.

Zarzuty stawiane Lucy obejmują teraz kradzież Rubensa, którego „zgubiła”, choć Lucy ponoć zrzuca to na karb presji ze strony Buckleya, a o incydent z Brâncușim oskarża Colina. Wygląda na to, że wkroczyła w jakiś opóźniony okres buntu. Gdy policja umieściła ją w celi z ojcem, zaczęła na niego krzyczeć, że wywierał na nią presję, z kim ma się umawiać.

Do innej części domu powrócił Brâncuși. Rzeźba pojawiła się sześć dni po gali, kompletna i nieuszkodzona, w miejscu, gdzie zwykle stała, na jednym z bocznych stołów w głównym holu. Nikt w całym domu nie potrafi wyjaśnić tego Raviemu, który na przemian jest przeszczeniwy i wściekły. Pani Vanders trzymała postument na strychu w zachodnim skrzydle. Chciała go bezpiecznie przechować do chwili odnalezienia ryby i pewnego dnia, gdy tam poszła, postumentu nie było. Ku swemu zdumieniu znalazła go w głównym holu, znów z rybą, w idealnym stanie, a przynajmniej tak twierdzi.

Ravi wciąż siedzi zagniewany w fotelu. Nagle odzywa się do Kiran:

– Co jest grane z tobą i Patrickiem?

Kiran zbija skoczkiem jeden z pionków Jane i wzrusza ramionami.

– Och, no dalej, siostrzyczko – nalega Ravi.

Kiran opada na oparcie fotela, wydaje się beztroska, zachowuje się, jakby nie usłyszała pytania. Jane się zastanawia, jak bardzo można na nią naciskać.

– Czy Patrick ci się w końcu zwierzył? – pyta Jane, nie zerkając na Ravięgo. Czuje jednak, że Ravi cieszy się z tego, że się wtrąca w ich rozmowę. – Widziałam go niedawno, tego dnia, gdy wróciłyśmy z Nowego Jorku. Wydawał się... zdecydowany.

– Tak – mówi Kiran. I dodaje, wychytując spojrzenie Jane: – Choć raz, dla odmiany, coś mi powiedział. – Nie rozwija jednak tematu. W końcu, gdy milczenie się przeciąga, wzrusza ramionami i mówi: – Zastanawiam się nad rzeczami, które mi powiedział.

– A co powiedział? – naciska Ravi.

– Rzeczy, nad którymi się zastanawiam – powtarza uparcie Kiran.

– Jakie rzeczy?

– Braciszku, jeśli jeszcze się nie domyśliłeś, to nie zamierzam ci tego mówić.

– Hmm – mruży Ravi. – Masz szczęście, że możesz mi się przydać, na wypadek gdybym kiedyś potrzebował nerki.

– Niby miałabym ci dać swoją nerkę?

– Jestem pewny, że byś to zrobiła.

– A ja jestem pewna, że gdzieś jest taki wszechświat, w którym odmówiłam ci oddania mojej nerki – odpowiada Kiran.

Ravi się uśmiecha.

– To chodźmy zdobyć nerkę tamtej Kiran tylko po to, żeby zrobić jej na złość. Moglibyśmy trzymać ją w lodzie, dopóki któremuś z nas nie będzie potrzebna.

– Niepokojący pomysł – ocenia Kiran. – Ale praktyczny. – Przyciska dłoń do czoła. – Chyba wszyscy troje patrzemy na nowy początek.

– Co? – mówi Ravi. – Chodzi ci o te nerki?

– Nie – odpowiada Kiran. – Miałam na myśli ciebie, mnie i Janie. Wszyscy troje zaczynamy od początku. Janie dlatego, że jest taka młoda i samotna. Ma swoje parasolki. Tak naprawdę może robić wszystko. Przepraszam – dodaje, zerkając z powątpiewaniem na Jane.

– Za co? – pyta Jane.

– Za przypomnienie ci, że jesteś samotna.

– Nic się nie stało – odpowiada Jane. *Może nie jestem?*, myśli. Pod stołem Jasper obwąchuje jej nogawki. Opiera głowę na jej butach.

– A ty i ja – Kiran zwraca się do Ravięgo – nie mamy już naszych lepszych połówek ani pracy. I chyba też możemy robić wszystko.

– Podoba mi się bycie singlem – oświadcza Ravi. – Moglibyśmy założyć burdel. Byłabyś moją burdelmamą i znajdowałabyś mi klientów.

– A może coś mniej obleśnego – mówi Kiran. – Faj!

Ravi uśmiecha się szeroko i wstaje.

– Chcę się napić kawy – oświadcza. – A wy macie na coś ochotę?

– Na miseczkę lodów czekoladowych – mówi Kiran.

– Ja też chętnie zjem lody – odzywa się Jane.

– Już się robi – oświadcza Ravi i wychodzi.

Zapada cisza. Kiran patrzy, jak Jane zbija pionka. Jane też ma do niej pytania, nie tak konkretne jak Ravi, ale podejrzewa, że równie wścibskie.

– Kiran – mówi Jane po dłuższej chwili, nie do końca pewna, jak uzyskać odpowiedź, o którą jej chodzi – czy... cieszysz się, że przyjechałaś do domu?

Kiran zastanawia się przez chwilę nad jej pytaniem.

– Doszłam do wniosku – mówi – że mimo wszystko się cieszę, żyjąc akurat w tym wszechświecie.

– Że co?

Kiran znów przesuwa skoczek, grożąc królowej Jane.

– Jeśli żyjemy w światach równoległych – wyjaśnia – gdzie różne wersje nas prowadzą alternatywne życie w nieskończonej liczbie światów, to cieszę się, że żyję akurat w tym. Myślę, że lepiej na tym wyszłam niż różne inne Kiran. W tym świecie dowiedziałam się, że Colin mnie okrada, zanim zrobiłam coś głupiego, na przykład za niego wyszłam. Pewnie istnieją gdzieś jakieś wersje mnie, które są jego żonami i nie mają o tym pojęcia. A jakaś inna wersja mnie mieszka z inną, mniej kochającą wersją Ravięgo. Lubię moją wersję Ravięgo. Chyba nawet lubię moją wersję Patricka – przyznaje – o ile faktycznie jest mój. Chyba nawet lubię moją wersję mnie.

– No cóż, to chyba dobrze się składa. Choć to trochę dziwne.

Kiran się śmieje.

– A tak nawiasem mówiąc: szach.

– Cholera!

– Co by było, gdybyś urodziła się we wszechświecie, w którym nie ma deszczu? – pyta Kiran.

– Jak to?

– Zastanawiam się, co byś robiła. Czy i tak by cię ciągnęło do robienia parasolek?

– Ach, rozumiem – mówi Jane. – Sama nie wiem. Może robiłabym parasolki przeciwsłoneczne.

– Załóżmy, że słońca też by nie było. Zastanawia mnie to, czy czułabyś tę przemożną potrzebę, by wymyślić coś w rodzaju osłony z tkaniny na kijku. Czy ludzie uważaliby cię za wariatkę?

– Hmm – mruczy Jane. – To prawda, że nie potrafiłabym sobie wyobrazić, że miałabym nie robić parasolek. Ale nie sądzisz, że jest tak też dlatego, bo w naszych wszechświecie istnieje deszcz?

– Ciekawe, czy starałabyś się, żeby były szczelne – mówi Kiran. – Chociaż to by było zupełnie niepotrzebne.

Jej pytanie przypomina Jane o rozmowie z Ivy, kiedy czekały na przesłuchanie przez policję. O aparatach cyfrowych, które wydają z siebie dźwięk migawki, choć już nie mają ani nie potrzebują migawek.

– Gdybym robiła szczelne parasolki w świecie bez deszczu – mówi – czy to by była jedna z takich rzeczy? Tych, których projekt obejmuje cechę, jaką dana rzecz kiedyś miała, ale już jej nie potrzebuje?

– Co takiego? – pyta Kiran.

Ravi właśnie wrócił, niosąc dwie miseczki lodów. Uśmiecha się szeroko do Jane.

– Skeuomorf? – mówi.

– To jest to słowo? – pyta zachwycona Jane. – Ivy nie potrafiła sobie go przypomnieć. Nie mogę się doczekać, kiedy jej powiem.

– Jestem pewien, że to właśnie to słowo. – Ravi podchodzi do ich stołu i podaje im po miseczce lodów.

– Chyba jest trochę za mało skomplikowane do scrabble – zauważa Jane.

– Możesz dołożyć litery do słowa „morf” – odpowiada Ravi. – A tak w ogóle, kto wygrywa?

– Ja – mówi Kiran. – Gdzie twoja kawa?

– Mam tylko dwie ręce. Przyniosę ją za następnym razem.

– Kochany jesteś. Szach i mat.

– Teraz ze mną pograj w szachy – prosi Ravi.

– Która z nas? – pyta Kiran.

– Nieważne, obie.

– Czyli jak, jako zespół? – droczy się z nim Kiran. – Co jest z tobą nie tak?

– Nieważne – mówi Ravi. – Nudzę się. – Wyciąga ręce do siostry i niezgrabnie ją przytula. W ostatnich dniach Ravi często przytula Kiran. Jane ma wrażenie, że robi to nie tylko dla niej, a także dla siebie. Też potrzebuje, by ktoś go przytulił. Ale to dobre dla Kiran, myśli Jane, że brat jej potrzebuje.

Jej uwagę przykuwa jakiś hałas za plecami Ravięgo. Pochyla się, by nie zasłaniał jej widoku, i patrzy w tamtą stronę. W drzwiach stoi Ivy w długim mokrym płaszczu, z plecakiem na ramionach. Kosmyki mokrych od deszczu włosów przylgnęły do jej policzków. Patrzy nieśmiało na Jane, z pytaniem w oczach.

– Ivy – odzywa się Jane. – Ivy, muszę ci o czymś powiedzieć.

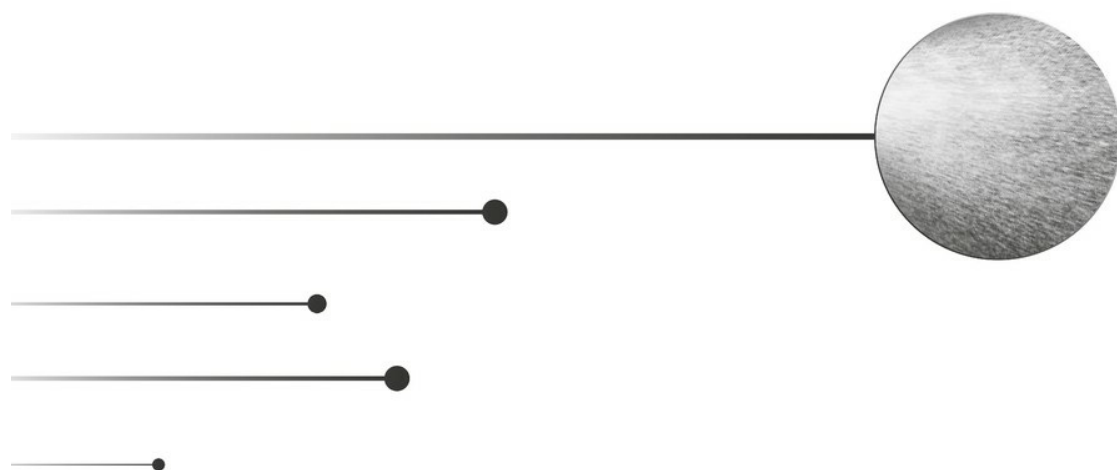
Ivy się uśmiecha, najpierw leciutko, potem coraz szerzej. Wyciąga rękę do Jane.

– Tak – mówi. – Ja tobie też.

Gdzieś w głębi domu rozlega się dzwonięcie, dźwięczne i przejrzyste jak dzwoneczki na wietrze.

Pani Vanders, dziewczynka, Kiran, Ravi czy Jasper?

Ciociu Magnolio, myśli Jane, dokąd powinnam pójść?



**Kłamstwa
bez granic**

Jane podejmuje decyzję

– Chciałabym z tobą pójść, Kiran, ale czy mogę dołączyć do ciebie później? Muszę najpierw coś sprawdzić.

– W porządku – mówi zawiedziona Kiran. – Będę w ogrodzie zimowym.

– Znajdę cię tam – zapewnia Jane. – Na pewno.

Kiran odchodzi.

Jane musi się dowiedzieć prawdy o tej małej dziewczynce, która wygląda jak Grace Panzavecchia. A jeśli coś jej grozi?

Na schodach przechwytuje ją Jasper, skacze wokół niej i szczeka, jakby próbował ją zaganiać.

– Jasper! Nie jestem owcą! – krzyczy na niego Jane i zbiega po schodach.

Pies się zatrzymuje i niepokieszony skomle.

– Jeśli chcesz, możesz pójść ze mną – mówi Jane. – Mam misję do wykonania. Psy są ponoć dobre w tropieniu ludzi?

Odwraca się i schodzi jeszcze kilka stopni w dół. Gdy ogląda się za siebie, Jaspiera już nie ma. Mimowolnie czuje, że ma niewielkie szanse na znalezienie tej małej dziewczynki, skoro nie potrafi nawet upilnować psa, który zaledwie chwilę temu był przy niej.

– Jasper, byłbyś beznadziejnym pomocnikiem – mruczy pod nosem.

Jane koncentruje się na swoim zadaniu. Wymija kobiety układające bukiety bzu w głównym holu i podchodzi do stołu, na którym dziewczynka coś zostawiła. Obok rodzinnego zdjęcia przedstawiającego Kiran, Ravięgo, Octavianę i jakąś młodą blondynkę, zapewne Charlotte, stoi dziwny przedmiot w kształcie małego stolika. To postument z drewnianą podstawą i okrągłą lustrzaną górą. Pośrodku lustra znajduje się mała dziurka. W sumie nie wygląda to na nic ważnego.

Do Jane podchodzi jedna z kobiet układających bukiety.

– Dokładnie taki stojak mi się przyda – mówi zadowolona i stawia na postumencie pękaty wazon z bzem.

No dobrze. Do czegokolwiek wcześniej służył, teraz jest podstawką pod wazon z bukietem bzu.

Czy dziewczynka zostawiła na stole postument, czy rodzinne zdjęcie Thrashów?

I dokąd potem poszła?

Jane wchodzi na wenecki dziedziniec, ale nie ma pojęcia, dokąd się teraz skierować. Widziała już część pomieszczeń po lewej stronie – salę balową, salę bankietową, kuchnię. Ciekawość ciągnie ją w prawo, przez wschodnią arkadę, a potem do pokoju, w którym nigdy dotąd nie była, ze staromodną zieloną tapetą w kwieciste wzory, kanapami obszytymi brokatem i wymyślnym zielonym dywanem. Ani śladu dziewczynki.

Jane przechodzi przez pokój, otwiera drzwi w przeciwległej ścianie i znajduje się w innym świecie – bo trafiła do kręgielni. Nie przypomina ona żadnej kręgielni, jaką kiedykolwiek widziała czy choćby sobie wyobrażała. Ściany są z grubo ciosanego kamienia, wzmacniane szerokimi drewnianymi belkami, światło zaś przyćmione i nastrojowe jak w jaskini pod jakąś górą. Przed nią ciągną się dwa tory kręgielne, błyszczące powierzchnie z klonowego i sosnowego drewna. Na końcu każdego toru błado lśnią kręgle. *To tutaj Szczurołap z Hameln przychodzi grać w kręgle, myśli Jane, gdy już zabierze wszystkie dzieci.*

Ogarnia ją jakiś niejasny niepokój o zaginione dziecko. Rusza lewym torem, który jest jedyną drogą do drzwi w ścianie przy samym końcu. Wydaje jej się to niewłaściwe, w jakiś sposób niemoralne. Tory kręgielne na pewno nie są po to, by po nich chodzić.

Gdy otwiera drzwi, świat wokół znów się zmienia. Gorąco, światło, plusk i zapach chloru: kryty basen. Całą przeciwległą ścianę zajmuje gigantyczne akwarium. Fluorescencyjna murena zielona przycupnęła przy szybie i łypie na nią okiem, a żarłacz tępogłowy – gatunek rekina, o którym wiadomo, że atakuje ludzi – przepływa leniwie z jednego końca zbiornika do drugiego.

Jane z niepokojem spogląda na basen. Ale nie ma tu utopionej małej dziewczynki. W akwarium są drzwi: normalne drewniane drzwi z mosiężną gałką. Jane wydaje się to tak dziwaczne, że je otwiera, wyobrażając sobie, że zaraz wyleje się przez nie woda z żarłaczem tępogłowym i mureną. Stwierdza jednak, że przed nią znajduje się krótkie ciemne przejście prowadzące przez zbiornik do kolejnych drzwi. Otwiera je i wychodzi na grządkę krokusów.

Wiatr smaga skały. Jane słyszy gdzieś w dole huk rozbijających się fal. Po chwili udaje jej się połapać, gdzie jest: znajduje się na tyłach domu.

Trochę dalej po lewej stronie, pod wielką ścianą, siedzi na ziemi dziewczynka oparta o bok tarasu. Wtuliła się w dom i objęła kolana rękoma, jakby chciała się wydawać jak najmniejsza.

Jane skrada się do niej. Dziewczynka drży i płacze. Ma krótkie, poskręcane ciemnoblonde włosy i zapuchnięte oczy. Jej jaskrawofioletowe tenisówki i niebieskie dżinsy są poplamione od mokrej trawy.

Gdy Jane się zbliża, dziewczynka zrywa się na nogi, patrzy na nią ze złością i wygląda, jakby prężyła się do biegu. Jane zamiera i unosi ręce.

– W porządku – mówi niepewna, jak udobruchać dziewczynkę, ale robi to instynktownie.

– Kim jesteś? – chce wiedzieć mała.

– Jestem Janie.

– Jesteś z... – zaczyna dziewczynka, a potem wyrzuca z siebie kilka słów po francusku, niesamowicie dobrze je wymawiając.

– Z kim? – pyta Jane.

– Nieważne – mówi dziewczynka. – Dlaczego tu jesteś?

– Powiedziałaś „*espions sans frontières*”?

– Nie – zaprzecza dziewczynka. – Dlaczego tu jesteś?

– Czy to nie znaczy „szpiegzy bez granic”?

– Nie mówię po francusku – oświadcza dziewczynka. – Nie wiem, o co ci chodzi. Dlaczego tu jesteś?

Ta mała nie za dobrze kłamie.

– Bo widziałam cię w głównym holu i chciałam sprawdzić, dokąd poszłaś – odpowiada Jane.

– Nie – mówi piskliwie mała. – Dlaczego jesteś w domu? Z kim jesteś związana?

Jane zaczyna mówić do niej kojącym głosem:

– Zaprosiła mnie tu moja przyjaciółka Kiran. Tata Kiran jest właścicielem tego domu.

– Poważnie? – pyta mała. – Jesteś tylko osobą?

– Oczywiście. A kim miałabym być?

– Dlaczego miałabym ci wierzyć?

– Grace? Co się tutaj dzieje?

– Nie jestem Grace – zapewnia dziewczynka. – Jestem Dorothy.

– W porządku – mówi Jane, starając się, by zabrzmiało to tak, jakby jej wierzyła. – Miło mi cię poznać, Dorothy. Mieszkaś w tym domu?

– Jestem spokrewniona z panią Vanders – mówi Dorothy. – Jestem wnuczką jej siostry. Przyjechałam w odwiedziny.

– Zabawne, bo jesteś strasznie podobna do Grace Panzavecchii.

– Nie wiem, kto to jest.

– Mówili o niej w wiadomościach.

– O wielu rzeczach mówią w wiadomościach – odpowiada Dorothy i mokrą ręką odgarnia grzywkę z oczu. – W zoo we Francji niedźwiedź ugryzł jakąś panią. W Seattle pada deszcz żab od rekordowych czterestu dni. Jakiś pan w Nowym Jorku umarł na ospę.

– Grace Panzavecchia to dziewczynka, której rodzice próbowali napaść na bank na Manhattanie – mówi Jane. – A potem cała rodzina Panzavecchiów zniknęła.

– To nedorzeczne – odpowiada Dorothy. – A co z ich psem?

– Z ich psem? – pyta skonsternowana Jane. – Z jakim psem?

– To znaczy, chciałam spytać, czy mieli psa?

Jane przypomina sobie coś o psie. Mówił o tym prezenter, który był trochę podobny do bernardyna (i dlatego utkwilo to Jane w pamięci).

– W sumie to zabawne, że pytasz. Pamiętam coś o psie. Owczarek niemiecki? Policja znalazła go w domu Panzavecchiów po tym, jak wszyscy zniknęli.

– Co jeszcze? – dopytuje dziewczynka.

– O psie?

– Tak! Kto się nim opiekuje?

– Nie wiem – mówi Jane. – W wiadomościach nie mówią o psie. Mówią, że była w to zamieszana mafia, że zniknęły dzieciaki i mały bobas, który był chory na ospę.

– Na ospę?! – powtarza dziewczynka. – Dzidzius nie ma ospy!

– Co? No tak. – Jane uświadamia sobie, że się przejęczyła. – Przepraszam, masz rację. Wspominałaś o jakimś panu z Nowego Jorku, który umarł na ospę wietrzną i wszystko mi się pomieszało. Mówią, że dzidzius miał krostki, a to znaczy, że mógł mieć ospę wietrzną albo coś takiego.

– Ospa może znów zostać wykorzystana jako broń biologiczna – oświadcza dziewczynka. – Tak jak Brytyjczycy zrobili to Indianom w Fort Pitt podczas wojny z Francuzami i Indianami. Wiedziałaś o tym?

– Właściwie... to nigdy się nad tym nie zastanawiałam – mówi Jane. – Chyba sporo o tym wiesz.

– Ospa to ponoć jedna z tych chorób, na które już nikt nie choruje. Zapasy wirusa są podobno przechowywane w laboratorium w Atlancie i w drugim, w Rosji, dla potomności. Ale tak się tylko mówi. Mikrobiolodzy mogliby zmienić wirusa ospy, by wykorzystać go jako nowoczesną broń.

– No dobra – mówi Jane. – Kilka dni temu w wiadomościach mówili, że ten pan, który zachorował na ospę, miał jakiś dziwny wypadek. Ponoć włamał się do laboratoriów Centrów Kontroli i Prewencji Chorób i wszedł gdzieś, gdzie nie powinien.

– Tak – mówi dziewczynka, wydymając usta z wyraźną pogardą. – Całkiem możliwe, że tak było.

Jane usiłuje sobie przypomnieć, co słyszała w wiadomościach. Rodzice, Giuseppe i Victoria Panzavecchiowie są mikrobiologami. Ponoć wyszli ze swojego laboratorium i próbowali obrabować bank na Manhattanie. W trakcie napadu wpadli w panikę, wybiegli z banku, zniknęli za rogiem i praktycznie rozplłynęli się w powietrzu. Kasjerka w banku była tak wstrząśnięta, że

spytała siedzącego obok kolegę: „Czy to się naprawdę stało?”.

Stało się, i był to bank, z którego korzystali Panzavecchiowie; często przychodzili tam podczas przerw na lunch, więc ich rozpoznano. Policja natychmiast przeszukała ich laboratorium (ani śladu Panzavecchiów); ich kamienicę z elewacją z piaskowca (była pusta, z wyjątkiem owczarka niemieckiego), oraz prywatną akademię, do której uczęszczała ich „błyskotliwa ośmioletnia córeczka Grace” (która powiedziała, że musi wyjść do toalety, a potem nie wróciła na zajęcia).

Poszukiwania przeniosły się wtedy do tej części Central Parku, gdzie młodsze dzieci, Christopher i malutki Leo, lubiły spędzać poranki. Znalaziono tylko „zrozpaczoną *au pair*”, która wpadła w histerię. Spacerowała właśnie z dziećmi pod jednym z mostków, gdy „jakiś niesamowicie silny człowiek” chwycił ją od tyłu i przysunął jej coś do twarzy. Próbowła osłaniać dzieci swoim ciałem, krzyczeć, ale zrobiło jej się ciemno przed oczami. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, było to, że napastnik opuścił ją delikatnie na ziemię, a gdzieś w pobliżu ktoś grał na saksofonie muzykę z *Ojca chrzestnego*.

A wczoraj podczas kolacji Phoebe poruszyła sprawę plotek głoszących, jakoby mafia groziła, że skrzywdzi rodzinę Giuseppe Panzavecchii, jeśli ten nie spłaci swoich długów hazardowych. Jednak Lucy St. George, prywatna detektyw specjalizująca się w poszukiwaniu skradzionych dzieł sztuki, upiera się, że musi chodzić o coś innego. Giuseppe jest zbyt oddany swoim dzieciom, by ryzykować związki z mafią; ciągle tylko się chwali swoją córeczką Grace i jej wspaniałymi urządzeniami mnemotechnicznymi.

Żadna z tych rzeczy nie wyjaśnia, jaką pracą zajmowali się Panzavecchiowie w laboratorium. Ani czy to ma coś wspólnego z ospą. Ani czemu Grace opowiada o francuskich szpiegach. Ani dlaczego jest tutaj.

Kto w ogóle wie, że tu jest, oprócz Jane? Doktor Philip Okada? Wczoraj był na strychu w lateksowych rękawiczkach, a potem skradał się w środku nocy i mówił jakieś zagadkowe rzeczy o podróży i o broni. I ta torba na pieluchy. Jane nagle sobie uświadamia, że ta biała torba w pomarańczowe kaczuszki, którą niósł wczoraj w nocy Philip, musiała być torbą na pieluchy.

Phoebe Okada? Patrick? Pan Vanders? Jane dopiero co wczoraj go widziała, jak niósł inne małe dziecko – Christophera Panzavecchię? – przez wenecki dziedziniec. A co z Ivy, która była wtedy z Jane i w żaden sposób tego nie wyjaśniła, gdy Jane spytała ją o dziecko? Ivy była też na strychu z Philipem.

Rany, co się dzieje w tym domu?

– Grace, wszystko w porządku? – pyta Jane.

To pytanie sprawia, że dziewczynka wpada w furję. Znowu siada, oplata kolana rękoma i zaczyna płakać, ale to płacz ze złości; to swoją wściekłość próbuje okiełznać, obejmując się tak mocno.

– Nawet nie wiem, kim jesteś! – wrzeszczy.

– Czy ktoś tutaj zrobił ci krzywdę? – pyta Jane. – Patrick? Albo... – nie może się zmusić, by powiedzieć „Ivy”. – ...Phoebe Okada? Czy twoi rodzice też są tu w domu?

– Chciałabyś wiedzieć! Założę się, że chciałabyś mi zadać mnóstwo pytań! Nic ci nie powiem!

– Grace! Chcę się tylko upewnić, że nic ci nie jest.

– Nie nazywaj mnie tak! Mam na imię Dorothy! – Nagle zrywa się na nogi.

– Dokąd idziesz?

– Chciałabyś wiedzieć! – krzyczy jeszcze raz, a potem puszcza się biegiem. Okrąża taras i ucieka wzdłuż ściany zachodniego skrzydła. Znika za rogiem domu.

Jane stoi w miejscu, patrzy tępo za nią i odwraca się, słysząc skrzypienie otwieranych drzwi. To te, przez które sama tu weszła, te w zbiorniku dla ryb. Pojawia się w nich Patrick, rozgląda się na prawo i lewo i ją dostrzega. Jego twarz wydaje się obojętna. Chyba ma talent do udawania niewinnej, niebieskookiej pustki. W każdym razie jest bardziej przekonujący niż Ivy.

– Cześć – mówi, podchodząc do Jane. W jednej ręce trzyma ciężką latarkę, w tej chwili wyłączoną. – Wyszłaś na świeże powietrze?

– Tak – odpowiada krótko Jane. – Muszę poukładać sobie parę rzeczy w głowie, zanim zabiorę się do pracy.

– Ivy wspominała, że robisz parasolki. – Patrick wpatruje się w nią tymi jasnymi oczami. – Widziałas tu coś ciekawego? – dodaje takim tonem, jakby w sumie było mu to obojętne, i drobne włoski na karku Jane się unoszą. Z jakiegoś powodu przypomina jej się, jak ta murena w akwarium łypała na nią okiem.

– Zupełnie nic – mówi Jane. – A tak w ogóle, co tu robisz?

– Zgubiłem coś. – Patrick wskazuje na latarkę, jakby to, że coś zgubił, miało usprawiedliwić noszenie latarki w środku dnia. – Pomyślałem, że może tutaj to znajdę.

– Co to było?

– Trudno to opisać.

Czy miało poskręcane blond włosy – ma ochotę zapytać Jane – *buzię mokrą od łez i nikomu nie ufało?*

– Bardzo zagadkowe – mówi na głos.

Nagle słychać trzaski i Jane aż podskakuje.

– Patrick – mówi metaliczny głos pani Vanders. – Patrick, zgłoś się!

Patrick wyciąga z kieszeni krótkofalówkę. Wsuwa latarkę pod pachę i wciska przycisk.

– Słucham.

– Dorothy wróciła do domu – informuje pani Vanders.

Patrick uśmiecha się szeroko.

– Nie ma jak w domu – mówi, po czym chowa krótkofalówkę do kieszeni, kiwa Jane głową i rusza dalej tą samą drogą, co Grace Panzavecchia, wzdłuż ściany budynku i za róg.

– Ciciu Magnolio – mówi do siebie Jane. – Co się, do ciężkiej cholery, tutaj wyprawia?

Nikt jej nie odpowiada.

Jane wraca tą samą drogą, przez basen, tor kręgielny i duszny zielony salon. Kieruje się na pierwsze piętro wschodniego skrzydła, dokąd ostatnio wybierała się pani Vanders – chodziło o coś z Vermeerem – i gdzie zamierza doprowadzić do konfrontacji z ochmistrzynią. Musi się dowiedzieć, skąd znała cicię Magnolię, kim jest Dorothy i co się dzieje w tym domu. Jednak gdy Jane wchodzi na wenecki dziedziniec, zastaje tam panią Vanders stojącą przy fontannie, plecami do niej. Mruczy coś do krótkofalówki.

– Kim jest Dorothy? – pyta bez wstępów Jane.

– Och, witaj Jane! – pani Vanders opuszcza walkie-talkie i płynnie się obraca. – Dorothy to wnuczka mojej siostry, przyjechała w odwiedziny z Zachodu. A czemu pytasz? Spotkałaś ją?

– Byłam z Patrickiem, kiedy skontaktowała się z nim pani przez krótkofalówkę i powiedziała „Dorothy wróciła do domu”.

– Tak – przyznaje pani Vanders. – Wie, że nie powinna włóczyć się po okolicy, nie mówiąc nam, dokąd się wybiera, ale i tak to robi. Martwię się, zwłaszcza że w domu jest basen. Patrick bardzo ją lubi. Też się o nią martwił.

– Co miało znaczyć, że „Dorothy wróciła do domu”? Gdzie jest dom?

– Tam, gdzie akurat jestem, kiedy mnie znajduje – mówi lakonicznie ochmistrzyń. – Jestem jej rodziną. A rodzina to dom.

– À propos rodziny – podejmuje Jane. – Pan Vanders właśnie mi powiedział, że znała pani ciocię Magnolię.

Pani Vanders chrząka, omiata wzrokiem balkony dziedzińca.

– Jak to możliwe? – dopytuje Jane. – Nie przypominam sobie, by ciocia Magnolia wspominała, że kogoś tutaj zna. Z wyjątkiem Kiran.

Pani Vanders znów chrząka, milczy i tylko wpatruje się w Jane. To dziwne milczenie się przeciąga. Jane próbuje jeszcze raz:

– Kazała mi obiecać, że jeśli kiedykolwiek zostanę zaproszona do Tu Reviens, przyjadę. Czy chodziło o to, żebym spotkała panią?

– Lubisz podróżować? – pyta pani Vanders.

– Chyba tak – odpowiada Jane. – Niewiele podróżowałam, więc w sumie nie wiem. A czemu pani pyta? Podróżowała z nią pani, albo coś w tym stylu?

– Mamy jedno ze zdjęć z jej podróży – wyjaśnia pani Vanders. – Żółtą rybkę wyglądającą z pyska wielkiej szarej ryby. Twoja ciocia miała talent do... odkrywania ukrytych prawd.

– Och – mówi zdumiona Jane, a potem rumieni się z dumy, że zdjęcie cioci Magnolii znalazło się w tak eleganckim domu, jak ten. – Czyli w taki sposób ją pani poznała? Kontaktowałyście się w sprawie zdjęcia?

– Lubisz Ivy? – odpowiada na to pani Vanders, zerkając na Jane.

– Jasne. – Jane jest skonsternowana. – A o co chodzi?

– Możliwe, że poproszę cię o pomoc podczas imprezy. Jeśli to zrobię, przekażę wiadomość przez Ivy. A teraz przepraszam, ale muszę już iść. – Po tych słowach odwraca się i odchodzi.

– Wie pani, nie pracuję tutaj – warczy Jane, ale nikt jej nie słucha.

To, że pani Vanders kłamie i odpowiada wymijająco na pytania o Grace Panzavecchię, która ewidentnie jest zamieszana w coś złego, to jedna sprawa. Ale dlaczego musi być taka enigmatyczna w sprawie cioci Magnolii?

Wytrącona z równowagi Jane wpatruje się w radośnie pluszczącą fontannę. Gdzieś za sobą słyszy głosy nadchodzących Lucy St. George i Colina Macka, ona jednak oddała się od nich, ruszając schodami w górę. Musi się zastanowić. „Zejdź mi trochę dłużej” – wysłała SMS do Kiran.

Jasper czeka pod jej drzwiami. W apartamencie Jane przygląda marszczoną czerwono-pomarańczową koszulę i siada w jednym z foteli przed wygaszonym kominkiem. Jasper wchodzi pod łóżko i zaczyna chrapać, wydając z siebie ciche, uspokajające pomruki.

Z jakiegoś powodu Jane nie potrafi przestać myśleć o tym, w co była ubrana ciocia Magnolia tamtego dnia, gdy wyjechała na tę ostatnią, feralną wyprawę na Antarktydę. Prosta fioletowa sukienka, zwiewna, z długimi rękawami i kieszeniami. Ciężkie czarne buty i długi opalizujący fioletowy płaszcz ze srebrno-złotą podszewką. Wyglądała jak jakaś wojowniczką mody wyruszająca w Antarktyczną noc.

Jane dopiero co zaczęła robić złocisto-brązową parasolkę do samoobrony, z ostrymi drutami i potężnymi sprężynami. Ale w tej chwili wyobraża sobie opalizującą fioletową parasolkę z kontrastującym srebrno-złotym wnętrzem.

Czy potrafiłaby zrobić taką parasolkę, nie cierpiąc przy tym zbyt mocno?

Pewnie nie. Ale ma przecucie, że i tak ją zrobi.

Jane pracuje w saloniku i nagle zdaje sobie sprawę, że ktoś wrzeszczy. Nie, nie ktoś, to Ravi. Ravi wrzeszczy gdzieś w domu.

Roztargniona przechodzi do sypialni i wysuwa głowę na korytarz. Krzyki dobiegają z dość daleka, ze środka domu.

Problem polega na tym, że pracując nad kształtem parasolki, Jane natknęła się na niezwykle wyzwanie, które wymaga od niej pełnego skupienia. *Cholerny Ravi*, myśli, a potem przytomnieje. Chwileczkę. Jeśli ludzie krzyczą, to musi chodzić o Grace Panzavecchię.

Jane szybko idzie korytarzem w stronę, z której dobiega hałas. Wchodzi na most na drugim piętrze i widzi w dole Ravięgo w głównym holu. Trzyma w ręce małą lustrzaną podstawę, którą wcześniej oglądała, wymachuje nią i wrzeszczy. Zwierciadlana góra podstawy puszcza zajęczki w stronę Jane, gdy Ravi wywija nią na dole. Po posadzce w szachownicę rozrzucone są kwiaty, rozlana woda i leżą na niej odłamki rozbitego wazonu.

– Octavian! – wrzeszczy Ravi. – Octavian!

Sprzątacze i dekoratorzy, którym przeszkadzono w pracy, gromadzą się na mostach i schodach i gapią się na niego. Obok stoi Lucy St. George, Colin Mack, Kiran, Ivy i Phoebe Okada.

– Co się dzieje? – szepcze Jane do najbliższej osoby, którą, jak się okazuje, jest ten mężczyzna z wiadrem, sprzątacze ze szpakowatymi włosami, który dziś rano podczas śniadania przeproszał i pytał o drogę. Mokną szmatką przeciera poręcz mostu na drugim piętrze.

– Nie wiem – mówi mężczyzna, w skupieniu wyzymając szmatkę do wiadra. – Po prostu zaczął krzyczeć.

– Co to za podstawka, którą trzyma? – pyta Jane. – Do czego służy?

– Nie wiem – powtarza mężczyzna z tym swoim nieokreślonym akcentem, a potem na sekundę zamiera, gdy do głównego holu wpada pani Vanders. Zatrzymuje się przed Ravim.

– Bądź cicho! – wrzeszczy. – Może byś nam wyjaśnił w zrozumiały sposób, o co ci chodzi?

– O to! – krzyczy Ravi, potrząsając podstawką. – O to mi chodzi!

Z miejsca, gdzie Jane stoi, nie widać twarzy pani Vanders. Dostrzega jedynie, że ochmistrzyni milknie, sztywnieje i wyciąga rękę po podstawkę. Ogląda ją, po czym podaje Lucy. Lucy również ją ogląda z pobladłą twarzą, zwłaszcza małą dziurkę pośrodku lusterka. Zszokowana spogląda na stojącego obok Colina. Lucy nie wygląda za dobrze. Wygląda, jakby drżała.

– Ravi – mówi Lucy i odchrząkuje. – Rzeźbę zdjęto z podstawy w umiejętny sposób. Jeśli sama rzeźba jest nieuszkodzona, to powinno być łatwo ponownie je ze sobą połączyć.

– No to świetnie – mówi sarkastycznie Ravi. – Po prostu fantastycznie! Tylko, że gdzie jest ta cholerna rzeźba?!

– Uspokój się – mówi pani Vanders. – Weź głęboki oddech i powiedz mi, gdzie znalazłeś ten postument.

– Stał tam! – Ravi wskazuje na rząd stołów. – Ktoś... postawił... na nim wazon z bzem... jakby to była dekoracja na imprezę!

– W porządku – mówi pani Vanders. – Oddychaj.

– Wczoraj wieczorem go tam nie było. Nie było tam żadnej części, kiedy tu przyszedłem. Ktoś zabrał całą rzeźbę, odłamał rybę, a potem odstawił postument! Co za wariat zrobiłby coś takiego?

Jane teraz sobie przypomina, że wczoraj w nocy Ravi pytał Octaviana o jakąś rzeźbę wartą milion dolarów. O rybę, zaginioną rzeźbę ryby Brâncușiego. Ta lustrzana podstawka musi być

postumentem wartej milion dolarów ryby.

– Nie rozumiem – szepcze do sprzątacza. – Czy ta rzeźba nie jest warta fortunę? Potrafię sobie wyobrazić, dlaczego ktoś chciałby ją ukraść, ale czemu ktoś miałby ją odłamywać? – I tego już nie mówi na głos, ale się zastanawia, dlaczego Grace Panzavecchia miałyby nosić ze sobą postument i odłożyć go na stół w głównym holu. Czy teraz, gdy napad na bank się nie udał, jej rodzice zaczęli kraść dzieła sztuki?

Ravi przepytuje panią Vanders i domaga się listy wszystkich, którzy ostatnio byli w domu. Nagle odwraca się Phoebe Okady i wyrzuca z siebie:

– Gdzie twój mąż? Gdzie Philip? Uciekł, co?!

– Dobre pytanie – szepcze Jane i zerka na sprzątacza, który milczy jak zaklęty. A to dlatego, że zniknął. Została tylko mokra szmatka i wiadro z mydlinami i gdy Jane rozgląda się za nim zdezorientowana, dostrzega go oddalającego się mostem do wschodniego skrzydła domu.

Nie zastanawiałyby się nad tym, tyle że na dole dzieje się właśnie coś dziwnego.

– Udam, że nie słyszałam, jak sugerujesz, że mój mąż coś ci ukradł – mówi Phoebe do Ravięgo, po czym stanowczym krokiem rusza w stronę weneckiego dziedzińca. Wcześniej jednak odrzuca do tyłu głowę, mruży oczy i zerka na Jane, albo raczej na miejsce obok Jane, gdzie jeszcze przed chwilą był sprzątacza. Jest w tym coś... celowego. Spojrzenie Phoebe skierowane w to puste miejsce wydaje się wręcz dzikie.

To wystarczy, by Jane się odwróciła i przeszła na najbliższy balkon z widokiem na wenecki dziedziniec. Chce zobaczyć, dokąd Phoebe idzie. Za nią pani Vanders sugeruje Raviemu, że ktoś mógł odłamać rzeźbę przez przypadek, albo że to był jakiś dowcip. Ravi reaguje na to histerycznie.

– Dzwonź do FBI, do CIA i Interpolu!

Natomiast przed Jane, w jej prywatnym zdumiewającym świetle, Phoebe przecina dziedziniec, kierując się do schodów po zachodniej stronie. Zaczyna po nich wbiegać, przeskakując po dwa, trzy stopnie naraz. Jane jeszcze nie widziała, żeby ktoś się tak szybko poruszał. Phoebe w jakiś sposób się to udaje mimo butów na wysokim obcasie i nawet nie stuka nimi o schody; Jane nie słyszy nic prócz głosów w głównym holu i plusku fontanny. Kim jest Phoebe? Czym się zajmuje? Od czasu do czasu zerka desperacko na balkony na drugim poziomie i gdy Jane podąża za jej spojrzeniem, dostrzega sprzątacza, który po tych balkonach powoli obchodzi atrium. Zupełnie jakby Phoebe chciała gdzieś przeciąć mu drogę, tak żeby się nie zorientował i jakby od tego zależało wszystko.

„*Espions sans frontières*”, powiedziała Grace albo przynajmniej tak Jane ją zrozumiała. *Espions*. Szpieczy.

Jeszcze zanim udaje jej się podjąć decyzję, rusza z miejsca. Dogania sprzątacza, gdy ten zbliża się do ostatniego zakrętu przed wejściem do skrzydła dla służby. Sprzątacza nie słyszy Jane, skręca tylko za róg i znika jej z oczu.

Kiedy Jane zbliża się do tego miejsca, słyszy początek rozmowy sprzątacza i Phoebe, która nie tylko dotarła do skrzydła dla służby szybciej niż on, lecz także nawet nie wydaje się zdyszana. Słyszając ich głosy, Jane przystaje. Nagle nie ma pojęcia, co robi: śledzi sprzątacza, szpieguje Phoebe czy podsłuchuje? Jak się z tego wszystkiego wytłumaczy?

– Cześć – słyszy głos Phoebe. Mówi to swobodnym, spokojnym tonem. – Dokąd się wybierasz?

Mężczyzna odchrząkuje.

– Do ubikacji.

– Tak daleko od miejsca, gdzie przed chwilą byłeś? Toalety są na każdym piętrze obok głównych schodów.

– Jakie to ma znaczenie, z której ubikacji skorzystam?

– Po tym, jak przed chwilą odkryto kradzież – mówi Phoebe – poczynania wszystkich są fascynujące, nie uważasz? Interesujące, że się tak wymykasz, gdy ktoś z rodziny robi scenę i wszyscy są na tym skupieni.

Jane nie może dalej tak stać i się temu przysłuchiwać. Jak Phoebe tak może? Sugeruje, że ten człowiek jest zamieszany w kradzież tylko dlatego, że zachciało mu się sikać? Stanowczym krokiem wychodzi zza rogu.

– Phoebe! – mówi. – Co ty wyprawiasz?

Żadne z nich nie wydaje się zaskoczone na jej widok.

– Janie. – Phoebe unosi brew. – Chcesz się bawić w Robin Hooda?

– Co masz na myśli? – mówi Jane. – Przyszłam powiedzieć temu człowiekowi, że może skorzystać z łazienki w moim apartamencie. Jeśli to jest według ciebie zabawa w Robin Hooda, to tak.

– W porządku – odpowiada Phoebe. – Nie przeszkadzaj sobie. „Dajcie mi tylko uciskanych tłamy całe” i tak dalej. Ale ja nie zamierzam spuszczać tego faceta z oczu. Chyba nawet powiem Raviemu albo pani Vanders.

– Co im powiesz? – pyta Jane. – Że potrafisz cytować wiersz o Statui Wolności? Że nie pozwalasz skorzystać ludziom z toalety? Że nienawidzisz imigrantów?

– Tam jest „swoich biednych tłamy całe” – przerywa jej mężczyzna.

– Co? – pytają równocześnie Jane i Phoebe.

– „Dajcie mi tylko swoich biednych tłamy całe, / Obejmę ich gościnnie mymi ramionami. / Przyślijcie mi bezdomnych gromady niemałe, / Dla nich podnoszę lampę nad portu wodami”¹.

– Och – wzdycha Jane.

– Mniejsza z tym – oświadcza Phoebe. – Jestem Brytyjką.

– No i? – mówi sprzątacze. – Ja jestem z Korei Południowej.

– No cóż, ja jestem Amerykanką – odzywa się Jane – i teraz, gdy słyszę ten wiersz, czuję się nim trochę urażona. Moi przodkowie to nie były jakieś „bezdomnych gromady”.

– Może dobór słów wynikał z rymów – zauważa mężczyzna i szybko zerka na Jane. Omiata wzrokiem jej buty, marszczoną czerwono-pomarańczową koszulę, obcisłe prążkowane džinsy i niesforne włosy. Jane czuje się dziwnie, jakby była... szufladowana.

– Rozboliła mnie głowa – mówi Phoebe. – To jak, zabierasz tego sprzątacza do swojej toalety, czy nie?

– Uch! – Jane jest zniesmaczona zachowaniem Phoebe; dosłownie powaliło ją, że niektórzy potrafią być aż takimi snobami. – Mój apartament jest na drugim końcu domu – mówi, zwracając się do mężczyzny.

– Dziękuję.

– Jak masz na imię?

– Ji-hoon.

– Ji-hoon – powtarza Jane, wyciągając rękę. – Ja jestem Janie. Znasz dużo poezji?

– Mam niezwykle dobrą pamięć – odpowiada Ji-hoon. – Używam urządzeń mnemotechnicznych.

Phoebe patrzy, jak Jane z Ji-hoonem odchodzą.

Po tym jak Ji-hoon korzysta z toalety Jane, wychodzi, recytując jej przedtem na pożegnanie *Słyszę śpiew Ameryki* Walta Whitmana. To trochę dziwne, ale teraz już Jane niczego innego się nie spodziewa. Ji-hoon przez chwilę na nią patrzy, po czym energicznie kiwa głową i wychodzi.

Drapiąc się po głowie, Jane wraca do parasolki, która ma przypominać płaszcz cioci Magnolii, zgarnia w ręce metaliczne i opalizujące tkaniny i pozwala, by pochłonęła ją praca. Równocześnie zastanawia się nad ostatnimi wydarzeniami. *Espions sans frontières*. Szpieczy bez granic. Nie jest specjalistką od szpiegostwa, ale jest przekonana, że gdyby nie było granic, szpieczy by nie istnieli.

Może źle zrozumiała Grace.

Wkrótce żołądek ją informuje, że przyszła pora na lunch. Jane nie ma pojęcia, czy w Tu Reviens lunch jada się o jakiejś konkretnej godzinie, i dochodzi do wniosku, że to nie ma znaczenia. Pójdzie do kuchni i przyniesie sobie coś do apartamentu. Zje to przy pracy.

– Jesteś głodny, Jasper? – rzuca w stronę łóżka, przechodząc przez sypialnię. Jasper wścibsko wysuwa nos i prychnie. – Jeśli cię to interesuje, idę do kuchni.

Pies wybiega z zapalem i trzyma się tak blisko niej, że na schodach Jane czuje się trochę niepewnie, więc mocno trzyma się poręczy. Kiedy dociera na pierwsze piętro, prawie się o niego przewraca.

– Jasper! Zostaw moje stopy. Nie mogę chodzić, kiedy wisi na nich trzydziestokilogramowy pies. Zależy mi na twoim towarzystwie, głupolu, ale nie zmieścimy się oboje dokładnie w tym samym miejscu, rozumiesz?

Jasper podskakuje na przednich nogach, co jest u niego złowieszczą zapowiedzią przypuszczenia szarży. Jane reaguje instynktownie i przechodzi mostem na drugą stronę. Ale pies nie szarżuje. Zostaje na wschodnich schodach i zaczyna podskakiwać przed tym wysokim obrazem z parasolką. Wyje przy tym cicho jak śpiewaczka operowa, zanim z pełną siłą głosu przejdzie do punktu kulminacyjnego.

– Niemądry futrzaku – woła do niego Jane – pasujesz do reszty mieszkańców tego domu! – Rusza do zachodniego skrzydła, bo właśnie przyszło jej coś do głowy. Jeśli Thrashowie i goście jedzą w tej chwili lunch w sali bankietowej, Jane nie chce się tam pokazywać. Jeśli istnieje tylne wejście do kuchni, to może być u dołu schodów, na końcu zachodniego skrzydła. Zamierza się o tym przekonać.

Nie zwraca zbyt wiele uwagi na dzieła sztuki na ścianach, gdy nagle wpada jej w oko coś znajomego. To wielkoformatowe zdjęcie cioci Magnolii.

Cofa się, by mieć lepszy ogląd, i chłonie je wzrokiem.

Małeńka żółta babka wygląda z przepaścistego pyska jakiejś wielkiej szarej ryby. Ciocia Magnolia zrobiła to zdjęcie w wodach w pobliżu Japonii. Jane to pamięta. I czuje się w tej chwili jak ta mała rybka, kolorowa i rezolutna, ale nie za bardzo bezpieczna.

Duma z cioci Magnolii rozpiera ją tak bardzo, że czuje, jakby miała za chwilę pęknąć.

Przygląda się odbitce pod trochę innym kątem i zauważa wybrzuszenie podkładki zdjęcia, jakby była dla niego sporo za mała. Będzie musiała o tym wspomnieć pani Vanders. Taki błąd przy oprawianiu może uszkodzić wydruk, a praca cioci Magnolii zasługuje na coś lepszego.

Jane miała rację co do tego tylnego wejścia: u dołu schodów znajdują się duże metalowe drzwi, przez które dostaje się do kuchni. Na prawo od niej jest winda kuchenna i spiżarnia. Po lewej dwa ogromne urządzenia, zapewne lodówka i zamrażarka. Zasłaniają jej resztę pomieszczenia.

Obchodzi je i się zatrzymuje.

Patrick i pani Vanders stoją przy kuchenkach, zwrócenie plecami do Jane i zasłaniając osobę, z którą rozmawiają. Jane poznaje jednak po głosie Phoebe Okadę.

– Tak – mówi Phoebe. – Myślę, że to on. Twierdzi, że jest z Korei Południowej, ale mu nie wierzę. – Następnie Phoebe podaje pani Vanders aparat fotograficzny Ivy.

Ochmistrzyni zerka na aparat i mówi lakonicznie:

– Tak, zwróciłam na niego uwagę. Patrick, sprawdź, czego dowiedziała się Ivy.

– A co z moim umówionym spotkaniem? – pyta Phoebe.

– Pan Vanders jest zajęty. Kopie dołki.

– Widziałam – odpowiada Phoebe. – A właściwie po co?

– Udaje, że pracuje w ogrodzie – mówi pani Vanders.

– Czyli moje spotkanie jest odwołane, bo pan Vanders coś udaje? – pyta beznamyślnie Phoebe.

– Dostaliśmy cynk, że Grace mogła to zakopać w ogrodzie albo gdzieś za domem – mówi pani Vanders. – Pan Vanders tego szuka.

Cynk, że Grace coś zakopała? Jane sama widziała dziewczynkę, jak kopała dołki podczas deszczu. Dziś rano wspomniała o tym panu Vandersowi. Powiedziała mu: „Wczoraj widziałam małą dziewczynkę kopiącą w ogrodzie”. Pan Vanders zamarł wtedy ze zdumienia. Czy to ma znaczyć, że to Jane dała im ten „cynk”? Ale o czym?

– Żartuje sobie pani – rzuca Phoebe.

– Nie – mówi oschle pani Vanders.

– Upiardliwa mała, co? – zauważa Phoebe. – Ile ona ma lat, osiem?

– Starzeję się przez nią – mówi z dumą Patrick.

– Tak czy inaczej – podejmuje Phoebe – umówiłam się na to spotkanie kilka tygodni temu. Muszę porozmawiać z panem Vandersem.

– Nic nie poradzimy – wyjaśnia ochmistrzyni. – Ktoś musi poszukać tej rzeźby. Jeśli nie uda nam się jej z powrotem złożyć, nasz kontakt nie pomoże nam przenieść dzieci.

– No cóż, niedogodnie wybrała pani ogrodnika.

– Pan Vanders jest z tego równie niezadowolony, jak pani. Stara się jednak medytacyjnie podchodzić do kopania. W przeciwnym razie, w taki dzień jak ten, nie miałyby czasu na medytację. Medytacja ma pozytywny wpływ na jego sesje.

– No cóż, co mi z tego, skoro moja sesja jest odwołana? – zauważa Phoebe.

– Może pani pokopać z nim.

Phoebe drwiąco parska.

– No jasne! I nikt by nie pomyślał, że to nie pasuje do snobistycznej postaci, którą odgrywam, gdybym padła na kolana w ogrodzie, obok kamerdynera, i zaczęła kopać. Czemu Patrick nie kopie? Jesteś na to zbyt przystojny, Patrick, co?

– Patrick też ma w tej chwili ręce pełne roboty – wyjaśnia pani Vanders. – Jutro jest gala, Phoebe. Rozumiem twoje potrzeby, ale ty na pewno też rozumiesz nasze. Wszyscy z Espions Sans Frontières się poświęcają. Kucharz prawie nie miał czasu, by choćby tknąć saksofon, a moja joga z pewnością na tym ucierpiała.

Potem pani Vanders przesuwa się na bok i nagle Phoebe i Jane patrzą sobie prosto w oczy.

Phoebe uśmiecha się ze szczerością, jakiej Jane nie widziała dotąd na jej twarzy.

– Ciągłe się gdzieś pojawiaasz – mówi. – Masz talent do zakradania się.

Patrick i pani Vanders obracają się w jej stronę. Ich twarze nie wyrażają zaskoczenia, trudno z nich cokolwiek wyczytać.

– Nigdzie się nie zakradam – mówi Jane. – Chciałam coś zjeść. Przyszłam więc do kuchni.

Patrick zerka na panią Vanders, potem podchodzi do Jane i mija ją, niemal się o nią ocierając.

– Okropnie cicho chodzisz – mówi – jak na kogoś twojego wzrostu i do tego w takich butach.

– Ciocia Magnolia mnie nauczyła, by nie narzucać się otoczeniu – odpowiada Jane, na co Phoebe cicho się śmieje.

– Proszę, błagam, niech mi pani powie, kiedy pan Vanders będzie wolny – Phoebe zwraca się do pani Vanders, po czym wychodzi przez główne drzwi kuchni. Patrick również wyszedł, ale tylnymi drzwiami.

Jane zostaje sam na sam z panią Vanders. Unosi podbródek i wytrzymuje stalowe spojrzenie ochmistrzyni. Udawanie nie ma już sensu.

– Wiem, że Grace Panzavecchia jest w tym domu – mówi Jane. – Wiem, że wzięła rzeźbę Brâncușiego. Wiem, że Philip i Phoebe Okada nie są tymi, których udają, i pani też nie.

Pani Vanders wpatruje się w Jane i milczy tak uparcie, że jest w tym coś agresywnego.

– Powiedz mi, jak się z tym czujesz – odzywa się w końcu.

– A jakie to ma znaczenie, jak się z tym czuję?! – krzyczy Jane. – To jakaś sesja terapeutyczna czy coś w tym stylu?!

Pani Vanders uśmiecha się ponuro.

– Jeśli chcesz, to może tak być. Pan Vanders jest dyplomowanym psychologiem, specjalizuje się w takich rzeczach.

– W jakich rzeczach? Zajmuje się ludźmi, którzy kłamią?

– Specjalizuje się w potrzebach tajnych agentów i pracowników rządu – odpowiada ochmistrzyni.

– Och, dałaby pani spokój! – wyrzuca z siebie Jane, której kończy się już cierpliwość. – Wszyscy tutaj odstawiacie jakąś głupią komedię.

– Cóż, to prawda, gra jest częścią tej pracy. – Na twarzy pani Vanders znów pojawia się ponury uśmiech. – Twoja ciocia Magnolia była w tym całkiem niezła.

– Ciocia Magnolia niczego nie udawała – mówi automatycznie Jane.

– Twoja ciocia nie żyje. Pora, żebyś się dowiedziała, kim naprawdę była. Od kilku miesięcy chciałam się z tobą skontaktować, ale chyba miałam za dużo na głowie. Magnolia, niech spoczywa w spokoju, byłaby wściekła z powodu tego opóźnienia.

Jane ma dziwne uczucie, jakby siedziała w samochodzie, który w zwolnionym tempie jedzie prosto na drzewo.

– Proszę przestać.

– Służba z Tu Reviens jest sekretną grupą wsparcia dla szpiegów – mówi pani Vanders. – Świadczymy poufne, bezstronne usługi agentom, szpiegom i ludziom wszelkich frakcji politycznych, głównie podczas gal odbywających się w tym domu z okazji każdej pory roku. Nazywają nas Espions Sans Frontières, Szpiegzy bez Granic. Twoja ciocia Magnolia...

– Proszę przestać – powtarza Jane.

– Twoja ciocia Magnolia była tajną agentką amerykańskiego rządu.

– Nie była – mówi Jane. – Fotografowała podwodny świat. Nie była szpiegiem!

– Tym też się zajmowała – odpowiada pani Vanders. – To była dla niej przykrywka.

W rzeczywistości była agentką. W naszych kręgach szpieg to dość uwłaczające określenie.

– Och, niech pani da spokój! To niedorzeczne!

– Może i niedorzeczne, ale prawdziwe – odpowiada pani Vanders. – To dlatego poznałam Magnolię. ESF od czasu do czasu jej pomagali. Chciałabym wiedzieć, jak się z tym czujesz, bo nieustannie prowadzimy rekrutację.

Za Jane otwierają się drzwi i wchodzi Ivy, wysoka i swobodna, ubrana w rozciągnięty niebieski sweter. Na widok Jane się zatrzymuje i jej twarz przybiera taki wyraz, jakby coś ją dręczyło.

– Janie?

Jane widzi w jej oczach troskę, przygnębienie i poczucie winy. Dostrzega prawdę. Ściska jej się serce. A więc to tak.

– O co chodzi Ivy-Fasolko? – pyta ostro pani Vanders. – Możesz się nie krępować i powiedzieć to przy Jane.

Ivy odchrząkuje.

– Przyjrzałam się temu mężczyźnie, który twierdzi, że nazywa się Ji-hoon. Nie jestem pewna, ale Phoebe może mieć rację.

– Doskonale – odpowiada pani Vanders. – Dopóki nie mamy pewności, nie możemy zrobić nic skrajnego, ale, do diabła, możemy zadbać o to, by nie miał szans zbliżyć się do dzieci. Poproś, żeby Phoebe przyszła do mnie najszybciej, jak może.

– Chyba nie może pani prosić Phoebe o więcej, prawda? – mówi Ivy. – Jest brytyjską agentką. Nie pracuje dla ESF.

– Brytyjczycy na tym skorzystają, jeśli wydostaniemy dzieci. Wszyscy na tym skorzystają i Phoebe o tym wie. Zrobi to, o co proszę.

– W porządku – odpowiada Ivy, a potem waha się i spogląda na Jane.

– Ivy – odzywa się pani Vanders z nagłą, zaskakującą czułością w głosie. – Idź. Ji-hoon i Grace są w domu, nie możemy ryzykować.

Ivy wychodzi.

– Byłaś głodna?

Jane usiłuje się połapać w tym, co mówi pani Vanders.

– Że co?

– Chodź – mówi ochmistrzyni. – Pomogę ci wybrać parę rzeczy.

– Dobrze – odpowiada automatycznie Jane, nie za bardzo się tym przejmując. Gdy wchodzi z ochmistrzynią do spiżarni, z jednej z półek słuchać trzaski.

– Kochanie? – odzywa się niski głos pana Vandersa.

Pani Vanders sięga po krótkofalówkę leżącą w koszu z owocami.

– Mów.

– Znalazłem rybę – słyhać głos jej męża. – Zaniosę ją do twojej pracowni. Bardzo jej się przyda czyszczenie.

Pani Vanders wzdycha.

– Dzięki bogu.

– Wciąż się martwisz, że Vermeer jest sfałszowany? – pyta pan Vanders.

– Ravi nie zauważył, by coś z nim było nie tak. Staliśmy przed nim i rozmawialiśmy przez dziesięć minut.

– Wyjmowałeś go z ramy?

– Jeszcze nie – odpowiada pani Vanders. – Zrobię to, jak już przemieścimy dzieci. Jeśli to

faktycznie fałszerstwo, to nie ma nic wspólnego z dziećmi ani z tą sprawą, więc po prostu nie mam w tej chwili na to czasu.

– Nie obwiniaj się, że odkładasz to na później – mówi pan Vanders.

– Obwiniam się. Jeśli Vermeer został sfalszowany, to będzie klęska. Wiesz, jak poważnie traktuję obowiązki wobec rodziny. Ravi i tak już jest wstrząśnięty Brâncușim.

– Za tydzień będzie miał z powrotem swojego Brâncușiego i nawet się nie połapie – pociesza ją pan Vanders. – A kiedy dzieci będą już bezpieczne, będziesz mogła skupić całą uwagę na Vermeerze. Teraz, gdy mamy już tę rzeźbę, nie potrwa to długo. Jutro gala. Już prawie po wszystkim.

– Dziękuję, Arthurze – odpowiada pani Vanders. – Przed galami chyba zawsze tak jest.

– Zawsze coś się dzieje – śmieje się cicho pan Vanders, a potem kicha. Słychać trzaski i połączenie zostaje przerwane. Ochmistrzyni wkłada krótkofalówkę z powrotem do kosza z owocami i sięga po deskę do krojenia.

– Który ser wolisz? – pyta. – Munster czy gruyere?

– Co? – pyta Jane. – Ser?

– Robię ci kanapkę – wyjaśnia ochmistrzyni. – Lubisz pasztet z kurzej wątróbki?

– Czy wy... – Jane rozboleła głowa. – Czy używacie rzeźby Brâncușiego, by zapłacić komuś za wywiezienie z domu dzieci Panzavecchiów? Z powodu czegoś, co ma związek z ospą?

– Widzisz – mówi pani Vanders, przerywając szybkie krojenie ciemnego chleba, by przenikliwie zerknąć na Jane – o to mi właśnie chodzi. Jeśli udało ci się do tego dojść, to przypuszczam, że masz talent do takiej pracy.

– Ale... to przecież nie jest wasz Brâncuși – mówi Jane. – Kradniecie Brâncușiego?

– Nie kradniemy dzieł sztuki należących do rodziny – odpowiada pani Vanders. – Pożyczamy je, by wykorzystać jako zabezpieczenie, gdy działamy jako pośrednicy. Daję jakiś obraz czy rzeźbę osobie X. Osoba X przekazuje mi coś – agenta, którego próbuję uratować, informację, dobra – a ja to dostarczam osobie Y. Osoba Y płaci mi czymś, czego potrzebuje osoba X. Znów agentem, informacjami, dobrami, ja zaś dostarczam to sobie X. Osoba X zwraca mi obraz lub rzeźbę. Arcydzieło to doskonała alternatywa dla gotówki. Rozpoznawalne, posiadające niezaprzeczalną wartość i trudniejsze do wyśledzenia niż gotówka, która zresztą i tak nie wchodzi w rachubę, bo jej nie mamy.

Jane przyłapuje się na tym, że głupawo kiwa głową. Słyszała o tej strategii.

– Ale Ravi o tym nie wie – mówi.

– Nikt z rodziny Thrashów nie wie o ESF – wyjaśnia pani Vanders. – Powiem Raviemu, że zabrałam obraz, by go wyczyścić, albo że przeprowadzam na nim jakieś badania.

– Okłamię go pani – mówi Jane.

Pani Vanders nakłada na chleb ser, korniszony i pasztet.

– Są ludzie, którzy chcą skrzywdzić te dzieci – mówi. – Pewna kobieta zaproponowała, że przewiezie Grace i Christophera Panzavecchiów w zamian za wypożyczenie na krótki czas naszego Brâncușiego i Rembrandta. To dziwna osoba. Nie chodzi jej o pieniądze ani informacje, tylko o to, by od czasu do czasu, choć na krótko, mieć w swojej kolekcji różne dzieła sztuki. I nigdy nie prosi o coś łatwego. Obraz Rembrandta jest wielki i ciężki, malowany na drewnie, a rzeźba Brâncușiego bardzo krucha. Jednak są to jedyne dwa dzieła sztuki, które tym razem tę osobę interesują. Wróć do domu w ciągu tygodnia.

– Dlaczego Panzavecchiowie są tacy ważni?

– Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć. ESF zapewnia ochronę tajnym agentom, którzy są

wykorzystywani, porywani, pozostawieni samym sobie. Jeśli powątpiewa się w ich lojalność, zapewniamy im strategię ucieczki, bezpieczne zniknięcie dla nich i ich rodzin. Nasze usługi często wymagają pomocy stron trzecich. A ci nie pomagają nam z dobroci serca, żądają zapłaty. Nauczylismy się wykorzystywać to, czym dysponujemy.

– Okłamując mieszkańców tego domu, którzy bezgranicznie wam ufają – mówi Jane.

– A co innego mogę zrobić? – mówi porytowana pani Vanders. – Nigdy nie kłamać, co naraziłoby na niebezpieczeństwo bardzo wielu ludzi? Nie narażać dzieł sztuki należących do rodziny, chociaż mogą zapewnić bezpieczeństwo dwójce dzieci?

– Muszę już iść – mówi Jane.

– Nic nikomu nie mów – prosi pani Vanders. – Grace Panzavecchia ma zaledwie osiem lat, a Christopher dwa. Wystawisz ich życie na niebezpieczeństwo, jeśli powiesz o tym niewłaściwej osobie. Chciałabyś to mieć na sumieniu? Śmierć dziecka?

– Czemu mam wierzyć, że próbujecie im pomóc? – pyta Jane. – Jeśli jesteście tacy uczynni, to czemu Grace próbuje się wymknąć? Dlaczego zniszczyła rzeźbę, której tak bardzo potrzebujecie, żeby ją „uratować”?

– Grace jest dzieckiem po ciężkich przejściach, które oddzielono od rodziny i rozpaczliwie pragnie wrócić do domu – mówi pani Vanders. – Nie rozumie, że jej dom już nie istnieje. Próbuje nam robić problemy, przykuwać uwagę. Odreagowuje. Ale nawet ona wie, gdzie przebiega granica!

– Dlaczego jej dom już nie istnieje? Co się stało?

– To o wiele więcej informacji, niż w tej chwili potrzebujesz.

– A gdzie jest malutki Leo? – pyta Jane. – Dlaczego nikt o nim nie mówi?

– Bobas jest bezpieczny – odpowiada pani Vanders. – Tu masz kanapkę, trochę winogron i kumkwata. – Podaje Jane talerz tak energicznie, że kilka winogron spada i toczy się w jakieś nieznane, niedostępne zakamarki spiżarni.

– Nie mogę uwierzyć, że okłamuje pani Raviego – mówi Jane. – I Kiran. Każdego dnia. Jak pani tak może?

Twarz pani Vanders jest jak wykuta z granitu. Kładzie na talerzu Jane pączka, zrzucając kolejne winogrona.

– Będziemy cię mieć na oku – mówi. – Dowiemy się, jeśli zaczniesz wędrować po domu. I mamy swoje sposoby, by się dowiedzieć, jeśli spróbujesz coś zrobić przez komórkę czy internet. Jeśli dojdziemy do wniosku, że nie możemy ci ufać, że będziesz milczeć, to bardzo tego pożałujesz.

– Ho ho! Teraz to już naprawdę chcę dla was pracować. Po prostu marzę o pracy, w której będę grozić niewinnym gościom i okłamywać ludzi, którzy najbardziej mi ufają.

– Właściwie to zmieniałam zdanie – mówi pani Vanders. – Zostań tu, gdzie jesteś. Sprowadzę kogoś, kto cię odprowadzi do apartamentu.

– Pocałuj mnie w dupę – mówi Jane, odwraca się i wychodzi.

Gdy Jane z talerzem w ręce wspina się po tylnych schodach, Patrick, hałasując, schodzi ze strychu w zachodnim skrzydle, co wcale jej nie zaskakuje. Zrównuje się z nią, a potem decyduje, by jej towarzyszyć. Jane nawet na niego nie patrzy.

– Co byś zrobił, gdybym zaczęła wykrzykiwać coś o tej waszej głupiej organizacji? – pyta. – Powaliłbyś mnie i zakneblował?

– Nie – odpowiada spokojnie Patrick. – Ale powstrzymałbym cię.

– Wiesz, jestem niewinna. I wcale się nie prosiłam, by zostać wplątana w całe to bagno.
– Nie? – pyta Patrick. – A dziś rano nie śledziłaś przypadkiem Grace? I nie wypytywałaś wszystkich o swoją ciotkę Magnolię?
– Nie dlatego, że miałam nadzieję się dowiedzieć, że była szpiegiem!
– Miała swoje powody.
– Zrób mi przysługę – mówi Jane – i nie popisuj się, że znałaś moją ciocię lepiej niż ja.
– Nie bądź głuptasem – odpowiada Patrick. – To ty ją znałaś.
Brzmi to, jakby mówił szczerze, ale jego słowa są zbyt absurdalne, by na nie odpowiadać. Idą tą samą drogą, którą Jane wcześniej przysłała, przez pierwsze piętro zachodniego skrzydła, obok zdjęcia cioci Magnolii.
O ile to w ogóle jej zdjęcie.
– Przez wszystkie te lata – zwraca się Jane do Patricka – okłamywałaś Kiran, nie mówiąc, kim naprawdę jesteś.
Przez resztę drogi Patrick się do niej nie odzywa.

Jane przypomina sobie pytania, jakie dręczyły ją po śmierci cioci Magnolii. Jeden z kolegów cioci zadzwonił z Półwyspu Antarktycznego. „Przysłała burza” – powiedział. Połączenie się rwało i było bardzo kiepskiej jakości. – „Była zbyt daleko od bazy. Nie udało jej się wrócić. Przykro mi” – dodał, ale Jane nie rozumiała, co to znaczy.

Powłokła się więc do swojej lekarki, doktor Gordon, i spytała, co to znaczy zginąć w śnieżycy na Antarktydzie.

Doktor Gordon łagodnie poprosiła, by Jane usiadła.

– Pierwszą rzeczą, jaka się dzieje, jest to, że twoja krew odpływa ze skóry i kończyn do tułowia – powiedziała. – To się nazywa zwężenie światła naczyń. Pozwala ci zachować resztki ciepła, zamiast oddawać je do otoczenia. – Przerwała i odczekała, aż Jane kiwnie głową. – Potem zaczynasz trząść się na całym ciele. Stajesz się niezdarna. Chodzenie czy używanie rąk zaczyna ci sprawiać trudności. – Kolejne skinienie głową. – Twoje myśli stają się niejasne, doświadczasz amnezji. Ogarnia cię apatia, co tak naprawdę jest w tej sytuacji błogosławieństwem. Możesz się gdzieś zakopać jak niedźwiedź zapadający w sen zimowy. A potem tracisz przytomność. Gdy to się już stanie, od czasu do czasu możesz się budzić i doświadczać halucynacji, ale w końcu zasypiasz i już się więcej nie budzisz. Twoje ciało może umierać dość długo, ale w tym czasie nie cierpisz. Doceniasz to, Jane? Że pod koniec nie cierpiała?

Jane jednak nie była w stanie znieść myśli, że podczas tej śnieżycy na Antarktydzie ciocia Magnolia na pewno wiedziała, co oznacza jej senność. Od tego dnia Jane zaczęła mieć jeszcze większe problemy ze snem, ponieważ w ten właśnie sposób umarła ciocia Magnolia. Albo tak Jane sądziła.

Czy ona w ogóle wyjechała na tę Antarktydę? A może zawlekłam się do lekarki i przesiadziałam tę okropną litanię na próżno? Nagle robi jej się gorąco ze wstydu, że dała się nabrać cioci Magnolii.

Jej spojrzenie wędruje do oprawionych w ramki fotografii, które powiesiła na ścianach saloniku. Żabnica z Indonezji. Kałamarnica z Peru. Deszcz żab w Belize. Kanadyjski niedźwiedź polarny unoszący się pod wodą. Ciocia Magnolia miała w zwyczaju przed każdym wyjazdem rysować Jane mapę i starannie zaznaczać daty, tak by Jane mogła śledzić jej trasę i wiedzieć, gdzie ją sobie w danej chwili wyobrazić.

To wszystko były kłamstwa. Inni ludzie wiedzieli, gdzie naprawdę była. Ivy pewnie wiedziała.

Jane podchodzi do zdjęcia z samą ciotką Magnolią stojącą w sprzęcie do nurkowania na dnie oceanu u wybrzeży Nowej Zelandii i dotykającą nosa wieloryba. Czy to w ogóle ciotka Magnolia? W tym sprzęcie to mógł być każdy.

Jane sięga do kieszeni po szczyryk. Wysuwa końcówkę ze śrubokrętem, zdejmuje zdjęcie ze ściany i zabiera się za rozkręcanie ramki. Gdy podkładka jest już luźna, odkłada ją na bok, chwyta zdjęcie i wyciąga przed siebie. Wpatruje się w osobę na dnie oceanu.

Kłamczucha, myśli Jane i rozrywa je na dwie części, oddzielając tę osobę od wieloryba. Potem z narastającą wściekłością rozrywa postać na pół, potem na cztery części, a wreszcie na mnóstwo małych kawałeczków. Podbiega do kominka w sypialni, ciska fotografię do paleniska i dokłada kilka niewielkich kawałków drewna. Znajduje pudełko zapalek, zapala kilka naraz i je również tam wrzuca.

W saloniku zdejmuje ze ściany kolejne zdjęcie, a potem jeszcze jedno i następne, drze na kawałki kałamarnicę, żabnicę, żaby i niedźwiedzia polarnego, pod którym ciotka Magnolia napisała „Hej ho! To dla misia ten marsz!”.

Kłamstwa, *wszystko kłamstwa*, myśli i chwiejnym krokiem wraca do sypialni. Dorzuca do ognia kolejne fragmenty zdjęć. Jakimś cudem, choć tak nieudolnie rozpałała w kominku, zajął się kawałek drewna i fragmenty pierwszego zdjęcia już się kurczą i liże je płomień. Jane patrzy, jak czernieją, i zastanawia się, co zrobi z tym wielkim zdjęciem, które wisi w zachodnim korytarzu na pierwszym piętrze. Przyniesie je tutaj i dorzuci do ognia? A może od razu tam roztrzaska je na kawałki? Biegnie z powrotem do saloniku, unosi nad głowę parasolkę przedstawiającą płaszcz cioci Magnolii, nad którą pracowała, i ciska ją na dywanik. Gdy nic się nie łamie, ciska nią jeszcze raz, mocniej, aż w końcu słyszy dźwięk drutów odłamujących się od części ruchomej i widzi odpadające metalowe części. Teraz płacze. Chwyta opalizującą fioletową tkaninę i szarpie, póki nie puszczają szwy. Przydeptuje srebrno-złoty materiał i znów ciągnie, rozszarpując go na kawałki.

Sięga po kolejną parasolkę, bladoniebieskie ptasie jajo w brązowe plamki i unosi ją wysoko, gdy do pokoju wbiega Jasper. Opiera się o jej nogi i zaczyna skomleć.

Jane przez chwilę jest zdezorientowana, bo ostatnio widziała go na schodach na pierwszym piętrze. Jak tutaj wszedł?

Odpowiada jej głos Raviego dobiegający z sypialni:

– Niezbyt imponujący ten ogień! – woła. – Musisz zbudować coś w rodzaju komina z tych małych kawałków drewna.

– Co? – Jane upuszcza parasolkę w kształcie ptasiego jaja i chwyta się za głowę. *Co się dzieje?*

– Nie przejmuj się – woła Ravi – już się tym zająłem!

– Nie możesz tak po prostu do mnie wchodzić! – wrzeszczy do niego Jane.

– Pukałem i się nie odzywałaś.

– To znaczy, że powinieneś być sobie pójsć i zostawić mnie w spokoju.

– Pies chciał do ciebie wejść.

Jane się rozgląda. Parasolka przedstawiająca płaszcz cioci Magnolii leży pognieciona na podłodze jak jakiś wielki owad, którego pokonała w walce wręcz. I Jane faktycznie czuje się tak, jakby przeżyła bitwę. Ma opuchniętą twarz, jest zdyszana. Ociera oczy rękawami, mocno pociąga nosem, zsuwa na kupkę fragmenty zniszczonej parasolki. Ma nadzieję, że Ravi nie zauważy ani tego, ani jej łez.

Ravi zjawia się w drzwiach saloniku. Zerka na nią.

– Wszystko w porządku?

Jane unika jego spojrzenia.

– Tak.

– Wyglądasz... jakbyś oszalała.

– Artyści już tak mają – odpowiada Jane. – Nie przejmuj się tym.

Ravi wskazuje na zmaltretowaną parasolkę.

– Co się z nią stało?

– Czasem nie wychodzą tak, jakbym chciała.

– Ach – mruczy sceptycznie i omiata wzrokiem resztę pokoju. Brodząc między gotowymi parasolkami, idzie na środek i ogląda je ponuro, posępny i dramatyczny, jak Hamlet albo może Kłapouchy. – To jedyne pomieszczenie w całym domu, w którym czuję spokój – wzdycha, przeczesując włosy przeplatane siwizną.

– Jeżeli znów próbujesz mnie podrywać...

– Chodziło mi o parasolki – mówi Ravi, zataczając ręką koło. Potem wskazuje na drugi koniec pokoju, na parasolkę, która stoi oparta w kącie. Jest prosta i subtelna, w różnych bladżółtych odcieniach, z trzonkiem i rączką z mahoniem. – Mogę ją otworzyć?

– Poważnie? – pyta ze znużeniem Jane. – Teraz? Pracuję, Ravi.

– Chyba chciałbym ją kupić dla Kiran. Jakoś mi się z nią kojarzy. Jeśli spodoba mi się, kiedy ją otworzę, dam ci za nią trzy tysiące dolarów.

– To niedorzeczne – mówi Jane, akcentując każdą sylabę. – Wróć, kiedy odzyskasz rozum.

– Nikt nie traktuje tego poważnie – mówi Ravi. – Zauważyłaś?

– Czego nikt nie traktuje poważnie?

– Brâncușiego! Pani Vanders wciąż nie zadzwoniła do FBI. Ciągłe tylko gala to, gala tamto, jakby ta gala była ważniejsza niż rodzina i dom.

Jane kompletnie zapomniała o rzeźbie Brâncușiego, o gali, o wszystkim. Zastanawia się przez chwilę, co by się stało, gdyby powiedziała Raviemu, że jego służący wykorzystują rzeźbę, by zapłacić jakiejś kobiecie za to, że chroni zaginione dzieci Panzavecchiów, bo Giuseppe i Victoria są zamieszani w jakąś szpiegowską historię, prawdopodobnie związaną z wykorzystaniem ospy jako broni biologicznej.

Wpadłby w szal. Głośny i niebezpieczny. Oto, co by się stało.

Jane podchodzi do żółtej parasolki. Znosi ją Raviemu, wkłada mu ją do rąk i mówi:

– Weź ją ze sobą. Otwórz ją w swoim apartamencie. Przyjrzyj jej się dokładnie. Jeśli ci się spodoba, możesz ją kupić za sto dolarów.

– Akurat – odpowiada Ravi. – To by była kradzież.

– Nie wezmę od ciebie trzech tysięcy za jedną parasolkę.

– No to dwa tysiące pięćset.

– Coś mi się wydaje, że nie tak powinno wyglądać targowanie się.

– Nie zamierzam stać z założonymi rękoma, kiedy tak nisko wyceniasz własną pracę – mówi Ravi. – Nie zapominaj, że zajmuję się wyceną dzieł sztuki.

– W ogóle nie będziesz tu stał – mówi Jane. – Wyjdiesz, a ja zamknę za tobą drzwi na klucz i w końcu będę miała spokój.

– To może dwieście dolarów za parasolkę i dwa tysiące trzysta za to, żebym sobie poszedł i zostawił cię samą?

Wbrew sobie Jane wybucha śmiechem.

Ravi znalazł jedyne słuszne podejście. Jej spokój jest zdecydowanie wart dwa tysiące trzysta

dolarów.

– Weź tę parasolkę – mówi – i później o tym pogadamy.

– W porządku – odpowiada Ravi z lekkim rozbawieniem. – Na to się mogę zgodzić. To dla mnie zaszczyt robić interesy z artystką. – Po tych słowach odwraca się, żeby wyjść.

– Ravi – zaczyna Jane.

– Tak? – odwraca się i patrzy na nią z zaciekawieniem, mrużąc oczy.

Pieprzyć to, myśli Jane.

– Przyglądałeś się dokładnie obrazowi Vermeera?

– Obrazowi Vermeera? A co z nim?

– Pani Vanders wcześniej wspominała, że chyba coś z nim jest nie tak.

– Nie tak? O czym ty mówisz?

– Podśluchałam jej rozmowę z panem Vandersem. Wydaje mi się, że użyła nawet słowa sfalszowany.

Ravi zamiera.

– Masz śrubokręt? – pyta zduszonym głosem.

Jane podchodzi do miejsca, gdzie rzuciła na podłogę scyzoryk. Końcówka ze śrubokrętem wciąż jest wysunięta. Rzuca go Raviemu, któremu nie udaje się go złapać. Ravi schyla się, podnosi go z dywaniku i nawet się nie oglądając, opuszcza pokój.

Gdy Jane znów zostaje sama, wpatruje się w zniszczoną parasolkę. To ta, która miała przedstawiać płaszcz cioci Magnolii, a ona już zupełnie nie wie, co to oznacza.

Jakoś nie potrafi się zmusić, by przejść do sypialni i zobaczyć, w jakim stanie są zdjęcia. Słyszy ogień wesoło trzaskający na kominku, więc właściwie wie, co tam zastanie.

Czy ciocia Magnolia w ogóle zrobiła te zdjęcia?

Czy zginęła dlatego, bo była szpiegiem?

Jej uwagę przykuwają jakieś hałasy na zewnątrz: pisk i rumor przestawianej drabiny. Odgłosy przesuwania wilgotną szmatką po szybie. Bierze kanapkę i trochę winogron, i podchodzi do przeszklonej ściany. Wychyla się, spogląda w dół i dostrzega ledwie widoczną postać Ji-hoona, tego tajemniczego mężczyzny, który przed galą myje z zewnątrz okna domu. On zapewne też nie jest tym, kim się wydaje.

Wszystko wokół mnie jest kłamstwem.

– Z wyjątkiem ciebie, Jasper – mówi do psa, który obserwuje ją z niepokojem.

Po jakimś czasie słychać pukanie do drzwi sypialni. Na samą myśl o tym, że miałyby z kimś rozmawiać, czuje się zmęczona. To będzie albo ktoś, kogo będzie musiała okłamać, albo ktoś, kto okłamał ją. Wlecze się przez sypialnię i otwiera drzwi.

Na progu stoi Ivy. Pociera kark i wydaje się trochę podenerwowana.

– Cześć – mówi. – Wszystko w porządku?

– Poważnie? Naprawdę mnie o to pytasz?

Ivy spogląda w oczy Jane. Ma tak nieszczęśliwą minę, że Jane ogarnia wściekłość.

– A ty jakie masz powody do zdenerwowania?

– Właściwie to całkiem sporo – odpowiada Ivy trochę ostrym tonem.

– Mniejsza z tym. Czego chcesz?

Ivy wzdycha.

– Pani Vanders mówi, że musisz zjeść kolację u siebie w pokoju. Przyniesiemy ci jedzenie.
– Teraz myślisz, że wygadam się innym gościom – mówi Jane. To stwierdzenie, nie pytanie.
– Jest wściekła, że powiedziałaś Raviemu, żeby przyjrzał się Vermeerowi.
– Czyli to prawda? Jest sfałszowany?
– Tak – przyznaje Ivy z jakimś obojętnym znużeniem w głosie. – Okazuje się, że w całym tym młynie ktoś ukradł Vermeera.
– I co, nie ucieszyła się, że teraz ma już pewność?
– No cóż, w sumie tak. Ale Ravi wpadł w histerię, a to odciąga panią Vanders od innych zadań. I teraz jeszcze trudniej jest jej usprawiedliwić to, że nie wzywa gliniarzy. Mnóstwo gliniarzy w domu jeszcze bardziej skomplikuje nam przeniesienie dzieci.
– Och! – Gdy do Jane to dociera, czuje wyrzuty sumienia i jest wściekła na siebie, a potem na panią Vanders, bo to oczywiście prawda. – No tak. Ale to przecież nie znaczy, że zacznę przy kolacji opowiadać ludziom o Panzavecchiach.
– Wiem – mówi żałośnie Ivy. – Naprawdę mi przykro. – Wpatruje się w rozciągnięty brzeg niebieskiego swetra. – Próbowałam sobie wyobrazić, jak się musisz teraz czuć.
Jane wybucha krótkim śmiechem.
– To może daj mi znać, kiedy już do tego dojdiesz.
– Posłuchaj, Janie – mówi Ivy. – Siedzę w tej robocie od urodzenia. Nigdy nic innego nie znałam. Od kilku lat chcę się od tego uwolnić i wreszcie może mi się udać. To moja ostatnia misja.
– Naprawdę? – Jane wbrew sobie czuje zaniepokojenie. – To wolno wam przestać?
– Jeśli rozliczę się z centralą.
– To jest jakaś centrala?
– Espions Sans Frontières to międzynarodowa organizacja – odpowiada Ivy. – My jesteśmy tylko jednym z oddziałów. Centrala jest w Genewie. Pojadę tam na rozmowę przed zwolnieniem. A potem pomyślę o opuszczeniu tego domu. Zajmę się czymś innym, czymś, po czym nie będą mi się śniły koszmary. Ten dom przyprawia mnie o koszmary!
Teraz to Jane próbuje sobie wyobrazić, jak wyglądało życie Ivy.
– Wszyscy służący tutaj rodzą się do takiego życia?
– W sumie tak. Tak było ze mną i z Patrickiem, i z rodziną Vandersów. Trwa to od pokoleń. Moi rodzice zginęli, wykonując tę pracę.
– Co takiego? – pyta z lękiem Jane. – Myślałam, że to był jakiś wypadek w podróży.
– Bo, technicznie rzecz biorąc, chyba tak było – mówi Ivy. – To się stało cztery lata temu. Próbowali pomóc jakiemuś agentowi dotrzeć do... do jakiegoś bezpiecznego miejsca daleko stąd. Tak jak staramy się pomóc Panzavecchiom znaleźć jakieś bezpieczne miejsce. Próbowali wtedy upozorować śmierć tamtego agenta. I to się udało. Ale inne rzeczy poszły nie tak i ich zastrzelili.
– O mój Boże, Ivy. Tak mi przykro.
– Cóż, ty też nagle straciłaś rodziców, a potem osobę, która właściwie była dla ciebie matką. Wiesz, jak to jest.
Jane przez chwilę wpatruje się w swoje buty.
– Chodzi o to, że kiedy się dowiadujesz, że ktoś nie był tym, za kogo się podawał – mówi – zaczynasz się zastanawiać, czy w ogóle łączyła cię jakaś więź z tą osobą. Próbujesz ją sobie wyobrazić i zamiast tego pojawia się pustka. Jesteś pewna tylko tego, że ten ktoś cię okłamywał.
– Och, przecież znałaś swoją ciocię – mówi z przekonaniem Ivy. – Należała bardziej do ciebie

niż do kogokolwiek innego.

– Ale nawet nie wiem, co robiła – odpowiada Jane. – Dla mnie pracowała pod wodą, ze zwierzętami. Czekala, obserwowała i się nie narzucała.

– Wiem trochę o tym, czym się zajmowała. Niewiele. Ale trochę. – Ivy milknie na chwilę. – Chcesz, żebym ci powiedziała?

– Po co? Powinnam to była usłyszeć od niej, nie od kogoś innego. Jeśli dowiem się tego od ciebie, to będzie... – *Bolało*, myśli Jane. *Tylko jeszcze bardziej mi unaoczní, że moje życie jest kłamstwem.*

– Jestem pewna, że nie chciała cię zranić.

– Tylko jej nie broń – warczy Jane.

– A jeśli ci to pomoże wyjaśnić różne rzeczy? – pyta Ivy. – Miałabyś przynajmniej coś konkretnego, na co mogłabyś się wkurzać.

– Teraz mówisz jak terapeutka – odpowiada Jane, ale rozumie, co Ivy ma na myśli. I dodaje: – Dobra, niech będzie. Opowiedz mi.

– No cóż – mówi cicho Ivy. – Wiem, że naprawdę fotografowała podwodną przyrodę. Ale badała też raz wrak północnokoreańskiej łodzi podwodnej, i irańskiej, i ten rosyjski lotniskowiec, który zatonął kilka lat temu, pamiętasz? Czasem zakładała też podsłuchy na podwodnych kablach. Czasem przecinała takie kable tak, żeby to wyglądało na przypadek.

To niemożliwe. Jane znów się śmieje. Nie ma szans, żeby rozpoznała tę osobę, którą opisuje Ivy, osobę, która badała łodzie podwodne pełne pocisków jądrowych, tajnych informacji i napuchniętych zwłok utopionych marynarzy. *Ciocia Magnolia robiła zdjęcia pięknym zwierzętom. Próbowala ratować oceany.*

– Wystarczy.

– W porządku – mówi Ivy. – Spotkałam ją tylko parę razy. Świetnie się ubierała, była zrównoważona i działała uspokajająco na ludzi. Wydawała się... ekscentryczna, ale też praktyczna i konkretna. Trochę tak, jak ty.

Słowa Ivy sprawiają, że Jane nagle ma ochotę spojrzeć w lustro. Chce odnaleźć w swojej twarzy rysy przypominające ciocię Magnolię.

– Czy ta wyprawa na Antarktydę była w rzeczywistości misją szpiegowską?

– Z tego, co wiemy, Magnolia naprawdę pojechała na Antarktydę, by fotografować pingwiny i wieloryby.

To lepiej czy gorzej, że zginęła jako fotograf przyrody, a nie jako szpieg?, zastanawia się Jane.

– Wiesz, że nie powinnaś ufać nikomu w tym domu, prawda? – pyta Ivy. – A zwłaszcza nie zadawaj się z tym facetem, który udaje, że jest sprzątaczem. Z tym, który twierdzi, że nazywa się Ji-hoon. Może być niebezpieczny.

– On naprawdę jest sprzątaczem – mówi Jane. – To znaczy, sprząta różne rzeczy, bez względu na to, czym jeszcze się zajmuje.

Ivy uśmiecha się lekko.

– I tak bym mu nie ufała. Nawet jeśli chodzi o sprzątanie.

– A w ogóle czemu jest taki niebezpieczny? – pyta Jane. – Kim jest?

– Pani Vanders by mnie udusiła, gdybym ci powiedziała.

– Ma broń albo coś w tym stylu?

– Och, na pewno ma broń – mówi Ivy. – Chce się dostać do Grace. Ona ma coś, na czym mu zależy.

– Do Grace?! – powtarza Jane, myśląc o skulonej, zapłakanej dziewczynce. Malutkiej

i rozłóżczonych. – Co takiego może mieć Grace, na czym zależy uzbrojonym ludziom?

Ivy się waha.

– Chodzi o coś, co ma w głowie. Ma informacje.

Jane coś sobie przypomina.

– Grace ma niesamowitą pamięć – mówi. – Używa przyrządów mnemotechnicznych. Jej ojciec jest z tego bardzo dumny.

– Tak. – Ivy otwiera usta, by powiedzieć coś jeszcze, ale tylko wzdycha z frustracją. Z jej luźnego koka wysunęły się pasemka włosów, ramiona są przygarbione i napięte. – Chciałabym móc ci powiedzieć o wszystkim. Przepraszam, Janie. Po prostu nie mogę.

Jane ma ochotę wyciągnąć rękę i odgarnąć kosmyk włosów z oczu Ivy. Chce dotknąć jej ramienia, chce zrozumieć.

Nie dotyka Ivy, ale ta nieśmiało podchwytuje jej spojrzenie.

– Muszę już iść – mówi Ivy. – Za chwilę zostawię kolację pod twoimi drzwiami. Jeśli chcesz, powiem Kiran, że nie czujesz się za dobrze.

– W porządku.

Po odejściu Ivy Jane wraca do saloniku.

Tu Reviens jest pełne dźwięków. Szum wody, syk pary, pojękiwania. Jasper apatycznie wchodzi do pokoju i opiera się o nogi Jane.

– Ten dom wydaje mnóstwo dziwnych dźwięków – mówi Jane do psa. – Nie uważasz?

Nagle rozlega się czyjś płacz, tak odległy i cichy, i do tego stopnia zmieszany z dziwnym, metalicznym pogłosem grzejnika, że Jane normalnie założyłaby, że to tylko wiatr albo szum wody gdzieś w rurach, gdyby nie wiedziała, że gdzieś w domu jest dwuletni Christopher Panzavecchia.

Podchodzi do okna i zerka w dół na Ji-hoona. Ten powoli myje szyby, jakby robił domowi masaż, by pomóc mu zasnąć.

Jane próbuje oddychać głęboko, tak jak porusza się meduza, ale nie jest w stanie. Nawet meduza wydaje się kłamstwem.

Dom budzi ją ze snu o... No właśnie, o czym? O mężczyźnie, który ukradł malutkiego Leo Panzavecchię. I to jest jeszcze straszniejsze, niż mówili w wiadomościach, bo mężczyzna jest zarażony ospą i malutki Leo teraz już też. Zarazi chorobą Grace i Christophera, członków Espions Sans Frontières, sycylijską mafię i ryby, bo malutki Leo śpi z rybami.

Gdy Jane zostawia sen za sobą, ten zmienia się, jak to zwykle sny. Szarpie się, wszystko ją swędzi, woła ciocię Magnolię, bo ta ratuje podwodne dzieci, które też coś swędzi. To część jej pracy jako szpiega. A potem Jane się budzi z drapiącą wełnianą czapką cioci Magnolii wtuloną w spocony kark.

Jest w swoim łóżku w Tu Reviens. W jej nogach drzemie ciepły basset. Zegar przy łóżku wskazuje 05:08. Jane oddycha, usiłuje zapanować nad ogarniającą ją paniką i przypomina sobie, że w tygodniach poprzedzających tę ostatnią wyprawę na Antarktydę ciocia Magnolia była bardzo rozkojarzona. Pewnego dnia nie wyłączyła palnika po podgrzaniu zupy, co było do niej bardzo niepodobne. Kilka razy Jane przyłapała ją wpatrzoną w książkę, której z całą pewnością nie czytała, bo ani razu nie przewróciła strony. A potem przyszła ta noc, gdy Jane się obudziła i stwierdziła, że ciocia Magnolia nie śpi. To wtedy kazała jej obiecać, że jeśli kiedyś dostanie zaproszenie tutaj, przyjmie je.

W dniu wyjazdu cioci Magnolii Jane weszła do swojej sypialni i znalazła tę czapkę leżącą na

łóżku. Ciocia zawsze zabierała ją tam, gdzie było zimno. Tym razem jednak ją zostawiła, w takim miejscu, by Jane ją znalazła. Dlaczego?

Czemu sny sprawiają, że budzimy się z pytaniami, które nie mają nic wspólnego z samym snem?

Jasper przeczołguje się pod kołdrą i układa się tak, by mieć głowę opartą o jej łokieć. Jane wsłuchuje się w jego miarowy oddech i zastanawia się, czy oddechy Jaspera nie są nawet lepsze niż oddychanie „na meduzę”.

Wstaje zielonkawożółty świt. Jane nie udało się ponownie zasnąć. W końcu ostrożnie wymyka się z łóżka, żeby nie obudzić Jaspera. Idzie do saloniku i wygląda przez okno.

Od strony lasu zbliża się do domu jakaś postać: to Colin Mack ubrany w czerń. Wygląda, jakby się śpieszył, bo kilka razy zerka przez ramię. To trochę dziwne; wydaje mu się, że jest ścigany? Co tam robi? Chyba nie wszyscy w tym domu to szpiedzy? Jane obserwuje Colina, gdy ten wchodzi do domu drzwiami prowadzącymi na basen.

Gdy się odwraca i spogląda na pokój, rozkleja się na widok zniszczonej parasolki na podłodze. Jej połamane części leżą pod takim kątem, że widać fioletową tkaninę z maleńkim prześwitem srebrno-złotego wnętrza. Budzi to refleks w jej umyśle, tak jak jasne światło wytwarza wspomnienie blasku, które utrzymuje się pod powiekami, a potem blaknie. Jak ulotny duch cioci Magnolii.

– Ciociu Magnolio? – mówi na głos Jane.

Zawsze szybko reagowała na wołanie Jane, odkładając na bok własne zmartwienia, ilekroć Jane wypowiadała jej imię. Tamte chwile były prawdziwe.

Jane powoli opuszcza się na podłogę i siada z głową opartą o szybę. Ta parasolka to sztuczka, nic poza tym.

Gdy nadchodzi odpowiednia pora, Jane najwyraźniej wolno zejść na śniadanie, bo nikt nie próbuje jej powstrzymać. Droga do sali bankietowej biegnie przez salę balową. Tam Jane trzyma się blisko ściany i próbuje nie przeszkadzać kobietom myjącym podłogę.

Nikt nie przyszedł na śniadanie i wygląda też na to, że nikt nie podaje jedzenia. Na końcu stołu, obok owoców, płatków śniadaniowych, mleka, cukru i garnuszka wystygłej owsianki stoi dzbanek z kawą. Jane robi sobie płatki z mlekiem i szybko je zjada. Potem wraca do głównego holu, w którym aż roi się od ludzi. Nie jest pewna, co teraz począć, ale widzi Jaspera na moście na pierwszym piętrze. Pies siedzi z zadowoloną miną, z nosem wsuniętym między tralki balustrady. Jane dochodzi do wniosku, że może Jasper ma całkiem dobry pomysł. Idzie do niego na górę.

– Pewnie widziałeś już wiele poranków przed galą, prawda, Jasper?

Harmider w dole zaczyna nabierać więcej sensu. Ludzie dzielą się na osobne grupy: sprzątacze, catering i muzycy. Patrick i Ivy od czasu do czasu śmigają przez hol, wchodzą i schodzą po schodach, bez wątpienia zajęci szpiegowską robotą. Czy w ogóle kiedyś zajmują się domem? Kto to może wiedzieć? Sama pani Vanders nigdzie nie przemyka. Tkwi jak skała pośrodku głównego holu, a strumienie ludzi z wdziękiem ją omijają. Prawie się nie odzywa, jakby wszystko kontrolowała samym spojrzeniem.

Kiran zbliża się mostem i przystaje po drugiej stronie Jaspera. Ziewa. Kolejna osoba, która nie ma pojęcia, co się dzieje w jej własnym domu. *Nie zmuszaj mnie, żebym cię okłamała*, myśli Jane.

– Dzień dobry – mówi Kiran, uśmiechając się lekko. Ma włosy ściągnięte w kucyk i chyba nie nałożyła jeszcze żadnego makijażu. – Obserwujesz z lotu ptaka?

– Z góry to ma więcej sensu – odpowiada Jane.

– Czujesz się lepiej?

– Tak, dziś jest mi o wiele lepiej.

Kiran opiera łokcie na balustradzie.

– Kiedy byliśmy mali, to były nasze ulubione dni w roku. Uwielbialiśmy stać tutaj z Patrickiem i obserwować tych wszystkich ludzi. Ivy była wtedy malutka; trzymała mnie za rękę i gapiała się oczami wielkimi jak spodki. A Ravi uwielbiał przeszkadzać, komu tylko się dało.

– Jak to? Co robił?

– Najczęściej wszystkich spowalniał, upierając się, że sam będzie nosił różne rzeczy, i miał naprawdę kiepskie pomysły, gdzie co zanieść. Kiran przerzuca kucyk przez ramię i lekko się uśmiecha. – Jestem przekonana, że uważał, że w ten sposób pomaga.

– I wolno mu to było robić?

Kiran wzrusza ramionami.

– Nie, jeśli przyłapał go pan Vanders, pani Vanders albo Octavian, ale oni zawsze wtedy biegali jak wariaci. Ravi wiedział, jak nie wchodzić im w drogę. Był uroczym małym despotą. Patrzeć, jak ludzie na niego reagowali, było bardzo... pouczające.

– Pouczające?

– Można się było dużo dowiedzieć o różnicach klasowych – mówi Kiran. – Pewnie też o płci, a na pewno o wieku i rasie. Co robi biała kobieta z kwartetu smyczkowego, gdy bogaty chłopczyk, pół-Bengalczyk, którego tatuś jest właścicielem tego domu, mówi im, żeby ustawił scenę w jakimś naprawdę głupim miejscu, na przykład pośrodku schodów?

– Nie wiem – mówi Jane. – A co?

– Zwykle robili jedną z trzech rzeczy – odpowiada Kiran. – Ignorowali, zwlekali, dopóki nie zjawi się Octavian albo któregoś z Vandersów i go nie uspokoi, albo robili to, co im kazał, i posyłali mu nienawistne spojrzenia. W tamtym konkretnym przypadku zignorowali go, a kiedy zaczął wyć, dalej nie zwracali na niego uwagi. W końcu zjawił się Octavian, wziął go na rękę i zabrał, a Ravi kopał i wrzeszczał, że chce do mamy. Która oczywiście się nie zjawiała, bo pracowała.

– Co potem zrobił Octavian? – pyta Jane. – Dał mu klapsa?

– Pewnie poszedł grać z nim w kręgle – odpowiada Kiran – i przeprowadził z nim męską rozmowę o szanowaniu ludzi.

Jane przypuszcza, że ciocia Magnolia zrobiłaby podobnie, gdyby miały prywatną kręgielnię.

– To całkiem miłe z jego strony.

– Ravi i ja przeprowadziliśmy wiele ważnych rozmów, grając w kręgle – mówi Kiran z rozbawieniem, ale też z jakąś tęsknotą. Jane przyłapuje się na tym, że jej się przygląda. Kiran mruga, światło jest dla niej zbyt jasne. Jane się zastanawia, ile spała ubiegłej nocy. Czy dzieliła łóżko z Colinem? Czy Patrick kiedyś spał z Kiran, a gdy musiał nagle wstać, czy okłamywał ją, by zająć się jakimś nagłym szpiegowskim zadaniem?

– Octavian dawał takie wykłady Ivy i Patrickowi?

– O nie. Dostawali je od rodziców i od Vandersów.

– Rozumiem – mówi Jane. *Załóżę się, że tak było.* – Czy Patrick ci opowiadał o takich wykładach, których musiał wysłuchiwać?

– Kiedyś tak. Potem przestał.

– Przestał?

W tym momencie do głównego holu wpada Ravi z mokrymi włosami. Ma urażoną minę. Zatrzymuje się przed panią Vanders i mówi głosem tak donośnym, że słyhać go nawet na górze.

– Zaprosiłem na galę policję stanu Nowy Jork, FBI i Interpol – oświadczają. – Pozwoliłem im swobodnie poruszać się po domu.

Jane ścisną się żołądek. To jej wina.

– Co zrobiłeś? – krzyczy pani Vanders.

– Zaprosiłem na galę policję stanu Nowy Jork, FBI i...

– Na galę? Masz kompletnie nie po kolei w głowie?

– A czemu nie? – pyta Ravi. – To mój Brâncuși i mój Vermeer! To mój dom! Moja impreza!

– To Brâncuși twojego ojca i Vermeer twojego ojca – odpowiada mu pani Vanders. – Dom twojego ojca i impreza twojego ojca!

– Mój ojciec jest jak duch – mówi Ravi. – Nie przejąłby się, gdybyśmy zbudowali na dziedzińcu ognisko z jego dzieł sztuki. A skoro on się przestał przejmować, ja muszę się przejmować za dwóch.

– Powiadomiłam policję – mów pani Vanders. – Prowadzą już śledztwo. Dyskretnie.

– Gdzie? Dłaczego ich nie widziałem?

Na most wszedł Patrick i stoi teraz obok Kiran. Opiera od niechcienia ręce o poręcz, tak jak ona. Kiran na niego nie patrzy, zachowuje się, jakby go nie widziała. Ale Jane wyczuwa w niej napięcie, którego przed chwilą nie było. Ich ramiona się stykają.

Jane sztywnieje, gdy po drugiej stronie zjawia się Ivy i staje obok niej.

– Jaka to będzie dla wszystkich wspaniała impreza – mówi cierpko pani Vanders – kiedy FBI i Interpol będą zadawać gościom nieuprzejme pytania.

– Czemu ktokolwiek prócz złodzieja miałby się tym przejmować? – rzuca Ravi. – Naprawdę, Vanny, można odnieść wrażenie, że ci nie zależy.

– Niech cię szlag, Ravi – odpowiada pani Vanders. – Wiesz, że mi zależy. To moja praca. Szkoda tylko, że nie pomyślałeś o tym, by mnie spytać, czy ściągnięcie policji na galę nie będzie zbyt wielkim obciążeniem dla wszystkich tych ludzi, których twoja rodzina wynajęła, żeby goście się dobrze bawili. Wiesz, to też należy do naszych zadań. Utrudniłeś życie mnie, panu Vandersowi, Patrickowi, Ivy, Kucharzowi, całemu personelowi, bo widzisz tylko jedno i stajesz się przez to bezmyślny.

W tym momencie pani Vanders podnosi wzrok ku Jane i przyszpila ją takim samym oskarżycielskim spojrzeniem. Jane robi się gorąco. Grace Panzavecchię znajdzie ktoś, kto nie powinien jej znaleźć, i to wszystko przez nią.

– Hej – mruczy do niej Ivy – nie przejmuj się. Nie zrobiłaś niczego, czego ja bym nie zrobiła na twoim miejscu.

– Nie szukałam pociechy – odpowiada Jane, nagle czując urazę do Ivy, która nie ma prawa czytać jej w myślach.

– To nasza praca – mówi Ivy. – Poradzimy sobie z tym.

– Tak zróbcie.

Kiran, stojąca po drugiej stronie Jane, milczała do tej pory. Jane nie ma pojęcia, czy podsłuchiwała tę rozmowę, a jeśli tak, to ile z niej zrozumiała.

– Dzień dobry Ivy-Fasolko – odzywa się Kiran nad ramieniem Jane, ignorując Patricka.

– Cześć Kir – odpowiada Ivy. Jej oczy za okularami są zapuchnięte z niewyspania.

– Masz ochotę pograć w kręgle? – pyta Kiran.

Jane dopiero po chwili sobie uświadamia, że to pytanie jest skierowane do niej, nie do Ivy.

– Ja? – pyta. – Dobra, pewnie.

Kiran bierze Jane za rękę i odciąga, starannie omijając Patricka.

– No to chodź – mówi. – Kręgielnia będzie jedynym cichym pomieszczeniem w tym domu.

Nie ma oczywiście nic cichego w rzucaniu ciężkimi kulami na podłogę z klonowego drewna. Jednak początkowy łomot, głęboki pomruk toczącej się kuli i wysoka, jakby plastikowa eksplozja kręgli są jak znaki przestankowe w niemal nieprzerwanym milczeniu.

Kiran podchodzi do linii, z hałasem rzuca kulę i odwraca się z ponurą miną. Do Jane dociera, że Kiran przez cały czas była zła. Była zła, gdy weszła do księgarni na kampusie w jej mieście. *Wyobraź sobie tylko, jaka by była zła, gdyby знаła prawdę*, myśli Jane. *Wtedy dopiero zbiłaby wszystkie kręgle.*

Jane wsuwa palce w otwory w kuli.

– Niedługo gala – mówi z nadzieją, że to może skłoni Kiran do mówienia.

– Może to przerwie tę nudę – odpowiada Kiran.

– Zawsze przyjeżdżasz do domu na galę?

– Dość często. Zazwyczaj z czterech gal w roku bywam na trzech. To taka rodzinna tradycja. Octavian specjalnie dzwoni do mnie z zaproszeniem, a przynajmniej kiedyś tak robił.

– Przestał?

– Wątpię, żeby w ogóle uniósł telefon do ucha, odkąd odeszła moja macocha. Jest przygnębiony.

Jane podchodzi do linii rzutu i z satysfakcjonującym łoskotem puszcza kulę. Leniwie obserwuje ją, gdy ta zbliża się do kręgli i przewraca sześć z nich.

– Mówiłaś mi, że tym razem to Patrick cię zaprosił.

– Zgadza się – potwierdza Kiran. – Niejasno dawał mi do zrozumienia, że chce mi się z czegoś zwierzyć.

– I wciąż nic ci nie powiedział?

– Nic.

Kula Jane wskakuje na szynę i toczy się do niej z powrotem.

– Jak myślisz, co chciał ci wyznać?

– A kto to wie? To dla niego typowe, powiedziałabym, że to jego specjalność. Oczekuje od ludzi, którzy go kochają, że będą jasnowidzami. Wyobrażasz sobie, jak to jest kochać kogoś takiego? Kogoś, kto nie zamierza ci pomóc go zrozumieć?

– Ja... Tak – mówi Jane.

– Problem polega na tym – ciągnie Kiran – że widziałam innego Patricka. Widziałam dwóch czy trzech innych Patricków, którzy są zupełnie inni niż ten mój.

Kolejna kula Jane kompletnie nie trafia w pozostałe kręgle.

– No cóż... tak... ludzie bywają bardzo skomplikowani.

– Mój Patrick jest skryty – mówi Kiran. – Chociaż to nie ma żadnego sensu. – Potem ciska kulą po torze, niemal nie czekając, aż automat ustawi na nowo kręgle. Gdy kula posyła je na wszystkie strony, dodaje: – Nie wszyscy są tacy skryci, jak ten.

– Nie wszyscy mężczyźni? – pyta Jane, która trochę się w tym pogubiła.

– Nie wszyscy Patrickowie – odpowiada Kiran. – Widziałam innego Patricka, który ożenił się z inną Kiran. Są razem szczęśliwi. Tamten Patrick wcale nie jest skryty. Pytałam ją o to.

– Mam mętlik w głowie – mówi Jane. – Chodzi ci o wersje ciebie i Patricka, które sobie wyobraziłaś?

Kiran wzdycha zniecierpliwiona.

– Tak – mówi. – Coś w tym stylu.

– Ale prawdziwy Patrick jest skryty.

– Nawet byś nie uwierzyła, jak bardzo. To absurdalne, na jakie pytania nie odpowiada. „Co robiłeś wczoraj wieczorem, Patrick?”; „Dlaczego biegasz po domu i świecisz latarką do wszystkich tych szafek, Patrick?”; „Gdzie byłeś, kiedy zniknąłeś na trzy dni, Patrick?”. To znaczy, szanuję jego prywatność, ale pytania, które mu zadaję, wcale nie są wścibskie. Dorastaliśmy razem. Jestem jego przyjaciółką. Nawet nie muszę tego wiedzieć! Wierzę, że bez względu na to, jakie głupoty wyrabia, ma ku temu dobre powody. Ale mi nie ufa i jest mi z tym ciężko.

Jane uświadamia sobie, że to właśnie najbardziej ją boli w postępowaniu cioci Magnolii. Nie chodzi tylko o to, że ją okłamywała i ukrywała, kim naprawdę była. Chodzi przede wszystkim o to, że nigdy nie ufała Jane na tyle, by jej o tym powiedzieć.

Kiran byłaby niezłym szpiegiem, myśli potem Jane.

Gala trwa w najlepsze. Jane stoi na moście na pierwszym piętrze i spogląda w dół na wszystkich tych eleganckich ludzi. Kiran i Jasper znów są przy niej, tyle tylko że teraz Kiran ma na sobie szkarłatną suknię bez ramiączek, która kosztowała pewnie z milion dolarów. Na cieniutkim złotym łańcuszku na jej szyi wisi brylant; jej kolczyki aż ociekają brylantami. Jane jeszcze nigdy nie widziała tylu brylantów.

Jane jest ubrana w sukienkę z szarego kaszmiru z długimi rękawami, która nie przypomina niczego, co dotąd miała na sobie. Pożyczyła ją od Kiran. Zamierzała włożyć złoty top i fioletowe dzinsy, by wyglądać jak gramma loreto, ryba zamieszkująca rafy koralowe w tropikalnych strefach Atlantyku, i do tego nosić ze sobą parasolkę w stylu płaszcz cioci Magnolii. Zamierzała całkowicie odsłonić tatuaż na ręce, by ludzie o niego pytali. Ale skoro ciocia Magnolia udawała kogoś innego, to trudno, niech będzie. Jane też to potrafi.

Na nogach wciąż ma jednak ciężkie czarne buty. Nosi je zwykle, kiedy jest wściekła.

Scena poniżej wygląda jak z filmu. Na sali roi się od kobiet w powłóczystych sukniach w każdym możliwym kolorze i mężczyzn ubranych w czerń. Trzymają w rękach napoje w kryształowych kieliszkach, uśmiechają się do siebie, od czasu do czasu się przesuwiają, by wpuścić do swojej grupki kogoś nowego albo kogoś wypuścić. Na dole jest Lucy St. George, ubrana w subtelną, czekoladową suknię. Rozmawia z Phoebe Okadą, która prezentuje się naprawdę olśniewająco w turkusowych barwach. Zabawne, że Lucy czasem działa pod przykrywką jako prywatna detektyw, ale nie ma pojęcia o Espions Sans Frontières.

Obok nich stoi Ravi, który zawsze dobrze wygląda w czerni. Trzyma rękę na ramieniu Colina w geście wyrażającym jakąś czułą zaborczość i śmiejąc się, rozmawia z mężczyzną i kobietą, których Jane nie zna. Wśród tych gości jest dwóch funkcjonariuszy z policji stanowej, dwóch agentów specjalnych z FBI i jeden funkcjonariusz Interpolu. Są formalnie ubrani, jak wszyscy pozostali, tyle tylko, że według Kiran, która natychmiast ich wypatrzyła, wcale nie są ubrani jak pozostali.

– Tak jak ja? – pyta Jane.

Kiran upija łyk Pimm's i spogląda na Jane z miną, która ją niepokoi, bo wyraża tyle czułości.

– Wyglądasz tak jak my, kochanie, z wyjątkiem tych butów – mówi. – Dziwnie jest widzieć

ciebie tak ubraną. Ci gliniarze usiłują się dopasować, ale noszą tanie buty, a ich ubraniom brak pewnej elegancji, którą mają stroje szyte na miarę.

Kiran pokazuje jej funkcjonariuszy policji stanowej, agentów specjalnych z FBI i mężczyznę z Interpolu. Ludzie, z którymi rozmawia Ravi, to właśnie ci z FBI.

Jakaś kobieta, której Jane nie zna, wchodzi frontowymi drzwiami z Ivy, która – teraz Jane to pojmuje – musiała być powodem wymyślenia czarnych sukni. Jej włosy są oplecione wokół głowy, tworząc skomplikowaną fryzurę z warkoczyków, której zrobienie musiało trwać wieki, jej okulary stanowią zaś idealny dodatek. Kobieta idąca obok niej ma około pięćdziesiątki, jest drobna i zwyczajna, w prostej szarej sukni. Trzyma w ręce ociekającą deszczem czarną parasolkę. Ivy prowadzi ją krętą drogą przez tłum gości, delikatnie trzymając dłoń na jej ręce i kierując ją to w lewo, to w prawo.

Jane wyobraża sobie siebie na miejscu tej kobiety.

– Ciekawe, kto to jest z Ivy? – zauważa Kiran. – Na podstawie jej ubrania nic nie potrafię powiedzieć. Ale to ciekawe, jak Ivy ochrania ją przed gliniarzami, nie uważasz?

– Co takiego? – pyta wystraszona Jane, nie tyle dlatego, że to pewnie prawda, ile raczej dlatego, że nie chciałaby, by Kiran dostrzegła, jak Ivy ochrania przed gliniarzami ludzi w typie szpiegów.

– Niesamowicie dobrze jej to idzie – dodaje Kiran.

– Co? – pyta znów Jane. – Wcale tego nie robi!

– Przyjrzyj jej się tylko.

A więc Jane obserwuje, jak Ivy ze swoją podopieczną przechodzą w pobliżu Colina, Ravięgo i agentów specjalnych. Ivy ustawia się między nimi a swoją towarzyszką, wyciąga rękę do Colina i delikatnie go przesuwa, a tym samym również Ravięgo, by lepiej zasłonić przed agentami kobietę, którą prowadzi. Colin rozgląda się z roztargnieniem, trochę poirytowany, ale najwyraźniej nie potrafi się połapać, co się stało i kto go dotknął. Ivy i kobieta są już poza jego polem widzenia.

Następnie Ivy i ta kobieta przechodzą drzwiami prowadzącymi na salę balową. Chwilę później tymi samymi drzwiami przechodzi funkcjonariusz Interpolu. Jeszcze zanim Jane udaje się połapać, co właściwie robi, rusza mostem, ogarnięta niepokojem o Ivy.

Kiran rusza z nią.

– Wybierasz się dokądś? – pyta podejrzliwie, z zaciekawieniem.

– Chcę się tylko przejść – mówi Jane i zaczyna schodzić po schodach.

– Pójdę z tobą. – Kiran właściwie wyraża to, co oczywiste, bo jest niemal przyklejona do Jane.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Nie ma? – pyta groźnie Kiran, po czym z impetem odstawia likier na tacę wystraszonego kelnera, który próbuje podać jej malutki mięsny pasztecik. – Przepiękna impreza – zwraca się do niego z błogim uśmiechem, nawet nie zwalniając i pędząc za Jane. Za nimi pies niezdarne zeskakuje ze stopnia na stopień, próbując dotrzymać im kroku.

Z sali balowej Jane i Kiran przechodzą do sali bankietowej, gdzie goście gromadzą się wokół gór jedzenia, których Jane prawie nie dostrzega, bo wypatruje łysiejącej głowy funkcjonariusza Interpolu. Kiran łapie Jane za nadgarstek i ciągnie ją do kuchni. Tam jest ten mężczyzna, szybkim krokiem mija kuchenki i długi drewniany stół. Chmary ludzi z cateringu szykują specjalny angielskiej kuchni, nie widać nikogo ze stałego personelu.

– Kiran? – pyta Jane. – Co my robimy?

Funkcjonariusz znika w najgłębszych zakamarkach kuchni, tam gdzie znajdują się winda do

transportu dań, drzwi na tylne schody i spiżarnia. Kiran podąża za nim, obchodząc lodówkę i zamrażarkę. Wciąż trzyma Jane za nadgarstek, nie odzywa się, jej obcasy stukają o kafelki podłogi. Jane czuje się, jakby siedziała w łodzi wielorybników ciągniętej przez wieloryba, w którego wbito harpun.

Gdy doganiają funkcjonariusza, ten akurat otwiera drzwiczki windy kuchennej i wsuwa głowę do środka.

– To może być niebezpieczne – mówi do niego wesoło Kiran, puszczając Jane. – Nie chcemy odpowiadać za jakikolwiek uszczerbek na zdrowiu funkcjonariusza Interpolu. Co by się stało, gdyby ktoś na dole przywołał windę, kiedy miał pan w środku głowę?

– Raczej na górze – odpowiada funkcjonariusz, wysuwając głowę. Zamyka drzwiczki i przygląda się podejrzliwie Kiran i Jane. – Widać mechanizm na dole. Co tam jest? Słyszałem głos jakiegoś mężczyzny, który mówił chyba w języku bengali.

– Tak, też to słyszałam – odpowiada Kiran. – To jeden ze służących, Patrick. Dziś jest sobota. Soboty to dla Patricka bengalskie dni.

– Bengalskie dni? – powtarza z powątpiewaniem funkcjonariusz. Jest bladym mężczyzną z zaciśniętymi ustami, sądząc po wymowie – Francuzem i mówi po angielsku w taki sposób, jakby chciał przez to wyrazić, jak bardzo nienawidzi tego języka.

– Dzięki temu łatwiej mu się uczyć – mówi Kiran. – Patrick ma zdolności do języków. W środy mówi tylko po niemiecku. Chciałby go pan poznać? – pyta pogodnie i kładzie dłoń na klamce drzwi na tyłach. – Wybieramy się na dół, by pomóc mu wnieść angielskie wino musujące.

– Angielskie wino – mówi mężczyzna, jakby go to obrażało.

– W winniczce jest ukryta kłapa prowadząca do najprawdziwszych lochów – dodaje Kiran. – Jako Francuz może pan to uznać za interesujące.

– Jestem Belgiem – odpowiada sztywno mężczyzna. – I trudno mi wyobrazić sobie coś głupszego, niż amerykańskie lochy w budynku, który ma zaledwie sto lat. Ten dom jest jak tematyczny park rozrywki.

– A więc nie chce pan zobaczyć lochów? – pyta Kiran. – Naprawdę przyprawiają o ciarki.

Mężczyzna z urażoną miną jeszcze raz zerka na buty Jane, po czym wzdycha ciężko i wychodzi z kuchni.

– Krzyżyk na drogę – mruczy Kiran, gdy już go nie ma.

– Kiran? Dlaczego przepędziłaś tego faceta z Interpolu?

– Te drzwi są zamknięte na klucz – stwierdza Kiran, naciskając klamkę. – Niby dlaczego?

– Patrick naprawdę mówi po bengalsku i po niemiecku?

– Zna trochę łózkowego bengali – odpowiada Kiran z roztargnieniem. Winda do transportu dań szumi i trzeszczy.

Kiran szarpie jej drzwiczki i otwiera ją.

W środku siedzi po turecku mężczyzna o brązowej skórze i gęstych czarnych włosach. Jest ubrany w elegancki czarny garnitur i gapi się ze zdumieniem na Jane i Kiran, sunąc w górę w kabinie windy.

Kiran mówi do niego spokojnie kilka słów w języku, którego Jane nie rozumie. Winda dalej pnie się w górę i mężczyzna znika.

– Znasz go? – piszczy Jane.

– Nigdy w życiu go nie widziałam – odpowiada Kiran, zamykając drzwiczki. – Ale to tego faceta musiał słyszeć funkcjonariusz Interpolu, jak rozmawiał w winniczce w języku bengali.

A ponieważ jest wścibskim belgijskim ignorantem, nie potrafi odróżnić bengalskiego od arabskiego, choć są do siebie zupełnie niepodobne.

– Mówisz po arabsku?

– To był jeden z moich przedmiotów kierunkowych.

– Co do niego powiedziałaś?

– Nie bój się – mówi Kiran – twoja przykrywka nie jest spalona.

Jane zaczyna wpadać w lekką histerię.

– Co to miało znaczyć? Kiran, czemu powiedziałaś mu coś takiego, jeśli go nawet nie znasz?

Kiran wzrusza ramionami.

– Wydawało mi się, że tak będzie najbezpieczniej. Sama się zastanów. Jeśli to jakiś czarny charakter, nie chcemy, żeby myślał, że jesteśmy przeciwko niemu, prawda? A jeśli jest w porządku, to oczywiście nie chcemy spalić jego przykrywki.

– Kiran – mówi Jane, akcentując każdą sylabę – jaja sobie ze mnie robisz?

– Posłuchaj. Nie mam zielonego pojęcia, co się dziś dzieje w tym domu, ale myślę, że wiesz o tym więcej, niż udajesz, a nie lubię, kiedy się mnie okłamuje.

Winda znów wydaje z siebie odgłosy i zanim Jane ma czas coś wymyślić, by powstrzymać Kiran, ta otwiera drzwiczki. W kabinie, tym razem jadącej w dół, siedzi Patrick, który obejmuje ramieniem jakiegoś brzdąca o ciemnych kręconych włosach, poważnych oczach i cerze południowca. To młodszy brat Grace, Christopher Panzavecchia. Jane widziała go w wiadomościach, więc go rozpoznaje.

– Cześć! – woła wesoło Christopher.

Patrick tymczasem rozdziawił usta i gapi się przerażony na Kiran. W drugiej ręce trzyma broń.

– Cześć – mówi Jane do Christophera, bo zachwycony chłopczyk wydaje się na to czekać.

– Kocham cię – mówi Patrick do Kiran, i brzmi to niemal jak pytanie. Kabina powoli znika im z oczu.

– Idź do diabła, Patrick – wyrzuca z siebie Kiran, niemal wypluwając te słowa.

Gdy Patricka już nie widać, Kiran zatrząskuje drzwiczki. Wciąż trzyma rękę na klamce i widać, że wszystko się w niej gotuje. Pojękiwanie mechanizmu cichnie i w końcu milknie.

– Szlag by go trafił – mówi Kiran. – Do diabła z nim. On mnie niby kocha? Siedzi w mojej kuchennej windzie z bronią i dzieciakiem Panzavecchiów, którego szuka sycylijska mafia i policja stanowa! Do diabła z tobą, Patrick!

– O Boże – mruczy Jane, bo to wszystko jej wina. To ona pobiegła za tym facetem z Interpolu i Kiran nabrała podejrzeń. To przez nią zobaczyła to, co zobaczyła. – O Boże.

– Och, weź się w garść. – Kiran klepie Jane po ramieniu.

– Mam się wziąć w garść?! – woła z niedowierzaniem Jane.

– W sumie, to nawet zabawne – oświadcza Kiran. – Nie uważasz? Prosił, żebym przyjechała do domu. Chciał mi się z czegoś zwierzyć! Cha, cha! – Kiran gwałtownie wciąga powietrze, przyciska ręce do brzucha i zaczyna ryczeć ze śmiechu. Ociera łzy małym palcem, żeby nie rozmazać sobie tuszu do rzęs. – O rany! – czka. – Przynajmniej teraz już wiemy, że ten Arab to porządny gość.

– Tak? A skąd?

– No cóż, Patrick jest porządnym gościem – mówi Kiran. – Z tego wynika, że wszyscy, którzy jeżdżą tą kuchenną windą, też są porządni.

– Tak? – pyta kompletnie zagubiona Jane.

– To znaczy, jestem wściekła. – Kiran prostuje się jak struna i z jej twarzy znika całe

rozbawienie. Winda znów zaczyna szumieć i trzeszczeć. – Nie chcę go już nigdy w życiu widzieć. Powiedziałam Patrickowi tyle rzeczy, ufałam mu. I miałam rację; zawsze wiedziałam, że coś z nim jest nie tak. Ale na pewno ma dobre powody, by siedzieć w tej windzie z tym dzieckiem i z bronią.

– Myślę, że ma – mówi Jane słabym głosem.

Winda cichnie. Kiran z impetem otwiera drzwi. W kabinie leży karteczka. „KIRAN, WSIĄDŹ”.

– To pismo pani Vanders – ocenia Kiran i wsiada do kabiny. – Czuję się jak Alicja w Krainie Czarów. Jak myślisz, dokąd pojedę?

– Nie wiem – mówi Jane. – Na strych w zachodnim skrzydle? Do skrzydła dla służby? Do lochów?

– Nie ma żadnych lochów – odpowiada Kiran. – Wymyśliłam to sobie, żeby pozbyć się tego nadętego faceta z Interpolu.

– Jesteś w tym naprawdę świetna – mówi bez zastanowienia Jane.

– Naprawdę? – Kiran spokojnie siedzi w kuchennej windzie, ubrana w szkarłatną suknię, z brylantami połyskującymi w uszach i na szyi. Obejmuje kolana rękoma. – Chyba po raz pierwszy dobrze się bawię, odkąd moja noga znów powstała na tej przeklętej wyspie.

Gdzieś w szybie windy ktoś dwukrotnie uderza o metal kluczem francuskim, a może bronią. Kiran sprawdza, czy żadna część jej ciała nie wystaje poza kabinę, po czym dwa razy puka w ścianę, jakby wiedziała, co zrobić w takiej sytuacji. Winda rusza w górę.

– Spotkajmy się na górze – mówi Kiran. – Jeśli chcesz. Chyba że masz jakąś tajną misję do wykonania. – A potem znika.

Jane zostaje w kuchni. Patrzy na kable poruszające się w pustym szybie windy i próbuje się w tym wszystkim połapać. *To dlatego ciocia Magnolia została szpiegiem? Bo to była świetna zabawa? Jak Kiran może widzieć coś takiego i śmiać się, a potem mówić, że to zabawne? Och!* Jane uciska skronie i pragnie jakoś się z tego wszystkiego wyplątać.

W tym momencie o jej nogi ciężko opiera się Jasper.

– No cóż, Jasper, bez względu na to, co się stało, chyba udało nam się pomóc Ivy zgubić tego gościa z Interpolu. Jak myślisz? Powinniśmy wrócić na imprezę i naprawić kolejne szkody, które wyrządziłam?

Po powrocie na salę balową Jane zastaje tego mężczyznę z windy, który mówił po arabsku, pijącego Pimm's i uśmiechającego się czarująco do innych gości. Jane przypuszcza, że nie jest jednak czarnym charakterem, skoro pani Vanders pozwoliła mu jeździć windą kuchenną, ale i tak omija go z daleka. Jane wraz z Jasperem przechodzi do głównego holu i dostrzega znajomą postać. To Ji-hoon, „Sprzątac” z Korei Południowej, który elegancko zaczesał włosy do tyłu, założył okulary w ciemnej oprawce i czarny formalny strój. Prezentuje się tak dobrze, że Jane niemal go nie poznaje. Ji-hoon właśnie spokojnie, bez pośpiechu wchodzi po wschodnich schodach. Nie widzi jej.

Jane natychmiast odwraca się w stronę zachodnich schodów i zaczyna wchodzić nimi najszybciej, jak może, i starając się nie przyciągać niczyjej uwagi. *Dlaczego wciąż to robię?* poirytowana pyta się w myślach. *Dlaczego się ciągle angażuję?* Jasper zostaje z tyłu. Od czasu do czasu mijają ją goście przybywający ze wszystkich części domu. Jane przypuszcza, że podczas tych imprez musi istnieć tradycja przechadzania się po górnych piętrach, by oglądać dzieła sztuki. Nic dziwnego, że ludzie mogą zakraść się do każdej części domu, nie wzbudzając podejrzeń.

Gdy dociera na drugie piętro, ciężko dyszy. Zatrzymuje się przed drzwiami skrzydła dla służby, łapie oddech, nie ma pojęcia, co teraz powinna zrobić. Zakładając, że to w ogóle tutaj wybierał się Ji-hoon, ubiegła go, ale jak go powstrzyma, kiedy się zjawi? Zacznie recytować poezję, mając nadzieję, że Ji-hoon do niej dołączy? Ivy ją ostrzegła, że jest uzbrojony i niebezpieczny. Gdzie Jasper?

W tym momencie otwierają się drzwi skrzydła dla służby i zjawia się Phoebe Okada ze wspaniałym szmerem turkusowej sukni. Ma nienaganny makijaż.

– Powiedz mi, proszę, co ty wyprawiasz? – mówi.

– Phoebe – odpowiada Jane. – Zbliży się Ji-hoon.

Phoebe niedbałym ruchem sięga pod dół sukni i wyjmuję broń.

– Nie nabaw się tętniaka – mówi. – Śledzimy go. Musisz stąd odejść. To nie miejsce dla dzieciaków. Idź do swojego apartamentu i tam zostań.

Drzwi znów się otwierają i wysuwa z nich głowę Ivy. Jane irracjonalnie mówi: „Czekaj”, bo czeka na psa, który zjawia się jak na zawołanie. Zbliży się do nich zdyszany. Jane jest pod wrażeniem. Musiał dokonać heroicznego wysiłku na schodach.

– Szybko – mówi Ivy, zaganiając Jane i Jaspiera do skrzydła dla służby.

– Dokąd idziemy? – pyta Jane.

– Schodzimy z drogi.

Ta odpowiedź z ust Ivy jest w jakiś sposób upokarzająca. *Jestem jak Ravi*, myśli Jane, *kiedy był mały i „pomagał” przy galach*.

– Pani Vanders jest wściekła z powodu Kiran? – pyta Jane.

Ivy zerka na nią ostrożnie, jakby próbowała ocenić, czy Jane w tej chwili jest przyjacielem czy wrogiem.

– Pani Vanders już od jakiegoś czasu się waha, czy nie powiedzieć Kiran prawdy. Uważa, że byłaby naprawdę świetna w tym, czym się zajmujemy.

– Bo byłaby – mówi z zapalem Jane.

– Jeśli chodzi o mnie, to ulżyło mi, że w końcu się dowiedziała – odpowiada Ivy. – Musiała przeżywać piekło z moim bratem.

Jane przez chwilę kręci się w głowie i trudno jej zebrać myśli. Ivy prowadzi ją szybkim krokiem i przychodzi jej do głowy, że przez cały ten czas wstrzymywała oddech.

– Zaczekaj – mówi. – Możemy się na chwilę zatrzymać?

– Tak – odpowiada Ivy z troską w głosie. – Wszystko w porządku?

Nie sposób głęboko, świadomie oddychać, nie myśląc o meduzie. Jane zamiast tego próbuje myśleć o windzie kuchennej, o własnej wewnętrznej windzie – powietrze płynące w górę, powietrze płynące w dół. Jej ciało jest jak ten dom w miniaturze. Ten korytarz jest ścieżką do... do czegoś. Do następnego kroku, zbliża Jane ku zakończeniu tej nocy.

– Dlaczego ci ufam? – pyta Jane.

– Nie wiem – odpowiada Ivy. – Ja też ci ufam. I próbowałam sobie wyobrazić, jak to by było dowiedzieć się, że moja ciocia, która właściwie była dla mnie jak matka, pracowała jako tajna agentka. Zachowałaś się tak spokojnie. Ja byłabym wściekła.

– Nawet nie masz pojęcia.

Ivy znów się waha. Po chwili mówi ostrożnie:

– Myślę, że powinnaś pozwolić, by pani Vanders powiedziała ci wszystko, co wie. Wszystkie szczegóły, bez względu na to, jakie są. Może nie pomoże ci to od razu, ale kiedyś tak.

Jane daje sobie spokój z tą windową metaforą. Po jej policzku zaczyna spływać łza. Ivy bierze

ją za rękę.

Ciociu Magnolio? myśli Jane, a potem przypomina sobie z nagłym smutkiem, że nie zwraca się już do cioci Magnolii.

– Chodź na strych – mówi Ivy. – Tam będziesz bezpieczna.

W zachodniej części strychu Jane zastaje Kiran i panią Vanders. Stoją po przeciwnych stronach długiego stołu i się kłócą.

– Zdajesz sobie sprawę, że to było ponad sto lat temu? – pyta ze złością pani Vanders.

– A jakie to ma znaczenie?

– Pierwsza ochmistrzyni Tu Reviens miała syna – odpowiada pani Vanders. – Ten syn kilka lat wcześniej wplątał się w wojnę amerykańsko-hiszpańską i został amerykańskim agentem. I zakochał się w kubańskiej agentce.

– Jakie to romantyczne – mówi zgryźliwie Kiran.

– Skończyło się tak, że oboje zginęli.

– No jasne – mówi Kiran. – Inaczej to by nie było takie romantyczne.

– Byli dziadkami pana Vandersa – ciągnie pani Vanders. – Potem Espions Sans Frontières zwrócili się do jego prababki, ochmistrzyni, ponieważ chcieli w tajemnicy używać domu jej pracodawcy. Taka organizacja mogłaby ocalić jej syna. Naprawdę masz jej za złe, że się zgodziła?

– Że zgodziła się okłamywać mojego prapradziadka, który jej ufał? Że zgodziła się narażać wszystkich mieszkańców domu, który nie należał do niej, i to przez wiele pokoleń? Że naraziła rodzinę?

Kolejna zajadła sprzeczka, która trwała od jakiegoś czasu za plecami Kiran, w końcu nasila się tak bardzo, że nie sposób jej ignorować. Patrick kłóci się z Grace Panzavecchią, która nie chce wsiąść do kuchennej windy.

– A może mnie zmusisz?! – wrzeszczy dziewczynka. – Może znów mi wstrzykniesz metoheksital? Nienawidzę cię!

– Tak – mówi spokojnie Patrick. – Wiem, Grace, ale Christopher jest na dole sam z Kucharzem.

– Bo go tam zawiozłeś!

– Tak. Wiem, że to nie fair. A teraz powiedz, chcesz być przytomna, żeby zajmować się braciszkiem, czy chcesz spać?

– Nienawidzę cię! – krzyczy Grace. – Zniszczyłeś mi życie! Nie zabrałeś Edwarda Jennera!

Ivy wysuwa jedno z krzeseł przy stole i lekko popycha Jane w jego stronę. Jane siada otępiała, a Jasper układa się u jej stóp. Ivy przechodzi na koniec stołu i zaczyna coś owijać w długie płachty folii bąbelkowej. Jane jak przez mgłę poznaje rzeźbę Brâncușiego, która znów jest w całości: płaska, podłużna bryła marmuru – zaginiona ryba – została ponownie osadzona na postumencie. Ivy robi to bardzo starannie. Ryba jest gładka i blada, przypomina kość. Obserwowanie tego ma na Jane kojący wpływ.

– Decyzja należy do ciebie, Grace – tłumaczy spokojnie Patrick. – Chcesz być przytomna czy spać?

– Wcale do mnie nie należy! – mówi Grace. – To nie ja postanowiłam opuścić dom! To nie ja postanowiłam zostawić Edwarda Jennera!

– Ona ma rację – odzywa się cicho Ivy. – Przynajmniej jego mogliśmy zabrać.

– Ivy – odzywa się ostro pani Vanders. – Dosyć tego.

– Dobra – mówi Kiran. – Poddaję się. Czy Edward Jenner to nie był ten gość, który opracował szczepionkę na ospę? Jakież dwieście lat temu?

– Edward Jenner... – zaczyna Patrick.

– Do ciebie nie mówiłam – cedzi Kiran przez zaciśnięte zęby, nie patrząc na niego.

– To pies – uświadamia sobie Jane.

Pani Vanders odchrząkuje.

– Tak – mówi. – Zgadza się. Kiedy Ivy, Patrick i Kucharz zabrali dzieci ze szkoły i z parku, pies był w domu. Byli zmuszeni go zostawić.

– Zostawiliście go samego w domu – mówi Grace. – Teraz pewnie mają go jacyś źli ludzie. Mieszka z obcymi. To owczarek niemiecki! To znaczy, że ma genetyczne predyspozycje do mielopatii zwyrodnieniowej. Kto się nim wtedy będzie zajmował? – Grace ma zapuchnięte, zapłakane oczy, zaciska pięści, jej małe ciało jest napięte z wściekłości i rozpacz. W jej oczach Jane dostrzega coś, co zna. Grace Panzavecchia została zdradzona.

– Czy to konieczne? – Jane słyszy własne słowa, w których brzmi prawdziwe oburzenie. – Ona ma osiem lat!

Pani Vanders wzdycha, wysuwa jedno z krzeseł i ciężko na nim siada.

– Dziewczynka jest w niebezpieczeństwie i zamierzamy jej pomóc.

– Ale mojemu psu już nie! – mówi Grace. – Nie zamierzacie pomóc mojemu psu! Nienawidzę rodziców! Podali mi środki moczopędne, żebym musiała iść do łazienki i żebyście mogli mnie złapać! Jacy rodzice robią coś takiego dziecku? Wszyscy jesteście porywaczami.

– Christopher jest sam na dole – przypomina jej Patrick.

– Nienawidzę cię!

Jasper leżący u stóp Jane podnosi łeb. Niepewnie wychodzi spod stołu. Robi kilka kroków w stronę Grace i zatrzymuje się przed nią.

– To nie mój pies! – krzyczy Grace. – To najgłupszy pies, jakiego kiedykolwiek widziałam! Ma coś nie tak z nogami! – Potem opada na podłogę, wyciąga rękę, a Jasper wdrapuje się na jej kolana. Jest ciężki, więc dziewczynka zaczyna wrzeszczeć, „A! A!”, a potem obejmuje go za szyję, wtula w niego twarz i zaczyna płakać. Jane jest dumna z Jaspera. Chyba okazał się najrozsądniejszym dorosłym na tym strychu.

– Już nigdy, przenigdy nie dam się wmieszać w coś takiego – mruczy pod nosem Ivy na drugim końcu stołu. Jest w tej chwili skupiona na obrazie. Przedstawia mężczyznę w kapeluszu z piórem, to Rembrandt, którego Jane widziała pierwszego dnia pobytu tutaj, stojącego na stole w przeszklonej pracowni konserwatorskiej pani Vanders. Jest duży i wygląda na ciężki. Ivy z wysiłkiem go obraca.

Grace podnosi głowę, dalej ściskając Jaspera, i wrzeszczy:

– Któregoś dnia wszystkich was pozabijam!

– Pytam ostatni raz, Grace – odzywa się Patrick. – Chcesz być przytomna w windzie czy spać w windzie? – Patrick zachowuje spokój; równie dobrze mógłby ją pytać, czy woli na obiad brokuły, czy groszek.

– Ona się nie uciszy – odzywa się Ivy. – Chcesz, żeby winda z wrzeszczącym dzieckiem przejechała obok gości, którzy podziwiają dzieła sztuki na pierwszym piętrze?

– Nie – mówi Patrick. – I dlatego, o ile nie zamierzasz milczeć przez całą drogę na dół, Grace, Kucharz uśpi cię, kiedy tylko dotrzesz do piwnicy, i taką cię zobaczy Christopher.

Grace staje się dziwnie spokojna.

– Któregoś dnia wszystkich was pozabijam – mówi i dodaje, zwracając się do Patricka: –

a ciebie zabiję pierwszego.

– Któregoś dnia – odpowiada Patrick – będziesz wspominać to doświadczenie i będziesz zdumiona, ile pozostawiliśmy ci swobody.

Ivy cicho parska. Słyszając to, pani Vanders obraca się w jej stronę i spogląda na nią z oburzoną miną:

– Ivy – mówi – zdajemy sobie sprawę z twojego niezadowolenia i przywykliśmy do twoich dziecinnych fochów, ale centrala nie da ci tyle swobody. Jeśli oczekujesz od nich sprawiedliwego potraktowania podczas rozmowy przed zwolnieniem, musisz pohamować swoje święte oburzenie i sarkazm na długo wcześniej, nim dotrzesz do Genewy.

Ivy nie odpowiada, spogląda tylko na Rembrandta, jakby miała ochotę go złapać i rozwalić o podłogę. Poprzestaje jednak na westchnieniu, delikatnie przesuwa palcem po górnej listwie ramy i wsuwa obraz do miękkiego worka. Następnie wkłada wszystko do największego worka strunowego, jaki Jane w życiu widziała.

– Chcę mojego braciszka – mówi Grace.

– Czyli podjęłaś decyzję? – pyta Patrick.

Chwila milczenia.

– Pojadę, jeśli będę mogła zabrać psa do windy – mówi dziewczynka.

– I będziesz cicho? – pyta Patrick.

– Tak – mówi Grace. – Ale nic nie poradzę, jeśli pies zacznie nagle szczekać.

– Co chcesz zrobić, uszczypnąć go?

– Akurat – mówi Grace z niesmakiem w głosie. – Myślisz, że uszczypnęłabym psa? Bo ty pewnie codziennie szczypiesz psy dla zabawy.

– W porządku – stwierdza z lekkim znużeniem Patrick, wskazując na windę. – Wsiadaj.

– Najpierw wsadź psa – odpowiada Grace.

– Myślisz, że chcę cię nabrać i posłać na dół bez psa?

– Tak.

Patrick śmieje się cicho, ale zaraz przestaje. Kuca przy Jasperze. Gdy Jasper stoi już radośnie w kabinie windy, wyglądając jak jakaś dziwna ścienna ozdoba, Grace również wsiada. Przytula się do psa i posyła Patrickowi ostatnie, pełne odrazy spojrzenie.

– Powodzenia, Grace – mówi Patrick i zamyka drzwi windy. Przez chwilę robi coś przy kablach w wąskiej bocznej szafce, potem zostawia je. Opiera się o drzwi windy, zamyka oczy i wzdycha ciężko.

– Kocham tego dzieciaka – mówi.

– Tak? – rzuca Kiran, nie patrząc na niego. – To by wyjaśniało, dlaczego jesteś dla niej taki okropny.

Patrick z goryczą wykrzywia usta.

– A ty zawsze jesteś taka wspaniała – mówi. – Jak tam twój elegancik?

– Nawet nie udawaj, że to ma być ta rozmowa – mówi Kiran. – Przynajmniej znasz wszystkie moje sekrety.

– Kiran – odzywa się pani Vanders – Patrick od jakiegoś czasu chciał ci zdradzić swoją tajemnicę. Pan Vanders i ja kategorycznie mu tego zabroniliśmy, bo to nie tylko jego tajemnica, lecz także nasza, i wielu innych ludzi.

– Moja matka też mi zabroniła zdradzać komukolwiek jej sekrety – mówi zapalczywie Kiran.

– I niech pani zgadnie, komu o tym powiedziałam. Patrickowi.

– Nie będziemy teraz rozmawiać o sekretach twojej matki – odpowiada pani Vanders.

– A wie pani dlaczego? – ciągnie Kiran. – Bo mu ufałam. Bo chciałam, żeby mnie znał i znał wszystkie miejsca, w których byłam!

Pani Vanders wstaje tak szybko, że jej krzesło przesuwają się kawałek po podłodze.

– Zabraniam w tym pokoju jakichkolwiek rozmów o twojej matce i jej czarach – mówi takim głosem, że Jane czuje go aż w zębach. – Zajmujemy się tu dobrymi, prostymi, naturalnymi rzeczami!

– O mój Boże! – Kiran nagle wydaje się zmęczona. Wysuwa krzesło, opada na nie i pociera twarz. – Sama siebie posłuchaj, Vanny. Moja matka nie jest jakąś czarownicą, jest naukowcem.

Jane nie rozumie, o czym teraz rozmawiają, ale stwierdza, że właściwie jej to nie obchodzi. Obserwuje, jak Ivy wkłada rzeźbę Brâncușiego, a potem obraz Rembrandta do skrzynek.

Pani Vanders znów siada, splata ręce i spogląda na Kiran stalowym wzrokiem.

– Wszystko ci wyjaśnię, jeśli przysięgniesz, że nie będziesz więcej mówić o swojej matce.

– W porządku! – Kiran ze zniecierpliwieniem macha ręką. – Przysięgam! Rany!

– Dobrze – mówi pani Vanders. – Victoria i Giuseppe Panzavecchiowie są mikrobiologami.

– Wiem o tym – odpowiada Kiran. – I najwyraźniej są też tajnymi agentami.

– Panzavecchiowie nie są agentami – wyjaśnia pani Vanders. – Są wykonawcami. Pracowali pod auspicjami specjalnej jednostki badawczo-rozwojowej CIA, powołanej, by sprawdzić, czy da się opracować natychmiastowo zaraźliwy szczep ospy, który wywoływałby pierwsze charakterystyczne objawy dopiero na późnym etapie infekcji.

Kiran zamiera, a potem mówi z głęboką odrazą w głosie:

– Chodzi pani o ospę, której nie dałoby się rozpoznać, dopóki by się bardzo szeroko nie rozprzestrzeniła?

– Tak – potwierdza pani Vanders. – Właśnie. Zlecono im badania nad formami ospy, które mogłyby posłużyć jako skuteczna broń biologiczna.

– I to mają być te pani dobre, proste, naturalne rzeczy? Genetycznie modyfikowana ospa?

– To na wypadek gdybyś się zastanawiała, dlaczego chcę z tym skończyć – mruczy Ivy przy swoim końcu stołu, gdzie wsypuje teraz całą lawinę piankowych kuleczek do skrzynki z rzeźbą Brâncușiego. Wydają ciche dźwięki, jak kostki lodu. Patrick podchodzi do niej, zgarnia nogą te, które upadły na podłogę.

– My nie pracujemy nad bronią biologiczną – odpowiada pani Vanders. – I na ile rozumiemy, CIA prowadzi te eksperymenty nie z zamiarem użycia tej broni, lecz byśmy byli lepiej przygotowani, gdyby jakiś wróg Stanów Zjednoczonych opracował ten sam szczep i zaatakował nas za jego pomocą.

– No jasne, jeszcze nigdy nie słyszałam takiego argumentu! – niemal wrzeszczy Kiran.

– Myśl sobie o tym, co chcesz. Dla Espions Sans Frontières ich zamiary nie mają znaczenia. Jesteśmy bezstronni.

– To tylko zamiennik słowa współwinni.

– Jakies dwa tygodnie temu – ciągnie pani Vanders, ignorując stwierdzenie Kiran – Giuseppe i Victoria doprowadzili do przełomu. Odkryli coś niespodziewanego, nie mam pojęcia w jaki sposób. Jednak owocem ich odkrycia było dokładnie to, co polecono im opracować, szczep ospy, który jest wysoce zaraźliwy na długo przed tym, nim nosiciel zacznie podejrzewać, że chodzi o tę chorobę. A potem wydarzyło się coś dziwnego i coś strasznego. Dziwna rzecz była taka, że gdy poinformowali o sukcesie swojego kierownika badań z CIA, ten zaraził się nagle innym eksperymentalnym szczepem ospy o odwrotnych cechach, takim, przy którym objawy występują bardzo szybko. Zmarł mniej więcej tydzień później i „przypadek ospy” w Nowym Jorku trafił na

pierwsze strony gazet.

– To ma być ta dziwna rzecz? – powtarza głucho Jane. – To ma być ta dziwna rzecz? To jaka była ta straszna?

– Chwileczkę – odzywa się Kiran. – Naturalnie słyszałam o tym facecie, który zachorował na ospę, ale nie o tym, że to był jakiś eksperymentalny szczep. Mówili, że to był jakiś facet ze skłonnościami samobójczymi, który pracował kiedyś dla Światowej Organizacji Zdrowia i włamał się do laboratoriów Centrów Kontroli i Prewencji Chorób w Atlancie. Które, jak nas zapewniano – ton Kiran staje się ostrzejszy – są jednym z zaledwie dwóch miejsc na świecie, gdzie przechowuje się wirusa ospy, przy czym tym drugim miejscem jest ściśle monitorowane laboratorium w Rosji. Ospy – jej głos staje się teraz piskliwy – nie uważa się już za zagrożenie w żadnym miejscu na świecie.

– Dokończ już ten sykliwy wywód, Kiran – mówi pani Vanders – a potem zechciej odzyskać rozum. Twój brat patrzy na świat przez różowe okulary, ale ty nigdy nie byłaś naiwna.

– Jak ten człowiek zaraził się ospą? – domaga się odpowiedzi Kiran.

– Nie wiemy – odpowiada pani Vanders. – Na pewno nigdy się nie włamał do żadnego laboratorium w Atlancie. Panzavecchiowie uważają, że zaraził się szczepem, który przechowywali w swoim laboratorium w Nowym Jorku, co znaczy, że ktoś uzyskał dostęp do części budynku, do której wchodzić mogli tylko oni i garstka osób związanych z CIA. To by wskazywało na zdrajcę.

– No dobra – mówi Kiran. – To dlaczego ten facet zaraził się ospą?

– Tego też nie wiemy – mówi pani Vanders. – Myślimy jednak, że prawdopodobnie został zarażony, bo jakiś inny kraj chciał przekazać wiadomość Stanom Zjednoczonym.

– Co to za wiadomość? – pyta Kiran.

– „Wiemy, czym się zajmujecie” – odpowiada pani Vanders. – „Możemy dostać się wszędzie. Jesteśmy o krok przed wami, nie będziecie w stanie się bronić, a przy okazji, dzięki za wynalezienie tego zmyślnego szczepu ospy”.

– W porządku. To straszne – mówi Kiran. – Ale po co zarażać faceta jakimś przypadkowym szczepem? Czemu nie tym nowym, który jest ponoć taki skuteczny?

– Z dwóch powodów – mówi pani Vanders. – Po pierwsze, szczep, który wybrali, raczej nie mógł zapoczątkować epidemii. To wiadomość, nie wypowiedzenie wojny, rozumiesz? Ten mężczyzna niemal natychmiast się zorientował, na jaką zapadł chorobę. Mógł się poddać kwarantannie. Zadzwoił do szpitala, wysłał im zdjęcia swoich ust i skóry i opowiedział im swoją wymyśloną historyjkę o Centrach Kontroli i Prewencji Chorób, żeby wysłali po niego wyłącznie zaszczepionych pracowników medycznych. Po drugie, nowy szczep Panzavecchiów nie był dostępny, bo gdy tylko uświadomili sobie, co mają, wystraszyli się. Zabrali go razem ze wszystkimi notatkami do domu, gdzie mieli kontrolę, kto ma do niego dostęp. I w ten sposób docieramy do tej strasznej rzeczy.

– Do domu! – krzyczy Kiran. – O Boże. O Boże! Proszę, powiedzcie mi, że malutki Leo nie zaraził się ospą!

– Oczywiście, że się nie zaraził – mówi pani Vanders. – A myślisz, że co? Włożyli mu próbkę z wirusem do łóżeczka? Malutki Leo ma ospę wietrzną.

– Skąd to pani wie?

– Bo jeden z kuzynów, który dwa tygodnie temu był na ósmych urodzinach Grace, był chory na ospę wietrzną. Nie martw się o malutkiego Leo. Espions Sans Frontières wynajęli lekarza, który osobiście się nim zajmuje.

- Philipa Okadę – rzuca beznamiętnie Jane.
- Philipa Okadę? – powtarza Kiran. – To Philip Okada jest szpiegiem?
- Jest lekarzem – mówi pani Vanders – i brytyjskim zasobem, który nam pomaga. Nie szpiegiem. Musisz przestać szafować tym słowem. W naszych kręgach szpieg to dość obraźliwe określenie.
- No cóż, proszę mi wybaczyć tę lukę w wykształceniu. Mogła mi pani pomóc przyswoić terminologię. A jaka była ta straszna rzecz?
- To ma związek z Grace – mówi pani Vanders.
- Z Grace? – pyta Kiran. – To jasne, że nie jest chora na ospę, bo inaczej nie byłoby jej w tym domu.
- Wybiesz sobie w końcu z głowy, że ktoś jest chory na ospę? – pyta pani Vanders.
- Uświadomiła mi pani, że każdy może na to zachorować – odcina się Kiran. – Jutro wszyscy możemy to mieć!
- Och, wszystko może zdarzyć się jutro! – odpowiada jej pani Vanders. – Jeśli nie potrafisz poradzić sobie z tym, że zawsze istnieje możliwość, że zdarzy się coś strasznego, to ta praca nie jest dla ciebie!
- A kto mówił, że jest dla mnie? – pyta Kiran. – Do diabła z tobą, Vanny!
- Pani Vanders wpatruje się w Kiran z tą jej charakterystyczną, enigmatyczną agresją. Kiran też próbuje zmiażdżyć ją wzrokiem. Jane nie ma pojęcia, skąd oni wszyscy biorą tyle energii.
- Grace nie jest chora na ospę – mówi pani Vanders. – Jej problem polega na tym, że jest urodzonym szpiegiem i w dodatku wyjątkowo lubi urządzenia mnemotechniczne.
- Próbuje mi pani powiedzieć, że Grace znalazła notatki o tej ospie, która mogła być wykorzystana jako broń biologiczna i mogłaby wyprodukować z pamięci partię takich wirusów?
- Pani Vanders wygląda na zadowoloną.
- Bardzo dobrze, Kiran – mówi. – Choć sama nie mogłaby jej stworzyć. Notatki są zaszyfowane i zawierają wzory oraz instrukcje, których nie była w stanie zrozumieć. Możliwe jednak, że mogłaby komuś powtórzyć kluczowe części i może ta osoba byłaby w stanie się w tym połapać.
- I ktoś w jakiś sposób się dowiedział, że miała dostęp do tych notatek – mówi Kiran – i teraz chce się dostać do informacji w głowie Grace.
- Tak. Może nie rozumie informacji, które zapamiętała, ale jest na tyle bystra, by wyczuć, że jej rodzice się martwią i ją okłamują, wpada więc w złość, grzebie w notatkach i jest nieposłuszna, bo chce w ten sposób wywierać nacisk. Kiedy rodzice zabronili jej o tym mówić, nie chciała przestać wrzeszczeć, nawet gdy w jej domu pojawili się podejrzani obcy. Wtedy dyrektor badań już zachorował, a Giuseppe i Victoria byli przerażeni. Zaczęli zatajać szczegóły swojego odkrycia przed wszystkimi, nawet przed ludźmi z CIA, którzy zaczęli się pojawiać na ich progu. Z pomocą Ivy zlikwidowali cyfrowe notatki. Papierowe dane spalili i zniszczyli szczerp. Powiedzieli CIA, że nie zamierzają z nikim dzielić się szczegółami swojego odkrycia, bo nie potrafią już stwierdzić, komu mogą ufać.
- I teraz CIA wciągnęło ich na czarną listę? – pyta Kiran. – Uznali ich za odmawiających współpracy? Za renegatów?
- Pani Vanders znów ma zadowoloną miną. Jane czuje, że zaczyna jej nie znosić. Gdzie tu przyjemność we wszystkich tych okropieństwach?
- Zasadniczo tak – potwierdza ochmistrzyni. – Ludzie z CIA są wściekli. Postanowili, że zmuszą Victorię i Giuseppe do przekazania im badań, a jeśli nie usłuchają, potraktują ich jako

zagrożenie. Tymczasem sprawą zaczęły się też interesować inne państwa.

– Czyli zainteresowali się Victorią, Giuseppe i Grace – mówi Kiran.

– Na tę chwilę nie sposób stwierdzić, przed iloma ludźmi czy państwami trzeba ich ukryć – odpowiada pani Vanders. – Wiadomo tylko, że muszą zostać ukryci i że Grace, jako dziecko, jest szczególnie narażona na niebezpieczeństwo.

– Myślę, że morał z tego jest taki, że gdy ktoś oferuje ci pracę przy tworzeniu nowych, ekscytujących szczepów ospy, powinno się odmówić – stwierdza Kiran.

– Bardzo zabawne – mówi pani Vanders.

– To niby miał być żart? A dlaczego próbowali napaść na bank?

– Żebyśmy mogli stworzyć historyjkę o mafii – wyjaśnia pani Vanders. – Jeśli weźmiesz kogoś z włoskim nazwiskiem, powiesz mu, żeby złamał prawo, a potem sprawisz, że zniknie, i dodasz do tego słowa „sycylijska mafia”, wszyscy będą o tym mówić, ale nikt nie będzie kopał w tym na tyle głęboko, by się dowiedzieć, dokąd się udali albo dlaczego. Może to nie fair wobec Włochów, ale świetnie się sprawdza.

– Przecież to śmieszne. Policja musi kopać głębiej.

– Mamy paru przyjaciół w policji i paru przyjaciół w prasie. A co najważniejsze, mamy też paru przyjaciół w sycylijskiej mafii.

– Jak to miło – mówi Kiran. – Żałuję, że Ravi tego nie słyszy. Na pewno byłby zachwycony swoją ukochaną Vanny, której zawsze można ufać.

– Ravi by tego nie zniósł – odpowiada pani Vanders. – Myślę, że sama o tym wiesz.

– Naprawdę nie ma o tym pojęcia? – pyta Kiran. – Ani Octavian? Zupełnie nic o tym nie wiedzą?

– Ani Octavian, ani Ravi, ani twoja matka. Jesteś jedyną z rodu Thrashów, Kiran, która się o tym dowiedziała. Ta wiedza jest tylko twoja.

– Interesujący dobór słów.

– Miałaś kiedyś coś, co byłoby tylko twoje, Kiran?

Kiran przygląda się pani Vanders. Potem rzuca paskudne spojrzenie Patrickowi. Ten zaciska usta i robi bezczelną minę.

– Dobrze, że przyłapałam Patricka na gorącym uczynku – stwierdza Kiran.

– To nam nie pozostawiło wyboru – odpowiada pani Vanders, ale monitorujemy kuchenną windę za pomocą kamer. Wiemy, kiedy droga jest wolna. Nie dopuściłabym do tego, gdybym nie była gotowa zaryzykować i zobaczyć, jakie będą konsekwencje. Domyśliłaś się już dlaczego?

Pomiędzy Kiran a panią Vanders znów zapada milczenie. W końcu Kiran zakłada ręce na piersi i pyta:

– Co jeszcze robicie?

– Wiele rzeczy – odpowiada lakonicznie pani Vanders. – Ten dom to neutralne miejsce spotkań dla przeciwnych stron, zazwyczaj podczas gali. Polecamy przedstawiciele agentom, przeciwko którym wniesiono oskarżenia. Poza tym pan Vanders jest psychologiem. Ten mężczyzna, którego widziałas w kuchennej windzie, właśnie zakończył sesję.

– Terapia dla szpiegów? – mówi z niedowierzaniem Kiran.

– Przestań używać słowa „szpieg”. Chyba sama rozumiesz, że jest na to zapotrzebowanie. Nasi klienci pracują pod ogromną presją.

– Od kiedy to pan Vanders mówi po arabsku?

– Posługuje się arabskim, perskim, niemieckim, francuskim, hiszpańskim, włoskim,

mandaryńskim i koreańskim – wyjaśnia pani Vanders.

– Nie wierzę pani – mówi Kiran.

– Czemu nie? – pani Vanders zdaje się urażona. – Jest bardzo popularnym terapeutą.

Kiran zaczyna chichotać.

– Czuję się urażona tym, że wydaje ci się to zabawne – zauważa ochmistrzyni.

Teraz Kiran dosłownie ryczy ze śmiechu. Po jej policzkach płyną łzy.

– Wcale nie – mówi. – Rozumiem. Naprawdę. Zawsze mówi psychologicznym żargonem i patrzy na mnie, jakby coś zdiagnozował. To po prostu... – przerywa, znów zanosząc się śmiechem – ...jest zabawne! – krzyczy. – Zaraz umrę ze śmiechu! Pan Vanders jest tajnym terapeutą dla szpiegów! O rany, może ta reakcja to szok! – Kiran głęboko wciąga powietrze, ociera twarz. – A zamierza mi pani wyjaśnić, dlaczego Ivy pakuje naszego Rembrandta i tę słynną zaginioną rzeźbę Brâncușiego? – pyta.

Ochmistrzyni wzdycha.

– Ta część ci się nie spodoba.

– A reszta była taka zachwycająca.

– Chodzi o wywieranie nacisku, władzę i zapłatę za świadczone usługi – odpowiada pani Vanders.

Brwi Kiran unoszą się tak wysoko, że sięgają niemal linii włosów. Tę akurat część Jane zna. Nie musi tego słuchać. Po drugiej stronie stołu Patrick zajmuje się teraz czymś wysoce niepokojącym: pomaga Ivy przypiąć kaburę z bronią do czarnej sukni. Potem podaje jej długi czarny płaszcz. Dokąd Ivy się wybiera?

– Kradniecie dzieła sztuki należące do rodziny – mówi Kiran. – Pewnie wciąż to robicie. Och, gdyby Ravi o tym wiedział!

– Pożyczamy je – odpowiada pani Vanders, ale brzmi to tak, jakby nie spodziewała się, że ktokolwiek jej uwierzy.

– Kłamała pani o swoich dyplomach! – ciągnie Kiran. – O czyszczeniu zabytkowych dzieł i ich konserwacji! Wiem, że powiedziała pani Raviemu, że zamierza wyczyścić tego Rembrandta. Mówił mi o tym!

– Nie kłamałam! – protestuje pani Vanders. – Bardzo zależy mi na sztuce! Naprawdę czyszczę dzieła sztuki i je badam. Nigdy nie popełniłam błędu, naprawiając jakieś uszkodzone dzieło! Bardzo poważnie traktuję ich dobry stan i autentyczność i angażuję się w działania mające na celu zwrot dzieł ich prawowitym właścicielom!

– Och, proszę mi tego oszczędzić – mówi Kiran. – Skoro tak bardzo pani na nich zależy, to czemu złamała pani na pół rzeźbę Brâncușiego?

– Grace to zrobiła – oświadcza z dumą Patrick.

– Tak – potwierdza pani Vanders. – To dziecko walczyło z nami na wszystkie możliwe sposoby. Widzisz, przeczucaliśmy rodzinę po jednej osobie i z pomocą różnych stron. Najpierw Victorię, potem Giuseppe, a później, kilka nocy temu, Leo razem z jego lekarzem. Ponieważ Grace jest urodzonym agentem, jakoś się domyśliła, że potrzebujemy rzeźby Brâncușiego, żeby zapłacić za jej transport. Do tego jest strasznie bystra, ma osiem lat i najbardziej na świecie pragnie, by móc wrócić do domu. Pewnej nocy wymknęła się więc Kucharzowi, który prócz tego, że zaaranżował wszystkie cztery wymiany, pilnował też dla nas dzieci. Biedak jest wykończony. Grace ukradła rzeźbę, a potem ją schowała. Później, gdy zareagowaliśmy na to spokojnymi, systematycznymi poszukiwaniami zamiast paniką, na jaką liczyła, odłamała rybę od postumentu, zakopała ją w ogrodzie za domem, odczekała, aż „biedny” Kucharz znów przyśnie,

i zaniósła postument z powrotem do głównego holu. W ten sposób osiągnęła swój cel. Myślałam, że głowa mi pęknie, kiedy Ravi pokazał mi ten pusty postument. Boję się myśleć, co jeszcze mogłaby zrobić, gdyby Ravi nie urządził takiej dramatycznej sceny.

– Och, rozwaliby rzeźbę młotkiem – wtrąca Patrick – i wrzuciłyby ją do fontanny.

– Wcale nie jestem tego taka pewna – odpowiada pani Vanders, uważnie mu się przyglądając.

– Myślę, że Grace ma świetne wycucie, gdzie przebiega granica, i koniec końców pragnie być ze swoją rodziną. Chciała tylko, żebyśmy zauważyli jej protest.

– A co z Vermeerem? – pyta Jane.

– Właśnie! Co robicie z bezcennym Vermeerem należącym do rodziny? – dodaje Kiran.

– Vermeera naprawdę skradziono – mówi pani Vanders.

Kiran wybucha krótkim śmiechem.

– Żartuje sobie pani.

– Bardzo bym chciała – odpowiada pani Vanders – ale nie. Ktoś w tym domu naprawdę ukradł ten bezcenny obraz i zostawił w jego miejsce niezwykle udany falsyfikat.

– Rany! – Kiran wciąż się śmieje. – A Ravi ściągnął agentów FBI, Interpol i policję akurat w tę noc, w którą próbujecie wywieźć stąd

Grace, Christophera, Rembrandta i Brâncușiego.

– Tak – potwierdza pani Vanders takim tonem, jakby jej to specjalnie nie martwiło. – Nawet Christopher wymknął się Kucharzowi na kilka godzin, co jest dość przerażające w domu z basenem. Chłopczyk ma dopiero dwa lata!

– Ludzie zaczęli też zwracać uwagę na napady płaczu – wtrąca Patrick. – „Czy coś w tym domu jest nie tak z rurami? Albo z przewodami wentylacyjnymi?”.

Kiran obserwuje ich w skupieniu.

– Czyli to normalne? – pyta. – Taki poziom dramatyzmu?

Pani Vanders wydyma usta i wzrusza ramionami.

– Chyba tak – mówi. – Każdy, z kim mamy do czynienia, to człowiek z ogromnym przekonaniem do tego, co robi.

Patrick przewiązał sznurem skrzynkę z Rembrandtem i niesie ją do windy towarowej. Otwiera drzwi, potem wraca po skrzynkę z Brâncușim. Jane mimowolnie podchwytuje spojrzenie Ivy.

– Mówię po bengalsku i trochę w języku hindi – mówi Kiran. – Do tego po francusku, włosku, hiszpańsku, arabsku i trochę po hebrajsku. I mogę uchodzić za osobę o kilku różnych przynależnościach etnicznych.

– Tam – mówi pani Vanders. – Świetnie zdajemy sobie z tego sprawę.

– Ta praca musi wam dawać niesamowicie wszechstronny ogląd tego, jak funkcjonują narody – zauważa Kiran.

– Bo tak jest – potwierdza pani Vanders. – A teraz przyszła pora, żebyś wróciła na galę, Kiran. Ludzie zaczną się zastanawiać, co się stało z panią domu.

Patrick stoi przy windzie towarowej i posyła gdzieś na dół obie skrzynki. Potem podchodzi do windy kuchennej i odwraca się do Ivy, która włożyła duży plecak. Ivy wyjmuje z kieszeni płaszcz kominiarkę i naciąga ją na głowę i okulary. Nagle wygląda, jakby nie miała twarzy.

Jane do niej podchodzi.

– Dokąd się wybierasz?

– W piwnicy jest ukryta kłapa – odpowiada Ivy. – Wchodzi się nią do tunelu prowadzącego do ukrytej zatoczki na drugim końcu wyspy. To tam mają zostać odebrane dzieci i dzieła sztuki. Na dole czeka na mnie Kucharz z dziećmi. Mam do nich dołączyć.

- Jak daleko się z nimi wybierasz?
- Aż do ich rodziców. Potem jadę do Genewy.
- Nic ci nie będzie?

Ivy zastanawia się nad tym pytaniem, potem kręci głową.

- A tobie?

Jane też się zastanawia, później wzrusza ramionami.

Ivy mocno ściska jej ręce, puszcza ją i wchodzi do windy kuchennej. Jane zmusza się, by wrócić do Kiran. Czuje się tak, jakby jej ręce i nogi były z płynnego betonu. Pani Vanders gapi się na nią.

– Kiedy byłaś mała – zwraca się do Jane – twoja ciocia była dokładnie tą, za którą ją uważałaś. Robiła podwodne zdjęcia zwierząt i zajmowała się morską ekologią. I nic poza tym.

– Jej ciocia – powtarza Kiran. – Magnolia? O czym pani mówi? Magnolia nie była żadną... Och! Była, prawda? Jezu!

– Potem, pewnego dnia, natknęła się na wrak zatopionej łodzi podwodnej – ciągnie pani Vanders – ukrytej w jaskini na dnie Pacyfiku.

Kątem oka Jane widzi, że Patrick zamyka drzwi kuchennej windy i zaczyna ciągnąć za linę.

Kiran delikatnie dotyka ręki Jane w miejscu, gdzie pod jej skórą czułki meduzy sięgają łokcia.

– To była północnokoreańska łódź podwodna – opowiada pani Vanders. – Pentagon, Korea Północna i kilka innych państw wysłały własnych nurków, by szukali wraku w różnych innych miejscach, ale przeszukiwali niewłaściwy obszar, a tymczasem Magnolia znalazła go przez przypadek.

To miłe czuć rękę Kiran na tatuażu.

– Nurkowała z wenezuelskiego statku z międzynarodową ekipą nurków – ciągnie pani Vanders – i zrozumiała, co znalazła. Miała przecucie, że jeden z kolegów z uniwersytetu będzie umiał jej poradzić, co z tym zrobić. Wróciła więc na pokład, nikomu z grupy nie wspomniała o swoim odkryciu i zadzwoniła do niego. Kilka dni później powiedziała pozostałym nurkom, że zlecono jej inną pracę i przeniosła się na świetnie wyposażony amerykański statek ratowniczy udający statek wydobywczy, który podpłynął, by ją odebrać. Magnolia zaprowadziła ich do wraku i gdy ją o to poprosili, pomogła im w akcji. Wydobyli pocisk jądrowy i zaszyfrowane dane. To był strzał w dziesiątkę.

– Dlaczego to zrobiła? – szepcze Jane. – Czemu zachowała to w tajemnicy? Dlaczego nie powiedziała wszystkim na tym wenezuelskim statku, co odkryła?

– Nie wiedziała, co robić – odpowiada pani Vanders. – Miała na tyle wyobraźni, by rozumieć, że to polityczne odkrycie, a w tamtym czasie stosunki między Stanami Zjednoczonymi a Wenezuelą nie były najlepsze. Zrobiła to, co wydawało jej się najwłaściwsze.

Pani Vanders bierze z pobliskiego stołu mały czarny przedmiot – krótkofalówkę – i rzuca ją Patrickowi, który akurat przypina broń.

– Poślij to na dół Ivy-Fasolce – mówi, wskazując głową na windę kuchenną. – A potem chyba powinieneś przejść się na dół, Patrick, i zorientować się, co się dzieje na imprezie. I tak będziesz musiał iść przez trawnik, normalną drogą, z tymi dziełami sztuki.

– Ona by tego nie zrobiła – mówi Jane. – Moja ciocia by mnie tak nie okłamywała.

– Miałaś wtedy siedem lat – mówi pani Vanders. – Nie mogła po prostu do ciebie wrócić i o wszystkim ci opowiedzieć, bez względu na to, jak bardzo pragnęła to zrobić. Kiedy już zaczniesz, to ekscytująca praca. Do tego ważna. I ci, którzy się jej podejmują, są opłacani odpowiednio do podejmowanego ryzyka. Twoja ciocia miała konta bankowe na Kajmanach i w

Szwajcarii. Teraz, gdy już znasz prawdę, możemy ci pomóc uzyskać do nich dostęp. To dlatego chciałam z tobą porozmawiać, odkąd tylko pojawiłaś się w Tu Reviens. Magnolia kazała mi obiecać, że jeśli coś jej się stanie, pomogę ci uzyskać dostęp do jej kont.

Jane nie dba o konta bankowe. Jest w stanie myśleć tylko: siedem, siedem. Rusza w stronę schodów.

– Magnolia prosiła mnie też, żebym przekazała ci wiadomość – mówi pani Vanders do pleców Jane. – „Przełącz mojej siostrzenicy, żeby sięgnęła po parasolkę”, powiedziała. Zawsze o tobie myślała i chciała z tym skończyć. Magnolia nigdy nie nadawała się do tej pracy. Znienawidziła ją. Nienawidziła kłamać; nikt z nas tego nie lubi. Chciała odejść, a my zamierzaliśmy jej pomóc.

Kiran objęła Jane ciepłym ramieniem i teraz pomaga jej dotrzeć do schodów. Jane drży.

– Zostaw ją w spokoju, Vanny – mówi Kiran. – Wszyscy mówicie w taki sposób, że można by sobie pomyśleć, że nikt, kogo okłamywano, nie ma prawa czuć się zdradzony.

To surrealistyczne uczucie wrócić na imprezę. Jane trzyma się Kiran, która znajduje się w dziwnym stanie uniesienia. Łatwo zachowywać się jak jej cień. *Nie jestem do końca pewna, czy to nie sen*, myśli Jane.

Kiran bierze Jane pod rękę i chodzą po sali balowej. Szepcze jej do ucha kąśliwe uwagi.

– Spójrz tylko na wszystkich tych ludzi – mówi. – Ciekawe, ilu przyjaciół naszej rodziny stało się nimi tylko dlatego, by być zapraszonymi na gale i odwiedzać swoich prawdziwych przyjaciół. Służbę! Czy ktokolwiek jest tym, kim się wydaje?

Tak, myśli Jane. *My. Ty i ja, Kiran.*

– Pomyśl tylko o naszych gościach – ciągnie Kiran. – Potrafisz uwierzyć w to o Okadach?

– Nie – odpowiada Jane, słuchając jej jednym uchem.

– Colin jest za wielkim lalusem, żeby być tajnym agentem – mówi Kiran. – Ale Lucy St. George może mieć tajemnice, jeśli wziąć pod uwagę, że jest prywatnym detektywem. Nie sądzisz?

– Tak.

– Charlotte – mówi Kiran i przystaje, by się nad tym zastanowić.

– Charlotte? – powtarza posłusznie Jane.

– Moja macocha. Chciała przeobrazić cały dom.

– Tak? – mówi Jane i nagle sobie przypomina, że nawet się porządnie nie pożegnała z Ivy. Czy nie na takim wyjeździe zginęli jej rodzice?

– Czy ktoś opowiadał ci ze szczegółami, w jaki sposób Charlotte tajemniczo zniknęła? – Kiran omiata wzrokiem tańczących w sali balowej, jakby Charlotte mogła nagle pojawić się wśród nich. Muzyka jest przytłaczająca. Jane pociera uszy. – Czy mogła być szpiegiem? – zastanawia się Kiran. – Przepadła jak kamień w wodę, dokładnie tak, jak Panzavecchiowie i jak twoja ciocia.

– Moja ciocia nie przepadła jak kamień w wodę – odpowiada Jane. – Zamarzała podczas śnieżycy. Ktoś dzwonił do mnie z Półwyspu Antarktycznego. I Ivy mi powiedziała, że tak naprawdę było.

Sięgnij po parasolkę. Ciociu Magnolio, co to, do diabła, znaczy? Sięgałam po wszystkie te głupie, bezsensowne parasolki. Dlaczego?

– Zastanawiam się, dokąd wysyłają tych ludzi – mówi Kiran. – Gdzie na świecie dwoje zdekonspirowanych dorosłych i troje ich dzieci może mieszkać tak, by nigdy ich nie odnaleziono? To miejsce musiałyby być albo przynębiająco odizolowane od świata, albo

przygnębiająco tłoczne.

W tym momencie w poruszającym się tłumie pojawia się Jasper. Podchodzi do Jane i opiera się o jej nogi. Jane się zastanawia, czy to znaczy, że Ivy i dzieci opuścili już dom przez tunel w piwnicy.

– Wiesz, oni mają rację – ciągnie Kiran, śledząc brata, który ni to tańczy, ni to rozmawia z agentem i agentką FBI na skraju parkietu. – Ravi nie nadaje się do takiej roboty, jaką zajmują się Espions Sans Frontières. Byłby wściekły, że mieli przed nim tyle tajemnic. Na przykład ta tajna kłapa w piwnicy i podziemny tunel prowadzący do zatoczki. Bawiliśmy się w tej piwnicy w chowanego. Zawsze ciężko ich było znaleźć. Zastanawiam się, ile mieli lat, kiedy to im zdradzono tajemnicę ukrytego przejścia.

Jane głaszcze Jaspiera i nie reaguje.

– On jest zbyt szczerzy – stwierdza Kiran i przewraca oczami, gdy Ravi pochyła się i szepcze coś do ucha jednego z agentów FBI. – I dostałby szału, gdyby dowiedział się o dziełach sztuki. Nigdy by tego Vanny nie wybaczył. Dosłownie nigdy.

– A co z tobą, Kiran? – pyta Jane. – Chcesz do nich dołączyć?

Kiran ma w repertuarze imponującą liczbę nieprzyjemnych uśmiechów.

– To zależy od tego, czy będę mogła to zrobić i już nigdy w życiu nie odezwać się do Patricka.

– Wiesz, że jego rodzice zginęli przez tę pracę?

Kiran jest oszołomiona. Po jej twarzy przemyka jakiś cień – zrozumienie, zgroza – nim znów jest w stanie ją kontrolować.

– Nie – odpowiada. – Nie wiedziałam o tym.

– Ivy mi powiedziała.

Nagle zjawia się Ravi, wpycha się między Jane i Kiran, i obie obejmuje.

– Witajcie, moje piękne – mówi. – Dobrze się bawicie?

– Nie tak dobrze, jak ty – odpowiada oschle Kiran.

– Wybieram się na mały spacer – informuje Ravi. – Ty będziesz musiała tu zostać i reprezentować Thrashów.

– Ja nic nie muszę – odpowiada trochę bełkotliwie Kiran. – Nie będziesz mnie przestawiał po kątach. Dokąd się wybierasz?

– Moja rozpuszczona siostrzyczko – mówi czule Ravi, całując ją w czoło. – Nad ukrytą zatoczkę. Uroczy państwo agencji z FBI pytali mnie o inne miejsca prócz przystani, gdzie można przybić łodzią. Chcą sprawdzić, czy ktoś mógł tamtą drogą wykraść z wyspy dzieła sztuki.

Znużenie Jane nagle przeradza się w panikę. Ivy! Grace i Christopher! Czekają w tej zatoczce, aż ktoś ich odbierze.

– Kiran – zaczyna piskliwie, ale ta ją zagłusza.

– Oboje agencji FBI, Ravi? – pyta. – Poważnie? Wiedzą, co kombinujesz? A może naprawdę im się wydaje, że będziecie szukać po ciemku jakichś śladów? Wolisz faceta czy kobietę?

Kiran lekko chwieje się na nogach. Do Jane dociera, że udaje pijaną.

– Odpowiedź na wszystkie twoje pytania brzmi: jeszcze nie wiem – szczerzy zęby Ravi. – Tak jest zabawniej.

– Idę z tobą – oświadcza Kiran.

– Akurat – Ravi na to.

– Idę – nalega Kiran. – To zabawne móc pokrzyżować ci szyki.

Ravi znów całuje ją w czoło i śmieje się cicho.

– Ty już dziś nie pijesz Primm's. – Potem puszcza je obie i odchodzi odszukać agentów FBI.

Kiran chwytając Jane za ramię i prowadzi ją spokojnie w stronę sali bankietowej, zanim Ravi zdążył zrobić choćby trzy kroki.

– Rozumiesz, że musimy kogoś ostrzec – mówi. – Prawda?

– Oczywiście, ale jak?

– Wiem, jak się dostać do zatoczki przez las – odpowiada Kiran, ciągnąc Jane wzdłuż długiego stołu – więc pójdę tą drogą. Pójdę za nimi i spróbuję zyskać trochę na czasie. Ty musisz znaleźć panią Vanders i powiedzieć jej, żeby ostrzegła Ivy i Patricka.

Kiran wciąga Jane do kuchni. Jane uświadamia sobie, że chce ją wysłać na strych kuchenną windą.

Niemal nie zauważa, jak wsiada do środka. Ma niejasne przeczucie, że Kiran upchnęła ją w kabinie niczym diabełka z pudełka. Obok podskakuje i skomle Jasper, zrozpaczony, że nie może jej towarzyszyć.

– Powodzenia – mówi Kiran i zamyka drzwi.

Winda zaczyna powoli piąć się w górę. Gdy jest się w kabinie, dźwięki mają coś z głuchej, podwodnej muzyki. *Za wolno*, myśli Jane. *Szybciej*. Jak działają te kamery? Czy pani Vanders będzie wiedziała, kto jedzie windą? Gdy kabina się zatrzymuje, Jane woła:

– To ja! To ja! Nie strzelajcie!

Ktoś otwiera drzwi i Jane ze zdumieniem stwierdza, że wpatruje się w twarz Ji-hoona, „sprzątacza” z Korei Południowej.

– Dobra – słychać głos Phoebe. – A teraz się cofnij.

Ji-hoon cofa się z uniesionymi rękoma.

– Co się tu dzieje. – piszczy Jane. – Nie strzelajcie do mnie!

– Nie zamierzam do ciebie strzelać, Janie – słychać rozbawiony głos Phoebe. – Czego chcesz, do cholery?

– Muszę coś przekazać pani Vanders – mówi Jane i ostrożnie wysuwa głowę. Phoebe trzyma Ji-hoona na muszce.

– Czy Ji-hoon jest południowokoreańskim szpiegiem? – A potem poprawia się, zszokowana. – A może północnokoreańskim?

– Ji-hoon jest Amerykaninem, tak samo jak ty. To dyrektor badań Panzavecchiów z CIA, wyjaśnia Phoebe obojętnym tonem. – Oczywiście ten nowy, nie ten, który zmarł.

– Ach! I co chcesz z nim zrobić?

– Nic – mówi Phoebe. – Ji-hoon i ja postojmy tu sobie pogrążeni w przyjacielskiej medytacji, dopóki gdzie indziej nie wydarzą się różne rzeczy. Potem zamierzam eskortować go w drodze z wyspy.

– Rozumiem – mówi Jane. – Muszę porozmawiać z panią Vanders. To pilne.

– Jest chyba na spotkaniu w winniczce – mówi Phoebe. – Ji-hoon pośle cię na dół. Prawda, Ji-hoon? No dalej, rusz się i pilnuj, żebym widziała twoje ręce.

Ji-hoon ostrożnie przysuwa się do Jane i sięga do drzwiczek kuchennej windy. Wwierca się w Jane spojrzaniem.

– Wiesz, to nie ja jestem tutaj czarnym charakterem – mówi. – Zależy mi na chronieniu tych dzieci tak samo, jak wam. Tyle, że bez łamania prawa.

– Szybciej – rzuca znużonym głosem Phoebe.

Ji-hoon zatrząskuje drzwiami łokciem i chwilę później Jane jedzie w dół przez ciemność i chłód. Pachnie metalem i kurzem. Potem zapach zmienia się w coś, co przypomina woń mokrego drewna, które długo leżało w stawie. Słodko-kwaśną. Jane wie, że to piwniczka na wino, choć

nigdy w żadnej nie była. Gdy winda się zatrzymuje, po omacku szuka klamki i otwiera drzwi. Pan Vanders stoi dziesięć stóp od niej i mierzy do niej z pistoletu.

– Niech pan do mnie nie strzela! – znów piszczy Jane, ale pan Vanders zdążył schować już broń do kabury na biodrze. Podchodzi i patrzy na nią ze złością.

– Dlaczego tu jesteś? – pyta poirytowany.

– Ravi przez las prowadzi agentów FBI do zatoczki – mówi Jane. – Ktoś musi natychmiast ostrzec Ivy.

– Hmm... – Pan Vanders wydyma usta i się zastanawia.

– Niech pan się z nią skontaktuje! – pogania go Jane, sfrustrowana takim marnowaniem czasu.

– Przez krótkofalówkę!

– Ivy nie ma jej ze sobą. – Pan Vanders wskazuje podbródkiem na pobliski stół, na którym leży krótkofalówka. – Wyszła, zanim to zjechało tu windą.

– To niech pan dzwoni na komórkę!

– Komórki nie działają na drugim końcu wyspy. Pani Vanders jest na spotkaniu, a ja mam właśnie pacjenta. Phoebe pilnuje Ji-hoona. Nie, żebyśmy mogli o cokolwiek jeszcze prosić Brytyjczyków. A Ivy, Patrick i Kucharz już są w zatoczce. Będę musiał odwołać sesję i pójść tam sam.

– Nie – mówi Jane. – Ja pójdę.

– Absolutnie nie – odpowiada pan Vanders. – Jesteś nowicjuszem i cywilem.

– Nie jestem dzieckiem! – Jane wysuwa z windy najpierw jedną nogę, potem drugą. – Potrafię przekazać wiadomość. Rozsądku mi nie brakuje. Jestem siostrzenicą mojej cioci.

Pan Vanders lekko unosi brwi.

– Proszę – mówi Jane, stając przed nim twarzą w twarz. – To moja wina, że jest tu FBI, i nie ma na to czasu. Proszę, niech pan mnie puści. Proszę.

Pan Vanders wzdycha. Brzmi to niemal jak warknięcie.

– No to ruszaj – mówi, łapiąc Jane i ciągnąc ją w przejście między regałami z winem tak gwałtownie, że niemal ją przewraca. Przygląda się jej ubraniu. – Masz całkiem sensowne buty. Potrafisz w nich biegać?

– Tak.

Pan Vanders skręca za róg i rusza kolejnym przejściem między regałami, wlokąc Jane za sobą. Wpycha jej w rękę latarkę. Jest bardzo silny jak na człowieka w jego wieku.

– Drzwi w zatoczce wyglądają jak skała, ale mają skórzany uchwyt po lewej stronie i otwierają się do ciebie – mówi, skręcając za kolejny róg. – Zanim je otworzysz, wyłącz latarkę i uchylaj je powoli. Spokojnie wyjdź i cicho zawołaj Ivy po imieniu, żeby zwrócić jej uwagę. Będzie stała na warcie, w czasie gdy Patrick będzie zajmował się dziećmi i ładunkiem. Szum morza potrafi być naprawdę głośny, ale Ivy będzie blisko. Zrozumiałaś to wszystko?

– Tak.

Pan Vanders sięga do kabury.

– Strzelałaś kiedyś?

– Nie! – mówi Jane. – Nie chcę tego. Nie wiedziałabym nawet, do kogo strzelać!

– Uspokój się. Nikt nie będzie do nikogo strzelał.

– Mało rozsądne założenie, kiedy wszyscy mają broń! Nie biorę tego.

Krzaczaste brwi pana Vandersa ściągają się we wściekłe V.

– Mówisz jak twoja ciotka. – Podchodzi do ukrytego w cieniu miejsca zasłoniętego dywanikiem. Wygląda na to, że w podłodze z cegły jest kwadratowy otwór, na tyle duży, by

ledwie mógł się w nim zmieścić człowiek.

– Są cztery stopnie – wyjaśnia jej pan Vanders – a potem słup, po którym zjedziesz. Nie przegap go, poniżej jest kamienna podłoga. Jak tylko skończą się stopnie, owiń nogi wokół słupa.

Jane wpatruje się w niego z niedowierzaniem.

– No dalej, masz czas się na mnie gapić? – poganiana nerwowo pan Vanders. Odbiera jej latarkę i zahacza ją jakoś o pasek sukienki z kaszmiru. Latarka obija się Jane o biodro. Potem pan Vanders łapie ją za ramię i ciągnie w stronę otworu.

– Boję się – mówi Jane.

– I bardzo słusznie. Idź już.

To najbardziej idiotycznie zaprojektowane wejście, jakie Jane kiedykolwiek widziała. Cztery „stopnie” są paskudnie wąskie, okropnie wysokie i tworzą okrąg, więc czuje się jak śruba wkręcana w otwór, gdy wyginając ciało, niezgrabnie po nich schodzi. Poniżej czwartego stopnia jest pustka i słup – tak, dotyka go butem. Okręca wokół niego kostkę, chwytając go rękoma, a drugą nogą odpycha się od stopnia.

Chwila krzyku i całkowitego braku kontroli, a potem skała pędzi w jej stronę i w nią uderza. Jane czuje w ustach posmak krwi.

Z otworu w górze słychać głos pana Vandersa:

– Nic ci nie jest?

– Nie, skądże znowu – odpowiada Jane, leżąc.

Stopnie się przesuwają, otwór się zamyka. Jane zostaje sama w ciemności.

Po omacku znajduje latarkę i ją włącza. Przed nią ciągnie się wąskie kamienne przejście. Prowadzi w dół i jest niemal proste.

Obolała, z krwawiącymi dłońmi i kostką, na której nie może do końca pewnie stąpać, Jane wstaje i puszcza się biegiem.

Jest dokładnie tak, jak powiedział pan Vanders. Przejście kończy się nagle skałą, która wydaje się nie do sforsowania, ale Jane znajduje klamkę i ją naciska. Ogromne ciężkie drzwi otwierają się z jękiem. Panuje tu taki hałas – głos płaczącego dziecka, huk fal, krzyki, potem ryk silnika – że jest pewna, że dotarła za późno. FBI na pewno znalazło już dzieci, będą torturować Grace, a Ivy i Patrick spędzą resztę życia w więzieniu za zdradę i porwanie.

Coś się porusza w krzakach po jednej stronie, a potem widać mały ruchomy krąg światła. Ivy przeciska się przez gałęzie w stronę Jane, z kominiarką podwiniętą nad okulary, tak że widać jej twarz.

– Cześć – mówi spokojnie. – Usłyszałam drzwi. Coś jest nie tak?

– Ravi prowadzi agentów FBI, żeby rozejrzeli się w zatoczce – dyszy Jane. Twarz Ivy tężeje.

– Kiedy?

– Teraz.

Ivy sięga ręką za plecy Jane i zamyka drzwi. Potem wychodzi z zarośli. Jane rusza za nią i trafia w ulewny deszcz. Mruży oczy, próbując przyzwyczaić je do ciemności. Znajdują się na skraju małej plaży w kształcie półksiężyca. Na wodzie kołysze się niewielka drewniana łódź przywiązana liną do białego w dno słupka. Jej silnik pracuje. Patrick stoi w wodzie przy łodzi. Siedzi w niej jakaś dorosła osoba, zapewne Kucharz, i Grace trzymająca Christophera. Mały drze się tak, że mógłby pobudzić umarłych. Ivy omiata ich kilka razy światłem latarki i Jane odczytuje na rufie nazwę łodzi: „Ivy”.

To, co Ivy zrobiła latarką, musiało być sygnałem dla ludzi na łodzi, bo kilka rzeczy dzieje się równocześnie. Silnik gaśnie; Patrick wyciąga rękę do Christophera i chłopczyk przestaje płakać; Grace wrzeszczy coś oburzona, a Patrick coś jej odwrzaskuje; potem wychodzi z wody i zaczyna biec po piasku w stronę Jane i Ivy.

– Muszę iść – mówi Ivy i mocno chwyta Jane za rękę. – Przepraszam. Nie będzie mnie co najmniej tydzień. Będziesz tu jeszcze, kiedy wrócę?

– Tak.

– Czy pani Vanders opowiedziała ci do końca, co wiemy o śmierci twojej cioci?

– O jej śmierci? O co chodzi?

– Zapytaj Patricka – mówi Ivy, ściskając jej dłoń. – Obiecuj mi, że zapytasz Patricka.

– Obiecuję – mówi Jane. Oddycha z trudem, jest bliska łez.

Nagle Ivy przyciąga ją do siebie, mocno obejmuje i przyciska usta do jej ust. A potem już jej nie ma, biegnie po piasku. W wodzie odwiązuje cumę od słupka i wdrapuje się do rozkołysanej łodzi. Siada obok Kucharza i mówi coś do Grace. Dziewczynka opada na dno łodzi, z Christopherem w ramionach, i giną z oczu. Słychać stukanie drewna o drewno, gdy Kucharz wyjmuje wiosła. Jedno podaje Ivy i oboje zaczynają miarowo wiosłować, kierując się na otwarte morze.

Patrick łapie Jane za ramię i wciąga ją w zarośla. Ściąga ją na ziemię i teraz oboje kucają oparci plecami o skalne drzwi. Ma przemoczone spodnie i dół płaszcz, deszcz leje coraz mocniej. Jane – bez płaszczu i z nagimi nogami – wstrząsają dreszcze.

– Dałbym ci mój płaszcz – szepcze Patrick – ale nie byłoby ci w nim cieplej.

– W porządku – odpowiada szeptem Jane. – Nic mi nie jest.

– Co się dzieje? – pyta Patrick. – Kto idzie?

– Ravi prowadzi agentów FBI, żeby rozejrzeli się w zatoczce. Kiran próbuje ich spowolnić.

Gdzieś w lesie słychać głośny śmiech Kiran. Chwilę później niebo przecinają smugi światła i Jane słyszy głosy pozostałych. Ravięgo, który cicho się śmieje, i kobiety, której Jane nie zna. Jakiś inny mężczyzna zaczyna się śmiać; Kiran chichocze i od czasu do czasu głośno piszczy. Słychać łamane gałązki i szelest liści, gdy zbliżają się do plaży. Jane ich nie widzi, ale ktoś wymachuje na wszystkie strony latarką.

– A właściwie, to czego szukamy?! – woła Kiran. – Śladów butów? A może płetw? Śladów płetw ryby Brâncușiego! – krzyczy, a potem śmieje się z własnego dowcipu. Mężczyzna z FBI też chichocze i wesoło coś mówi, ale nie słychać co. Brzmi, jakby był pijany.

– Nic tu nie znajdziemy – mówi z wyraźną irytacją agentka – jeśli będziesz biegać w kółko i wszystko zadeptywać.

– Ała! Albo świecić nam po oczach! – woła Ravi. – Uważaj trochę, Kir! Nic nie widzę.

– Nie tak wyobrażałam sobie ten spacer – mówi kobieta z FBI.

– Racja – odpowiada Ravi – ale lubię, jak moja siostra się śmieje.

– Jest pijana – rzuca ostro agentka. – Możesz jej zabrać tę latarkę? Już prawie ośleplam.

– Kiran – zaczyna Ravi. Cokolwiek zamierza powiedzieć, jego słowa giną w radosnych piskach Kiran, a potem słychać plusk. Najwyraźniej wbiegła prosto do wody. Kiran kieruje promień latarki na brzeg i umyślnie świeci na swoich towarzyszy. Jane widzi, jak smuga światła omiata w tę i z powrotem okolicę, słyszy śmiech Ravięgo i agenta FBI, przekleństwa agentki i rozumie już, co robi Kiran. Uniemożliwia im zauważenie sylwetki łodzi wiosłowej za jej plecami. Jest w tym naprawdę dobra.

– Twoja siostra to dzieciak – mówi z pogardą agentka. – Kompletny bachor. I leje deszcz.

Głos Raviiego brzmi serdecznie:

- Kiran! – woła. – Wracamy już!
- Popsułam ci zabawę?! – odkrzykuje Kiran.
- Tak!
- Wygrałam! – woła Kiran.

– No to gratuluję, ty upierdliwa małpo! – woła Ravi.

Znowu plusk i błyski światła. Potem odgłosy łamanych gałązek i szelest liści, gdy cała czwórka oddała się z powrotem w głąb lasu.

A potem tylko huk fal i bębnienie deszczu.

Zmysły Jane wciąż są pełne pocałunku Ivy. Jej usta były miękkie, przez płaszcz dało się wyczuć kaburę na broń. Nic nie jest do końca tak, jak Jane to sobie wyobrażała. I możliwe, że nigdy w życiu nie była taka zmęczona.

– Co teraz? – pyta.

– Zaczekamy, aż Kucharz wróci łodzią z Philipem Okadą – mówi Patrick.

– Z Philipem Okadą?

– Kiedy kobieta, która nam pomaga, odbierze Ivy i dzieci, wysadzi Philipa. Wiesz, mamy wobec ciebie dług wdzięczności. Może i zobaczylibyśmy na czas światło Kiran... cóż, pewnie byśmy je zobaczyli – poprawia się Patrick – bo Kiran bardzo inteligentnie to zrobiła. – Milknie, ma żalostną, niewyraźną minę.

– Czyli jednak nie macie wobec mnie długu wdzięczności?

– Przepraszam. Mamy, bo nawet gdyby udało nam się odpłynąć łodzią, Ivy nie znalazłaby się w niej na czas. Pewnie musiałbym płynąć zamiast niej, a to by było dla mnie naprawdę niedogodne, a już zwłaszcza dla niej. Kiedy dostarczy dzieci rodzicom, ma się stawić w Genewie. Załatwianie spraw z centralą to długa procedura.

– To tak, jakby przechodziła w stan spoczynku?

– Tak – potwierdza Patrick – coś w tym stylu, tyle tylko, że nadal będzie w posiadaniu bardzo ważnych tajemnic. Centrala musi przepuścić ją przez wyżymaczkę, zanim pozwolą jej się wycofać. Ivy musi udowodnić, że jest godna zaufania.

– Naprawdę pozwolą jej odejść?

– Nie martwię się o nią. Ty też nie powinnaś.

– Nie każą jej się przeprowadzić w jakieś okropne miejsce bardzo daleko stąd, prawda?

– Nie. Będzie mogła mieszkać, gdzie zechce. Będzie musiała tylko co kilka lat jeździć do Genewy na kontrolę.

– Czemu pani Vanders przekazuje jej niebezpieczne informacje? – pyta z oburzeniem Jane. – Czemu Ivy musi wiedzieć, dokąd udają się Panzavecchiowie?

– Nie wie tego – odpowiada Patrick. – I gdy tam dotrze, dalej nie będzie tego wiedziała. Ja też tego nie wiem. Pan i pani Vanders dobrze ukrywają przed nami takie rzeczy. A nawet przed swoim synem, Kucharzem.

– Założę się – mówi Jane, myśląc o cioci Magnolii.

– Hej, znajomość prawdy w tej branży bywa bardzo niebezpieczna. Giną przez to ludzie. – Te ostatnie słowa jakby mu się wyrwały.

– Tak jak twoi rodzice – mówi Jane.

– Giną przez to ludzie – powtarza po prostu.

Jane przygląda mu się w ciemności.

– Nie znam bardzo dobrze Kiran – mówi – ale rozumiem, jak się czuje. To... mąci w głowie.

Okropnie. Zupełnie, jakby ktoś wszystko ci wyrwał, a potem wrzucił to z powrotem w ciebie, ostre i zmienione nie do poznania. Ale rozumiem, że masz nie najgorsze powody do kłamstw. Nie robiłeś tego z egoizmu, przez złośliwość ani tchórzostwo.

– I tak nie powinienem być jej okłamywać – mówi Patrick, jakby dławiał się tymi słowami. – Ufała mi i zawsze była ze mną szczerą. Zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny, a mimo to ją okłamywałem. Co ja sobie wyobrażałem? Jeśli nigdy mi nie wybaczy, nie będę jej tego miał za złe.

Patrick odwraca twarz od Jane, płacze. Jane dopiero po chwili sobie uświadamia, że i ona płacze. Te słowa padające z ust Patricka to przeprosiny cioci Magnolii. Ciocia Magnolia nie może zrobić tego sama. Już jej nie ma. Ale kazała Jane obiecać, że przyjedzie do tego domu.

Tylko tyle była w stanie zrobić.

Wygląda na to, że deszcz ustaje. Chmury mkną po niebie, odsłaniając gwiazdy i znów je przysłaniając. Jane dotyka ręką ramienia, gdzie pod rękawem na jej skórze znajduje się czasza wytatuowanej meduzy. To naoczny dowód, że ciocia Magnolia jest częścią niej.

– Jak myślisz, jak długo będziemy czekać? – pyta.

Patrick wyciera twarz grzbietem dłoni, mruży oczy i wpatruje się w niebo nad wodą.

– Już niedługo – mówi. – Wiesz, ty nie musisz czekać. Nie ma powodu, żebyś złapała zapalenie płuc.

– Zaczekam – mówi Jane, nie do końca pewna, dlaczego nie chce odchodzić. – Opowiesz mi, co się stało z Charlotte?

– Z Charlotte?

– Z macochą Kiran.

– Wiem, o kim mówisz – odpowiada Patrick. – Wątpię, by ktokolwiek wiedział, co się z nią stało.

– Czyli nie była zamieszana w te wszystkie szpiegowskie intrygi?

– Ach! Już rozumiem, czemu pytasz. Nie. Charlotte była projektantką wnętrz. Nie miała z tym wszystkim nic wspólnego. Po tym, jak odeszła, pani Vanders rozpytywała dyskretnie u poważnych źródeł, ale nic z tego nie wynikło. Odejście Charlotte pozostaje zagadką.

– Rozumiem – mówi Jane. Przełyka, a potem wyrzuca z siebie te słowa: – A co z moją ciocią?

– Z twoją ciocią?

– Ivy mi mówiła, że coś na jej temat wiesz. Chciała, żebym cię o to zapytała.

Patrick milczy przez chwilę.

– Chodzi ci o jej śmierć?

Jane wciąga powietrze.

– Tak. O jej śmierć. – Wypuszcza powietrze.

– Masz rację, że o to pytasz – mówi Patrick. – Tuż przed wyprawą na Antarktydę Magnolia zjawiała się na gali. W którymś momencie w ciągu tamtej nocy zniknęła bez pożegnania, co nigdy jej się nie zdarzało. Wiedzieliśmy, że wybiera się na Antarktydę, żeby fotografować wieloryby i pingwiny; to nie była misja CIA. Potem usłyszeliśmy w wiadomościach, że zaginęła w zamieci na półwyspie. Była znana jako fotograf, więc sprawa została nagłośniona, a my uważnie słuchamy wiadomości. Jak się o tym dowiedziałeś? Ktoś do ciebie zadzwonił?

– Tak.

– Pamiętasz, kto to był?

– Połączenie było beznadziejne – mówi Jane. – Nazywał się John coś tam, ale nie dosłyszałam dokładnie. To był ktoś ze stacji badawczej, tak naprawdę jej nie znał. Potem połączenie się

zerwało i miałam nadzieję, że to wszystko to tylko jakaś pomyłka, póki nie zjawiał się człowiek z uniwersytetu, żeby ze mną porozmawiać. Przysłali mi jej rzeczy z Ushuaia. Nigdy nie znaleźli jej ciała.

– Zgadza się – mówi Patrick. – Cóż, zawsze gdy ginie jakiś agent, przyglądamy się dokładnie takiej sprawie. Gdy zaczęliśmy prowadzić śledztwo w sprawie Magnolii, dowiedzieliśmy się z naszych źródeł w Argentynie, że gdy jej statek przepływał przez Cieśninę Drake’a, miała grypę i nie opuszczała kabiny. Inne źródła nam przekazały, że na stacji badawczej na Antarktydzie też miała grypę i nie wychodziła ze swojego pokoju. A następną rzeczą, o jakiej usłyszeliśmy, było to, że opuściła stację, zaskoczyła ją śnieżycą i zginęła.

– Ale... czemu miałaby wychodzić, jeśli miała grypę?

– Nie rozumiesz – mówi Patrick. – Chcę przez to powiedzieć, że żaden z ludzi, z którymi rozmawialiśmy, tak naprawdę jej nie widział. Nikt nie może potwierdzić, że była na tym statku ani na półwyspie. Ciągłe przebywała „w swoim pokoju”, ale nie udało nam się ustalić, od kogo wyszła ta historyjka. I nie znaleźliśmy żadnych śladów tego, by przeleciała z jakiegoś amerykańskiego lotniska na lotnisko w Ameryce Południowej. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? Nie jesteśmy przekonani, czy Magnolia w ogóle pojechała na Antarktydę. CIA sklasyfikowało ją jako poległą agentkę, ale nie byliśmy w stanie ustalić, jak i gdzie tak naprawdę zginęła.

Ciało Jane jest jak ocean, pozbawione czucia i świadomości czasu. *Ona wiedziała, myśli Jane. Miała plan. Zostawiła mi swoją czapkę. Kazała mi obiecać, że przyjadę do tego domu. Zostawiła mi wiadomość.*

Jane prostuje plecy i wpatruje się w mrok w Patricka.

A co, jeśli...

– Och, na litość boską – rzuca nagle ze złością Patrick. Patrzy w morze.

– Co się stało?

– Ta kobieta to niezłe ziółko. – Patrick wskazuje na niebo nad wodą.

Jane dostrzega tam podłużny kształt. Wygląda jak frunący wieloryb z kilkoma migającymi światłami tam, gdzie powinien być brzuch.

– Czy to... balon?

– To cholerny zeppelin – mówi Patrick.

– Zeppelin!

– Ta kobieta ma helikopter i hydroplan, ale decyduje się odebrać dzieci, moją siostrę i dzieła sztuki zeppelinem. A to oznacza długie liny i stres dla Ivy, która nie może upuścić do oceanu Christophera, Grace, Brâncușiego ani Rembrandta. To takie niepotrzebne!

– To surrealistyczne – mówi Jane.

– Co za romantyzm – rzuca z pogardą Patrick. – Przybyć na ratunek zeppelinem. Biedny Philip. Będzie musiał się z niego opuszczać i nie ma szans, żeby nie wpadł w kipiel.

– Nie sądziłam, że ktoś jeszcze używa tego słowa – zauważa Jane.

– Wydawało mi się, że to właściwe określenie na wodę pod zeppelinem – mówi z niesmakiem Patrick.

Jane parska, a Patrick wbrew sobie zaczyna się cicho śmiać.

Jest zbyt ciemno, by widzieć, co się tam dzieje. Po długim czasie zeppelin znika w chmurach. Patrick wstaje.

– Zostań tu – mówi i biegnie na plażę z latarką. Kilka razy błyska nią rytmicznie w stronę wody.

Wkrótce Jane widzi łódź wracającą do brzegu, potem słyszy pomruk silnika. Gdy łódź jest już blisko, ktoś z niej wysiada, wskakuje do wody i zaczyna brodzić w stronę brzegu. Łódź ponownie się oddala, być może po to, by przybić do brzegu w innej części wyspy.

Patrick wraca w zarośla z kimś nowym. Okazuje się, że to Philip Okada, przemoczony i dygocący z zimna.

– Cześć – mówi Jane.

– Cześć – odpowiada Philip, przeczesując palcami mokre włosy. Nie wydaje się specjalnie zaskoczony na jej widok. Jest ubrany w czerń, z wyjątkiem tych jego pomarańczowych trampek.

– Czy Ivy i dzieci dostali się bezpiecznie do zeppelinu? – pyta Jane.

– Tak.

Patrick przedziera się przez gałęzie, dociera do kamiennych drzwi i je otwiera. Philip, schylając głowę, znika w przejściu.

– Idziesz? – zwraca się Patrick do Jane.

– Dogonię was.

– Na pewno?

– Idźcie już – mówi Jane. – To nie potrwa długo.

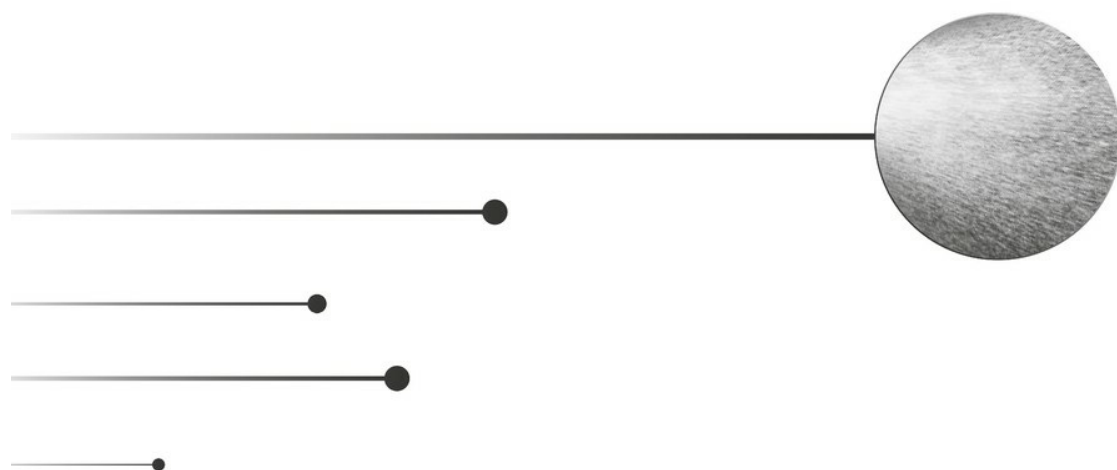
Jane zostaje sama w mrokach deszczowej nocy. Po niebie szybko mkną chmury, fale z hukiem roztrzaskują się o brzeg. Dreszcze już minęły.

Istnieje coś, co jest dla Jane punktem zaczepienia. Ma swoją złość, ma żalobę. Teraz jest całkowicie przytomna i w tym spoczywa. I nie jest samotna. Gdzieś tam, w zeppelinie, jest jej przyjaciółka. W domu jest pies. I są tam ludzie, którzy dysponują środkami. Jest parasolka, którą zamierza zbudować na nowo. Jest wiadomość od cioci Magnolii. I zaczątek nowego pytania – sam zaczątek, jak nasiono, które urośnie, jeśli Jane będzie w stanie je pielęgnować. To pytanie o to, czy może – ale tylko może – to, co zostało stracone, może zostać odnalezione.

Gdzieś w głębi domu rozlega się dzwonięcie,
dźwięczne i przejrzyste jak dzwoneczki na wietrze.

Pani Vanders, dziewczynka, Kiran, Ravi czy Jasper?

Ciociu Magnolio, myśli Jane, dokąd powinnam pójść?



**Część, w której
ktoś gubi duszę
a Charlotte
ją znajduje**

Jane podejmuje decyzję.

A co, jeśli zniknięcie Charlotte jest tą częścią układanki, która wyjaśni całą resztę?

– W porządku – mówi Jane do Kiran, ruszając w dół po schodach. – Przejdę się z tobą, a ty będziesz mogła opowiedzieć mi o Charlotte.

Kiran jednak nie odpowiada od razu. Przysuwa dłoń do ucha i marszczy brwi, jakby próbowała coś dosłyszeć.

– Słyszałaś to?

– Nie słyszę nic, prócz najbardziej strachliwego psa na świecie – mówi Jane, która dotarła właśnie do Jaspera. Teraz pies trąca głową jej buty i skomle. Jane schyla się i drapie go po karku w miejscu, którego nie mógłby dosięgnąć krótkimi łapkami. Jasper próbuje wdrapać się na jej kolana i prawie ją przy tym przewraca.

– Chodź z nami, Jasper – mówi Jane, uwalniając się od niego. Pies, dalej skomląc, rusza za nią w dół po schodach i co chwilę ją potrąca.

Kiran prowadzi Jane przez wenecki dziedziniec i przez wschodnią arkadę.

– Wszystkie te pokoje są ważne w historii Charlotte – mówi. – Dojdziemy tędy do zimowego ogrodu. Jeśli będziemy miały ochotę, możemy tam pograć w szachy.

Potem prowadzi Jane do zielonego pokoju z tapetą w kwieciste wzory, kanapami obszytymi brokatem i wymyślnym zielonym dywanem.

– Pozwól, że ci przedstawię zielony salon – mówi Kiran. – Charlotte przeprojektowała go w stylu angielskiej regencji. Tak jak w powieściach Jane Austen – dodaje, widząc, że Jane marszczy czoło.

– Aha – mówi Jane i już wie, o co chodzi. Gdy tak spacerują pod rękę, oglądając pokój, czuje, że równie dobrze mogłyby być Elżbietą Bennet i Karoliną Bingley. Gdyby pan Darcy pisał akurat list przy tym eleganckim biurku, przeraziłby się na widok jej prążkowanych dzinsów i koszuli w kolorze pławikonika. – Moje ulubione części domu to te, gdzie wszystko wydaje się ze sobą komponować – mówi Jane. – Takie jak ten pokój albo wenecki dziedziniec, z pasującymi płytami i marmurem. Można sobie wyobrazić, że rozgrywa się tu jakaś niesamowita historia. Natomiast w korytarzach, gdzie nic do siebie nie pasuje, mam jakiś mętlik w głowie.

– Tak – mówi Kiran i ciągnie Jane przez pokój w stronę jakichś drzwi. – Te pasujące części to wszystko zasługa Charlotte. Miała dziwne teorie, że dom cierpi, bo zbudowano go z fragmentów wyrwanych innym domom.

– Jak to cierpi?

– Och, no wiesz. Z powodu swoich burzliwych początków.

– Charlotte uważała, że domy mogą cierpieć?

– Zawsze mówiła o domach, jakby były ludźmi – wyjaśnia Kiran. – Jakby miały dusze, albo przynajmniej powinny je mieć.

– To nawet fajne – mówi Jane. – Ale jako idea. Chcesz powiedzieć, że ona naprawdę w to wierzyła?

Kiran wzrusza ramionami.

– Uważała, że Tu Reviens zostało pozbawione duszy z powodu swoich początków. „Części

tego domu krwawią”, mówiła. „Nie widzisz tego?”.

– Eeee – stęka Jane. – A ty widzisz, żeby krwawiły?

Kiran się uśmiecha.

– Wiem, jak to brzmi. Ale właśnie w taki sposób mówiła. Wiesz, świetnie rozumiem, że nie powinnam lubić kobiety, która zajmuje miejsce mojej matki. Zwłaszcza jeśli ta kobieta jest chudą, zbyt młodą blondynką, i to w dodatku białą. Ale naprawdę lubię Charlotte, nawet jeśli zaczęła dostawać obsesji na punkcie tego domu. Pochodzi z Vegas, ale nienawidziła tego miasta. Mówiła mi, że straciło duszę. Twierdziła, że słyszy głosy stuleci cierpienia.

– Czyli miasta też mają dusze.

Kiran zaciągnęła Jane do czegoś w rodzaju pokoju rekreacyjnego w łagodnych odcieniach błękitu, z kompletami wypoczynkowymi, wbudowanymi regałami i szafkami na media i gigantycznym akwariem. Ogromny, zajmujący całą ścianę obraz ukazuje jakieś stare portowe miasto nocą, a na niebie lśnią dwa księżycy. Ich podwójny blask odbija się w morzu. Ten obraz kojarzy się Jane z płaszczem cioci Magnolii: fioletowe niebo, srebrne księżycy i złoty blask świec w oknach wież. Jasper zachowuje się tak, jakby podobał mu się ten obraz. Kładzie się na brzuchu, opiera pysk na łapach i wzdycha do niego z czułością.

– Charlotte jest bardzo wrażliwa – mówi Kiran. – O wiele lepiej pasuje do Octaviana, niż kiedykolwiek pasowała do niego mama. Ojciec jest takim typem człowieka, który potrzebuje oddanej towarzyszki, a Charlotte naprawdę kochała... albo kocha z nim być. Wprawdzie doszło do tego, że Charlotte wydawała się bardziej przejęta domem niż Octavianem, ale nawet wtedy dzieliła się z nim wszystkimi myślami o domu. Octavian próbował jej nawet pomóc odnaleźć duszę *Tu Reviens*.

– Jak? – pyta Jane i z roztargnieniem uwalnia rękę, bo musi dotknąć uszu. Pociera je, próbując zmienić dziwne uczucie, które pewnie wynika z wahania ciśnienia. Ma wrażenie, jakby jej uszy były zatkane, rozdęte, jakby za dużo zjadły.

– Charlotte ciągle powtarzała, że ten dom jest zbudowany z osieroconych części – ciągnie Kiran.

– Z osieroconych części?

Ja też chyba jestem osieroconą częścią.

– Tak. Charlotte mówiła, że jedynym, co łączy wszystkie te części, jest ból. Że ten dom nieustannie cierpi. Chciała znaleźć inny sposób, by go zespolić, połączyć jego części ze sobą. Żeby mógł odpocząć.

– Odpocząć? – pyta Jane. – Co to w ogóle znaczy?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Kiran. Znów bierze Jane pod łokieć i ciągnie ją do innego niewielkiego pomieszczenia. Stoją tu pretensjonalne krzesła, stoły zdobione złotym filigranem, a na ścianach wiszą misternie tkane złocisto-bordowe tkaniny. To kolejny spójny mały świat, pokój herbaciany w stylu eklektycznym, ale zanim Jane ma czas o coś zapytać, Kiran ciągnie ją do kolejnego pokoju. Jane zaczyna dostrzegać, że jest zdezorientowana. To coś w rodzaju sennego roztargnienia. *Pewnie dlatego, że każdy pokój wydaje się nowym światem, nową erą, myślą.*

– Odnoszę wrażenie – podejmuje Kiran – że według Charlotte dom potrzebował czegoś w rodzaju kleju, który połączyłby jego części. Czegoś pozytywnego i uzdrawiającego, i czymkolwiek by była ta rzecz, mogła się stać jego duszą.

– Całkiem fajnie to brzmi – zauważa Jane. – Więc Charlotte próbowała zespolić każdy pojedynczy pokój? Albo coś w tym stylu?

– Taki był początek – mówi Kiran – ale ujednoczenie projektu każdego pokoju w niczym nie pomaga niepasującym częściom podstawowej struktury domu, wiesz? Fundamentom, szkieletowi. A Octavian nie miał nic przeciwko temu, by Charlotte dodawała różne rzeczy albo je przestawiała, ale nie podobało mu się, gdy chciała się czegoś pozbyć. Pokłócili się na przykład o regały w bibliotece, bo pochodziły z bibliotek wielu różnych domów na całym świecie. Charlotte chciała się pozbyć wszystkich tych regałów i zamiast tego zbudować nowe, z drewna z miejscowych, dobrze gospodarowanych lasów. Dla Octaviana to było zbyt skrajne rozwiązanie. Usiłował przekonać Charlotte, że te niejednolite początki domu są częścią jego uroku, a tym samym jego duszy. Charlotte na to powtarzała „Niemożliwe, niemożliwe” i w końcu przestała o tym mówić. „Stworzę duszę”, powiedziała.

– Z czego? Z taśmy klejącej? Albo... ze szkła – dodaje Jane z zachwytem, bo Kiran wciągnęła ją do pokoju, który wydaje się zrobiony ze światła. Jest ogromny, w kształcie litery L. To ogród zimowy. Podstawą litery L jest szklarnia, niesforna i wspiana, a jej pionową kreską kolejna przestrzeń z fotelami i stolikami skąpana w naturalnym świetle i ukryta w cieniu zielonych liści. Jane uświadamia sobie, że to tutaj są uprawiane wiszące nasturcje, bzy i żonkile. Jakaś kobieta czyści elementy sztukiaterii ściereczką do kurzu.

– Myślę, że próbowała stworzyć duszę na wiele różnych sposobów – mówi Kiran, zatrzymując się przy kwadratowym stoliku z szachownicą. Szachy są już ustawione, gotowe do gry.

– Twój ruch – mówi Jane.

Kiran się pochyła i przesuwając pionek. Jane przechodzi na drugą stronę stołu i robi to samo. Zwraca uwagę na to, jak kosztowna wydaje się ta szachownica i jak gładko poruszają się figury w porównaniu z podróznym magnetycznym kompletem, który należał do cioci Magnolii. Światło wpadające przez szklane ściany ogrzewa jej plecy.

Kiran przesuwając kolejny pionek. Mija kilka minut, obie wpatrują się w zamyśleniu w szachownicę i wykonują kolejne ruchy. Kiran gra w szachy lepiej od Jane. *Zugzwang*, myśli nagle Jane, przypominając sobie słowo określające sytuację, w której obowiązek wykonania ruchu w szachach poważnie szkodzi wykonującej go osobie. Ivy byłaby zachwycona tym słowem, Jane będzie musiała jej o tym powiedzieć.

– Jeśli mamy grać, to chyba powinnyśmy usiąść – mówi Kiran.

Coś w powietrzu uciskającym jej bębenki w uszach sprawia, że Jane nie ma ochoty siadać. To jakiś nieokreślony instynkt – porusza się, żeby znaleźć wygodniejsze miejsce.

– Mogłybyśmy – mówi bez przekonania i wykonuje ruch skoczkiem. – A jak Charlotte próbowała stworzyć duszę tego domu?

– Coraz bardziej to wszystko przeżywała – odpowiada Kiran. – Opowiadała o wsłuchiwanie się w każdy pokój, żeby to pokój jej powiedział, czym chce być. Ciężko pracowała w dzień i w nocy; zadreślała się tym. A potem zniknęła.

– Tak, słyszałam o tym.

Wiatr napiera na szkło i dom wokół nich wydaje z siebie pomruk – gdy kamień stawia opór wiatrowi. A potem kolejny dźwięk, coś jak śmiech, słaby i ulotny, jak gwizd pociągu w oddali. W chwili, gdy do pomieszczenia wchodzi Lucy St. George i Phoebe Okada, Jane przechodzą ciarki. Zaczyna się zastanawiać, czy nie nabawiła się infekcji uszu. Ucisk w jej głowie narasta.

– Słyszycie to, dziewczyny? – pyta Lucy, wydymając usta i przyglądając się ścianom.

– Co takiego? – pyta Phoebe. – Ja nic nie słyszałam.

– Dom wydał jakiś dźwięk – mówi Lucy. – Brzmiało to jak słowo. „Zawiedziona”.

– Ja słyszałam „zniknęła” – dopowiada Jane.

– Obie dziwnie się zachowujecie – stwierdza Kiran i zbija królową gońca Jane. – To ja powiedziałam „zniknęła”, a potem ty to powtórzyłaś, Janie. Charlotte zniknęła pewnej nocy, około miesiąca temu. Po prostu... odeszła. Octavian widział ją jako ostatni. Spała na sofie w bibliotece. Z tego, co potrafił powiedzieć, nie zabrała ze sobą nic, nawet ubrań na zmianę ani swojego pamiętnika. Zostawiła liścik, w którym napisała: „Kochanie, jest coś, czego muszę spróbować. Proszę, nie martw się. Jeśli to zadziała, wrócę po ciebie”.

– Co to znaczy? – pyta Jane. – Czego musiała spróbować?

– Nie mam pojęcia.

– „Jeśli to zadziała, wrócę po ciebie” – powtarza Jane. – A jak odeszła? Przecież to wyspa.

– Ktoś musiał po nią przyплыnąć i ją odebrać – mówi Kiran – bo nie zniknęła żadna łódź. Musiała zorganizować to wcześniej i wydaje mi się, że to bardzo zabolalo Octaviana. To, że zwierzyła się ze swoich planów komuś innemu, ale nie jemu.

– Ludzie rozmawiali o tym przy śniadaniu – mówi Jane. – Colin wspominał, że Octavian wynajął detektywów i tak dalej.

– Tak – potwierdza Kiran. – Byli prawdziwymi łowcami skandali. Wygrzebali jakieś rzeczy o rodzinie Charlotte, na przykład że jej matka była karana. Ale Octavian powiedział im, że wiedział o tym wcześniej i to nie ma żadnego znaczenia. Myślę, że naprawdę wierzy, że ona po niego wróci. Jakby wstrzymał swoje życie, czekając na to.

Jane myśli o tym, jak zginęła jej ciocia. Była zupełnie sama. Na szczęście ludzie ze stacji badawczej wiedzieli, dokąd się wybrała. Ponieważ ludzie czasami znikają i nie ma nikogo, kto byłby tego świadkiem, to skąd ci, którzy zostają i czekają, mieliby potem wiedzieć, co się stało?

– Tuż przed swoim zniknięciem zmieniła wygląd całego tego skrzydła – ciągnie Kiran, wykonując zamaszty gest ręką. – Zielony salon, niebieski salon, pokój herbaciany, to pomieszczenie, kręgielnię, basen, zbrojownię i prawie skończyła bibliotekę. Octavian bardzo się martwił, ale nie miał pojęcia, że zamierzała odejść. Przez cały czas mówiła tylko o systemie katalogowania.

– O systemie katalogowania?

– Charlotte postanowiła skatalogować książki z biblioteki według koloru – wyjaśnia Kiran. – To kompletnie niepraktyczne. Nie dałoby się niczego znaleźć.

– Jak to, według koloru?

– Według koloru grzbietu – wyjaśnia Kiran. – Biblioteka mieści się na tyłach domu i zajmuje dwa poziomy. Charlotte zaczęła opowiadać, że to kręgosłup Tu Reviens, jego ośrodek nerwowy, miejsce największej mocy. Potem zaczęła przypisywać wszystkie inne pomieszczenia do części ciała, mówiła, że wenecki dziedziniec to serce domu, kuchnia to jego żołądek, że główny hol jest ustami, wschodnia iglica, gdzie mieszka mama, to mózg, a kręgielnia to pochwa. Zrobiło się to trochę upiorne. I gdyby ktoś spróbował to namalować, wyglądałoby to jak najgorszy obraz Picassa.

– No cóż, z tego, co mówisz, biblioteka wydaje się niesamowitym miejscem – zauważa Jane. – Książki ułożone według koloru grzbietów. Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

– Właściwie już tam nie chodzę – odpowiada Kiran. – To ulubiona kryjówka Octaviana. Działa to na mnie przygnębiająco.

– Nie chcesz jej zobaczyć? – pyta Jane. – Bo ja chyba chcę.

– Ja ją widziałam – odzywa się Lucy, unosząc książkę *Świat zabawy*, którą trzyma w ręce. – To stamtąd ją mam. Jest tam naprawdę bardzo ładnie, jakby patrzyło się na fale barw. I odnosi

się wrażenie, jakby było się pod wodą. Biblioteka to ocean, a my jesteśmy rybami.

Gdzieś w Jane rozlewa się kropelka smutku.

– Chodźmy do biblioteki – mówi.

Ktoś nabazgrał na pomiętym kawałku papieru słowa *TEREN PRYWATNY* i powiesił go na grubej aksamitnej linie, która zagradza wstęp do biblioteki.

– To pismo Octaviana – mówi Kiran. – Nie wspominając już o tym jego kunszcie. Pewnie próbuje uchronić tę swoją bezcenną kryjówkę przed sprzątaczkami.

– Czy to znaczy, że nie możemy tam wejść? – pyta Lucy St. George.

– Oczywiście, że nie – odpowiada Kiran. – To znaczy tylko tyle, że Octavian nie chce, żebyśmy wchodziły.

– Hmm. Ale to jego dom – mówi Phoebe Okada.

Jane przez chwilę myśli, że to zabawne, że Phoebe chce uszanować Octaviana, respektując jego żalną barierkę z liny, choć zeszłej nocy skradła się skrzydłem dla służby, a jej mąż miał przy sobie broń. Zaraz jednak zapomina o tej myśli, ponieważ wydaje jej się nieistotna. Czuje, że musi tam wejść i zobaczyć ten ocean barw. Jeśli nie zrobi tego teraz z Kiran, Lucy, Phoebe i Jasperem, zamierza zakraść się tu później.

– Pewnego dnia Octavian wykituje. Wtedy to będzie mój dom – oświadcza Kiran. – A poza tym to przecież cholerna biblioteka. Ojciec nie może traktować książek jak zakładników. Jeśli chcesz wejść, to wchodź. – Te ostatnie słowa są skierowane do Jane, która wyciąga szyję i rozgląda się tęsknym wzrokiem.

Jane odczepia jeden koniec aksamitnej liny i wchodzi do biblioteki.

Otacza ją śpiew barw.

Książki w każdej bibliotece są kolorowe. Ale te tutaj falują i pulsują kolorami. I nie jest to takie proste, że błękity przechodzą w fioleto, a fioleto w czerwienie. Jest tu dział barw ziemnych, gdzie pomarańcze i zielenie przechodzą w czerwienie i brązy. Jest stonowany dział chłodnych żółci, które przechodzą w chłodne zielenie i chłodne błękity, oraz tętniący energią dział śmiałych, intensywnych odcieni każdej z barw. Poza tym działy stapiają się ze sobą, jaskrawe książki przechodzą w bardziej stonowane, między nimi pojawiają się stopniowo migocące metaliczne barwy, i tak dalej. To pomieszczenie wydaje się żywe; wrażenie jest takie, jakby było się we wnętrzu jakiejś żyjącej istoty. I w każdej książce, w każdym kolorowym grzbiecie, kryje się jakaś opowieść. Jane przypomina to podwodny świat cioci Magnolii, a także to, czym sama się zajmuje, bo chciałaby, by takie właśnie były jej parasolki. *Tak, myśli Jane, jeśli ten dom ma duszę, to jest ona właśnie tutaj.*

Przylapuje się na tym, że rozgląda się za Octavianem. Spodziewa się, że zauważy go w którymś kącie, ale nigdzie go nie widać. Jane przypomina sobie, że według Raviiego snuje się po nocach jak wampir.

Drzwi balkonowe prowadzą na taras i Jasper domaga się, żeby go wypuścić. Gdy Jane je otwiera, słyszy huk morza. Pies jak strzała wypada na zewnątrz i ogląda się na Jane. Podskakuje z zapałem i tęsknie spogląda jej w oczy, ale dopiero co weszła do biblioteki. Nic w tym tarasie jej nie pociąga.

– Baw się dobrze, misiu Jasperze – mówi, po czym zamyka mu drzwi przed nosem i się odwraca. *Ciociu Magnolio? To tak się czułaś w swoim podwodnym świecie? Szkoda, że nie możesz tego zobaczyć.*

– A co, jeśli nie znasz koloru książki, której szukasz? – pyta.

– Pozostaje ci katalog – wyjaśnia Kiran i wskazuje na ciemną drewnianą szafkę z małymi szufladkami, która stoi obok wejścia. – Tak jak w dawnych czasach.

Jane podchodzi do katalogu, wysuwa szufladę z literą K i szuka pierwszej książki, jaka przychodzi jej do głowy, *Kubusia Puchatka*. „Milne, A.A.” – brzmi treść fiszki. „Dział migocący. Szkarłat – błady róż. Czcionka: złota”.

– Dział migocący – mówi Jane i odwraca się zaciekawiona. Naprzeciw niej znajduje się dział szkarłatny, którego barwy nie wydają się dość łagodne. Są intensywne i jaskrawe, a nie migocące. Jane wraca na środek pomieszczenia, chodzi w kółko. Niewielka sekcja książek na drugim poziomie, nad balkonowymi drzwiami, na północnej ścianie domu łagodnie lśni szkarłatem, srebrem i złotem.

Jane wchodzi po spiralnych schodach na górny poziom biblioteki. Nim dociera do tych lśniących książek, wyobraża sobie parasolkę, która wyglądałaby jak ta biblioteka. Wciąż czuje ucisk w uszach, ale już prawie tego nie zauważa.

Jest zdumiona tym, jak szybko udaje jej się odnaleźć Milne’a.

– Dobra robota, Charlotte – mówi, wyciągając rękę po książkę. Ta z przyjemnym dreszczykiem wsuwa się w jej dłoń, jakby ocierał się o nią zadowolony kot z grzbietem wygiętym w łuk. Gdy Jane trzyma ją już w rękach, książka otwiera się na rozdziale *W którym Puchatek idzie z wizytą i wpada w potrzask*. Puchatek odwiedza Królika, a potem zjada tyle miodu, że nie jest w stanie się przecisnąć przez okrągłe drzwi. Tkwi w nich jak korek i nie może wyjść. Na zewnątrz Krzyś siedzi przy głowie Puchatka i mu czyta. W środku Królik stara się znaleźć w tej sytuacji jakieś dobre strony i wiesza na grubych łapkach Puchatka ręczniki.

Jednak ten egzemplarz książki jest jakiś dziwny. Jane wie, albo wydaje jej się, że wie, jak się powinna skończyć ta historia. To jedna z jej ulubionych opowieści i czytała ją wielokrotnie, siedząc na fotelu z cicią Magnolią: Puchatek przestaje jeść, Puchatek chudnie i po tygodniu Krzyś, Królik oraz wszyscy Krewni i Znajomi Królika łapią go i wyciągają z dziury.

W tej wersji jednak dzieje się coś innego. W miarę jak mija tydzień, ciało misia zaczyna się stapiać z dziurą w ziemi. To boli. Puchatek płacze.

Jane wystraszona zatrząskuje książkę. Po chwili ogarnia ją złość na pisarza, który uznał, że zabawnie będzie ją w ten sposób zmienić. I pozostaje jej surrealistyczne poczucie, że tkwi w dziurze w ścianie, a pani Vanders wiesza ręczniki na jej nogach, zupełnie nie zwracając uwagi na to, że z jej nowym wieszakiem jest coś nie tak. Nuci sobie pod nosem piosenkę o deszczu.

Jane się otrząsa. Wcale nie zrosła się ze ścianą. Jest człowiekiem i stoi na półpiętrze biblioteki. W uszach ma takie uczucie, jak nigdy dotąd i zaczyna sobie uświadamiać, że coś jest bardzo nie tak.

– Jeśli chodzi o bibliotekę, to Charlotte osiągnęła tu zupełnie nowy poziom obsesji – odzywa się z dołu Kiran. – Octavian praktycznie musiał się tu wprowadzić, by w ogóle móc spędzać z nią czas. I wygląda na to, że wciąż się nie wyprowadził.

Jane spogląda znad poręczy i widzi, że Kiran stoi w jakimś ciemnym kącie po drugiej stronie pomieszczenia, za metalowymi spiralnymi schodami. Książki w tym dziale mają kolory czerni, brązu i najgłębszych odcieni fioleto. W tym pełnym barw pomieszczeniu łatwo przeoczyć stojącą tam sofę, na której piętrzą się sterty koców, książki i popielniczki z resztkami tytoniu fajkowego. Teraz Jane sobie uświadamia, że czuła jego woń, odkąd weszła do biblioteki. Na niskim stoliku u wezłowania sofy stoi stary gramofon.

Jane to nie obchodzi. Chce stąd wyjść.

– To musi być jego nocna kryjówka – ocenia Kiran, z niesmakiem marszcząc nos, a potem

przestawia przesypującą się popielniczkę ze zmiętego koca na skraj stolika. – Co to za sposób na spędzanie czasu? Uch! Macie czasem wrażenie, że w każdej wersji waszego życia jest coś nieuniknionego?

– Co masz na myśli? – pyta Phoebe.

– Że w tej wersji swojego życia Octavian zawsze będzie miał depresję? Czy w takim razie cokolwiek, co zrobimy, ma jakieś znaczenie?

– Nie nadążam – mówi Phoebe. – Oczywiście, że to ma znaczenie.

– Nie chcę już rozmawiać o Charlotte – odzywa się Jane.

– Nie mówię o Charlotte – odpowiada jej Kiran. – Mówię o Octavianie. Bolą cię uszy?

Jane czuje się tak, jakby jej głowa zmieniła się w balon.

– Ale Octavian snuje się po tej bibliotece, bo ma depresję z powodu Charlotte – upiera się. – Prawda? Wszystko sprowadza się do niej.

Lucy St. George, która wciąż nosi ze sobą książkę *Świat zabawy*, przeszła na drugi koniec biblioteki i łagodnie głaszcze lśniące drewno regałów. Jane przyłapuje się na tym, że w tym samym rytmie pociera poręcz balustrady na półpiętrze. To jakiś dziwny wewnętrzny imperatyw. Gwałtownie cofa rękę i mówi:

– Tak, bolą mnie uszy. Praca na mnie czeka. Wracam do swojego apartamentu.

– Czym się zajmujesz? – pyta ją Lucy.

– Robię parasolki.

– Naprawdę. A może je też naprawiasz? Mam jedną, która źle się otwiera.

– Przynies ją do mnie – odpowiada ze zniecierpliwieniem Jane i kieruje się w stronę spiralnych schodów. – Wschodnie skrzydło, drugie piętro, na samym końcu. Wejdz bez pukania. Zobaczę, co uda mi się zrobić.

– Dzięki – odpowiada Lucy, a potem wydaje z siebie cichy okrzyk i gwałtownie odsuwa rękę od regałów.

– Co się stało? – pyta Phoebe.

– Nic – odpowiada Lucy, przyglądając się uważnie wnętrzu dłoni. – To tylko jakaś drzazga albo jakieś... zwarcie. Coś w tym stylu.

– Przecież regał nie może mieć zwarcia – mówi Phoebe.

Wszystkie włoski na ciele Jane się unoszą. *Wydostań się stąd*, powtarza sobie w myślach, schodząc po schodach. *Wydostań się*. Jasper przywarł nosem do szyby drzwi na taras i zaniepokojony skomle. Jane go wpuszcza, a potem jak najszybciej przechodzi na drugi koniec pomieszczenia. Zachowuje się nieuprzejmie. Przechodząc na wenecki dziedziniec, nawet nie żegna się z pozostałymi.

– Jasper – mówi, zatrzymując się na zewnątrz, by zaczerpnąć powietrza przesyconego słońcem – było tam bardzo dziwnie.

Pies opiera się o jej łydki i popycha ją, cicho popiskując.

– Tobie też się tam nie spodobało? – pyta Jane. – Chodźmy.

Jane jest już prawie u siebie, gdy uświadamia sobie, że wciąż ściska w ręce *Kubusia Puchatka*.

Światło w jej apartamencie jest jasne i ciepłe. Jane dochodzi do wniosku, że może praca pomoże jej poukładać sobie różne rzeczy w głowie.

Ostatnio pracowała nad parasolką do samoobrony w barwach brązu i złota. Wciąż podoba jej

się ten pomysł. Ma nawet mgliste wyobrażenie czegoś, przed czym chciałyby się bronić, jakiegoś wiszącego w powietrzu uczucia, które próbuje mącić jej w głowie. *Głuptas ze mnie*, łąją się w myślach. *Pewnie powinienam po prostu napić się kawy. Zaraz sobie ją przyniosę, ale najpierw muszę jeszcze położyć się na podłodze i pomyśleć o mojej parasolce.* Zamiast poduszki używa *Kubusia Puchatka*. Do apartamentu wpadają poranne promienie słońca, kosmaty dywanik jest taki miękki, Jasper układa się obok niej.

Gdy Lucy St. George wchodzi do jej apartamentu z granatową parasolką, Jane drzemie.

– O rany! – wzdycha Lucy, rozglądając się po pokoju pełnym kolorowych parasolek.

– Mhm – mruczy Jane. Siada i próbuje się skupić. Wciąż jeszcze nie wybudziła się do końca z dziwnego snu, którego nie potrafi opisać; już zaczyna go zapominać. Jasper obok niej parska. – Przepraszam. Plama słońca.

– Teraz, gdy już zobaczyłam twoje parasolki, czuję się zażenowana, pokazując ci moją – mówi Lucy. – Jest przy nich strasznie nudna.

Jane kompletnie zapomniała, że miała naprawić jej parasolkę.

– Au! – Lucy potrząsa wolną dłonią, jakby ją bolała.

– Wszystko w porządku?

– Tak, tylko wciąż mrowi mnie ręka po tej drzazdze czy co to tam było. Proszę. – Podaje Jane parasolkę. – Dziwnie się otwiera, sama zobacz.

Parasolka Lucy faktycznie dziwnie się otwiera, ale tylko dlatego, że jeden z drutów jest zagięty i trzeba go wzmocnić, i przywrócić mu dawny kształt.

– Bez problemu ją naprawię – mówi Jane. – Słuchaj, nie mam w tej chwili właściwych farb, ale na tym rodzaju nylonu można uzyskać prześliczne efekty, jeśli ma się odpowiedni klej i brokat.

Lucy zaciska usta, żeby nie uśmiechnąć się szeroko.

– Czyli chcesz dodać blasku mojej nudnej parasolce? Śmiało, nie krępuj się.

– Naprawdę? – pyta Jane. – Możliwe, że efekt wcale nie będzie subtelny.

– Zaszalej z nią – mówi Lucy. – Zaciekawiałaś mnie.

– Hej! – Jane uśmiecha się zaskoczona. – Dzięki.

– Myślisz, że ten dom ma swoje humory? – pyta Lucy.

– Że jak?

– Humory, no wiesz. Nie wydaje ci się, że ma emocje, zamiary i własne cele?

– Dom?

– Tak.

– Eee... Nie sądzisz, że to trochę niedorzeczne?

– Czyli mam to uznać za nie? – pyta Lucy ze słabym uśmiechem.

– Zgadza się. – Jane jest zaskoczona pasją, którą słyszy we własnych słowach. – To znaczy, chyba tak uważała Charlotte, ale wygląda na to, że była trochę... dziwna. Rozmawiałaś o niej z Kiran?

– Nie, to po prostu takie moje wrażenie. Powiedz mi, jeśli zmienisz zdanie. Wygląda na to, że mój punkt widzenia jest odosobniony.

Po wyjściu Lucy Jane ma nagle wizję parasolki do samoobrony, którą musi zrobić. Gdy jest złożona, leży jej w ręce jak klinga, którą można poszatkować wibrujące powietrze. Będzie się otwierała z głośnym trzaskiem, przepędzającym wszystkie złe rzeczy. *Tak*, myśli Jane, *zostanę tu na dywaniku i będę to kontemplować.* Jednak gdy z powrotem się kładzie, przed jej oczami pojawia się smutny kącik Octaviana w bibliotece. Jaką można by z tego zrobić parasolkę?

Wstaje, by wypuścić Jaspera, potem znów się kładzie. Gdzieś daleko powietrze i woda przepychają się przez rury, dając chaotyczny koncert, niczym melancholijne westchnienia. Jane przyłapuje się na tym, że głaszcze dywanik, jakby chciała uspokoić siebie albo kogoś innego.

Ciche odgłosy domu układają się w harmonie wokół tokarki Jane, jej wiertarki, piły oscylacyjnej, maszyny do szycia i roztargnionego nucenia. Szklana ściana wychwytuje światło i ciepło, które są dla Jane jak paliwo do pracy. Energia tego pokoju odsuwa na bok wszystko inne; parasolka, którą właśnie robi, jest dla niej całym światem.

Ma druty, tak jak Jane ma zebra. Ma jedną długą nóżkę, na której balansują pozostałe części; ma ruchome zginające się przeguby, tak jak Jane stawy, i skórę naciągniętą na kościach. Jane będzie malować na tej skórze, tak jak tatuażysta pozostawił ślad na jej własnej. Jak to miło mieć wodoszczelną skórę i ciało, które potrafi odpoczywać czy też wibrować z napięcia. Jak to przyjemnie mieć działające części, które ktoś stworzył z miłością. W wyobraźni Jane deszcz tworzy własną melodię. Każda parasolka rodzi się, znając ten dźwięk, jej dusza za nim tęskni. Cierpliwie przeczekuje kolejne pogodne dni, aż w końcu nadchodzi ten dzień, gdy krople deszczu bębnią o jej skórę.

Jane się otrząsa. Ma mętlik w głowie. Zastanawia się, czy to naprawdę jej myśli. Dlaczego ma wrażenie, że to myśli kogoś innego? Poza tym jest jej gorąco i gdy usiłuje sobie coś przypomnieć, stwierdza, że nie wie, co ostatnio robiła. Pamięta jak przez mgłę... intensywną więź z parasolką, nad którą pracowała. Wciąż bołą ją uszy i uświadamia sobie, że w kółko coś nuci pod nosem. To melodia Beatlesów – *Eleanor Rigby* – mówiąca o samotności.

Jane chwytą krawędź roboczego stołu i oddycha na meduzę. Potem wyczuwa pod palcami płaskorzeźbę, która przedstawia łagodnego rekina wielorybiego pływającego z młodymi. Płaskorzeźby biegną wzdłuż całej krawędzi i są misternie wykonane. Ten stół musiała zrobić Ivy. Ivy, myśli Jane i przejaśnia jej się w głowie. *Ciocia Magnolia. Ja.*

Czemu Jane czuje zapach farby?

Odwraca się gwałtownie w stronę tego, czym się zajmowała, i odkrywa na czaszy parasolki nieukończoną scenę. Wygląda to jak ciemnobrązowe i czarne książki w bibliotece i widać też płamę, która stanowi początek sofy Octaviana. Nie taki był plan; to miała być jej parasolka do samoobrony. Kiedy się tak rozkojarzyła?

Jane zatrząskuje farby. Potrzebuje świeżego powietrza, musi otworzyć okno.

Odkrywa, że jedna z niżej położonych szyb w przeszklonej ścianie się uchyła. Zawiasy stawiają opór, ale teraz jest zdeterminowana, używa własnych narzędzi, by je naoliwić. Napiera z całej siły i udaje jej się lekko uchylić szybę. Przez szparę wpada słaby prąd chłodnego powietrza.

Jane odkłada na bok parasolkę do samoobrony. Za bardzo ją do niej ciągnie. To niepokojące. Zamiast tego naprawi i upiękniejszy grantową parasolkę Lucy.

Naprawa wygiętego drutu zajmuje jej tylko kilka minut. Jeśli zaś chodzi o ozdoby, Jane podejrzewa, że Lucy wolałaby coś spokojnego i gustownego. Może maleńkie, migocące gwiazdy na nocnym niebie, najbardziej naturalny pomysł, kiedy ma się do dyspozycji granatową czaszę, klej i brokat. Może nawet coś jeszcze prostszego.

Jane wybiera jeden z klinów i nakłada na niego równe pasmo kleju. Proste, nieliczne linie. Od tego zacznie, będzie powściągliwa i zobaczy, dokąd ją to doprowadzi.

Nie ma pojęcia, ile upłynęło czasu, gdy do jej uszu dociera jakiś odgłos, jakby krzyk. Gubi wysoką nutę nuczonej piosenki i ten dysonans wyrывa ją z otumanienia. To kolejna melodia

Beatlesów – *She's Leaving Home* – opowiadająca o dziewczynie, która ucieka z domu, opuszcza mających dobre chęci, ale surowych rodziców i zostawia ich, by rozpamiętywali swój smutek i zawód. Jane nie zdawała sobie nawet sprawy, że zna tekst tej piosenki. W dodatku pozmiała słowa. Wszystkie imiona i zaimki zastąpiła imieniem Charlotte, jakby jej bohaterowie – dziewczyna, matka i ojciec – mieli tak na imię. „Charlotte opuszcza dom, bye-bye”.

Jane stwierdza, że odeszła od stołu Ivy, choć nie przypomina sobie, żeby pozbierała materiały i przeniosła je na drugi koniec pokoju. Wygląda na to, że pracowała na rozciągniętym na podłodze brezencie, siedząc po turecku. Bola ją przygarbione plecy. Prostuje się, kręci szyją. Spogląda na to, co zrobiła z parasolką Lucy, i ogarnia ją przerażenie.

Paski, które zaczęła robić, zmieniły się w kraty więziennej celi. Za kratami na pryczy siedzi kobieta, opiera głowę o ścianę, patrzy przed siebie pustym wzrokiem, jej twarz jest ponura. Cała scena ma mnóstwo cieni i głębi uzyskanych z różnych kolorów i grubości klejów oraz brokatu. To imponujący artystyczny wyczyn, biorąc pod uwagę, jak nieporęczne miała media. Kobieta ma na sobie nawet więzienny kombinezon z pomarańczowego brokatu. Na jej udzie leży książka.

Łagodny łuk jej włosów sprawia, że bardzo przypomina Lucy.

O do diabła, myśli Jane. Jak to się stało?

Gdzieś w domu ktoś krzyczy. To męski głos, pełen wściekłości, gdzieś blisko niej. Odpowiada mu wrzask innego mężczyzny i Jane poznaje ton tej kłótni. Słyszała już te podniesione głosy. Ravi i Octavian znów się sprzeczą. Z więzienną parasolką Lucy w ręce, Jane przechodzi do sypialni i dociera do niej, że Jasper skomle za drzwiami i drapie w nie, by go wpuściła. Od jak dawna tam czeka? Wszyscy w tym domu są nieszczęśliwi. Gdy Jane otwiera drzwi, wpada do środka, zaczyna biegać wokół niej i głośno szceka.

Jane ignoruje go najlepiej, jak potrafi, i wciąż z rozłożoną parasolką w ręce rusza korytarzem w stronę tych podniesionych głosów. Wydają się dobiegać z jakiegoś miejsca między jej apartamentem a weneckim dziedzińcem.

– Czołem – mruczy niewyraźnie, gdy niemal się potyka o Kapitana Biegunkę.

Hałasy dobiegają z sypialni Octaviana. Octavian siedzi na ogromnym wysokim łożu, pognieciona jedwabna pościel sięga mu do pasa i jest ubrany w T-shirt z napisem „All You Need Is Love”. Pociera ze znużeniem bladą twarz i mruży oczy w świetle wpadającym przez rozsunięte zasłony.

Ivy stoi w nogach łóżka obok Ravięgo, a ten krzyczy i wymachuje rękoma.

– W ogóle cię to nie obchodzi, tato! Jesteś jak skorupa, w której nic nie zostało. Zmieniasz się w ducha. Niedługo zaczniesz przechodzić przez ściany!

– Może i tak – cedzi Octavian przez zaciśnięte zęby – ale zabraniam ci, absolutnie zabraniam grzebać w rzeczach personelu i gości, by szukać odpowiedzi na twoje zwariowane pytania.

Ivy ma za uchem małego złotego żonkila. Lucy St. George stoi tuż za progiem, w jej rozszerzonych oczach widać szok. Wpatruje się w Ravięgo. Kiran opiera się o ścianę, z założonymi rękoma i beczelną miną, jak zbuntowana dwunastolatka.

Jane przystaje na progu, trzymając za plecami ozdobioną parasolkę Lucy; stara się nie dotknąć nią framugi, by nie zostawić śladów po świeżym kleju i brokacie. Jasper raz po raz trąca ją nosem w łydki. To irytujące.

Ivy zauważyła, że zjawiła się Jane. Podchodzi do niej, wysuwa z włosów żonkila i uśmiecha się szeroko. Ravi dalej wrzeszczy na ojca.

– Cześć, Janie – mówi i spogląda na zbzikowanego psa, a potem na otwartą parasolkę.

Następnie zerka na drugą rękę Jane, a ta uświadamia sobie, że nosi ze sobą *Kubusia Puchatka*, choć nie pamięta, by zabierała tę książkę, wychodząc.

– Spójrz tylko – mówi Ivy, podsuwając trochę pogniecionego żonkila. – Z okazji gali ozdobili zbroje żonkilami. Siedem liter i „ż”.

– Co? – pyta zdezorientowana Jane.

– Żonkile? – powtarza Ivy. – To rodzaj żółtych narcyzów.

– Aha. Dzięki, ale nie mam wolnej ręki. Czemu Ravi i Octavian na siebie wrzeszczą?

Ivy wydaje się trochę przygnębiona.

– Jest taka marmurowa rzeźba ryby na drewnianym postumencie – wyjaśnia. – Stworzył ją słynny rzeźbiarz Brâncuși. Stała na stole w głównym holu. Ravi właśnie znalazł pusty postument. Ryba zniknęła. Ktoś odłamał ją od postumentu i zabrał, a Ravi uważa, że jego ojciec dostatecznie się tym nie przejmuje.

– Ach – mówi Jane, ale wciąż nie rozumie.

Teraz Ivy próbuje przyjrzeć się dokładniej parasolce, którą Jane trzyma za plecami. Przeciska się obok niej na korytarz. Jane podaje jej parasolkę. Musi się dowiedzieć, co zobaczy Ivy, gdy będzie się jej przyglądać.

– Chwileczkę – mówi Ivy. – Ta kobieta na parasolce to Lucy St. George?

– Uważasz, że jest do niej podobna?

– W więzieniu? – pyta Ivy. – Stworzyłaś obraz Lucy w więzieniu, używając brokatu?

– Palce mi się omsknęły.

– To niesamowity obraz z brokatu – mówi Ivy z podziwem w głosie. – Jest naprawdę niezwykły. Ale dlaczego namalowałaś ją w więzieniu?

– Nie wiem – odpowiada Jane. – Wcale tak nie zamierzałam.

Ivy zerka na jej twarz.

– Wszystko w porządku, Janie? – pyta. – Wydajesz się jakby... zdezorientowana.

W tym momencie Jane uświadamia sobie, że to prawda.

– Wiesz – mówi – przez cały dzień tak się czuję. Jakbym miała plamki przed oczami.

Ivy kładzie dłoń na ręce Jane, w miejscu gdzie są czułki wytatuowanej meduzy. Pod wpływem jej dotyku widzi korytarz jakby ostrzej i ustępuje ucisk w uszach. Ivy pachnie chlorem. Jej dłoń jest ciepła, uśmiech łagodny.

– Och – wzdycha Jane i zastanawia się, czy to by było dziwne, gdyby mocno się do niej przytuliła. – Dziękuję. Żonkile. Rozumiem. Przepraszam. To był przedziwny dzień.

Nie zabierając ręki, Ivy wsuwa żonkila za ucho Jane. To łaskocze.

Jane się rumieni.

– Nie wydaje ci się, że może się przepracowujesz? – pyta Ivy.

– Nie wiem. Coś dziś wisi w powietrzu.

– No cóż, bądź ostrożna. Tam jest Lucy. Nie chcesz chyba, by zobaczyła tę parasolkę?

– Nie – mówi pewnym głosem Jane. – Nie chciałam, żeby to tak wyszło. Będę musiała to jakoś zetrzeć.

– O rany, naprawdę musisz? – pyta Ivy. – Bo to niesamowita parasolka. Tyle tylko, że... to chyba niezbyt miłe wobec Lucy. Uważasz ją za kryminalistkę albo coś takiego?

– Oczywiście, że nie!

– Przecież Lucy jest prywatnym detektywem, prawda? To znaczy, sama wysyła ludzi za kratki.

– Okropnie się z tym czuję – mówi Jane.

– Niepotrzebnie. Ale może powinnaś zanieść tę parasolkę z powrotem do pokoju, zanim Lucy ją zobaczy. No już, daj mi ją. – Ivy sięga po rączkę parasolki.

W chwili, gdy puszcza rękę Jane, powraca mętlik w głowie.

– Idzie Lucy – szepcze Ivy. Ciągnie lekko za parasolkę. – No już, daj mi ją. Zaniosę ją do twojego saloniku. – Musi podważyć palce Jane, by ta puściła rączkę. Ivy zerka na nią zaintrygowana, po czym odchodzi korytarzem z parasolką, kierując się w stronę apartamentu Jane.

Jane słyszy za plecami głos Lucy.

– Przepraszam.

– To ja przepraszam – mówi Jane i odsuwa się, by ją przepuścić.

Lucy wpada na nią, wychodząc na korytarz. Na jej twarzy maluje się panika.

– Co się stało? – pyta Jane.

– Nic – odpowiada Lucy i odchodzi szybkim krokiem.

– Nie czujesz się dziś dziwnie?! – woła za nią Jane. – Bo ja tak!

Lucy zatrzymuje się w szalonym marszu. Odwraca się do Jane, blada, z napięciem na twarzy. Podobnie jak Jane ściska w ręce swoją książkę.

– Zdarzyło ci się kiedyś kogoś kochać i wiedzieć, że ten ktoś kocha ciebie, czuć do kogoś pociąg i wiedzieć, że ten ktoś czuje do ciebie to samo, i że tyle rzeczy idealnie pasuje, ale to nie ma żadnego znaczenia, bo te kilka szczegółów, które nie pasują, są kompletnie porąbane?

– Masz na myśli Ravięgo? – pyta Jane.

– Podjęłam pewne niefortunne decyzje – mówi Lucy i przyciska palce do skroni. – Czuję się, jakby miała mi pęknąć głowa. Ty też?

– Jak to, niefortunne decyzje? W związku z Ravim?

– Och, było ich chyba ze sto. Ravi nie wchodzi w grę. Nie mogę uwierzyć, że rozmawiam o tym z tobą. Mniejsza z tym.

– Czy te decyzje miały coś wspólnego z łamaniem prawa? – pyta Jane, myśląc o parasolce.

Oczy Lucy się rozszerzają.

– Rany, dlaczego pytasz mnie o coś takiego?!

– Przepraszam. – Jane jest zdezorientowana. – Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Strasznie dziwnie się dzisiaj czuję.

W tym momencie Ravi wychodzi z sypialni Octaviana. Chwyta Jane w pasie rozgrzanymi dłońmi i niezbyt delikatnie ją przesuwają, by nie stała mu na drodze. Rusza w stronę swojego apartamentu na końcu korytarza, jego policzki są mokre od łez. Nawet nie zerka na patrzącą za nim Lucy. Na jej twarzy widać rozczarowanie, którego nie potrafi ukryć.

Komórka Lucy zaczyna dzwonić, ale ta nie reaguje. Wciąż patrzy za Ravim.

– Dzwoni twój telefon – mówi Jane.

– Co? Ach! – Lucy obmacuje przednie i tylne kieszenie i w końcu wyjmuję komórkę. Odchodzi kawałek dalej, w stronę środka domu i mówi: – Tak, tato? O co chodzi?

Jane zostaje na progu sypialni Octaviana, sama, z najbardziej pobudzonym psem na świecie. Jasper znów trąca ją głową, jakby próbował się znokautować o jej golenie.

W sypialni Octavian i Kiran mierzą się wzrokiem.

– To tego trzeba, żebyś zajrzała do starego ojca? – pyta Octavian, ze znużeniem pocierając oczy. – Ktoś musi ukraść rzeźbę?

– Ty też mnie nie szukałeś, tato – odpowiada Kiran. – Wiedziałaś, że od jakiegoś czasu jestem

w domu.

– Czemu miałbym ci się narzucać, jeśli tego nie chcesz?

– Gdyby Charlotte wróciła teraz po długiej nieobecności – mówi Kiran – nie siedziałbyś z założonymi rękami, czekając, aż do ciebie przyjdzie.

– To co innego. Charlotte zniknęła bez żadnego uprzedzenia. Nie mam pojęcia, dokąd się udała ani dlaczego.

– Gdybym to ja zniknęła bez uprzedzenia – odpowiada Kiran – zarzuciłbyś mi, że jestem samolubna i niedojrzała. Kiedy robi to Charlotte, snujesz się z kąta w kąt, za dużo palisz, przestajesz się kąpać i przesypiasz całe dni. Wiedziałaś, że miałam wczoraj przyjechać, i nawet nie chciało ci się wstać z łóżka.

– Kiran – mówi Octavian. – Sugerujesz, że kocham żonę bardziej niż córkę? Że gdybyś zniknęła, nie byłbym zrozpaczony? Naprawdę w to wierzysz?

– Sugeruję, że musisz się z tego otrząsnąć – odpowiada ze złością Kiran. – Od kiedy to przesypiasz całe dni i nie obchodzi cię, że znika jakieś ważne dzieło sztuki?

– Ach tak! – Octavian również podnosi głos. – Jesteś na mnie zła, bo mam depresję. Ja też mam się na ciebie wściekać, bo masz depresję?

– Tak! – krzyczy Kiran. – Powinieneś! Powinieneś mi wygłaszać długie, nudne kazania, że muszę znaleźć pracę i że według ciebie jestem z niewłaściwym mężczyzną, i niszczę sobie życie!

– Jesteś z niewłaściwym mężczyzną! – teraz Octavian niemal krzyczy. – I niszczysz sobie życie!

– To mi to powiedz! – wrzeszczy Kiran. – Nie snuj się po domu w kapciach, tęskniąc za Charlotte, obojętny na wszystko inne!

– Nie jestem obojętny! – protestuje Octavian. – Jestem po prostu... – Urywa i znów pociera oczy. – Zmęczony.

– To idź na spacer! – mówi Kiran. – Albo popływaj! Jedź do Nowego Jorku i kup jakiś obraz! Jasne, że jesteś zmęczony! Przecież nigdy nic nie robisz!

– Nie jestem w stanie jasno myśleć – odpowiada Octavian. – Odkąd Charlotte odeszła.

– Rozumiem, że czujesz się zraniony, tato!

– Nie. Nie! To nie tylko to. Czuję się tak, jakby odchodząc, zabrała ze sobą część mojego mózgu. Mam mętlik w głowie i ciągle chcę być w bibliotece. Wciąż jestem senny i tracę poczucie czasu.

– To nienormalne, tato – mówi Kiran. – Powinieneś jechać do miasta i umówić się z lekarzem.

– Nie mogę stąd wyjechać.

– O czym ty mówisz? Oczywiście, że możesz.

– Charlotte mnie potrzebuje, chce, żebym tu był – mówi Octavian.

– Charlotte tu nie ma.

– Jest gdzieś blisko – odpowiada Octavian. – Jeśli tu zostanę i dalej będę próbował się z nią skontaktować, sprowadzę ją z powrotem.

– Tato, to, co mówisz, nie ma żadnego sensu. Skąd ją sprowadzisz? Z zaświatów? Tak jak w micie o Orfeuszu i Eurydyce? Charlotte odeszła! Nie ma jej!

– Ona do mnie mówi – odpowiada Octavian. – Śpiewa. Chce, żebym do niej dołączył.

– Dobra – mówi ostro Kiran. – Dostyc tego. Masz urojenia. Zaraz po gali wsadzimy cię z Ravim na łódź i zabierzemy cię do lekarza. I nie będziesz miał w tej sprawie nic do powiedzenia.

Jane dostrzega w tym pokoju coś dziwnego. Powietrze jakby wibrowało, dzwoniło, jakby

miało w sobie jakąś energię. Ta energia jest skupiona na Octavianie. *Gdyby to, co wyczuwam, było widoczne, myśli Jane, Octavian wydawałby się zamazany. Jakby jakaś jego część istniała w innym wymiarze.*

– Założę się, że w bibliotece prawie pan znika – wyrywa się na głos Jane.

Kiran i Octavian odwracają się i gapią na nią. Jasper zaczyna podgryzać nogę Jane. Otwiera pysk, chwyta jej łydkę i mocno zaciska zęby.

– Au! – krzyczy Jane. Pokój nagle się wyostrza, dzwoni cichnie. – Jasper! Ty sadysto!

Pies zrobił dziurkę w jej dżinsach w czarno-białe prążki. Jane czuje nagle, że musi wyjść na dwór i zaczerpnąć powietrza. Natychmiast. To desperacka, paląca potrzeba.

– Idę na spacer – mówi do Kiran i Octaviana. – Na razie.

Jasper się odwraca i wybiega na korytarz. Jest tak podekscytowany, że aż podskakuje. Jane rusza za nim.

Jasper sprowadza ją po schodach. Choć raz nie płacze jej się pod nogami. W głównym holu zmusza ją, by ominęła kobietę, która sprząta z podłogi gałązki bzu i odłamki szkła. Jane w pierwszej chwili nawet jej nie zauważyła i jest tym podenerwowana. Tak bardzo odpłynęła, że niemal na kogoś wpadła. Przyłapuje się na tym, że powtarza w myślach: *Ciociu Magnolio, ciociu Magnolio, ciociu Magnolio.*

Jej uwagę przykuwa fotografia w ramce na jednym ze stołów. To portret młodej blondynki z jakimiś innymi ludźmi, i gdy Jane próbuje do niego podejść, Jasper z zapalem ją odpędza. Kobieta na zdjęciu uśmiecha się maniackalnie. Jane wie, że to Charlotte. Wyciąga szyję, by się lepiej przyjrzeć, a tymczasem Jasper popycha ją w stronę frontowych drzwi.

Gdy tylko Jane wychodzi na zewnątrz, zaczyna się budzić. Czuje promienie słońca na skórze, słyszy huk morza i szum wiatru. Te dźwięki są normalne, naturalne, dziwny ucisk w uszach ustępuje. Stoi przed domem, w słońcu, na wietrze i głęboko oddycha „na meduzę”. *Ciociu Magnolio.*

Nagle Jane myśli o tym, w jaki sposób umarła jej ciocia. Zamarzła podczas śnieżycy. Miała hipotermię. Później Jane dowiedziała się od lekarki ze szczegółami, jakie to musiało być uczucie. Ciocia Magnolia musiała się zmagać z poczuciem zamroczenia, takim jak to, którego dziś doświadcza Jane. Nie była w stanie zapamiętywać różnych rzeczy, czuć, że wszystko jest spójne. Walczyła z tym, próbowała jasno myśleć, ale to było niemożliwe i w końcu uległa tej mgłę. Nie miała wyboru.

Ciociu Magnolio? Dlaczego mnie wysłałaś do tego dziwnego domu? Wiedziałaś, że będę się tu tak czuła? Jane podnosi wzrok. Przed nią leży Tu Reviens, ogromne i zimne, poznaczone oknami jak śladami po ospie, z niepasującymi do siebie kamieniami. Nasuwa jej na myśl jakiegoś starego smoka o wielu oczach jak szklane paciorki. Brakuje mu wielu łusek. Smok pilnuje swojego skarbu. *Wydaje się... samotny, myśli Jane. I głodny.*

Instynkt jej podpowiada, że na przyszłość mądrze będzie trzymać się z dala od biblioteki.

Jasper wydeptuje ścieżkę przez wysoką trawę przed domem, która sięga mu aż do szyi. Kieruje się do wschodniej części domu, gdzie Jane dostrzega zarysy ogrodu. Rusza za nim, brodzi w mokrej trawie, spokojnie, świadomie oddycha.

Gdy obchodzi róg budynku i trafia do ogrodu, uderza w nią zapach świeżej zimnej ziemi. Widzi tulipany i *żonkile* – żonkile, myśli, unosząc dłoń do ucha – i drzewo magnolii, które wygląda, jakby zaraz miały mu pęknąć pąki, obsypując je kwieciami.

Na skraju trawnika pan Vanders siedzi na śmiesznej krzywej ławeczce, która wygląda, jakby

nadawała się bardziej do medytacji niż do prac w ogrodzie. A może to wrażenie bierze się stąd, że tak powoli, kontemplacyjnie kopie. Ogród i dziedziniec przed domem są poznaczone nierównymi, chaotycznymi dołkami i kupkami ziemi.

– O, dzień dobry! – mówi Jane. Nie chce mu przeszkadzać, ale woli mu dać znać, że nie jest sam.

Pan Vanders próbuje coś powiedzieć, ale zamiast tego kicha.

– Na zdrowie – mówi Jane.

– Dziękuję – odpowiada pan Vanders i wyciąga chustkę do nosa. – Przepraszam. Mam alergię na wiosnę. Wybierasz się na spacer?

– Muszę uporządkować sobie trochę w głowie – odpowiada Jane, gestykulując książką, którą trzyma w ręce. – Czuję się rozkojarzona, a więc wyszłam zaczerpnąć świeżego powietrza. Jeśli ma pan alergię, to czy powinien pan pracować w ogrodzie?

– Nie wolno nam go zaniedbać – odpowiada pan Vanders. Kicha potężnie, po czym wzdycha i rozprostowuje plecy.

Chłodne wilgotne powietrze sprawia cuda, Jane wyraźnie przejaśnia się w głowie. Jasper radośnie obwąchuje dołki wykopane przez pana Vandersa, po czym zaczyna kopać własne. Jane ogarnia przemożna potrzeba, by pobiegać po dziedzińcu i rzucić książką jak oszczepem.

Pan Vanders przymyka zażawione oczy i zwraca ciemnoskórą twarz do słońca. Jane widzi każdą najdrobniejszą zmarszczkę na jego skórze i zastanawia się, czy przyjdzie taki dzień, kiedy takie drobne szczegóły nie będą jej się kojarzyć z ciocią Magnolią; kiedy patrząc na zmarszczki na twarzy starego człowieka, nie pomyśli: *Ciocia Magnolia nigdy nie dożyje tego wieku*.

Nagle sobie przypomina, że przecież pan Vanders znał ciocię Magnolię. Zanim zrobił jej się taki mętlik w głowie, chciała to sprawdzić.

– Nie zdążyłam jeszcze porozmawiać z panią Vanders – mówi. – O mojej cioci.

– Mhm – mruczy pan Vanders, nie otwierając oczu. – Może po gali. Gdy będzie już po wszystkim, moja żona sama cię znajdzie.

Gala, przypomina sobie Jane. Jutro ma być gala. Powoli powracają wszystkie szczegóły. Jane głęboko wciąga powietrze do płuc i postanawia, że już nigdy nie wejdzie do biblioteki.

– Ponoć coś się stało z rzeźbą Brâncușiego. – mówi. – Z rybą?

Pan Vanders otwiera oczy i wydmuchuje nos w chusteczkę.

– Ponoć tak.

– Mamy szczęście, że w domu jest Lucy St. George. Jest detektywem specjalizującym się w zaginionych dziełach sztuki. – Jane nagle przypomina sobie o więziennej parasolce. – To straszne – mówi – że ktoś w domu ukradł dzieło sztuki.

– Tak – przyznaje pan Vanders, ale nie wydaje się tym ani przestraszony, ani nawet jakoś specjalnie zainteresowany. Jane spogląda na jego rozkopany ogród. Trudno powiedzieć, czym się zajmuje, oprócz wykopywania dziur.

– Czyli lubi pan pracować w ogrodzie?

– Nie powiedziałbym. – Pan Vanders łapie się za plecy. – Mam okropne bóle w lędźwiach i nie odróżniłbym kwiatka od chwastu, nawet gdyby od tego zależało moje życie. Ale próbuję to traktować jako ćwiczenie uważności.

– I to działa?

– Nie za bardzo – odpowiada ze znużeniem pan Vanders.

Jane obserwuje Jaspера, który radośnie rozgrzebuje swój dołek. Potem jej spojrzenie znów pada na Tu Reviens.

– Mieszka tu pan od zawsze?

– Tak, oprócz czasów college’u, dalszych studiów i kilku podróży. Moi rodzice pracowali dla Thrashów. Wychowałem się tutaj i patrzyłem, jak Octavian, a potem mój własny syn, Kiran, Ravi, Patrick i Ivy dorastają w tym przedziwnym, cudownym domu.

Jane myśli o ogrodzie zimowym.

– Nawet szyby w tej ścianie są jak mozaika – mówi, wskazując na ramki.

– Na tym polega po części dziwny urok tego domu.

– Naprawdę? Kiran twierdzi, że według Charlotte dom cierpi z powodu swojej historii.

– No cóż – mówi pan Vanders. – Wszyscy w ten czy inny sposób cierpimy z powodu naszej historii, nie uważasz?

Jane myśli o własnej historii. Jej ojciec uczył przedmiotów ścisłych w szkole średniej. Matka kończyła dysertację poświęconą nowemu meteorologicznemu wyjaśnieniu, dlaczego z nieba spadają czasem żaby. Zaproszono ją, by wygłosiła przemówienie na weekendowej konferencji w Barcelonie, poświęconej Architekturze Inspirowanej Żabami, i rodzice Jane, zakochani w swoim półtorarocznym dzidziusiu, ale wykończeni, postanowili z tego skorzystać. Zostawili Jane pod opieką Magnolii, młodszej siostry jej matki. Było to dla nich trudne, zwłaszcza dla matki Jane, która dopiero co przestała karmić ją piersią. W ostatniej chwili prawie odwołała ten wyjazd; niemal postanawiała zabrać Jane ze sobą. Ale Magnolia im powiedziała: *Nie, jedźcie obejrzeć te kościoły, zjedzcie paellę, nacieszcie się słońcem, spędźcie trochę czasu tylko we dwoje.* W samolot, w którym lecieli, uderzył piorun; stracił jeden silnik, a potem rozbił się podczas lądowania. Jane nie zapamiętała rodziców, pamiętała tylko ciocię Magnolię, która czasem płakała, gdy z nieba padały żaby.

Jane trudno jest tęsknić za czymś, czego nie pamięta. A może jakaś jej część za tym tęskni? Może ta część jest ukryta i niewidoczna, ale to na niej opiera się całe jej życie, jak budynek na fundamentach?

– A co z domem? – zwraca się Jane do pana Vandersa. – Czy dom może cierpieć z powodu swojej historii?

Pan Vanders wydyma usta i spogląda na budynek.

– Myślę, że gdyby ten dom był osobą, byłby idealnym kandydatem do zaburzeń tożsamości. Biedny dom! – krzyczy nagle pan Vanders i rozrzuca szeroko ramiona, jakby chciał go objąć. Intonuje głośno: – Jesteś naszym Tu Reviens!

– Myśli pan, że mu to pomogło? – pyta rozbawiona Jane.

– No cóż, im bardziej akceptujemy nasz brak spójności, tym jest nam lepiej.

– Ach tak?

– Pozbądź się złudzeń, że panujesz nad sobą i wszystko kontrolujesz – mówi, wymachując rękoma.

– Dobry Boże – wzdycha Jane i próbuje wyobrazić sobie pana i panią Vanders, którzy rozmawiają tak ze sobą, siedząc nocą w łóżku.

– Jeśli ten dom jest przygnębiony swym brakiem spójności – ciągnie pan Vanders – to dlatego, że społeczeństwo narzuca mu niewykonalne wymogi integracji.

– Rozumiem – mówi Jane, wcale nie rozumiejąc.

– Ten dom mógłby też cierpieć na jakieś znane zaburzenia psychiczne. Czemu dom nie miałby doświadczać zaburzeń dysocjacyjnych albo narcystycznych zaburzeń osobowości? W innym wszechświecie wezwalibyśmy psychologa domów i zapewnilibyśmy mu pomoc. Choć pewnie dom, jako że jest domem, wcale nie cierpi, chyba że z powodu zapchanej rynny.

– A tak w ogóle to co pan studiował? – pyta Jane.

– Och, to i owo – mów pan Vanders.

Na drugim końcu tarasu otwierają się drzwi balkonowe i wychodzi przez nie Kiran. Brodzi w stronę Jane przez wysoką trawę, potem omija kopczyki ziemi na północnym skraju ogrodu. Wydaje się rozkojarzona, jakby była myślami gdzieś daleko. Tymczasem Jasper skacze energicznie w swoim bardzo głębokim już dołku, liże coś i popiskuje z przejęciem. Próbuje zwrócić na siebie uwagę Jane. Jane kuca, kładzie książkę na kolanach i zamierza oczyścić jego sierść z błota.

– Witam, panie V – mówi niewyraźnie Kiran. – Jak się pan miewa?

– Pokonany przez pyłki – odpowiada pan Vanders, posyłając jej szybkie spojrzenie. – A ty, Kiran, kochanie, jak się czujesz?

– Cudownie – w oczywisty sposób kłamie Kiran. I dodaje zwracając się do Jane: – Chodź pograć z nami w brydża.

– Nie umiem grać w brydża. – Jane wciąż próbuje wyczyścić Jaspiera z błota. – I mam brudne ręce.

– Nauczę cię – mówi Kiran. – Chodź, Phoebe nie ma partnera.

Phoebe. Jane widziała ją wczoraj w nocy w skrzydle dla służby, z Patrickiem, Philipem i bronią. Ciągłe o tym zapomina. Powinna komuś o tym powiedzieć? A co, jeśli to Phoebe ukradła tę rzeźbę ryby?

Jasper wyskakuje z dołka, tarza się po trawie i szczeka. Zrywa się na nogi, otrząsa i wydaje się zaskakująco czysty.

– W porządku – mówi Jane i wyciera ręce o wilgotną trawę. – Spróbuję.

Ostrożnie chwyta *Kubusia Puchatka* między mokry kciuk a palec wskazujący i wstaje. Może jeśli spędzi z Phoebe trochę czasu, wszystko się wyjaśni.

Przechodząc obok dołka wykopanego przez Jaspiera, Jane zagląda do niego i dostrzega jakiś podłużny, jasny, opalizujący przedmiot.

– Miło się z panem rozmawiało, panie Vanders – mówi. – A tak w ogóle wygląda na to, że Jasper wykopał jakiś interesujący długi biały kamień.

Brwi pana Vandersa powoli się unoszą. Spogląda za Kiran, Jane i Jasperem, gdy powoli idą przez ogród w stronę domu.

Kiran prowadzi Jane do niewielkich drzwi na tyłach budynku przez ciemny korytarz, a potem do pomieszczenia, które całe jest zalane ruchomym światłem. Jane jeszcze nigdy tu nie była. To kryty basen ze złotymi płytkami na dnie i ścianami z masywnego szkła, z których jedną zajmuje gigantyczne akwarium. Zielonkawa murena wpatruje się w nią przez szybę i niemal po ludzku łypie okiem.

– Zbiornik dla rekinów – mówi Kiran znudzonym głosem, a potem kieruje się brzegiem basenu w stronę dwojga drzwi na drugim końcu pomieszczenia. – Jeden z projektów Charlotte.

– Dla rekinów? – powtarza Jane i ledwie tłumi cichy okrzyk, gdy obok przepływa ogromny żarłacz tępogłowy. Żarłacz tępogłowy są drapieżnikami. Kiedyś Jane śniły się koszmary, że jeden z nich pożre ciocię Magnolię. Rekin dociera do końca zbiornika, zawraca i płynie z powrotem. Murena wciąż łypie na nią okiem jak jakiś straszny, szalony klaun, ale rekin wygląda, jakby nie wiedział o istnieniu Jane i jakby było mu to całkowicie obojętne.

Jasper trąca nosem jej nogę, by ruszyła naprzód. Idąc za Kiran, Jane jest pewna, że murena wciąż wpatruje się w jej plecy. Kojarzy jej się z tą kobietą na zdjęciu w głównym holu. Z Charlotte. Jane postanawia, że nie będzie już mówić ani myśleć o Charlotte. Za każdym razem, gdy to robi, ma wrażenie, jakby powietrze było naelektryzowane.

Kiran obchodzi basen, otwiera jedne z drzwi w ścianie na jego końcu i prowadzi Jane przez niewielkie pomieszczenie z boazerią z lśniącego tekowego drewna. Takie drewno nie jest tanie. Jane zrobiła tylko jedną parasolkę z tekowym trzonkiem. Może pierwszy Octavian Thrash ukradł ten tek z jakiegoś klasztoru w Birmie. Wtedy byłoby to oszczędne rozwiązanie.

Gdy otwierają się kolejne drzwi, Jane nagle, bez żadnego ostrzeżenia, znów znajduje się w bibliotece.

Jane siedzi w zachodniej części biblioteki przy stoliku do gry w karty naprzeciw swojej partnerki, tajemniczej Phoebe Okady. Jasper leży u jej stóp. Kiran i Colin stanowią drugą parę, a Lucy St. George zwinęła się w kłębek na pobliskim fotelu. Jane zgubiła gdzieś żonkila, nie ma go już za uchem.

– Nie mogę długo zostać – mówi, bo obiecała sobie, że nie będzie spędzać czasu w bibliotece. Problem polega na tym, że te fale barw koją jej nerwy. Gdy weszła, błękity, zielenie i złoto poniosły ją łagodnie ze sobą. Jeśli przebywanie tutaj jest jak przebywanie pod wodą, to chyba to nie może być niewłaściwe miejsce dla Jane?

Ku jej zaskoczeniu Phoebe jest urodzoną nauczycielką, ze sporą intuicją. Potrafi przewidzieć pytania o brydża, jakie chce jej zadać Jane, i odpowiada na nie w zrozumiały sposób, bez jakiegoś straszego snobizmu.

– Kiedy już złapiesz rytm, to całkiem elegancka gra. Dobrze – mówi, gdy Jane kładzie trójkę kier i przebija atutem asa pik. – Zaczynasz łapać.

Nagle na drugim końcu biblioteki przez drzwi wpada jakiś brzdąc i znika w drzwiach szatni. Jane nie widzi twarzy ani koloru skóry tego dziecka, tylko czuprynę ciemnych włosów i małe, krępe nóżki. Za dzieckiem biegnie Mulat w średnim wieku. Zwalnia tylko na chwilę, by obejrzeć się przez ramię na ludzi siedzących w bibliotece. Podchwytuje spojrzenie Phoebe Okady i robi tajemniczą, znaczącą minę. Ma spodnie w kratę i czapkę kucharską na głowie. Po chwili znika.

– Wasz kucharz ma dzieci? – Jane pyta Kiran.

– Daj spokój – mówi do niej Phoebe ze zniecierpliwieniem w głosie. – Skup się na grze.

– Co? – pyta Kiran. – Kucharz? Boli mnie głowa. Ciebie też?

– Wasz kucharz – powtarza Jane. – Ten facet w spodniach w kratkę i w czapce kucharskiej.

– Czasem tak się ubiera – przyznaje Kiran. – Chociaż zawsze odnoszę wrażenie, że to ma być ironiczne.

– Ironiczne? Jak to?

– A skąd mam wiedzieć? – wzdycha Kiran. – A zresztą, jakie to ma znaczenie? To tak jak z jego nazwiskiem. Nigdy nie ma go w kuchni, dlatego mówimy na niego Kucharz. Właściwie, to ma na imię Corcoran, ale zawsze go tak nazywaliśmy. Wydaje mi się, że chyba nawet lubi gotować, ale nigdy tego nie robi. Ciągłe jest zajęty bóg wie czym. Graniem na swoim cholernym saksofonie. Albo rodzicami. Kucharz jest synem pana i pani Vanders. Gotowaniem najczęściej zajmuje się Patrick. Wszyscy mają pracę, która daje im spełnienie, tylko nie ja.

Brzmi to tak uderzająco z ust znudzonych milionerki – zwłaszcza że mówi o jednym z własnych służących – że Jane, oszołomiona, milczy przez chwilę.

– Kiran – odzywa się łagodnie Colin, nie odrywając wzroku od kart – znasz płynnie pół tuzina

języków i masz niesamowite wyczucie do polityki. Znajdziesz pracę, kiedy przyjdzie na to pora. Nie śpiesz się z tym.

W milczeniu Kiran jest coś szczególnego. Jane zaczyna to już poznawać. To jakby irytacja i uraza, gdy ktoś oczekuje od niej wdzięczności. Jakby jego miłe słowa były wazeliniarskie i wyrachowane.

Tymczasem Lucy St. George wzdycha w fotelu nad *Światem zabawy*.

– Wydawało mi się, że pamiętam jej fabułę – mówi – ale wygląda na to, że nie.

Jane zerka nerwowo na Lucy. Owinęła sobie dłoń bandażem, co wydaje się dość skrajne jak na drzazgę. Ma podkrążone oczy i jest w niej jakaś kruchość, którą Jane też dostrzega w lustrze po nocach, kiedy źle sypia.

– Co masz na myśli? – pyta. – Fabuła jest inna, niż zapamiętałaś?

– Wszyscy grają w brydża więcej, niż to zapamiętałam – odpowiada Lucy. – Lily Bart siedzi w fotelu w bibliotece, czyta książkę i obserwuje przyjaciół, którzy bez końca grają w brydża. Nie pamiętałam tego. Zwykle chyba sama grywała w brydża? To przez to wpadła w problemy finansowe? I czy nie prowadziła dowcipnych rozmów z kawalerami?

– Ja też nie pamiętam fabuły – mówi Jane. – Pamiętam tylko, że zabawy było tam niewiele. Jak tam twoja ręka?

– Lily staje się bardzo senna, gdy jej przyjaciele grają w brydża – odpowiada Lucy. – Ja też robię się od tego senna.

W grze jest chwilowy przestój, bo Kiran spogląda w górę.

– Charlotte wybrała coś naprawdę interesującego na sufit w bibliotece – mówi.

– Nie chcę o niej rozmawiać – odpowiada automatycznie Jane.

– Czy to nie wygląda jak otwarta książka? – pyta Kiran. – Ten sufit zaprojektowany przez Charlotte?

– Nie wypowiadaj jej imienia – mówi Jane. – Ona słyszy swoje imię. To ją budzi.

– Co? – pyta Kiran. – Co ty opowiadasz, Janie? Po prostu na to spójrz.

Jane wyciąga szyję. Sufit składa się z dwóch pomalowanych na biało połówek, lekko wypukłych i spotykających się pośrodku. Efekt nasila się za sprawą niewielkich obrazów, miniaturowych sufitowych fresków, które na każdej „stronie” układają się w równe linie. Jane trudno jest dostrzec, co przedstawiają te obrazy. Dzięki temu łatwiej jest sobie wyobrazić, że to litery albo słowa. A jednak mają regularne kształty, prawda? To nie litery alfabetu, tylko rzędy prostokątów i kwadratów. Małe okienka albo drzwiczki namalowane na suficie? Okładki książek?

Lucy drzemie teraz na fotelu i głośno parska przez nos. Jane podskakuje jak na odgłos wystrzału i wciąga powietrze.

– Lucy! – woła. – Musimy się obudzić. Powinnyśmy o czymś porozmawiać.

– Co? – pyta zaspana Lucy. – Lily Bart śpi.

– Nie jesteś Lily Bart. – Jane z nagłym niepokojem wstaje, chwyta Lucy za ramię i mocno nią potrząsa. Nie wie, skąd bierze się to uczucie, i nawet Jasper wydaje się tym podenerwowany. – Obudź się.

– Chcę się dowiedzieć więcej o Charlotte i suficie – mówi sennie Lucy.

– Nie, nie rozmawiajmy już o...

Jane chce powiedzieć „o tym”, jej usta układają się, by wypowiedzieć te słowa, ale mimowolnie wyrzuca z siebie „Charlotte”. Przerazona próbuje jeszcze raz, ale usta znów odmawiają jej posłuszeństwa. Wydostaje się z nich jedynie wydychane powietrze i „Char...”.

Próbuje z tym walczyć.

– Char...

– Żarłacz! – woła Phoebe, która kurczowo ściska karty i wpatruje się w Jane rozszerzonymi, przerażonymi oczyma. – Żarłacz! – powtarza z triumfem w głosie. – Spróbuj, uda ci się zrobić z tego słowo żarłacz.

Jane myśli o żarłaczu tępogłowym w ogromnym akwarium. Wyobraża sobie, jak rekin pływa w tę i z powrotem, wyciągając z jej ust słowo żarłacz.

– Charlotte – mówi, niemal płacząc z frustracji.

– Żarłacz! – powtarza Phoebe. – Postaraj się bardziej!

Jane sięga po coś, co ma większą moc. Przypomina sobie łagodnego rekina wielorybiego, którego Ivy wyrzeźbiła na brzegu jej roboczego stołu. Unosi rękę i wyobraża sobie, że go dotyka.

Jane jest pod wodą, dotyka podbrzusza tego łagodnego rekina. Stworzenie przesuwa się nad nią i odpływa. Wszystko dzieje się powoli, w ciszy. Jane jest sobą.

– Żarłacz – mówi, czując, jak ten wewnętrzny przymus osuwa się gdzieś w mrok. – Żarłacz! Och, jeszcze nigdy nie byłam taka szczęśliwa, wypowiadając to słowo.

– To było dziwne, nie uważasz? – pyta Phoebe.

– Co z wami, dziewczyny? – Colin przygląda im się kolejno, mrużąc oczy. – Bardzo dziwnie się zachowujecie. I robicie przy tym przedziwne miny. I co odbiło temu psu? – dodaje, bo Jasper zaczął szarpać zębami sznurowadła Jane.

– Nie wiem – mówi Jane. – Ale chcę już iść.

– Wszystkie dziwnie się zachowujecie – zauważa Colin.

Zaczyna dzwonić czyjś telefon. To komórka Lucy.

– Mój telefon! – woła Lucy i zaczyna obmacywać kieszenie. – Halo! – krzyczy, gdy w końcu odbiera. – Tato! Nie. Jeszcze nie. Nie martw się! Jest bezpieczny! Jest za...

– Lucy! – przerywa jej pośpiesznie Colin. – Nikt nie ma ochoty słuchać, jak wrzeszczysz na wuja Buckleya.

– Nieważne! – krzyczy Lucy do telefonu. – Nie powiem ci, gdzie go trzymam! Colinowi też nie powiem!

– Dobra – mówi Colin i zrywa się na równe nogi. Zaczyna energicznie prowadzić Lucy w stronę drzwi, uciszając ją, jakby była dzieckiem albo psem.

– No cóż – odzywa się Phoebe. – Nie możemy grać bez Colina, a ja i tak muszę się czymś zająć. – Powoli wstaje, jakby nie była do końca pewna, czy jej nogi zachowują się tak jak zwykle. Potem stanowczym krokiem opuszcza bibliotekę.

Jane zostaje sam na sam z Kiran. Kiran nie wpatruje się już w sufit i Jane czuje z tego powodu ogromną ulgę, bo nie ma zamiaru jeszcze raz na niego spoglądać. Pragnie udawać, że nie ma żadnego sufitu, co jest trudne, bo wyczuwa go nad sobą, jakby na nią napierał. Sufit nuci jakąś melodię, która szarpie jej nerwy i Jane obawia się, że jeśli spojrzy w górę, będzie tylko jeszcze gorzej. *Ciociu Magnolio? Ciociu... jak?*

– Kiran, wyjdźmy stąd – mówi.

– Dobra. – Kiran wciąż trzyma w ręce karty, ale nawet na nie nie patrzy.

Lucy zostawiła *Świat zabawy*; otwarta książka leży grzbietem do góry na jej fotelu.

Kierowana jakimś nagłym wewnętrznym przymusem Jane chwyta książkę, niesie ją do balkonowych drzwi prowadzących na taras, otwiera je i rzuca książką najdalej, jak potrafi. Gdy wraca do Kiran, ta z lekkim zdziwieniem unosi brwi.

– To było dziwne – zauważa. – Co właściwie masz przeciwko Lucy?
– Zupełnie nic – zapewnia stanowczo Jane. – Wręcz przeciwnie. Próbuję jej pomóc. Poczulałam, że ta książka jest zła.
– Dziwaczka z ciebie – mówi Kiran. – Wiesz o tym?
Jasper cicho skomle.
– Tak – odpowiada Jane. – Wiem. Chodźmy już, dobrze?
Chociaż rzuciła książkę Lucy najdalej, jak się dało, bez zastanowienia bierze do ręki własną i niesie ją z powrotem do swojego apartamentu.

Ivy była tak miła i odniosła więzienną parasolkę na stół Jane. Gdy Jane wchodzi do saloniku, od Brokatowej Lucy odbija się intensywne światło.

Parasolka chce, żeby Jane do niej podeszła. Śpiewa do niej. Jane to czuje i też tego pragnie. Podchodzi i dotyka dłonią Brokatowej Lucy. Piosenka jakby biegła wzdłuż jej ramienia do góry kręgosłupa. Klej już wysechł, ale gdy Jane przygląda się swojej dłoni, stwierdza, że drobinki brokatu przylgnęły do jej skóry jak klejnoty.

Bierze parasolkę za rączkę i niesie ją na sofę, gdzie jeszcze rano spał Ravi. Stawia parasolkę, siada pod nią i otwiera książkę. Jasper skomle, więc Jane sadza go na sofie; pies wtula się w jej nogę, ale nie przestaje skomleć.

Tym razem Jane otwiera książkę na rozdziale *W którym Kłapouchy gubi ogon, a Puchatek go znajduje*. Osiołek Kłapouchy gubi ogon w lesie. Puchatek zwraca się do Sowy o pomoc. Okazuje się, że jak zwykle Sowa ma niewiele do opowiedzenia oprócz przechwałek, ma za to nowy sznur od dzwonka, który przykuwa uwagę Puchatka. *Szłam akurat przez Las. Naraz patrzę, a to sobie wisi na krzaku²* – mówi Sowa. W przebłysku zrozumienia Puchatek uświadamia sobie, że nowy sznur do dzwonka Sowy to zgubiony ogon Kłapouchego.

W opowieści, którą Jane czytała z cicią Magnolią, Puchatek triumfalnie odnosi ogon Kłapouchemu. Krzyś niezmiernie delikatnie przytwierdza go z powrotem do zadka osiołka. I na tym historia się kończy.

Natomiast w opowieści, którą czyta Jane, Sowa odrywa Puchatkowi nos i wieszka go przy drzwiach jako dzwonek. Potem zabiera Królikowi uszy i robi z nich wstęgi do zasłon. Zabiera głowę Prosiaczekowi, wieszka ją na ścianie i poucza, by regularnie wykrzykiwała godziny jak zegar z kukułką, choć Prosiaczek tylko wrzeszczy, bo jest przerażony i chce odzyskać swoje ciało. Jane jest zafascynowana tą historią. Jasper próbuje jednak wejść jej na kolana, wytrącić jej z rąk książkę i przewrócić parasolkę za jej plecami. Miota się jak tonący basset i kiedy zaczyna podgryzać rękę Jane, ta krzyczy jego imię.

– Jasper! Jeśli jeszcze raz mnie ugryziesz, zamknę cię w szafie!

Jasper wciąż trzyma w pysku rękę Jane, ale nie zaciska szczęki. Spogląda na nią z wyrzutem. Potem z urażoną miną zeskakuje z sofy, drepcze do sypialni, siada w kącie i zaczyna skomleć w samotności.

Coś w tym wszystkim sprawia, że Jane zaczyna mieć wyrzuty sumienia. Odezwała się w okrutny sposób do psa. *Wstyd*, myśli. Wstaje, ale chwieje się na nogach. Popiskiwanie Jaspera brzmi jak płacz. O rany, jest taka senna.

Wciąż ściskając w ręce książkę, dociera do łóżka. Na ścianie za wezglowiem łuszczą się drobinki bladoczerwonej farby, ściana pod spodem jest fioletowa i wygląda na raną.

Ohyda myśli Jane. Jasper wychodzi z kąta i zaczyna tańczyć wokół jej nóg, chce, żeby wzięła go na rękę. Jane schyla się po niego i stawia na pościeli.

– Przepraszam za to, co mówiłam o szafie, futrzaku – mówi.
Gdy tylko jej głowa dotyka poduszki, Jane zasypia.

Śni o domu, który ma wewnątrz ranę ciętą, jak cyrkowiec, który połknął miecz i przebił sobie brzuch. Ta rana to przejście do innego świata. Za każdym razem, gdy ktoś przez nią przechodzi, rozciągając nacięcie i rozrywając jego krawędzie, dom krzyczy z bólu.

Budzą ją krzyki domu. Układają się w słowa, ale Jane jest spocona, trzęsie się i wciąż tkwi uwieczona gdzieś między snem a jawą, więc nie jest w stanie ich zrozumieć. Niechcący kopie Jaspera, który leży pod kołdrą w jej nogach. Pies burczy i podchodzi bliżej, żeby mogła go objąć.

– Jasper – szepcze Jane, której na chwilę przejaśniło się w głowie. – Nie podoba mi się ten dom.

No cóż, obudziła się. Zegar wskazuje 05:08, ale nie ma sensu próbować ponownie zasnąć. Leżenie w łóżku i trzęsienie się aż do wschodu słońca nie wydaje jej się pociągającym rozwiązaniem, bo wokół niej dom się śmieje. Ktoś śmieje się gdzieś w ścianach i trzeba coś z tym zrobić.

– Nienawidzę tego domu – mówi zimnym głosem do Jaspera. Szlag by trafił ciocię Magnolię i obietnicę, którą wymusiła. *Dlaczego to zrobiła*, zastanawia się Jane. Niech ją szlag, za tę jej odwagę. Za to, że nigdy się niczego nie bała. Ani żarłaczy tępogłowych, ani jadowitych kałamarnic, ani przydaczni olbrzymich. Nie przerażała jej masa wody, która na nią napierała, ani otepiający chłód. Szlag by trafił ciocię Magnolię za to, że wyruszyła w ten chłód, że nie wiedziała, że nie bała się bardziej. *Kto przy zdrowych zmysłach wybiera się na Antarktydę?*

Jane szuka po omacku na łóżku czapki cioci Magnolii z drapiącej wełny, wtula w nią twarz i próbuje powstrzymać łzy. Kolanem dotyka tej okropnej książki. Spycha ją za krawędź łóżka, by upadła na podłogę.

Po serii głębokich oddechów „na meduzę” Jane wkłada na głowę czapkę cioci Magnolii.

– Jasper? Idziemy na spacer?

Jane wychodzi na chłodny korytarz. Ma na sobie piżamę z *Doktorem Who*, na to bluzę z kapturem, do tego kapcie i czapkę cioci Magnolii. Ścisła kurczowo jej frędzelki, bo to jej daje poczucie bezpieczeństwa. Gdy idzie, światła przy obrazach zapalają się i gasną, rzucając groteskowe, poruszające się cienie Jane i Jaspera. Oczywiście zapomina o Kapitanie Polarnych Gaciach i niemal skręca sobie kark.

Chciałaby, żeby ten dom przestał tak dyszeć. Potem zaczyna się zastanawiać nad własną logiką i dochodzi do wniosku, że wolałaby, by łatwiej było ustalić, skąd dobiega to dyszenie. Podejrzewa, że to jej własny oddech.

Jasper spogląda na nią z niepokojem, ale Jane tego nie dostrzega. Kieruje się na pierwsze piętro, potem obchodzi atrium i wchodzi prosto na górny poziom biblioteki.

Jest wystraszona, słysząc niżej ściszone głosy Octaviana i Ravięgo. Nie widzi rozmawiających, ponieważ są pod balkonem, na którym sama stoi, ale ze swobodnego tonu rozmowy wnioskuje, że przestali się kłócić. Czuje woń dymu z fajki Octaviana. Słyszy jakiś dziwny drapiący dźwięk, którego nie potrafi z niczym skojarzyć, ale po chwili uświadamia sobie, że to gramofon, którego igła podskakuje na końcu obracającej się płyty.

– Mam wrażenie, że kiedy na nie patrzę, książki zmieniają kolor – mówi Octavian.

– A ja myślę, że powinieneś raz dziennie wychodzić z domu na słońce, pospacerować i pooddychać świeżym powietrzem – odpowiada Ravi. Sili się, by w jego głosie słyhać było rozbawienie, lecz według Jane da się w nim wychwycić jedynie znużenie. – Pamiętasz, jak

podróżowałeś, tato? Kiedyś to uwielbiałeś.

– Poproszę Ivy-Fasolkę, żeby raz na godzinę robiła zdjęcia tych książek. Pokażę ci to. Sam się przekonasz. Te kształty na suficie też się zmieniają.

– Dobra, jasne – mówi Ravi. – Nigdy nie sądziłem, że to powiem, ale w tej chwili mam wrażenie, że w tej rodzinie tylko mama nie buja w chmurach.

– Posłuchamy tego jeszcze raz?

– Próbujesz mnie zabić?

– Próbuję sprowadzić Charlotte – odpowiada Octavian.

– Wyjaśnij mi, proszę, jak granie jej ulubionej muzyki ma ją tu sprowadzić?

– Nie potrafię tego wyjaśnić – mówi Octavian. – Nigdy nie miałeś takiego uczucia w brzuchu?

– Czuję coś takiego przy Janie, przyjaciółce Kiran.

– To nie brzuch – rzuca ostro Octavian. – Nie bądź prostakiem, chłopcze.

– Jezus, tato – wzdycha Ravi. – Zawsze byłeś takim świętoszkowatym dupkiem.

– Wyrażaj się!

– Mhm. Zawsze byłeś świętoszkowaty.

Szuranie igły o płytę cichnie. Chwilę później Jane słyszy gitarowy wstęp piosenki Beatlesów *You've Got to Hide Your Love Away*.

Bezgłośnie pojawia się obok niej Phoebe Okada. Jane wpada w panikę. Przez kolejne trzydzieści sekund kurczowo ściska poręcz i próbuje uspokoić oddech.

– Przestraszyłam cię? – szepcze Phoebe. – Przepraszam.

Bez makijażu wygląda na zmęczoną, ale ma ładną twarz. Phoebe jest bosą i nosi jedwabny szlafrok mocno związany w pasie. Paznokcie u nóg pomalowała na śliczny turkusowy kolor.

– Czemu tu jesteś? – szepcze Jane.

– Usłyszałam muzykę.

– Muzykę Charlotte? Słyszałaś muzykę Charlotte przez całą drogę ze swojego pokoju?

– Muzykę Charlotte – mówi Phoebe. – Szłam i słyszałam muzykę Charlotte. Źle sypiam, kiedy nie ma mojego męża. Martwię się o niego.

Jane przypomina sobie pewną noc dawno temu – nie! to było dopiero co, wczoraj w nocy, trudno w to uwierzyć – gdy widziała Phoebe i jej męża Philipa, który jest lekarzem, jak skradali się z bronią po domu w towarzystwie Patricka. Potem Philip wyjechał.

– Czemu się martwisz? – pyta. – Czy praca lekarza jest tak niebezpieczna?

– Zwykle programuję szyfry – mówi Phoebe. – Dla Wielkiej Brytanii. To moja specjalność. W sumie jestem geniuszem. Boże, chroń królową!

Jane ma wrażenie, że nie pytała Phoebe o jej zawód, iloraz inteligencji ani o królową, ale właściwie to sama nie pamięta. Po *You've Got to Hide Your Love Away* Octavian zmienia płytę i słyszy *I'm Looking Through You*, a następnie *Norwegian Wood*. Potem mruczy coś o Charlotte i *Abbey Road* i rozlegają się pierwsze dźwięki

Come Together.

Jane ściska frędzle czapki.

– Chyba zamierzałam wrócić do łóżka, ale nie pamiętam – szepcze do Phoebe.

Phoebe też wygląda, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiała.

– Mój mąż i ja jesteśmy Brytyjczykami, ale staramy się pomóc, by te zaginione dzieci były bezpieczne. Pamiętasz tego brzdąca z Kucharzem? – mówi, a potem milknie, jakby się pogubiła.

– To znaczy, nie. Nieważne.

– O czym ty mówisz?

Zanim Phoebe ma szansę odpowiedzieć, znów słycać głos Octaviana. Ostry i ochryply, przebijaja się przez muzykę.

– Kiedy Charlotte odeszła, czytała *Frankensteina*. Wciaż go tutaj trzymam, by zaznaczyć jej miejsce.

– Wiem – mówi Ravi.

– Przeczytałem pamiętniki Charlotte od deski do deski. Nie potrafię znaleźć żadnego wyjaśnienia, dlaczego odeszła.

– Wiem, tato – zapewnia łagodnie Ravi. – Już mi mówiłeś.

– Charlotte napisała tutaj, że ten dom, którego części pochodzą z różnych miejsc, jest jak mikrokosmos. Myślisz, że kiedy zamieszkała na wyspie w tym wielkim starym domu, zaczęła usychać z tęsknoty za światem?

– Nie wiem, tato. Możemy porozmawiać o Kiran? Ona tu jest. Moglibyśmy coś dla niej zrobić. Wydaje się przygnębiona. Martwię się o nią.

– Gdyby Charlotte pragnęła podróżować, za nic bym jej tu nie trzymał. Moglibyśmy pojechać wszędzie.

Ich głosy znów milkną. Potem słycać kolejne piosenki. Jane myśli o słowach, że ten dom to mikrokosmos. Nie daje jej to spokoju, wciaż kołacze jej się po głowie, bo z czymś jej się to kojarzy. Dopiero po dłuższej chwili udaje jej się odszukać to wspomnienie.

– Moja ciocia mawiała – szepcze do Phoebe – że moje ciało to mikrokosmos morza.

– Mój masażysta zawsze mówi – odpowiada szeptem Phoebe – że moje ciało to mikrokosmos wszechświata.

– Albo światów równoległych – szepcze Lucy St. George, która zjawia się nagle obok nich, sprawiając, że Jane aż podskakuje. – Przepraszam – dodaje. – Przestraszyłam cię. Wyszłam się trochę przejść. Gdy tu weszłam, usłyszałam muzykę.

– Muzykę Charlotte – szepcze Jane. – Charlotte. Cholera! – Pociera uszy, bo to znów się dzieje, znowu czuje ten dziwny przymus, by wypowiadać imię Charlotte. Lucy St. George jest ubrana w czerń, od czarnej wełnianej czapki aż po czarne tenisówki, i pachnie jeszcze chłodem z dworu. Jest blada, spięta i gotowa jak kula w komorze rewolweru; Jane to wyczuwa. Usiłuje skupić się na Lucy, zamiast na tych duszących kolorach biblioteki i na Charlotte. Próbuje przetworzyć to, co Lucy przed chwilą powiedziała. Dociera do niej, że Lucy dopiero co wróciła do domu. Jest mniej otumaniona niż Jane, bo jeszcze niedawno była na zewnątrz i oddychała świeżym powietrzem.

– Co to są światy równoległe? – pyta ją Jane.

– Och – szepcze Lucy, ściągając czapkę. Proste włosy opadają jej na ramiona. – To taka teoria, o której lubi opowiadać Ravi. Bo widzisz, jego matka jest fizykiem teoretycznym. To znaczy, jego prawdziwa matka, nie Charlotte.

– Charlotte – powtarza szeptem Phoebe.

– Tak, Charlotte – szepcze Lucy.

– Światy równoległe? – Jane uparła się, żeby nie powiedzieć „Charlotte”. Zaczyna ją od tego mocno boleć głowa.

– Koncepcja światów równoległych – wyjaśnia cicho Lucy – wywodzi się z idei, że za każdym razem, gdy coś się dzieje, wszystko inne, co mogło się w tamtej chwili wydarzyć, dzieje się również, a to sprawia, że od starego wszechświata oddzielają się nowe wszechświaty, które w ten sposób powstają. A to z kolei oznacza, że istniejemy w wielu wersjach, żyjemy różnymi życiami w różnych światach równoległych i podejmujemy każdą decyzję, jaką tylko możemy

podjąć. Istnieją takie wersje nas, których byśmy nawet nie polubili, i takie, które ledwie byśmy poznali.

To przywołuje coś z pamięci Jane, ale nie potrafi dotrzeć do tego wspomnienia. Rozmowy o różnych rzeczywistościach i różnych wersjach życia. Kiran o czymś takim mówiła, Ravi też. Wtedy dla Jane nie miało to sensu i w tej chwili też się w tym gubi. Czuje się tak, jakby jej otumaniony, przeciążony mózg był mikrokosmosem światów równoległych. Sufit wydaje się na nią napierać.

– Boże, czuję się, jakbym była wszędzie – szepcze Phoebe. – Jakbym rozpadła się na części, które toczą się we wszystkie strony.

– Tak – potwierdza żarliwie Jane.

– Nie mogę się doczekać rozmowy z panem Vandersem – mówi Phoebe. – On mógłby mi pomóc.

– Rozmawiałam z nim dzisiaj – przypomina sobie Jane. – Mówił, że im bardziej akceptujemy nasz brak spójności, tym jest nam lepiej.

– To zupełnie w stylu pana Vandersa – mówi tęsknie Phoebe.

– Ale to coś innego, prawda? – pyta Jane. – To dziwne wrażenie? Nie wydaje ci się, że ono pochodzi z zewnątrz? Jakby ze ścian i z sufitu?

Lucy St. George na przemian odwija i zawija bandaż na dłoni.

– Wiesz – szepcze – mam wrażenie, że ten dom mnie nie lubi.

– Hmm – mruży Phoebe. – A nie wydaje ci się, że on widzi wszystko, co robimy?

Lucy nieruchomieje.

– Jeśli to prawda – mówi cicho – to mam problem.

– Dlaczego? Zrobiłaś coś, co domowi by się nie spodobało?

Lucy nie odpowiada, tylko dalej odwija i zawija bandaż. Octavian dojrzał chyba do końca swojej listy utworów, bo Jane znów słyszy pierwszą piosenkę: *You've Got to Hide Your Love Away*.

– Posłuchaj, tato – mówi cierpliwie Ravi, ale w jego głosie pojawia się jakiś błagalny ton. – Wiem, że ją kochasz, i to okropne, że odeszła. Rozumiem to i naprawdę jest mi przykro. Ale nie zamierzam więcej o tym rozmawiać. Chcę porozmawiać o jakimś sposobie, by dotrzeć do Kiran. Może załatwmy jej jakąś pracę, która jej się spodoba?

– Pomówmy lepiej o twoich problemach, synu. Czemu nie jesteś w tej chwili w łóżku ze swoją dziewczyną?

Ravi ciężko wzdycha.

– Lucy znów ze mną zerwała – mówi – a poza tym jak miałbym się spotkać z własnym ojcem, gdybym w nocy spał. Widzisz, o ciebie też się martwię. Chciałbym, żebyś się ubrał, wyszedł na dwór, pospacerował. Może teraz się przejdziemy?

– Dobry z ciebie chłopak, Ravi – mówi Octavian. – Zawsze próbujesz to ukryć. Przykro mi z powodu Lucy.

– Cóż, z pewnością i tak jestem za młody na poważny związek – oświadcza ponuro Ravi.

– Dowiedziałeś się już czegoś o zaginionym Brâncușim?

– Nie, i Vanny strasznie działa mi na nerwy – odpowiada Ravi. – Ciągłe tylko gala to, gala tamto. Nie mam nawet pewności, czy zgłosiła to na policję.

– To sam to zgłoś – mówi Octavian. – Rano. Ten dom należy do ciebie i do Kiran.

– To twój dom, tato.

– Będzie twój, kiedy ja zniknę – odpowiada Octavian.

Z ust Ravięgo wyrywa się jęć.

– Wy, ludzie z depresją, jesteście tacy melodramatyczni. To nudne. Chodź na spacer.

Lucy wpatruje się w swoją dłoń. To, co widzi Jane, podążając za jej spojrzeniem, sprawia, że ściska ją w gardle.

Skaleczenie po drzazdze, czy cokolwiek to było, jest teraz napuchnięte i zaognione, zielono-żółto-szare, i ułłada się w niewyraźny kształt. W półmroku i pod tym kątem kształt ten kojarzy się Jane ze znajomą sceną: jakaś abstrakcyjna postać siedząca na czymś, co przypomina pryczę. Postać przecinają cienkie cięmne żyłki, niczym kraty więziennej celi. Jej włosy mają dziwny siny kolor, buty są za duże, a zamiast nosa ma świeżą kropelkę krwi.

Lucy odwraca się ku Jane. Jej twarz to maska smutku. Nuci do piosenki dobiegającej z dołu: „Gather round, all you clowns”.

Jane wraca do siebie i szuka parasolki Lucy.

Zaczęło świtać. Mija łóżko i słyszy szum *Kubusia Puchatka* leżącego na podłodze. Plama łuszczącej się farby na ścianie w sypialni się powiększyła i odsłoniła pod spodem coś czerwonego i wilgotnego. Jane przechodzi do saloniku i zatrzymuje się pośrodku pomieszczenia, wpatrzona w parasolkę Lucy, która wciąż stoi na sofie.

Czasza znajduje się pod takim kątem, że Jane nie widzi brokatowej Lucy siedzącej za kratkami. Parasolka prosi Jane, by do niej podeszła. Jane czuje jej przyciąganie. Parasolka chce, by wzięła ją do rak i podziwiała kunszt, z jakim została zrobiona; wydaje jej się to interesujące, bo tak naprawdę to chyba jej własny kunszt? To Jane sprawiła, że parasolka jest tym, czym jest. To wypłynęło z jakiejś części niej. Zastanawia się: czy jeśli podziwia parasolkę, to tak naprawdę podziwia samą siebie? Może to nawet coś w rodzaju lustra? Czy jeśli w nie spojrzy, zobaczy inną wersję siebie?

Jane rusza w stronę parasolki. Jasper opiera się o jej nogi i skomle.

– Jasper – upomina go Jane – pamiętaj, co ci mówiłam o szafie.

Pies siada i przestaje plątać jej się pod nogami.

Jane delikatnie ujmuję parasolkę za czaszę i spogląda na własne dzieło. Jest piękne. Wyjątkowe. *Lucy musiała zrobić coś bardzo złęgo*, myśli.

Wtedy zaczynają ją ogarniać wątpliwości. Ta myśl wydaje jej się w jakiś sposób niewłaściwa, nieżyczliwa. Przecież lubi Lucy. Cisnęła jej książkę daleko do ogrodu, by uratować ją przed tą dziwną lekturą, od której Lucy była senna jak Lily Bart. Jane lubi też psa, kocha Jaspęra i spogląda na tego biedaczka, który żałośnie się trzęsie i patrzy jej błagalnie w oczy.

– Jasper – mówi wesoło – chcesz iść ze mną zanieść Lucy tę parasolkę?

Za sprawą jakiegoś instynktu, nad którym Jane się nie zastanawia, wie, w którym pokoju w zachodnim skrzydle na pierwszym piętrze mieszka Lucy. Ku jej ogromnemu zdumieniu na ścianie przy pokoju Lucy wisi powiększone, oprawione w ramki zdjęcie zrobione przez ciocię Magnolię.

Dzięki temu zdjęciu Jane momentalnie przytomnieje. I nie wynika to tylko z zaskoczenia. Jane jest dumna, że praca cioci Magnolii wisi wśród innych arcydzieł na ścianach tego domu.

Mała żółta rybka wygląda z otwartęgo pyska wielkiej szarej ryby. Ciocia Magnolia zrobiła to zdjęcie gdzieś w pobliżu Japonii. Słnęła właśnie z takich pozornie niemożliwych do zrobienia fotografii. Kiedy była pod wodą ze swoim aparatem fotograficznym, wykazywała się niezwykłą cierpliwością i miała coś w rodzaju naturalnego szczęścia. Czekala po prostu, aż wydarzy się coś niesamowitego. I to się wydarzało.

Jane cofa się pod przeciwległą ścianę, by mieć lepszy widok. Oddycha powoli i głęboko, tak jak porusza się meduza. Ktoś źle oprawił tę fotografię albo w ramie za odbitką zdjęcia cioci Magnolii znajduje się jeszcze jakieś inne, mniejsze dzieło sztuki. Jane widzi jego prostokątne zarysy. Będzie musiała o tym wspomnieć pani Vanders. W przeciwnym razie fotografia cioci Magnolii może się odkształcić.

Jane opiera głowę o ścianę i ściska w ręce otwartą parasolkę Lucy. Stopniowo dociera do niej, że za tą ścianą toczy się jakaś rozmowa. Przysuwa do niej ucho. To stłumione głosy dwóch osób, które Jane zna. Dwojga kuzynów: Lucy St. George i Colina Macka. Żółta rybka i wielka szara ryba wpatrują się w podsłuchującą Jane.

– To dokładnie w twoim stylu – mówi Lucy.

– Wcale nie – odpowiada Colin.

– To dlaczego, kiedy powiedziałam o tym tacie, pierwsze słowo, jakie padło z jego ust brzmiało Colin?

– Bo oboje jesteście śmieszni.

– Och, możesz mi wierzyć, tata potrafi być skończonym dupkiem, ale ja w tej dziedzinie jestem prawdziwą legendą. Mam już powyżej uszu tego, jak utrudniasz mi pracę. To koniec.

– Koniec? – pyta Colin. – I wydaje ci się, że co zrobisz?

– Zobaczysz.

– Och, daj spokój, Lucy.

– Zobaczysz!

– A kiedy już się przekonasz, że to nie ja wziąłem tę cholerną rzeźbę, ile będzie wtedy wart ten twój bunt?

– Och! – Słysząc znajomy śmiech Lucy. – Drogi Colinie, ten bunt będzie wart więcej, niż potrafisz sobie wyobrazić.

– To może oznaczać tylko Vermeera. Co z nim zrobiłaś?

– Nic ci do tego.

– Mhm – mruczy Colin. – Blefujesz. Nie zwróciłaś się przeciwko rodzinie.

– Natychmiast wyjdź z mojego pokoju. Możesz sobie być fałszywy i nieszczerzy wobec swojej dziewczyny, nie wobec mnie.

– Ha! To, co robię tej głupiej suce, niczym się nie różni od tego, co ty robisz Raviemu. Jesteśmy dokładnie tacy sami.

– Zjeżdżaj, Colin – mówi z pasją Lucy. – I trzymaj się ode mnie z daleka.

– Ja też cię kocham, kuzyneczko – odpowiada Colin.

Drzwi otwierają się i zamykają. Colin wychodzi na korytarz i widzi Jane, która stoi i wpatruje się oszołomiona w fotografię w towarzystwie najsmutniejszego psa na świecie.

– O, cześć! – Colin usiłuje mówić naturalnym tonem, ale widać, że jest wystraszony. – Dlaczego czaisz się na korytarzu?

– Naprawiłam parasolkę Lucy – odpowiada Jane.

– Ach tak. – Colin ledwie zerka na parasolkę. – Na pewno będzie zachwycona. – Po tych słowach szybkim krokiem odchodzi.

Chwilę później na korytarz wychodzi Lucy St. George i wzdryga się zaskoczona na widok Jane. Wygląda okropnie. Przyciska zabandażowaną rękę do boku. Nerwowo zerka na zdjęcie cioci Magnolii i znów spogląda na Jane.

– To tylko ja i Jasper. Przepraszam, że cię wystraszyłam. Przyniosłam ci parasolkę. – Jane podaje ją Lucy. Lucy spogląda na obraz z brokatu. Jej usta rozchylają się z podziwu, a potem

jakby z obrzydzeniem.

– Zrobiłaś to teraz? – pyta.

– Wczoraj.

– To niemożliwe.

– Zgadza się – mówi Jane – ale to prawda. Jest przeznaczona dla ciebie. Weź ją.

– Tak – mówi Lucy. – Wiem.

Mówi takim dziwnym, zrezygnowanym głosem. Wyciąga obie ręce, sięga po rączkę parasolki i delikatnie odbiera ją od Jane. Potem rusza korytarzem, wciąż mocno ją ściskając, lecz stara się ją trzymać jak najdalej od ciała.

Wpadnie w nią. Gdzieś poza polem widzenia Jane Lucy wpadnie w scenę na parasolce, zagłębi się w tamtą historię i stanie się duszą parasolki. A Charlotte będzie mogła się na niej zemścić. Jakaś część Jane o tym wie i zastanawia się z chorobliwą ciekawością, jak to będzie wyglądało, bo tak naprawdę to nie ma żadnego sensu. Jak człowiek może wpaść do jakiejś historii?

Karmiąc kimś Charlotte, osobiście jej kogoś oddając, Jane wytworzyła z nią zupełnie nową więź. Czuje to. Pewnie to dlatego, gdy wraca do apartamentu, kończy jej się cierpliwość do skomlącego psa i zamyka go w szafie.

Przez cały dzień przez dom przetaczają się fale ludzi przygotowujących galę. Sprzątacze, dekoratorzy, ludzie z cateringu, muzycy. Raz na jakiś czas Jane widzi z daleka Ivy, Patricka albo któreś z Vandersów, zapewne zajętych jakimiś bardzo ważnymi przygotowaniami.

W pewnym momencie schodzi na dół do głównego holu, przeciska się między ludźmi i bierze do rąk zdjęcie Charlotte. Wydaje się teraz większa niż poprzednio; inni ludzie na fotografii są jakby w cieniu. Jej twarz triumfalnie promienieje i Jane wie, że chodzi jej o Lucy. Na obliczu maluje się jej głód i Jane rozumie, że chodzi o wszystkich i o każdego.

Nagle Jane przenika fala ciepła i wie bez patrzenia, że dotyka jej Ivy. Wie również, że Charlotte to się nie podoba. Charlotte chce, by okłamała Ivy i jak najszybciej się od niej oddaliła.

– Janie, wszystko w porządku? – pyta Ivy. – Masz przedziwną minę.

– Nic mi nie jest – kłamie Jane i odwraca się w jej stronę. Ivy dotyka jej wytatuowanego ramienia. Cała wydaje się kolorem i światłem, ciemne włosy i niebieskie oczy, woń jaśminu i chloru, i jakaś część Jane się budzi. Bez wahania mocno przytula się do Ivy, która spogląda na nią wystraszona. Potem niezręcznie odwzajemnia uścisk.

– Na pewno nic ci nie jest? – szepcze jej do ucha.

– Na pewno – szczerze odpowiada Jane, bo w ramionach Ivy wszystko jest w porządku. Po chwili jednak Ivy odsuwa się z przeproszącą miną i wyjaśnia, że pani Vanders ją wołała, ale że martwi się o Jane i później do niej zajrzy. Jak tylko będzie mogła.

– W porządku?

– W porządku.

Obserwując jak Ivy znika w tłumie ludzi, Jane ma nagle poczucie, że straciła jakąś szansę. Straciła ją w chwili, gdy Ivy odeszła. Ivy jest czarodziejką, dobrą wiedźmą, kapłanką, myśli Jane. Ale już jej tu nie ma.

Jane idzie do pomieszczenia z krytym basenem i siada na leżaku naprzeciw zbiornika z rekinami. Wdycha zapach chloru.

Po jakimś czasie dołącza do niej Kiran, a niedługo potem Phoebe. Jane, Kiran i Phoebe siedzą razem godzinami. Powietrze jest gorące i wilgotne. Tak niewiele mają do powiedzenia. Wszystkie na jakimś poziomie rozumieją, że przeżywają dzień gali w inny sposób niż pozostali

w domu, ale brak ciekawości jest jakąś częścią tego doświadczenia. Żarłacz tępotłowy miarowo pływa w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. To hipnotyczne. Te żarłaczki zjadają wszystko, co widzą, więc Jane zastanawia się nad innymi barwnymi rybami, które śmigają w akwarium. Taki jest cel ich życia? Mają zostać zjedzone? Okropna zielonkawa murena łąpie okiem na Jane; wyciągnęła się przy dnie zbiornika i prawie się nie porusza. Jane rozumie, że Charlotte może się wcielić w każdą część swojego domu, że może patrzeć oczyma tej mureny. Murena uśmiecha się paskudnie i lekko porusza ogonem.

Książka Jane leży zamknięta na jej kolanie, ale miło do niej szumi.

– Martwię się o Octaviana – odzywa się Kiran.

– Czemu? – pyta Jane.

– Dziwnie się zachowuje i tylko snuje się po kątach. Powiedziałam mu, że powinien pójść do lekarza. Może nawet powinien spotkać się z psychologiem.

– Mógłby porozmawiać z panem Vandersem – proponuje Phoebe. – Pan Vanders mógłby poddać go terapii.

– Pan Vanders? – dziwi się Kiran.

Phoebe siada prosto na leżaku. Po jej twarzy przemyka zakłopotanie.

– Chwileczkę – mówi. – O cholera. Muszę iść. – Opuszcza nogi na złote kafelki, podnosi się i wybiega z pływalni.

Jane zostaje sam na sam z Kiran. Siedzą i milczą.

Jakiś czas później przez drzwi wsuwa głowę Ravi.

– Tu jesteś! – woła. – Siostrzyczko, straciłaś poczucie czasu?

Kiran tępo odwraca głowę w jego stronę.

– Co?

– Zaczęła się gala – mówi Ravi. – Musisz się przebrać!

Staje przed leżakiem Kiran, przygląda jej się, potem kuca i z troską mruży oczy. Jest ubrany w czerń. Jak zwykle porusza się niczym burza światła. Pasemka w jego włosach lśnią. Jane przygląda mu się z zainteresowaniem.

– Wszystko w porządku? – pyta Ravi. – Ludzie o ciebie pytają.

– Martwię się o Octaviana – mówi Kiran.

– Tak, wiem coś o tym. Chodź, odprowadzę cię do twojego apartamentu. Wiesz już, w co chcesz się ubrać? Tylko poczekaj, aż poznasz seksownych agentów z FBI!

– Agentów z FBI? – mamrocze niewyraźnie Kiran, gdy brat właściwie stawia ją na nogi.

– Agentów specjalnych – odpowiada Ravi. – A to ponoć znaczy, że są uzbrojeni. Zaprosiłem na tę imprezę wszelkich możliwych gliniarzy, żeby zbadali sprawę kradzieży Brâncușiego. Vanny jest na mnie wściekła. Musisz mi pomóc wszystkich zabawiać, żeby goście nie poczuli się jak na imprezie pełnej gliniarzy.

– Dobra – mówi z powątpiewaniem Kiran.

Papłając dalej, Ravi wyciąga ją z pomieszczenia.

– Jesteś jakaś dziwna – mówi. – Jakbyś była w transie. Chodź, wyjdźmy najpierw na dwór i popatrzmy na morze.

– Na dwór? – powtarza zdziwiona Kiran.

– Jest zimno i leje – mówi Ravi. – Fale są wysokie. Nie spodoba ci się to, ale przynajmniej się obudzisz.

Każdego, kto ma depresję, Ravi próbuje wyprowadzić na dwór, prawda? Jane wyczuwa, że Ravi nie ma pojęcia o Charlotte; kieruje się po prostu instynktem kogoś, kto ma w sobie więcej

życia niż pozostali. Być może Jane przegapiła właśnie kolejną szansę, z Ravim. Niestety, wybrał swoją siostrę bliźniaczkę.

Jane zostaje sama i wpatruje się w oczy zielonkawej mureny. Pragnie się udać do swojego podwodnego świata, gdzie czuje, że ciocia Magnolia jest blisko. Wreszcie wstaje, przechodzi na zachodni kraniec pomieszczenia i do przebieralni, skąd z kolei można się dostać do biblioteki.

Ktoś, zapewne Octavian, porozwieszał kolejne sznury z napisem *Teren prywatny* przy każdym wejściu do biblioteki. Z innych części domu dobiegają dźwięki, melodyjne, wesołe, odgłosy śmiechu, radości, imprezy. Biblioteka jest pusta, słabo oświetlona i łagodnie lśni barwami. Wibruje energią. Jane przerzuca nogę nad sznurem.

W bibliotece stoi kilka pluszowych foteli i parę krzeseł przy stoliku do kart. Ale najwygodniejsza wydaje się sofa Octaviana. To z niej Jane będzie mogła najlepiej obserwować sufit. Pościel jest pognieciona i pachnie dymem fajkowym. Jane ją przygląda i się kładzie. Sufit wydaje się bliżej niż dotąd i Jane lepiej widzi wzory na jego „stronach”. To... klatki dla ptaków? Niektóre faktycznie tak wyglądają. Jane dostrzega Jasia uwięzionego w klatce, gdy tuczy go czarownica. Nanę, suczkę z *Piotrusia Pana*, w budzie. Szczura w klatce wgrzyzionego w twarz mężczyzny: *Rok 1984* Orwella. Julię budzącą się na kamiennym łożu za kratami grobowca. Mężczyznę, który zamurówuje innego żywcem: to z opowiadania Edgara Allana Poe'go. Obląkaną kobietę za okratowanym oknem na strychu: *Dziwne losy Jane Eyre*.

Są też sceny symbolizujące wolność. Jest nawet Krzyś, Kubuś Puchatek, Prosiaczek, Kłapouchy, Kangurzyca i Maleństwo, i wszyscy pozostali; idą razem brzegiem strumyka.

To rozdział ósmy, *W którym Krzyś staje na czele Przyprawy do Bieguna Północnego*. Jane pamięta, jak czytała tę opowieść z ciocią Magnolią. Była to jedna z ulubionych historyjek cioci, bo sama przecież uwielbiała przyprawy. W tym rozdziale cała grupka wyrusza, by odkryć Bieguna Północny, ale potem Maleństwo wpada do strumyka, Puchatek znajduje długą żerdź, przerzuca ją przez strumyk i ratuje Maleństwo. Gdy jest już po wszystkim, Krzyś z namysłem przygląda się żerdzi Puchatka. „Puchatku, Wyprawa jest zakończona” – oświadcza z powagą. „Znalazłeś Bieguna Północny”.³

Oczywiście teraz już Jane się spodziewa, że to Charlotte opowiada tę historię.

Grupka wyrusza, idąc gęsiego. Przodem idzie Krzyś i Królik, potem Prosiaczek z Puchatkiem, dalej Kangurzyca z Maleństwem w torbie, i Sowa, i Kłapouchy, a na samym końcu długiego szeregu Krewni i Znajomi Królika. A za nimi ktoś jeszcze.

– Wcale nie chciałem brać udziału w tej Przyprawie – mówi Kłapouchy. – Poszedłem tylko z grzeczności. Marznij mi ogon. Nie, żebym chciał narzekać, ale tak właśnie jest.

Królikowi marzną uszy. Puchatkowi brzuszek. Prosiaczek zaczyna popiskiwać, bo z zimna aż pieką go nóżki i ryjek.

– Zimno potrafi piec – mówi osoba idąca na samym końcu szeregu. – Ale nie martwcie się.

– Czemu mielibyśmy się nie martwić? – pyta Prosiaczek.

– Po tym pieczeniu – odpowiada osoba na końcu szeregu – zaczniecie się trząść. A potem przestaniecie się trząść, zrobi wam się ciepło i poczujecie senność. To będzie cudowne.

– Skąd to wiesz? – pyta Prosiaczek, który już teraz zaczyna drżeć.

– Bo to spotkało moją ciocię Magnolię – mówi osoba na końcu szeregu.

– A czy ciocia Magnolia wróciła, żeby ci o tym opowiedzieć? – pyta Prosiaczek, trzęsąc się coraz bardziej.

– Niezupełnie – odpowiada Jane.

– W takim razie jak się o tym dowiedziałaś? – pyta Prosiaczek, ziewając.

– To się nazywa hipotermia – wyjaśnia Jane. – Tak się czasem dzieje z ludźmi, którzy wyruszają na Biegun Północny bez odpowiedniego sprzętu i zapasów.

– I ciocia Magnolia tak zrobiła? – pyta Prosiaczek.

– Nie – odpowiada Jane. – Wyruszyła na Biegun Południowy i miała sprzęt i odpowiednie zapasy. Czy to nie miło robić coś równoległego, a równocześnie przeciwnego? Zupełnie jak ciocia Magnolia, tylko inaczej.

– Ale jeśli miała odpowiedni sprzęt i zapasy, to czemu dostała hipotermii? – dopytuje Prosiaczek.

– Zaskoczyła ją śnieżycą.

Powoli zaczyna padać śnieg. Wiatr przybiera na sile i coraz mocniej go zawiewa. Ten śnieg bardzo przypomina kwiaty wiśni, miękkie, delikatne i słodko pachnące, ale gdy pada na skórę Jane, wrażenie jest takie, jakby dżgano ją igłami.

– Au! – krzyczy Prosiaczek. – Au! Au! To piecze!

– Poczekaj, Prosiaczku – mówi Jane, gdy sterty piekącego śniegu rosną wokół jej stóp, kostek, łydek. Tatuaż z meduzą zaczyna ją palić, zmienia się w piekący płomień na ramieniu. – Tak to powinno wyglądać – wyjaśnia Jane, która dopiero teraz zaczyna się bać. Niedługo zrobi ci się ciepło, poczujesz senność i to będzie cudowne.

Wiśniowy śnieg potrafi w jakiś sposób znajdować wszystkie otwory w ubraniu Jane i przywiera do jej skóry. Tam staje się jak kwas, przeżera jej zewnętrzną warstwę. Obnaża ją. Wszystko dzieje się bardzo szybko. Krzyś krzyczy. *Jakie to dziwne*, myśli Jane, obserwując go. *On nie ma skóry*. Wiśniowy śnieg wyżarł mu skórę na twarzy i ramionach, i na nogach powyżej butów. Krzyś jest cały czerwony, coś się z niego sączy, z zewnątrz wygląda tak, jak powinny wyglądać jego trzewia, jest sceną z filmu, od której odwracamy wzrok, bo jest zbyt straszna. Ale tak właśnie wyglądają nasze ciała pod skórą. Puchatek krzyczy. Prosiaczek krzyczy. Królik krzyczy.

Jane też krzyczy, ale nie wydaje z siebie żadnego dźwięku. Leży na sofie w bibliotece z otwartym *Kubusiem Puchatkiem* na kolanach, wygina grzbiet, a jej usta układają się w idealny, bezgłośny krzyk. Walczy z Octavianem, który wszedł ubrany w szlafrok i zastał Jane, szarpiącą się i miotającą jak człowiek żywcem obdzierany ze skóry. Jane wcale tak nie wygląda, ale tak się czuje, i Octavian to rozumie.

– Ona cię zabiera – mówi Octavian. – Dlaczego zabiera cię, zamiast mnie?

Jane wie dlaczego, bo Charlotte to wie, a teraz nie dzieli ich już żadna granica.

Charlotte zabiera Jane, bo to ona dotarła pierwsza do tego pomieszczenia tej nocy, gdy Charlotte jest potężniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Jej moc wzięła się stąd, że nie tylko Octavian, lecz także Jane, Lucy, Phoebe i Kiran dawali jej tę energię: rozmawiali o niej, wypowiadali jej imię, przesiadywali w jej bibliotece. Jane dotarła tu pierwsza, bo Octavian wciąż spał. Dotarła tu pierwsza, bo zamknęła Jaspera w szafie. Dotarła tu pierwsza, bo Phoebe jest gdzie indziej, próbuje się trzymać i wykonywać swoją pracę, bo Kiran jest gdzie indziej i próbuje trzymać się na imprezie, i dlatego że to Jane nakarmiła Charlotte, dając jej Lucy.

W chwili, gdy Jane po raz pierwszy weszła do biblioteki, otworzyła się przed Charlotte na tyle sposobów. Pokazała osieroconą część siebie, szukającą swojego miejsca. Charlotte wdarła się w Jane przez jej rany.

Jane weszła do biblioteki, bo Kiran i Lucy opisywały ją w taki sposób, że przypominała podwodny świat cioci Magnolii. Kiran i Lucy opisywały bibliotekę, bo rozmawiały o Charlotte; bo w tamtej chwili, gdy Jane mogła pójść za panią Vanders albo za dziewczynką, albo za Ravim,

albo za psem Jasperem, postanowiła towarzyszyć Kiran.

Nawiasem mówiąc, Kiran to wszystko w niczym nie pomogło. Tak się składa, że czeka ją najgorsza noc w jej życiu. Nie z powodu tego, co dzieje się z Jane – choć to również ją zaboli – lecz z powodu sceny, która rozgrywa się w innym miejscu wyspy. Kiran jeszcze o tym nie wie, ale Jane tak. W tej chwili Kiran snuje się po sali balowej i próbuje zabawiać gości, Ravi zaś zabiera dwoje agentów specjalnych FBI na spacer. Prowadzi ich do ukrytej zatoczki, gdzie natykają się na dziwną scenę z udziałem Ivy, Patricka, Kucharza i zaginionych dzieci Panzavecchiów. Pamiętacie te słynne zaginione dzieci Panzavecchiów? Agenci specjalni FBI z definicji mają broń, podobnie jak Patrick, Ivy i Kucharz. Na dworze panują ciemności, a gdy uzbrojeni ludzie są zdezorientowani, zdarzają się złe rzeczy. A Patrick jest takim typem człowieka, który rzuca się na linię ognia, by ratować dzieci, kiedy padają strzały.

Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, Jane, Kiran albo one obie mogłyby tam być i temu zapobiec. Zamiast tego jednak Kiran dostanie straszną wiadomość, a Ivy cała drży i klęczy nad bratem, którego krew wsiąka w piasek w ukrytej zatoczce. Dla Ivy to też najgorsza noc w jej życiu.

Ale wróćmy do biblioteki.

Wcześniej Jane się zastanawiała, jak to będzie wyglądało, kiedy Lucy wpadnie do parasolki.

Teraz już wie. Nie tylko jak to wygląda, lecz także jakie to uczucie.

Tak?

Wygląda to zupełnie niepozornie. Wygląda tak, jak Jane. Bystra, pełna życia, wojownicza, wspaniała Jane na sofie Octaviana, skręcająca się samotnie w niemym bólu, który może ukoić tylko Charlotte. Octavian próbuje ją przytrzymać. A potem nagle już jej nie ma. Zniknęła. Octavian zostaje z pustymi rękoma i z przeciągłym akordem, dźwiękiem, który wibruje w jego gardle i zębach i każe mu spojrzeć w sufit, gdzie odnajduje obraz Krzysia, Puchatka i innych mieszkańców Lasu wędrujących razem brzegiem strumyka. Widzi, że na końcu szeregu dołączyła do nich jakaś wysoka postać.

Jakie to uczucie?

Żrący śnieg żywcem obdziera Jane ze skóry. Jest nie tylko ciepły, lecz także palący. Kiedy zamarzasz na śmierć, wszystko cię pali. A gdzie to otepienie, które obiecywano Jane? Gdzie senność i nieodczuwanie bólu? Teraz Jane rozumie, jaka przerażona musiała być ciocia Magnolia.

Ciociu Magnolio?

Ale ciocia Magnolia jej nie słyszy. I Jane nie udaje się tam, gdzie ona.

Ostatni krzyk Jane jest fałszywym, ochrypłym dźwiękiem, który Octavian słyszy gdzieś w sobie. Ten krzyk każe mu spojrzeć w sufit.

Jane jest na suficie, na końcu szeregu, w zadymce żrącego śniegu, który jest też jak płatki wiśni. Fizycznie jej pole widzenia jest ograniczone. Jednym okiem widzi odległy skraj biblioteki. Wie jednak wszystko to, co wie Charlotte. Jest ciemno, ale nie czuje odrętwienia. Jest cicho, ale wciąż czuje ból. Jane płonie. Rozumie, że teraz stała się domem. Tyle tylko, że nie do końca: to Charlotte jest domem, Jane zaś jakąś zduszoną częścią jej struktury. Charlotte jest więzieniem, a Jane jej więźniem.

Charlotte próbuje użyć Jane jak kleju. Nie będzie to bezbolesne i nie zadziała. Nie nasyci bezdenne pragnienie Charlotte, by poczuć się całością. Co się wtedy stanie? To będzie zależało od tego, czy Kiran, Octavian, Phoebe i pozostali nadal będą o niej rozmawiać,

wypowiadać jej imię, przesiadywać w jej bibliotece, dawać jej energię. Jeśli tak, Charlotte będzie ich zabierać jedno po drugim.

Ile czasu minęło? Dni? Tygodni?

Wciąż trwa gala.

Jane myśli: *Octavian powie ludziom, co widział, i ktoś mnie uratuje. A może będzie milczał i czekał na swoją kolej?*

Albo Ivy znajdzie moją otwartą książkę na sofie. Ale czy się domyśli, by spojrzeć w górę? A jeśli tak, to czy zrozumie to, co zobaczy? I czy jej moc, jej magia okaże się wystarczająco silna? Czy teraz, gdy jej brat nie żyje, w ogóle się tym przejmie? Umarły, martwy, nieobecny. Nieżywy. Siedem liter i ż.

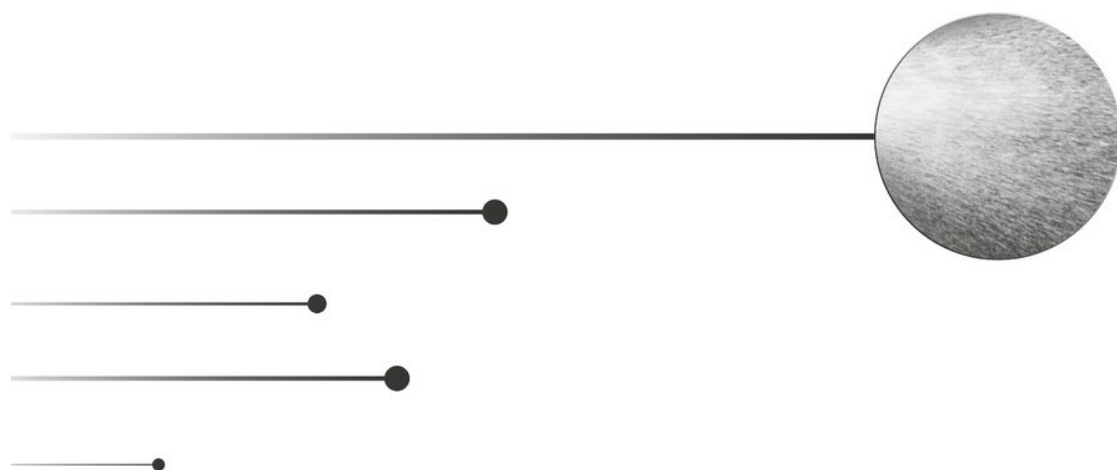
Charlotte czasem ma obawy co do Ivy. Ivy może stanąć jej na drodze. Ma też obawy co do Jaspera i Ravięgo, i co do matki Ravięgo, i pani Vanders. Te osoby Charlotte lubi najmniej. Teraz jednak Jasperem już się tak bardzo nie przejmuję, bo doznał poważnego uszkodzenia mózgu, usiłując wydostać się z szafy.

Charlotte się martwi, ale nie na zapas. Wie, że na razie dobrze jej idzie. A dopiero zaczęła.

Gdzieś w głębi domu rozlega się dzwonięcie,
dźwięczne i przejrzyste jak dzwoneczki na wietrze.

Pani Vanders, dziewczynka, Kiran, Ravi czy Jasper?

Ciociu Magnolio, myśli Jane, dokąd powinnam pójść?



**Nieskończone
światy Jane**

Jane podejmuje decyzję.

– O cholera – mówi.

– Co się stało? – pyta Kiran.

W tym, że Jane wybrała Ravięgo, najbardziej martwi ją, że wydaje się to... trochę zbyt kuszące. I że ją to rozkojarzy, odciągnie od innych spraw dziejących się w domu, które na pewno są ważniejsze. Mówi jednak do Kiran:

– Jest coś, co muszę sprawdzić. Przyjdę do ciebie później, dobrze?

Kiran, rozczarowana, wzrusza ramionami.

– W porządku. Będę w ogrodzie zimowym.

Po tych słowach odchodzi.

Gdy Jane dociera na półpiętro, Jasper zagradza jej drogę. Kręci jej się pod nogami, jakby sądził, że są portalem, przez który dotrze na swoją ojczystą planetę.

– Futrzaku! – mówi Jane. – Przestań!

Mija go i dalej wchodzi po schodach, ale Jasper uwziął się, by iść za nią. Wygląda to żałośnie. Jane zwalnia kroku i pozwala mu się dogonić.

– Jasper – mówi – łamiesz mi serce.

Gdy dociera na drugie piętro wschodniego skrzydła, Ravi stoi tam, trochę dalej w korytarzu, zwrócony do niej plecami. Pochyla się nad komórkę, a w drugiej ręce balansuje miseczka z owocami i tostem. Jane przystaje i czeka; wciąż jej nie zauważył.

Ravi chowa telefon do kieszeni, przekłada jedzenie z ręki do ręki i rusza. W tym momencie w jakiś niewytłumaczalny sposób Jasper mija Ravięgo, biegnie dalej korytarzem i zaczyna hasać i się wygłupiać. Wygląda, jakby chciał odwrócić uwagę Ravięgo, Jane nawet nie przypuszczała, że jest zdolny do takich tańców i podskoków.

– Psina z małym mózdzkiem – mówi do niego czule Ravi.

Chodnik tłumi odgłos kroków Jane, gdy podąża za nimi. Ravi dociera do drzwi z wycieraczką, na której widnieje napis WITAJ W MOICH ŚWIATACH, wyjmuje z kieszeni klucz i przekręca go w zamku.

Jane podbiega do nich żwawo, wsuwa nogę, zanim drzwi się zamkną, i zbliża oko do szpary. Dołącza do niej Jasper. Miga jej jeszcze tors Ravięgo, potem nogi i jego postać znika gdzieś w górze, na skrzypiących spiralnych schodach.

Kobieta o niskim głosie mówi coś wesołego w języku, którego Jane nie zna. Ravi odpowiada jej tym samym. Kobieta dodaje coś jeszcze, teraz wypowiedź trwa dłużej.

– Dziękuję – odpowiada Ravi po angielsku. – Proszę, przyniosłem ci owoce od Patricka.

– Och, dziękuję, kochanie – odpowiada kobieta z brytyjskim akcentem, w którym można się doszukać lekkiego brzmienia z subkontynentu indyjskiego. – Myślałam, że zjem w NW17, ale moja tamtejsza odpowiedniczka nie ma w tej chwili głowy do tego, aby być gościnna.

– Mówisz, jakbyś się martwiła – zauważa Ravi. – Coś poszło nie tak?

– Domowi z NW17 grozi napad piratów.

– Piratów! – powtarza Ravi. – Jakich piratów? Chodzi im o dzieła sztuki?

– Och, Ravi, zawsze ci się wydaje, że we wszystkim chodzi o sztukę. Nie. To piraci z NW17, którzy szukają w wieży portalu. Wszyscy są tym bardzo zestresowani.

– Och! A skąd wiedzą o portalu?

– Nie wiadomo. W NW17 wszystkim powszechnie wiadomo o istnieniu światów równoległych, ale ten konkretny portal trzymaliśmy w tajemnicy. Ubzdurali sobie w tych kurzych mózdzkach, że skorzystają z niego, by przenieść się do innych wymiarów, odnaleźć tam alternatywne wersje samych siebie, a potem sprowadzić je z powrotem przez portal do NW17, żeby było ich więcej.

Jane, stojąca na dole przy schodach, nie może uwierzyć własnym uszom.

– Rany, co to jest NW17? – szepcze do Jaspera. – I jak domowi może grozić napad piratów?

I jak piraci mogą mieć alternatywne wersje siebie? Serio, o co w tym wszystkim chodzi?, dopowiada już w myślach

– Czemu uważasz, że to taki głupi pomysł? – pyta Ravi. – To by nie zadziałało?

– Oczywiście, że by zadziałało! – woła kobieta. – Dlatego tak się martwię! Masz tu swój głupi obraz Moneta z NW17 i przestań mnie zadrećcać pytaniami!

– Och, daj spokój, mamó. Nie wyżywaj się na mnie. To twoja wina, ty otworzyłaś te portale. Ty i wszystkie alternatywne wersje ciebie.

– Nigdy nie wspominałam o portalach nikomu spoza rodziny. Nie możesz winić mnie za to, że moje alternatywne wersje są niedyskretne we własnych wymiarach. Nie jestem nimi!

– A jednak podejrzewam, jakie w większości są – mówi ze znużeniem w głosie Ravi.

– Więcej szacunku – domaga się pierwsza pani Thrash. – Jesteśmy twoją matką. – Następuje chwila milczenia. – No i? – ciągnie kobieta dość agresywnym tonem. – Co u ciebie?

– W porządku, mamó – odpowiada nieco ostrym tonem Ravi. – Martwię się o Kiran. Chyba wciąż jest w dołku.

– A ty nadal mnie o to obwiniasz, tak?

– Mamó – mówi ostro Ravi, a Jane się zastanawia, czy może Kiran ma depresję, bo jej matka cierpi na urojenia.

– Kiran potrzebuje pracy, ot co! – oświadcza pierwsza pani Thrash. – Jest takim zdolnym dzieckiem, a wszystko to marnuje i snuje się bez żadnego kierunku w życiu. Zauważyłam całkiem spore różnice w motywacji u różnych Kiran, które spotkałam. Wspominałam ci o tym? Nigdy nie wiem, jakiej Kiran mam się spodziewać. Niektóre z nich rozpiera energia. Kiran z Nieograniczonego Wymiaru 17 zajmuje się teraz...

– O Boże! – wzdycha Ravi. – Nie chcę tego słuchać! Nie dość sobie już w ten sposób zaszkożdził się?

– Och, nie bądź głuptasem. A co tam u Ivy? Wiesz, mógłbyś ją do mnie przyprowadzić w odwiedziny. Mogłabym ukryć moich pupilków na górze.

– Ivy wie o twoich pupilkach. Kiran o wszystkim powiedziała Patrickowi, przecież wiesz. A Patrick powiedział Vandersom i Ivy.

– I ty mnie krytykujesz, że niby jestem niedyskretna.

– Jeśli Vanny będzie miała w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia, nikt więcej się nie dowie – odpowiada Ravi. – W każdym razie uznała, że to jakieś bajki. Sama przecież wiesz, jaka jest Vanny.

– Nie rozumie tego, więc myśli, że to czary, co?

– Właśnie.

– Co jej mówisz, kiedy przynosisz jej obrazy z NW17?

– Ostentacyjnie o nic nie pyta – odpowiada Ravi.

– Tak jak ty ostentacyjnie jej nie pytasz, skąd zna tyle kolekcjonerów z drugiego obiegu, którzy gotowi są kupować twoje dziwaczne dzieła sztuki do prywatnych zbiorów.

– To jej branża. To jasne, że ma kontakty.

– A mnie się wydaje, że coś tu śmierdzi. Jest zamieszana w czarny rynek dzieł sztuki, albo coś w tym stylu.

– Daj spokój, mam – wzdycha Ravi. – Pani Vanders jest chyba najporządniejszą osobą na świecie. Pomaga mi z dobroci serca. Najpierw przekonuje samą siebie, że te obrazy są normalne, a potem przekazuje je kolekcjonerom, których poznała na studiach doktoranckich. To proste. Pokażesz mi, co dla mnie przyniosłaś?

Następuje kolejna chwila milczenia. Potem pierwsza pani Thrash pyta:

– I jak? Na taki obraz liczyłeś?

– Jest nawet lepszy, niż przypuszczałem – odpowiada Ravi. – Świetnie to załatwiłaś. Buckley będzie zachwycony tymi animatronicznymi żabami na liściach lilii wodnych.

– Jest jeden taki Ograniczony Wymiar, który odwiedziłam – mówi pani Thrash. – OW387. Ich Monet wcale nie malował żab na liściach lilii wodnych. Wydaje mi się nawet, że w tym świecie nie ma ani jednego kierunku artystycznego, który skupiałby się na żabach, może z wyjątkiem ich wersji muppetów. A to z kolei nasuwa pytanie, skąd się wziął Kermit w ich świecie?

– A różni się czymś od pozostałych?

– No cóż, nie jest niebieski. Ma groszkowozielony kolor.

– Groszkowozielony?!

– I kocha Świnkę Piggy.

– Och, daj spokój – mówi Ravi.

– Chciałbyś mieć w kolekcji Moneta z liśćmi lilii wodnych bez żab? Następnym razem, kiedy się tam wybiorę, zobaczę, co uda mi się załatwić. W Ograniczonym Wymiarze jest trudniej, bo... no cóż... oczywiście mamy tam do czynienia z wersjami nas samych o bardziej ograniczonych umysłach. Nie mają tyle wyobraźni. Może nie będą chcieli mi go sprzedać.

– Z tego, co wiem, nasz własny wymiar jest Ograniczonym Wymiarem.

– No cóż, tak go sklasyfikowaliśmy. Ale klasyfikacja wciąż trwa i im więcej się dowiadujemy, co jest na porządku dziennym w różnych wymiarach, a co nie, tym bardziej zmieniają się nasze kryteria. Wcale by mnie nie zaskoczyło, gdyby pewnego dnia nasz wymiar został przeklasyfikowany na Nieograniczony. Możliwe, że istnieją zjawiska paranormalne, których jeszcze nie odkryliśmy.

– Ha! Po prostu nie lubisz o sobie myśleć, że jesteś ograniczona – stwierdza oschle Ravi.

– Eee tam, jestem naukowcem. Zjawiska paranormalne to po prostu takie, których jeszcze nie rozumiemy. Do dziś naukowcy w naszym wymiarze nie są usatysfakcjonowani naszymi wyjaśnieniami, dlaczego... no nie wiem... ludzie potrzebują snu albo dlaczego z nieba padają żaby. Ale wszystko wszędzie ma jakieś naukowe wytłumaczenie, bez względu na to, czy je znamy, czy nie. Koniec końców i tak będziemy musieli stworzyć lepsze kategorie niż „Ograniczony” i „Nieograniczony”. Ale wiesz, mój drogi, istnieje „Ograniczony” i „ograniczony”. Kiedy przesłałam przez portal i pokazałam się swojej wersji z OW387, tam gdzie mają te obrazy Moneta bez żab, wyobraź sobie, że zemdląca. Zostawiła swój portal otwarty, więc musiała mieć świadomość, że któraś z nas może się pojawić, ale okazało się, że nawet ona nie do końca wierzy w światy równoległe i w podróże międzywymiarowe. I to nawet teraz, gdy już ją poznałam! Rodzina uważa ją chyba za jakąś wariatkę żyjącą na strychu, i to do tego stopnia, że sama prawie w to uwierzyła. Nie jest pewna, czy nie byłam urojeniem. Kazali jej brać leki.

– Hmm – mruczy Ravi. – Sam nie wiem. Jest coś ciekawego w tej sztuce bez żab?

– Jest prosta, ale wysublimowana. Według mnie przepiękna.

– W takim razie tak, jeśli możesz. Sprowadź mi cokolwiek. Lubię, kiedy Buckley dostaje zawrotów głowy.

– Nie rozumiem, dlaczego musisz go okłamywać, skąd bierzesz te wszystkie obrazy – odpowiada pierwsza pani Thrash. – A przecież tak zadzierasz nosa, jeśli chodzi o pochodzenie dzieł sztuki w twoim własnym domu. Nie są przecież kradzione ani zrabowane w czasie wojny. Wydajesz fortunę na to, żeby je importować, i to tylko wprowadzi w błąd przyszłych historyków sztuki. Nie wspominając już nawet o archeologach międzywymiarowych. Bo wiesz, pewnego dnia ktoś taki się pojawi.

– Po pierwsze, ja wszystko rejestruję – mówi Ravi drwiącym tonem. – Po drugie, jak możesz sugerować, żebym zdradził tajemnicę chwilę po tym, jak krytykowałeś za to innych? Gdybym o tym powiedział Buckleyowi, mógłbym nam narobić mnóstwo kłopotów. A co, gdyby okazał się niedyskretny? Mamy w tym wymiarze mnóstwo ludzi, którzy zechcieliby to wykorzystać.

– No cóż, w takim razie nie rozumiem, co z tego masz, Ravi.

– To gra, a ja w niej wygrywam. Mogę podrzucać międzywymiarowe dzieła sztuki w różne miejsca na całym świecie i nikt nie zna ich pochodzenia, z wyjątkiem ciebie i mnie. I przyjaciółki Kiran, która właśnie podsłuchuje u dołu schodów.

O do diabła.

– Ravi! – mówi pierwsza pani Thrash. – To dlatego nie słyszałam, jak zatraskują się drzwi?

– W każdym razie tak się domyślałam.

– I pewnie dlatego w trakcie rozmowy przeszedłeś na angielski. Chciałeś, żeby ta osoba nas podsłuchiwała. Doprawdy, Ravi! To mężczyzna czy kobieta? Pewnie kolejny z twoich podbojów?

– Och, nie zadzieraj tak nosa – odpowiada Ravi. – Wiesz, że to nie tak.

– Mógłbyś lepiej wykorzystywać swój czas i talent. Kiedy ostatni raz sięgnąłeś po pędzel? A byłeś przecież taki zdolny.

– Mamo – rzuca niecierpliwie Ravi. To słowo brzmi jak mała eksplozja. Potem znów powraca do przyjemnego tonu. – Polubisz ją. Co ty na to? Chcesz poznać nową przyjaciółkę, która pewnie uważa, że oboje mamy urojenia?

– Albo że to ja mam urojenia – zauważa pierwsza pani Thrash – a ty przychodzisz tu do mnie, żeby dotrzymać mi towarzystwa i mi w tym pobłażać.

Dokładnie do takich dwóch możliwych wniosków doszła Jane. Transwymiarowy handel dziełami sztuki. Alternatywne wersje napadających domy piratów. Kermit zakochany w Śwince Piggy?

Jane spanikowana cofa się od drzwi i natychmiast wpada na Jaspера, który stał za nią.

– Łaaaaaa... – szepcze gorączkowo, wymachując rękoma, żeby go nie nadepnąć i nie przewrócić się na plecy. – Jasper – mówi cicho. – Wsuń głowę w drzwi i udawaj, że to ty tu stałeś!

Jasper rzuca jej pogardliwe spojrzenie.

A Jane chce się dowiedzieć, czy Ravi ma urojenia, czy po prostu aż tak bardzo kocha matkę. Zostaje w drzwiach.

Ravi schodzi do połowy schodów, schyla głowę i na nią patrzy. Gdy ją dostrzega, triumfalnie szczyrzy zęby.

– Czekałem na tym korytarzu wieki, żebyś mnie dogoniła – mówi. – No i? – Na jego twarzy maluje się rozbawienie, ale i coś w rodzaju ostrzeżenia. – Masz ochotę poznać moją matkę?

– Niech będzie – mówi Jane i usiłuje nie okazać, jaka jest podenerwowana.

– Wpuść psa – prosi Ravi.

Jane wpuszcza Jaspera, a potem pozwala, by ciężkie drzwi się za nimi zatrzasnęły. Ravi schodzi na sam dół i mówi:

– Głupiutka stara psina. – Bierze Jaspera na ręce i niesie po schodach oburzonego, wywijającego się zwierzaka. Jasper nie jest stworzony do noszenia na rękach; zerka ze złością na Jane znad ramienia Ravięgo. – Chodź, zobaczysz swoich kumpli – przemawia do niego Ravi.

Jane podąża za nimi i próbuje nie myśleć o tym, jaki Ravi jest atrakcyjny. Pewnie to dlatego wziął psa na ręce. Taki typ jak Ravi na pewno wie, że jego Iloraz Atrakcyjności błyskawicznie pnie się w górę, kiedy Niesie Psa.

– Wiem, że nikomu nie powiesz o tym, co zobaczysz – mówi do niej cicho Ravi, gdy wchodzi po schodach. – Z wyjątkiem Kiran i Octaviana. Oni już o tym wiedzą, Patrick i Ivy też. Rodzina Vandersów także co nieco wie, ale pani Vanders nie chce mieć z tym nic wspólnego. Uważa, że moja matka zaburza naturalną równowagę wszechświata.

– Nikomu nie powiem.

– Bardzo chciałem, żebyś poznała moją matkę.

– Czemu?

Ravi jest odwrócony do niej plecami, ale Jane wie, jak brzmi jego głos, gdy szeroko się uśmiecha.

– Przypominasz mi ją. Mówisz, co myślisz, i za to nie przepraszasz.

– Przypominam ci twoją matkę i odkąd się poznaliśmy, próbujesz mnie podrywać. Jakie to urocze, Ravi.

– Zapewniam cię, że mam inne powody.

– Edyp też tak mówił.

– Mamo – odzywa się Ravi donośnym, mocnym głosem, wchodząc do pokoju na górze schodów – pozwól, że ci przedstawię naszą podsłuchiawczkę. Janie, to moja mama.

Jane wchodzi do wysokiego, kwadratowego pomieszczenia oznaczonego mnóstwem plamek światła, które padają z wielu okienek w każdej ze ścian. Jest tu kuchenka, lodówka, szafki i blaty, więc to najwyraźniej kuchnia. Na stole stoi miseczka z owocami, którą niósł Ravi, i obraz Moneta z liśćmi lilii wodnych, który równocześnie wydaje się znajomy i niezwykły.

Pierwsza pani Thrash jest wysoką, pełną godności, ciemnoskórą kobietą. Gładkie czarne włosy ma upięte w schludny kok na karku. Nosi proste czarne spodnie, puszysty szary sweter z golfem i wydaje się absolutnie normalna.

– To bezczelność podsłuchiwać przy drzwiach – mówi, mocno ściskając dłoń Jane.

– Przepraszam – odpowiada Jane.

– Doprawdy? Wcale nie powinnaś – mówi pierwsza pani Thrash. – Niektóre z moich najbardziej satysfakcjonujących doświadczeń wynikły z tego, że wtykałam nos w nie swoje sprawy.

Jane stoi przy oknie. Na belce na zewnątrz wiszą ogromne dzwoneczki wietrzne i uświadamia sobie, że słyszała ich słodkie pobrzękiwanie od chwili, gdy wsunęła nogę w drzwi. Wyglądając przez okno, można zajrzeć na zachodni strych, który znajduje się w sporej odległości stąd. W tym momencie piętro wyżej słychać jakiś cichy skowyt.

– Przepraszam za moje miniaturowe welociraptory – mówi pierwsza pani Thrash. – Już pora na ich drugie śniadanie. Masz ochotę zajrzeć na górę i je poznać? To mogłoby ci pomóc pogodzić się z istnieniem światów równoległych.

– Eee... – Jane szybko zerka na Ravięgo, który wydaje się rozbawiony tą sytuacją. – W porządku.

Pierwsza pani Thrash zaczyna maszerować pod górę po drugich spiralnych metalowych schodach.

– Nie wystrasz się ich – mówi. – Pochodzą z Nieograniczonego Wymiaru, w którym hoduje się je tak, by były niewielkie i przyjazne dla ludzi, a poza tym to, jak je przedstawiono w tym okropnym filmie, było zupełnie nierealistyczne. Pinky uwielbia delikatnie czesać mi włosy swoim największym szponem.

– Rozumiem – krztusi się Jane.

– Ravi nie lubi, kiedy sprowadzam zwierzęta – dodaje pierwsza pani Thrash. – Nie lubi, kiedy sprowadzam cokolwiek prócz sztuki.

– I mam ku temu dobre powody. – Ravi też zaczyna wchodzić po schodach i pokazuje Jane, by ruszyła za nim.

– To przez to, że raz spróbowałam sprowadzić dla niego i Kiran dwa iskrokucyki z zaawansowanego Nieograniczonego Wymiaru i biedactwa oszalały, i eksplodowały.

– Wciąż słyszę ich krzyk – mówi Ravi.

– Cóż, wtedy jeszcze nie rozumiałam, jak duże jest ryzyko sprowadzania wysoce Nieograniczonych istot do nieskorelowanych Ograniczonych Wymiarów. Od tej pory znacznie ulepszyłam moje obliczenia. Oczywiście to normalne, że mały chłopiec był wstrząśnięty. Ale doprawdy, Ravi, to było tak dawno temu. Na twoje dziesiąte urodziny!

– Dwunaste – poprawia ją Ravi.

– Wieki temu – dodaje pani Thrash. – W każdym razie, Janie, wszystko ci wyjaśnię. Zasadniczo odkryliśmy termodynamicznie odwracalną granicę kwantową, która pozwala na lokalną rekoherencję. Tadam! Portale międzywymiarowe.

– Zlituj się, mamó – mówi Ravi. – Nikt nie rozumie, o co ci chodzi.

– Zbyt techniczne wyjaśnienie?

– Podaj jej chociaż najpierw jakąś analogię!

– Żaba Schrödingera? Superpozycja kwantowa?

– Na litość boską! – jęczy Ravi, odwracając się do Jane. – Dobrze znasz fizykę kwantową?

– Niewiele prócz podstaw – odpowiada Jane.

– W takim razie, cóż, wystarczy ci wiedza, że wszystko, co mogłoby się wydarzyć, wydarza się gdzieś w światach równoległych. Sama możesz sobie wyobrazić te możliwości. A moja mama, razem z grupką moich alternatywnych mam, znalazła portal, by przechodzić z jednego świata do drugiego. To znaczy, mnóstwo innych światów miało portale wcześniej, ale to pierwszy znany portal pozwalający na takie podróże do i z naszego świata.

– Jeśli mam być szczerą – odzywa się pierwsza pani Thrash, wchodząc na kolejny poziom wieży – nie potrafimy do końca wyjaśnić, jak działają te portale. Ale empirycznie widać, że działają.

Jane postanowiła, że nie będzie już dłużej słuchać tych wszystkich bredni. Zamiast tego koncentruje się na tym, co ją otacza. Ten poziom wieży przypomina niższy, jest kwadratowy, z małymi okienkami i kolejnymi spiralnymi schodami, które prowadzą na kolejny poziom. Wejście jest jednak odcięte jaskrawoczerwoną klapą w suficie, opatrzoną imponującą liczbą zamków. Przy jednej ze ścian stoi wielkie łożo. Obok niego znajduje się nocna szafka, na której piętrzą się dziesiątki ułożonych w chwiejną stertę książek w miękkich oprawkach. To romanse. Dwoje drzwi za łóżkiem prowadzi zapewne do łazienki i ubikacji.

Pod ciemnoczerwoną narzutą na łóżku porusza się jakieś zwierzę, wielki kot albo mały piesek. Pełźnie w stronę krawędzi, zsuwa się z boku łóżka i pojawia się w świetle. Podbiega na czterech łapach, potem staje na tylnych. Podejrzliwie przygląda się Jane, przekrzywiając przy tym głowę i mrużąc oczy. Ma pyszczyk jaszczurki, ogon takiej długości, co reszta ciała, i jest pokryty delikatnymi piórami. Jane nie raz była w muzeum, oglądała programy w telewizji, rozumie, że to, na co patrzy, to miniaturowy welociraptor.

Jane budzi się i stwierdza, że patrzy na czerwoną klapę w suficie, tę z mnóstwem zamków. Leży na łóżku pierwszej pani Thrash. Jest zamroczona, ale poza tym cała.

Teraz sobie przypomina: zobaczyła welociraptora i nagle nie miała nóg. Ravi i pani Thrash ją złapali. Omdlenie, tak dramatyczne w powieściach, w prawdziwym życiu okazało się bardzo nieprzyjemne.

Po jej lewej stronie jest coś ciepłego. Cicho popiskuje i oddycha.

Jane dopiero co się ocknęła; nie ma jeszcze na tyle hartu ducha, by pogodzić się z faktem, że wtula się w nią welociraptor.

– Ravi? – mówi.

Jego rozkojarzony głos dobiega z fotela w kącie pokoju.

– Mmm...? – Wstaje i podchodzi do niej z mocno zmarszczonymi brwiami. W jednej ręce trzyma otwarty romans. – Ocknęłaś się. Wszystko w porządku?

– Co jest, do diabła, Ravi? Co się dzieje?

– Dokładnie to, o czym ci mówiliśmy. Pomogłoby ci, gdybyś spróbowała sobie wyobrazić, że jesteś w jakimś odcinku *Doktora Who*? Chwilę to zajmie, ale zrób to – mówi Ravi. – Posłuchaj tego fragmentu. Wydaje ci się realistyczny? Główna bohaterka o imieniu Delphine mówi: „Nie zechciałabym cię, nawet gdybyś był ostatnim mężczyzną we wschodnim Riordanie”. A ten mężczyzna, Lord Enderby, odpowiada: „Jesteś jedyną kobietą we wschodnim Riordanie. Ukochana, jesteś jedyną kobietą w moim świecie. Jesteśmy sobie przeznaczeni, nie widzisz tego?”. Wtedy Delphine jest pokonana. Zaczyna go całować i krzyczeć.

– Naprawdę? – Jane uświadamia sobie obecność kolejnej ciepłej, popiskującej istoty, która opiera się o jej kostki. I jeszcze jednej, większej, cieplejszej i cichej, przy kolanie. To Jasper.

– Dlaczego moja matka czyta takie rzeczy? – zastanawia się głośno Ravi.

– Ty to czytasz.

– W celach poznawczych.

– Może ona też.

– Zastanawiam się, czy inne wersje mojej matki też czytają te brednie – denerwuje się Ravi. – Podejrzewam, że istnieją jej wersje, które robią absolutnie wszystko. Na przykład, muszą istnieć jej wersje, które nawet nie są naukowcami, i takie, które nie wiedzą o istnieniu portali. I musi też istnieć nieskończona liczba światów, gdzie jej w ogóle nie ma. Wciąż tak niewiele wiemy o światach równoległych. I zwróć uwagę na to, że skupiam się na mojej matce, nie na mnie. Zupełnie mnie nie interesują wszystkie alternatywne wersje mnie samego.

– Ravi? – Jane czuje ucisk w piersi. Do oczu napływają jej łzy, nie jest w stanie oddychać. – Ravi – szepcze. – Po prostu przestań.

Pierwsza pani Thrash wbiła sobie do głowy, że musi wysłać Jane do Tu Reviens z innego wymiaru, by jej udowodnić istnienie światów równoległych. Obiecuje, że wyśle ją do jednego z tych bardzo podobnych, gdzie dom i mieszkańcy wydadzą jej się na tyle znajomi, by mogła się

z nimi komunikować, ale też na tyle niepodobni, by poczuła, że jest gdzie indziej.

– Choć oczywiście – mówi pierwsza pani Thrash – większość światów równoległych, które jestem w stanie odwiedzić – w dużym stopniu przypomina nasz. Z moich doświadczeń wynika, że mój portal przenosi mnie tylko do wymiarów, w których istnieje analogiczne Tu Reviens z analogicznym portalem w wieży. A żeby ten dom mógł zostać zbudowany gdzie indziej w rozpoznawalnej formie, na przestrzeni czasu musiało dojść do niemal nieskończonej liczby korelacji między światami równoległymi. Dodaj do tego konieczność mojego istnienia – istnienia fizyk teoretycznej, która ma czas, środki i niezbędny geniusz, by odkryć i aktywować portal. W każdym razie sama zobaczysz, moja droga. Poczujesz się bardzo dobrze w NW17. Mimo inwazji obcych.

– Inwazji obcych? – Jane wciąż leży w łóżku. – Naprawdę nie ma takiej potrzeby. Chętnie uwierzę w światy równoległe, siedząc sobie wygodnie we własnym wymiarze.

Po godzinie oddychania i odpoczynku Jane trochę się uspokaja. Zaczęła nawet ostrożnie głaskać welociraptory. Wabia się Pinky i Spotty, wciąż są wtulone w jej bok i lubią cicho popiskiwać do Jaspera i dotykać go pyszczkami.

Jednak kiedy odzywa się pani Thrash, Jane znów ma wrażenie, że brakuje jej powietrza.

– Widzę, że się boisz – mówi. – Ekspozycja jest doskonałym narzędziem, by nauczyć się pokonywać strach. Jeśli boisz się pajaków, wskocz do jamy pełnej pajaków. Jeśli boisz się istnienia światów równoległych, wybierz się tam na wycieczkę.

Jane, lekko rozhisteryzowana, dochodzi do wniosku, że najlepszą metodą obrony przed zamiarami pani Thrash będzie zachowywanie się tak, jakby ze wszystkim się pogodziła i niczego się nie bała. Siada na łóżku. Obudzone welociraptory popiskują zdezorientowane. Jane spogląda na panią Thrash z najspokojniejszą miną, na jaką ją w tej chwili stać, i zerka też na Raviego, który z cichą, nieugiętą determinacją kłócił się z matką, by zostawiła Jane w jej własnym wymiarze.

– Rozumiem, o co pani chodzi – mówi Jane – ale naprawdę się nie boję. Zaskoczyło mnie to, to wszystko, ale teraz w stu procentach jestem na tak. Oczywiście, że istnieją równoległe wymiary. Niestety, w tej chwili nie mam czasu na taką podróż, bo muszę robić parasolki. Nie jest pani artystką, więc być może nie rozumie pani, czym jest natchnienie, ale proszę mi wierzyć, nie mam wyboru, muszę podążyć za tym wezwaniem.

– Parasolki? – powtarza zaintrygowana pani Thrash. – To prawda, nie jestem artystką. Jestem jednak naukowcem, co może być całkiem podobne. Jestem wynalazczynią i badaczką. Rozumiem wewnętrzny przymus, by podążyć za takim wezwaniem. – Pierwsza pani Thrash wygląda, jakby podjęła decyzję. – A więc dobrze. Nie będę stać ci na drodze.

Jane uważa, że to niepokojące, że pierwsza pani Thrash wyobraża sobie, iż mogłaby stanąć jej na drodze. Podejrzewa, że byłaby głupia, gdyby zmarnowała tę szansę.

– *Allons-y* – mówi więc, wyskakując z łóżka. Kręci jej się w głowie, opiera więc rękę o ramię Raviego. Klepie go na pożegnanie i rusza w stronę spiralnych schodów. Jasper z głuchym odgłosem zeskakuje na podłogę i podąża za nią. Razem schodzą na najniższy poziom wieży.

Drzwi są ciężkie, a próg wysoki. Jane potyka się lekko, wychodząc na korytarz, a wtedy czuje czyjąś mocną rękę na ramieniu. To Ivy trzymająca aparat fotograficzny, która z troską jej się przygląda.

– Wszystko w porządku? – pyta. Ma na sobie czarne legginsy i porozciągany niebieski sweter. W świetle padającym z góry koniuszki jej włosów lśnią złotem. Jest realna, materialna.

– Tak – mówi Jane. – Dzięki. Jestem tylko trochę zdezorientowana – dodaje niejasno,

machając ręką w stronę drzwi prowadzących do pokoi pani Thrash.

– Och! – Ton głosu Ivy się zmienia. – O Boże. Czy ona... Czy ty...

– Co? Nie. Nie! Właśnie ją poznałam, to wszystko. I jej... pupilków.

– Słyszałam o jej pupilkach.

– Próbuję o nich nie myśleć – mówi Jane.

– No tak, przepraszam.

– Nie, to znaczy... naprawdę chciałabym o tym z tobą porozmawiać. – Jane uświadamia sobie, że to prawda. Opowiadanie o wszystkim Ivy byłoby ogromną ulgą. – Tylko później, kiedy przejaśni mi się w głowie. W sumie, to... zemdlałam, kiedy zobaczyłam te jej zwierzaki. – I dodaje, przyciskając rękę do czoła: – I chyba jeszcze nie do końca się pozbierałam.

– Mogę ci coś przynieść? – pyta Ivy. – Zupę? Herbatę? Kumkwaty?

– Kumkwaty? – powtarza zdezorientowana Jane. – Naprawdę macie kumkwaty?

– Pan Vanders ma do nich słabość, więc staramy się mieć je zawsze pod ręką. Ale głównie to chciałam ci powiedzieć to słowo. – Ivy uśmiecha się szeroko.

Jane pojmuje i liczy litery.

Nie chce, by Ivy czuła się, jakby była jej służącą.

– Niczego nie potrzebuję – mówi. – A jak tam przygotowania do gali? Pomóc ci w czymś?

Ivy marszczy brwi i spogląda na aparat, który trzyma w rękach. Jane przypomina sobie o tych dziwnych zdjęciach, które robiła. Ivy ma swoje tajemnice. Czy jest w tym domu ktoś, kto ich nie ma?

– Później możesz przyjść mnie uratować – mówi Ivy. – Mogłybyśmy pograć w kręgle albo coś w tym stylu. I trochę pogadać.

– Pewnie – mówi Jane. – Dokładnie w tym momencie drzwi wieży znów się otwierają i zjawia się Ravi z Monetem pod pachą.

– Witajcie, drogie dzieci – mówi.

– Nie bądź dupkiem, Ravi – odpowiada Ivy bez cienia złośliwości.

Ravi śmieje się cicho i całuje ją w czoło.

– Ivy-Fasolko – mówi – miło widzieć, że się zapoznacie. A ty? – zwraca się do Jane. – Wiesz, gdzie mnie znaleźć, jeśli będziesz miała ochotę na towarzystwo.

Gdy Ravi odchodzi, twarz Jane płonie.

– Przepraszam – mówi do Ivy, choć sama nie wie za co.

– Nie przejmuj się. Przyzwyczyłam się do tego.

– Czemu cię nie podrywa? – pyta Jane. – Jesteś przecież fantastyczna.

Ivy odwraca się od Jane, zanim ta jest w stanie w pełni odczytać znaczenie jej promiennego uśmiechu.

– Ravi dobrze wie, co robi – odpowiada. – No to do zobaczenia, Janie.

Gdy Jane wraca do saloniku, parasolka, nad którą dotąd pracowała – ta do samoobrony, w brązowo-złotym kolorze – już do niej nie przemawia. To, że Philip skradał się z bronią, Phoebe robiła aluzje do Panzavecchiów, a Patrick wydawał się w to wszystko zamieszany, i tak dalej, na pewno jest dla kogoś ważne, ale kto by się tym przejmował. Matka Ravięgo ma welociraptory.

Takie okoliczności wymagają albo projektu tak nudnego, by zapomniała o wszystkim, albo tak dziwnego i skomplikowanego, żeby mogła przelać w niego cały swój niepokój.

Jaka byłaby międzywymiarowa parasolka?, zastanawia się Jane.

Musiałyby móc się wtopić w każdy scenariusz, w każdy świat, i nie zwracać na siebie uwagi. Jane jeszcze nigdy nie zrobiła czarnej, gładkiej parasolki.

Czasza musiałyby mieć idealną krzywiznę, a zakończenia drutów i nasadka na górze musiałyby być idealnie proste. Gładka czarna parasolka nie będzie miała żadnych falbanek ani koronek, które odwracałyby uwagę od popełnionych przez nią błędów. Wszystkie jej parasolki mają błędy.

To będzie katastrofa.

Co by na to powiedziała ciocia Magnolia? *Może i tak. Ale czegoś się dzięki temu nauczysz, kochanie. Czemu nie miałabyś spróbować?*

A więc dobrze.

Gdy Jane obrabia trzonek na tokarce, świat znów zaczyna nabierać sensu. Wyjaśnienia nasuwają się same. Pinky i Spotty oczywiście nie są welociraptorami. Bo niby odkąd to Jane zna wszystkie gatunki zwierząt, jakie żyją na Ziemi? Dlaczego nie miałyby istnieć jakieś niewielkie, przypominające jaszczurkę zwierzątko, które cierpiąca na urojenia pierwsza pani Thrash znalazła na Saharze albo w amazońskiej dżungli, albo na rozległej pustyni w Radzastanie, a potem wmówiła sobie, że to międzywymiarowe welociraptory. Ziemskie jaszczurki właśnie. Z piórami.

I co takiego mówiła? Coś o tym, że domowi w innym wymiarze grozi „napad piratów”. To niedorzeczne. Piraci atakują statki, myśli Jane, a nie domy. Nie mogą wejść na pokład domu, jakby był statkiem. A i tak piraci to raczej coś z kiepskich opowieści fantasy. Piraci stanowią najsolidniejszy dowód, że pierwsza pani Thrash to wszystko sobie wymyśliła.

– Ktoś powinien tej kobiecie pomóc – mruczy pod nosem Jane. Zabawne, jak szaleńcy potrafią sprawić, że samemu traci się kontakt z rzeczywistością. Niesamowite, w jakie rzeczy Jane niemal uwierzyła. Jak miło wrócić do saloniku, do znajomego otoczenia, z Jasperem, zupełnie normalnym ziemskim bassetem, który drzemie pod łóżkiem w drugim pokoju. Jak cudownie robić śmiertelnie nudną parasolkę. Jej palce poruszają się płynnie po jej zapasach części ruchomych.

Wokół niej Tu Reviens wydaje z siebie odgłosy i wyrywa ją z zamyślenia.

– Ktoś krzyczy? – pyta na głos Jane, bo trudno odróżnić jęki domu, szum wody i syk pary od innych hałasów. Wydaje jej się, że słyszy czyjeś krzyki.

Gdy krzyki się zbliżają i słychać już, że to uniesiony w złości głos Raviego, Jane przechodzi do łazienki ze złotymi kafelkami, przetrząsa przybory toaletowe i znajduje dwie zatyczki do uszu.

Otoczona nową podwodną ciszą dobiera część ruchomą do trzonka parasolki. Nawleka druty, wycina i zszywa kliny. To powolna, wymagająca skupienia praca.

Powinna mieć na nią medytacyjny wpływ, ale umysł Jane ciągle ucieka do innych spraw. Czy ciocia Magnolia kiedykolwiek stała w łodzi, spoglądała w zimną, niezbadaną głębię oceanu i czuła przerażenie? Czy kiedykolwiek tak stała, zmagając się ze sobą, i zastanawiała się, czy zostać w łodzi, czy skoczyć?

Z tego, co Jane wie, ciocia Magnolia zawsze w końcu postanawiała rzucić się do wody. Stawić czoła swoim lękom i otworzyć się na to, czego będzie mogła się nauczyć.

Czemu nie miałabyś spróbować, Janie?

Cholera, myśli Jane i rzuca niedokończoną parasolkę na roboczy stół. Zasłania twarz rękoma i powtarza sobie w myślach: *cholera*. Chwyta się krawędzi stołu. Gdy jej palce natrafiają na coś szorstkiego, otwiera oczy i odkrywa płaskorzęźbę. To płetwal błękitny ze swoim młodym. Potem przy dalszej krawędzi stołu dostrzega łagodnego rekina wielorybiego z młodymi. To Ivy musiała

zrobić ten piękny, solidny stół.

Jane oddycha „na meduzę”.

Ciociu Magnolio, to dlatego chciałaś, żebym przyjechała do tego domu? Chciałaś, żebym tego spróbowała?

Jane wyjmuje zatyczki z uszu, wybiera dwie parasolki i opuszcza swój apartament.

W korytarzu jest Ravi, zbliża się w jej stronę. Na jego twarzy maluje się wzburzenie.

– Dokąd idziesz? – pyta ją oskarżycielskim tonem.

– Jeszcze nie zdecydowałam – mówi zgodnie z prawdą Jane.

– Naprawdę? – Jego głos łagodnieje. Zatrzymuje się przed nią, znów zbyt blisko niej. Jej ciało reaguje. Jane odsuwa się, póki nie czuje za plecami ściany, a Ravi niemal na nią napiera. Jest tak blisko, że Jane musi lekko odchylić głowę, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Ravi – mówi wystraszona, niepewna, co się dzieje. – Co ty robisz?

Ravi zbliża usta do jej ust. Potem powoli, delikatnie chwyta jej górną wargę swoimi. Jane nie może oddychać, jej usta się rozchylają. Ravi ma szorstką skórę, jego usta są ciekawskie i natarczywe, a jej własne na to reagują. Czuje na sobie jego dłonie, Ravi przyciska ją do ściany. Jane pragnie, by naparł na nią jeszcze mocniej i przytwierdził ją do ziemi. I to ją przeraża, bo wie, że to nie z Ravim powinna to robić. Dla niego to może nic nie znaczyć, ale z nią jest inaczej.

Może jej dłonie są inteligentniejsze niż reszta ciała, a może ta inteligencja kryje się w jej parasolkach. Jane wpycha je obie pomiędzy siebie i Ravięgo i go odsuwa.

Ravi cofa się bez protestów. Przekrzywia głowę i uważnie wpatruje się w jej twarz.

– W porządku – mówi. – Jesteś na mnie zła?

– Nie – odpowiada Jane. – Ale proszę, nie rób tego więcej.

– Dobrze. Nie będę. – Mówi to szczerze, wprost. Ale skoro jest typem człowieka, który tak łatwo potrafi coś takiego zrozumieć, to czy

Jane jest pewna, że nie chce, by znów ją pocałował? Jane czuje muśnięcie jakiegoś uczucia. Lekkie jak piórko. Co to? Uraza? Nie. Zazdrość. Jane żałuje, że nie potrafi tak swobodnie podchodzić do kwestii całowania się czy seksu. Uważa, że musi być miło całować się tak często, że przestaje się to wydawać wielką sprawą. Gdy idzie dalej korytarzem, słyszy, jak zamykają się drzwi jego pokoju.

Uderza ją myśl, że to zabawne. Właśnie odmówiła czegoś takiego, a z własnej woli idzie w stronę czegoś znacznie gorszego.

Jane widzi przed sobą jakąś postać stojącą na końcu korytarza, niedaleko dziedzińca. To Ivy. Obserwuje ją. Stoi w tym swoim porzuciętym niebieskim swetrze, z żonkilem za uchem, wysoka i nieruchoma, jakby była tam już od jakiegoś czasu. Ivy widziała pocałunek.

Jak to dla niej wyglądało?

Ivy poprawia okulary i unosi rękę na powitanie. To przyjazny gest. Panika Jane natychmiast ustępuje uldze, a potem równie szybko przechodzi w rozpacz. Ivy nie dba o to, że Jane przed chwilą całowała się z Ravim? To dla niej kompletnie nieistotne?

Ręce Jane znów zachowują się inteligentnie, jedna przekłada parasolkę do drugiej i sama unosi się w odpowiedzi. Jane ma nadzieję, że Ivy nie potrafi nic wyczytać z jej twarzy, bo sama nie ma pojęcia, co by to mogło być. Gdy Ivy się odwraca i odchodzi, znikając z pola widzenia, Jane stoi przez chwilę i zastanawia się, jak takie drobne, przyziemne pytanie jak to, z kim się całować, może być równie zagmatwane, co międzywymiarowe welociraptory.

Pierwsza pani Thrash reaguje na pociągnięcie dzwonka tak szybko, że Jane się zastanawia, czy czekała na nią przy drzwiach. Kobieta ukradkiem zerka na korytarz i mówi:

– Wejdz, droga Janie, wejdz.

Czarna parasolka Jane wciąż jest nieskończona. Czasza, jeszcze nieprzytwierdzona do drutów, powiewa jak szaty rozkojarzonego profesora na silnym wietrze. Brakuje też wykończeń, takich jak zakrzywiona rączka czy metalowe nasadki. Mimo to pierwsza pani Thrash wydaje się ją doceniać.

– Aż bije od niej elegancją – mówi. – Widzę, że będzie równie pełna wdzięku, jak czysty skok międzywymiarowy.

Jane sceptycznie mruży coś pod nosem, by jej podziękować.

Przyniosła też tę atlasową w kolorach brązu i miedzianego różu; tę, której wczoraj używała na jachcie, by lepiej się poczuć. Parasolka na wielką przygodę. Wzięła ją tylko dlatego, by pokazać, że robi też inne rzeczy.

– Zwykle nie robię gładkich czarnych parasolek – wyjaśnia – ale zainspirowała mnie pani, by stworzyć coś, co byłoby stosowne w wielu różnych wymiarach. – I dodaje ostrożnie: – Oczywiście w przenośni.

Bo choć to prawda, że tu przyszła, to jeszcze nie znaczy, że się na cokolwiek zdecydowała.

– Szczytny cel – odpowiada pierwsza pani Thrash. – Chodź na górę i zajrzyj do welociraptorów. Bardzo cię polubiły.

Wchodząc schodami na wyższy poziom, Jane myśli tęsknie o Jasperze. O zwykłym starym psie. Przypomina sobie, że Jasper śpi teraz pod łóżkiem w jej pokoju.

– Muszę niedługo wrócić – mówi. – Zamknęłam w apartamencie psa.

– Rozumiem – odpowiada pierwsza pani Thrash.

Czerwona kłapa w suficie jest uchylona. Liczne zamki wzdłuż jej brzegów wyglądają jak zęby w kwadratowych ustach żywego domu.

– W NW17 oczywiście nie pada deszcz – dodaje pierwsza pani Thrash.

– Co takiego? – pyta Jane. – Deszcz?

– Nie mają tam parasolek. Ale prawdopodobnie każdy wynalazek znajdzie tam jakieś zastosowanie, zwłaszcza coś, co można uznać za kostium historyczny. W NW17 wyobraźnia i moda są w cenie.

– Żartuje pani? – Jane żałuje, że nie ma tu nikogo, komu mogłaby posłać pełne niedowierzania spojrzenie. – Dlaczego nie ma tam deszczu?

– Bo nie ma planety – odpowiada pierwsza pani Thrash. – Po tym jak Ziemianie z NW17 stracili swoją Ziemię, uciekli na obrzeża swojego Układu Słonecznego i zbudowali mnóstwo statków i stacji kosmicznych połączonych w sferę, która miała naśladować powierzchnię planety, ale oczywiście jest od niej mniejsza. To coś jak pusta skorupka po jajku albo piłka plażowa. W środku nic nie ma. Niektóre stacje kosmiczne mają doprawdy gargantuiczne rozmiary: Mexico City, Pekin, Los Angeles, Bombaj. Jednak nawet one nie są na tyle wielkie, by mieć zjawiska atmosferyczne. Tak czy inaczej, odzyskiwanie wody jest dla nich zbyt ważne, by pozwalać sobie na kaprys deszczu.

– Stracili swoją Ziemię? – powtarza Jane. – Jak to się stało?

– Atak obcych – odpowiada pani Thrash, wciąż skupiona na parasolkach. Na przemian otwiera je i składa, podziwia, jak płynnie działają, ogląda ich piękne, ostre nasadki. – Planeta została rozsadzona na kawałki. Nie wspominałam o ataku obcych?

– Jasne – mówi Jane.

– W związku z tym, gdy przejdziesz przez portal do wieży mojej odpowiedniczki w Tu Reviens z NW17, znajdziesz się na pokładzie statku kosmicznego w kształcie zamku osadzonego na własnym doku jak na wyspie.

– Mhm. – I wtedy Jane pojmuję. – Dom jest statkiem, któremu grozi napad piratów.

Twarz pierwszej pani Thrash posepnieje.

– Bardzo mnie to martwi – mówi. – Po prostu nie możemy pozwolić, żeby przestępcy robili z portalami, co im się żywnie podoba. Do jakich spustoszeń może to doprowadzić! – Potem zerka na Jane z takim skupieniem, że ta zaczyna się denerwować. – Wątpię, żebyś miała jakieś doświadczenie z piratami?

– Zupełnie żadnego – oświadcza kategorycznie Jane.

– Mogłabyś odwrócić ich uwagę. – Pani Thrash nagle oddaje jej parasolki. – Jesteś młoda, ale dość intrygująca z tymi parasolkami i tak dalej. Zabawne, że dotąd nie natknęłam się na twój odpowiednik w żadnym innym Tu Reviens. Ty mogłabyś odwrócić ich uwagę, a w tym czasie Ravi i ja z NW17 spuścilibyśmy lanie piratom.

To oczywisty absurd, nawet jak na urojenia.

– A pani odpowiedniczka z NW17 jest dobra w spuszczeniu lania?

– Naturalnie masz rację. – Pani Thrash ponuro, ciężko wzdycha. – To beznadziejny plan. Jestem do niczego, jeśli chodzi o rękoczynny. Lubię oponentów, których mogę zmanipulować werbalnie lub skłonić podstępem do zrobienia tego, czego chcę, a w ostateczności mogę porazić kogoś prądem z kabla elektrycznego. Chodź na górę, pokażę ci portal. Dzięki temu przestaniesz myśleć, że jestem wariatką.

– Nie uważam pani za wariatkę – protestuje Jane w narastającej panice, gdy pierwsza pani Thrash popycha ją w stronę schodów na wyższy poziom. Zupełnie, jakby ta kobieta potrafiła popychać ludzi samą siłą woli. Jane jest w połowie schodów, gdy uświadamia sobie, że jej uległa.

– To bardzo miło, że tak mówisz, droga Janie – mówi pierwsza pani Thrash. – Widzisz, piraci latają takimi małutkimi statkami. Są o wiele sprytniejsi niż chłopaki z Wyspy Skarbów. Potrafią dokować statki na dachach i na ścianach domu. Jeśli będą dostatecznie zdeterminowani, a dom będzie w łagodnym nastroju, piraci wejdą na pokład.

– Rozumiem. – Jane przechodzi wyżej przez czerwoną klapę w suficie. – Czyli ten dom ma nastroje, tak?

Pomieszczenie, w którym się teraz znajduje, jest pozbawione mebli i jakichkolwiek ozdób. Nie ma tu nawet dywanika ani składanego krzesła. Jane ostrożnie przesuwają się dalej, zmiatając w stronę ściany. Z jakiegoś powodu pustka w tym pokoju działa jej na nerwy. Czy cierpiąca na urojenia kobieta, która ma wyimaginowany portal do podróży międzywymiarowych, nie ustawiłaby czegoś w takim pokoju? Na przykład jakiejś srebrzystej kapsuły z fotelami i kołem sterowym? I z tabliczką, na której widniałby napis: UWAGA, PORTAL MIĘDZYWYMIAROWY?

– O Boże, moja droga! Nie idź tam – mówi pierwsza pani Thrash z niepokojem w głosie. Pośpiesznie chwyta Jane za ramię i ciągnie ją w stronę środka pokoju. – Zaraz wejdiesz w portal.

– Och! Dziękuję... – zaczyna Jane, a potem traci głos i parasolki, które trzymała w rękach. Traci dłonie. Traci oddech i potrzebę oddychania, wzrok i pamięć. Poczucie, że znajduje się w swoim ciele. Traci wszystko z wyjątkiem zastygłego i oszalamiająco skupionego poczucia,

kim dokładnie jest.

Kiedy wszystko powraca, Jane widzi, że pierwsza pani Thrash całkowicie się przebrała. Zmieniła też fryzurę, wystrój pomieszczenia i oświetlenie. Stoi przed Jane w bardzo dziwnym kapeluszu i z oburzeniem na twarzy.

– Kim jesteś, na blaskotaniec?! – mówi. – I skąd się tu wzięłaś?

O do diabła.

Ma zielony liściasty kapelusz, a ni to szal, ni to naszyjnik jest owinięty wokół jej tułowia. W brązowej koszuli i spodniach wygląda jak drzewo. Pokój ma znajomy kształt, lecz nie jest z kamienia, tylko z metalu.

Jane próbuje znaleźć słowa, jakich użyłaby pierwsza pani Thrash z jej własnego wymiaru.

– Pani odpowiedniczka przesłała mnie przez swój portal – mówi. – Jestem Jane. Janie.

– Która odpowiedniczka? – pyta pierwsza pani Thrash. – Zdajesz sobie sprawę, że jest ich nieskończenie wiele?

– O Boże – mówi Jane. – Niedobrze mi.

– Aha! To jakiś wymiar, w którym wierzą w Boga. Czyli najprawdopodobniej Ograniczony Wymiar. I trzymasz... Czym są te artefakty? Czy to coś, co nazywają parasolkami?

– Tak – potwierdza Jane, trzymając się za brzuch. – Zrobiła to podstępem. Nie mogę w to uwierzyć. Czy to NW17?

– Tak – oświadcza pierwsza pani Thrash. – Możesz mi przypomnieć, do czego służy parasolka? Do samoobrony?

– Do ochrony przed deszczem. Proszę. – Jane podaje jej tę niedokończoną, a drugą bezmyślnie otwiera, w ramach demonstracji. – Niektórzy uważają, że otwieranie parasolki w domu przynosi pecha.

– Przesąd! A więc to bardzo Ograniczony Wymiar – mówi pierwsza pani Thrash z NW17. – No i deszcz. Posiadająca atmosferę Ziemia z dostateczną ilością wód powierzchniowych. Po odwiedzała mnie moja odpowiedniczka z twojego świata?

– Przypuszczam, że z powodu dzieł sztuki.

– Ach! Nareszcie coś się wyjaśnia. Czy kupiła ostatnio dla swojej córki androidki żabkę skarbonkę, którą sprowadziłam z NW33?

– Nie.

– A może roztopiające się zegary Dalego z OW107 dla swojego syna Rudolfa?

– Nie!

– To może Moneta z liśćmi lilii wodnych i żabami dla swojego syna Raviego?

– Tak – potwierdza Jane. – To ta.

– No tak – mówi pani Thrash. – To nasz obraz. Mój Ravi nie może mi tego darować. Nigdy słowem mi nie wspomniał o tym Monecie, póki nie podjęłam inteligentnej biznesowej decyzji. A teraz, nagle, to jego ulubiony obraz w całym domu i ciągle tylko słucham wyrzutów. Ech, dzieci!

– Muszę wracać – mówi Jane, próbując złapać oddech. – Muszę wracać do domu.

– Dlaczego cię przysłała?

– Nie mam pojęcia. Użyła podstępu.

– No cóż – mówi pierwsza pani Thrash z NW17, przypatrując się Jane w ten znajomy sposób, który budzi w niej podenerwowanie. – Musiała mieć jakiś powód.

– Myślę, że po prostu chciała mi udowodnić, że nie jest szalona.

– W to wątpię. Niewiele poznałam moich odpowiedniczek, które przejmowałyby się tym, co sądzą o nich inni – mówi pani Thrash z przekonaniem w głosie. Imponujące, że potrafi być taka przekonująca w tym głupawym kapeluszu. Gdy mówi, liście podskakują, jakby była klonem na drążku pogo. – Przysłała cię tu w jakimś celu. Niech się zastanowię. Jesteś młoda, a młodość jest inspirująca. Czy podchodzisz do życia z ponadprzeciętnym entuzjazmem?

– Eee... nie wiem – odpowiada Jane. – Mój entuzjazm jest chyba całkiem przeciętny.

– Może chciała, byś zaprzyjaźniła się z moją Karen i wywarła na nią wpływ? A może, żebyś była jej kochanką? Och, przepraszam, ty znasz ją jako Kiran.

– Niewiele wspominała o Kiran – zaprzecza zdezorientowana Jane. – To znaczy o swojej Kiran. W ogóle nie mówiła mi o żadnej Karen.

– Moja Karen jest niesamowicie zdolną dziewczyną, która powinna robić zawrotną karierę, ale brakuje jej entuzjazmu. Hmm – mruczy pani Thrash i dokładniej przygląda się Jane. – A masz jakieś doświadczenie z piratami?

– Nie! – woła Jane. – Dlaczego wszystkim się wydaje, że mam doświadczenie z piratami?

– Aha! Czyli jednak przysłała cię z powodu piratów. Jak to miło z jej strony. Potrzebny nam ktoś, kto będzie mógł zagłębić się w umysł przestępcy i przewidzieć każdy jego ruch. Masz jakieś zdolności paranormalne, moja droga?

– Jasne, że nie.

– Jesteś telepatką?

Jane prostuje się jak struna.

– Nie!

– No dobrze – mówi pani Thrash, zakłopotana wybuchem Jane.

Jane wyczuwa jednak, że kobieta nie jest zawstydzona ze względu na siebie, ale ze względu na nią.

– Niemądre pytanie. To przecież smutny, mały, Ograniczony Wymiar.

– Mój wymiar wcale nie jest smutny!

– Nie. – Pani Thrash współczująco klepie Jane po ramieniu. – Oczywiście, że nie, moja droga. A może jesteś bardzo młodą psycholog? Albo kryminolog?

– Nie!

– A może sama jesteś przestępcą? – pyta pani Thrash z nadzieją w głosie.

– Zajmuję się robieniem parasolek – mówi Jane.

– Parasolek – powtarza zrezygnowana. – To doprawdy zagadkowe ze strony Anity z OW42.

– Tak ma na imię? To znaczy, pani? Anita?

– Tak, obie mamy tak na imię. Miło cię poznać. Nie mamy tu nawet deszczu.

Ta kobieta jest wprost niesamowitą rozmówczynią.

– Cóż, w takim razie chyba się już będę zbierać – mówi Jane.

– A może Anita z OW42 chce, żebyś odwróciła uwagę piratów, kiedy ja spuszczę im lanie? – rozpromienia się pani Thrash.

– Proszę posłuchać – mówi poważnie Jane, która ma już tego wszystkiego dość. – Macie problem z piratami. Obawia się pani, że przejdą przez wasz portal, odnajdą swoich pirackich odpowiedników w innych wymiarach i w ten sposób zwiększą swoją liczebność. Latają małymi stateczkami i mają sprytne sposoby przedostania się na pokład. Może po prostu skupcie swoją energię na umocnieniu tego pokoju, żeby piraci nie mogli się dostać do portalu? A poza tym, czy w tym wymiarze nikt nie przestrzega prawa? Nie macie policji?

– Oczywiście, że mamy policję – Pani Thrash z oburzeniem pociąga nosem. – Ale czemu im

miałabym zdradzać tajemnicę portalu?

– Jeśli nikomu pani nie ufa – woła Jane – to tym lepszy powód, żeby umocnić portal! Jakie macie zabezpieczenia?

Jane rusza w stronę jednego z okien – iluminatorów? – a potem przypomina sobie, do czego służy ten pokój.

– Gdzie dokładnie znajduje się portal? – pyta, bo nie chce wejść w niego przez przypadek i przenieść się bóg wie gdzie. Pani Thrash z NW17 wskazuje na kwadrat narysowany kredą na podłodze, tuż przy ciężkich, czarnych butach Jane.

– U pani przynajmniej jest zaznaczony – mówi chłodno Jane. Następnie podchodzi do okna, chce ocenić, jakie jest ryzyko, że piraci włamią się do tego pomieszczenia.

Widok za szybą przyprawia ją o mętlik w głowie. Powiedziano jej, że ten dom to statek kosmiczny, ale krajobraz bardzo przypomina ten z Tu Reviens w jej wymiarze. Zielone podwórze, a dalej ocean. Słoneczny dzień.

– To nie jest prawdziwe okno, moja droga – wyjaśnia pierwsza pani Thrash w NW17. – To jedynie projekcja tego, co moglibyśmy zobaczyć, gdybyśmy nie stracili naszej planety.

Jane uważa, że to bez sensu. Prawdziwy widok z pewnością jest spektakularny.

– Chodź ze mną na dół, do domu – ciągnie pani Thrash z NW17. – Do centrum dowodzenia. Mamy tam prawdziwe okna i pokażę ci model mechanizmów obronnych na statku.

Spacer po Tu Reviens z NW17 jest jak odkształcona senna wersja poruszania się po tym, które Jane zna ze swojego wymiaru. Poznaje pokoje i klatki schodowe, atrium, w niektórych przypadkach nawet dzieła sztuki, ale różnice przyprawiają ją o dreszcze. Na przykład dywanik z futra niedźwiedzia polarnego wcale nie jest dywanikiem z niedźwiedzia polarnego. To dywanik z makabrycznego, skrzywionego yeti. Pewnie wykonany z jakichś syntetycznych materiałów, bo nie ma tu śniegu, a potwory w rzeczywistości nie istnieją. Prawda?

Oświetlenie jest ostre, a owalne otwory drzwiowe znajdują się kilka cali nad podłogą. Od czasu do czasu Jane mijają dziwnie ubrani ludzie. Niektórzy z nich mają małe kółeczka na butach. Jedna kobieta jest ubrana jak strażnik sprzed Buckingham Palace, ma nawet stosowną czapkę na głowie. Inna ma skrzydła jak motyl. Trzecia kobieta niesie wiadro i jest ubrana jak dojarka. Czy w tym domu są krowy? W wiadrze nie ma mleka. Natomiast wygląda na to, że jest w nim pełno... kotków? Jane się zastanawia, czy gdy ci ludzie stracili swoją planetę, stracili też historię i teraz próbują ją jakoś przywrócić poprzez to, jak się ubierają. Przywołać to, co utracili. Dotyka swojej marszczonej koszuli w kolorze pławikonika.

– Statek jest zbudowany z części odzyskanych z innych statków – wyjaśnia pierwsza pani Thrash z NW17, gdy Jane idzie za nią w stronę schodów. – Pierwszy Octavian Thrash miał głowę do interesów i był też aroganckim sukinsynem. Nasze atrium zostało przeniesione z włoskiego wycieczkowca.

Atrium jest dziwnie podobne do weneckiego dziedzińca znanego

Jane: marmurowe posadzki, tarasowe ogrody, plusk wody w fontannach, a nawet wiszące kwiaty. Tyle tylko, że sprawia wrażenie bardziej spektakularnego, bardziej idealnego. Naturalnie: jest nieprawdziwe. Marmur jest sztuczny, podobnie kwiaty. To imitacja czegoś, co nie istnieje już w tym świecie. To miejsce nie ma duszy, podobnie jak atrium, które można by zobaczyć we wzorowanym na starożytnym Rzymie kasynie w Vegas.

– Czy to naturalne słoneczne światło? – Jane wskazuje na światło wpadające przez sufit.

– Drogie dziecko – mówi pierwsza pani Thrash z NW17 – znajdujemy się na najdalszym krańcu Układu Słonecznego. Nowa Ziemia nie ma dostępu do takiego światła.

Ciociu Magnolio, myśli Jane, *gdybyś tylko mogła to zobaczyć*. Myślenie o cioci Magnolii w tym innym świecie w jakiś sposób wydaje się przerażające. Jane starała się nie robić tego zbyt wprost.

– Wie pani, czy w NW17 istnieje wersja mnie? – pyta panią Thrash, choć to pytanie sprawia, że brak jej powietrza.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Chodź.

Prowadzi Jane do wschodnich schodów – zejściówki? – które stukają głucho pod jej butami. Zamiast wysokiego obrazu przedstawiającego parasolkę na pierwszym piętrze Jane spogląda w drzwi prawdziwego pokoju, w którym znajduje się... coś, co wygląda jak rzucony na podłogę, zmięty skafander kosmiczny dla konia. Drzwiami wchodzi i wychodzą ludzie. Załoga statku? Goście?

– Czy w tej chwili trwa gala? – pyta Jane.

– Nie – odpowiada pierwsza pani Thrash z NW17. – A czemu pytasz?

– Tyle ludzi.

– Większość statków mieszkalnych Nowej Ziemi mieści setki albo nawet tysiące ludzi, moja droga. Nie mamy przecież planety, na której moglibyśmy się rozproszyć.

Większość tych osób to obcy, ale Jane byłaby gotowa przysiąc, że dziewczynka, która wpada do pokoju i ogląda się przez ramię, to Grace Panzavecchia. Jest tak szybka, że nie sposób stwierdzić to z całą pewnością. Chwilę później po schodach wbiega tutejsza wersja pana Vandersa i rusza za nią. Nosi żółto-zielone, wyszywane cekinami szelki i wygląda, jakby miał wszystkiego dość.

Najdziwniejsze jest jednak to, że gdy ludzie przechodzą przez drzwi, zmieniają się. Jane dostrzega to, gdy Grace Panzavecchia ogląda się za siebie. Niespodziewanie przypomina jakąś inną dziewczynkę. Na korytarz wychodzi kolejna osoba i Jane tłumi okrzyk zaskoczenia, bo ją rozpoznaje.

– Lucy St. George! – woła zdumiona, że faktycznie udało jej się ją rozpoznać. Pewnie dzięki temu, w jaki sposób Lucy się porusza, bo jej twarz jest umalowana na smutnego klauna, ma nawet czerwony nos i czarne łyzy. Jest ubrana w workowate spodnie na szelkach, rozczłapane buty, biały top i ogromną muszkę. Nosi też dwa warkoczyki. – Lucy! Jest Halloween?

– Ach, to ty – mówi ponuro Lucy z NW17. – No oczywiście, że to ty. Bo któżby inny?

– Ja? – pyta Jane. – Znasz mnie?

– Jesteś pewna, że ją znasz, Lavender? – pyta zaskoczona pierwsza pani Thrash z NW17. – Janie jest gościem z innego wymiaru. Widziałas tu jej wersję z naszego wymiaru?

– Och, czyli nie jesteś tamtą Janie? – pyta Lucy. – Tak. Widziałam dzisiaj inną wersję w łóżku Raviego.

– W łóżku Raviego! – powtarza Jane, ale Lucy już się odwróciła. Maszeruje w stronę wschodniego korytarza, porusza się niezdarnie w tych wielkich butach, jakby brodziła w wodzie. Odwraca się i spogląda na Jane. Jej twarz klauna wypala się w duszy Jane, smutna i pełna wyrzutu. – W łóżku Raviego! – powtarza Jane. Nie ma pojęcia, co zrobić z tą informacją.

– Chodź już, moja droga – mówi pierwsza pani Thrash.

– Dlaczego ona była tak ubrana?

– Jak? – pani Thrash popycha Jane w dół po schodach.

– Jak smutny klaun.

– Jak smutny klaun? – powtarza pani Thrash. – A czemu nie miałyby być tak ubrana?

– Ale dlaczego... – zaczyna Jane i staje jak wryta. Po schodach zbliża się w jej stronę pirat.

Pirat! Jane instynktownie przyjmuje postawę jak do bloku i się z nim zderza. Mężczyzna z piskliwym wrzaskiem zaczyna staczać się po stopniach.

– Au! – krzyczy, gdy dociera na sam dół. Leży skulony na podłodze. Zaczyna obmacywać głowę, biodro, kolano, ogląda łokcie. Ze złością spogląda na Jane i – dobry Boże! – to Colin Mack. Ma przepaskę na oku, bandanę z trupa czaszką i piszczelami, długie postrzępione włosy i obcisłą jedwabną kamizelkę włożoną na koszulę z bufiastymi rękawami.

– Colin! – woła Jane.

– Co ja ci zrobiłem?! – krzyczy do niej Colin. – Mogłaś mnie zabić!

– Colin! Jesteś piratem?

– A kim ty, na orbitujące szczątki, jesteś?! – pyta Colin. – Anito, skąd wytrzasnęłaś tę cwaniarę?

– Doprawdy – zwraca się do Jane pierwsza pani Thrash z wyrzutem w głosie – moja droga, musisz pamiętać, że jesteś w innym wymiarze. Jeśli masz na pieńku z własnym Colinem, nie wyzywaj się na naszym. To niesprawiedliwe.

– Nie przewróciłam go za to, że jest Colinem – mówi Jane. – Nie wiedziałam, że to on! Przewróciłam go, bo jest piratem.

– Och, nie bądź śmieszna – mówi pani Thrash. – Colin handluje dziełami sztuki.

– To dlaczego jest tak ubrany?

– Ach, a teraz nie podoba ci się mój wygląd! – Colin jest oburzony.

– Nie traktuj tego osobiście, mój drogi! – woła do niego pani

Thrash z NW17, powiewając liśćmi na głowie. – Jane jest gościem z Ograniczonego Wymiaru. Nic nie poradzi na to, że ma zawężoną koncepcję światów równoległych.

– Neandertalka! Wracaj, skąd przybyłaś! – Colin zbiera się z podłogi, strzepuje ubranie i odchodzi naburmuszony. Ma zniszczone, nieobszyte spodnie i dwa pistolety w kaburach na biodrach.

– Czyli on nie jest piratem? – pyta zdezorientowana Jane, a potem widzi Jaspera, swojego ukochanego Jaspera, który brnie w górę po schodach, zbliżając się do niej. Jeszcze nigdy nie była taka szczęśliwa na widok psa. Wygląda, jakby był prawdziwy. Wspinanie się to dla niego wysiłek, dokładnie tak, jak dla Jaspera. Jane kuca i wyciąga do niego rękę.

Jasper na chwilę się zatrzymuje, obwąchuje jej dłoń, obojętnie pociąga nosem i rusza dalej. Nawet nie patrzy jej w oczy.

Jane ma ochotę sięść na schodach i wyć.

– Moje biedactwo – mówi pierwsza pani Thrash z NW17. Gdy pochyla się nad Jane w tym swoim wielkim kapeluszu, wygląda jak wierzba płacząca. – Wiesz, wszyscy tak to przeżywamy. Musisz pamiętać, że choć ten świat jest znajomy, nie należysz do niego. I nigdy się tak nie poczujesz.

W centrum dowodzenia statkiem są okna od podłogi do sufitu.

Jane miała rację: na zewnątrz rozciąga się niesamowity widok. Bezkresny, fioletowy ocean przestrzeni kosmicznej, który od czasu do czasu przecinają maleńkie lśniące statki migoczące jak srebrne i złote świetliki. W dali widać metaliczną linię, która dla tej pozbawionej planety, unoszącej się w kosmosie ludzkiej społeczności musi być „stałym lądem”. O wiele dalej widnieje natomiast pojedynczy punkt światła, maleńki, ale tak jasny, że patrzenie na niego sprawia ból.

– Poznajesz tę gwiazdę? – pyta pierwsza pani Thrash z NW17. – To Słońce.

– Słońce! – powtarza ze zdumieniem Jane. – Ale jest takie małe!

– Jesteśmy wiele dalej od naszego Słońca niż ty od twojego, moja droga.

Jak to możliwe, że dzisiaj rano Jane obudziła się w swoim normalnym życiu, a teraz widzi, jak wyglądałoby Słońce z krańców Układu Słonecznego.

– Chodź – mówi pani Thrash z NW17. – Pokażę ci zabezpieczenia domu.

Prowadzi Jane do holograficznej projekcji domu, która obraca się, otwiera lub powiększa poszczególne części w zależności od komend głosowych wydawanych przez kapitan statku, którą, jak można się było spodziewać, jest pani Vanders. A właściwie tutaj Kapitan Vanders. Ma kółka przy butach i śmiga na nich wokół hologramu, ubrana w żółto-zieloną suknię balową obszywaną połyskującymi cekinami.

Kapitan Vanders i pierwsza pani Thrash z NW17 dyskutują błyskawicznie o szczegółach systemu obrony statku. W większość tych rzeczy Jane nie jest w stanie uwierzyć. Wygląda na to, że statek potrafi wyczuć, gdy ktoś ma złe zamiary wobec którejś z jego części, a wówczas, jak w jakimś bajkowym nawiedzonym lesie, części podłogi zmieniają się w dziwne zapadliska jak na mokradłach albo ściany się przemieszczają tak, by drzwi były niedostępne, a z półek biblioteki spadają książki.

– Zdaje sobie pani sprawę, że sugeruje pani, że ten statek ma świadomość? – Jane przerywa Kapitan Vanders, która właśnie przewidziała, że statek ciśnie piratem przez balustradę do atrium.

– Zgadza się – potwierdza ponuro Kapitan Vanders. – To niedawne zjawisko, niestety niekonsekwentne, ale obserwowalne. Kilka dni temu Patrick i Ravi mieli jakąś przepychankę. Znaleźliśmy ich obu zawieszonych na armaturze oświetleniowej w Merkuriańskim Salonie.

– To Patrick i Ravi się tutaj nie przyjaźnią?

– Naturalnie, że się przyjaźnią – odzywa się pierwsza pani Thrash z NW17. – Ale Karen i Patrick są świeżo po ślubie, Karen jest w ciąży z bliźniakami, a Ravi zaplanował jakąś przygodę w innym świecie, która zbiega się z planowaną datą porodu. Patrick się oburzył i chciał bronić Karen. Według niego Ravi powinien chcieć tu być, gdy jego siostra urodzi dzieci.

– Oczywiście, że powinien! – mówi Jane. – Ravi nie jest takim egoistą, prawda? A tutejsza Kiran jest żoną Patricka? Jak to się stało?

– Ciągle zapominasz – upomina ją pani Thrash z NW17. – To nie jest twój świat. Nie możesz wiedzieć, jacy jesteśmy.

– Nie mogę? Chociaż istnieje tyle podobieństw?

– Jeśli rzucisz w wodę choćby najmniejszy kamyk, zmarszczki rozchodzą się we wszystkie strony. Pochodzisz z Ziemi, gdzie woda pokrywa ponad siedemdziesiąt procent powierzchni, więc powinna ci się spodobać ta metafora.

– Chwileczkę – mówi Jane. – Kiran... to znaczy Karen... jest w ciąży z bliźniakami, a pani ją krytykuje za brak entuzjazmu? Za to, że nie robi zawrotnej kariery?

– Och, jest dopiero w jedenastym tygodniu – mówi pani Thrash. – Tylko siedzi i nic nie robi. Nie zrozum mnie źle, Ravi podjął okropną decyzję, ale on przynajmniej ma entuzjazm!

– Rozumiem. – Nagle Jane robi się żal Karen z NW17, której organizm tworzy dwie zupełnie nowe ludzkie istoty, lecz niektórzy uważają, że robi to ze zbyt małym entuzjazmem. A może cieszy się ze względu na Karen z NW17? Czy to niedobrze, że ta Kiran albo Karen wyszła za mąż za swojego Patricka? Zwłaszcza takiego, który oburza się w jej imieniu?

– Och, doprawdy – odzywa się Kapitan Vanders – czy mogłybyśmy się skupić na najważniejszych sprawach?

– Tak – mówi Jane. – W jaki sposób statek może się zmienić w świadomą istotę?

– Ona jest z Ograniczonego Wymiaru, Kapitanie Vandy – wyjaśnia przepraszającym tonem pierwsza pani Thrash.

– Niemniej jest to uzasadnione pytanie – odpowiada z ponurą miną Kapitan Vanders. – Obawiam się, że sama tego nie rozumiem. Wszystkich nas to bardzo zaskoczyło. Kategorycznie uważam, że Anita powinna poszukać wyjaśnienia i rozwiązania w innych wymiarach.

– A sądzi pani, że istnieje rozwiązanie? – pyta Jane.

– Wszechświat jest nieskończenie rozległy – mówi urażonym tonem pierwsza pani Thrash z NW17. – Oczywiście, że istnieje rozwiązanie. Może potrzebujemy psychologa architektury albo specjalisty w nasycaniu mocą przedmiotów nieożywionych. Zastanawiałam się, czy nasza Ivy może mieć w tej dziedzinie pewien potencjał.

– Ivy! – powtarza Jane.

– Po prostu nie jestem przekonana, że statek ma problem, który trzeba rozwiązać – dodaje pani Thrash.

– Bo tak wiele podróżowałaś, że straciłaś perspektywę i nie wiesz już, co jest normalne w naszym świecie – mówi Kapitan Vanders. – I proszę, daj spokój Ivy, ona ma dość na głowie. Dowiedziałabyś się o wiele więcej, gdybyś skonsultowała się z drugą panią Thrash. Choć niestety – w tym miejscu Kapitan Vanders zwraca się do Jane – druga pani Thrash odeszła od nas mniej więcej w czasie, gdy pojawiły się te zjawiska. Jest zaklinaczką statków kosmicznych.

– Zaklinacz... – zaczyna Jane, ale przerywa, bo do centrum dochodzenia wchodzi nowa osoba. To Ivy, Jane natychmiast ją poznaje, lecz wyraźnie widać, że nie ta sama. Jane nie potrafi sprecyzować różnicy, ale ma to coś wspólnego z napięciem na twarzy Ivy. Ivy ze świata Jane mogłaby tak wyglądać. Ale nie wygląda.

Ivy z NW17 natychmiast zauważa Jane i na jej ustach pojawia się szeroki uśmiech. Zaraz jednak znika. Jej brwi unoszą się ze zdumienia.

– Przepraszam – mówi. – Znamy się?

– Nie – odpowiada Jane. – Jestem z któregoś Ograniczonego Wymiaru.

– Ach! To by wszystko wyjaśniało.

Jej uśmiech jest pełen ciepła i niesamowicie znajomy. W ciemnych krótkich włosach ma lodowo błękitne pasemka; sterczą wokół jej głowy jak gwiazdy. To pewnie powinna być pierwsza rzecz, jaką Jane zauważyła, lecz wcale tak nie było. Może dlatego, że jej fryzura wydaje się w jakiś sposób właściwa. Jane odpowiada jej uśmiechem

– Czy... – Nagle chce spytać, czy ta Ivy zna albo znała ciocię Magnolię. Urywa jednak. Nie jest gotowa na odpowiedź, jakkolwiek by ona brzmiała.

Nagle hologram domu zaczyna fiksować i wszyscy w pomieszczeniu zbiegają się wokół niego. Holograficzny dach wschodniego skrzydła miga, wyrzusza się i marszczy. Kapitan Vanders podbiega do pobliskiej konsoli i odczytuje przemykające po niej słowa i symbole.

– Dwóch intruzów! – krzyczy. – Dwa osobne statki. Wylądowali, lewa strona, poziom 02! Próbuje przebić się przez kadłub!

– Piraci! – mówi pierwsza pani Thrash. – Piraci z nikczemnym międzywymiarowym planem! Jestem tego pewna.

– A więc ruszajmy! – woła Kapitan Vanders. – Przechwyćmy ich! – Kładzie ręce na ramionach Jane i z powagą spogląda jej w oczy. –

Dźgaj ich tymi spiczastymi rzeczami, które ze sobą nosisz! – mówi, mając oczywiście na myśli parasolki Jane.

Jane biegnie właśnie wschodnim korytarzem drugiego piętra z pierwszą panią Thrash z NW17 i czuje się kompletnie nieprzygotowana na przechwytywanie piratów, gdy na migoczących niebieskich wrotkach w czerwone gwiazdki podjeżdża do niej jakaś wersja Ravięgo.

Wersja, z którą sypiam, myśli Jane, a potem dociera do niej, że i tak się nie przygotowuje na takiego Ravięgo. Jej twarz płonie. Ma nadzieję, że Ravi ją minie. On jednak zatrzymuje się tuż przy niej, łapie ją za ręce i mówi:

– Cześć. Wszystko w porządku?

– Nie jestem tą, za którą mnie uważasz – mówi Jane.

– Co? Ale jesteś ubrana dokładnie tak, jak ona. – Ravi cofa się o krok i mierzy Jane wzrokiem od stóp do głów. Na tych wrotkach jest bardzo wysoki. – Nosisz te same parasolki. Moja matka nie wysłała cię przez portal? Mówiła mi, że uciekła się do podstępu, żeby udowodnić ci istnienie światów równoległych!

– Nie jesteś Ravim z NW17? – pyta Jane, a potem dostrzega, że prócz tego, że ma wrotki, jest ubrany tak samo jak wtedy, gdy widziała go po raz ostatni, i ma identyczne białe pasemka we włosach.

– Jestem Ravim z twojego świata! Ravim z OW42! Przyszedłem po ciebie. Chodź, nienawidzę tego wymiaru.

– Ravi? Czemu, u diabła, masz wrotki?

– Moja matka uprawiała kiedyś roller derby. – Ravi niecierpliwie macha ręką. – Chciałem się tu dostać, szybko cię odnaleźć i spadać. Byłem tu już wcześniej. Wiem, jak tu jest.

– Nawet przez chwilę sobie nie wyobrażaj, że wtopisz się w otoczenie, drogi Inny Ravi! – odzywa się z politowaniem pierwsza pani

Thrash z NW17. – A teraz chodźcie, trzeba złapać piratów.

Dom tak surowo karze piratów, że Jane zaczyna się zastanawiać, dlaczego wszyscy tak się martwili. Gdy się zbliżają, jeden z nich, najwyższy mężczyzna, jakiego w życiu widziała, przelatuje właśnie jak pocisk przez miejsce, gdzie ściana styka się z sufitem. Łączenie się poszerza i go wypluwa, krawędzie są poszarpane i ostre jak zęby. Następnie, z donośnym beknięciem, znów przybiera dawne kształty. Pirat leży bezwładnie u stóp Jane. Nie wygląda jak pirat. Jest przebrany za smutnego klauna i Jane czuje się tym kompletnie zdezorientowana.

Pierwsza pani Thrash z NW17 zawija go w dywanik z yeti. Ravi – ten ze świata Jane – pochrząkuje zaniepokojony, najwyraźniej nie jest pewny, czy matka nie niszczy jakiegoś cennego dzieła sztuki, czy też może dywanik z yeti jest rzeczywiście tak ohydny, jak się wydaje.

– Dlaczego jesteś tak ubrany? – pyta Jane pirata, kucając przy jego głowie.

– Z powodu miłości do kobiety, która ledwie zdaje sobie sprawę z mojego istnienia – mówi ponuro pirat przebrany za smutnego klauna. Jego wielkie buty wystają z jednej strony dywanika, a tęczowa peruka z drugiej. Wygląda jak hot dog ze smutnego klauna.

– Czy tutaj ludzie zawsze przebierają się za smutnych klaunów, kiedy ktoś złamie im serce? – pyta Jane, doszukując się jakiegoś wzorca. Wzorce są pocieszające.

– Nie wiem, o czym mówisz. Ubrałem się tak, bo ona się tak ubiera – odpowiada pirat, gdy pierwsza pani Thrash z NW17 toczy go na bok korytarza, a potem naciska przycisk w ścianie, który pozwala jej się komunikować z Kapitan Vanders.

– Jestem taka zdezorientowana – mówi Jane. – Działasz w zмовie z Lucy? To znaczy, z Lavender?

Kawałek dalej w korytarzu sufit wypluwa pomarańczę. Owoc spada na podłogę, odbija się

i toczy w stronę Jane.

– Coś takiego! To obelżywe – mówi pirat w stroju smutnego klauna, zawinięty w dywanik.

– Co? – pyta Ravi. – Pomarańcza? Pomarańcza jest dla ciebie obelżywa? Co z tobą jest nie tak? Boże, jak ja nie znoszę tego wymiaru.

– To pomarańcza mojego przyjaciela – odpowiada grobowym głosem pirat. – Mój przyjaciel stał się częścią kadłuba tego statku. To znaczy po tym, jak się przez niego przebił. Kadłub strząsnął z siebie jego statek, ale jego wessał. Wetknął jego ciało w otwór, żeby go zatkać.

– Jak palec w pękniętą tamę? – pyta Jane.

– Twój przyjaciel stracił statek? – pyta pierwsza pani Thrash z narastającym przerażeniem. – Co chcesz przez to powiedzieć? Ma powietrze?

– Nie – odpowiada pirat. – Patrzyłem, jak sinieje.

Pani Thrash z NW17 z niedowierzaniem wpatruje się w pirata.

– Chcesz powiedzieć, że dom go zabił?

– Ale pomarańczę postanowił oszczędzić – odpowiada pirat w stroju smutnego klauna. – Dziwny statek nazywacie domem, jeśli mogę tak powiedzieć. Ma bardzo niezwykle zdolności obronne. Nie uprzedzono nas o tym. Pokonano nas tak szybko, iż mam wrażenie, że zostaliśmy wykorzystani.

– Przez kogo? – pyta Jane. – Po co?

– Przez nią oczywiście. Żeby odwrócić uwagę. Czy to żalosne, że mam nadzieję, że ona się z tego wywinie?

– Co? O czym ty mówisz? – pyta Jane. – Nie chodziło ci o portal?

– Portal? Jaki portal?

– Zaczekaj, czy ty w ogóle jesteś piratem? – pyta Jane. – Znalazłeś się tu z powodu dzieł sztuki?

– To prawda, że jestem niezwykle utalentowanym malarzem – odpowiada pirat. – Ale sądzę, że już dość powiedziałem. Nie uważasz?

– Nie wiem – mówi Jane, która próbuje się w tym wszystkim połapać. A może Lavender chodzi o dzieła sztuki?

Kilka osób z personelu, których Jane nie zna, przybiegło z wózkiem i otaczają teraz zawiniętego w dywanik pirata. Unoszą go razem z dywanikiem i kładą prosto na wózek, następnie go unieruchamiają. Pierwsza pani Thrash z NW17 informuje ich chłodnym, poważnym głosem o martwym człowieku zatykającym dziurę, którą sam wyciął w dachu. Personel jej nie wierzy. Dom nigdy dotąd nikogo nie zabił. Jane się zastanawia, czy Kapitan Vanders będzie zaskoczona. Ma przecucie, że nie.

Jane usiłuje sobie przypomnieć, dokąd szła Lucy – Lavender – gdy ostatni raz ją widziała.

– Ravi – mówi cicho – chodź ze mną.

Jak prawdziwy dżentelmen Ravi proponuje, że poniesie jedną z parasolek Jane i ani słowem nie wspomina o tym, że dziś rano całował się z nią w korytarzu ich Tu Reviens. Zdejmuje też wrotki, by dostosować się do jej tempa. Gdy nie próbuje flirtować, Jane znajduje w nim miłego towarzysza. To dziwne, ale ta ulga jest pomieszana z tęsknotą.

– Dokąd idziemy? – pyta Ravi. Niesie wrotki, trzymając je za sznurowadła. Gdy Jane była mała, ciocia Magnolia chodziła z nią do parku, a potem siadywała na ławeczce i czekała na nią, i zachęcała, gdy

Jane jeździła na wrotkach. W drodze do parku i z powrotem Jane wiązała sznurowadła wrotek

i nosiła je tak, jak teraz Ravi.

– No i? – dopytuje niecierpliwie Ravi.

– Co? A właśnie! Pierwsze piętro we wschodnim skrzydle – odpowiada Jane. – Albo lewa strona, poziom 01, bo tak tu chyba na to mówią. Mam pewną teorię.

– Jaką?

– Jeszcze nie chcę jej zdradzać. Ale nie sądzę, żeby ci mężczyźni byli piratami, którym chodziło o portal.

– Po prostu świetnie. Kolejna zagadka. – Ravi nie czuje się swobodnie, poruszając się po korytarzach tego Tu Reviens. Jane potrafi to wyczytać z tonu jego głosu i z tego, jak ciągle ogląda się przez ramię.

Światła na pierwszym poziomie wschodniego skrzydła dziko mrugają. Gdy zjawiają się Ravi i Jane, światło się stabilizuje, jakby chciało zwrócić na siebie czyjąś uwagę i uznało, że te dwie osoby mu wystarczą. Jane nie jest jakoś bardzo zaskoczona, dostrzegając Lucy – Lavender – samą w korytarzu. Stoi tam i jęczy, bo ściana wessała jej dłoń. Zdarzyło się to przy samej ramie niewielkiego obrazu – a właściwie niemal za obrazem – przedstawiającego kobietę piszącą list, przy której spokojnie stoi żaba. Na obrazie jest noc. Całą scenę oświetla łagodnie wirująca galaktyka.

– Miś Lucy! – woła Ravi. – Klaun Lucy! Co się stało? – A potem dodaje: – O rany! Spójrz tylko na tego Vermeera.

– Na Vermeera? – pyta Jane.

– Na ten przepiękny obraz – mówi Ravi. – To *Pisząca list z żabą*, albo tak przynajmniej nazywamy go w naszym wymiarze.

– A właśnie – przypomina sobie Jane. – Pani Vanders wspominała dziś rano o twoim Vermeerze.

– Tak?

– Chyba nawet się o niego martwiła – mówi Jane. – Chciała, żebyś mu się przyjrzał.

– Martwiła się? Poczekaj, co to?

Ravi schyla się, by przyrzeć się dokładnie niewielkiemu płótnu, które leży na podłodze przy wielkich klaunich butach Lavender. Zamiera. Ostrożnie odkłada wrotki, podaje Jane parasolkę, którą niósł. Podnosi płótno i odsuwa je na wyciągnięcie ręki. Obraz przedstawia kobietę piszącą list; obok niej stoi żaba. Jest dokładnie taki sam jak ten, który wisi na ścianie.

Ravi odwraca się do Lavender. Nagle jest bliski płaczu.

– Lucy – mówi – co ty robisz?

– Mam na imię Lavender – dyszy kobieta. – A ty nie jesteś nawet moim prawdziwym Ravim.

– To znaczy, że przez cały ten czas udawałaś?

– Nie twoja sprawa, czy udawałam! – krzyczy Lavender. – Nie jesteś tobą. Nie muszę się przed tobą tłumaczyć! Przed żadnym z was!

– Mówiłaś, że mnie kochasz.

– Och, sam siebie posłuchaj. To nie byliśmy my, to byłeś ty i ktoś inny, ja i ktoś inny. Tak czy inaczej, nawet nie wiesz, co znaczy to słowo!

– Który obraz jest autentyczny? – pyta zduszonym głosem Ravi.

– Domyśl się, jeśli tak ci zależy! – krzyczy Lavender. – Jest ci obojętne, kto jest w twoim łóżku, ale och, jak strasznie się przejmujesz, który obraz wisi na ścianie.

– Dowiem się tego. Zapewniam cię. I powiem twemu ojcu i kuzynowi, co zrobiłaś. Wszystkim o tym powiem!

Lavender zaczyna się śmiać. To pełen niesmaku śmiech, który przechodzi w urywane krzyki, gdy ściana zaczyna mocniej wsysać jej dłoń.

– Wzywam policję – oświadcza Ravi, ostrożnie odkładając płótno na podłogę. – Albo Kapitan. Kogo tam macie w tym przeklętym wymiarze do ścigania paskudnych złodziei sztuki z nosami klaunów. Popilnuj tych obrazów – zwraca się sztywno do Jane. – Zaraz wrócę.

– Dobrze – mówi Jane. Potem cierpliwie czeka z parasolkami w rękach, aż Ravi, przeklinając cicho, włoży wrotki i odjedzie korytarzem.

Jane odwraca się z powrotem do Lavender. Wygląda na to, że ściana stopniowo pochłania jej rękę. Teraz sięga już do łokcia i Lavender dyszy z bólu. Łzy zostawiają oleiste ślady na jej makijażu; czerń skapuje na białą koszulę.

– Zapłaciłaś tym dwóm mężczyznom, żeby odwrócili uwagę domowników, kiedy ty będziesz kradła obraz? – pyta Jane.

– Zapewniam cię – mówi Lavender w słabym przypływie furii – że jesteś ostatnią osobą w całym wszechświecie, przed którą będę się tłumaczyć. – W jej oczach pojawia się jakiś blask. – Przedostatnią! – krzyczy. – Jesteś tylko kopią. Kopią nikogo. Jedną z wielu takich będących nikim dziewczyn Ravięgo!

– Po co kradniesz ten obraz?

– A po co ludzie kradną?

– Dla pieniędzy? – pyta z niesmakiem Jane.

– To tylko obraz – wyrzuca z siebie Lavender. – Przedmiot. Nikogo nie powinno zabołec, gdybym go zabrała. Może z wyjątkiem Ravięgo, a on sobie na to zasłużył!

– Jeden z twoich współników zginął – mówi Jane. – Dom go zabił.

Lavender krzyczy z bólu, gdy ściana wchłania jej rękę powyżej łokcia. Nogi odmawiają jej posłuszeństwa i zwisa na uwięzionej ręce jak szmaciana lalka przebrana za klauna. Jane próbuje nie myśleć o tym, w jakim stanie jest jej dłoń i przedramię we wnętrzu ściany. Usiłuje się nie zastanawiać, jak daleko ściana chce się posunąć z tą karą.

– Masz dokąd uciec? – pyta Jane.

– Co? – dyszy zdezorientowana Lavender.

– Masz jakiś plan ucieczki?

Lavender unosi głowę, by zerknąć na Jane. Jest wykończona, oczy ma szkliste z bólu.

– Nie zamierzałam dać się złapać – mówi. – Ale tak. Są takie miejsca.

Jane ma wrażenie, że jeśli zacznie się nad tym zastanawiać, utwierdzi się w przekonaniu, że jej plan jest niewykonalny. A więc wbija niedokończoną czarną parasolkę w ścianę, dokładnie w miejscu, gdzie pożera ona rękę Lavender. Ściana wzdryga się, ryczy i zaciska. Lavender krzyczy.

Jane mocno chwytając parasolkę w kolorze brązu i miedzianego różu i wbija ją w ścianę pod drugiej stronie ręki Lavender. Trudno powiedzieć, co właściwie się tu dzieje, bo ściana piszczy, wzdryga się i ścieka z niej jakaś dziwna kleista substancja w miejscach, w które dźgnęła Jane. Instynkt podpowiada jej jednak, by użyć parasolek jak łomów i podważyć ścianę w miejscu, gdzie wsysa Lavender. Ściana wyje, potem krzyczy. Lavender ciągnie i wrzeszczy z bólu.

Potem jej ręka, zakrwawiona, zmiażdżona i wiotka, wysuwa się ze ściany jak jakaś rodząca się istota. Lavender osuwa się na podłogę.

– Uciekaj! – wrzeszczy Jane. – Biegnij!

Lavender się zatacza, potem kuli się, obejmując rękę, i puszcza się biegiem. Gdy Jane zostaje sama w korytarzu, wyszarpuje parasolki ze ściany i wbija je ponownie, dziab, dziab, dziab,

próbując odwrócić uwagę domu od uciekającej kobiety.

Ściana się wybrzusza; powstają z niej palce, które próbują schwytać parasolki. Jane dźga, nie przestaje.

Jednak gdy podłoga pod jej nogami zaczyna dudnić i się odkształcać, dochodzi do wniosku, że już dość ryzykowała. Puszczą parasolki i zostawia je wbite w ścianę.

– Miły domek – mówi. – Wspaniały dom. Nigdy bym nie skrzywdziła tego kochanego domku.
– Oddycha głęboko „na meduzę” z jak najszczerzym zamiarem, by nie zrobić absolutnie nic, co wkurzyłoby ten straszny dom.

Lavender, uciekając, porzuciła oba obrazy. Jane zostawia je na miejscu i cofa się. Ściana wydaje się wciąż walczyć z parasolkami, które wyraźnie podrygują, ale podłoga się uspokaja.

– Chcę wrócić do domu – mówi Jane. – Proszę, Boże, pozwól mi wrócić do domu. – Zabawne przyłapać się na tym, że wypowiada słowa, które brzmią jak modlitwa. Nigdy nie była religijna, sama nie wie, w co wierzy, i nie wie też do końca, co rozumie przez słowo dom.

Daje sobie jednak chwilę na opłakiwanie parasolki w kolorze brązu i miedzianego różu z mosiężną rączką. Ta parasolka miała jej towarzyszyć w wielkiej przygodzie; teraz Jane uświadamia sobie, że będzie ją musiała tutaj zostawić. Dziękuje parasolce za wykonanie ważnego zadania.

Opuszczając pierwsze piętro wschodniego skrzydła, rozumie, że jest jeszcze jedna rzecz, którą musi zrobić, zanim odejdzie z tego wymiaru.

Gdy dociera na wschodni korytarz drugiego piętra, widzi, że bałagan już posprzątano.

Nie ma żadnych piratów ani ratowników. I nawet dywanik z yeti leży na swoim dawnym miejscu. Sądząc po głuchym stukaniu dobiegającym z góry, zespół ludzi jest już na dachu, albo może na kadłubie, wyjmując z niego zwłoki i naprawia nieszczelność. Jane się zastanawia, czy dom będzie chciał oddać ciało tego mężczyzny.

Odwraca się, słysząc odgłos wrotek, i stwierdza, że Ravi sunie ku niej od strony atrium i wygląda jak burzowa chmura.

– Dotarliśmy do obrazu, ale Lucy już tam nie było – mówi cierpko. – Wypuściłaś ją, prawda?

– Ta ściana chciała ją zabić – odpowiada Jane. – A poza tym ona ma na imię Lavender.

– Ściana by jej nie zabiła!

– Nie widziałeś, co zrobiła z jej ręką.

Ravi przetyka. Wygląda, jakby czuł się nieswojo.

– A co z nią zrobiła?

– Może lepiej nie pytaj.

– Jak myślisz – pyta z niepokojem w głosie Ravi – nic jej nie będzie?

– Nie mam pojęcia! Ale wiesz równie dobrze jak ja, że ten dom zabija ludzi!

Ravi zмага się chyba z jakąś myślą.

– No dobra – mówi. – W tej chwili nic na to nie poradzimy i po tym, co widzieliśmy, chciałbym już wracać do domu. Muszę pogadać z moją Lucy o Brâncușim. I dokładniej się przyjrzeć naszemu Vermeerowi.

– Musimy się jeszcze tylko zatrzymać w jednym miejscu – odpowiada Jane.

Gdy Ravi pytająco unosi brwi, Jane wyciąga rękę. Ravi ujmuje ją, zaintrygowany, i Jane ciągnie go korytarzem.

– Nie – protestuje Ravi, gdy widzi, dokąd zmierzają. – Nie ma mowy.

– Och, no chodź.

– Nie – upiera się i wrywa dłoń. – Spotkamy się przy portalu.

– Czego się boisz? – warczy Jane. – Prawdy?

– Nie – odpowiada jej w podobnym tonie Ravi, który teraz całkiem się wściekł. – Boję się dokładnie czegoś odwrotnego, że uwierzę w rzeczy o sobie, które nie są prawdą. Nie rozumiesz tego, prawda? Ravi z NW17 jest palantem, wiem o tym. Poznałem go. Jest taki jak ja, ale bez żadnych... – Sfrustrowany macha ręką, szukając słów. – Jest zimny. Pozbawiony skrupułów. I tak strasznie do mnie podobny. I nie jest jedynym Ravim, którego spotkałem i nie polubiłem. Z Kiran jest podobnie. Wiesz, kiedy Kiran zaczęła się snuć z kąta w kąt, odrzucać Patricka i kiedy popadła w depresję? To było po tym, jak poznała Karen i Patricka z NW17, którzy są tacy obrzydliwie zmotywowani, szczęśliwi i zakochani. To wtedy zaczęła czuć, że jej Patrick coś przed nią zataja, ma własne tajemnice i jest z nią nieszczerzy. Doszła do wniosku, że coś z nią jest nie tak i teraz już nie ufa swojemu Patrickowi, i czuje się, jakby utknęła w niewłaściwym świecie. To miejsce namiesza ci w głowie.

– Ravi z NW17 nie jest tobą – mówi Jane. – Nie wiesz, kim jesteś?

– Wiem – odpowiada Ravi. – I chcę, żeby tak zostało. – Potem odwraca się i odchodzi.

Jane nie została jednak sama. Ivy z NW17 spokojnie zbliża się korytarzem.

– Cześć – mówi. Jej uśmiech tak bardzo jest podobny do uśmiechu Ivy, że Jane się rumieni, bo przypomina sobie, że ta druga, prawdziwa Ivy, widziała ją dzisiaj, jak całowała się z Ravim. Teraz jednak Jane sobie uświadamia, że ta Ivy nie nosi okularów. I jej oczy nie są aż tak intensywnie niebieskie.

– Kapitan Vanders mnie przysłała, żebym jeszcze raz sprawdziła ten korytarz – mówi Ivy z NW17.

– Jest twoją szefową?

– Tak. Jednym z moich szefów.

– Poczekaj. Skoro ona jest kapitanem, czy to nie znaczy, że jesteś kimś w rodzaju żołnierza?

– Nie jesteśmy na statku wojzkowym – wyjaśnia Ivy. – Ale tak się składa, że niektórzy wywierają na mnie presję, bym wyszkoliła się na oficera.

– Naprawdę?

– Między innymi mój brat. Pracuje w wywiadzie. Karen też się zastanawia, czy nie zająć się tym samym, gdy już przestanie karmić dzieci.

Teraz Jane próbuje sobie wyobrazić Ivy ze swojego świata jako oficera, zaangażowaną w pracę wywiadu.

– A chcesz pójść do wojska? – pyta.

– Niespecjalnie – odpowiada Ivy z NW17 i kolejny uśmiech zupełnie odmienia jej twarz. – Mam inne zainteresowania.

Jane nagle wcale nie ma ochoty się dowiadywać, jakie to zainteresowania. Nie chce, żeby ta Ivy nakładała się na jej Ivy, którą poznała zaledwie wczoraj. Jej Ivy wykonuje piękne płaskorzeźby w drewnie, a w tym świecie pewnie nawet nie ma lasów. I co wyrzeźbiłyby cieśla w świecie, w którym nie ma oceanów? Zamiast wielorybów, rekinów i dziewczyn w łodziach wiosłowych?

– Cóż – mówi Jane – muszę jeszcze tylko odwiedzić jedną osobę, zanim wrócę do domu.

– Tutaj? – mówi Ivy z NW17, wskazując na drzwi za plecami Jane. – Wiesz, że to kabina Ravięgo, prawda?

– Tak.

– Wątpię, żebyś zastała go samego. Wiesz, kto tam jest?

– Tak. Ktoś mi powiedział. Byłam... zaskoczona – dodaje, ale nie rozwija tematu. – To nie z Ravim chcę się zobaczyć.

– Ach! – Oczy Ivy z NW17 się rozszerzają. – Myślisz, że to dobry pomysł?

Jane przez chwilę milczy, przelyka.

– Muszę jej zadać jedno pytanie.

Ivy z NW17 zagryza wargę. *Próbuje się powstrzymać, by nie powiedzieć mi, żebym tam nie wchodziła*, myśli Jane.

Ivy z NW17 mówi jednak tylko:

– Chciałabyś, żebym tu na ciebie zaczekała?

Jane oddycha z ulgą.

– Naprawdę? – pyta. – Masz na to czas?

– Jasne – zapewnia Ivy. – Jeśli chcesz, mogę stać pod drzwiami. Jeśli będziesz mnie potrzebować, wystarczy, że zapukasz.

– Tak – mówi Jane. – Proszę. To strasznie miło z twojej strony. To nie potrwa długo.

Jane nie puka. Wpada prosto do pokoju, rozgląda się i natychmiast rozumie, dlaczego wszyscy ją ostrzegali.

Nie dlatego, że coś jest nie tak z wyglądem osoby, która leży w łóżku Raviego. Chodzi o coś innego, coś bardziej pierwotnego.

Jane z NW17 i Ravi z NW17 znajdują się w ogromnym łóżku. On leży przy dalszej krawędzi, śpi odwrócony od obu Jane. W jego ciemnych włosach widnieją pasemka ufarbowane jakimś złocistym metalicznym barwnikiem. Jedna ręka wystaje znad pościeli i Jane widzi, że Ravi ma imponujące tatuaże. Na jego mięśniach wiją się i kłębią obrazy z Ziemi. Drzewa. Maki. Doliny. Kamienne miasta ciągnące się w dal, aż do morza.

Oczywiście Jane zdawała sobie sprawę, że być może, gdy wejdzie, ci ludzie będą uprawiać seks, ale dopiero teraz do niej dociera, jakie to by było dziwne i przytłaczające. Zobaczyć samą siebie robiącą coś tak niesłychanie intymnego, coś, czego nie robiła nigdy dotąd, i przekonać się, jak wtedy wygląda. Zobaczyć to, ale tego nie czuć.

Jane z NW17 siada na łóżku owinięta prześcieradłem, jakby było jej zimno albo jakby wstydziała się nagości. Pierwszą rzeczą, jaka wstrząsa Jane, jest to, że tamta wydaje się taka bezbronna i młoda. Ma niepewną minę, spleta dłonie. Drugą natomiast – jaka wydaje się samotna.

Ta druga Jane wzdraga się wystraszona jej wtargnięciem i wydaje cichy okrzyk. Potem wreszcie orientuje się, kim jest Jane, i siedzi oszołomiona, z rozszerzonymi oczami.

– Cześć – mówi Jane. Prawdziwa Jane.

– Cześć – odpowiada automatycznie Jane z NW17, a potem zerka na Raviego z NW17 i przesuwa się na skraj łóżka, dalej od niego. – Nie chcę go jeszcze budzić – szepcze. – Mówmy ściszym głosem.

A więc to tak wygląda, gdy mówi, gdy jej twarz się porusza. Jane wie, że tak; w tym widoku jest coś fundamentalnie znajomego. Jednak nie do końca w ten sposób wyobrażała sobie własną twarz. Jane jest zszokowana, gdy uświadamia sobie, że te rysy przypominają jej ciocię Magnolię.

I coś jeszcze przyprawia ją o szok – dlaczego przyłapuje się na tym, że natychmiast czuje do tej osoby... urazę?

– Wiesz o światach równoległych, prawda? – pyta cicho.

– Tak, oczywiście – odpowiada Jane z NW17 z lekkim przejęciem w głosie. – Wszyscy tutaj

o tym wiemy.

– Czy...

To absurdalne, ale Jane niemal zapytała, czy Jane z NW17 umie oddychać tak, jak porusza się meduza. Potem przypomina sobie, że to nie tylko dziwne pytanie zaraz po tym, jak wtargnie się do czyjegoś pokoju, lecz także to, że w tym świecie nie ma oceanów.

– Czy są tu meduzy? – pyta cicho, po czym przyciska rękę do czoła. – Przepraszam – mówi – jestem tym przytłoczona. Przychodzą mi do głowy tylko głupie pytania.

– Nie szkodzi – odpowiada Jane z NW17. – Naprawdę. Ja też jestem przytłoczona.

Tak, Jane to widzi. Ten płytki oddech i ostrożne spojrzenia odzwierciedlają jej własne uczucia, podobnie jak konsternacja na twarzy drugiej Jane.

– Ale nie wiem, co masz na myśli – ciągnie Jane z NW17. – Pytasz o jakąś wymarłą rybę?

Jane zaczyna podwijać rękaw.

– To taki galaretowaty bezkręgowiec, zwierzę żyjące w morzach. – Słyszy własny opis meduzy i tłumi chęć, by wybuchnąć histerycznym śmiechem. – W rzeczywistości to nie ryba. Spójrz.

Tak obraca ramię, by Jane z NW17 zobaczyła złocistą czaszę, długie ramiona i czułki na jej tatuażu.

– Och! – mówi Jane z NW17. – Jest piękna.

– Żyją w morzach od ponad pięciuset milionów lat – wyjaśnia Jane. – To najstarsze wielonarządowe zwierzęta na świecie.

– Chyba kiedyś o nich słyszałam – odpowiada Jane z NW17. – To potwory ze Starej Ziemi. Teraz już wymarłe.

Meduzy wymarły? Chociaż przeżyły ponad pięćset milionów lat?

Jane zaczyna pojmować, co to znaczy, że Ziemia tych ludzi została rozsadzona na kawałki. Jak miałyby ogarnąć utratę oceanów? Utratę twardej ziemi pod stopami. Prawdziwych promieni słońca, ciepła, deszczu. Jak ciocia Magnolia miałyby nauczyć oddychać Jane w tym świecie, jeśli nie tak, jak porusza się meduza?

Jane nie nienawidzi tego wymiaru tak, jak Ravi. Wydaje jej się jednak smutny, niemożliwy i przerażający.

Teraz przynajmniej rozumie tę urazę do alternatywnej wersji siebie. Pojmuje ją w chwili, gdy to uczucie blaknie. Jane poczuła się tak, jakby stanęła twarzą w twarz z osobą, która ukradła jej tożsamość. Ukradła nawet podobieństwo jej rysów do cioci Magnolii. Zadrwiła sobie z jej decyzji, by nie spać z Ravim, i się z nim przespała. Jakby wszystko, co w niej szczególnie i wyjątkowe, zostało zawłaszczone przez tę osobę, która teraz tu siedzi jak jej lustrzane odbicie i której istnienie w jakiś sposób rozwadnia Jane.

Ale Jane nie jest rozwodniona. Jest sobą, i to bez znaczenia, kim jest ta osoba. Jane mieszka na Ziemi, w świecie, gdzie meduzy pływają w oceanach od pięciuset milionów lat. Jane ma dom. A to miejsce nie jest jej domem.

Jane jest też osobą, która postanowiła nie przespać się z Ravim. Postanowiła pozwolić Lavender uciec. Poświęciła swoje parasolki. Umie oddychać tak, jak porusza się meduza. Ma dziewczynę o imieniu Ivy, którą ledwie zna i której odpowiedniczka stoi teraz jak skała pod drzwiami tego pokoju. Ivy z NW17 robi to dla Jane, nie dla tej osoby, i Jane nie ma pojęcia, co wyniknie lub nie wyniknie z jej uczuć. Miała ojca, który uczył przedmiotów ścisłych w szkole średniej, matkę, która badała, dlaczego z nieba spadają żaby, i ciocię, która pływała z wielorybami. Jane robi parasolki. Nie potrafi znieść myśli o świecie, gdzie nie ma chorych

oceanów, które ciocia Magnolia próbowałaby ratować.

Jest dzieckiem swojej cioci Magnolii.

– Jesteś szczęśliwa? – wyrzuca z siebie Jane, bo nagle, mimo wszystkich tych myśli, zależy jej na odpowiedzi.

Twarz tej drugiej Jane robi się spokojna, pojawia się na niej znajome skupienie. Jane wie, że Jane z NW17 intensywnie zastanawia się nad tym pytaniem.

– Niespecjalnie – odpowiada w końcu. – Nie, odkąd zginęła moja ciocia Magnolia.

To odpowiedź na pytanie, które Jane przysła tutaj zadać. Teraz, gdy Jane już ją zna, jest równocześnie miążdżąca i wcale nie taka miążdżąca, jak sądziła. Czy naprawdę chciałaby poznać ciocię Magnolię z NW17? Czy naprawdę chciałaby pokładać tyle nadziei i oczekiwań w tej osobie?

Jane się zastanawia, czy właśnie to, multiwszechświat, jest powodem, dla którego ciocia Magnolia kazała jej obiecać, że odwiedzi Tu Reviens. Żeby, jeśli kiedykolwiek coś się stało jej cioci, Jane mogła się otoczyć innymi, odmiennymi ciociami Magnoliami. Ale nie. Ciocia Magnolia wiedziała, że to ona była tą jedyną, którą Jane miała, i jedyną, którą straciła. Jedyną, którą chciała.

– Przykro mi z powodu twojej cioci Magnolii – mówi cicho do Jane z NW17. – Moja ciocia Magnolia też zginęła. Na Antarktydzie. Fotografowała podwodne zwierzęta.

Po twarzy drugiej Jane przemyka cień zrozumienia.

– Czy twój tatuaż inspirowany był jednym z jej zdjęć?

– Tak – mówi Jane zaskoczona. – Skąd wiedziałas?

Jane z NW17 odwraca się, by pokazać jej drugie ramię. Widnieje na nim kometa sięgająca aż do szyi.

– Moja ciocia Magnolia fotografowała galaktyki.

Jane odbiera mowę. Ten tatuaż jest taki podobny do jej własnego.

– I była też szpiegiem – ciągnie Jane z NW17. – Zginęła podczas misji.

– Ciocia Magnolia była szpiegiem? – powtarza zaskoczona Jane.

– Tak. Dowiedziałam się dopiero po jej śmierci.

– O rany! – Jane usiłuje sobie wyobrazić, jakby to było. – Nie poczułaś się zdradzona?

– Nie tak bardzo jak tym, że zginęła – odpowiada z cichą goryczą

Jane z NW17.

Jane czuje cisnące się do oczu łzy. Kierowana jakimś instynktem wyciąga rękę, by dotknąć tej drugiej Jane, tej znajomej rozpaczy. Druga Jane też to rozumie i wyciąga dłoń. Ich ręce się splatają, ciepłe, żywe, idealnie pasujące do siebie.

Za plecami drugiej Jane Ravi porusza się i chrapie. Mocniej ściskają swoje dłonie, jak w jakimś instynktownym obronnym geście. Jane ma przeczucie, że jeśli Ravi z NW17 obudzi się i ją zobaczy, zaprosi ją również do łóżka. I uświadamia sobie nagle, dlaczego jej Ravi, który jest lepszy od tego tutaj, nie jest przeznaczony dla niej. Jane czuje się przy nim podekscytowana i zachwycona, ale nie czuje tej pewności w sobie. Przy Ivy Jane jest podekscytowana, zachwycona, ale też pewna tego, kim jest.

– Nic ci nie będzie? – pyta ją Jane z NW17.

– Nie wiem – odpowiada Jane. – Ale ta wizyta mi pomogła.

– Mnie też. Właściwie to chyba mnie zainspirowałaś. Tą meduzą.

– Jesteś artystką?

– Chciałabym nią być – mówi Jane z NW17. – Ostatnio projektowałam szalone klosze do

lamp.

W głowie Jane rozbłyskują obrazy. Ozdobne abażury; meduzy żarzące się w świetle, w którym nie ma meduz. Śmieje się cicho, bo z zaskoczeniem stwierdza, że lubi tę Jane. Postanawia, że następną parasolką, jaką zrobi, będzie parasolka w kształcie klosza.

– Robię parasolki – mówi Jane. – Następną, którą zrobię, będzie inspirowana kloszem do lampy.

Druga Jane marszczy czoło.

– Chyba wiem, co to jest parasolka.

– Sprawdź to, jeśli masz ochotę. Parasolki też potrafią być inspirujące. Jestem w stanie sobie wyobrazić, że mogłyby nawet stać się tutaj modne.

– Dziękuję – mówi druga Jane. – Zrobię tak.

– Mam nadzieję, że wszystko będzie z tobą dobrze.

– Ja też.

– Mówię serio.

– Tak, ja również. Czuję się tak, jakbym miała w tym własny interes.

Jane znów wybucha śmiechem.

– Muszę już wracać. Dać ci jedną radę?

– Tak?

– Nie wkurzaj domu.

Jane z NW17 unosi brwi.

– Dobrze. A tobie też coś poradzić?

– Tak?

– Nie idź do łóżka z Ravim.

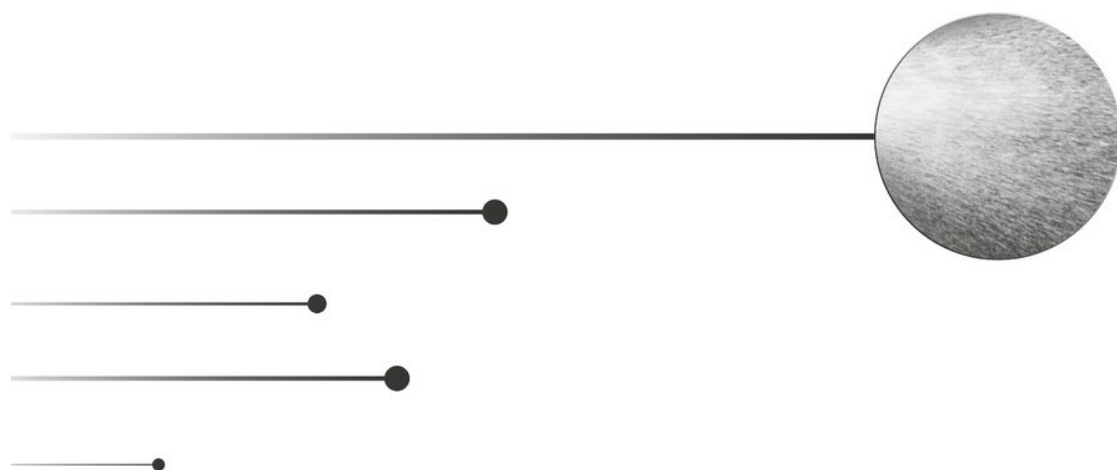
Jane uśmiecha się szeroko i kiwa głową. Nie wspomina, że sama już do tego doszła. Coś sprawia, że ściska ją w gardle. To rozmowa, którą chce przeprowadzić z Ivy. Właściwie to kilka rozmów. Zastanawia się, czy Ivy też będzie miała na to ochotę. Nie ma pojęcia. Wszystko może się stać. Przekona się o tym.

Ściskając dłoń tej innej wersji siebie, Jane oddycha głęboko, „na meduzę”. Gdy zalewa ją spokój, puszcza jej rękę i odwraca się, by wrócić do domu.

Gdzieś w głębi domu rozlega się dzwonięcie,
dźwięczne i przejrzyste jak dzwoneczki na wietrze.

Pani Vanders, dziewczynka, Kiran, Ravi czy Jasper?

Ciociu Magnolio?



**Zbłąkaniec,
dziewczyna
i obraz**

Jasper leży rozwalony na brzuchu przed wysokim obrazem. Opiera pysk o podłogę i ma smętną minę, jak basset, który w końcu się poddał.

Jane podejmuje decyzję.

– Kiran – mówi – zaraz do ciebie przyjdę, ale najpierw spróbuję pomóc temu psu, dobrze?

– Pewnie. – Kiran marszczy nos i zerka na Jaspera. – A co mu jest?

– Nie wiem – mówi Jane – ale zobaczę, czy uda mi się tego dowiedzieć.

– To nie twoje zadanie – mówi Kiran. – Personel go karmi.

– Wiem – odpowiada Jane. – Nie szkodzi.

– W porządku – stwierdza Kiran i rusza dalej. – Będę w ogrodzie zimowym.

Jane odwraca się do psa.

– Jasper – mówi. – Kochany Jasper.

Pies zrywa się z zapalem, macha ogonem.

Gdy Jane dociera na półpiętro, dochodzi do czegoś w rodzaju starcia. Próbuje podejść do Jaspera, ale ten robi uniki, okrąża ją, a potem biegnie prosto na nią od tyłu.

– Jasper! – Jane próbuje się uchylić. – Jak mam cię pogłaskać, skoro na mnie skaczesz? – Pies zmienia podejście i taranuje jej łydki.

To na nic; Jane straciła równowagę i zaczyna nieubłagane wpadać w wysoki obraz z parasolką. Dosłownie w niego wpada: nie odbija się od jego powierzchni, nie zatrzymuje się na niej. Przelatuje na drugą stronę. Uderza w jakąś twardą poziomą płaszczyznę i zdumiona maca rękoma wokół siebie. Znajduje się na płaskiej posadzce w szachownicy, w oświetlonym latarnią pokoju w jakimś eleganckim domu. Obok niej na podłodze suszy się niezwykle zielono-czerwona parasolka.

Jane, przekonana, że to jedynie efekt jakiegoś zaburzenia psychicznego, podnosi się i odwraca w stronę, z której przyszła. Znajduje się tam ściana, na której wisi ogromna tkana kotara. Ukazuje schody w jakimś wielkim, okazałym domu. Na półpiętrze stoi zbroja z żonkilami i basset. Po drugiej stronie głównego holu widać drugą klatkę schodową prowadzącą z parteru na drugie piętro.

Na oczach Jane basset na kotarze rusza w jej stronę. Nagle wchodzi do pokoju przez kotarę: to prawdziwy pies, ale... już nie Jasper. Dyszy z podekscytowania tak jak on, ale ma małe spiczaste uszy, zadziorny pyszczek, a jego ciało jest bardziej proporcjonalne do nóg. Ma też podobne do Jaspera umaszczenie, ale biele są bielsze, czernie czarniejsze, a brzozy łagodniejsze.

– Jasper! – mówi Jane i wzdryga się, słysząc, że krzyczy.

– Naprawdę mam na imię Steen – odpowiada pies i w jakiś sposób przekazuje jej nawet pisownię: S-T-E-E-N. Jane, zdezorientowana, pada z powrotem na podłogę.

– Tracę rozum – mówi Jane do sufitu, kręcąc głową.

– Nie rozum – podpowiada pies, biegając wokół jej głowy – tylko swoją kruchą i ograniczoną koncepcję świata. Och, tak się cieszę, że cię znalazłem! – Podskakuje jak szczeniak, który pierwszy raz zobaczył śnieg.

– Psy nie potrafią mówić – stwierdza Jane do sufitu.

– Ja wcale nie mówię! Bądź trochę uważniejsza. Słyszysz mnie umysłem, nie uszami.

– Co? – pyta Jane – Zrób to jeszcze raz.

Rozmawiam z twoim umysłem, mówi pies. Jego pysk się nie porusza. Nie wydobywa się z niego żaden dźwięk.

– To chyba ma sens – stwierdza Jane, a potem słyszy samą siebie i wpada w rozpacz nad utraconym rozsądkiem

Musimy wyjść z tego pokoju, mówi Jasper, zanim ktoś w Tu Reviens zauważy różnicę na obrazie.

– Co? – pyta Jane roztrzęsionym głosem.

Musimy się ruszyć, mówi Jasper. Patrz, ktoś idzie.

I faktycznie, kotara na ścianie znów się zmieniła; nie tylko zniknął basset, lecz także teraz po drugiej stronie głównego holu stoi ciemnowłosa dziewczyna w niebieskim swetrze trzymająca w ręce jakiś mały czarny przedmiot. Bardzo przypomina Ivy z jej aparatem fotograficznym.

– Ivy! – krzyczy Jane.

Szsz! Usłyszysz cię!, mówi Jasper.

– To dobrze! Uratuje mnie!

Szszszsz! Jeśli spojrzysz w tę stronę, zobaczy nas na obrazie. Rusz się! I przestań myśleć o mnie Jasper! Mam na imię Steen.

– Ratunku!

Ugryzę cię, jeśli się nie ruszysz.

– No to dalej! To nie dzieje się naprawdę!

Jasper chwyta w zęby jej ucho, mocno ściska i szarpie w stronę drzwi. Ból jest rzeczywisty i nie do wytrzymania.

– Au! Jasper! – krzyczy Jane, odpycha go od siebie i podnosi się na nogi. Biegnie, mijając parasolkę, wpada przez drzwi do innego pokoju, w którym panuje mrok. Kuca oparta o ścianę, trzęsie się i płacze. Ucho krwawi i potwornie boli. Czy gdyby to się nie działo naprawdę, krwawiłoby jej ucho?

Jasper podchodzi do niej i opiera się o nią. Jest ciepły i spokojny.

Jane otacza go ramieniem.

Wiem, że w tej chwili jesteś niepokieszona, mówi jej. Ale chcę, żebyś wiedziała, że wiem, jak się czujesz. Kiedy po raz pierwszy przeszedłem przez kotarę z mojego świata do twojego, czułem się tak samo. Byłem wtedy bardzo młody i nie było nikogo, z kim mógłbym porozmawiać. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Przepraszam za to ucho. Wszystko w porządku?

Jane sadza go sobie na kolanach i głaszcze po szyi, po jedwabistej sierści.

– To się dzieje naprawdę? – szepcze.

Tak, potwierdza pies, radośnie się w nią wtulając.

– Mogę wrócić?

W każdej chwili, przez zasłonę. Ale rób to tylko wtedy, gdy nikogo nie ma w pobliżu.

– Gdzie jesteśmy?

W krainie, z której pochodzę. Nazywa się Zorsted.

TYM RAZEM JANE TEŻ ROZUMIE, JAK TO SIĘ PISZE I ŻE WYMAWIA SIĘ ZORSTED.

Właściwie to nie mamy takich samych liter, jak wy, dodaje pies. Transliteruję.

– Potrafisz pisać? – pyta roztrzęsionym głosem Jane.

To takie zaskakujące, zważywszy, że porozumiewam się z twoim umysłem?

– Psy nie potrafią pisać – mówi słabym głosem Jane.

Nie jestem psem. Jestem zbląkańcem. Świetnie znam ortografię. Byłem najlepszy w klasie, wy

nazwalibyście mnie wzorowym uczniem. Dzisiaj nie musimy się donikąd wybierać. Możemy tu siedzieć, póki nie zbierzesz sił, by wrócić przez kotarę. Możesz sobie to wszystko przemyśleć i wrócić dopiero, jak będziesz gotowa.

– Gotowa na co? – pyta Jane. – Dlaczego tu jesteście?

Jestem tu, bo Zorsted jest moją ojczyzną, odpowiada pies. *Sprowadziłem cię tutaj, bo jesteś moim człowiekiem.*

– Twoim człowiekiem?

Każdy zbłąkaniec może się porozumiewać z jednym człowiekiem. Niektóre nigdy go nie odnajdują. Myślałem, że tak będzie i ze mną. A potem zjawiłaś się ty. Poznałem cię od razu, nawet pod twoją postacią z Innej Krainy. Nie mogłem w to uwierzyć. Mój człowiek w Innej Krainie! A ty mnie poznałaś?

– Jako kogo? Nigdy nie słyszałam o... zbłąkańcu. Teraz też cię nie poznaję!

Wciąż jesteś w szoku. Nie będę cię już teraz o nic wypytywał.

Pies zwiija się w kłębek i jeszcze mocniej się w nią wtula. Jane zamyka oczy, opiera się o ścianę i próbuje zapanować nad zawrotami głowy.

Gdy jakiś czas później otwiera oczy, wciąż jest w Zorsted ze zbłąkańcem na kolanach, ale doszła już do pewnego wniosku: albo to dzieje się naprawdę, albo ma halucynacje. A jeśli ma halucynacje, to równie dobrze może zebrać więcej informacji, by przekazać je swojej lekarce, doktor Gordon, która zawsze wypytuje o szczegóły.

Ostrożnie wypowiada na głos jego imię:

– Steen?

Tak! Bardzo dobrze.

– Chciałabym wrócić – mówi Jane. – Najpierw jednak mam ochotę trochę się rozejrzeć.

W Zorsted?

– Tak. W Zorsted.

W porządku. Znajdźmy jakieś okno.

– Jesteście w czyimś domu?

Jesteśmy w pomieszczeniach dla służby w rezydencji księżnej. Księżna przyjmuje zbłąkańce, które nie znalazły jeszcze swojego człowieka, wyjaśnia Steen. *No chodź,* mówi i prowadzi Jane do innych drzwi niż te, przez które przyszła. Pomieszczenie, do którego wchodzi, jest słabo oświetlone świecami.

– W Zorsted jest elektryczność?

Nie taka, jaką znasz, ale jest coś innego, co mogłabyś uważać za... iluzję. Sztuczki. Czary.

– Czary?

Magię, mówi Steen. *Te świece bardzo długo nie gasną.*

– Poznamy czarodziei? Takich z różdżkami? Tak jak w *Harry'm Potterze*?

To nie tak, mówi kojąco Steen, *a poza tym nie wybieramy się daleko.*

– W porządku – odpowiada Jane trochę podenerwowana. – Czy teraz jest noc?

Tak, właśnie zaszło słońce. To dlatego dzwonił dzwon. Słyszałaś go?

– Dzwon?

Kiedy byliśmy w Tu Reviens, a ty się zastanawiałaś, czy pójść z Kiran. Pamiętasz? Dzwonienie?

– Myślałam, że to dzwoneczki poruszane wiatrem.

Tak, tak zwykle myślą ludzie z Tu Reviens, bo we wschodniej iglicy są takie dzwoneczki. Tu,

w Zorsted, dzwonią dzwony o wschodzie i zachodzie słońca. Ale w tych pokojach często jest ciemno. Siatka szpiegowska księżnej działa w pomieszczeniach dla służby, czyli tu, gdzie jesteśmy. Większość ludzi nie wie o tych pokojach. Wykorzystuje się je do tajnych spotkań.

– Siatka szpiegowska! A co będzie, jeśli ktoś mnie zobaczy?

Ja go ugryzę, a ty uciekniesz.

– Poważnie? Taki jest twój plan?

Cóż, nie musisz aż tak hałasować. Nie mów tyle. Rozumiem cię nawet wtedy, gdy kierujesz do mnie swoje myśli.

To już zbyt wiele.

– Chcesz powiedzieć, że potrafisz czytać mi w myślach?

Tylko te rzeczy, które chcesz mi powiedzieć.

– Skąd mogę wiedzieć, że to prawda?

Steen milczy przez chwilę. Potem mówi przygnębionym głosem.

Bo ci to mówię. Jesteś moim człowiekiem. Nie okłamię cię, a już zwłaszcza w ten dzień, kiedy wreszcie mogę się z tobą porozumiewać. Steen zaczyna dziwnie mlaskać.

– Czy ty płaczesz? – pyta Jane.

Jestem niezwykle wrażliwy. Po prostu taki jestem. A to był bardzo przytłaczający dzień.

– Przepraszam. – Jane jest kompletnie zdezorientowana. – Jasper, przepraszam cię. To po prostu sporo wrażeń, wiesz?

Jesteś dla mnie jedynym człowiekiem w Zorsted. Jedynym człowiekiem w obu krainach, mówi Steen. Byliśmy sobie przeznaczeni, nie rozumiesz tego?

– Ale Jasper, to ty nie rozumiesz. Czuję się, jakbym odnalazła mojego dawno utraconego brata bliźniaka, tyle tylko, że nie wiedziałam, że go utraciłam, a do tego jest jeszcze jasnowidzem i ciągle chce siedzieć u mnie na kolanach! Przepraszam, Jasper... Steen – pośpiesznie poprawia się Jane, bojąc się, że tylko wszystko pogorszy. – Po prostu... – Przerywa, słysząc, że Steen parska. – Ty się śmiejesz?

To trochę zabawne, mówi Steen.

Jane się poddaje. W pokoju jest okno ukryte za ciężką zasłoną. Odsuwa tkaninę na bok. To, co widzi, odbiera jej mowę.

To ciemne miasto oświetlone punktami płomieni na tle bezmiaru fioletowego nieba. Znajduje się wysoko nad całym tym krajobrazem; spogląda nad dachami i przez okna, do pokoi, w których palą się świece. Patrzy w dół na główne ulice oświetlone latarniami, które kończą się nagle w ciemności. Dziwi ją to, póki w blasku gwiazd nie dostrzeżę poruszającej się wody. To miasto nad brzegiem wielkiego morza.

W wodzie odbijają się dwa okrągłe, ogromne księżyce.

– Dwa księżyce – mówi Jane. – A gdy się tak odbijają, są cztery!

Tak, potwierdza Steen. Jak się na to mówi w Innej Krainie?

– Na co? Na wiele księżyców?

Nie jesteśmy już w Kansas⁴, mówi Steen.

Gdzieś w oddali, tak daleko, że Jane ledwie jest to w stanie dosłyszeć, ktoś gra na jakimś dziwnym instrumencie. Brzmi to jak piccolo, albo nawet wyżej. Potem słychać gdzieś daleko śmiech.

– Jasper – odzywa się znów Jane przytłoczona księżycami, ale pocieszona tym, jak pies przytula się do jej nóg – To znaczy Steen...? Powinam wziąć cię na ręce? Chcesz zobaczyć ten widok?

Nie. Chcę tylko patrzeć na ciebie.

– Nie bądź głuptasem. Miałeś czas się na mnie napatrzeć.

Mhm. Wiesz, że kiedy przeszedłem przez kotarę do Zorsted, stałem się innym psem?

– Tak.

No cóż. Wiesz co, nieważne. To mnóstwo informacji i później o tym porozmawiamy. Tak, proszę, weź mnie na rękę, żebym mógł wyrzeć przez okno.

Jane stała dotąd z twarzą przysuniętą do szyby. Teraz spogląda nagle w dół, na Steena, zdziwiona jego nagłym unikami. W jej głowie pojawia się niemożliwa myśl. Cofa się od okna, żeby zobaczyć swoje odbicie, i spogląda w swoją twarz. Z drugiej strony jej spojrzenie odwzajemnia twarz obcej osoby.

Jane bardzo się pali, by już przedostać się przez kotarę do Tu Reviens. Jest tak zdesperowana, że staje się nieostrożna i wpada na półpiętro, nie sprawdzając, czy ktoś może to zobaczyć. I faktycznie, na jednym z mostów jest mężczyzna, ten sprzątaczkę, który przerwał im śniadanie, bo się zgubił. Myje poręczę i raz za razem wyżyma szmatkę nad wiadrem z wodą. Na szczęście jest odwrócony do niej plecami. Steen – Jasper? – wykazuje się większą ostrożnością. Czeką, póki mężczyzna całkowicie się nie odwróci, a potem wychodzi z obrazu i znów jest bassetem.

Jane opada na podłogę. Siada obok obrazu plecami do ściany i wyciąga nogi. Jasper – Steen? – obchodzi je, potem delikatnie szturcha ją nosem w udo, gestem, który z pewnością ma oznaczać zachętę, by wstała i znów weszła w obraz.

– Nie – szepcze Jane. – Zapomnij o tym. Nigdy w życiu.

Pies wsuwa jej głowę pod pachę i opiera pysk na jej kolanach. Chwilę później, najwyraźniej doszedłszy do wniosku, że to nie wystarczy, wdrapuje się na jej nogę i opiera pysk na drugim kolanie, a gdy nie zauważa żadnej poprawy, próbuje usadowić się wzdłuż jednej z jej nóg. Bassety są śmieszne. Jane zakłada nogę na nogę, by miał więcej miejsca, i Jasperowi niezgrabnie udaje się jakoś usadowić. Kładzie głowę na jej ręce i wpatruje się w nią czule. Waży chyba z tonę.

Jane czuje napływające do oczu łzy. Głaszcząc go delikatnie po krótkiej sierści na głowie. Potem po długich uszach. Jego uszy bassetów są o wiele dłuższe niż uszy zbląkańca.

Pragnie, by było mu dobrze, i wcale tego nie pragnie. Chce, żeby pies był zadowolony, ale zbląkańca już nie.

– Możemy się porozumiewać umysłem po tej stronie obrazu? – pyta szeptem.

Jasper kręci głową.

Przynajmniej tyle. Jane zamyka oczy i siedzi tak jeszcze przez długi czas.

Otoczają ją kojące dźwięki: mężczyzna wyżyma szmatkę nad wiadrem, z dołu dobiega głos Lucy i Phoebe przechodzących przez główny hol. Szum powietrza, gdy ludzie przygotowujący galę otwierają i zamykają drzwi. Jakiś czas później głos Collina, który mówi do kogoś, kto nie odpowiada, pewnie do Kirana. Jane oddycha powoli i wyobraża sobie, że jej płuca są meduzą. Że jest tak rozległa, ciężka i głęboka jak morze.

Potem nowy dźwięk: charakterystyczny odgłos migawki aparatu cyfrowego Ivy. Jane otwiera oczy i stwierdza, że Ivy znajduje się na przeciwległym półpiętrze i chyba robi zdjęcie temu sprzątaczkowi z wiadrem. Przypomina sobie – niezbyt się tym przejmując – że Ivy okłamywała ją w jakiejś sprawie, albo przynajmniej robiła uniki; że Patrick, Philip i Phoebe ubiegłej nocy zajmowali się czymś podejrzanym. Że być może w tym domu jest Grace Panzavecchia.

Ivy z zaciekawieniem obserwuje Jane ze swojego półpiętra.

– O, cześć – mówi.

Gdy Jane nie jest w stanie zapanować nad twarzą na tyle, by wyglądała sympatycznie albo przyjaźnie, Ivy robi ostrożną, niemal lekko urażoną minę. Potem, wciąż obserwując Jane, zaczyna wyglądać, jakby się martwiła.

– Hej, wszystko w porządku? – pyta, ruszając w jej stronę po moście.

Nie, myśli Jane. *Weszłam w obraz i zmieniłam się w kogoś innego.*

– Zrobisz mi zdjęcie?

Ivy przez chwilę jest zaskoczona, potem przysuwa aparat do oka i klika. Wchodzi na półpiętro Jane i kuca obok niej. Wciska kilka przycisków i podaje Jane aparat, żeby mogła obejrzeć swoje zdjęcie. Jest dobrze wykadrowane. Jasper wygląda uroczo na jej kolanach. A osoba na zdjęciu wygląda zupełnie jak Jane: ma jej rysy, jej włosy, jej ciało, jej ubranie i rozpacz na twarzy, która dokładnie oddaje to, co Jane w tej chwili czuje. *To ja. To ja. Prawda, ciociu Magnolio?*

Jane opiera się pokusie, by dotknąć twarzy i jeszcze bardziej się o tym przekonać.

– Dziękuję – mówi Jane.

– Nie ma za co. Wydajesz się... zdenerwowana. Czy coś się stało?

Czy coś się stało? W Jane wzbiera śmiech, wrywa się z niej. Ivy zaintrygowana przekrzywia głowę. Jane niczego by bardziej nie pragnęła niż tego, by jej o wszystkim opowiedzieć. Chciałaby wysłać Ivy do obrazu i jej to pokazać, o ile sama nie musiałaby tam jeszcze raz wchodzić.

– Tak – mówi Jane i przełyka. – Coś się stało. Chciałabym ci o tym opowiedzieć, ale chyba w tej chwili nie jestem w stanie. Przepraszam.

Ivy nie wydaje się tym urażona. Swobodnie kuca obok Jane, z rękoma opartymi na kolanach.

– Zabawne, że to mówisz. Ja też chciałabym ci o czymś powiedzieć.

Gdzieś bardzo blisko słychać kroki. Dobiegają od strony wschodniego skrzydła. Pani Vanders zjawia się na półpiętrze i staje jak wryta.

– To niezbyt dogodne miejsce na pogaduszki – mówi. – Zwłaszcza dzień przed galą.

– Już sobie idę – mówi Jane, choć właściwie to nie zamierza już nigdy się stąd ruszać.

Pani Vanders odchrząkuje.

– Żadna z was nie znalazła Ravięgo?

A właśnie. Jane przypomina sobie, że kiedyś, dawno temu, w czasach, gdy nie wiedziała o Zorsted, pani Vanders szukała Ravięgo w związku z jakąś sprawą, która miała coś wspólnego z obrazem Vermeera. Teraz to nie ma żadnego znaczenia.

– Widziałam go – mówi Jane. – Z miseczką owoców i tostem. Szedł na drugie piętro kogoś odwiedzić.

Pani Vanders znów chrząka. Przygląda się podejrzliwie Jane.

– Co jest z tobą nie tak, dziewczyno?

Jane przypomina sobie, że miała do niej kilka pytań o ciocię Magnolię. Była wstrząśnięta, gdy się dowiedziała, że pani Vanders znała jej ciocię. Od tego czasu próg tego, co uważa za wstrząsające, stał się znacznie wyższy. Jane otwiera usta, by zapytać o ciocię, i stwierdza, że pani Vanders, która najwyraźniej nie należy do cierpliwych, chrząknęła jeszcze raz i ruszyła w dół po schodach.

– Ivy! – woła ostro przez ramię ochmistrzyni. – Jeśli skończyłaś już robić zdjęcia, Kucharzowi przydałaby się dodatkowa para rąk do pracy. I to niejedna.

Ivy się nie rusza.

– Może porozmawiamy później – mówi do Jane.

– Chciałabym – odpowiada Jane. – I to bardzo.

– Nic ci nie będzie?

Jane drętwieje jedna noga pod ciężarem Jaspera.

– Nie – kłamie i coraz bardziej go przesuwa.

– Dobrze, że masz do towarzystwa basseta – zauważa Ivy. – Jasper jeszcze nigdy na niczym punkcie nie miał takiej obsesji. – Zaczyna wstawać.

– Podasz mi rękę? – pyta Jane.

W pierwszej chwili Ivy jest tak zaskoczona, że się waha. Potem wyciąga rękę i ujmuje dłoń Jane. Jej dłoń jest ciepła i silna. Mocno trzyma Jane.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Gdzieś w domu pani Vanders woła Ivy po imieniu.

– Przepraszam – wzdycha Ivy.

– W porządku, idź – mówi Jane.

Ivy puszcza jej dłoń i się odwraca, pozostawiając po sobie słabą woń chloru. Jane znów zamyka oczy i ciągle widzi tę niewłaściwą twarz, która spoglądała na nią z odbicia w szybie.

Jane nagle zrywa się na nogi. Jasper piszczy i próbuje znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Rzuca Jane pełne oburzenia spojrzenie.

– Przepraszam! – woła Jane, która już wbiega po schodach. – Przepraszam, Jasper! Ale pilnie potrzebuję lustra.

Tym, co tak zdenerwowało Jane w tej twarzy w oknie w Zorsted, wcale nie był fakt, że była ona jakaś okropna, brzydka. Wręcz przeciwnie. Gdyby ktoś z taką twarzą wszedł do Tu Reviens, Jane by pomyślała: *O rany, ale ta osoba ma interesującą twarz. Nawet nie będę próbowała zgadywać, z którego miejsca na ziemi pochodzą jej geny. Ale nie byłaby zaniepokojona.*

Problem polega na tym, że pod tą obcą twarzą Jane wyczuwała siebie. Patrzyła w te nieznajome oczy własnymi oczami. Jest to o wiele bardziej niepokojące, niż mogłaby się kiedykolwiek spodziewać. Jakby zupełnie obca osoba włamała się do niej i ukradła jej wnętrze.

W łazience ze złotymi kafelkami Jane staje przed lustrem z Jasperem u stóp.

W sumie nie ma się czemu przyglądać – to tylko stara znajoma Jane. *Wydaje mi się, że moja twarz to coś oczywistego*, myśli Jane i przypomina sobie, że ma kości policzkowe cioci Magnolii i jej nos. Delikatnie przesuwa po nich palcem. Czy gdyby ciocia Magnolia zobaczyła Jane z tą inną twarzą, w ogóle by ją poznała? Czy jeśli nie poznają cię ludzie, których kochasz, wciąż jesteś sobą?

Jasper przechodzi za nią do saloniku. Brązowo - złota parasolka do samoobrony, nad którą pracowała, nie wydaje jej się już interesująca. Jak miałyby się bronić przed samą sobą?

Jasper cicho stoi obok Jane pośrodku pokoju, otoczony jej parasolkami. Wydaje się zdeterminowany, by dziś nie odstępować jej na krok.

Jane się zastanawia, czy nie czuje się z tym trochę klaustrofobicznie. Czy zraniłaby jego uczucia, gdyby poprosiła o trochę czasu dla siebie?

– Jasper? – zaczyna i gdy pies z zapalem zadziera łeb, by na nią spojrzeć, dociera do niej, że wcale nie chce, żeby odszedł. Tylko on rozumie, przez co Jane przechodzi.

Jane wzdycha sfrustrowana.

– W dniu, w którym przybyłam do Tu Reviens, rozpoznałeś mnie jako swojego człowieka, choć wyglądałam tak, jak teraz – mówi. – Zgadza się?

Jasper z powagą kiwa głową.

– Czy w tej drugiej postaci też poznałeś we mnie swojego człowieka? – pyta Jane. – Kiedy już byliśmy w obrazie? Czy według ciebie wyglądałam właściwie?

Pies znów potakuje.

Przynajmniej Jasper wie, kim jest Jane.

W jej gardle wzbiera śmiech. Gdy już wybucha, Jane histerycznie śmieje się dalej, w końcu śmieje się tak bardzo, że po policzkach spływają jej łzy. Jasper obserwuje ją ze zsuniętymi łapkami i przekrzywioną ze zdziwienia głową. Jane nie mówi tego na głos, z obawy przed zranieniem jego uczuć, i ma nadzieję, że pies nie potrafi czytać jej w myślach: że pozwala na to, by jej zachwiane poczucie tożsamości opierało się na wierze psa.

– Tyle tylko – mówi Jane, ocierając łzy – że nie jesteś psem, prawda, Jasper? Jesteś zorstedzkim zbłąkańcem.

Opada na kolana. Jasper opiera głowę na jej udzie

– Jesteś moim zorstedzkim zbłąkańcem – mówi z zachwytem Jane. – Cokolwiek to oznacza. A ja jestem twoim człowiekiem.

Jasper radośnie wzdycha.

Po kilku minutach drapania go za uszami Jane wstaje i zaczyna szukać czerwonych i zielonych tkanin odpowiadających parasolce, która stoi na podłodze wewnątrz obrazu. Chce zabrać się do pracy. I czuje, że to jedyny projekt parasolki, na którym będzie w stanie się skupić.

Praca jej pomaga.

Jane przypomina sobie, że parasolka we wnętrzu obrazu ma sześć drutów zamiast standardowych ośmiu i że druty nie są wygięte, lecz proste. Jeszcze nigdy nie pracowała nad taką parasolką; będzie musiała wymyślić, jak ją zrobić. Kolor również stanowi wyzwanie. Chciałaby sięgnąć po parasolkę z obrazu, wyjąć ją, przynieść tutaj i zobaczyć, jak barwy wyglądałyby w tym świetle, ale przypuszcza, że gdyby ktoś zauważył, że z obrazu zniknęła parasolka, w domu zrobiłoby się zamieszanie. Zakładaliby całkiem racjonalnie, że to jakiś przekręt; że ktoś ukradł oryginalny obraz i w jego miejscu powiesił niezbyt przekonująco wykonany falsyfikat. Ludzie zaczęliby dotykać obrazu i do niego wpadać, przyjechałoby FBI, zrobiłoby się z tego coś w rodzaju *Z Archiwum X* i w Zorsted zaroiłoby się od zdeorientowanych uzbrojonych intruzów.

– Skąd w ogóle wziął się ten obraz? – pyta Jaspera.

Pies leży na podłodze. Słyszając to pytanie, opuszcza pysk na skrzyżowane łapki. Nie wygląda to na tak albo nie. Jane ma wrażenie, że Jasper chce jej w ten sposób powiedzieć, że nie wie.

– Czy jeszcze ktoś w domu wie, że można wejść do tego obrazu?

Jasper kręci głową.

– Czemu nie? Jak to możliwe, że jeszcze nikt tego nie odkrył?

Na te słowa Jasper podnosi łeb, ciężko wstaje i biegnie do sypialni. Jane słyszy jego skomlenie. Gdy tam zagląda, jest pod drzwiami, ogląda się na nią przez ramię i piszczy.

– Znasz odpowiedź – mówi Jane – ale nie możesz mi powiedzieć, dopóki nie będziemy w obrazie, bo dopiero tam potrafisz mówić?

Pies kiwa głową.

– Nie ma mowy – oświadcza stanowczo Jane.

Jasper przebiera przednimi łapkami, jakby ugniatał ciasto, tyle tylko, że szybciej. Jane ponuro kręci głową i wraca do pracy, bo nawet nie ma o tym mowy. Po chwili pies dołącza do niej

w saloniku.

– Jest coś jeszcze – mówi Jane. – Jesteś z Zorsted, prawda? Urodziłeś się tam? To twój dom? A ja urodziłam się tutaj?

Pies potakuje. Znów klapnął na podłogę i tym razem opiera pysk o jedną łapkę.

– Jak mogę być twoim człowiekiem, skoro nie pochodzimy nawet z tej samej strony obrazu? Jak możesz być moim zbłąkańcem, jeśli ludzie tam, skąd pochodzę, nie mają zbłąkańców?

Jasper znów skomle i spogląda na drzwi. To pytanie będzie musiało poczekać.

– Czy jeszcze ktoś wie, że rozumiesz ludzi? – pyta Jane.

Jasper kręci głową.

– A czy ktoś inny z Zorsted wie, że można przejść przez kotarę do Tu Reviens?

Jasper nieruchomieje, a potem raz uderza ogonem o podłogę.

– Wie o tym jeszcze jedna osoba w Zorsted?

Energiczne skinienie głowy.

Jane wpada na niepokojący pomysł.

– Czy ktoś w tym domu jest Zorstedczykiem? – pyta.

Jasper kręci głową. Co za ulga. Jane nie miałyby ochoty sobie wyobrażać, że ludzie wokół mogliby udawać kogoś zupełnie innego.

Wraca do roboczego stołu, tnie tkaninę, zszywa kliny, oddycha w rytm pracy swoich rąk. Po chwili dostrzega płaskorzeźby na stole: to spokojnie płynące wieloryby i rekiny. A więc to Ivy zrobiła ten stół. Jane przesuwając palcem po młodym rekinie, oddycha. Potem wraca do pracy.

Właśnie zaczyna myśleć, że pora zrobić sobie przerwę, gdy słyszy krzyki. Dobiegają z jakiejś odległej części domu, na tyle dalekiej, że dopiero po chwili się upewnia, iż to odgłosy człowieka, a nie domu.

– O co chodzi? – pyta Jaspera, przyglądając się uważnie swojej sześcioczęściowej czaszy.

Pies spogląda na nią spokojnie. Jane domyśla się, że wie, ale nie może jej powiedzieć.

– Chodzi o nas? – pyta. – Albo o coś związanego z Zorsted?

Jasper kręci głową.

– W porządku – mówi Jane. – W takim razie mnie to nie obchodzi. Ale co z tobą? Czy psy co jakiś czas nie powinny wychodzić na dwór? Chcesz rozprostować nogi?

Jasper zrywa się i biegnie do drzwi.

Gdy idą korytarzem, krzyki stają się coraz głośniejsze, najwyraźniej dobiegają ze środka domu. To głos Ravięgo.

Zanim Jane i Jasper docierają na schody, wrzaski Ravięgo stają się na tyle interesujące, że w Jane budzi się ciekawość. Schodzi poziom niżej, a potem dalej na most na pierwszym piętrze. Jasper podąża za nią.

W głównym holu poniżej Ravi ma napad wściekłości. Pani Vanders próbuje uspokoić go słowami takimi jak *właściwe władze* i *we właściwym czasie*. Zbiegli się prawie wszyscy z całego domu. Na schodach i mostach stoją pracownicy przygotowujący gałę. Lucy St. George przyciska do piersi mały drewniany postument z lustrzaną górą i wygląda, jakby było jej niedobrze. Jane wnioskuje z całego tego zamieszania, że ukradziono rzeźbę ryby. Przypomina sobie, że wczoraj późno w nocy na dziedzińcu Ravi pytał Octaviana o jakąś brakującą rzeźbę Brâncușiego.

Mniejsza z tym. Wygląda na to, że Jasper przechodzi mostem do zachodniego skrzydła domu.

– Jasper – szepcze Jane i podbiega, by go dogonić. – Czemu nie idziemy na dół? Co ty wyrabiasz? Chcesz wysikać się z balkonu na dziedzińiec?

Spojrzenie, jakie posyła jej Jasper, mogłoby wypalić dziurę do innego wymiaru. Gdy prowadzi ją do zachodniego skrzydła, Jane jest na tyle zaintrygowana, że przygotowuje się na najgorsze, na wypadek gdyby chciał znów na nią wpaść i wepchnąć ją do jakiegoś innego dzieła sztuki, do innej krainy, o której jej nie wspomniał. Pies jednak podąża dalej korytarzem. Jane idzie za nim, a potem widzi zdjęcie, które wisi mniej więcej w połowie drogi. Jest tak oszołomiona, że staje jak wryta.

To jedno z najsłynniejszych zdjęć cioci Magnolii, powiększone i oprawione w ramy. Malutka żółta rybka – to babka – wygląda z otwartego pyska jakiejś wielkiej szarej ryby z kartoflowatym nosem. Jane pamięta, jak ciocia Magnolia wróciła z tym zdjęciem z Japonii i jaka była zachwycona, że tak jej dopisało szczęście. Mała rybka błyskawicznie wpłynęła do pyska szarej ryby i po ułamku sekundy stamtąd uciekła, ale cioci Magnolii w jakiś sposób udało się to uwiecznić.

Jane nie może złapać tchu. To dlatego pani Vanders znała ciocię: pani Vanders ceni sztukę. Jane ściska w gardle na myśl, że jedno ze zdjęć cioci Magnolii wisi w domu, w którym są dzieła Rembrandta i Vermeera. Podchodzi do niego tak blisko, że niemal dotyka go nosem i widzi swoje odbicie w szkle. *Ciociu Magnolio, myślisz, nie masz pojęcia, co mogłabym ci opowiedzieć. Ale czybyś w to uwierzyła?*

Musi pamiętać, że gdy następnym razem zobaczy panią Vanders, powinna jej powiedzieć, że należy jeszcze raz oprawić to zdjęcie. Teraz, gdy przygląda mu się z bardzo bliska, widzi prostokątne wybrzuszenie pod fotografią, jakby coś było nie tak z podkładką. Praca cioci Magnolii nie powinna być tak niestarannie oprawiona.

Jasper spogląda na nią ze spokojnym pytaniem na pysku.

– Spacer? – pyta go Jane.

Pies rusza dalej korytarzem ku drzwiom na samym końcu. Jane podąża za nim.

Zaprowadził ją do windy towarowej.

– No oczywiście – mówi Jane, wciskając przycisk. – Bassetowi ciężko chodzić po schodach. Ciekawe, czemu zmieniasz się w bassetę, a nie w labradora, husky albo coś w tym stylu.

Jasper – który oczywiście nie jest w stanie odpowiedzieć – wchodzi do windy. W głębi kabiny są drugie drzwi. Gdy zjeżdżają na parter, oboje drzwi się otwierają, za jednym jest wnętrze domu, za drugim słońce, cienie i podmuchy wiatru. Jasper wybiega na słońce.

Jane osłania oczy przed intensywnym światłem. Wzdryga się, słysząc huk fal roztrzaskujących się o skały daleko w dole; prawie zapomniała, gdzie znajduje się ten dom. Podąża za psem przez jakieś kolczaste zapuszczone krzaki i wychodzi na teren porośnięty trawą.

Jasper wydaje się zbyt onieśmielony, by się wysikać. Za każdym razem, gdy Jane zerka na niego, opuszcza nogę i wbiega za jakiś krzak albo kępę trawy, by spróbować jeszcze raz tam, gdzie nie będzie go widać. W końcu dobiega do północno-zachodniego rogu domu, przystaje, spogląda na nią z poirytowaniem, po czym znika za rogiem. Jane przypuszcza, że teraz, gdy ich relacje uległy zmianie, ona też wolałaby przy nim nie załatwiać swoich spraw. Taktownie stoi i czeka, póki Jasper po nią nie wraca. Posyła jej spojrzenie, z którego nie da się nic wyczytać, i swobodnym krokiem, wysoko unosząc łapy, zawraca w stronę podwórza.

Pani Vanders kłęczy w ogrodzie i pełnymi gracji ruchami kopie łopatką w ziemi. Teren przy samym domu jest oznaczony wielkimi dołkami, Jane zaskakuje fakt, że Jasper całkiem nie znika w jednym z nich. Pies kieruje się w stronę kępy sosny. Jane rusza za nim, przecinając trawnik.

Gdy są już między drzewami, Jasper prowadzi ją ku stromej pochyłości. Jane ślizga się na kamieniach i starych liściach, klnąc pod nosem, że czworonożne stworzenia mają w takich sytuacjach przewagę. Gdy wreszcie znajduje się na twardym gruncie, stwierdza, że pies zaprowadził ją do małej zatoczki w kształcie półksiężyca, pokrytej gładkim, ciemnym piaskiem. Z wody wystaje przekrzywiony drewniany palik. Jane się zastanawia, czy czasem cumują tu małe łodzie, takie jak ta, którą Ivy zbudowała z bratem.

Wieje mocny, chłodny wiatr, Jane drży z zimna. Widząc to, Jasper podbiega do wystającego kamienia i zarośli zapewniających osłonę przed wiatrem. Kładzie się i piszczy, by do niego dołączyła.

Coś w tym wietrze, wodzie, piasku i dobroci Jaspiera sprawia, że Jane przyciąga go do siebie i drapie po szyi. Jasper, jak klasyczny, uszczęśliwiony pies, wywala język. To bardzo dziwne u kogoś, z kim przez cały dzień prowadziła inteligentne rozmowy. Ale też niesamowicie słodkie.

Jane wypowiada na głos jedno z pytań, które nie dają jej spokoju.

– Skąd wiesz, że jestem z tego świata, Jasper? Skąd wiesz, że nie pochodzę z twojego?

Pies w zamyśleniu przekrzywia głowę.

– Nie potrafisz powiedzieć? – pyta Jane.

Skinienie. Potem Jasper unosi nos, węszy i cicho, melodyjnie wyje w niebo.

Przez długi czas siedzą razem, patrząc na morze.

Później, gdy wracają przez trawnik do domu, Jane widzi, że pani Vanders dołączyła do męża. Klęczy obok niego i z ponurą miną szepcze mu coś do ucha. Pan Vanders kiwa głową, marszczy brwi i kicha. Wiatr niesie w stronę Jane strzępki ich rozmowy.

– Ze wszystkich dni, które [dalej niezrozumiałe]... Wiesz, że teraz nie mogę mu na to zwrócić uwagi, bo [dalej niezrozumiałe]... Mam ochotę skrócić kark temu, kto się ośmielił [dalej niezrozumiałe].

Jane nie ma pojęcia, o co chodzi. O rzeźbę Brâncușiego? O Philipa z bronią? O Grace Panzavecchię? Ale biorąc pod uwagę, że to ona mogła być tą, która się ośmieliła, nieufnie się do nich zbliża.

– To ty – pani Vanders przestaje coś mrużyć i spogląda na Jane.

– Tak – mówi Jane. – Dzień dobry. I jak tam?

– Ha! – prychna pani Vanders. – Cudownie. Bajecznie. Po prostu wspaniale!

– Aha – mówi z powątpiewaniem Jane.

– Mąż mi mówił, że masz do mnie pytanie.

– Tak? – Jane jest zdezorietowana. – A właśnie. Ten obraz na pierwszym piętrze, ten wysoki, z parasolką, skąd się wziął?

– Skąd się wziął obraz z parasolką? – pyta z niedowierzaniem pani Vanders. – O to chciałaś mnie zapytać? Namalował go ponad sto lat temu Horst Mallow, przyjaciel pierwszego Octaviana Thrasha. Straszny dziwak z przeciętnymi zdolnościami. Octavian poprosił go o namalowanie podwodnych zwierząt szukających schronienia wśród ukwiałów, a Mallow zamiast tego namalował parasolkę w jakimś pokoju. A potem zniknął. Rozpłynął się! Wyparował!

– Dziewięć liter – mówi ze znużeniem Jane. – I z „ł”.

– Co?

– Mniejsza z tym.

– Tylko o to chciałaś mnie zapytać? – dziwi się pani Vanders. – Myślałam, że interesuje cię twoja ciocia!

– A właśnie – przypomina sobie Jane. – Naturalnie. Znała ją pani?

Pani Vanders przyszpila Jane tym spojrzeniem, z którego nic nie da się wyczytać.

– Czy przed tym dniem zdawałaś sobie sprawę, że znałam twoją ciocię?

– Nie, ale właśnie widziałam jej zdjęcie na ścianie w domu.

– Wiedziałaś, że czasami przyjeżdżała tutaj na gale? – pyta pani Vanders.

Jane mruga.

– Kiedy to było? Kto ją zapraszał? I dlaczego?

– Przyjeżdżała tu na gale – odpowiada pani Vanders – a potem wyruszała stąd na swoje wyprawy.

– Nie, to niemożliwe. Zawsze informowała mnie o swoim planie podróży. Nigdy nie wspominała o jakichś galach na wyspie.

– Na pewno miała swoje powody – stwierdza pani Vanders.

– Powiedziałyby mi o tym – zapewnia z przekonaniem Jane. Splendor pięknej balowej sukni w takim domu jak ten i wyobrażanie sobie, że ciocia Magnolia bierze udział w tego typu imprezie, zachwyciłyby

Jane i byłyby dla niej pocieszeniem, zwłaszcza kiedy ciocia wyjeżdżała. I Jane jest przekonana, że ciocia Magnolia opowiedziałyby jej o wizycie w tak dziwnym domu, jak Tu Reviens.

Choć w sumie, ciocia Magnolia właściwie powiedziała jej o Tu Reviens. Kazała jej obiecać, że jeśli Jane zostanie tu zaproszona, nigdy, przenigdy tego zaproszenia nie odrzuci.

– Opowiem ci więcej o twojej cioci po gali – mówi burkliwie pani Vanders, po czym bierze łoapatkę i zaczyna dziabnąć nią ziemię.

– Wolalabym to usłyszeć teraz – odpowiada Jane.

Pani Vanders ją ignoruje, nawet nie podnosi głowy. W oczywisty sposób ją spławia. Jasper tymczasem rusza dalej, wysoko unosi łapki w trawie i ogląda się przez ramię na Jane.

Niech będzie, myśli Jane. Zajmę się robieniem parasolek. To naprawdę nic nie szkodzi. I tak mam dość do myślenia o Zorsted.

Wczesnym wieczorem, gdy Jane szykuje się do snu, Jasper wydaje się trochę bardziej okłapnięty niż zwykle. Jane próbuje się skupić na zapinaniu guzików piżamy z *Doktorem Who*, zamiast na jego rozczarowaniu. Ma ochotę mu powiedzieć: *teraz i tak nie ma sensu przechodzić przez obraz, bo w Zorsted jest noc*. Nie potrafi się jednak nawet zmusić, by spytać go, czy to prawda.

Czy to możliwe, że spędziła cały dzień, dyskutując na skomplikowane tematy z bassetem, który rozumie angielski?

Co się wydaje bardziej prawdopodobne? Psychoza z halucynacjami czy Zorsted we wnętrzu obrazu?

Ktoś, kto ma urojenia, powinien się wysypiać, chce mu powiedzieć

Jane, ale tego nie robi, bo sam fakt, że wyszukuje wymówki, jest dowodem na to, że ma halucynacje.

Dom budzi ją ze snu, w którym pani Vanders próbuje bezpiecznie ukryć dzieci w pysku ogromnej wyrzeźbionej ryby, ale nic z tego nie wychodzi, bo pani Vanders nie wie, gdzie ryba ma ogon, a gdzie głowę.

Zegar przy łóżku wskazuje 05:08. Dom coś krzyczy, tyle tylko że domy nie krzyczą, więc to też musiało jej się przyśnić. Tak czy inaczej, teraz jest rozbudzona. Wstaje i wlecze się do

saloniku, a tam półprytmna wygląda przez okno.

Jasper dołącza do niej i opiera się o jej nogę. Jest przed świtem, a po trawniku idą jakieś dwie postaci, kierując się do lasu. Widać księżyc. Pojedynczy. W świecie Jane jest tylko jeden księżyc.

Ciocia Magnolia kazała jej obiecać, że jeśli Jane dostanie zaproszenie, przyjedzie tutaj. Nieustraszona ciocia Magnolia, która zawsze podróżowała w nowe miejsca, opuszczała się do wody i badała nieznanne światy.

Ciociu Magnolio? Boję się.

Ale nie chcę sprawić ci zawodu.

– Jasper? – mówi Jane. – Steen?

Gdy pies podnosi głowę, by na nią spojrzeć, w jego pełnych zapału oczach lśnią maleńkie księżycy.

– Czy po Zorsted można chodzić w piżamie z *Doktorem Who*?

Gdy Jasper i Jane wchodzi do obrazu, w jakiejś odległej części domu ktoś słucha muzyki Beatlesów. Gdy Jane wsłuchuje się dokładnie, słyszy odległe surrealistyczne dźwięki *You've Got to Hide Your Love Away*.

Wciąż ma na sobie piżamę z *Doktorem Who*, bo Jasper uważa, że jej inne ubrania tak samo rzucają się w oczy. W domu księżnej prowadzi ją do pobliskiego pokoju z szafą, która zawiera wiele ciemnych prostych ubrań w najróżniejszych rozmiarach.

Jej zorstedzkie ciało jest inaczej ukształtowane niż to w prawdziwym świecie. Piżama dziwnie na niej leży, mocniej opina się na ramionach i ma zbyt długie nogawki. Im bardziej Jane się nad tym zastanawia, tym bardziej czuje, że jej dłonie są wielkie i opuchnięte, a jej zorstedzkie nogi wydają się... sprężyste. Jakby w tym ciele mogła wyżej skakać.

– Jakie ubranie powinnam wybrać? – pyta szeptem, próbując się nad tym nie zastanawiać. Wtedy zauważa, że tembr jej głosu też się trochę zmienił.

Jakie chcesz, odpowiada Steen. Choć najmniej zwracałabyś na siebie uwagę w tunice, luźnych spodniach i płaszczu. Zaczyna się jesień i wciąż jest ciemno. W Zorsted klimat jest chłodniejszy niż ten, do którego przywykłaś. Słońce wszędzie za kilka... – w tym miejscu wypowiada jakieś dziwne słowo – ale możemy pospacerować nad morzem, gdzie wieje wiatr. Wybierz jakieś solidne buty i rozważ zabranie chusty na głowę. Steen stara się zapanować nad swoją radością, ale niemal tańczy wokół niej i stuka pazurami o płytki podłogi, gdy podekscytowany biega w tę i z powrotem.

– Steen – mówi Jane – przez ciebie kręci mi się w głowie.

Przepraszam!, odpowiada Steen i się zatrzymuje, ale dalej podskakuje w miejscu. *Przepraszam!*

Gdy Jane naciąga spodnie, okazują się wygodne i ciepłe.

– Rozumiem to słowo, które wypowiedziałaś, mówiąc o wschodzie słońca – zauważa i powtarza je na głos. – To jednostka czasu bardziej zbliżona do minut niż do godzin. Ale nigdy dotąd tego słowa nie słyszałam.

W Zorsted mówimy innym językiem, odpowiada Steen. Nasze dni i noce są dłuższe, a czas mierzymy w innych jednostkach.

Jane przestaje obmacywać tunikę.

– Steen! Jak mogę kiedykolwiek uchodzić za Zorstedkę, jeśli nie znam języka?

Teraz się nim posługujesz.

– Co takiego?

Posługujesz się nim doskonale. Robisz to od chwili, gdy pierwszy raz przeszłaś przez obraz.

Ta informacja przyprawia ją o zawrót głowy. *Buty*, myśli Jane, by skupić się na czymś konkretnym. *Najpierw przymierzę buty*. Gdy to robi, powtarza w myślach słowa, które wypowiedziała na głos. To nie są angielskie słowa. I nie myśli też po angielsku. To wysokie, solidne obuwie, to nie buty. Nagle angielski jest jedynym angielskim słowem, jakie jest w stanie sobie przypomnieć.

Z czasem, zapewnia ją łagodnie Steen, będziesz miała dostęp do obu języków w obu miejscach. Do tej chwili zawsze będziesz mogła korzystać z tego, którego potrzebujesz. Tak było ze mną. Przypuszczam, że będziesz nawet umiała czytać nasze litery.

– Ale jak mogę znać język, którego nigdy się nie uczyłam?

Nie wiem, odpowiada Steen. To jedna z zagadek.

Ubrana w zorstedzki strój Jane kuca na podłodze w słabo oświetlonym pokoju i mocno obejmuje kolana rękoma. W drugim kącie pomieszczenia wisi szerokie, wysokie lustro. Oświetlenie jest na tyle mocne, by widziała swoje wydatne kości policzkowe i spiczasty podbródek twarzy, która wydaje jej się zdradą.

Steen opiera łapę na jej kolanie i liże Jane po tej dziwnej twarzy. To ją wyrывa z zamyślenia.

– Uch! – mówi, ocierając jego ślinę. – Powinieneś wiedzieć, że nie jestem fanką lizania przez zorstedzkie zbląkańce.

Chodźmy, mówi Steen. Wschodzi słońce.

Rezydencja księżnej jest rozległa, z mnóstwem różnych schodów. Łapy zbląkańca są o wiele dłuższe niż basseta, więc z łatwością po nich zbiega.

Gdy Jane dociera chyba do siódmych schodów prowadzących w dół, z jej ust wyrывa się zorstedzkie przekleństwo.

– Ile pięter ma rezydencja księżnej? – pyta.

Piętnaście, odpowiada Steen. Zorstedzczy budują wysokie domy.

– Wysokie i eleganckie – zauważa Jane, bo schody i korytarze, którymi się poruszają, są proste i pełne wdzięku, wykonane z białego kamienia, który nie lśni jak wypolerowany marmur, lecz łagodnie odbija światło niczym wnętrze muszelki. – Czy te ściany są... magiczne?

Chyba to zależy od tego, co rozumiesz przez magię. Rezydencja reaguje na słońce i częściowo sama się oświetla, ale podobnie jest ze wszystkimi kamiennymi budynkami w Zorsted.

Przez szklane okna na klatce schodowej Jane dostrzega różowiejące niebo i refleksy srebrzystego morza. Gdzieś w oddali zaczyna dźwięcznie bić dzwon, ten który ogłasza wschód słońca.

– Skąd wiesz, że nie jestem stąd? – pyta jeszcze raz Jane. – Skąd wiesz, że nie jestem Zorstedtką?

Po prostu wiem, odpowiada Steen, drepcząc obok niej. Tak samo jak wiedziałem, że jesteś moim człowiekiem.

– Ale skąd to wiedziałeś?

Poznałem twoją duszę.

– Och, proszę cię!

Tak było!, zapewnia Steen. Widzę twoją duszę! Ale nie jesteś stąd. Jesteś z Innej Krainy.

– W takim razie, dlaczego jestem twoim człowiekiem?

Nie wiem. Wiele zorstedzkich zbląkańców nigdy nie znajduje swojego człowieka. Może dlatego, że ich człowiek jest w Innej Krainie.

– Możesz się porozumiewać z innymi ludźmi oprócz mnie?

Nie. Tylko z tobą, bo jesteś moim człowiekiem. Ale mogę się porozumiewać z innymi zbłąkańcami.

– Dlaczego nikt inny w Tu Reviens nie odkrył, że można wejść w ten obraz? Przez sto ileś lat ktoś przecież musiał – Jane wykonuje niejasny gest – przypadkiem trącić go łokciem albo coś w tym stylu.

Nie każdy może się przedostać na drugą stronę, mówi Steen.

Jane niemal się potyka.

– Naprawdę?!

Widziałem, jak pani Vanders raz go dotykała, wyjaśnia Steen. I nic. Colin Mack też go obmacywał.

– Naprawdę?

Colin dotyka wszystkich obrazów, mówi Steen z zadowoloną miną. Mógłbym ci wiele opowiedzieć o tym domu.

– Ale dlaczego ja, a oni nie?

Nie jestem pewien, odpowiada Steen, ale mam kilka teorii. Zastanawiałem się, czy może obraz jest otwarty tylko dla poszukujących.

– Dla poszukujących? – powtarza Jane, zastanawiając się, czego szuka.

Albo może dla artystów.

– Naprawdę? Dla artystów?!

Widziałem też, jak Zorstedczycy dotykali kotary po tej stronie i stwierdzali, że jest jak każda inna kotara. Ale nigdy nie robił tego ktoś, o kim bym wiedział, że jest artystą lub poszukującym.

– A ty jesteś artystą lub poszukującym, Steen?

Jestem zbłąkańcem, odpowiada po prostu.

– Czy wszystkie zbłąkańce mogą się tamtędy przedostawać?

Nie wiem. Żadnemu o tym nie mówiłem. Tu Reviens to mój dom, mówi z zaborczością, która Jane wydaje się wzruszająco psia, ale też dość ludzka.

– I nikt w Tu Reviens nigdy nie zauważył zmian na obrazie? – pyta Jane. – Tak jak wtedy, gdy od strony Zorsted widzieliśmy Ivy na kotarze? Żaden Zorstedczyk nigdy nie przyjdzie szukać swojej czerwono-zielonej parasolki?

Obraz przedstawia nieużywany kąt w słabo oświetlonym pokoju. Jak wiesz, z tej części rezydencji księżnej korzysta jej siatka szpiegowska. Parasolkę położono w tym kącie wieki temu, by była znakiem dla zorstedzkich szpiegów, że trafili we właściwe miejsce. Nie ruszono jej od ponad stu lat.

– Hmm – mruczy Jane. – Poza tym, gdyby obraz na chwilę się zmienił, a potem wrócił do normy, każdy by pomyślał, że po prostu coś mu się przywidziało. Nie wierzyłby własnym oczom.

Tak. A jeśli chodzi o zmiany na kotarze po zorstedzkiej stronie, dodaje Steen, to również jest słabo oświetlony pokój. A ponadto kotary ze zmieniającą się sceną nie uznanoby w Zorsted za coś specjalnie niezwykłego.

– Rozumiem – mówi Jane.

W końcu zeszli na dół i teraz idą długim korytarzem z szeregiem drzwi. Steen prowadzi ją do drewnianych drzwi, które wydają się większe i solidniejsze od pozostałych.

– Kto zrobił zorstedzką kotarę? – pyta Jane.

Artysta, który nazywał się Morstlow, wyjaśnia Steen. I o ile pani Vanders się nie myli,

wygląda na to, że zrobił to mniej więcej w czasie, gdy wasz Horst Mallow namalował obraz.

Na ścianie przy drzwiach migocze lampa. Żółte światło tańczy na sierści Steena.

– Czy ten Morstlow też miał reputację ekscentryka? Tak jak Horst Mallow? Strasznie podobnie się nazywali.

Zorstedzkie podejście do... ludzi, którzy wszystko postrzegają inaczej, nie jest takie samo, jak w Innej Krainie. Nie wydaje mi się, żeby Morstlow miał jakąś szczególną reputację.

– Czy to on jest tą jedyną osobą, o której mi mówiłeś? Jedyńym Zorstedczykiem, który wie o przejściu do Tu Reviens?

Nie, odpowiada Steen. Morstlow od dawna nie żyje. Nie mam pojęcia, ile wiedział.

– To kto jest tą osobą? Księżna?

Nie księżna.

– W takim razie kto?

Steen wyciąga szyję, by spojrzeć w oczy Jane. Jane czuje, jak zaczyna formułować słowa, muskać nimi jej umysł, a potem je wycofuje. To dziwne łaskotanie, jakby miała w głowie piórko. Dociera do niej, że wynika to z jego niezdecydowania.

Steen odwraca wzrok i kieruje się do drzwi. Te drzwi prowadzą na zewnątrz, mówi jej: *Nie bój się, wyglądasz jak wszyscy tutaj. Jesteś gotowa?*

To specyficzne uczucie być na nogach o świcie. Jako jedną z pierwszych rzeczy Jane dostrzega, że o świcie Zorsted zaskakująco przypomina inne miejsca. Ludzie nie porozumiewają się słowami, lecz spojrzeniami. Otwierają drzwi sklepów, prowadzą buntujące się konie albo po prostu stoją w oknach, spoglądają życzliwie w twarz Jane i milczą.

Jane próbuje się nie gapić. Trzyma się blisko Steena, który truchta przy niej z wysoko uniesioną głową.

Wysokie budynki o stromych dachach są drewniane i kryte gontem, ulice brukowane. Bez względu na to, dokąd prowadzi ją Steen, Jane zawsze widzi kilka kamiennych wież, różowawych na tle szaro-różowego nieba; i zawsze między budynkami prześwituje morze.

Ten wspaniały róż powoli blaknie i Jane dostrzega prawdziwą barwę wież: są białe, szare i brązowe. Lekko lśnią.

– Czy drewniane domy też reagują na słońce i się żarzą?

W pewnym stopniu, odpowiada Steen, ale nie tak jak kamień. Kamień jest starszy. Zawiera więcej mocy.

– Czy wszystko, co jest zrobione z kamienia, wytwarza tutaj światło? Chciałbyś, żeby tak było z kamiennym krzesłem albo miską, albo z grobowcem?

W Zorsted zmarli są chowani w morzu, nie w grobach, wyjaśnia Steen. Ale bez względu na to, kamień posiada inteligencję. Ogólnie rzecz biorąc, nie będzie oświetlał pustego pokoju i wie, do czego jest używany. Jeśli wykona się z niego przedmiot, który nie powinien lśnić, będzie o tym wiedział.

– Jak to? Skąd może o tym wiedzieć?

Świat jest tutaj świadomy.

– Kamień też?

Wszystko, Janie, mówi po prostu Steen. Kamień, ziemia, chmury.

– Chmury?

Nie jest to jakaś skrajna świadomość. Zresztą może świadomość to zbyt mocne słowo.

Jane się nad tym zastanawia.

– Ale... jeśli kamień posiada świadomość, to czy mądrze jest go przecinać? Na przykład robić z niego cegły?

Mądry budowniczy jest ostrożny, mówi Steen. I pełen szacunku.

– Albo?

Albo kamień będzie nieszczęśliwy. A wtedy budynek jest nieszczęśliwy i wszyscy to czują.

– I co się wtedy dzieje?

Nic się nie dzieje, odpowiada Steen. To wszystko.

– I taki budynek nic nie robi? Nie zrzuca kamieni na ludzi czy coś takiego?

Nie!, stwierdza Steen. To w ogóle nie tak. Już prędzej, jeśli wejdiesz do takiego budynku, poczujesz się przygnębiona. I to może być kiepskie dla interesów. Może w końcu właściciele zdecydują się na remont, żeby kamień był bardziej zadowolony.

– A skąd będą wiedzieć, co się spodoba kamieniowi?

Niektórzy ludzie są wrażliwi na takie rzeczy. Ale naprawdę, Jane, to rzadko się zdarza. I nie jest takie dziwne, jak to może brzmieć.

– Chyba sam nie zdajesz sobie sprawy, jak dziwnie to brzmi – mówi Jane.

Na ulicach jest teraz więcej ludzi i niektórzy mają kolorowe stroje, fioletowe, czerwone, złote. Jane widzi ciemnoskórych i jasnoskórych. Ogląda grzbiet dłoni. Już zauważyła, że jej skóra ma tutaj mniej więcej ten sam odcień, co w domu.

Steen to dostrzega.

Zorsted to międzynarodowe centrum, wyjaśnia jej. Zorstedczycy pochodzą zewsząd, również z morza.

– Z morza? – powtarza z niepokojem Jane. – Jak duże jest Zorsted?

Zorsted to mała wyspa. To tylko jeden z wielu narodów na tej ziemi, a cała planeta jest mniej więcej taka, jak wasza.

Jane czuje się tym przytłoczona. Tu Reviens jest przejściem na inną planetę? Planetę świadomych skał, drzew i chmur?

– Co jest z wami nie tak, że nie odkryliście elektryczności? – pyta, bo stres budzi w niej sprzeciw. – Macie tutaj ciemne wieki? Będę musiała sikać do rynsztoka?

Steen skomle urażony i Jane robi się wstyd.

– Przepraszam, Steen – mówi. – To po prostu tyle wrażeń.

Steen się prostuje, wydaje się całkiem wysoki (jak na zbląkańca).

Mamy instalacje wodno-kanalizacyjne, toalety i infrastrukturę, mówi z godnością. I błyskotliwą, sprawiedliwą księżną. Poczyniliśmy postępy w nauce i medycynie, które zadziwiłyby szarlatanów z Innej Krainy. Mamy technologie, które nie niszczą naszego środowiska. Gdybyś nasikała do rynsztoka, pewnie aresztowaliby cię za pijaństwo w miejscu publicznym i obrazę moralności.

– Pewnie tak – przyznaje ze skruchą Jane.

Steen idzie teraz obok niej tak sztywno, że w głowie czuje się odtrącona. Nie, nie w głowie, w sercu. Wie, jak bardzo zraniła jego uczucia.

– Steen – mówi łagodnie. – Gdyby nas aresztowano, przemówiłbyś w mojej obronie? Czy zbląkańce w ogóle zeznają w sądach?

A czemu miałyby nie zeznawać?, odpowiada urażony. Każdy sąd zatrudnia bezstronnego człowieka obserwatora, który ma zbląkańca, by pomagał w tłumaczeniu zbląkańców zeznających jako świadkowie. To całkowicie cywilizowane rozwiązanie.

– Czy zbląkańce też mogą zostać aresztowane za przestępstwo?

Oczywiście. Mamy wolną wolę. A co, myślałaś, że jesteśmy zwierzakami domowymi?

– Macie jakąś pracę?

Większość z nas woli pracować ze swoim człowiekiem, ale możemy robić, co chcemy.

Jane obserwuje jego sztywny, ostrożny chód. Kilka innych osób na ulicy też ma kroczące obok nich zbląkańce, ale zdecydowana większość ich nie posiada. Jane przychodzi do głowy, że zorstedzkie zbląkańce mogą faktycznie sikać do rynsztoka. Wzdycha. Więź z psem posługującym się telepatią to ciężka sprawa.

– Steen – mówi. – Przepraszam.

Zostaje zignorowana.

Widziała kilka osób, które głaszały swoje zbląkańce, więc takie zachowanie musi być do przyjęcia w miejscach publicznych.

– Poczekaj – prosi. Przystaje i kuca obok Steena. Ten miazdzy ją spojrzeniem.

Jane dotyka miękkiej, jedwabistej sierści na jego pysku.

– Przepraszam – mówi. – Wybacz mi. Prawda jest taka, że jeszcze nigdy w życiu się tak nie bałam. Zapłakałabym się, gdyby nie było cię przy mnie, żeby się mną opiekować.

Steen wpatruje się w swoje łapy. Potem łagodnieje.

Pamiętam, jak pierwszy raz przeszedłem przez kotarę, mówi.

– Do tak wielu rzeczy trzeba się przyzwyczaić – odpowiada Jane.

Jestem taki szczęśliwy. Tak długo cię szukałem. Bez względu na to, co się stanie, jesteś moim człowiekiem.

– Bez względu na to, co się stanie? – powtarza ostrożnie Jane. – A co się ma stać?

Nie wiem, odpowiada za szybko Steen.

Jane jeszcze przez kilka minut klęczy i głaszcze go po sierści, zastanawiając się nad różnymi sprawami.

Zauważyła, że wszyscy ludzie tutaj mają takie same kanciaste twarze o spiczastych podbródkach, jak ona w swoim obecnym kształcie. Pojedynczo żadna osoba tutaj by jej nie zaniepokoiła. Jednak wszyscy razem, jako tłum wypełniający ulicę, są dowodem na to, że znalazła się bardzo daleko od domu.

Steen prowadził ją biegnącymi w dół ulicami, zawracającymi i łączącymi się ze sobą, co utrudniało jej orientację. Jane wie jednak, że jest w pewnej odległości od wysokiej rezydencji księżnej i że znajduje się niżej. W powietrzu, którym oddycha, jest coś słonawego.

– Kto jest jedyną osobą w Zorsted, która wie o obrazie w Tu Reviens? – pyta Jane.

Steen nagle przygląda się swoim przednim łapom. Unosi jedną i gapi się na nią.

Właśnie cię do niej prowadzę.

– Ach tak? Miło będzie porozmawiać z kimś, kto to zrozumie.

Steen zerka na jej twarz, potem znów wpatruje się w swoją łapę. *Zwierzęta różnią się tutaj od tych w innej krainie, mówi. Mamy tu morskie istoty, które nie żyją w morzach twojego świata.*

– Czy osoba, która wie o tym obrazie, to jakieś morskie stworzenie?

Nie, odpowiada Steen. To człowiek, który pomaga dbać o nasze morskie istoty. Nasze morskie istoty chorują, dodaje. Prowadzę cię nad morze. Tam zwykle można ją zastać.

– W porządku – mówi Jane. – No to chodźmy już, dobrze?

Dopiero gdy znów ruszają drogą bardzo blisko morza, zaczyna rozumieć. To przecucie tak subtelne, że niemal go nie czuje. W jej sercu próbuje się rozpaść mały płomyk. Nadzieja. Z nagłym przerażeniem zerka na Steena, który nie odwzajemnia spojrzenia.

Na końcu przystani, u podnóża schodów zwisających nad rozbijającymi się falami siedzi

kobieta w fioletowym płaszczu i macha nogami nad wodą. Gdy buty Jane stukają o nabrzeże, kobieta odwraca się w stronę, skąd dochodzi ten dźwięk. Jane nigdy jeszcze nie widziała tej zaciekawionej twarzy, nie widziała takiego układu oczu, nosa i ust, ale oczywiście tego się spodziewała.

Kobieta uśmiecha się miło do Jane i Steena.

– Dzień dobry – mówi po zorstedzku głosem, którego Jane nie zna. Potem skupia się na Steenie. – Witaj, przyjacielu – zwraca się do niego serdecznie. – Nie mów mi, że wreszcie znalazłeś swojego człowieka. Hej ho! To dla zbląkańca ten marsz!

Niedowierzenie powala Jane na kolana. Po jej policzkach płyną łzy. Kobieta wstaje i podchodzi do niej, zasmucona jej bólem. Ma rozpięty płaszcz, srebrno-złota podszewka migoce w świetle.

– Co się stało? – pyta. – Mogę ci pomóc?

– Ciociu Magnolio – mówi Jane. – Ciociu Magnolio. Ciociu Magnolio.

Gdy już przestają płakać i się przytulać, Jane jest w stanie wydusić z siebie tylko dwa słowa. Jedno z nich to „jak”, a drugie „dlaczego”.

– Kiedyś uczestniczyłam czasem w galach w Tu Reviens – mówi cicho ciocia Magnolia.

Siedzą we troje na nabrzeżu, z Jane pośrodku. Ręka cioci Magnolii na ramieniu Jane drży, a ciepło Steena przywraca ją do normalności. Jane jest tym wszystkim zbyt przytłoczona, by doceniać ironię tej sytuacji.

– Wiedziałam, że zbliża się dzień, kiedy będę musiała zaplanować ucieczkę – mówi ciocia Magnolia.

– Przed czym? – pyta ochryple Jane. – Dlaczego musiałaś uciekać? I czemu uczestniczyłaś w galach? Dlaczego mi nigdy o tym nie powiedziałaś? Jakiś człowiek zadzwonił do mnie z Antarktydy i powiedział, że nie żyjesz.

Ciocia Magnolia mocniej ściska ramię Jane.

– Pewnego razu, bardzo późno w nocy, kiedy gala się już kończyła, szłam na drugie piętro, gdy jakiś pijany gość mnie potrącił i moja ręka przeleciała przez ten obraz. Przeleciała przez niego i ani trochę go nie uszkodziła. Udało mi się nie krzyknąć. Ale wiedziałam, że sobie tego nie wyobraziłam, i byłam wstrząśnięta. Tamtej nocy wymyśliłam wymówkę, by później wyjechać. To była wyprawa nad Morze Czarne, pamiętasz ją?

– Ostatnia przed wyprawą na Antarktydę – mówi słabym głosem Jane.

– Tak – potwierdza ciocia Magnolia. – Znalazłam pokój kogoś, o kim wiedziałam, że spędza tę noc z Ravim Thrashem. Ukryłam się tam. Gdy wszyscy goście sobie poszli, a domownicy układali się do snu, wróciłam to sprawdzić. Dotknęłam obrazu i mój palec się w niego zapadł. Sięgnęłam głębiej i przeleciałam na drugą stronę.

– Widziałem, jak to robi – wtrąca Steen. – Byłem piętro wyżej. Śledziłem ją i obserwowałem, jak bada teren. Nie spuszczałem jej z oka, ale nie wiedziała, że jestem bassetem z Tu Reviens.

– Zbadałam teren – mówi ciocia Magnolia – i cóż, znalazłam to, co ty. Świat, do którego prawdopodobnie nikt się za mną nie uda, a nawet gdyby to zrobił, i tak mnie tu nie rozpozna.

– Ale dlaczego potrzebowałaś świata, do którego nikt by się za tobą nie udał?

Ciocia Magnolia milczy. Jane zwraca uwagę, że robi to za każdym razem, gdy zadaje jej jakieś pytanie. Zupełnie jakby takie milczenie liczyło się za odpowiedź, choć wcale tak nie jest. Ciocia Magnolia, którą

Jane pamięta, nigdy nie wahała się odpowiadać na jej pytania.

– Wróciłam do Tu Reviens i dołączyłam do kolegów wybierających się nad Morze Czarne – ciągnie ciocia Magnolia. – Po powrocie z tamtej wyprawy poprosiłam cię, byś ze mną usiadła, i kazałam ci obiecać, że przyjedziesz do Tu Reviens. Potem, gdy następnym razem brałam udział w gali, poprosiłam panią Vanders, by przekazała ci szczególną wiadomość. Zrobiła to?

– Co? – pyta Jane. – Nie! Nie dostałam żadnej wiadomości!

– Poprosiłam panią Vanders, żeby ci przekazała słowa: „Sięgnij po parasolkę” – mówi ciocia Magnolia. – A potem, gdy nikt nie patrzył, przeszłam do Zorsted z zamiarem, że tu zostanę i na ciebie zaczekam.

Nie miała zbląkańca, który by jej wszystko wyjaśnił, mówi Steen. Była zupełnie sama.

– Jak możesz mówić, że kazałaś mi obiecać, że przyjadę do Tu Reviens? Wcale tak nie zrobiłaś. Kazałaś mi tylko obiecać, że nigdy nie odrzucę zaproszenia.

– Pani Vanders mi obiecała, że jeśli cokolwiek mi się stanie, zaprosi cię. Zrobiła to?

– Nie! Kiran mnie zaprosiła. A ty zginęłaś! Dlaczego miałabym cię szukać, skoro zginęłaś? I jak mogłaś pomyśleć, że wiadomość „Sięgnij po parasolkę” podsunie mi pomysł, żeby wskoczyć do obrazu. I nawet gdybym to zrobiła, jak miałabym cię znaleźć w obcym mieście?

Jane strąca z ramienia rękę cioci Magnolii. Coś tu jest nie tak. Ta historia nie ma żadnego sensu i nikt nie chce jej powiedzieć dlaczego. Czemu ciocia Magnolia w ogóle musiała odejść?

Gdy Magnolia kładzie ręce na kolanach, splata je i się w nie wpatruje, Jane również im się przygląda. To nie są dłonie, które zapamiętała. Są większe, paznokcie zaś bardziej tępo zakończone. Tęczówki tej kobiety są przejrzyste, bez skazy; ta ciocia Magnolia nie ma gwiazdzistej plamki w jednym oku. *Może to wcale nie jest ciocia Magnolia.*

Potem Jane dostrzega, że jej zorstedzkie dłonie są bardzo podobne do zorstedzkich dłoni cioci Magnolii.

– Tak długo chciałam ci powiedzieć prawdę o moim życiu – mówi ciocia. – A teraz, gdy w końcu mogę to zrobić, jestem przerażona.

– Prawdę o twoim życiu? – pyta Jane. – Ciociu Magnolio, o czym ty mówisz?

– Prawdę o mojej pracy.

– O twojej pracy! O zdjęciach? Co próbujesz mi powiedzieć? Że nie robiłaś zdjęć?

– Robiłam. Zawsze robiłam zdjęcia.

– To o co chodzi?

Magnolia z nieszczęśliwą miną wpatruje się w swoje dłonie.

– Pewnego dnia przy robieniu zdjęć odkryłam przypadkiem zatopioną atomową łódź podwodną. Należącą do innego państwa.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

– Rząd Stanów Zjednoczonych zakazał mi komukolwiek o tym wspomnieć. Potajemnie ją wydobyliśmy.

– Pomagałaś rządowi Stanów Zjednoczonych wydobyć atomową łódź podwodną?

– A potem poprosili mnie o pomoc w innych sprawach – mówi ciocia Magnolia. – Proponowali mi pieniądze. Byłaś dzieckiem. Nie miałyśmy pieniędzy i wychowywałam cię sama z pensji wykładowcy kontraktowego. Nie wiedziałam, co z nami będzie. Zgodziłam się.

– Ciociu Magnolio – Jane próbuje to rozgryźć – chcesz mi powiedzieć, że zostałam kimś w rodzaju podwodnego... szpiega?

– Tak.

– Och! – Jane jest wstrząśnięta. – Co to w ogóle znaczy?

– Istnieją podwodni agenci – wyjaśnia ciocia Magnolia. – Są ludzie, którzy wydobywają

interesujące wraki okrętów wojskowych i ludzie, którzy zakładają podsłuchy na podwodnych kablach. Na dnie morza zachodzi wymiana dóbr i informacji. Z początku nie rozumiałam, na jaką skalę to się dzieje. Wplątałam się w rzeczy, których teraz żałuję. Pod wodą, w ciemności, gdzie nikt inny nie widzi, dzieją się złe rzeczy.

To, co opisuje ciocia Magnolia, Jane wydaje się jeszcze bardziej absurdalne niż istnienie świata fantasy w obrazie, gdzie psy mówią, a kamienie mają uczucia.

– Nigdy mi o tym nie powiedziałaś – mówi Jane.

– Chciałam to rzucić – mówi ciocia Magnolia. – Zaczęli prosić mnie o rzeczy, których nienawidziłam. Wiesz, że czasem pod wodą unieszkodliwia się bomby? I w końcu zaczęli mieć co do mnie wątpliwości.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– W swoim czasie podam ci każdy szczegół. Wyznam ci każde kłamstwo. To będzie dla mnie ogromna ulga.

– Ale dla mnie nie.

– Tego właśnie najbardziej żałuję. Chciałam tylko, żebyś była bezpieczna. Czy pani Vanders powiedziała ci o pieniądzach? Są twoje, możesz z nich skorzystać, kiedy zechcesz.

Jane nie chce słuchać o pieniądzach.

– Kto do mnie zadzwonił z Antarktydy? – pyta.

– Mój kolega – odpowiada ciocia Magnolia. – Zaprzyjaźniony nurek, inny agent, który zgodził się pomóc mi zniknąć, choć nie powiedziałam mu, dokąd się wybieram.

– Pozwoliłaś mi wierzyć, że nie żyjesz – mówi Jane. – Że zginęłaś.

– Kochanie – zaczyna ciocia Magnolia, wyciągając rękę do Jane, ale Jane wstaje i się od niej odsuwa.

– Nie żyłaś – mówi, a łzy płyną jej po policzkach.

– Przepraszam – mówi ciocia Magnolia. – Miałam niewiele czasu, żeby to zaplanować, i może źle to zrobiłam. Ale żyję. Przybyłam tutaj. Czekałam na ciebie. Szukałam cię każdego dnia.

– Mogłaś mnie nigdy nie znaleźć! – Jane histerycznie podnosi głos. – I nie znalazłabyś mnie...

– wskazuje na Steena – gdyby ten pies nie był porąbany. Kazałam ci postawić nagrobek. Twój przyjaciel przysłał mi twoje rzeczy, ponoć z Antarktydy. Spałam z twoją pieprzoną czapką!

Ciocia Magnolia zawsze była typem człowieka, który próbuje uspokoić kogoś, kto się denerwuje. To u niej instynktowne, nic nie może na to poradzić. Jane widzi to teraz w obcej twarzy i wyciągniętych rękach tej dziwnej, lecz niezaprzeczalnie prawdziwej cioci Magnolii.

W tym momencie woda pod stopami cioci się wybrzusza. Wynurza się z niej głowa jakiegoś szarego stworzenia z okrągłym pyskiem i długim nosem, które trochę przypomina niedźwiedzia. Jest wielkie jak białucha, ma płetwy, wąsy i nozdrza na szczycie głowy. Jane wpatruje się w nie zdumiona.

Pysk zwierzęcia układa się w prostą linię, co sprawia, że wydaje się cierpliwe i pogodne. W wielkich ciemnych oczach maluje się ból.

Jane wie, tak jak wszyscy, że stworzenia zamieszkujące głębiny oceanu są czasem tak przedziwne, że trudno uwierzyć w ich istnienie; nauczyła ją tego praca cioci Magnolii. Jednak tak samo jak patrząc na ludzi stąd, Jane wie, że nie pochodzą z jej Ziemi, pojmując również, że to zwierzę należy wyłącznie do tego świata.

Nie mówi, ale wpatruje się w skupieniu w ciocię Magnolię. Ciocia kładzie się na brzuchu na nabrzeżu, jej ręce i głowa zwisają ponad krawędź. Płaszcz jest rozpięty, z refleksami srebra i złota, jak mgławica. Wyciąga rękę i kładzie ją na czole tej istoty. Milczy i Jane nie do końca

rozumie, co się dzieje. Widzi jednak, że ciocia Magnolia znalazła chętnego do skorzystania z jej uspokajających właściwości. Koi dotykem to zwierzę, po którego pysku toczą się teraz wielkie łzy.

Ciocia Magnolia i to morskie zwierzę zostają w tej pozycji przez kilka minut. Jane stoi na nabrzeżu i łzy kapią jej na płaszcz. Steen wtula się mocno w jej nogi i często na nią zerka. Milczy, tak jak ciocia Magnolia i to zwierzę.

Morska istota odwraca głowę i patrzy w oczy Jane. Jane nie może oderwać od niej wzroku, zapada się w jej uczucia jak w studnię. *To zwierzę ma moc*, myśli, choć nie ma pojęcia, co to znaczy.

Morskie stworzenie z powrotem się zanurza. Woda cicho się nad nim zamyka.

Ciocia Magnolia znów siada i opuszcza nogi za krawędź. Nie patrzy na Jane, dziewczyna próbuje coś wyczytać z jej ramion. Ciocia Magnolia jest wyczerpana po tym przynoszącym ukojenie seansie. I wstydzi się tego, że zraniła Jane.

Jane nie potrafi się zmusić, by usiąść obok niej, ale siada kilka stóp dalej. Też opuszcza nogi nad wodę.

– Steen – mówi. – Tak ma na imię mój zbłąkaniec. Wyjaśnił mi, że te morskie stworzenia są chore.

Ciocia Magnolia powoli kiwa głową.

– To niedźwiedzie morskie.

– Rozmawiałaś z nim?

– Niezupełnie.

– Podawałaś mu... jakiś lek?

– To było coś o wiele bardziej elementarnego. I nie tak niesamowitego. Są chore, bo przeżywają traumę i żalobę. Znaczna część ich populacji zginęła z rąk zorstedzkich myśliwych. Ich mięso na jakiś czas stało się modne i zostały zmasakrowane. Myśliwym udało się przekonać rząd, że niedźwiedzie morskie to prymitywne, głupie bestie... choć kto mógłby coś takiego pomyśleć o stworzeniu, które przed chwilą widzieliśmy...

Łamie jej się głos, ochrypli i zduszony z niesmaku. Jane patrzy, jak ciocia Magnolia oddycha głęboko.

– To było dawno temu – podejmuje. – Teraz polowanie na nie jest nielegalne. Żyją jednak bardzo długo, a zorstedcy naukowcy uważają, że ich pamięć sięga bardzo daleko, a psychiczne rany długo się goją. Uczestniczę w programie organizowanym przez tych naukowców. Przychodzę tutaj rano i czekam. Jeśli zjawi się któryś z morskich niedźwiedzi, a zwykle jakiś się zjawia, siedzę z nim i pieszczotliwie go dotykam.

– Co to znaczy? – pyta Jane.

– Myślę, że wiesz, co to znaczy, kochanie – odpowiada ciocia Magnolia. Gdy Jane nic nie mówi, spogląda na swoje dłonie i mówi cicho: – Znaczą, że jestem z tym morskim niedźwiedziem. Nie próbuję niczego mu narzucać. Po prostu pozwalam, by był, kim jest. One posiadają coś, co nazwalibyśmy pewnie... zdolnościami paranormalnymi. Jeśli zamierzam po prostu być obok niego, będzie wiedział, że takie są moje zamiary. To, że teraz pozwalają, byśmy mogli towarzyszyć im w taki sposób – bo przedtem tego nie robiły – jest znakiem, że być może znów zaufają ludziom. Do tego czasu, i dopóki żaloba nie przygaśnie, ocean tutaj ma jakby chorą duszę. Czuję to, Janie.

Jane nie wie, jak na to zareagować.

– Tym się tutaj zajmujesz? – pyta.

– Tak – odpowiada ciocia Magnolia. – Rząd płaci tym naukowcom.
– Kierujesz tą operacją?
– Dobry Boże, nie. Mam bardzo niską rangę. Szkolę się, ale jestem na Zorsted dopiero od niedawna. Jest tu taki program. O udział może się ubiegać każdy, kto czuje więź ze zwierzętami. Ty mogłabyś to zrobić.

Jane mruga, nie potrafi odpowiedzieć.

– Jak ich przekonałaś, że jesteś stąd? Niczego nie podejrzewali?
– Trzymam się z boku i udaję, że nie chcę rozmawiać o mojej przeszłości. Pewnie, były takie chwile, gdy dziwnie na mnie patrzono, ale ludzie tutaj mają dużo tolerancji wobec dziwności. Chyba zakładają, że nie rozumieją wszystkiego, co widzą. A poza tym, gdybyś poznała kogoś, kto nie znałby twoich zwyczajów, czy zakładałabyś, że przybył z innego wymiaru?

– Chyba nie – odpowiada Jane. – Tęsknisz za naszymi technologiami? Mogłabyś rozwiązać ten problem szybciej ze sprzętem do nurkowania?

Ciocia Magnolia uśmiecha się w milczeniu.

– Nawet bez sprężonego powietrza – mówi – techniki nurkowania są tu dość wyrafinowane. Mają coś w rodzaju dzwonów z rurkami na powietrze, które sięgają aż na powierzchnię. Poza tym, nawet gdybyśmy mieli sprzęt do nurkowania, wątpię, czybyśmy go używali. Zwierzętom nie pomaga w powrocie do zdrowia to, że my, ludzie, wdzieramy się do ich domów.

To dziwne, dezorientujące uczucie być złym na osobę, która uczyła cię łagodności i szacunku; która uczyła cię, jak się uspokajać. Jane wpatruje się w wodę tańczącą pod jej stopami, świadoma, że Steen jest tuż obok. Wychyla się ostrożnie i widzi własne odbicie. Uderza ją coś w tej dziwnej twarzy. Odwraca się, by spojrzeć na ciocię Magnolię, i stwierdza, że nawet w tym świecie ma jej kości policzkowe i nos.

– Jak tam twoje parasolki, kochanie? – pyta ciocia.

Płuca Jane są meduzą, która porusza się cicho przez wielki smutek.

– Nie wiem, czemu tu jestem – mówi. – Nie wiem, czemu miałabym mieć zbląkańca, skoro pochodzę z drugiej strony. Nie wiem nawet, dlaczego przybyłam do Tu Reviens.

Ciocia Magnolia milczy przez chwilę.

– Nie rozumiem, czemu stworzenia z różnych światów miałyby do siebie nie pasować – mówi wreszcie. – W Zorsted jest pełno zbląkańców, które nie znalazły jeszcze swojego człowieka. Może dlatego, że ci ludzie są w innych światach.

– Steen mówił to samo – odzywa się Jane. – Ale jak to, w innych światach? Myślisz, że jest ich więcej niż dwa?

– No cóż – odpowiada ciocia Magnolia – kiedyś myślałam, że istnieje tylko jeden. Teraz, gdy poznałam dwa, zaczęłam podejrzewać, że równie dobrze może ich być tysiąc, wiesz?

Jane czuje słonawe powietrze i słyszy wodę pluszczącą o pale nabrzeża.

Ciocia Magnolia zostawiła ją samą. Osieroconą, bez pieniędzy, o których Jane by wiedziała. Jej plan, by połączyć się ponownie z siostrzenicą, był niejasny i niedopowiedziany, balansował na ostrzu noża.

– Muszę się zastanowić – mówi Jane.

Kiedy ja muszę się zastanowić, spaceruję, zauważa Steen.

– Pójdiesz ze mną? – pyta Jane.

Oczywiście, jeśli tylko chcesz.

– Jasne, że chcę. – Jane dotyka miejsca między jego uszami i wstaje. – Jesteś przecież moim zbląkańcem, prawda?

Obserwując Jane, ciocia Magnolia niepewnie wstaje.

– Idziemy na spacer – mówi ostrożnie Jane.

– W porządku – odpowiada z trudem ciocia Magnolia. – Zobaczę cię jeszcze, prawda, kochanie? Proszę.

– Nie wiem – mówi Jane. *Nie jesteś tą, za którą cię uważałam, nie dodaje na głos. Nie jesteś tą, którą udawałaś.*

Oczy cioci Magnolii są pełne łez. Długo przytula Jane i całuje ją w czoło. Mówi jej, że ją kocha.

– Wróć – prosi.

Jane mocno ją ściska, a potem odchodzi.

– Dokąd idziemy? – pyta Steena.

A dokąd chciałabyś pójść?

– Gdzieś, gdzie nie będzie żadnych wyzwania – mówi Jane. – Ani dla ciebie, ani dla mnie.

Steen prowadzi ją w górę po schodach, a potem jakąś drogą, przy której tłoczą się małe domki. Obok nich przebiega gromadka dzieci. Ktoś smaży coś, co pachnie jak bekon.

– Jestem głodna – mówi Jane. – A ty?

Moglibyśmy wrócić do twojej cioci. Ona ma pieniądze.

– Wytrzymam – mówi Jane. – Jeśli ty też.

Wiem, gdzie są owoce, mówi Steen.

– To zbłąkańce lubią owoce?

Ten akurat tak.

Ulica ostro skręca w prawo, ale Steen idzie dalej prosto, w stronę grupki sękatych drzew. Prowadzi Jane przez gęstą trawę i leżące na ziemi gałęzie. W końcu teren zaczyna opadać i docierają do zagajnika niskich drzew o różowych owocach, które przypominają trochę jabłka, ale z pewnością nimi nie są.

Przychodzi jej do głowy zorstedzkie słowo oznaczające te owoce. Wypowiada je na głos.

Tak, potwierdza z zadowoleniem Steen. Ten sad należy do księżnej.

– Kradniemy?

Nie, kiedy przy tobie jestem. Mieszkam w rezydencji księżnej. Opiekuje się nami. Jej jedzenie jest moim.

– Jesteś pewien, że teraz, gdy już znalazłeś swego człowieka, wciąż będziesz mile widziany w jej rezydencji?

Ty tutaj nie mieszkasz, mówi znacząco Steen, więc zostanę u księżnej. Jeśli tu zamieszkaż, to się zmieni.

Steen na nią nie patrzy, a Jane też stara się nie spoglądać na niego. Napełnia głębokie kieszenie spodni owocami i rusza za nim w dół po zboczach, które stają się coraz bardziej strome. Gdy wychodzą z sadu, znajdują się na małej piaszczystej plaży o kształcie półksiężyca. Słońce mocno świeci, a zorstedzkie ubranie chroni Jane przed chłodnym wiatrem. Steen podbiega do wystającej skały i zarośli, po czym siada przy nich. Jane do niego dołącza. Obserwuje, jak fale obmywają piasek, a potem się cofają. Owoc jest chrupiący jak jabłko, ale słodki jak gruszka.

– To takie dziwne uczucie być w Zorsted – mówi Jane. – Czuję się tak, jakbym umarła i odrodziła się w innym ciele, innym życiu, tyle tylko, że zapomnieli wykasować mi pamięć z poprzedniego.

Nie wierzę w reinkarnację, mówi Steen.

– Nie? Skoro istnieje więcej niż jeden świat, to czemu nie miałyby istnieć więcej niż jedno życie?

W każdym życiu jest wieleżyć, odpowiada Steen.

– Ty i ciocia Magnolia bardzo lubicie takie niejasne filozoficzne mądrości. A powiedz mi, czy w Zorsted jest rynek zbytu na parasolki?

Z całą pewnością tu pada. Ale nigdy nie pada deszcz żab.

– Kolejna osobliwość. A gdzie mogłabym sprzedawać parasolki?

Na głównym rynku, odpowiada Steen. Gdybyś sprzedawała ich dużo, mogłabyś otworzyć sklep. Mogę spytać, dlaczego zadajesz te pytania?

– Nie wiem – odpowiada Jane. – Może dlatego, że parasolki są mniej przerażające niż filozofia egzystencjalna

Steen spogląda na nią spokojnie.

Widziałem kiedyś zbłąkańca z interesującym parasolowym kapeluszem. To było dość urocze.

Jane próbuje się nie uśmiechnąć.

– Chciałbyś, żebym zrobiła ci taki parasolowy kapelusz, Steen?

To zależy już tylko od ciebie, odpowiada z godnością zbłąkaniec.

– A powinnam zrobić go tak, by pasował na głowę basseta Jaspera czy zbłąkańca Steena?

Steen się waha. *To chyba też zależy wyłącznie od ciebie.*

Tak. To chyba jedno z wielkich pytań na dziś, prawda? Tu Reviens czy Zorsted?

Widzisz?, zauważa. Mówiłem ci, że możesz się ze mną porozumiewać, nie wypowiadając zdań na głos.

Tak, widzę.

Czy... Steen się waha i Jane wyczuwa jego entuzjazm. Jego bezbronność. *Czy to ci się podoba?*

Jane wzdycha. *Jeszcze nie potrafię powiedzieć, Steen.*

Zbłąkaniec zagrzebuje nos w piasku, jakby chciał powstrzymać się przed powiedzeniem tego, co chce jej powiedzieć.

Ta zatoczka strasznie przypomina tę, do której zabrałeś mnie na spacer w Tu Reviens, odzywa się po chwili Jane.

Lubię tu przychodzić, mówi zbłąkaniec.

Chodzisz do zatoczki w Tu Reviens, bo przypomina ci tę tutaj?

Tę w Tu Reviens znalazłem pierwszą, odpowiada Steen. Chyba lubię tę, bo przypomina mi tamtą.

Teraz dopiero mam mętlik w głowie.

Tak, potwierdza zbłąkaniec. *Z domem już tak bywa. Bądź co bądź to główna siedziba, twoje tło, podstawy. Twoja historia i twoja przystań.*

Jesteś dobry w scrabble, Steen?, pyta z uśmiechem Jane.

Steen pociąga nosem. *Mamy tu o wiele lepszą grę. Jest podobna do scrabble. Też dostaje się punkty za trudne wyrazy. Ale słowa, które podajesz, tworzą też historię i musisz uważać, bo ta historia wywrze jakiś wpływ na twój dzień.*

Poważnie? Gra zmienia twój dzień? Groźnie to brzmi!

Zbyt skrajnie to interpretujesz. Jeszcze nikomu nic poważnego się nie stało.

Ach! Więc tylko drobne obrażenia!

Ta historia rozgrywa się metaforycznie, zazwyczaj w jakiś nieszkodliwy i zabawny sposób, uspokaja ją Steen. Wiem, że to dziwnie brzmi. Ale obiecuję ci, Janie, że ten świat nie jest bardziej

niebezpieczny od twojego.

Jest tu zupełnie inaczej, mówi Jane. Czy czujesz się jak w domu i w Zorsted, i w Tu Reviens?

Tak. I nie. W Tu Reviens jestem niemy i nikt mnie nie rozumie, a przynajmniej dotąd tak było. W Zorsted jestem samotny albo przynajmniej dotąd byłem. Milczy przez chwilę. Nie sądzisz, że to za sprawą ludzi jakieś miejsce wydaje ci się domem?

Dla Jane to ma sens. To by wyjaśniało, dlaczego od czasu tej rozmowy – tej niby-rozmowy z Antarktydy – nigdzie nie czuła się jak w domu.

Daleko na horyzoncie zjawia się wysoki okręt ze świetlicie białymi żaglami. Jest zbyt daleko, by można było powiedzieć, czy się zbliża, czy oddala.

Jeśli jestem poszukująca, Steen, to nie wiem, czego szukam.

Steen znów się waha. *No cóż, mówi. Dotrzymam ci towarzystwa, kiedy będziesz się nad tym zastanawiać.*

Jane czuje w nogach ten długi, trudny poranek. Jej nieznanome ciało domaga się snu, którego zabrakło jej nocą.

Zrób tak, proszę, mówi Jane.

Zwija się w kłębek na piasku, obejmuje Steena i pozwala swojemu zorstedzkiemu ciału odpocząć.

Budzi się w nocy w blasku dwóch ogromnych żółtych księżyców. Oba są większe niż księżyc w jej świecie. Razem dają o wiele więcej światła. Niebo aż roi się od gwiazd.

Nigdzie nie ma Steena.

– Steen?

Żadnej odpowiedzi. Jane półprzytomna zrywa się na równe nogi, rozgląda się, wstrząsa nią dreszcz. Myśli o zorstedzkich myśliwych, drapieżnikach albo kamieniach, które dojdą do wniosku, że cię nie lubią.

– Steen?

Już idę, odpowiada Steen. Wiadomość jest dla niej ledwie wyczuwalna. Jane odwraca się i widzi jego ciemny kształt zbliżający się do niej truchtem po mokrym piasku, lśniącym w blasku księżyców.

– Wystraszyłam się.

Nie zostawiłbym cię tu samej.

– Bałam się o ciebie.

Gdy Steen do niej dobiega, Jane opada na piasek i obejmuje go rękoma. Zbłąkanie pachnie mokrą sierścią i próbuje lizać ją po dłoniach.

– Fee – mówi Jane. – Żadnego lizania.

Bez przytulania, dopowiada zbłąkanie. Lubimy być głaskani, nie przytulani.

Jane go puszcza.

– Jeśli nie będziesz lizał, ja nie będę cię przytulać.

Umowa stoi. Ale nie musisz się o mnie bać, Janie. Ludzie tutaj najczęściej zostawiają zbłąkańce same.

– Dobrze – mówi Jane przez ściśnięte gardło.

Jest ci zimno?

– Tak. I jestem głodna.

Bardzo długo spałaś. Ze mną też tak było, gdy przyzwyczajałem się do twojego świata. Przechodzenie z jednego do drugiego jest męczące. Chodźmy gdzieś, gdzie jest ciepło.

– Jak daleko jesteśmy od kotary w rezydencji księżnej?

Dom twojej cioci jest bliżej. Nie będzie miała nic przeciwko temu, że ją obudzimy.

– Nie. Tu Reviens.

W porządku, odpowiada zbłąkaniec. Wspinaczka nas rozgrzeje.

Sad na stromym wzgórzu w nocy jest zdradziecki nawet w blasku dwóch księżyców. Jane ciągle się potyka i uderza głową w niskie gałęzie. Mocno naciąga na uszy chustę i mruczy do Steena, że byłoby miło, gdyby sad sam się oświecił dla ich wygody.

Na ulicach wysoko nad poziomem morza uderza ją cisza zorstedzkiej nocy. Zorstedzkie domy nie skrzypią ani nie wzdychają. Zorstedzkie latarnie uliczne tylko cicho skwierczą, gdy płomyki pożerają knoty.

Czasem z jakiegoś domu w którejś z ulic płyną światło i dźwięki, ale Steen prowadzi ją z dala od takich miejsc. *Pijackie hulanki są plagą każdego portowego miasta*, mówi z niesmakiem.

Jane, zmarznięta i wymęczona, chętnie trzyma się z dala od pijackich hulanek. Dość długo się wspinają, nim pojawia się przed nimi rezydencja księżnej, i Steen ma rację, długi spacer rozgrzewa.

Będę musiał zwrócić na siebie uwagę jednego z nielicznych zbłąkańców na zamku, który ma człowieka, żeby nas wpuścił, mówi do Jane.

– Jak to zrobisz?

Zbłąkańcy potrafią porozumiewać się ze sobą mentalnie, pamiętasz?

– Jak wyjaśnisz, dlaczego zasługuję na to, żeby mnie wpuścić?

Mam nadzieję, że mój brat nie będzie spał.

– Masz brata?

Mam dwunastu braci, siedem siostr i dwustu czterdziestu dwóch kuzynów.

Jane klnie po zorstedzku.

– Czy twój brat wie o Tu Reviens.

Nie, nikomu o tym nie wspomniałem. Przecież ci mówiłem. Ale jest moim bratem. Ufa mi, a jego człowiek ufa jemu. Jego człowiek otworzy nam drzwi.

– Wszystko to strasznie skomplikowanie brzmi. Twój brat ci ufa, ale nie dlatego, że mówisz mu prawdę.

Cóż, czasem trudno stwierdzić, co się powinno zrobić, odpowiada Steen. *Czy jeśli powiem bratu, powinienem też powiedzieć pozostałym osiemnastorgu rodzeństwa? A co, jeśli mój brat powie o tym swojemu człowiekowi? Kotara prowadząca do innego świata, to nie jakaś drobnostka. Muszę być ostrożny. Rozumiesz to, prawda?*

Gdy Jane wchodzi do ogrodu od strony jakiejś ciemnej, ogrodzonej wysokim murem części rezydencji księżnej, czuje się zmęczona i stara.

– W tej chwili nie przepadam za oszustwami.

Steen zerka na nią.

Wiem. Ale sama zobaczysz. Teraz to również twój sekret. Będziesz musiała sama zdecydować, komu powiedzieć. A teraz przestań mówić na głos. Zbudzisz całą służbę na parterze, a poza tym i tak próbuję się skupić na komunikacji z bratem.

Minutę później jakiś opryskliwy mężczyzna w nocnej koszuli otwiera drewniane drzwi w wysokim murze, chrząka i wraca do środka, nawet na nich nie patrząc. Przy jego nogach kręci się zbłąkaniec, krótszy i bardziej przysadzisty niż Steen. On i Steen stoją przez chwilę w drzwiach, obwąchując się i ocierając.

Potem Steen zdecydowanym krokiem rusza dalej. *Tą drogą przejdziemy przez kuchnię*, mówi

do Jane.

Jane rusza za nim. Wspinają się przez piętnaście pięter rezydencji księżnej, objadając się chlebem, serem i kolejnymi zorstedzkimi owocami, których nazwy Jane jakimś magicznym sposobem zna, oraz długim paskiem czegoś, co smakuje jak najdelikatniejsza suszona wołowina we wszelkich światach. Wszystko to podkradli z kuchni. Jane ma wrażenie, że jej zorstedzkie ciało po piętnastu piętrach wspinaczki jest o wiele mniej zmęczone, niż byłoby to prawdziwe.

Gdy przebiera się w piżamę z *Doktorem Who*, gdzieś daleko w mieście bije zegar i Jane rozumie, która jest teraz godzina w Zorsted. Nagle zaczyna się zastanawiać, która jest teraz w domu. Rzuca zorstedzkie przekleństwo. *Dziś jest gala!*

Już nie, odpowiada jej Steen. *Przegapiliśmy galę.*

Kolejne przekleństwo. *A co, jeśli ktoś zauważył moją nieobecność?*

Po prostu powiesz, że źle się czułaś. A jeśli ktoś będzie ci się naprzykrzał, ugryzę go.

Steen! Nie możesz gryźć ludzi bez powodu! W moim świecie robi się paskudne rzeczy psom, które gryzą. Zrób lepiej coś uroczego, co odwróci uwagę ludzi. Podaj im łapę. Oni to uwielbiają.

Och, ile w tym godności, zauważa Steen. *Niedługo każesz mi się tarzać.*

Jane się śmieje.

Nie martw się, mówi Steen. *Przecież jeśli kiedyś coś się stanie, mam bezpieczne miejsce, gdzie mogę zniknąć.*

Jane nie odpowiada, bo jeszcze nie jest gotowa mu powiedzieć, że nie podoba jej się pomysł, by gdzieś bez niej zniknąć. Gdy przechodzi do pokoju z kotarą, Steen idzie za nią. W Tu Reviens jest ciemno i pusto, więc Jane przez chwilę ogląda parasolkę stojącą na podłodze. Nasadka i rączka mają trochę inny kształt i kolor, a wykonanie jest lepsze, ale ogólnie ta parasolka jest satysfakcjonująco podobna do tej, którą sama zrobiła. Jane niesie ją do latarni w kącie, ogląda dokładnie w świetle i z zadowoleniem myśli, że wybrała właściwe odcienie czerwieni i zieleni.

Co ty wyrabiasz?, mówi Steen. *Tej parasolki nie ruszono od ponad stu lat.*

Wykonanie jest naprawdę świetne. Jane przesuwa palcami po ciemnym lakierowanym trzonku. *I ktoś regularnie ją odkurza.*

Najdelikatniejszą miotełką z piór!, odpowiada Steen. *Wolałbym, żebyś ją odłożyła.*

Jesteś jednym z tych zbłąkańców, których nigdy nie wysłano do gabinetu dyrektora, prawda?, mówi Jane. *Dobrze, już dobrze*, dodaje, gdy Steen znów zaczyna przebierać łapami, jakby ugniatał ciasto. *Uspokój się.*

Ale gdy odkłada parasolkę, sędziwy materiał jednego z klinów zaczyna puszczać na szwie. Steen w jej głowie wrzeszczy jak szalony, a klin odpada i zsuwa się bezwładnie na podłogę.

Zobacz, co narobiłaś! Zobacz, co narobiłaś!

Steen, mówi spokojnie Jane, *mam w tej chwili w saloniku niemal identyczną parasolkę. Jest wystarczająco dobra. Przetrwa kolejnych ponad sto lat.*

Steen dyszy jak husky, który właśnie ukończył Iditarod⁵. *Och, całe szczęście*, mówi. *Całe szczęście. Chodźmy po nią. Teraz. Natychmiast!*

Steen rusza przodem. Jane za nim.

Potrzebuje chwili spokoju. Z jakiegoś powodu to niesamowite uczucie stać na pierwszym piętrze schodów Tu Reviens. Jane czuje się niemal tak, jakby nigdy wcześniej tu nie była. W głównym holu unosi się lekki zapach. Pot, perfumy, rozlany alkohol, ludzie: woń po imprezie. I jeszcze te bzy kojarzące jej się z ciocią Magnolią. Teraz ból jest inny i Jane ma o wiele gorszy mętlik w głowie.

Gdzieś w odległym pokoju ktoś znów słucha Beatlesów. Basset Jasper obchodzi ją i zaczyna

natarczywie popychać głową jej kostki.

– Już idę! – szepcze Jane i posłusznie wchodzi na drugie piętro. – Uspokój się.

Wtedy na moście na drugim piętrze pojawiają się Kiran i Ivy. Zbliżają się do Jane od strony zachodniego skrzydła domu.

– Janie! – woła Kiran. – Gdzieś ty była? Szukałam cię na imprezie, ale nigdzie nie mogłam cię znaleźć.

Kiran ma na sobie piękną, szkarłatną suknię bez ramiączek. Jej nastrój i wyraz twarzy są dziwne. Równocześnie radosne i twarde. Triumfalnie kruche. Poza tym brzeg jej sukni wygląda na mokry i zabłocony. Coś się stało.

Jane chce zapytać o to Kiran, ale boi się, że ją też to zachęci do zadawania pytań. Pytań, na które Jane nie będzie mogła odpowiedzieć.

– Która godzina? – pyta cienkim głosem.

– Dochodzi czwarta nad ranem – odpowiada Kiran. – Rozmawialiśmy z Ivy.

– Tak właściwie – zwraca się Ivy do Jane – to z tobą też chciałam porozmawiać.

– Racja – mówi Jane i próbuje nie gapić się na Ivy. Jej długa czarna suknia jest tak elegancka, że w piżamie z *Doktorem Who* Jane czuje się, jakby miała dwanaście lat.

– Idę do łóżka – mówi sprytnie Kiran i zaczyna schodzić po schodach.

– Byłaś dziś wspaniała! – woła za nią Ivy. – Jesteśmy ci naprawdę wdzięczni. Bez ciebie by nam się nie udało.

– Nie zrobiłam tego dla Patricka – dopowiada Kiran.

– Tak, rozumiem – mówi Ivy. – Mniejsza z tym. Ja jestem ci wdzięczna.

Zanim Kiran odchodzi, odwraca się i posyła Ivy ciepły, szeroki uśmiech. Jane jeszcze nigdy nie widziała, by Kiran tak się uśmiechała.

Zwraca się do Ivy:

– Jestem strasznie zmęczona. Możemy porozmawiać jutro?

– Pewnie – mówi Ivy.

– W takim razie dobranoc. – Jane jeszcze przez chwilę na nią spogląda, ale Jasper znów zaczyna ją popychać. – Cholerny, sklerotyczny pies! – Odwraca się i rusza do swojego apartamentu.

Jednak kilka minut później, gdy Jane z Jasperem wracają na schody, niosąc zrobioną przez Jane parasolkę, Ivy wciąż stoi na pierwszym piętrze i wpatruje się w skupieniu w parasolkę na obrazie. Jej nos jest parę centymetrów od farby, wsunęła okulary na czoło i przygląda się klinowi, który leży na posadzce w szachownicy.

Jest za późno, by zawrócić, Ivy ich słyszała. Prostuje plecy i spogląda na Jane. Jej twarz otaczają luźne kosmyki ciemnych włosów.

A więc Jane dzielnie schodzi po schodach z parasolką w ręce.

Niebieskie oczy Ivy z zaciekawieniem śledzą Jane, Jaspera i czerwono-zieloną parasolkę.

– Wybierasz się na spacer? – pyta Ivy, zerkając na piżamę Jane.

– Może.

– Masz ochotę na towarzystwo?

– Tak – mówi Jane. – To znaczy, tak. Mam, i to bardzo. Ale pewnie powinnam pójść sama.

– W porządku – stwierdza Ivy. – Szukałam cię podczas gali. Nie czułaś się na siłach?

Jane ma już wymówkę na końcu języka. Zjadła coś, co jej zaszkodziło, i przespała całą galę. Nie znosi imprez, więc ukryła się na strychu w zachodnim skrzydle. Spędziła noc w pokoju z jednym z gości.

– Nie chcę cię okłamywać – mówi Jane. – Chcę ci powiedzieć prawdę.

W długiej czarnej sukni, z upiętymi włosami, Ivy wygląda jak kobieta z portretu Renoira albo Johna Singera Sargenta. Przygląda się uważnie Jane.

– Ja też chcę ci powiedzieć prawdę – mówi.

Znów zapada między nimi milczenie. Nie jest to niezręczna cisza. Wydaje się pełna nadziei i ciekawości.

Jane wreszcie wie, czego chce.

– Ivy – szepcze.

– Tak?

– Potrafisz dochować tajemnicy?

– Cholera, pewnie.

Jane zastanawia się nad swoimi słowami, zanim je wypowiada.

– Mogłabyś, proszę, dotknąć tego obrazu?

– Tego tutaj? – Ivy wskazuje na niego, a potem skonsternowana marszczy nos. – Pani Vanders mnie zamorduje.

– Proszę.

– Dobrze – mówi Ivy i wyciąga palec w stronę obrazu. Gdy tylko go dotyka, palec się zapada. Cała jej ręka przelatuje na drugą stronę. Ivy cofa ją i krzyczy wystraszona. Uważnie, starannie przygląda się swojej dłoni. Gdy się upewnia, że wciąż ma wszystkie palce, podnosi zdumione spojrzenie na Jane.

– Nie mogę się doczekać, o co mnie teraz poprosisz – mówi.

– Chciałabym, żebyś spotkała kobietę, która porozumiewa się z niedźwiedziami morskimi – odpowiada Jane.

Ivy mruga.

– Z niedźwiedziami morskimi?

– Chcę ci to pokazać. Pójdiesz ze mną?

Ivy z przekrzywioną głową wpatruje się w obraz.

– Te niedźwiedzie morskie są tam?

– Tak.

Ivy znów mruga.

– A przez cały czas będziesz ze mną?

– Tak.

– Obiecujesz?

– Przysięgam.

– A więc dobrze – mówi Ivy.

– Co o tym myślisz, Steen? – pyta Jane, zerkając na niego. – Czy zbłąkanie i jego człowiek mogą mieć dom w dwóch różnych światach, u cioci i u przyjaciółki?

Jasper patrzy Jane w oczy i przekrzywia głowę, jakby się zastanawiał. Potem wchodzi w obraz.

Jane odwraca się do Ivy, która rozdziawiła usta.

– Ufasz mi? – pyta.

Ivy wpatruje się w nią rozszerzonymi oczami. Kiwa głową.

Jane bierze ją za rękę i prowadzi do innego świata.



Nota autorki

Niniejsza książka jest hołdem dla kilku moich ukochanych powieści. Na przykład wiele z występujących u mnie nazwisk, imion i nazw pochodzi pośrednio lub bezpośrednio z powieści *Rebeka* Daphne du Maurier, jednej z klasycznych książek w stylu „sierota przybywa do domu pełnego tajemnic”. Dziwna, straszna gospodyni u du Maurier nazywa się pani Danvers; moja ochmistrzyni i kamerdyner to pani i pan Vanders. Pies w *Rebecce* wabi się Jasper; u mnie też. Ważny jacht w *Rebecce* nosi nazwę Je Reviens – po francusku *wracam*; u mnie rezydencja nazywa się Tu Reviens – po francusku *wracasz*. Dałam też Ivy i Patrickowi nazwisko Yellan, tak jak nazywała się bohaterka innej wspaniałej powieści du Maurier, *Oberża na pustkowiu*.

W pierwszej części *Nieskończonych światów Jane* opisuję sekretarzyk, który Jane znajduje w swoim saloniku. Zasadniczo jest to sekretarzyk z saloniku Rebeki, aż po etykiety, które Jane znajduje na szufladkach. Występują też inne powiązania, umyślne i nie tylko, ale pozwolę, byś sam je znalazł. Zawsze uważałam *Rebekę* za jedną z najbardziej niezwykłych książek, jakie czytałam. Pisarze wdychają książki, mieszają je z tym, co się dzieje w ich głowach, a potem wydychają.

Po głowie chodziła mi też druga świetna powieść z rodzaju „sierota przybywa do domu pełnego tajemnic”, a mianowicie *Dziwne losy Jane Eyre* Charlotte Brontë – najbardziej oczywistym odniesieniem jest imię Jane, choć w rzeczywistości moja bohaterka nosi imię kotki z mojego dzieciństwa! Przypuszczam, że imię Charlotte Thrash również po części jest odniesieniem do Brontë, choć tak naprawdę dałam jej to imię po Charlotte Perkins Gilman z uwagi na jej pełne grozy opowiadanie *Żółta tapeta*. W opisywanym przeze mnie domu również mieszka – że tak to ujmę – obłąkana kobieta na strychu. Podobnie jak w *Dziwnych losach Jane Eyre*, jest nią pierwsza żona pana domu. U mnie jednak wcale nie jest szalona, jest po prostu fizykiem teoretycznym.

W niniejszej książce pewną rolę odgrywa również piękna, ale przygnębiająca powieść Edith Wharton *Świat zabawy*. W powieści tej główną bohaterką jest biedna sierota o nazwisku Lily Bart, mieszkająca w Nowym Jorku z przełomu wieków, która wykorzystuje urodę, by utrzymać swoją pozycję towarzyską i... no cóż, jak zauważyła Jane w rozmowie z Lucy St. George, „zabawy jest tam niewiele”. Chyba nie mogłabym napisać o bogatej Kiran zapraszającej biedną przyjaciółkę do swego luksusowego domu, nie myśląc przy tym o Lily Bart i epoce dam do towarzystwa.

Pierwsze słowa i część dialogu *przyprawy* Jane na Biegun Północny zaczerpnęłam bezpośrednio z *Rozdziału ósmego*, w którym *Krzyś staje na czele Przyprawy do Bieguna Północnego* książki *Kubuś Puchatek*. Wybacz, Misiu Puchatku. Wbrew pozorom naprawdę cię uwielbiam i zawsze byłeś dla mnie ukochanym czytadłem na poprawę nastroju. Przypuszczam, że właśnie dlatego mój umysł po ciebie sięgnął, gdy zadałam sobie pytanie: „Co by było naprawdę przerażające?”

Oczywiście nie tylko książki są inspiracją dla książek. Rzeźba *Ryba* Constantina Brâncușiego naprawdę istnieje. Brancusi, rumuński artysta i jeden z pionierów modernizmu, stworzył kilka rzeźb przedstawiających ryby. Wersja, która pojawia się w mojej powieści, w rzeczywistości znajduje się w Filadelfijskim Muzeum Sztuki. Gdy wysłałam e-mail z pytaniem do działu konserwacji, by dowiedzieć się, w jaki sposób ryba jest przymocowana do postumentu i czy jej

zdjęcie uszkodziłoby rzeźbę, odpisali mi, że nie zamierzają odpowiedzieć na to pytanie. Pewnie to mądra polityka. Pisarze zadają mnóstwo dziwacznie konkretnych pytań. To dlatego, że takie już z nas ziółka.

W rzeczywistości istnieje również obraz *Pisząca list* Jana Vermeera. W 1974 roku obraz ten został skradziony z prywatnego domu w Irlandii przez członków IRA, lecz wkrótce go odzyskano. W 1984 roku został ponownie skradziony przez dublińskiego gangstera i tym razem odzyskano go dopiero w 1993 roku. Po odnalezieniu obrazu duński konserwator Jørgen Wadum, skrupulatnie szukający uszkodzeń, zauważył małą dziurkę w oku kobiety, co doprowadziło do odkrycia, że Vermeer przymocowywał sznurek do płótna, by rozpracować perspektywę. Obraz jest obecnie przechowywany w Irlandzkiej Galerii Narodowej. Moją wiedzę o kradzieżach dzieł sztuki zawdzięczam dwóm książkom: *Muzeum zaginionych dzieł. Historia kradzieży dzieł sztuki* Simona Houpta oraz *The Irish Game: A True Story of Crime and Art* Matthew Harta.

A skoro już mowa o kradzieży sztuki... Właściwie to ściągnęłam wenecki dziedziniec w Tu Reviens z Muzeum im. Isabelli Stewart Gardner w Bostonie, zwłaszcza nasturcje, które każdej wiosny wzbudzają zachwyt na dziedzińcu. Nie jest on identyczny – dziedziniec w muzeum nie posiada na przykład wewnętrznych schodów prowadzących na samą górę. Jest jednak bardzo podobny i ci, którzy byli w Muzeum im. Isabelli Stewart Gardner, prawdopodobnie go poznają (zwłaszcza jeśli widzieli nasturcje). Muzeum to posiada szklarnię, gdzie uprawiane są wszystkie kwiaty zdobiące dziedziniec; podobnie w Tu Reviens jest ogród zimowy, z którego pochodzą zdobiące dom kwiaty. Autoportret Rembrandta, który pojawia się w Tu Reviens, jest w rzeczywistości przechowywany we wspomnianym muzeum (*Autoportret w wieku 23 lat*). A w roku 1990 miał tam miejsce największy skok na dzieła sztuki w historii; złodzieje ukradli trzynaście dzieł, wycenianych na pięćset milionów dolarów, w tym *Burzę na Jeziorze Galilejskim* Rembrandta oraz *Koncert* Vermeera. Dzieła nigdy nie zostały odzyskane i nikogo nie aresztowano w związku ze sprawą. Gdy dziś odwiedza się muzeum, na ścianach wiszą puste ramy po skradzionych obrazach. Serce się kraje, gdy się na to patrzy.

Aby się upewnić, że ciocia Magnolia fotografowała rzeczywiste zwierzęta we właściwych lokalizacjach, korzystałam z następujących dwóch książek: *Ocean Soul* Briana Skerry'ego i *Oceanic Wilderness* Rogera Steene'a. W obu aż roi się od wspaniałych podwodnych zdjęć. U Skerry'ego znalazłam fotografię przedstawiającą walenia południowego i nurka, naprzeciw siebie na dnie oceanu; była ona bezpośrednią inspiracją dla zdjęcia Jane, na którym ciocia Magnolia dotyka nosa walenia południowego. Z zakłopotaniem muszę przyznać, że nie pamiętam, czy widziałam gdzieś zdjęcie żółtej babki wyglądającej z pyska wielkiej szarej ryby, czy też wymyśliłam to sama. Usiłowałam znaleźć tę fotografię, by wskazać na jej faktycznego autora, ale na razie mi się nie udało. W książce *Ocean Soul* Brian Skerry publikuje niesamowite zdjęcie żółtej babki wyglądającej przez otwór puszek po napoju oraz wspaniałe zdjęcie tuńczyka błękitnopłetwego, który otwiera pysk, by schwytać mniejszą rybę. Może moja wyobraźnia połączyła te dwie fotografie?

Brytyjski autor science fiction Artur C. Clarke napisał słynne słowa: „Dostatecznie zaawansowana technologia nie różni się od magii”. Nawiązuję do tego cytatu w niektórych dialogach, lecz w żadnym miejscu nie cytuję Clarke'a, więc zrobiłam to teraz.

Pisanie powieści wiąże się z mnóstwem materiałów. Dwa źródła, o których dotąd nie wspomniałam, to: *Bioterrorism: Guidelines for Medical and Public Health Management*, pod redakcją Donalda A. Hendersona, Thomasa V. Inglesby'ego i Tary O'Toole; oraz artykuł *Parallel Universes* Maxa Tegmarka opublikowany w „Scientific American” w maju 2003 roku.

Podziękowania

Pierwszy rękopis tej powieści powstał jako książka w stylu „wybierz swoją ścieżkę”, z narracją w drugiej osobie oraz licznymi rozwidlającymi się ścieżkami, które czytelnik mógł wybrać. Potem, na przestrzeni czterech lat, dokonałam licznych zmian, stopniowo przechodząc na narrację w trzeciej osobie i tworząc opowieść przeznaczoną do czytania od początku do końca. Czasem trzeba wielu prób (i mnóstwa frustracji), by dowiedzieć się, czego domaga się od Ciebie książka!

Czy doszłam do tego sama? Gdzie tam, do diabła.

Początkowe maszynopisy tej książki były lekturą przyprawiającą o ból głowy. Jestem nieskończenie wdzięczna moim pierwszym czytelnikom, którzy brodzili w tym tekście, ustalili, do czego zmierzam, i podzielili się ze mną niezbędnymi uwagami, dzięki którym udało mi się to osiągnąć. Były to: Marie Rutkoski, Rebecca Rabinowitz i moja agentka Faye Bender (które czytały tę książkę więcej niż raz), a także Catherine Cashore, Claire Evans, Deborah Kaplan, Amanda MacGregor, Marc Moskowitz, JD Paul, Cindy Pon, Jessica Quilty, Anindita Basu Sempere, Rebecca Stead i Tui Sutherland. Dziękuję również osobom, które czytały fragmenty i dzieliły się ze mną uwagami z zakresu swojej dziedziny; byli to: Dorothy Cashore, Joe Flowers, Kevin Lin i Kate Marquis.

Pragnę podziękować cioci Mary Previterze, cioci Rose Luscan, Sarah Manchandzie oraz Nikhilowi Manchandzie za odpowiedzi na dociekliwe, męczące pytania dotyczące takich spraw jak to, jak się gra w brydża czy jakie imiona nadaje się domowym zwierzętom w kulturze hinduskiej. Deborah Kaplan, Marc Moskowitz, Lance Nathan, Michelle Dunnewind Nathan i JD Paul pomogli mi w kwestiach takich jak to, co rządy robią pod wodą, kto ma jurysdykcję na prywatnych wyspach oraz jakie właściwie są bassety. Osoby, którym pragnęłabym podziękować za gorące dyskusje o horrorach przy kolacji, to: Stephanie Smith, David Kroll, Meg Curley, Eric Idsvoog, Case Kerns, Kevin Birmingham i Scott Hirst. Dziękuję także Eve Goldfarb za jej siłę, wsparcie i życzliwość.

Specjalne podziękowania dla JD Paul za szybkie, nieustrudzone i wyczerpujące odpowiedzi na (niemal) niekończące się pytania z licznych dziedzin, jednak głównie związane z nauką. JD naprawdę potrafi dać czału i stanąć na głowie! Pragnę również w szczególności sposób podziękować Marie Rutkoski i Kevinowi Lin za to, że bez końca dyskutowali ze mną o fabule, za burze mózgu, za to że żyli razem ze mną tą książką i dotrzymywali mi towarzystwa, gdy przez bardzo długi czas tłukła mnie po głowie.

Dziękuję mojej pełnej ciepła i zapału ekipie z Penguin, do której zaliczają się: Elyse Marshall, Jen Loja, Jocelyn Schmidt, Emily Romero, Carmela Iaria, Rachel Cone-Gorham, Shanta Newlin, Felicia Frazier, Erin Berger, Todd Jones, Mary McGrath, Cristi Navarro, Claire Evans, Debra Polansky, Regina Castillo, Alan Winebarger, Mary Raymond, Ev Taylor, Nicole White, Nicole Davies, John Dennany, Sheila Hennessey, Steve Kent, Biff Donovan, Colleen Conway, Doni Kay, Jill Nadeau, Jill Bailey, Judy Samuels, Tina Deniker, Christina Colangelo, Erin Toller, Alexis Watts, Venessa Carson, Kathryn Bhirud, Madison Killen, Theresa Evangelista, Dana Li, Deborah Kaplan, Jenny Kelly, Lily Malcom i Vanessa Robles. Nie ma szans, by udało mi się to

wyrazić tak, aby nie zdawało się oklepane i banalne, ale naprawdę jestem najszczęśliwszą pisarką na świecie, że spotkałam w życiu takich ludzi oraz cały zespół z Penguin, z którego każda osoba odgrywa tak ważną rolę w procesie wydania książki na świat. Dziękuję wam.

Jak zawsze chciałabym podziękować moim rodzicom i siostrze, bez których bym zginęła. Zwłaszcza mój ojciec wychwycił wiele drobnych błędów, zanim ta powieść trafiła do druku. Dedykowałam tę książkę moim licznym ciociom i ciotecznym babciom, które zawsze uważałam za wzorce wszystkich tych wspaniałych wyborów, które mogłam w życiu podjąć. Moje ciocie są pełne dobroci, głodne przygód, kreatywne, dowcipne, wyrozumiałe i kochające. (Wujkowie, wy też nie jesteście tacy źli.)

Faye Bender, nawet nie wiem, co ci powiedzieć. Jesteś moją opoką i prawdziwą przyjaciółką. Dziękuję.

Zauważyliście, że nie wspomniałam jeszcze o mojej redaktorce? To dlatego, że za każdym razem, gdy próbuję, mam łzy w oczach.

Jeśli tę książkę można uznać za dobrą, to jest to zasługa mojej redaktorki Kathy Dawson. Rozwijam się dzięki ciężkiej pracy, którą wykonujemy razem z Kathy, ta książka zaś dotąd była najtrudniejsza. Kathy prowadziła mnie za rękę, czasem łagodnie, czasem stanowczo, zawsze wykazywała się cierpliwością, gdy upierałam się, by iść okreśną drogą, i zawsze kierowała mnie ku mojej wizji. Kathy, żeby być z tobą, moje książki i ja udałybyśmy się nawet do innego wymiaru, gdyby tego było trzeba.

O Autorce

Kristin Cashore dorastała w północno-wschodniej Pensylwanii i skończyła studia magisterskie w Centrum Studiów Literatury Dziecięcej na Simmons College. Mieszka niedaleko Bostonu. Jej powieści w stylu high fantasy osadzone w świecie Obdarzeńców – *Wybrańcy*, *Iskra*, *Bitterblue* – wszystkie są bestsellerami „New York Timesa”, zdobyły liczne nagrody i zostały gorąco przyjęte przez krytyków. Były nominowane do ALA Best Books for Young Adults, „School Library Journal” Best Book of the Year, *Booklist* Editors’ Choice i „Publishers Weekly” Best Book of the Year. Ponadto powieść *Wybrańcy* znalazła się na liście finalistów do nagrody William C. Morris Debut Award natomiast *Iskra* została nagrodzona Amelia Elizabeth Walden Book Award.

Możesz znaleźć Kristin w sieci pod adresem:

kristincashore.blogspot.com.

-
- 1 Emma Lazarus, *Nowy Kolos*, przeł. Wiktor J. Darasz (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).
 - 2 Alan Alexander Milne, *Kubuś Puchatek*, przeł. Irena Tuwim.
 - 3 *Ibidem*.
 - 4 Słowa wypowiedziane przez Dorotkę (w tej roli Judy Garland) w musicalu *Czarnoksiężnik z Oz* z 1939 roku.
 - 5 Iditarod – jeden z najbardziej prestiżowych i najtrudniejszych wyścigów psich zaprzęgów w Ameryce Północnej.